

Ken Follett

Trzeci Bliźniak

Przełożył Andrzej Szulc

Moim pasierbom:

Jann Turner, Kim Turner i Adamowi Broerowi

Z wyrazem miłości

Książka ta jest dziełem fikcji. Nazwiska, postaci, miejsca, organizacje oraz wydarzenia są wytworem wyobraźni autora bądź też pojawiają w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do faktów, rzeczywistych organizacji, a także osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

NIEDZIELA

Fala upału zawisła nad Baltimore niczym całun. Zielone przedmieścia chłodzone były setkami tysięcy zraszaczy, ale zamożni mieszkańcy pochowali się w domach z włączoną na pełny regulator klimatyzacją. prostytutki na North Avenue szukały rozpaczliwie cienia, pocąc się pod swoimi perukami, a dzieciaki handlujące na rogach ulic prochami wyjmowały je z kieszeni obszernych szortów. Była druga połowa września, lecz jesień wydawała się jeszcze bardzo odległa.

Zardzewiały biały datsun ze stłuczonym przednim kloszem, oklejonym dwoma krzyżującymi się paskami taśmy, przemierzał powoli leżącą na północ od śródmieścia, zamieszkaną przez białych dzielnicę. Samochód nie miał klimatyzacji i kierowca, przystojny dwudziestodwuletni chłopak, otworzył wszystkie szyby. Ubrany w przycięte džinsy i czysty biały podkoszulek, na głowie miał czerwoną baseballową czapkę z wypisanym białymi literami napisem SECURITY. Plastikowe siedzenie pod jego udami było śliskie od potu, ale on wcale się tym nie przejmował. Był w wesołym nastroju. Radio w samochodzie nastawione było na stację 92Q - Dwadzieścia hitów jeden po drugim! Na fotelu obok leżał otwarty skoroszyt. Mężczyzna zerkał co jakiś czas na naszpikowany specjalistycznym słownictwem tekst, ucząc się przed czekającym go nazajutrz testem. Nauka nigdy nie sprawiała mu trudności; powinien opanować materiał w ciągu najwyżej kilku minut.

Na światłach dogoniła go blondynka w porsche z otwieranym dachem. Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- Ładny wózek - rzucił.

Blondynka odwróciła bez słowa wzrok, ale zobaczył, że kąciki ust zadrżały jej lekko w uśmiechu. Schowana za wielkimi ciemnymi szklami była prawdopodobnie dwa razy starsza od niego - starsza od niego była większość kobiet, które jeździły porsche.

- Pościgajmy się do następnych światel - zaproponował. Słyszając to roześmiała się kokieteryjnym muzycznym śmiechem, a potem wrzuciła wąską elegancką dłońią jedynekę i wystrzeliła z miejsca jak rakieta.

Wzruszył ramionami. Tylko żartował.

Mijał teraz zadrzewiony kampus Uniwersytetu Jonesa Fallsa, uczelni należącej do Bluszczowej Ligi, o wiele bardziej nobliwej aniżeli ta, na której sam studiował. Przejeżdżając obok imponującej bramy, minął grupkę biegnących truchtem ośmiu lub dziesięciu kobiet, ubranych w stroje do joggingu: obcisłe szorty, przepocone T-shirty i buty

firmy Nike. Domyślił się, że to drużyna hokeja na trawie. Biegąca na czele wysportowana dziewczyna musiała być ich kapitanem, szlifującym przed sezonem formę podopiecznych.

Dziewczęta skręciły na teren uczelni i wyobraźnia podsunęła mu nagle obraz tak sugestywny i podniecający, że przez chwilę miał trudności z prowadzeniem samochodu. Wyobraził je sobie w szatni - tę pulchną namydlającą się pod prysznicem, tę rudą wycierającą ręcznikiem długie kasztanowe włosy, tę czarnoskórą wkładającą białe koronkowe majtki, tę, która jest kapitanem drużyny, przechadzającą się nago między szafkami i prężącą mięśnie. Nagle dzieje się coś, co im zagraża. Dziewczyny wpadają w panikę, zaczynają płakać, ich oczy rozszerza przerażenie. Biegają w kółko, zderzając się ze sobą. Ta gruba przewraca się na podłogę i leży zanosząc się bezsilnym płaczem. Inne depczą po niej, próbując się desperacko ukryć, znaleźć drzwi, uciec przed tym, co je przeraża.

Zjechał na bok i wyłączył bieg. Oddychał szybko i czuł, jak serce wali mu w piersi. To była najbardziej sugestywna wizja, którą pamiętał. Brakowało w niej jednak małego szczegółu. Czego się tak przestraszyły? Przez chwilę szukał odpowiedzi w swej bujnej wyobraźni, a potem westchnął z rozkoszy, kiedy przyszła mu do głowy: pożar. W szatni szaleje pożar, a one boją się ognia. Krztusząc się i kaszląc, drepczą w kółko, półnagie i ogłupiałe.

- Mój Boże - szepnął, patrząc prosto przed siebie, widząc całą scenę, tak jakby projektor wyświetlał ją na przedniej szybie datsuna.

Po kilku chwilach ochłonął. Wciąż był podniecony, ale sama wizja przestała mu wystarczać; podobnie jak myśl o kuflu piwa nie wystarcza komuś, kogo pali silne pragnienie. Podniósł skraj podkoszulka i wytarł nim pot z twarzy. Wiedział, że powinien zapomnieć i odjechać, ale wizja była zbyt wspaniała. Jej urzeczywistnienie wiązało się z wielkim ryzykiem - gdyby go złapano, trafiłby na długie lata do więzienia - ale zagrożenie nigdy jeszcze nie powstrzymało go przed tym, na co miał ochotę. Starał się opanować pokusę, lecz trwało to tylko sekundę.

- Chcę tego - mruknął, po czym zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wjechał przez majestatyczną bramę na teren kampusu.

Był tutaj już wcześniej. Uniwersytet zajmował sto akrów błoni, ogrodów i lasów. Budynki wzniesiono na ogół ze standardowej czerwonej cegły, ale było również kilka nowoczesnych gmachów ze szkła i betonu; wszystkie łączyły się ze sobą płataniną wąskich alejek, obstawionych parkometrami.

Drużyna hokeja na trawie zniknęła, ale znalezienie sali gimnastycznej nie sprawiło mu większych trudności. Mieściła się w niskim budynku obok bieżni; przed wejściem stała figura dyskobola. Mężczyzna zatrzymał się przy parkometrze, ale nie wrzucił do niego monety; nigdy nie wrzucał monet do parkometrów. Muskularna kapitan drużyny hokejowej stała na stopniach sali, rozmawiając z facetem w porozpruwanej bluzie. Mężczyzna z datsuna wbiegł po stopniach, uśmiechnął się po drodze do dziewczyny i pchnął drzwi prowadzące do budynku.

W hallu roilo się od wchodzących i wychodzących dziewcząt i chłopców w szortach i opaskach na włosach, z raketami w rękach i sportowymi torbami zawieszonymi na ramieniu. Dla większości drużyn uniwersyteckich niedziela była dniem treningu. Siedzący za biurkiem strażnik sprawdzał legitymacje studenckie; ale kiedy do środka wbiegła razem duża grupa biegaczy i część z nich zapomniała je pokazać, strażnik wzruszył po prostu ramionami i wsadził z powrotem nos w czytana książkę.

Nieznajomy odwrócił się i zaczął oglądać stojące w gablocie srebrne puchary zdobyte przez miejscowych sportowców. Chwilę później do hallu wbiegli piłkarze - dziesięciu chłopaków i kłocowata dziewczyna w butach z kolcami - i szybko się do nich przyłączył. Przeciął szybkim krokiem hali i zbiegł razem z nimi szerokimi schodami na dół. Piłkarze, którzy rozmawiali o meczu, ciesząc się ze zdobytej bramki i oburzając na złośliwy faul, w ogóle nie zwrócili uwagi na nieznajomego.

Szedł lekkim niedbałym krokiem, ale oczy miał szeroko otwarte. Na dole był kolejny mały hali z maszyną do coca-coli i płatnym telefonem w osłonie akustycznej. Do męskiej szatni wchodziło się bezpośrednio z hallu, ale gruba dziewczyna skręciła w długi korytarz. Żeńską szatnię architekt dołączył pewnie do projektu w ostatniej chwili: w czasach gdy słowo "koedukacyjny" miało seksualny podtekst, nie wyobrażał sobie, że na uniwersytecie będzie studiować tyle dziewczyn.

Nieznajomy podniósł słuchawkę i udał, że szuka ćwierédolarowej monety. Mężczyźni wchodzili gęsiego do swojej szatni. Patrzył, jak dziewczyna idzie korytarzem, a potem otwiera jakieś drzwi i znika. Prowadziły na pewno do szatni. Były tam wszystkie, pomyślał podniecony. Rozbierały się, brały prysznic, wycierały ręcznikami. To, że znajdował się tak blisko, nie dawało mu spokoju. Otarł brew rąbkiem podkoszulka. Żeby urzeczywistnić swoją wizję, musiał je tylko śmiertelnie nastraszyć.

Uspokoił się. Nie zepsuje sobie zabawy przez zbyt ni pośpiech. Potrzebował kilku minut, żeby wszystko porządnie zaplanować.

Kiedy wszyscy zniknęli, ruszył korytarzem. Prowadziło z niego troje drzwi, jedne po każdej ze stron i jedno na końcu. Dziewczyna wybrała te po prawej stronie. Otworzył ostatnie i zobaczył potężne instalacje, najprawdopodobniej kotły i filtry do basenu. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Wewnątrz rozbrzmiewał cichy pomruk urządzeń elektrycznych. Wyobrazil sobie dziewczynę, oszalałą ze strachu i ubraną tylko w bieliznę - biustonosz i majtki ozdobione kwiatkami - leżącą na podłodze i przyglądającą się z przerażeniem, jak rozpina pasek. Przez chwilę rozkoszował się tym obrazem. Dzielilo go od niej tylko kilka jardów. W tej chwili myślała pewnie o tym, co będzie robić wieczorem. Może miała chłopaka i zastanawiała się, czy tej nocy pozwoli mu pójść na całość; może była studentką pierwszego roku, samotną i trochę nieśmiałą, której w niedzielny wieczór pozostało tylko oglądanie Colombo; a może musiała jutro oddać jakąś pracę i miała zamiar ślęczeć nad nią przez całą noc. Nic z tego, kochanie. Przygotuj się na koszmar.

Robił podobne rzeczy już wcześniej, ale nigdy na taką skalę. Odkąd pamiętał, zawsze uwielbiał straszyć dziewczyny. W liceum najbardziej lubił zaskoczyć którąś w pojedynkę gdzieś na korytarzu, i grozić jej tak długo, aż wybuchała płaczem i prosiła o litość. Dlatego właśnie musiał stale zmieniać szkoły. Czasami umawiał się z dziewczynami na randki, żeby nie różnić się tak bardzo od innych chłopaków i mieć kogoś, z kim mógłby pójść do baru. Jeśli tego oczekiwaly, bzykał je, ale zawsze wydawało mu się to trochę bezcelowe.

Każdy ma jakiegoś hysia, myślał; pewni mężczyźni przebierają się w damskie ciuchy, inni lubią, żeby ubrana w skórę dziewczyna deptała ich butami na wysokich obcasach. Znał faceta, dla którego najseksowniejszą częścią ciała kobiety były jej stopy; dostawał orgazmu, stojąc w dziale damskiego obuwia w domu towarowym i obserwując, jak wkładają i zdejmują pantofle.

On miał hysia na punkcie strachu. Podniecało go, kiedy kobieta się bała. Bez tego nie odczuwał przyjemności.

Rozglądając się metodycznie dookoła, zauważył przymocowaną do ściany drabinę, nad którą znajdowała się zamykana od środka żelazna kłapa. Wspiął się szybko po szczeblach, odsunął rygle i podniósł ją do góry. Przed sobą zobaczył opony stojącego na parkingu chryslera. Ustaliwszy, że znajduje się na tyłach budynku, zasunął z powrotem rygle i zszedł na dół.

Kiedy zamykał za sobą drzwi kotłowni, idąca z naprzeciwka dziewczyna zmierzyła go nieprzyjaznym spojrzeniem. Przeżył chwilę niepokoju; mogła zapytać go, czego, do cholery, szuka koło damskiej szatni. Czegoś takiego nie przewidział w swoim scenariuszu.

W tym momencie mogło to popsuć cały plan. Ale ona spojrzała na jego czapkę i widząc napis SECURITY, odwróciła się i weszła do szatni.

Uśmiechnął się. Kupił tę czapkę w sklepie z pamiątkami za osiem doliczając dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Ludzie przyzwyczaili się do ubranych w dzinsy strażników na koncertach rockowych, do detektywów, którzy nie różnili się od przestępców, dopóki nie wyciągnęli odznaki, a także do ubranych w swetry policjantów na lotnisku; trudno było pytać o legitymację każdego palanta, który twierdził, że jest ochroniarzem.

Nacisnął klamkę drzwi naprzeciwko damskiej szatni. W środku znajdował się mały magazyn. Zapalił światło i zamknął za sobą drzwi.

Na regałach leżał stary sprzęt sportowy: wielkie, czarne lekarskie piłki, zużyte gumowe materace, gimnastyczne maczugi, zdefasonowane rękawice bokserskie i rozklekotane składane krzesła. Obok stał kozioł z popękana skórą i złamaną nogą. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Pod sufitem biegła duża srebrna rura. Domyślił się, że tłoczy świeże powietrze do szatni po drugiej stronie korytarza.

Sięgnął do góry i spróbował odkręcić śruby łączące rurę z większym urządzeniem, które wyglądało na wentylator. Nie udało mu się to gołymi rękoma, ale miał klucz w bagażniku datsuna. Kiedy odkręci śruby, wentylator zamiast z rury będzie pobierał powietrze z magazynu.

Rozpali ogień na podłodze. Kupi kanister benzyny, odleje jej trochę do butelki po perrierze i przyniesie tutaj razem z pudełkiem zapalek, gazetą na rozpałkę i kluczem.

Ogień szybko się rozprzestrzeni i w górę zaczął walić gęste kłęby dymu. Wtedy zakryje sobie usta i nos mokrą szmatą, odczeka chwilę i odkręci rurę. Wentylator zacznie wsysać dym i tłoczyć go do szatni. Z początku nikt tego nie zauważy. A potem któraś z dziewczyn pociągnie nosem i zapyta: "Czy ktoś tutaj pali papierosa?" On tymczasem otworzy drzwi magazynu i cały korytarz wypełni się dymem. Dziewczęta zorientują się w końcu, że coś jest nie w porządku, otworzą drzwi i przekonane, że pali się cały budynek, wpadną wszystkie w panikę.

Wtedy on wejdzie do szatni. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzy, będą migać biustonosze, pończochy, gołe piersi, pośladki i włosy łonowe. Niektóre z dziewczyn wybiegną nagie i mokre spod prysznica i będą szukały po omacku ręcznika; inne zaczną się ubierać; większość będzie biegać w kółko, mrużąc oczy i próbując znaleźć drzwi. Słychać będzie krzyki i szlochy. On nadal będzie udawać ochroniarza i zacznie im wydawać rozkazy: "Nie ubierajcie się! Nie ma ani chwili do stracenia! Uciekajcie! Płonie cały

budynek! Szybciej! Szybciej!” Będzie je klepał po nagich pośladkach, popychał, wrywał z rąk ubrania i obmacywał. Niektóre domyśla się może, że coś jest nie w porządku, ale większość będzie zbyt przerażona, żeby się nad tym zastanawiać. Jeśli w środku będzie jeszcze muskularna hokeistka, starczy jej być może jasności umysłu, żeby stawić mu czoło, ale on znokautuje ją po prostu jednym celnym uderzeniem.

Spacerując po szatni, wybierze dla siebie ofiarę: ładną dziewczyną o bezbronnym spojrzeniu. Weźmie ją pod ramię i powie: “Tędy, proszę. Jestem z ochrony”. Wyjdzie z nią na korytarz, a potem skręci do kotłowni. I dokładnie wtedy, gdy biedaczka pomyśli, że jest bezpieczna, uderzy ją najpierw w twarz, a potem w brzuch i rzuci na brudną betonową podłogę. Będzie patrzył, jak się po niej turla, a potem niepewnie siada płacząc i wpatrując się w niego z przerażeniem w oczach.

Wtedy uśmiechnie się i rozepnie pasek.

- Chcę wracać do domu - oświadczyła pani Ferrami.

- Nie martw się, mamó, zabierzemy cię stąd szybciej, niż myślisz - odparła jej córka Jeannie.

Młodsza siostra Jeannie, Patty, posłała jej spojrzenie, które mówiło: Jak sobie to, do licha, wyobrażasz?

Ubezpieczenie mamy starczało wyłącznie na umieszczenie w domu opieki Bella Vista, który sprawiał wyjątkowo obskurne wrażenie. W pokoju stały dwa szpitalne łóżka, dwie nocne szafki, kanapa i telewizor. Ściany pomalowane były na brunatny kolor, a podłoga wyłożona plastikowymi kremowopomarańczowymi płytkami. Okna miały kraty zamiast zasłon i wychodziły na stację benzynową. Umywalka była w rogu pokoju, toaleta na korytarzu.

- Chcę wracać do domu - powtórzyła pani Ferrami.

- Ale ty wszystko zapominasz, mamó. Nie możesz już dłużej sama mieszkać - powiedziała Patty.

- Oczywiście, że mogę, nie waz się do mnie mówić w ten sposób.

Jeannie przygryzła wargę. Gdy spoglądała na wrak człowieka, który był kiedyś jej matką, chciało jej się płakać. Mama miała mocne rysy: czarne brwi, ciemne oczy, prosty nos, szerokie usta i wystające kości policzkowe. I chociaż była niskiego wzrostu, a jej córki wysokie jak ojciec, Jeannie i Patty odziedziczyły po niej typ urody. I wszystkie trzy odznaczały się, zgodnie z tym, co sugerowały rysy twarzy, silnym charakterem; słowem, którego używano najczęściej, by je opisać, było "imponujące". Ale mama już nigdy nie będzie imponująca. Miała Alzheimerera.

Nie skończyła jeszcze sześćdziesiątki. Dwudziestodwujęcioletnia Jeannie i dwudziestosześcioletnia Patty miały nadzieję, że przez kilka lat mama będzie sobie jeszcze jakoś radzić, ale nadzieja ta legła w gruzach o godzinie piątej tego ranka, kiedy gliniarz z Waszyngtonu zadzwonił do Jeannie i zakomunikował jej, że znalazł mamę w brudnej nocnej koszuli na Osiemnastej Ulicy, powtarzającą z płaczem, że zapomniała, gdzie mieszka.

Jeannie wsiadła do samochodu i pojechała w ten cichy niedzielny ranek do Waszyngtonu, oddalonego o godzinę jazdy z Baltimore. Odebrała mamę z posterunku, odwiozła do domu, umyła ją i ubrała, po czym zadzwoniła do Patty. Obie siostry załatwiły następnie mamie miejsce w domu spokojnej starości Bella Vista w mieście Columbia, w

połowie drogi między Waszyngtonem i Baltimore. Spędziła w nim swoje ostatnie lata ich ciotka Rosa. Miała taką samą polisę ubezpieczeniową jak mama.

- Nie podoba mi się to miejsce - stwierdziła mama.

- Nam też - odparła Jeannie - ale w tej chwili to wszystko, na co nas stać. - Chciała być rzeczowa i rozsądna, ale jej słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzała.

Patty spojrzała na nią z dezaprobatą.

- Daj spokój, mamo, mieszkaliśmy już w gorszych warunkach - powiedziała.

To była prawda. Kiedy ich ojciec trafił po raz drugi za kratki, mama i dwie córki zamieszkały w jednym pokoju z płytą grzejną na kredensie i kranem na korytarzu. To były lata pomocy społecznej. Ale przeciwności losu zawsze mobilizowały mamę do działania. Kiedy tylko Jeannie i Patty poszły do szkoły, znalazła pracę - była fryzjerką, niezłą, chociaż może mało oryginalną - wynajęła godną zaufania starszą panią, która opiekowała się dziewczynkami, gdy wróciły do domu, i przeniosła się do małego mieszkanka z dwiema sypialniami w Adams-Morgan, porządnej robotniczej dzielnicy.

Smażyła grzanki na śniadanie, wysyłała Jeannie i Patty do szkoły w czystych ubraniach, a potem czesała się i malowała trzeba było wyglądać elegancko, kiedy pracowało się w salonie - i zawsze zostawiała wysprzątaną kuchnię i ciasteczka dla dziewczynek, kiedy wracały do domu. W niedzielę wszystkie trzy robiły porządki i duże pranie. Mama zawsze wydawała się taka zaradna, taka solidna i wytrzymała, że żal było patrzeć na tę leżącą w łóżku narzekającą kobietę.

Teraz zmarszczyła brwi, jakby coś ją zadziwiło.

- Dlaczego nosisz kolczyk w nosie, Jeannie? - zapytała.

Jeannie dotknęła palcem delikatnego srebrnego kółka i lekko się uśmiechnęła.

- Kazałam sobie przekłuć nos, kiedy byłam dzieckiem, mamo. Pamiętasz, jak się z tego powodu wściekałaś? Myślałam, że wyrzucisz mnie na ulicę.

- Zapomniałam - szepnęła mama.

- Ja pamiętam - powiedziała Patty. - Uważałam, że to najwspanialszy pomysł pod słońcem. Ale miałam wtedy jedenaście, a ty czternaście lat i wszystko, co robiłaś, wydawało mi się odważne, mądre i zgodne z najnowszą modą.

- Może wcale się nie myliłaś - stwierdziła żartem Jeannie.

Patty zachichotała.

- Na pewno nie można było tego powiedzieć o pomarańczowej kurtce.

- Mój Boże, ta kurtka. Mama spaliła ją w końcu po tym, jak nocowałam w opuszczonym budynku i oblaży mnie pchły.

- Pamiętam to - odezwała się nagle mama. - Pchły u mojego dziecka! - Wciąż ją to oburzało, mimo że minęło piętnaście lat.

Nagle poprawiły im się humory. Wspomnienia uświadomiły im, jak bardzo były kiedyś ze sobą związane. To był najlepszy moment, żeby wyjść.

- Muszę już lecieć - oświadczyła wstając Jeannie.

- Ja też - stwierdziła Patty. - Muszę zrobić obiad.

Żadna z córek nie kwapiła się jednak do drzwi. Jeannie dręczyło poczucie, że porzuca matkę w potrzebie. W tym miejscu nikt jej nie kochał. Powinna się nią opiekować rodzina. Jeannie i Patty powinny u niej zamieszkać, powinny gotować jej posiłki, prasować nocne koszule i nastawiać telewizor na jej ulubiony program.

- Kiedy was znowu zobaczę? - zapytała mama.

Jeannie zawahała się. Chciała powiedzieć: "Jutro. Przyniosę ci śniadanie i zostanę z tobą przez cały dzień". Ale to było niemożliwe, czekał ją pracowity tydzień. Ogarnęło ją poczucie winy. Jak mogę być taka okrutna?

Patty przyszła jej w sukurs.

- Przyjadę jutro - powiedziała - i przywiozę ze sobą dzieci. Zobaczysz, będzie wspaniale.

Mama nie zamierzała jednak tak łatwo odpuścić starszej córce.

- Ty też przyjedziesz?

- Kiedy tylko będę mogła - oparła Jeannie. Pochyliła się nad łóżkiem i czując, jak żal dławi ją w gardle, pocałowała matkę. - Kocham cię, mamo. Postaraj się o tym nie zapomnieć.

Kiedy znalazły się na korytarzu, Patty wybuchła płaczem.

Jeannie też chciało się płakać, lecz była starsza i dawno temu przyzwyczaiła się panować nad własnymi uczuciami i opiekować Patty. Objęła ją ramieniem i ruszyły razem aseptycznym korytarzem. Patty nie miała słabego charakteru; była po prostu bardziej zgodna od wojowniczej i upartej Jeannie. Mama zawsze krytykowała starszą córkę twierdząc, że powinna być podobna do Patty.

- Chciałabym ją zabrać do siebie do domu, ale nie mogę - stwierdziła ze smutkiem Patty.

Jeannie pokiwała głową. Patty wyszła za mąż za stolarza, niejakiego Zipa. Mieszkali w małym domku z dwiema sypialniami. Drugą sypialnię zajmowali ich trzej synowie. Davey miał sześć, Mel cztery, a Tom dwa lata. Nie było gdzie umieścić babci.

Jeannie mieszkała sama. Jako asystentka na Uniwersytecie Jonesa Fallsa zarabiała trzydzieści tysięcy dolarów rocznie - znacznie mniej, była tego pewna, niż mąż Patty. Zaciągnęła właśnie swój pierwszy dług hipoteczny, kupiła dwupokojowe mieszkanie i umeblowała je na kredyt. W pokoju dziennym miała aneks kuchenny, w sypialni szafę i malutką łazienkę. Gdyby oddała mamie swoje łóżko, musiałaby co noc spać na kanapie; poza tym przez cały dzień nie byłoby tam nikogo, kto mógłby się zaopiekować kobietą chorą na Alzheimera.

- Ja też nie mogę jej wziąć - powiedziała.

Patty, mimo że zapłakana, wpadła nagle w gniew.

- Więc po co mówiłaś, że ją stąd zabierzemy? Nie możemy tego zrobić!

Wyszły na zewnątrz i uderzyła je w twarz fala gorąca.

- Jutro pojedę do banku i wezmę pożyczkę - oznajmiła Jeannie. - Umieścimy ją w lepszym domu i dopłacę do tego, co daje ubezpieczenie.

- Ale jak spłacisz pieniądze? - zapytała praktycznie Patty.

Za parę lat zostanę adiunktem, a potem profesorem. Załatwię sobie zlecenie na napisanie podręcznika, a także posadę konsultanta w trzech międzynarodowych konglomeratach.

Patty uśmiechnęła się przez łzy.

- Ja ci wierzę, ale czy uwierzą ci w banku?

Zawsze wierzyła w Jeannie. Sama nigdy nie była zbyt ambitna. Uczyła się średnio w szkole, wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat i bez większego żalu poświęciła się wychowaniu dzieci. Jeannie była inna. Najlepsza w klasie, pełniła funkcję kapitana wszystkich szkolnych drużyn, doszła do niezłych wyników w tenisie i ukończyła studia, korzystając ze stypendiów sportowych. Kiedy mówiła, że coś zrobi, młodsza siostra ani przez chwilę w to nie wątpiła.

Patty miała jednak rację, bank nie da jej kolejnej pożyczki zaraz po sfinansowaniu zakupu mieszkania. Poza tym zaczęła dopiero pracować jako asystentka; musiało upłynąć co najmniej trzy lata, nim można było pomyśleć o awansie.

Trudno, sprzedam samochód - stwierdziła z desperacją, kiedy dotarły do parkingu.

Kochała swój samochód. Był to liczący dwadzieścia jeden lat mercedes 230C, czerwony dwudrzwiowy sedan z czarnymi skórzanymi siedzeniami. Kupiła go przed sześciu laty za pięć tysięcy dolarów, które dostała za zdobycie pierwszego miejsca w turnieju tenisowym Mayfair Lites College. Posiadanie starego mercedesa nie było jeszcze wówczas szczytem mody.

Teraz jest prawdopodobnie wart dwa razy więcej, niż za niego zapłaciłam - dodała.

- Ale musisz przecież kupić sobie inny samochód - przypomniała jej bezlitośnie praktyczna Patty.

- Masz rację - westchnęła Jeannie. - No cóż, mogę wziąć korepetycje. To niezgodne z regulaminem Jonesa Fallsa, ale mogłabym prawdopodobnie dostać ze czterdzieści dolarów za godzinę, ucząc statystyki poprawkowiczów, którzy oblali egzamin na innych uczelniach. To dałoby trzysta dolarów tygodniowo, wolne od podatku, jeśli tego nie zgłoszę. - Jeannie spojrzała siostrze prosto w oczy. - A ty zdołasz coś zaoszczędzić?

Patty spuściła wzrok.

- Nie wiem.

- Zip zarabia więcej ode mnie.

- Zabilby mnie, gdyby to słyszał, ale sądzę, że możemy zaoszczędzić siedemdziesiąt pięć do osiemdziesięciu dolarów tygodniowo - przyznała w końcu Patty. - Namówię go, żeby poprosił o podwyżkę. Trochę się kępuje, ale wiem, że na nią zasłużył, a szef nawet go lubi.

Jeannie rozpogodziła się nieco, chociaż perspektywa uczenia w niedzielę ograniczonych umysłowo poprawkowiczów nie była zbyt wesoła.

- Za dodatkowe czterysta dolarów tygodniowo pewnie udałoby się załatwić mamie własny pokój z łazienką.

- Mogłaby wtedy trzymać tam trochę więcej swoich rzeczy. Bibeloty i może jakieś meble z mieszkania.

- Popytajmy, czy ktoś nie zna jakiegoś miłego miejsca.

- Dobrze - odparła Patty, ale coś najwyraźniej nie dawało jej spokoju. - Choroba mamy jest dziedziczna, prawda? - zapytała w końcu. - Widziałam o tym program w telewizji.

Jeannie pokiwała głową.

- Jest pewien defekt genetyczny, AD3, który wiąże się z wczesnym rozwojem Alzheimerera. - Pamiętała, że defekt znajduje się w chromosomie 14q24.3, ale to i tak nie powiedziałyby nic Patty.

- Czy to znaczy, że ty i ja skończymy tak samo jak mama?

- To znaczy, że istnieje taka możliwość.

Przez chwilę obie milczały. Perspektywa wczesnej demencji była zbyt przygnębiająca, by o niej mówić.

- Cieszę się, że urodziłam młodo dzieci - stwierdziła Patty. - Kiedy mnie to spotka, będą wystarczająco dojrzałe, żeby o siebie zadbać.

Jeannie wyczuła w jej głosie cień wymówki. Patty, podobnie jak mama, uważała, że coś jest nie w porządku, jeśli dwudziestodwuletnia kobieta nie ma jeszcze dzieci.

- To, że znaleźli ten gen - odezwała się po chwili - daje pewną nadzieję. Oznacza, że kiedy będziemy w wieku mamy, będą mogli nam wstrzyknąć zmodyfikowaną wersję naszego własnego DNA. Bez zdefektowanego genu.

- Mówili o tym w telewizji. Nazywa się to rekombinacyjną technologią DNA, prawda?

Jeannie uśmiechnęła się do siostry.

- Zgadza się.

- Widzisz, nie jestem taka głupia.

- Nigdy nie uważałam, że jesteś głupia.

- Ale skoro to właśnie DNA czyni mnie tym, kim jestem - stwierdziła z poważną miną Patty - czy jego zmiana nie sprawi, że stanę się inną osobą?

- Nie tylko DNA czyni cię tym, kim jesteś. Ma na to wpływ również twoje wychowanie.

- Jak ci się podoba nowa praca?

- Jest ekscytująca. To dla mnie wielka szansa, Patty. Mnóstwo ludzi czytało mój artykuł o skłonnościach przestępczych. o tym, czy są zapisane w naszych genach.

Nad artykułem opublikowanym rok wcześniej, gdy pracowała jeszcze na Uniwersytecie Minnesota, widniało również nazwisko jej promotora, ale to ona wykonała całą robotę.

- Nigdy nie mogłam dojść, czy twoim zdaniem skłonności przestępcze są, czy też nie są dziedziczne - powiedziała Patty.

- Wyodrębniłam cztery dziedziczne cechy, które prowadzą do zachowań przestępczych: impulsywność, odwagę, agresywność i hiperaktywność. Ale według mojej teorii pewien sposób wychowywania dzieci neutralizuje te cechy i zmienia potencjalnych przestępców w porządnym obywateli.

- Jak można w ogóle udowodnić coś takiego?

- Badając wychowywane oddzielnie identyczne bliźniaki. Identyczne bliźniaki mają takie same DNA. I kiedy adoptuje się je przy urodzeniu albo rozdzieli z innych powodów, każde z nich wychowywane jest inaczej. Szukam więc par bliźniaków, z których jeden jest

przestępcą, a drugi normalnym obywatelem. Następnie zaś badam, jak byli wychowywani i co takiego ich rodzice robili inaczej.

Twoja praca jest naprawdę ważna - stwierdziła Patty.

- Ja też tak sądzę.

- Musimy dowiedzieć się, dlaczego tak wielu Amerykanów schodzi dzisiaj na złą drogę.

Jeannie pokiwała głową. Tak można to było ująć w olbrzymim skrócie.

Patty skręciła do własnego samochodu, wielkiego starego forda kombi, którego tył wypełniały kolorowe dziecinne klamoty: rakiety, piłki, złożona spacerówka, trójkołowy rowerek i wielka ciężarówka z urwanym kołem.

- Ucałuj ode mnie mocno chłopaków - powiedziała Jeannie.

- Dzięki. Zadzwoń do ciebie jutro, kiedy zobaczę się z mamą.

Jeannie wyjęła kluczyki, zawahała się, a potem podeszła z powrotem do Patty i uściskała ją.

- Kocham cię, siostrzyczko - powiedziała.

- Ja też cię kocham.

Jeannie wsiadła do samochodu i odjechała.

Czuła się psychicznie obolała i rozdrażniona. Targały nią sprzeczne uczucia do mamy, do Patty i do ojca, którego praktycznie nie знаła. Wjechała na autostradę I-70 i pędziła zdecydowanie za szybko, zmieniając co chwila pasma. Zastanawiała się, co zrobić z resztą dnia. O szóstej była umówiona na tenisa, potem miała pójść na piwo i pizzę z grupą studentów i młodych asystentów wydziału psychologii. Jej pierwszą myślą było odwołać wszystko, nie chciała jednak siedzieć cały wieczór w domu i się zamartwiać. Postanowiła, że zagra w tenisa; ruch na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi. Potem skoczy na godzinkę do baru Andy'ego i pójdzie wcześniej spać.

Ten dzień miał jednak wyglądać zupełnie inaczej.

Jej przeciwnikiem na korcie był Jack Budgen, dyrektor biblioteki uniwersyteckiej. Brał kiedyś udział w turnieju wimbledońskim i chociaż przerzedziły mu się włosy i skończył pięćdziesiąt lat, wciąż był w dobrej formie i nie zapomniał, czego się niegdyś nauczył. Jeannie nie grała nigdy w Wimbledonie - szczytem jej sportowej kariery okazało się zakwalifikowanie się do olimpijskiej drużyny Stanów Zjednoczonych jeszcze za studenckich czasów - była jednak silniejsza i szybsza od Jacka.

Grali na jednym z wysypanych czerwoną gliną kortów Jonesa Fallsa. Byli godnymi siebie przeciwnikami i mecz przyciągnął niewielką grupkę widzów. Na kortach nie obowiązywały jakieś szczególne wymogi co do stroju, ale Jeannie grała zawsze w nieskazitelnie białych szortach i białej koszulce polo. Miała długie ciemne włosy, nie takie jedwabiste i proste jak Patty, lecz kręcone i niesforne. Na czas gry wetknęła je pod czapkę z daszkiem.

Serwis Jeannie był zabójczy, a bity oburącz z backhandu cross nie dawał przeciwnikowi żadnych szans. Jack nie mógł wiele poradzić na serwis, ale po kilku pierwszych gemach starał się nie dawać jej zbyt wielu okazji na smecz z backhandu. Grał chytrze, oszczędzając siły i czekając na błąd przeciwniczki, która przyjęła zbyt agresywną taktykę: popełniała podwójne błędy serwisowe i zbyt wcześnie podbiegała do siatki. W normalnych okolicznościach mogła go pokonać, ale tego dnia była zdekoncentrowana i nie zawsze potrafiła odgadnąć jego zamiary. Wygrali każde po jednym secie. Wynik trzeciego wynosił pięć do czterech i Jeannie zorientowała się nagle, że broni piłki meczowej.

Po kolejnych dwóch wyrównaniach Jack zdobył punkt i miał teraz przewagę. Jeannie posłała pierwszy serwis w siatkę i w tłumie rozległo się zbiorowe westchnienie. A potem, zamiast posłać wolniejszą normalną piłkę, postawiła wszystko na jedną kartę i zaserwowała tak, jakby to był pierwszy serwis. Jack z wyraźnym trudem odbił, posyłając jej piłkę na backhand. Jeannie zasmeczowała i podbiegła do siatki. Jak się jednak okazało, Jack całkowicie panował nad sytuacją i odwzajemnił się idealnie uplasowanym lobem, który przeleciał jej nad głową i wylądował tuż przed tylną linią, dając mu zwycięstwo.

Jeannie oparła dłonie na biodrach i popatrzyła na piłkę, wściekła na samą siebie. Chociaż od paru lat nie grała już poważnych meczy, była ambitna i bolała ją każda przegrana. Po chwili opanowała się, przywołała na twarz uśmiech i obróciła się do Jacka.

- Piękny strzał - zawołała, po czym podbiegła do siatki i uścisnęła mu rękę.

Widzowie zgotowali im krótkie brawa. Jeden z nich podszedł do Jeannie.

To był wspaniały mecz - stwierdził, uśmiechając się szeroko.

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem. Prezentował się całkiem niezłe: młody, wysoki, wysportowany, z ostrzyżonymi krótko, kręconymi blond włosami i sympatycznymi błękitnymi oczyma. I miał wielką ochotę ją poderwać.

Nie była w nastroju.

- Dziękuję - odparła oschle.

Na jego ustach ponownie ukazał się uśmiech - pewny siebie, swobodny uśmiech mężczyzny, który wie, że większość dziewcząt cieszy się, gdy je zagadnie, bez względu na to, czy mówi do rzeczy.

- Sam też gram trochę w tenisa i pomyślałem sobie... - zaczął.

- Jeśli grasz tylko trochę, nie należysz chyba do mojej ligi - stwierdziła krótko i wyminęła go.

- Czy mam z tego wnosić - dobiegł ją wesoły głos z tyłu - że romantyczna kolacja we dwoje i namiętna noc jest raczej wykluczona?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Facet nie dawał za wygraną, mimo że potraktowała go bardziej obcesowo, niż to było konieczne.

- Nie, ale dziękuję za propozycję - odparła przez ramię, nawet się nie zatrzymując.

Zeszła z kortu i ruszyła w stronę szatni. Zastanawiała się, co teraz porabia mama. Musiała już dawno zjeść kolację; było wpół do ósmej, a w tego rodzaju instytucjach zawsze karmią ludzi wcześniej. Oglądała teraz pewnie telewizję w świetlicy. Może znajdzie sobie jakąś przyjaciółkę, kobietę w tym samym wieku, której nie będą przeszkadzać jej zaniki pamięci i która zainteresuje się zdjęciami jej wnuków. Mama miała kiedyś dużo znajomych - przyjaźniła się z koleżankami z pracy, klientkami, sąsiadkami, ludźmi, których знаła od dwudziestu pięciu lat - ale ciężko im było podtrzymywać tę znajomość, kiedy zapominała, kim, do diabła, są.

Mijając boisko hokeja na trawie, spotkała Lisę Hoxton. Lisa była pierwszą prawdziwą przyjaciółką, którą poznała po przyjeździe miesiąc temu do Baltimore. Pracowała jako laborantka w pracowni psychologicznej. Miała dyplom, ale nie chciała robić kariery naukowej. Podobnie jak Jeannie, pochodziła z niezamożnej rodziny i onieśmiewała ją nieco panująca na uniwersytecie nobliwa atmosfera. Natychmiast przypadły sobie do gustu.

- Właśnie próbował mnie poderwać jakiś dzieciak - oznajmiła z uśmiechem Jeannie.

- Jak wyglądał?

- Jak Brad Pitt, ale wyższy.

- Powiedziałaś mu, że masz przyjaciółkę w bardziej odpowiednim dla niego wieku? - zapytała Lisa. Miała dwadzieścia cztery lata.

- Nie. - Jeannie obejrzała się przez ramię, ale chłopak zniknął z pola widzenia. - Chodź szybciej. Nie chcę, żeby za mną łąził.

- I co w tym złego?

- Daj spokój.

- Ucieka się przed szpetnymi, a nie przystojnymi, Jeannie.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć.

- Mogłaś mu przynajmniej dać numer mojego telefonu.

- Powinnam dać mu karteczkę z numerem twojego biustonosza. To by go zachęciło.

Lisa, która miała dość duży biust, stanęła w miejscu. Przez chwilę Jeannie myślała, że posunęła się za daleko i ją obraziła, ale myliła się.

- Wspaniały pomysł - zawołała Lisa. - "Mam 36D, jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, zadzwoń pod ten numer". Och, jakie to subtelne.

- Jestem po prostu zazdrosna. Zawsze chciałam mieć wielkie cycki - powiedziała Jeannie i obie zachichotały. - Naprawdę. Kiedyś się o to modliłam. Byłam ostatnią dziewczyną w klasie, która nie miała jeszcze okresu. To było takie krępujące.

- Naprawdę klęczałaś przy łóżku i prosiłaś: "Panie Boże, powiększ mi cycki"?

- Dokładniej rzecz biorąc, modliłam się do Najświętszej Pani. Wydawało mi się, że to sprawa między nami kobietami. I nie używałam oczywiście słowa "cycki".

- A jak mówiłaś? Piersi?

- Nie. Uznałam, że nie mówi się "piersi" do Matki Boskiej.

- Więc jak je nazwałaś?

- Bufory.

Lisa parsknęła śmiechem.

- Nie wiem, skąd mi się wzięło to słowo. Musiałam pewnie podsłuchać jakichś mężczyzn. Wydawało mi się dość grzecznym eufemizmem. Nikomu o tym jeszcze nie mówiłam.

Lisa obejrzała się przez ramię.

- Nie widzę za nami żadnych adonisów - stwierdziła. - Domyślam się, że zgubiłyśmy Brada Pitta.

- I bardzo dobrze. Był dokładnie w moim typie: przystojny, seksowny, przesadnie pewny siebie i kompletnie niegodny zaufania.

- Skąd wiesz, że był niegodny zaufania? Miałas z nim do czynienia raptem dwadzieścia sekund.

- Żaden mężczyzna nie jest godny zaufania.

- Chyba masz rację. Wpadniesz dzisiaj do Andy'ego?

- Tak, ale tylko na godzinkę. Muszę najpierw wziąć prysznic. - Koszulka Jeannie była mokra od potu.

- Ja też. - Lisa miała na sobie podkoszulek i szorty, na nogach tenisówki. - Trenowałam z drużyną hokeja na trawie. Dlaczego tylko na godzinę?

To był ciężki dzień. - Mecz pozwolił Jeannie zapomnieć na chwilę o porannych kłopotach, ale teraz skrzywiła się na ich wspomnienie. - Musiałam umieścić mamę w domu opieki.

- Och, Jeannie, tak mi przykro.

Jeannie opowiedziała jej całą historię w drodze do budynku sali gimnastycznej. W szatni mignęło jej przez chwilę ich odbicie w lustrze. Tak bardzo różniły się wyglądem, że mogły występować w wodewilu. Lisa była trochę mniej niż średniego wzrostu, podczas gdy Jeannie miała prawie sześć stóp. Lisa była jasnowłosa i krągła, Jeannie ciemna i muskularna. Lisa miała ładną buzię, piegowaty zadarty nos i wydatne usta. Większość ludzi określało urodę Jeannie słowem "fascynująca", a mężczyźni mówili czasami, że jest piękna, nikt jednak nie stwierdził nigdy, że jest ładna.

- A co na to twój ojciec? Nic o nim nigdy nie mówisz - zdziwiła się Lisa, kiedy zrzuciły z siebie przepocone ubrania.

Jeannie westchnęła. Tego pytania nauczyła się obawiać już jako mała dziewczynka; ale padało wcześniej czy później. Przez wiele lat kłamała twierdząc, że tato nie żyje, albo ożenił się z inną kobietą i wyjechał do Arabii Saudyjskiej. Ostatnio jednak zaczęła mówić prawdę.

- Mój ojciec jest w więzieniu - odparła.

- O mój Boże... Nie powinnam była pytać.

- Nic nie szkodzi. Siedział w więzieniu przez większość mego życia. To jego trzeci wyrok.

- Na ile go skazali?

- Nie pamiętam. To nie ma znaczenia. Kiedy wyjdzie, i tak nie będzie z niego żadnego pożytku. Nigdy się nami nie opiekował i nie ma zamiaru robić tego teraz.

- Nigdy nie miał normalnej pracy?

- Tylko kiedy przygotowywał jakiś skok. Zatrudniał się na tydzień lub dwa jako dozorca, odźwierny albo ochroniarz, a potem okradał to miejsce.

Lisa bacznie się jej przyjrzała.

- To dlatego tak cię interesuje genetyka przestępczości?

- Może dlatego.

- A może nie. - Lisa machnęła ręką, jakby nie chciała o tym dłużej mówić. - Tak czy owak nienawidzę amatorskiej psychoanalizy.

Przeszły do łazienki. Jeannie została dłużej pod prysznicem, żeby umyć włosy. Cieszyła się z ich przyjaźni. Lisa pracowała na Uniwersytecie Jonesa Fallsa od ponad roku i pomogła jej się zaaklimatyzować, kiedy Jeannie zjawiała się tutaj na początku semestru. Jeannie lubiła z nią pracować, ponieważ na Lisie można było absolutnie polegać; lubiła też przebywać z nią po pracy, ponieważ mogła mówić wszystko, co jej przyszło do głowy, bez obawy, że ją zaszokuje.

Wcierając odżywkę we włosy, usłyszała dziwne odgłosy. Znieruchomiała i przez chwilę nasłuchiwała. Przypominały przerażone piski. Przeszedł ją dreszcz niepokoju. Nagle poczuła się zupełnie bezbronna: naga, mokra, głęboko w podziemiach. Po chwili wahania zmyła włosy i wyszła spod prysznicza, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Natychmiast poczuła, że coś się pali. Nie było widać ognia, ale pod sufitem waliły gęste kłęby czarnoszarego dymu. Wydobywał się chyba z przewodów wentylacyjnych. W budynku wybuchł pożar.

Ogarnął ją strach. Nigdy jeszcze nie znalazła się w środku pożaru.

Bardziej odważne dziewczyny złapały swoje torby i ruszyły szybkim krokiem do drzwi. Inne wpadły w histerię i krzycząc wniebogłosy, biegały w kółko. Jakiś durny ochroniarz z zawiązaną na nosie i ustach poplamioną chustką szerzył jeszcze większy popłoch, popychając je i wydając krzykiem rozkazy.

Jeannie wiedziała, że nie powinna tracić czasu na ubieranie, nie mogła jednak wybiec goła z budynku. Strach rozlewał się po jej żyłach niczym lodowata woda, ale starała się uspokoić. Odnalazła swoją szafkę. Lisy nie było nigdzie widać. Wyjęła rzeczy, włożyła dzinsy i naciągnęła przez głowę podkoszulek.

Zajęło jej to tylko kilka sekund, ale w tym czasie szatnia zupełnie opustoszała i wypełniła się dymem. Nie widziała już przed sobą drzwi i zaczęła kaszleć. Myśl, że nie będzie mogła oddychać, przeraziła ją. Wiem, gdzie są drzwi i muszę po prostu zachować spokój, powiedziała sobie. Klucze i pieniądze miała w kieszeniach dzinsów. Złapała swoją raketę do tenisa i wstrzymując oddech ruszyła szybko wzdłuż szafek do wyjścia.

W korytarzu unosiły się kłęby dymu. Jeannie zaczęły łzawić oczy i przestała cokolwiek widzieć. Żałowała teraz, że nie wybiegła nago i nie zyskała tych kilku drogocennych sekund. Dzinsy nie pomagały jej wcale oddychać w gęstych oparach dymu. A to, czy ktoś jest nagi, czy ubrany, nie ma żadnego znaczenia w godzinie śmierci.

Stąpając korytarzem i wciąż wstrzymując oddech, macała drżącą ręką ścianę, żeby nie stracić orientacji. Bała się, że wpadnie na inne kobiety, ale wszystkie najwyraźniej znacznie ją wyprzedziły. Ściana się skończyła i Jeannie domyśliła się, że znajduje się w

niewielkim hallu. Wciąż jednak widziała przed sobą wyłącznie kłęby dymu. Schody powinny być prosto przed nią. Ruszyła środkiem korytarza i wpadła na maszynę do coca-coli. Czy schody były teraz z lewej czy z prawej strony? Doszła do wniosku, że z lewej. Ruszyła w lewo i widząc przed sobą drzwi do męskiej szatni, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

Nie mogła już dłużej wstrzymać oddechu i zaczerpnęła z jękiem powietrza. Składało się głównie z dymu, który przyprawił ją o konwulsyjny kaszel. Nie widząc przed sobą własnych dłoni, zatoczyła się z powrotem na ścianę. Nozdrza płonęły jej, oczy łzawiły, a całe ciało modliło się o jeden haust powietrza, które przez dwadzieścia dziewięć lat uważała za coś raz na zawsze danego. Drepcząc wzdłuż ściany, trafiła ponownie na automat do coca-coli i obeszała go dookoła. A potem potknęła się o najniższy stopień i zorientowała się, że ma przed sobą schody. Wypuściła z ręki rakiętę. To była szczególna rakietka - wygrała nią turniej Mayfair Challenge - ale zostawiła ją na podłodze i wspięła się na czworakach na górę.

Kiedy znalazła się w obszernym hallu na parterze, dym przerzedził się. Zobaczyła przed sobą otwarte drzwi budynku. Stojący tuż za nimi ochroniarz dawał jej energiczne znaki ręką. - Szybciej, szybciej! - wrzeszczał.

Kaszląc i ślaniając się na nogach wybiegła na błogosławione świeże powietrze.

, Przez następne dwie albo trzy minuty stała zgięta wpół na schodach, łapiąc kurczowo oddech i wydychając dym z płuc. Po jakimś czasie usłyszała dobiegające z oddali syreny karetek. Rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie widziała Lisy.

Nie została chyba w środku? Wciąż roztrzęsiona, ruszyła przez tłum, przyglądając się twarzom. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, wszędzie słychać było nerwowe śmiechy. Ci, którym udało się zabrać torby, pożyczali garderobę tym, którzy mieli mniej szczęścia. Nagie dziewczyny przyjmowały z wdzięcznością prze pocone i brudne podkoszulki przyjaciółek. Kilka osób zdążyło się tylko owinąć ręcznikami.

Lisy nie było w tłumie. Coraz bardziej zaniepokojona Jeannie wróciła do ochroniarza przy drzwiach.

- Wydaje mi się, że na dole została moja przyjaciółka - powiedziała, słysząc drżenie w swoim głosie.

- Ja tam nie pójdę - odparł szybko.

- Dzielny chłopak - prychnęła. Nie bardzo wiedziała, czego od niego oczekuje, nie spodziewała się jednak, że okaże się zupełnie bezużyteczny.

Ochroniarz spojrział na nią z pretensją.

- To ich robota - stwierdził, pokazując nadjeżdżającą straż pożarną.

Jeannie zaczęła się obawiać o życie Lisy, nie miała jednak pojęcia, co robić. Patrzyła bezradnie, jak strażacy wyskakują ze swojego samochodu i zakładają aparaty tlenowe. Poruszali się jak muchy w smole i miała ochotę potrząsnąć nimi i krzyknąć, żeby się pospieszyli. Po chwili podjechał następny wóz strażacki i biały samochód z niebiesko-srebrnym paskiem baltimorskiej policji.

Strażacy wbiegli do środka, rozwijając wąż, a ich komendant podszedł do ochroniarza przy drzwiach.

- Gdzie zaczął się pożar? - zapytał.

- W damskiej szatni.

- Gdzie to jest dokładnie?

- W piwnicy, na tyłach budynku.

- Ile jest wyjść z podziemi?

- Tylko jedno. Schodami do hallu wejściowego - odparł ochroniarz.

- W kotłowni jest jeszcze drabina, która prowadzi do wjazdu z tyłu budynku - poprawił go stojący obok pracownik administracji.

Jeannie udało się zwrócić na siebie uwagę strażaka.

- Myślę, że tam na dole jest wciąż moja przyjaciółka.

- Jak wygląda?

- Niska blondynka, dwadzieścia cztery lata.

- Jeśli tam jest, na pewno ją znajdziemy.

Przez chwilę Jeannie poczuła się raźniej. A potem zdała sobie sprawę, że nie obiecał jej wcale, że znajdą ją żywą. Nigdzie nie widać było ochroniarza, który kręcił się w szatni.

- Na dole był jeszcze jeden ochroniarz - powiedziała, zwracając się do komendanta. - Nie ma go tutaj. Wysoki facet.

- W tym budynku nie ma więcej pracowników ochrony - stwierdził autorytatywnym tonem strażnik przy drzwiach.

- Miał na czapce napis SECURITY i mówił dziewczynom, żeby opuściły budynek.

- Nie obchodzi mnie, co miał na czapce - upierał się strażnik.

Na litość boską, niech pan się ze mną nie kłóci - zgromiła go Jeannie. - Może mi się przyśnił, ale jeśli nie, jego życie może być teraz w niebezpieczeństwie!

Obok nich stała dziewczyna w męskich spodniach khaki z podwiniętymi nogawkami.

- Widziałam tego faceta - wtrąciła. - Prawdziwy wieprz. Próbował mnie obmacywać.

- Proszę się nie - denerwować, znajdziemy wszystkich - powiedział strażak. -
Dziękuję państwu za pomoc.

Jeannie piorunowała przez moment wzrokiem ochroniarza. Czowała, że komendant straży uznał ją za histeryczkę, bo wrzeszczała na tego głąba. Odwróciła się od nich z niesmakiem. Co miała teraz robić? Do środka wbiegali strażacy w hełmach i wysokich butach. Bosa, ubrana tylko w dżinsy i podkoszulek, nie miała tam czego szukać. Gdyby próbowała się do nich przyłączyć, wyrzuciliby ją z budynku. Zacisnęła pięści ze zdenerwowania. Skup się, dziewczyno! Gdzie jeszcze może być Lisa?

Nie opodal sali gimnastycznej stał gmach imienia Ruth W. Acorn, nazwany tak na cześć żony fundatora, określany jednak przez wszystkich, łącznie z pracownikami mieszczącego się tam wydziału psychologii, mianem Wariatkowa. Czy Lisa mogła tam pójść? W niedzielę drzwi były zamknięte, ale pewnie miała klucz. Mogła wbiec do środka, żeby poszukać jakiegoś fartucha, którym mogłaby się okryć, albo usiąść po prostu przy swoim biurku i ochłonąć. Jeannie postanowiła to sprawdzić. Wszystko było lepsze od stania w miejscu.

Pobiegła przez trawnik do głównego wejścia i zajrzała przez oszklone drzwi do środka. W hallu nie było nikogo. Wyjęła z kieszeni plastikową kartę, która służyła jako klucz, i wsunęła ją w otwór czytnika. Drzwi się otworzyły.

- Lisa! Jesteś tam?! - zawołała, biegnąc po schodach. Laboratorium było puste, krzesło Lisy dosunięte porządnie do jej biurka, komputer wyłączony. Jeannie zajrzała do damskiej toalety na końcu korytarza. Nikogo. - Niech to diabli! - zaklęła nerwowo. - Gdzie ona się podziała?

Zdyszana wybiegła na zewnątrz. Postanowiła obejść cały budynek sali gimnastycznej. Może Lisa siedzi gdzieś na trawie i próbuje złapać oddech. Z tyłu budynku, za wielkimi kontenerami na śmieci znajdował się mały parking. Zobaczyła biegnącą ścieżką, oddalającą się postać. Była wyższa od Lisy i dałaby sobie rękę uciąć, że to mężczyzna. To mógł być ten zagadkowy ochroniarz, ale nim zdążyła mu się lepiej przyjrzeć, zniknął za rogiem Związku Studentów.

Ruszyła dalej wokół budynku. Po drugiej stronie znajdowała się opustoszała teraz bieżnia. W końcu, zatoczywszy pełne koło, wróciła do głównego wejścia.

Tłum powiększył się, przybyły także kolejne samochody straży pożarnej i policji, ale nie widziała nigdzie Lisy. Wszystko wskazywało na to, że została w płonącym budynku. Jeannie ogarnęły złe przeczucia, ale nie zamierzała dawać za wygraną.

Spostrzegła oficera straży, z którym rozmawiała wcześniej, i złapała go za ramię.

- Jestem prawie pewna, że Lisa Hoxton jest w środku - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Szukałam jej wszędzie i nie znalazłam.

Facet zmierzył ją uważnym spojrzeniem i uznał widać, że można jej ufać. Nie odpowiadając, przystawił do ust mikrotelefon.

- Szukajcie młodej białej kobiety, która jest podobno w budynku - powiedział. - Na imię ma Lisa, powtarzam, Lisa.

- Dziękuję - mruknęła Jeannie. Strażak ukłonił się lekko i odmaszerował.

Jeannie cieszyła się, że jej wysłuchał, ale trudno jej było usiedzieć w miejscu. Lisa mogła tam na próżno wołać o pomoc, zamknięta w toalecie albo osaczona przez płomienie. Mogła rozbić sobie głowę lub zatruć się czadem i leżała teraz gdzieś nieprzytomna, podczas gdy z każdą sekundą zbliżał się do niej ogień.

Przypomniała sobie pracownika administracji, który powiedział, że z piwnicy można się wydostać przez właz. Obchodząc budynek, w ogóle go nie zobaczyła. Postanowiła, że sprawdzi jeszcze raz, i pobiegła z powrotem na parking.

Tym razem dostrzegła go prawie natychmiast. Właz znajdował się tuż przy budynku i częściowo zasłaniał go szary chrysler new yorker. Stalowa kłapa była otwarta i oparta o ścianę. Jeannie uklękła przy kwadratowym otworze i pochyliła się, żeby zajrzeć do środka.

Przymocowana do ściany drabina prowadziła do brudnego pomieszczenia, oświetlonego przez jarzeniówki. Wewnątrz unosiły się wstęgi dymu, ale nie było go zbyt dużo; kotłownia musiała być oddzielona od reszty podziemi. Mimo to zapach dymu przypominał jej, jak krztusząc się i kaszląc szukała po omacku schodów. Poczula, że bije jej szybciej serce.

- Jest tam kto? - zawołała. Wydawało jej się, że słyszy jakiś dźwięk, ale nie była pewna. - Hej! - zawołała głośniejszym głosem. Żadnej odpowiedzi.

Zawahała się. Najrozsądniej byłoby wrócić do głównego wejścia i sprowadzić tutaj kogoś ze strażaków, ale to zajęłoby zbyt wiele czasu, zwłaszcza że zaczęłyby ją pewnie wypytywać. Mogła też zejść po drabinie i rozejrzeć się sama.

Myśl o wejściu z powrotem do budynku sprawiła, że zrobiło jej się słabo. Płuca wciąż bolały ją od spazmatycznego kaszlu. Ale tam na dole mogła być Lisa, ranna, nieprzytomna albo unieruchomiona przez jakąś belkę. Musiała to zrobić.

Postawiła stopę na szczeblu, ale prawie natychmiast ugięły się pod nią kolana i o mało nie wpadła do środka. Po chwili poczuła się lepiej i zeszła szczebel niżej, potem jednak wpadło jej do gardła trochę dymu i kaszląc głośno wdrapała się z powrotem na górę.

Kiedy kaszel ustał, spróbowała ponownie.

Postawiła stopę na pierwszym, potem na drugim szczeblu. Jeśli się zakrztuszę, powiedziała sobie, zaraz zwieję na górę. Trzeci szczebel był łatwiejszy, a potem poszło jej całkiem gładko i zeskoczyła na betonową podłogę.

Znajdowała się w dużym pomieszczeniu, w którym stały pompy i filtry, obsługujące prawdopodobnie basen. Odór dymu był silny, ale mogła normalnie oddychać.

Zobaczyła Lisę prawie od razu i serce zamarło jej w piersi.

Leżała na boku, zwinięta w kłębek. Była naga i na udzie miała plamę, która wyglądała jak krew. Nie poruszała się.

Przez krótką chwilę Jeannie sparaliżował strach.

- Lisa! - zawołała, próbując odzyskać zimną krew. Usłyszała w swoim głosie wysoki ton hysterii i wzięła głęboki oddech. Proszę Cię, Boże, nie pozwól jej umrzeć. Omijając płataninę rur, dotarła do przyjaciółki i uklękła na podłodze.

- Lisa?

Dziewczyna otworzyła oczy.

- Chwała Bogu - jęknęła Jeannie. - Myślałam, że nie żyjesz.

Lisa powoli usiadła. Nie patrzyła na Jeannie. Miała spuchnięte wargi.

- On mnie... zgwałcił - wyszeptwała.

Ulga, jakiej doznała Jeannie, odnajdując ją żywą, ustąpiła miejsca kompletnemu osłupieniu.

- Mój Boże. Tutaj?

Lisa pokiwała głową.

- Powiedział, że wyprowadzi mnie na zewnątrz.

Jeannie zamknęła oczy. Wyobraziła sobie ból i upokorzenie Lisy, to uczucie, że jest się znieważoną, zbezczeszczoną i zbrukaną. W oczach stanęły jej łzy i za wszelką cenę starała się je zatrzymać. Przez moment było jej zbyt słabo i niedobrze, by mogła coś powiedzieć.

W końcu wzięła się w garść.

- Kto to był? - zapytała.

- Ochroniarz.

Ten z poplamioną chustką na twarzy?

- Potem ją zdjął. - Lisa odwróciła się na bok. - Bez przerwy się uśmiechał.

Wszystko było jasne. Dziewczyna w spodniach koloru khaki mówiła, że obmacywał ją jakiś ochroniarz. Strażnik przy drzwiach twierdził, że w budynku nie było innych pracowników ochrony.

To nie był żaden ochroniarz - oznajmiła Jeannie. Kilka minut temu widziała, jak się oddalał. Kiedy uświadomiła sobie, że zrobił tę straszną rzecz tutaj, na terenie uczelni, w budynku sali gimnastycznej, gdzie sądziły, że mogą się bezpiecznie przebrać i wziąć prysznic, ogarnęła ją ślepa furia. Miała ochotę pobiec za nim i zadusić gołymi rękoma.

Usłyszała wzrastające hałasy: wołania mężczyzn, ciężkie kroki i szum wody. Strażacy zeszli do podziemi.

- Słuchaj, grozi nam tutaj niebezpieczeństwo - powiedziała. - Musimy się stąd wydostać.

- Nie mam się w co ubrać - odparła matowym głosem Lisa.

Możemy tutaj zginać!

- Nie martw się o ubranie, na zewnątrz wszyscy chodzą półnaczy. - Jeannie omiotła szybkim spojrzeniem kotłownię i zobaczyła leżącą za zbiornikiem czerwoną koronkową bieliznę Lisy. - Włóż majtki i stanik. Są brudne, ale lepsze to niż nic.

Lisa siedziała dalej na podłodze ze wzrokiem utkwionym w ścianie.

Jeannie starała się nie wpadać w panikę. Co zrobi, jeśli Lisa nie zechce się ruszyć? Zdoła ją prawdopodobnie podnieść, ale czy da radę wspiąć się z nią po drabinie?

- Szybko, wstawaj - powiedziała, podnosząc głos. Złapała, ją za ręce i podniosła z podłogi. Lisa spojrzała jej w końcu w oczy.

- Jeannie, to było straszne - szepnęła.

Przyjaciółka objęła ją ramieniem i mocno uściśnęła.

- Tak mi przykro, Lisa, naprawdę tak mi przykro - powiedziała.

Dymu wciąż przybywało mimo ciężkich drzwi. W jej sercu współczucie ustąpiło strachowi.

- Musimy się stąd wydostać. Pali się cały budynek. Ubieraj się, na litość boską.

Lisa ruszyła się w końcu z miejsca. Włożyła majtki i zapięła biustonosz. Jeannie wzięła ją za rękę, zaprowadziła do drabiny przy ścianie i puściła przodem. Kiedy zaczęła się za nią wspinać, drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich w obłoku dymu jeden ze strażaków. Jego buty opływała struga wody. Wydawał się zaskoczony ich widokiem.

- Wszystko w porządku, wychodzimy tym włazem - zawołała do niego Jeannie. A potem ruszyła w ślad za Lisa.

Chwilę później obie były na zewnątrz, na świeżym powietrzu.

Jeannie poczuła olbrzymią ulgę: uratowała Lisę z pożaru. Ale teraz Lisa potrzebowała pomocy. Objęła ją ramieniem i zaprowadziła do głównego wejścia. Wzdłuż całej alejki zaparkowane były samochody straży i policji. Większość kobiet znalazła już coś, żeby się okryć, i Lisa rzuciła się w oczy w samej czerwonej bieliźnie.

- Czy ktoś ma do pożyczenia jakieś spodnie albo cokolwiek? - pytała Jeannie, kiedy przeciskały się przez tłum. Ludzie pooddawali już wszystkie zapasowe ciuchy. Pożyczyłaby jej chętnie swój własny T-shirt, ale nie miała pod spodem biustonosza.

W końcu jakiś wysoki czarny chłopak zdjął koszulę z zapinanym kołnierzykiem i wręczył ją Lisie.

- Chcę ją mieć z powrotem, to autentyczny Ralph Lauren - powiedział. - Nazywam się Mitchell Waterfield, wydział matematyki.

- Na pewno nie zapomnę - odparła z wdzięcznością Jeannie.

Lisa włożyła koszulę. Sięgała jej prawie do kolan.

Jeannie czuła, że zaczyna powoli kontrolować sytuację. Ruszyła wraz z Lisa w stronę zaparkowanych pojazdów. Przy jednym z policyjnych samochodów stało bezczynnie, opierając się tyłkami o karoserię, trzech gliniarzy.

- Ta kobieta nazywa się Lisa Hoxton - powiedziała, zwracając się do najstarszego z nich, grubego białego mężczyzny z siwymi wąsami. - Została zgwałcona.

Oczekiwała, że wiadomość o popełnieniu poważnego przestępstwa wywrze na nich jakieś wrażenie, ale reakcja policjantów była zaskakująco bierna. Przez kilka sekund trawili bez słowa informację i Jeannie miała już ochotę na nich wrzasnąć, kiedy wąsacz wyprostował się i zapytał:

- Gdzie to się stało?

- W podziemiach płonącego budynku, w kotłowni.

- Ci strażacy zniszczą zaraz wszystkie dowody rzeczowe, sierżancie - zauważył młody czarny policjant.

- Masz rację - odparł starszy. - Lepiej tam idź, Lenny, i zabezpiecz miejsce przestępstwa. - Lennie ruszył szybkim krokiem do budynku. - Zna pani mężczyznę, który to zrobił, pani Hoxton? - zapytał sierżant.

Lisa potrząsnęła głową.

- To wysoki biały facet w czerwonej czapce z napisem SECURITY - powiedziała Jeannie. - Widziałam go w damskiej szatni zaraz po tym, jak wybuchł pożar, a potem chyba jeszcze raz, zanim znalazłam Lisę.

Gliniarz podszedł do samochodu, wyciągnął mikrofon i przez chwilę do niego przemawiał.

- Jeśli będzie na tyle głupi, żeby zachować tę czapkę, możemy go złapać - stwierdził.

- Zawieź ofiarę do szpitala, McHenty - zwrócił się do trzeciego gliniarza.

McHenty był młodym białym mężczyzną w okularach.

- Chce pani siedzieć z tyłu czy z przodu?

Lisa nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie przestraszonej.

- Siądź z przodu, nie chcesz chyba wyglądać na podejrzaną - poradziła jej Jeannie.

Na twarzy Lisy odmalowało się przerażenie.

- Nie jedziesz ze mną? - zapytała, odzywając się po raz pierwszy od wyjścia z piwnicy.

- Jeśli chcesz, pojedę - odparła Jeannie, starając się jej dodać otuchy. - Ale może lepiej będzie, jak skoczę do domu, wezmę dla ciebie trochę ciuchów i spotkamy się w szpitalu.

Lisa spojrzała z niepokojem na McHenty'ego.

- Nic złego ci się nie stanie - powiedziała Jeannie.

McHenty otworzył drzwiczki i Lisa wsiadła do samochodu.

- Do jakiego jedziecie szpitala? - zapytała Jeannie.

- Santa Teresa - odparł, siadając za kierownicą.

- Będę tam za parę minut! - zawołała, kiedy samochód ruszył z miejsca.

Przebiegła truchtem przez parking, już teraz żałując, że nie pojechała razem z nimi. Siedząc na przednim fotelu, Lisa sprawiała wrażenie przestraszonej i zdruzgotanej. Z pewnością potrzebowała czystego ubrania, ale może jeszcze bardziej potrzebna jej była druga kobieta, która siedziałaby obok niej, trzymała za rękę i dodawała otuchy. Jazda sama na sam z uzbrojonym macho była prawdopodobnie ostatnią rzeczą, jakiej sobie w tym momencie życzyła. Wskakując do swojego mercedesa, Jeannie czuła, że dała plamę.

- Jezu, co za dzień - jęknęła, wyjeżdżając z piskiem opon z parkingu.

Mieszkała niedaleko uczelni, na pierwszym piętrze małego szeregowego domu. Zaparkowała na chodniku i wbiegła na górę.

Umyła szybko twarz i ręce, a potem rzuciła na łóżko stos czystych ubrań. Przez chwilę zastanawiała się, które z nich będą pasować na niską, krągłą przyjaciółkę. Wyciągnęła o numer na nią za dużą koszulkę polo i spodnie od dresu. Dobranie bielizny było nieco trudniejsze. Znalazła parę obszernych męskich szortów, ale żaden z biustonoszy

nie wydawał się odpowiedni. Lisa będzie musiała się obejść bez stanika. Dorzuciła szmaciane buty, wpakowała wszystko do torby i wybiegła.

W drodze do szpitala, czuła, jak ogarnia ją gniew. Od wybuchu pożaru przez cały czas koncentrowała się na tym, co trzeba było zrobić; teraz dopiero uświadomiła sobie w pełni, co się stało. Lisa była szczęśliwą, wesołą dziewczyną, ale doznany wstrząs zmienił ją w zombie, w kogoś, kto bał się wsiąść do policyjnego samochodu.

Jadąc handlową ulicą, wypatrywała faceta w czerwonej czapce. Wyobrażała sobie, że jeśli go zobaczy, skreśli samochodem na chodnik i rozjedzie na miazgę. Tak naprawdę jednak chyba by go nie rozpoznała. Musiał już dawno zdjąć chustkę, a prawdopodobnie także i czapkę. W co jeszcze był ubrany? Uświadomiła sobie z osłupieniem, że nie bardzo pamięta. Miał na sobie jakiś podkoszulek, niebieskie dżinsy, a może szorty. Tak czy owak zdążył się już pewnie przebrać, podobnie jak ona.

Właściwie mógł to być każdy wysoki biały mężczyzna, którego widziała na ulicy: dostarczający pizzę chłopak w czerwonej kurtce; łysawy facet idący ze swoją żoną do kościoła, z książeczką do nabożeństwa pod pachą; przystojny brodac z futerałem od gitary; nawet gliniarz strofujący wólcę przed sklepem monopolowym. Nie mogąc wyładować dławiącej ją wściekłości, Jeannie zacisnęła palce na kierownicy, aż pobieleły jej kłykcie.

Szpital Santa Teresa położony był niedaleko północnej granicy miasta. Jeannie zostawiła samochód na parkingu i znalazła izbę przyjęć. Ubrana w szpitalną koszulę Lisa leżała już na łóżku i gapiała się przed siebie. Telewizor z wyłączoną fonią pokazywał ceremonię wręczania nagród Emmy: setki ubranych w wieczorowe stroje hollywoodzkich znakomitości popijało szampana i składało sobie nawzajem gratulacje. McHenty siedział przy łóżku z notesem na kolanie.

Jeannie postawiła torbę na podłodze.

- Masz tu ubranie. Co się dzieje?

Lisa milczała, pogrążona w apatii. Jest w szoku, pomyślała Jeannie. Tłumi wzbierające w niej uczucia, starając się nie stracić nad sobą panowania. Ale w którymś momencie musi wyładować nagromadzony gniew. Eksplozja nastąpi prędzej czy później.

- Muszę ustalić podstawowe fakty - powiedział McHenty. - Czy mogłaby pani zostawić nas na kilka minut samych?

- Ależ oczywiście - odparła przeproszającym tonem Jeannie, ale potem spostrzegła wzrok Lisy i zawahała się. Kilka minut wcześniej przeklinała się za to, że zostawiła ją sam

na sam z mężczyzną. Teraz chciała zrobić dokładnie to samo. - Chociaż z drugiej strony - dodała - być może Lisa woli, żebym została.

Lisa potwierdziła jej domniemanie, kiwając ledwo dostrzegalnie głową. Jeannie siadła przy łóżku i wzięła ją za rękę.

McHenty sprawiał wrażenie poirytowanego, ale nie protestował.

- Pytałem właśnie pannę Hoxton, w jaki sposób bronila się przed napastnikiem - wyjaśnił. - Czy krzyczałaś, Liso?

- Raz, kiedy rzucił mnie na podłogę - odparła cichym głosem. - Potem wyciągnął nóż.

McHenty przemawiał rzeczowym tonem, wpatrując się w swój notes.

- Czy próbowałaś z nim walczyć?

Lisa pokręciła głową.

- Bałam się, że mnie potnie.

- Więc tak naprawdę po tym pierwszym krzyku nie stawiałaś żadnego oporu?

Lisa potrząsnęła głową i zaczęła płakać. Jeannie ścisnęła jej rękę. Miała ochotę zapytać McHenty'ego: "A co, u diabła, miała robić?", ale ugryzła się w język. Zdążyła już dzisiaj potraktować obcesowo chłopaka, który wyglądał jak Brad Pitt, pozwoliła sobie na obraźliwą uwagę o cyckach Lisy i objechała strażnika przy drzwiach. Wiedziała, że nie potrafi rozmawiać z przedstawicielami władzy i na pewno nie chciała nastawić do siebie wrogo tego policjanta, który wykonywał tylko swoją pracę.

- Czy tuż przed penetracją sprawca rozsunął ci nogi? - zapytał McHenty.

Jeannie skrzywiła się. Czyżby nie mieli na komendzie policjantek, które mogłyby zadawać tego rodzaju pytania?

- Dotknął mojego uda czubkiem noża - powiedziała Lisa.

- Czy cię skaleczył?

- Nie.

- Więc rozłożyłaś nogi własnowolnie?

- Jeśli podejrzany celuje z pistoletu do gliniarza, na ogół kładziecie go trupem, prawda? - wtrąciła się Jeannie. - Nazywa pan to własnowolnym użyciem broni?

McHenty posłał jej gniewne spojrzenie.

- Proszę zostawić to mnie. Czy odniosłaś w ogóle jakieś obrażenia? - zapytał, zwracając się ponownie do Lisy.

- Tak, krwawię.

- W wyniku wymuszonego stosunku?

- Tak.

- Gdzie dokładnie odniosłaś obrażenia?

Jeannie nie mogła tego dłużej wytrzymać.

- Może powinien to raczej ustalić lekarz?

McHenty spojrział na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Muszę to umieścić we wstępnym raporcie.

- W takim razie niech pan napisze, że w wyniku gwałtu odniosła wewnętrzne obrażenia.

- To ja prowadzę to przesłuchanie.

- A ja mówię, żeby nie przeciągał pan struny - oznajmiła Jeannie, przygryzając wargę, żeby nie krzyknąć. - Moja przyjaciółka jest w stresie i nie sądzę, żeby musiała opisywać panu swoje wewnętrzne obrażenia, kiedy i tak zaraz zbada ją lekarz.

McHenty był wściekły, ale nie dawał za wygraną.

- Zauważyłem, że nosisz czerwoną koronkową bieliznę, Liso. Nie sądzisz, że to mogło mieć jakiś wpływ na to, co ci się przydarzyło?

Lisa odwróciła wzrok. Jej oczy lśniły od łez.

- Gdybym zawiadomiła, że skradziono mojego czerwonego mercedesa - wtrąciła Jeannie - czy uważałby pan, że sprowokowałam złodzieja, jeżdżąc tak atrakcyjnym samochodem?

McHenty zignorował ją.

- Nie wydaje ci się, że mogłaś spotkać sprawcę już wcześniej, Liso?

- Nie.

- Ale w kłębach dymu nie widziałaś go chyba zbyt wyraźnie. A on miał zawiązaną na twarzy jakąś szarfę.

- Z początku prawie nic nie widziałam. Ale tam, gdzie... to zrobił, nie było tak dużo dymu. Widziałam go. - Lisa pokiwała głową. - Widziałam go - powtórzyła.

- Więc rozpoznasz sprawcę, jeśli go ponownie zobaczysz? Lisa zadrżała.

- Tak.

- Ale nigdy przedtem go nie widziałaś? W barze albo gdziekolwiek?

- Nie.

- Czy często chodzisz do barów, Liso?

- Jasne.

- Barów dla samotnych? Tego rodzaju lokali?

Jeannie nie mogła tego dłużej słuchać.

- Cóż to w ogóle za pytania?

Takie, jakie zadaje obrońca - odparł McHenty.

- Lisa nie jest na rozprawie! Nie jest sprawcą, ale ofiarą!

- Czy byłaś dziewczicą, Liso?

Jeannie wstała z krzesła.

- Dostyc tego dobrego. Nie wierzę, żeby tak to powinno wyglądać. Nie wolno panu zadawać takich napastliwych pytań.

- Próbuję ustalić, czy jest wiarygodna - oświadczył, podnosząc głos McHenty.

- Godzinę po tym, jak została zgwałcona? Niech pan to sobie wybije z głowy!

- Robię to, co do mnie należy.

- Nie wierzę, żeby robił pan to, co do pana należy. Nie sądzę, żeby pan w ogóle wiedział, na czym polega pańska praca, McHenty.

Zanim policjant zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł bez pukania lekarz. Był młody i sprawiał wrażenie zagonionego i zmęczonego.

- Czy to ten gwałt? - zapytał.

To jest pani Lisa Hoxton - oznajmiła lodowatym tonem Jeannie. - Owszem, została zgwałcona.

- Muszę zrobić wymaz z pochwy.

Był bezduszny, ale stwarzał przynajmniej pretekst, żeby pozbyć się McHenty'ego. Jeannie spojrzała na gliniarza. Nie ruszał się z miejsca, jakby miał zamiar obserwować pobranie wymazu.

- Zanim pan to zrobi, doktorze - powiedziała - być może posterunkowy McHenty zechce nas na chwilę opuścić.

Lekarz spojrzał na McHenty'ego. Gliniarz wzruszył ramionami i wyszedł.

Doktor ściągnął gwałtownym ruchem okrywające Lisę prześcieradło.

- Podciągnij koszulę i rozsuń szeroko nogi - polecił.

Lisa zaczęła płakać.

Jeannie nie mogła w to uwierzyć. Co się działo z tymi facetami?

- Przepraszam pana - odezwała się głośno.

Lekarz posłał jej niecierpliwe spojrzenie.

- Ma pani jakiś problem?

- Czy mógłby pan łaskawie zwracać się do niej trochę grzeczniej?

Na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

- Mamy w tym szpitalu wiele osób, które doznały poważnych urazów i cierpią na zagrażające życiu choroby - oświadczył. - W tej chwili na izbie przyjęć leży troje dzieci, które wydobyto z rozbitego samochodu i które zapewne umrą. A pani skarży się, że nie jestem grzeczny dla dziewczyny, która poszła do łóżka z nieodpowiednim facetem?

Jeannie miała wrażenie, że ktoś zdzielił ją pałką w głowę.

- Poszła do łóżka z nieodpowiednim facetem? - powtórzyła.

Lisa usiadła na łóżku.

- Chcę iść do domu - powiedziała.

- Z tego co widzę, to chyba najlepszy pomysł - stwierdziła Jeannie. Rozsunęła zamek błyskawiczny torby i zaczęła wykladać garderobę na łóżko.

Doktora na chwilę zamurowało.

- Róbcie, jak chcecie - mruknął w końcu gniewnie i wyszedł.

Jeannie i Lisa spojrzały na siebie.

- Nie potrafię w to wszystko uwierzyć - powiedziała Jeannie.

- Dzięki Bogu, że już sobie poszli - szepnęła Lisa i wstała z łóżka.

Jeannie pomogła jej zdjąć szpitalną koszulę. Lisa włożyła szybko świeże ubranie i wsunęła na stopy szmaciane buty.

- Odwiozę cię do domu - oznajmiła Jeannie.

- Czy przenocujesz w moim mieszkaniu? - zapytała Lisa. - Nie chcę być dziś w nocy sama.

- Oczywiście. Z przyjemnością.

Za drzwiami czekał na nie McHenty. Nie był już taki pewny siebie. Być może zdał sobie sprawę, że w niewłaściwy sposób prowadził wywiad.

- Zostało mi jeszcze kilka pytań - oświadczył.

- Wyjeżdżamy - odparła spokojnym głosem Jeannie. - Lisa jest zbyt zdenerwowana, żeby mogła na nie teraz odpowiadać.

Gliniarz sprawiał wrażenie przestraszonego.

- Musi odpowiedzieć. Złożyła skargę.

- Nie zostałam zgwałcona - odezwała się Lisa. - To była pomyłka. Chcę wrócić do domu.

- Zdaje pani sobie sprawę, że może panią czekać kara za składanie fałszywych zeznań?

- Ta kobieta nie jest kryminalistką - stwierdziła gniewnie Jeannie. - Jest ofiarą przestępstwa. Jeśli pański szef zapyta, dlaczego wycofała skargę, niech pan powie, że

zrobiła to, ponieważ była w brutalny sposób przesłuchiwana przez posterunkowego McHenty'ego z baltimorskiej policji. A teraz pan wybaczy, ale zabieram ją do domu. - Objęła ramieniem Lisę i ruszyła z nią w kierunku wyjścia.

- Co ja takiego zrobiłem? - mruknął, kiedy go mijały.

Berrington Jones przyjrzał się dwóm swoim starym przyjaciołom.

- Nie potrafię w to uwierzyć - stwierdził. - Zbliżamy się wszyscy trzej do sześćdziesiątki. Żaden z nas nie zarabiał nigdy więcej niż kilkaset tysięcy dolarów rocznie. Teraz zaoferowano każdemu z nas po sześćdziesiąt milionów... a my siedzimy tutaj i mówimy o odrzuceniu tej oferty!

- Nigdy nie zależało nam na pieniądzach - oznajmił Preston Berek.

- W dalszym ciągu tego nie rozumiem - dodał senator Proust. - Skoro należy do mnie jedna trzecia przedsiębiorstwa, które jest warte sto osiemdziesiąt milionów dolarów, jak to się stało, że wciąż jeżdżę trzyletnim crownem victoria?

Trzej mężczyźni byli właścicielami małej biotechnologicznej firmy, Genetico Incorporated. Preston zajmował się prowadzeniem interesu, Jim polityką, a Berrington zrobił karierę naukową. Przygotowywana transakcja była jednak dziełem tego ostatniego. W samolocie do San Francisco spotkał dyrektora generalnego niemieckiego konglomeratu farmaceutycznego Landsmann i zainteresował go złożeniem oferty. Teraz musiał przekonać swoich partnerów, aby ją zaakceptowali. Okazało się to trudniejsze, niż sądził.

Siedzieli w gabinecie domu w Roland Park, zamożnym przedmieściu Baltimore. Dom należał do Uniwersytetu Jonesa Fallsa i wynajmowano go zaproszonym profesorom. Berrington, który wykładał również w Berkeley w Kalifornii i na Harvardzie, mieszkał w nim przez sześć tygodni w roku, kiedy przebywał w Baltimore. W pokoju było mało należących do niego rzeczy: laptop, fotografia byłej żony i ich syna, a także stos egzemplarzy jego najnowszej książki *Dziedzictwo przyszłości: Jak inżynieria genetyczna zmieni oblicze Ameryki*. Telewizor z wyłączoną fonią pokazywał ceremonię wręczenia nagród Emmy.

- Kliniki zawsze przynosiły pieniądze - stwierdził Preston Berek, szczupły poważny mężczyzna, jeden z najwybitniejszych naukowców swojego pokolenia, z wyglądu przypominający księgowego. Do Genetico należały trzy kliniki specjalizujące się w sztucznym zapłodnieniu, zabiegu, który zaczęto przeprowadzać dzięki pionierskim badaniom Prestona w latach siedemdziesiątych. - Zapłodnienie *in vitro* jest najszybciej rozwijającą się dziedziną amerykańskiej medycyny. Genetico pozwoli Landsmannowi wejść na nowy rynek. Chcą, żebyśmy przez następne dziesięć lat otwierali po pięć klinik rocznie.

- Jak to się stało, że nigdy nie zobaczyliśmy żadnych pieniędzy? - zapytał Jim Proust, łysiejący opalony mężczyzna z dużym nosem, na którym tkwiły okulary w grubych oprawkach. Jego brzydkie wyraziste rysy stanowiły prawdziwą uciechę dla karykaturzystów. Przyjaźnił się z Berringtonem od dwudziestu pięciu lat.

- Zawsze wydawaliśmy je na badania - odparł Preston. Genetico miało swoje własne laboratoria, a poza tym finansowało projekty badawcze na wydziałach biologii i psychologii różnych uniwersytetów. Kontaktami ze światem akademickim zajmował się Berrington.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zdajecie sobie sprawy, że to nasza wielka szansa - oświadczył poirytowanym tonem.

- Włącz dźwięk, Berry - powiedział Jim, wskazując telewizor. - Jesteś na wizji.

Ceremonia wręczenia nagród Emmy skończyła się i zaczął się program Larry'ego Kinga. Berrington był jego gościem. Nienawidził Kinga - facet był jego zdaniem zatwardziałym liberałem - ale występ w programie dawał mu szansę dotarcia do milionów Amerykanów.

Przyjrzał się sobie na ekranie i spodobało mu się to, co zobaczył. W rzeczywistości był niewysoki, ale telewizja sprawiała, że wszyscy wydawali się tego samego wzrostu. Granatowa marynarka wyglądała całkiem nieźle, błękitna koszula pasowała do jego oczu, a krawat w kolorze burgunda nie świecił na ekranie. Jeśli można było mieć do czegoś zastrzeżenia, to do jego srebrzystych włosów - wydawały się zbyt puszyste, niemal nastroszone; ktoś mógłby go wziąć za telewizyjnego kaznodzieję.

King, ubrany w swoje tradycyjne szelki, był w agresywnym nastroju i starał się go sprowokować.

- Swoją ostatnią książką wywołał pan kolejną burzę, profesorze, ale niektórzy uważają, że to, o czym pan pisze, to nie nauka, lecz polityka.

Słuchając swojej odpowiedzi, Berrington z zadowoleniem stwierdził, że jego głos brzmi łagodnie i rozsądnie.

- Próbuję tylko powiedzieć, że decyzje polityczne powinny opierać się na podstawach naukowych, Larry. Natura, pozostawiona samej sobie, faworyzuje dobre i zabija złe geny. Nasz system pomocy społecznej przeciwdziała naturalnej selekcji. W ten sposób wychowujemy pokolenie wybrakowanych Amerykanów.

Jim pociągnął łyk whisky.

- Dobre określenie - powiedział. - Pokolenie wybrakowanych Amerykanów. Nadaje się na cytat.

- Gdyby zwyciężyła pańska koncepcja - mówił na ekranie Larry King - co stałoby się z dziećmi biedoty? Głodowałyby, prawda?

Twarz Berringtona przybrała poważny wyraz.

- Mój ojciec zginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, kiedy lotniskowiec Wasp został zatopiony przez japońską łódź podwodną koło Guadalcanal. Miałem wtedy pięć lat. Moja matka stawiała na głowie, żeby mnie wychować i posłać do szkoły. Ja jestem dzieckiem biedoty, Larry.

Nie mijał się zbytnio z prawdą. Jego ojciec, genialny inżynier, zostawił matce niewielki dochód, wystarczający, żeby nie musiała pracować ani wychodzić powtórnie za mąż. Posłała Berringtona do drogich prywatnych szkół, a potem do Harvardu - ale rzeczywiście nie było jej łatwo.

- Nieźle się prezentujesz, Berry - stwierdził Preston - z wyjątkiem może tej fryzury w stylu country. - Najmłodszy z całej trójki, liczący pięćdziesiąt pięć lat Berek miał krótkie czarne włosy, które przylegały ściśle do czaszki.

Berrington chrząknął gniewnie. Odniósł to samo wrażenie, ale irytowało go, że wypowiedział je ktoś inny. Nalał sobie trochę więcej whisky. Pili nieblendowaną springbank.

- Stawiając rzecz na płaszczyźnie filozoficznej - mówił na ekranie Larry King - czym pańskie poglądy różnią się od tych, które prezentowali na przykład naziści?

Berrington wziął do ręki pilota i wyłączył telewizor.

- Zajmuję się tą problematyką od dziesięciu lat - stwierdził. - Trzy książki, setki występów w podobnych do tego dziadowskich talk-showach i czy coś się zmieniło? Kompletnie nic.

- Zmieniło się - powiedział Preston. - Dzięki tobie genetyka i problemy rasy znalazły się w centrum zainteresowania. Jesteś po prostu niecierpliwy.

- Niecierpliwy? - powtórzył poirytowany Berrington. - Żebyś wiedział, że jestem niecierpliwy. Za dwa tygodnie kończę sześćdziesiąt lat. Wszyscy się starzejemy. Nie zostało nam wiele czasu!

- On ma rację, Preston - stwierdził Jim Proust. - Nie pamiętasz, co się działo, kiedy byliśmy młodzi? Widzieliśmy, jak Ameryka schodzi na psy: Murzyni otrzymali równe prawa, kraj zalewali Meksykanie, najlepsze szkoły przyjmowały dzieci żydowskich komunistów, nasi synowie palili trawkę i uciekali przed poborem. I mieliśmy rację, chłopie! Popatrz, co zdarzyło się później! W naszych najgorszych koszmarach nie wyobrażaliśmy sobie, że nielegalny handel narkotykami stanie się jedną z najbardziej

dochodowych dziedzin gospodarki i co trzecie dziecko będzie wychowywane przez matkę korzystającą z Medicaid. Jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mają odwagę stawić czoło tym problemom: my i kilka podobnie do nas myślących osób. Pozostali zamykają oczy i czekają na lepsze czasy.

W ogóle się nie zmienili, pomyślał Berrington. Preston był zawsze ostrożny i bojaźliwy, Jim bombastycznie pewny siebie. Znał ich obu od tak dawna, że spoglądał sympatycznym okiem nawet na ich wady. I przyzwyczyił się do roli moderatora, który prowadził ich środkowym kursem.

- Na jakim jesteśmy etapie z Niemcami, Preston? - zapytał. - Podaj nam szczegóły.

- Jesteśmy bardzo blisko sfinalizowania transakcji - stwierdził Preston. - Za tydzień, licząc od jutra, chcę ogłosić przejęcie firmy na specjalnej konferencji prasowej.

- Za tydzień? - powtórzył podekscytowany Berrington. - To wspaniale!

Preston potrząsnął głową.

- Muszę wam powiedzieć, że wciąż mam wątpliwości.

Berrington parsknął głośno.

- Przechodzimy teraz przez proces zwany otwarciem. Musimy pokazać nasze raporty finansowe księgowym Landsmanna i ujawnić wszystkie fakty mogące mieć wpływ na zmniejszenie się przyszłych zysków, takie na przykład jak dłużnicy, którzy mogą zbankrutować, albo toczące się przeciwko nam sprawy z powództwa cywilnego.

- Rozumiem, że nic takiego nam nie grozi - powiedział Jim.

Preston posłał mu znaczące spojrzenie.

- Wszyscy wiemy, że firma ma pewne sekrety.

W gabinecie zapadła cisza.

- Do diabła, przecież to było dawno temu - stwierdził w końcu Jim.

- I co z tego? Dowody na to, co zrobiliśmy, wciąż można zobaczyć gołym okiem.

- Ale nie ma sposobu, żeby w Landsmannie je poznali. Zwłaszcza w ciągu tygodnia.

Preston wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: "Kto wie?"

- Musimy podjąć ryzyko - oświadczył zdecydowanym tonem Berrington. - Zastrzyk kapitału, który otrzymamy z konglomeratu Landsmann, pozwoli na przyspieszenie naszego programu badań. Za parę lat będziemy mogli zaoferować zamożnym białym Amerykanom, którzy przyjdą do jednej z naszych klinik, idealne pod względem genetycznym dziecko.

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał Preston. - Biedni będą nadal rozmnażali się szybciej niż bogaci.

- Zapominasz o programie politycznym Jima - zwrócił mu uwagę Berrington.

- Równa dla wszystkich dziesięcioprocentowa stopa podatkowa i przymusowe zastrzyki antykoncepcyjne dla kobiet korzystających z opieki społecznej - powiedział Jim Proust.

- Pomyśl o tym, Preston - dodał Berrington. - Idealne dzieci dla klasy średniej i sterylizacja dla biedoty. Moglibyśmy zacząć przywracać Ameryce właściwą równowagę rasową. O to nam w końcu zawsze chodziło. Od samego początku.

- Byliśmy wtedy wielkimi idealistami - mruknął Preston.

- Mieliśmy rację! - podkreślił Berrington.

- Tak, mieliśmy rację. Ale starzejąc się, coraz częściej myślę, że świat będzie się toczył dalej, jeśli nawet nie osiągnę wszystkiego, co planowałem, mając dwadzieścia pięć lat.

Tego rodzaju rozumowanie mogło zagrozić wielkim zamierzeniom.

- Ale my możemy osiągnąć to, co planowaliśmy - powiedział Berrington. - Wszystko, nad czym tak ciężko pracowaliśmy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, jest teraz w zasięgu ręki. Ryzyko, które podjęliśmy we wczesnym okresie, wszystkie te lata badań, pieniądze, które wydaliśmy, wszystko to przyniesie w końcu spodziewane owoce. Nie trać nerwów w takiej chwili, Preston.

- Nie tracę nerwów, ale zwracam uwagę na stojące przed nami problemy - mruknął zrzędlawie Preston. - Jim może zaprezentować swój program polityczny, ale to wcale nie znaczy, że uda się go zrealizować.

- Do tego właśnie jest nam potrzebny Landsmann - stwierdził Jim. - Gotówka, którą dostaniemy za nasze udziały w firmie, pozwoli nam sięgnąć po największy laur.

- Co masz na myśli? - zapytał ze zdziwioną miną Preston. Berrington, który wiedział, o co chodzi, uśmiechnął się.

- Biały Dom - odparł Jim. - Mam zamiar wystartować w wyborach prezydenckich.

4.

Kilka minut przed północą Steve Logan zaparkował starego zardzewiałego datsuna w okolicy Hollins Market, na zachód od śródmieścia Baltimore. Miał przemocować u swojego kuzyna Ricky'ego Menziesa, który studiował na Uniwersytecie Maryland i wynajmował pokój w wielkiej starej kamienicy, zamieszkaney w większości przez studentów.

Ricky był najbardziej zabawowym facetem, jakiego znał Steve. Lubił pić, balować i chodzić na tańce, i miał podobnych do siebie przyjaciół. Steve od dawna cieszył się na to spotkanie, ale kłopot z tym, że na zabawowiczach nie można polegać. W ostatniej chwili Ricky umówił się na randkę z dziewczyną i Steve spędził samotnie całe popołudnie.

Wysiadł z samochodu, trzymając w ręku małą sportową torbę z ubraniami na zmianę. Noc była ciepła. Zamknął samochód i podszedł do rogu. Grupa nastolatków, pięciu chłopaków i jedna dziewczyna, wszyscy czarni, stali przy sklepie wideo, paląc papierosy. Steve nie bał się ich, mimo że był biały: ze swoim starym samochodem i w spłowiałych dżinsach wyglądał jak swojak, a poza tym był o kilka cali wyższy od największego z nich.

- Chcesz kupić trochę trawki albo hery? - zapytał jeden z nich cicho, lecz wyraźnie, gdy ich mijał. Nie zwalniając kroku potrząsnął głową.

Z naprzeciwka zbliżała się bardzo wysoka czarna dziewczyna w krótkiej spódniczce i wysokich szpilkach. Miała zabójczą fryzurę, czerwoną szminkę na ustach i umalowane na niebiesko oczy. Nie potrafił od niej oderwać wzroku.

- Cześć, przystojniaku - odezwała się głębokim męskim barytonem, podchodząc bliżej i Steve zdał sobie sprawę, że to mężczyzna. Uśmiechnął się i ruszył dalej.

Usłyszał, jak dzieciaki na rogu pozdrawiają poufale transwestytę.

- Czołem, Dorothy!

- Się macie, chłopaki.

Chwilę później usłyszał pisk opon i obejrzał się przez ramię. Na rogu zatrzymał się biały policyjny samochód ze srebrno-błękitnym paskiem. Dwóch albo trzech nastolatków zniknęło w ciemnych zaułkach; reszta została. Z samochodu wysiedli, nie spiesząc się, dwaj policjanci. Widząc mężczyznę o imieniu Dorothy, jeden z nich splunął, trafiając prosto w czerwony but na wysokim obcasie.

Steve był wstrząśnięty. Gest policjanta był niczym nie uzasadniony i niepotrzebny. Transwestyta prawie nie zwolnił kroku.

- Pierdol się, dupku - mruknął pod nosem.

Powiedział to bardzo cicho, ale policjant miał dobry słuch.

Złapał Dorothy za ramię i pchnął go na szybę sklepu. Transwestyta zachwiał się na wysokich obcasach.

- Nie waż się do mnie tak nigdy mówić, gnoju - warknął gliniarz.

Steve był oburzony. Czego innego się spodziewał ten kretyn, plując facetowi na but?

Gdzieś w zakamarkach jego umysłu zabrzmiał dzwonek alarmowy. Nie wdawaj się w awanturę, Steve.

Drugi gliniarz stał, opierając się o samochód, z nieprzeniknioną twarzą.

- O co ci chodzi, bracie? - zapytał kokietyjnym głosem transwestyta. - Przeszkadzam ci?

Gliniarz uderzył go w żołądek. Był zwałistym facetem i włożył w to uderzenie całą siłę. Dorothy zgiął się wpół, łapiąc kurczowo powietrze.

- Niech to diabli wezmą - mruknął Steve i zawrócił w stronę skrzyżowania.

“Co ty, do cholery, wyprawiasz, Steve?”

Dorothy wciąż stał pochylony przy szybie, z trudem oddychając.

- Dobry wieczór, panie władzo - odezwał się Steve.

Gliniarz zmierzył go wzrokiem.

- Spadaj, skurwielu - warknął.

- Nie - odparł Steve.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem “nie”. Proszę zostawić tego człowieka w spokoju.

“Odejdź stąd, Steve, odejdź stąd, ty cholerny głupku”.

Jego postawa dodała odwagi nastolatkom.

- To prawda - stwierdził wysoki chudy chłopak z ogoloną głową. - Nie macie prawa znęcać się nad Dorothy. Nie naruszył żadnego paragrafu.

Gliniarz pogroził palcem chłopakowi.

- Powiedz jeszcze słowo, a zaraz sprawdzę, czy nie masz przy sobie towaru.

Chłopak spuścił oczy.

- Ten mały ma rację - ciągnął Steve. - Dorothy nie złamał prawa.

Gliniarz podszedł do niego bliżej. “Nie próbuj go uderzyć. Nie dotykaj go bez względu na to, co zrobi. Pamiętaj o Tipie Hendricksie”.

- Ślepy jesteś? - zapytał gliniarz.

- O co panu chodzi?

- Hej, Lenny, daj sobie siana - wtrącił się drugi policjant. - Jedźmy stąd.

Najwyraźniej czuł się nieswojo.

- Nie widzisz? - kontynuował Lenny, nie zwracając na niego uwagi. - Jesteś tutaj jedynym białym facetem. Nie należysz do tego miejsca.

- Ale byłem właśnie świadkiem przestępstwa.

Gliniarz stanął nieprzyjemnie blisko Steve'a.

- Chcesz się przejechać na posterunek? - zapytał. - Czy może wolisz dostać wpierdol tu na miejscu?

Steve nie chciał się przejechać na posterunek. Łatwo mogli podrzucić mu do kieszeni narkotyki albo pobić go i powiedzieć, że stawiał opór władzy. Steve studiował prawo; figurując w rejestrze skazanych, nie mógłby prowadzić praktyki. Żałował, że w ogóle się w to wplątał. Nie warto było ryzykować całej kariery tylko dlatego, że jakiś posterunkowy pastwił się nad transwestytą.

Mimo wszystko to nie było w porządku. Teraz ofiarą napaści padły dwie osoby, Dorothy i Steve. To gliniarz był tym, który łamał prawo. Steve nie mógł tak po prostu stąd odejść.

Spróbował jednak bardziej pojednawczego tonu.

- Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów, Lenny - powiedział. - Może po prostu pozwolisz odejść Dorothy, a ja zapomnę, że widziałem, jak na niego napadłeś.

- Grozisz mi, ty fiucie?

“Jeden cios w żołądek, a potem dwa szybkie w głowę. Jeden, bo mu się należy, drugi na zapas. Gliniarz ległby na ziemi jak ochwacony perszeron”.

- Po prostu daję panu dobrą radę.

Facet najwyraźniej szukał draki. Steve nie miał pojęcia, w jaki sposób uniknąć konfrontacji. Modlił się, żeby transwestyta oddalił się, korzystając z tego, że Lenny odwrócony był do niego plecami, ale Dorothy obserwował całą scysję, masując obolały żołądek i delektując się furią gliniarza.

A potem uśmiechnęło się do niego szczęście. Nagle zagadało policyjne radio. Obaj funkcjonariusze zamarli w bezruchu i przez chwilę uważnie słuchali. Steve niewiele zrozumiał z potoku słów i cyfrowych kryptonimów, ale partner Lenny'ego nie miał wątpliwości, że to coś ważnego.

- Policjant ma kłopoty - stwierdził. - Zmywamy się stąd.

Lenny zawahał się. Wciąż wpatrywał się groźnie w Steve'a, w jego oczach ukazał się jednak cień ulgi. Może też był zadowolony, że zdołał jakoś wybrnąć z sytuacji, a kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała wyłącznie groźba.

- Zapamiętaj mnie sobie, bo ja na pewno cię nie zapomnę - powiedział, a potem usiadł koło kierowcy i zatrzaskał drzwi. Samochód odjechał.

Nastolatki zaczęły wiwatować i bić brawo.

- Kurczę - mruknął Steve. - To było nieprzyjemne. "To było również głupie. Wiedziałeś, czym się może skończyć.

Wiesz, jaki jesteś". W tej samej chwili z naprzeciwka nadszedł jego kuzyn Ricky.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając na znikający wóz patrolowy.

Transwestyta podszedł bliżej i położył obie ręce na ramionach Steve'a.

- Mój bohater - powiedział. - Mój John Wayne.

- Daj spokój - odparł zakłopotany Steve.

- Kiedy tylko będziesz miał ochotę trochę zaszaleć, wal do mnie jak w dym. Obsłużę cię za darmo.

- Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Dałbym ci buziaka, ale widzę, że jesteś trochę nieśmiały, więc powiem jedynie do widzenia.

Transwestyta pomachał mu na pożegnanie dłonią z pomalowanymi na czerwono paznokciami i oddalił się.

- Do widzenia, Dorothy.

Ricky i Steve ruszyli w przeciwną stronę.

- Widzę, że masz już tutaj przyjaciół - stwierdził Ricky.

Steve roześmiał się z ulgą.

- O mało nie wpadłem w prawdziwe tarapaty - powiedział. - Jakiś dumny gliniarz zaczął okładać tego faceta w minispódniczce, a ja byłem na tyle głupi, żeby się wtrącić.

Ricky posłał mu zdumione spojrzenie.

- Masz szczęście, że jeszcze tu jesteś.

- Wiem.

Doszli do kamienicy Ricky'ego i weszli do środka. W hallu unosił się zapach sera, a może kwaśnego mleka. Pomalowane na zielono ściany upstrzone były kolorowym graffiti. Ominęli przymocowane łańcuchem rowery i ruszyli w górę po schodach.

- Po prostu mnie to wkurza - denerwował się Steve. - Dlaczego ten łaps zdzielił Dorothy w brzuch? Facet lubi się malować i chodzić w spódnicy. Komu to przeszkadza?

- Masz rację.

- I czemu Lenny'emu wszystko uchodzi na sucho tylko dlatego, że nosi policyjny mundur? Policjanci powinni stawiać sobie wyższe wymagania, ponieważ zajmują uprzywilejowaną pozycję.

- Za bardzo na to nie licz.

- Z tego powodu właśnie chcę zostać prawnikiem. Żeby walczyć z takim draństwem. Masz jakiegoś bohatera, kogoś, na kim chciałbyś się wzorować?

- Czy ja wiem? Może Casanovę.

- Ja chciałbym być podobny do Ralpa Nadera. Jest prawnikiem. Zmierzył się z najpotężniejszymi korporacjami Ameryki i wygrał!

Ricky roześmiał się. Kiedy wchodzili do jego pokoju, objął ramieniem Steve'a.

- Mój kuzyn idealista - stwierdził.

- Odpuść sobie.

- Chcesz kawy?

- Jasne.

Pokój Ricky'ego był mały i nędznie umeblowany. Stało w nim wąskie łóżko, poobijane biurko, zapadnięta kanapa i wielki telewizor. Na ścianie wisiał plakat przedstawiający nagą kobietę z wpisanymi nazwami wszystkich kości ludzkiego szkieletu, poczynając od kości ciemieniowej czaszki aż po kości palców u stóp. W kącie stał klimatyzator, ale chyba nie działał.

Steve siadł na kanapie.

- Jak się udała randka? - zapytał.

- Nie tak upojna jak na reklamie. - Ricky nalał wody do czajnika. - Melissa jest słodka, ale nie wróciłbym tak wcześniej do domu, gdyby szalała na moim punkcie, tak jak sądziłem. A co u ciebie?

- Włóczyłem się trochę po kampusie Jonesa Fallsa. Elegancka szkoła. Spotkałem tam dziewczynę. - Na jej wspomnienie rozjaśniła mu się twarz. - Widziałem, jak gra w tenisa. Zupełnie niesamowita: wysoka, umięśniona, wysportowana jak wszyscy diabli. Serwowała, jakby strzelała z pieprzonej bazooki, mówię ci.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zakochał się w dziewczynie dlatego, że dobrze gra w tenisa. - Ricky uśmiechnął się. - Czy jest ładna?

- Ma bardzo wyrazistą urodę. - Steve miał ją teraz przed oczyma. - Ciemne piwne oczy, czarne brwi, fura ciemnych włosów... i delikatny srebrny kolczyk z lewej strony nosa.

- Nie żartuj. Niezwykła, prawda?

- Ty to powiedziałeś.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. - Steve smutno się uśmiechnął. - Spławiła mnie, nie zwalniając nawet kroku. Prawdopodobnie nie spotkam jej już nigdy w życiu.

Ricky nalał kawy do filiżanek.

- Może to i lepiej. Masz przecież stałą panienkę, prawda?

- Powiedzmy. - To, że tak łatwo zadurzył się w tej tenisistce, obudziło w nim poczucie winy. - Nazywa się Celinę. Razem studiujemy - dodał. Uczył się na wydziale prawa w Waszyngtonie.

- Śpisz z nią?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie czuję się aż tak bardzo związany.

Ricky nie krył zdziwienia.

- To język, którego nie znam. Musisz czuć się związany z dziewczyną, żeby ją przelecieć?

- Taki już jestem - odparł lekko zakłopotany Steve.

- Od urodzenia?

- Nie. W liceum robiłem wszystko, na co pozwalały mi dziewczyny. Tak jakby to były zawody albo coś w tym rodzaju. Bzykałem każdą dziewczynę, która gotowa była zdjąć majtki, ale tamto było wtedy, a to jest dzisiaj. Nie jestem już chyba małym chłopcem.

- Ile ty masz lat? Dwadzieścia dwa?

- Zgadza się.

- Ja mam dwadzieścia pięć, ale jestem chyba mniej dorosły od ciebie.

Steve wyczuł w głosie Ricky'ego urazę.

- Nie chciałem cię krytykować.

- Okay. - Ricky nie sprawiał wrażenia głęboko dotkniętego. - Co robiłeś, kiedy cię spławiła?

- Poszedłem do baru w Charles Village i zamówiłem parę piw i hamburgera.

- To przypomina mi, że jestem głodny. Chcesz coś do jedzenia?

- A co masz?

Ricky otworzył szafkę.

- Boo Berry, Rice Krispies i Count Chocula.

- Count Chocula brzmi zachęcająco.

Ricky postawił na stole głębokie talerze i mleko i obaj posilili się płatkami kukurydzianymi. Potem pozmywali naczynia i przygotowali sobie spanie. Steve położył się na kanapie w samych szortach; było za gorąco, żeby przykrywać się kocem. Ricky zajął łóżko.

- Co będziesz robił na Uniwersytecie Jonesa Fallsa? - zapytał.

- Poprosili mnie, żebym wziął udział w programie badawczym. Mam się poddać testom psychologicznym i tak dalej.

- Dlaczego akurat ty?

- Nie mam pojęcia. Powiedzieli, że stanowią ciekawy przypadek i że wyjaśnią mi wszystko, kiedy przyjdę.

- Dlaczego się zgodziłeś? Mnie wydaje się to po prostu stratą czasu.

Steve miał pewien szczególny powód, ale nie chciał o nim mówić Ricky'emu. Jego odpowiedź zawierała tylko część prawdy.

- Chyba z ciekawości. Czy ty nigdy nie zastanawiasz się nad sobą? Na przykład, jaki naprawdę jesteś i czego chcesz w życiu?

- Chcę być słynnym chirurgiem i zarabiać miliony dolarów, powiększając kobiece piersi. Nie jestem chyba zbyt skomplikowany.

- Nie pytasz, po co to wszystko?

Ricky roześmiał się.

- Nie, Steve, nie pytam się. Ale ty to robisz. Zawsze byłeś myślicielem. Nawet kiedy byliśmy dziećmi, rozmyślałeś o Bogu i tego rodzaju sprawach.

To była prawda. Steve przeszedł przez fazę religijną w wieku trzynastu lat. Odwiedził kilka różnych kościołów, synagogę i meczet, i zadawał rozbawionym duchownym poważne pytania na temat wiary. Zaintrygowało to bardzo jego rodziców, którzy byli agnostykami.

- Zawsze wydawałeś się trochę inny - podjął Ricky. - Nigdy nie znałem nikogo, kto miałby tak dobre stopnie, w ogóle się nie ucząc.

To także była prawda. Steve zawsze bardzo szybko się uczył i bez trudu zajmował pierwsze miejsce w klasie. Czasami tylko, kiedy dokuczali mu inni, umyślnie popełniał błędy, żeby tak bardzo się nie wyróżniać.

Był jednak jeszcze jeden powód, dla którego ciekawiło go własne wnętrze. Ricky nie miał o nim pojęcia i nie znali go koledzy na wydziale prawa. Wiedzieli o nim tylko jego rodzice.

Steve o mało kogoś nie zabił.

Miał wtedy piętnaście lat; był wysoki, lecz chudy. Drużynie koszykówki z Hillsfield High udało się właśnie dotrzeć do półfinału mistrzostw miejskich, a on był jej kapitanem. Grali z bezwzględными ulicznymi zabijakami ze szkoły położonej w waszyngtońskich slumsach. Jeden z przeciwników, niejaki Tip Hendricks, faulował Steve'a podczas całego meczu. Był niezłym zawodnikiem, ale cały swój talent wykorzystywał, żeby grać nieczysto. Za każdym razem, kiedy mu się to udało, szczyrzył zęby w uśmiechu, jakby chciał powiedzieć: "Znowu ci dowaliłem, palancie". Steve był wściekły, ale musiał trzymać nerwy na wodzy. Tak czy owak grał źle i drużyna przegrała, tracąc szansę na zdobycie pucharu.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Steve spotkał Tipa na parkingu, gdzie czekały autobusy, które miały zabrać zawodników z powrotem do ich szkół. Na domiar złego, jeden z kierowców zmieniał koło i na ziemi leżała jego torba z narzędziami.

Steve zignorował Tipa, ale ten rzucił w niego niedopałkiem papierosa. Pet wylądował mu na kurtce.

Ta kurtka znaczyła bardzo dużo dla Steve'a. Składał na nią pieniądze, zarobione w weekendy w McDonalddie i kupił ją zaledwie dzień wcześniej. Była przepiękna: ze ściągaczem w pasie, uszyta z żółtej miękkiej skóry; teraz miała wypalony ślad dokładnie na piersi, gdzie wszyscy mogli go zobaczyć. Nadawała się tylko do wyrzucenia. Dlatego Steve uderzył go.

Tip walczył zazarcie, kopiąc i bijąc z głowy, ale wściekłość Steve'a była tak wielka, że prawie nie czuł uderzeń. Twarz Tipa była zalana krwią, gdy jego oczy padły na torbę z narzędziami. Złapał łyżkę do zdejmowania opon i dwukrotnie zdzielił nią Steve'a w twarz. Uderzenia naprawdę bolały i Steve wpadł w ślełą furję. Wyrwał łyżkę Tipowi - a potem nie pamiętał nic aż do momentu, kiedy ktoś krzyknął: "Jezu wszechmogący, on chyba nie żyje!" i zdał sobie sprawę, że stoi nad ciałem Tipa, z zakrwawionym żelazem w ręku.

Tip nie umarł. Zginął dwa lata później, zabity przez importera marihuany z Jamajki, któremu był winien osiemdziesiąt pięć dolarów. Ale Steve chciał go zabić, próbował go zabić. Nic go nie usprawiedliwiało: zadał pierwsze uderzenie i chociaż to Tip podniósł z ziemi łyżkę do zdejmowania opon, Steve uczynił z niej naprawdę krwawy użytek.

Skazano go na sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem. Po procesie zmienił szkołę i jak zwykle zdał wszystkie egzaminy. Ponieważ w chwili popełnienia przestępstwa był młodociany, jego wyrok uległ zatarciu i nie przeszkodził mu w dostaniu się na wydział prawa. Dla mamy i taty całe wydarzenie było koszmarem, który szczęśliwie minął. Steve jednak nie pozbył się wątpliwości. Wiedział, że tylko łut szczęścia i odporność ludzkiego organizmu uchroniły go przed procesem o morderstwo. Tip Hendricks był istotą ludzką, a

on o mało go nie zabił z powodu jakiejś głupiej kurtki. Przysłuchując się spokojnemu oddechowi śpiącego Ricky'ego, leżał z otwartymi oczyma na kanapie, zadając sobie pytanie: Kim jestem?

PONIEDZIAŁEK

- Spotkałaś kiedyś faceta, za którego chciałabyś wyjść za mąż? - zapytała Lisa.

Siedziały przy stole w jej mieszkaniu, popijając rozpuszczalną kawę. Wszystko było tu ładne, podobnie jak Lisa: kwiaty na obrazkach, porcelanowe bibeloty i pluszowy miś w muszce w czerwone grochy.

Lisa miała zamiar wziąć dzień wolny, ale Jeannie ubrała się do pracy w granatową spódniczkę i białą bawełnianą bluzkę. Czekał ją ważny dzień i była cała spięta. Do laboratorium przychodził pierwszy z badanych. Czy będzie pasował do jej teorii, czy też ją podważy? Pod koniec dnia okaże się, czy miała rację, czy też powinna zrewidować swoje koncepcje.

Mimo to nie zamierzała wychodzić wcześniej, niż to było absolutnie konieczne. Lisa była jeszcze bardzo roztrzęsiona. Jeannie zdawała sobie sprawę, że najlepiej byłoby posiedzieć z nią i pogadać o mężczyznach i seksie, jak to zawsze robiły: pomóc jej wrócić do normalności. Chętnie zostałyby z nią aż do południa, ale nie mogła. Naprawdę żałowała, że Lisa nie będzie jej mogła pomóc w laboratorium, ale to było wykluczone.

- Tak, raz - stwierdziła, odpowiadając na pytanie. - Znałam takiego faceta, za którego chciałam wyjść. Nazywał się Will Tempie. Był antropologiem. Wciąż jest.

Stanął jej teraz przed oczyma, wysoki mężczyzna z jasną bródką, ubrany w niebieskie dżinsy i sweter, dźwigający swój dziesięciobiegowy rower korytarzami uniwersytetu.

- Mówiłaś o nim już wcześniej - powiedziała Lisa. - Jaki był?

- Wspaniały. - Jeannie westchnęła. - Rozśmieszał mnie, opiekował się mną, kiedy byłam chora, prasował własne koszule i miał członek wielki jak koń.

Lisa nie uśmiechnęła się.

- Dlaczego nie jesteście razem?

Jeannie była we frywolnym nastroju, ale wspomnienie tego, co się stało, sprawiło jej ból.

- Zostawił mnie dla Georginy Tinkerton Ross. Z tych pittsburskich Tinkertonów Rossów - dodała, jakby to coś wyjaśniało.

- Jaka była?

Jeannie nie miała najmniejszej ochoty opowiadać, jaka była Georgina, ale wiedziała, że robiąc to, odwraca uwagę Lisy od tego, co stało się wczoraj.

- Idealna - powiedziała i natychmiast nie spodobał jej się gorzki sarkazm, który usłyszała w swoim głosie. - Truskawkowe włosy, figura jak klepsydra i upodobanie do kaszmirowych swetrów i butów z krokodylej skóry. Ptasi mózdzek, ale za to cholernie duży fundusz powierniczy.

- Kiedy to się stało?

- Will i ja mieszkaliśmy razem przez rok. Robiłam wtedy doktorat. - To był najszczęśliwszy okres w jej życiu. - Wyprowadził się, kiedy pisałam artykuł na temat dziedziczenia skłonności przestępczych. - Wybrałeś najlepszy moment, Will. Żałuję, że nie mogę nienawidzić cię jeszcze bardziej. - A potem Berrington zaoferował mi etat na Uniwersytecie Jonesa Fallsa i przyjechałam tutaj.

- Mężczyźni to dranie.

- Tak naprawdę Will nie jest draniem. To wspaniały facet. Zakochał się w kimś innym, to wszystko. Myślę, że poważnie się pomylił, dokonując tego wyboru. Ale nie byliśmy przecież małżeństwem. Nie złamał żadnych obietnic. Nie był nawet niewierny, z wyjątkiem tego jednego albo dwóch razy, zanim mi powiedział. - Jeannie uświadomiła sobie, że powtarza prawie słowo w słowo to, co mówił Will, próbując się przed nią tłumaczyć. - Nie wiem, może jednak był draniem.

- Może powinniśmy wrócić do czasów wiktoriańskich, kiedy mężczyzna, który pocałował kobietę, uważał się za zaręczonego. Dziewczyny wiedziały przynajmniej, na czym stoją.

W tym momencie perspektywy nawiązania przez Lisę bliższej znajomości z mężczyzną wydawały się dość nikłe, ale Jeannie nie powiedziała tego na głos.

- A ty? - zapytała. - Znalazłaś kiedyś kogoś, za kogo chciałabyś wyjść za mąż?

- Nie. Nigdy.

- Obie mamy wysokie wymagania. Nie martw się, kiedy pojawi się Ten Właściwy, od razu go poznasz.

Nagle, ku ich zaskoczeniu, zadzwonił domofon. Lisa podskoczyła w górę i uderzyła kolanem w stolik. Porcelanowy wazonik spadł na podłogę, tłukąc się na kawałki.

- Niech to diabli - mruknęła.

Wciąż była napięta jak struna.

- Posprzątam okrychy - powiedziała kojącem tonem Jeannie. - Zobacz, kto dzwoni.

Lisa podniosła słuchawkę domofonu. Przez jej twarz przebiegł cień i przez chwilę przyglądała się postaci na ekranie.

- Chyba tak - stwierdziła, naciskając guzik, który otwierał drzwi budynku.

- Kto to? - zapytała Jeannie.

- Detektyw z Wydziału Przestępstw Seksualnych.

Jeannie obawiała się już wcześniej, że policja przyśle kogoś, kto będzie chciał namówić Lisę do współpracy. Była zdecydowana do tego nie dopuścić. Kolejne natrętne pytania mogły tylko zaszkodzić przyjaciółce.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu, żeby się odpiardolił?

- Może dlatego, że to czarna kobieta.

- Serio?

Lisa pokiwała głową.

Sprytne zagranie, pomyślała Jeannie, zgarniając na dłoń okruchy porcelany. Gliniarze domyślali się, że ona i Lisa są do nich wrogo nastawione. Gdyby wysłali białego detektywa, mógł nie przestąpić progu budynku. Wyznaczyli więc do sprawy czarną funkcjonariuszkę wiedząc, że dwie białe dziewczyny z klasy średniej będą starały się być wobec niej ujmująco grzeczne. Jeśli facetka spróbuje wywierać jakąś presję, i tak ją wyrzucę, pomyślała Jeannie.

Policjantka była zażywną kobietą z walizeczką w rękę i kolorową jedwabną chustką na szyi. Miała na sobie elegancką kremową bluzkę.

- Jestem sierżant Michelle Delaware - przedstawiła się. - Mówią na mnie Mish.

Jeannie zastanawiała się, co jest w walizeczce. Detektywi noszą na ogół broń, nie papiery.

- Doktor Jean Ferrami - powiedziała. Kiedy zanosilo się na awanturę, zawsze przedstawiała się z tytułem. - A to jest Lisa Hoxton.

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że bardzo nam przykro z powodu tego, co wydarzyło się wczoraj, pani Hoxton - zaczęła policjantka. - Mój wydział ma do czynienia średnio z jednym gwałtem dziennie i każdy z nich jest straszliwą tragedią i powoduje głęboki uraz u ofiary. Wiem, że pani cierpi, i rozumiem to.

No no, pomyślała Jeannie, brzmi to zupełnie inaczej niż wczoraj.

- Staram się o tym zapomnieć - powiedziała pewnym głosem Lisa, ale zdradziły ją napływające do oczu łzy.

- Czy mogę usiąść?

- Oczywiście.

Policjantka usiadła przy kuchennym stole.

Jeannie uważnie jej się przyjrzała.

Pani podejście różni się od tego, jakie zaprezentował wczoraj ten policjant - stwierdziła.

Mish kiwnęła głową.

- Przepraszam również za to, jak potraktował panią posterunkowy McHenty. Podobnie jak wszyscy funkcjonariusze, przeszedł szkolenie, jak postępować z ofiarami gwałtu, najwyraźniej jednak zapomniał wszystkiego, czego się nauczył. Wstyd mi za całą naszą komendę.

- Czułam się tak, jakby ktoś mnie ponownie gwałcił - powiedziała przez łzy Lisa.

- To się już więcej nie zdarzy - stwierdziła Mish i w jej głosie zabrzmiał gniew. - To jest powód, dla którego tak wiele spraw o gwałt łąduje w szufladzie z napisem "Umorzone". Dzieje się tak nie dlatego, że kobiety składają kłamliwe zeznania, lecz dlatego, że wymiar sprawiedliwości traktuje je tak brutalnie, iż wycofują skargę.

- Wierzę pani - mruknęła Jeannie. Wiedziała, że musi być ostrożna; Mish mogła przemawiać jak siostra, ale była przede wszystkim policjantką.

Mish wyjęła z torebki wizytówkę.

- To jest numer ośrodka dla ofiar gwałtu i maltretowanych dzieci - powiedziała. - Wcześniej czy później każda ofiara potrzebuje pomocy.

W tej chwili pragnę jedynie zapomnieć - stwierdziła Lisa, ale wzięła wizytówkę.

Mish pokiwała głową.

- Niech pani posłucha i schowa tę kartkę do szuflady. Pani uczucia będą przechodzić przez różne fazy i po jakimś czasie może pani dojrzeć do tego, żeby skorzystać z porady.

- Dobrze.

Jeannie uznała, że Mish zasłużyła sobie na trochę grzeczniejsze traktowanie.

- Napije się pani kawy? - zapytała.

- Z miłą chęcią.

- Zrobię świeżej - powiedziała Jeannie, po czym wstała i naląła wody do ekspresu.

- Pracujecie panie razem? - zapytała Mish.

- Tak - odparła Jeannie. - Badamy bliźniaki.

- Bliźniaki?

- Odnotowujemy podobieństwa i różnice i próbujemy stwierdzić, w jakim stopniu zależą one od genów, a w jakim od sposobu, w jaki je wychowywano.

- Jaka jest twoja rola w tym wszystkim, Liso?

- Odnajduję bliźnięta, które powinno się poddać badaniom.

- W jaki sposób?

- Zaczynam od rejestrów, które w większości stanów są jawne. Bliźnięta stanowią średnio jeden procent urodzeń, trafiamy więc na nie w co setnym sprawdzanym świadectwie. W dokumencie jest data i miejsce urodzenia. Robimy jego kopię i zaczynamy poszukiwania.

- Jak to wygląda?

- Mamy na CD-romie wszystkie amerykańskie książki telefoniczne. Korzystamy również z rejestrów praw jazdy i agencji kredytowych.

- Zawsze odnajdujecie bliźniaki?

- Skądże. Nasza skuteczność zależy od ich wieku. Udaje nam się zlokalizować dziewięćdziesiąt procent dziesięciolatków, ale tylko pięćdziesiąt procent osiemdziesięciolatków. Jeśli chodzi o starszych ludzi, istnieje większe prawdopodobieństwo, że zmienili miejsce zamieszkania lub nazwisko, albo zmarli.

Mish spojrzała na Jeannie.

- A potem pani ich bada.

- Specjalizuję się w identycznych bliźniakach, które były oddzielnie wychowywane. O wiele trudniej je zlokalizować powiedziała Jeannie. Nalała kawy Mish i postawiła na stole dzbanek. Jeśli ta policjantka miała zamiar wziąć w obroty Lisę, najwyraźniej jej się nie spieszyło.

Mish wypila łyk kawy.

- Czy w szpitalu brała pani jakieś leki? - zapytała Lisę.

- Nie, nie byłam tam długo.

- Powinni zaproponować pani tabletkę, którą zażywa się po stosunku. Nie chce pani chyba zajść w ciążę.

Lisa zadrżała.

- Oczywiście, że nie. Zastanawiam się, co mam z tym zrobić.

- Niech pani idzie do swojego lekarza. Powinien pani dać tę tabletkę, chyba że ma obiekcje natury religijnej. Niektórzy katoliccy lekarze mają z tym problemy. W takim wypadku ośrodek poleci pani innego lekarza.

- Jak dobrze jest porozmawiać z kimś, kto się na tym wszystkim zna - stwierdziła Lisa.

- Pożar nie był przypadkowy - kontynuowała Mish. - Rozmawiałam z komendantem straży. Ktoś rozpałił ogień w magazynku po drugiej stronie korytarza i odkręcił przewody wentylacyjne, żeby dym dostał się do szatni. Tak naprawdę gwałcicieli nie interesuje seks;

najbardziej podnieca ich strach. Dlatego myślę, że pożar stanowił część fantazji tego drania.

Jeannie nie wzięła tego wcześniej pod uwagę.

- Myślałam, że to po prostu cwaniak, który wykorzystał pożar.

Mish pokręciła głową.

- Gwałty, w których sprawca wykorzystuje sytuację, zdarzają się podczas randki, kiedy facet widzi, że dziewczyna jest zbyt naćpana lub pijana, żeby się bronić. Ale mężczyźni, którzy gwałcą nieznajome, są inni. To organizatorzy. Wyobrażają sobie całe wydarzenie, a potem planują, jak je zrealizować. Mogą być bardzo sprytni. To sprawia, że są jeszcze bardziej niebezpieczni.

Jeannie poczuła, jak ogarnia ją gniew.

- O mało nie zginęłam w tym cholernym pożarze - stwierdziła.

- Czy nie myślę się, sądząc, że nie widziała pani tego mężczyzny nigdy przedtem? - zapytała Mish, zwracając się do Lisy. - Był zupełnie obcy?

- Wydaje mi się, że widziałam go godzinę wcześniej. Kiedy byłam na treningu z drużyną hokeja na trawie, zwołał koło nas samochód i kierowca zaczął się nam przypatrywać. Mam wrażenie, że to był on.

- Co to za samochód?

- Stary, jestem tego pewna. Białe, przerdzewiałe. Chyba datsun.

Jeannie myślała, że Mish zapisze to w notesie, ale ona nie przerywała rozmowy.

- Odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z inteligentnym i bezwzględny zbrojcem, który zrobi wszystko, aby urzeczywistnić swoje fantazje - powiedziała.

- Powinno się go zamknąć do końca życia - stwierdziła z goryczą Jeannie.

Mish postanowiła wyciągnąć swoją atutową kartę.

- Ale nie zamkniemy go - odparła. - Jest wolny. I zrobi to ponownie.

- Skąd pani to może wiedzieć? - zapytała ze sceptycyzmem Jeannie.

- Większość gwałcicieli to recydywiści. Jedynym wyjątkiem jest facet, który wykorzystuje dziewczynę podczas randki; ktoś taki może to zrobić tylko raz w życiu. Ale mężczyźni, którzy gwałcą nieznajome, robią to wielokrotnie... aż do momentu kiedy uda się ich aresztować. - Mish spojrzała Lisie prosto w oczy. - Za siedem do dziesięciu dni mężczyzna, który panią zgwałcił, podda tym samym torturom inną kobietę... chyba że go wpierw złapiemy.

- O mój Boże - westchnęła Lisa.

Jeannie domyślała się, do czego zmierza Mish. Tak jak przewidywała, policjantka próbowała namówić Lisę, żeby ta pomogła jej w identyfikacji przestępcy. W dalszym ciągu gotowa była interweniować, gdyby Mish wywierała nacisk na Lisę, ale nie mogła nie zgodzić się z tym, co policjantka teraz mówiła.

- Potrzebna nam jest próbka jego DNA - powiedziała Mish.

Lisa skrzywiła się z niesmakiem.

- Ma pani na myśli jego spermę.

- Tak.

Lisa potrząsnęła głową.

- Wzięłam prysznic, wykapałam się i jeszcze raz wzięłam prysznic. Mam nadzieję, że nic z niego we mnie nie pozostało.

Mish nie dawała za wygraną.

- Ślady spermy pozostają w ciele kobiety przez czterdzieści osiem do siedemdziesięciu dwu godzin po stosunku. Musimy zrobić wymaz z pochwy, wyczesanie włosów łonowych i badanie krwi.

- Doktor, z którym miałyśmy do czynienia w Santa Teresa, był prawdziwym dupkiem - stwierdziła Jeannie.

Mish pokiwała głową.

- Lekarze nie lubią zajmować się ofiarami gwałtu. Potem muszą zeznawać w sądzie i tracić czas i pieniądze. Przede wszystkim jednak nie powinna pani jechać do Santa Teresa. To jeden z wielu błędów, które popełnił McHenty. W tym mieście ośrodki badające urazy o podłożu seksualnym działają w trzech szpitalach. Santa Teresa do nich nie należy.

- Gdzie pani chce, żebym pojechała? - zapytała Lisa.

- W szpitalu Mercy istnieje specjalny zespół dochodzeniowy do spraw urazów o podłożu seksualnym.

Jeannie pokiwała głową. Mercy był dużym śródmiejskim szpitalem.

- Zajmie się tam panią pielęgniarka zespołu. Została specjalnie wyszkolona, czego nie można powiedzieć o lekarzu, którego widziała pani wczoraj i który najprawdopodobniej i tak nie zrobiłby tego, jak trzeba.

Mish nie darzyła najwyraźniej lekarzy wielkim szacunkiem.

Otworzyła swoją walizeczkę i zaciekawiona Jeannie pochyliła się do przodu. W środku był laptop. Mish podniosła górną część i włączyła go.

- Mam tutaj program, który nazywa się E-FIT. Electronic Facial Identification Technique, czyli Elektroniczna Technika Identyfikacji Twarzy. Lubimy skróty - stwierdziła,

uśmiechając się półgębkiem. - Właściwie opracował go pewien detektyw ze Scotland Yardu. Program umożliwia sporządzenie portretu pamięciowego bez udziału rysownika.

Lisa spojrzała na Jeannie.

- Jak myślisz?

- Nie pozwól, żeby cię do czegokolwiek zmuszano - powiedziała Jeannie. - Pomyśl o sobie. Masz prawo odmówić. Rób to, co uważasz za słuszne.

Mish spiorunowała ją wzrokiem.

- Nikt nie wywiera na panią presji - zapewniła Lisę. - Jeśli chce pani, żebym wyszła, nie ma sprawy. Ja do niczego pani nie zmuszam, ja proszę. Chcę złapać tego gwałciciela i potrzebuję pani pomocy. Bez pani nie mam żadnej szansy.

Jeannie spojrzała na nią z podziwem. Mish kontrolowała przebieg całej rozmowy, od momentu gdy weszła do mieszkania, nie uciekała się jednak przy tym do manipulacji ani do nacisku. Wiedziała, o czym mówi, i wiedziała, czego chce.

- Sama nie wiem - mruknęła Lisa.

- Może rzuci pani po prostu okiem na ten program - zaproponowała Mish. - Jeśli to panią zdenerwuje, przerwiemy. Jeśli nie, będę miała przynajmniej portret mężczyzny, którego szukam. Potem, kiedy skończymy, zdecyduje pani, czy chce jechać do Mercy.

- Dobrze - odparła po krótkim wahaniu Lisa.

- Pamiętaj, że jeśli się źle poczujesz, możesz w każdej chwili przerwać - przypomniała jej Jeannie.

- Na początek postaramy się ustalić podstawowe cechy twarzy. Portret nie będzie go zbyt przypominał, ale posłuży nam jako podstawa. Potem dopracujemy szczegóły. Chcę, żeby przypomniała pani sobie twarz sprawcy i powiedziała mi, jakie są jej najważniejsze cechy. Proszę się nie spieszyć.

Lisa zamknęła oczy.

- Jest białym mężczyzną mniej więcej w moim wieku - stwierdziła. - Ma krótkie włosy, nieokreślonego koloru. Oczy jasne, chyba niebieskie. Prosty nos...

Mish używała myszy. Jeannie stanęła z tyłu, żeby widzieć ekran. Program pracował pod Windowsami. W prawym górnym rogu widniała twarz podzielona na osiem części. Kiedy Lisa wymieniała kolejne cechy, Mish podświetlała fragment twarzy, otwierała menu i wybierała z niego odpowiednie opcje: krótkie włosy, jasne oczy, prosty nos.

- Podbródek raczej kwadratowy - kontynuowała Lisa. - Nie ma brody ani wąsów. Jak mi idzie?

Mish kliknęła myszą i na ekranie ukazał się cały portret: twarz białego trzydziestoletniego mężczyzny o regularnych rysach. Tak mogły wyglądać twarze tysiąca ludzi. Policjantka odwróciła komputer, żeby Lisa mogła zobaczyć efekt swojej pracy.

- Teraz będziemy stopniowo zmieniać szczegóły. Najpierw pokażę pani tę twarz z różnymi czołami i liniami włosów. Proszę mówić tylko "tak", "nie" albo "być może".
Gotowa?

- Jasne.

Mish kliknęła myszą. Twarz na ekranie zmieniła się i nagle na czole ukazały się zakola.

- Nie - powiedziała Lisa.

Mish kliknęła ponownie. Tym razem nad czołem pokazała się równo przycięta grzywka w stylu Beatlesów.

- Nie.

Po następnym kliknięciu włosy układały się falami.

- Coś w tym rodzaju - stwierdziła Lisa. - Ale wydaje mi się, że miał przedziałek.

Teraz włosy były kędzierzawe.

- Tak jest lepiej niż poprzednio. Ale włosy są za ciemne.

- Po sprawdzeniu wszystkich wariantów - oznajmiła Mish - wrócimy do tych, które wydały się pani najbardziej trafione, i wybierzemy najlepsze. A kiedy będziemy miały całą twarz, będziemy mogły użyć retuszu: rozjaśnić trochę albo przyciemnić włosy, przesunąć przedziałek, odmłodzić lub dodać lat całej twarzy.

Jeannie była zafascynowana, ale mogło to potrwać godzinę, może dwie, a ona musiała iść do pracy.

- Muszę już lecieć - powiedziała. - Dobrze się czujesz, Liso?

- Dobrze - odparła Lisa i Jeannie widziała, że mówi prawdę. Może będzie dla niej lepiej, jeśli zaangażuje się w ściganie tego faceta. Zerknęła na Mish i zobaczyła błysk triumfu w jej oczach. Czy na pewno miałam rację, zastanawiała się, traktując ją wrogo i starając się chronić Lisę? Mish potrafiła zdobyć sympatię swojego rozmówcy. Znała wszystkie właściwe słowa. Mimo to najważniejsze było dla niej ujęcie gwałciciela, a nie udzielenie pomocy Lisie. Lisa w dalszym ciągu potrzebowała prawdziwej przyjaciółki, kogoś, kto miałby na uwadze głównie jej dobro.

- Zadzwoń do ciebie - obiecała.

Lisa uściskała ją.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za to, że ze mną zostałam - stwierdziła.

- Miło było panią poznać - oświadczyła Mish, wyciągając rękę.

Jeannie uścisnęła ją.

- Życzę powodzenia. Mam nadzieję, że go złapiecie.

- Ja też - odparła Mish.

Steve zaparkował samochód na dużym studenckim parkingu w południowo-zachodniej części stuakrowego kampusu. Dochodziła dziesiąta i wszędzie widać było ubranych w letnie stroje studentów, podążających na pierwszy tego dnia wykład. Idąc alejką, wypatrywał wczorajszej tenisistki. Szansę na to, że ją zobaczy, były nikłe, ale mimo to wodził wzrokiem za każdą wysoką ciemnowłosą kobietą, sprawdzając, czy nie ma kolczyka w nosie.

Wydział psychologii mieścił się w nowoczesnym trzypiętrowym budynku wzniesionym z tej samej czerwonej cegły, co inne gmachy utrzymane w bardziej tradycyjnym stylu. Steve podał swoje nazwisko w hallu i skierowano go do laboratorium.

W ciągu kilku następnych godzin przeszedł więcej badań, niż wydawało mu się to w ogóle możliwe. Zważono go, zmierzono i pobrano odciski palców. Pracownicy naukowci, laborantki i studenci sfotografowali jego uszy, zbadali siłę uścisku i ocenili wrażliwość emocjonalną, pokazując mu zdjęcia ofiar pożaru i okaleczonych ciał. Zadawano mu pytania dotyczące jego zainteresowań i poglądów religijnych, jego dziewczyn i aspiracji zawodowych. Musiał powiedzieć, czy potrafi naprawić dzwonek przy drzwiach, czy uważa się za człowieka wykształconego, czy uderzyłby swoje dziecko i czy pewnego rodzaju muzyka nasuwa mu na myśl obrazy lub zmieniające się kolory. Na razie nikt jednak nie wyjawiał mu, dlaczego stał się obiektem badań.

Nie był sam. W laboratorium były również dwie małe dziewczynki i facet w kowbojskich butach, dżinsach i kraciastej koszuli. W południe wszyscy zebrali się w sali klubowej z sofami i telewizorem i zjedli na lunch pizzę. Dopiero wtedy Steve zorientował się, że mężczyzn w kowbojskich butach jest dwóch: byli bliźniakami ubranymi tak samo.

Przedstawił się i dowiedział, że kowboje nazywają się Benny i Arnold, a małe dziewczynki Sue i Elizabeth.

- Zawsze ubieracie się tak samo? - zapytał mężczyzn, kiedy jedli.

Spojrzeli jeden na drugiego, a potem Benny odpowiedział:

- Nie wiem. Dopiero się spotkaliśmy.

- Jesteście bliźniakami i dopiero się spotkaliście?

- Po urodzeniu zostaliśmy obaj zaadoptowani. Przez dwie różne rodziny.

- I przypadkowo ubraliście się tak samo?

- Na to wygląda.

- Poza tym obaj jesteście stolarzami - dodał Arnold. - Obaj palimy papierosy marki Camel Lights i obaj mamy dwójkę dzieci, chłopaka i dziewczynkę.

- Obie dziewczynki mają na imię Caroline - powiedział Benny - ale mój chłopak nazywa się John, a jego Richard.

- Chciałem, żeby nazywał się John - wyjaśnił Arnold - ale żona uparła się przy Richardzie.

- Niesamowite - zdziwił się Steve. - Nie można przecież odziedziczyć upodobania do cameli.

- Kto to może wiedzieć.

- A gdzie jest twój bliźniak? - zapytała Steve'a jedna z dziewczynek, Elizabeth.

- Nie mam bliźniaka - odparł. - To tym się tutaj zajmują? Badaniem bliźniaków?

- Tak - poinformowała go Elizabeth. - Sue i ja jesteśmy dwujajowe.

Steve podniósł brew. Mała nie wyglądała na więcej niż jedenaście lat.

- Nie jestem pewien, czy wiem, co to znaczy - powiedział.

- Nie jesteśmy identyczne. Rozwinęłyśmy się z dwu odrębnych jaj. Dlatego różnimy się wyglądem. Benny i Arnold są jednojajowi - dodała, wskazując kowbojów. - Mają takie samo DNA. Dlatego są do siebie tacy podobni.

- Widzę, że świetnie się w tym orientujesz - stwierdził Steve. - Jestem pod wrażeniem.

- Byłyśmy tu już przedtem - wyjaśniła.

Drzwi za Steve'em się otworzyły i Elizabeth podniosła wzrok.

- Dzień dobry, doktor Ferrami - powiedziała. Steve odwrócił się i zobaczył wczorajszą tenisistkę.

Jej muskularne ciało okrywał sięgający kolan biały laboratoryjny fartuch, ale podchodząc do nich, poruszała się jak sportsmenka. Na jej twarzy wciąż malowało się skupienie i koncentracja, które tak urzekły go na korcie. Gapił się na nią, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

Doktor Ferrami pozdrowiła dziewczynki i przedstawiła się pozostałym. Kiedy podawała rękę Steve'owi, w jej oczach ukazało się zaskoczenie.

- A więc to pan jest Steve Logan - powiedziała.

- Świetnie gra pani w tenisa - odparł.

- Wczoraj przegrałam - stwierdziła siadając. Gęste ciemne włosy spadały jej luźno na ramiona i w bezlitosnym świetle jarzeniówek Steve dostrzegł, że ma już kilka siwych. Zamiast srebrnego kolczyka w nosie miała dzisiaj prosty złoty sztyfcik. Była umalowana i

maskara pod oczyma sprawiała, że jej spojrzenie wydawało się jeszcze bardziej hipnotyczne.

Podziękowała wszystkim za to, że poświęcają swój cenny czas dla dobra nauki, zapytała, czy smakowała im pizza, i po kilku dalszych uprzejmościach odesłała dziewczynki i kowbojów na popołudniową serię badań.

A potem usiadła obok Steve'a, który nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że jest z jakiegoś powodu zakłopotana. Wyglądało to prawie tak, jakby miała mu do przekazania złą wiadomość.

- Na pewno zastanawia się pan, o co tutaj chodzi - powiedziała.

- Myślałem, że wybrano mnie, ponieważ zawsze tak dobrze radziłem sobie w szkole.

- Nie - odparła. - To prawda, osiąga pan bardzo wysokie wyniki we wszystkich testach na inteligencję. W gruncie rzeczy szkolne oceny nie oddają w pełni pańskich zdolności. Pański iloraz inteligencji wykracza poza skalę. Był pan prawdopodobnie najlepszy w klasie, nie przykładając się przy tym szczególnie do nauki. Mam rację?

- Tak. Ale nie dlatego tutaj się znalazłem?

- Nie. Celem naszych badań jest określenie, w jakim stopniu charakter człowieka jest zdeterminowany jego genetycznym dziedzictwem. Czy to DNA decyduje, że jesteśmy inteligentni, agresywni, romantyczni, wysportowani? Czy też ważniejsze jest wychowanie?

- W miarę jak zagłębiała się w temat, znikало jej początkowe zakłopotanie. - A jeśli wpływ mają oba czynniki, jak na siebie oddziałują?

- To stara kontrowersja - stwierdził Steve. Uczęszczał na zajęcia z filozofii i od dawna fascynował go ten dylemat. - Czy jestem taki, jaki jestem, dlatego że taki się urodziłem? Czy też stanowią produkt wychowania i społeczeństwa, w którym dorastałem? Natura czy środowisko? - dodał, przypominając sobie antynomię, która wyrażała w skrótowej formie cały spór.

Doktor Ferrami pokiwała głową i jej długie włosy zafalowały ciężko niczym ocean. Steve zastanawiał się, jakie są w dotyku.

- Staramy się odpowiedzieć na to pytanie w ściśle naukowy sposób - podjęła. - Otóż identyczne bliźniaki mają takie same geny; dokładnie takie same. Bliźnięta dwujajowe mają inne geny, ale wychowywane są na ogół w tym samym środowisku. Badamy jedne i drugie, a potem porównujemy je z bliźniakami, które wychowywano oddzielnie, i oceniamy, jak bardzo są do siebie podobne.

Steve zastanawiał się, co to ma z nim wspólnego. Zastanawiał się, także, ile lat może mieć Jeannie. Kiedy patrzył, jak biegła wczoraj po korcie z włosami schowanymi pod

czapką, uznał, że jest w jego wieku; teraz widział, że zbliża się do trzydziestki. Nie zmieniło to uczuć, jakie do niej żywił, nigdy dotąd nie zafascynowała go jednak tak dojrzała kobieta.

- Gdyby środowisko miało większy wpływ - kontynuowała - bliźniaki wychowywane razem byłyby bardzo podobne, a te wychowywane oddzielnie zupełnie inne, bez względu na to, czy są jedno - czy dwujajowe. Jest jednak odwrotnie. Jedno-jajowe bliźnięta są identyczne niezależnie od tego, kto je wychował. Wychowywane oddzielnie jednojajowe są do siebie bardziej podobne niż wychowywane razem dwujajowe.

- Tak jak Benny i Arnold?

- Właśnie. Widzi pan, jacy są do siebie podobni, mimo że dorastali w innych rodzinach. To typowe. Zbadaliśmy na naszym wydziale ponad sto par wychowywanych oddzielnie jednojajowych bliźniąt. Z tych dwustu osób, dwie były poetami z dorobkiem publikacyjnym i stanowiły parę bliźniaków. Dwie inne były zawodowo związane z domowymi zwierzętami: treser psów oraz hodowca... i również okazały się bliźniakami. Mieliśmy dwóch muzyków: nauczyciela gry na fortepianie i gitarzystę... oni też byli bliźniakami. To tylko najbardziej wymowne przykłady. Jak miał pan się okazję przekonać dziś rano, mierzymy w sposób naukowy różne komponenty osobowości, iloraz inteligencji oraz wymiary ciała. Wyniki wykazują, że bliźnięta jednojajowe mają prawie identyczne dane bez względu na to, jak zostały wychowane.

- Podczas gdy Sue i Elizabeth dość znacznie różnią się od siebie.

- Racja. Mimo że miały tych samych rodziców, dorastały w tym samym domu, chodziły do tej samej szkoły, podobnie się odżywiały i tak dalej. Zgaduję, że Sue milczała przez cały lunch, ale Elizabeth opowiedziała panu całe swoje życie.

- Dokładnie rzecz biorąc, wytłumaczyła mi, co znaczy słowo "dwujajowe".

Doktor Ferrami roześmiała się, pokazując białe zęby i kawałek różowego języka i to, że zdołał ją rozśmieszyć, sprawiło Steve'owi niezmierną radość.

- Jeszcze jednak nie wyjaśniła mi pani, dlaczego się tu znalazłem - powiedział.

Na jej twarzy znowu ukazało się zakłopotanie.

- To trochę trudne - stwierdziła. - Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie przydarzyło.

Nagle zrozumiał. To było oczywiste, ale tak zaskakujące, że wpadł na to dopiero teraz.

- Uważa pani, że mam bliźniaka, o którym nic nie wiem? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie potrafię przygotować pana stopniowo na tę wiadomość - odparła z wyraźnym smutkiem. - To prawda, tak uważamy.

- Rany boskie. - Poczul zawrót głowy; ciężko było przyjąć to do wiadomości.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie ma pani chyba za co przepraszać.

- Owszem, mam. Normalnie ludzie wiedzą, że są bliźniakami, zanim do nas przyjdą.

Ostatnio jednak wprowadziłam nowy system pozyskiwania osób, które możemy poddać badaniom, i pan jest pierwszy. Właściwie to, że nie wie pan o istnieniu brata bliźniaka, potwierdza w istotny sposób trafność mojej metody. Nie przewidziałam tylko, że ludzie mogą doznać szoku, kiedy przekazemy im tę wiadomość.

- Zawsze chciałem mieć brata - szepnął Steve. Był jedynakiem i urodził się, kiedy rodzice zbliżali się do czterdziestki. - To brat, prawda?

- Tak. Jesteście identyczni.

- Identyczny brat bliźniak - wymamrotał Steve. - Ale jak to się stało, że nic o tym nie wiem?

Jeannie nie wiedziała, gdzie ma podziać oczy.

- Niech pani zaczeka, sam zgadnę - powiedział. - Mogłem zostać adoptowany.

Jeannie pokiwała głową.

Ta możliwość jeszcze bardziej nim wstrząsnęła: mogło się okazać, że mama i tato nie są jego rodzicami.

- Albo adoptowano mojego brata. Tak.

- A może adoptowano nas obu, tak jak Benny'ego i Arnolda.

- Może adoptowano was obu - powtórzyła z powagą, wpatrując się w niego uważnie swoimi ciemnymi oczyma. Mimo osłupienia, w które wpadł, nie mógł nie spostrzec, że jest urocza. Chciał, żeby patrzyła tak na niego przez całą wieczność.

- Z mojego doświadczenia wynika - powiedziała - iż jeśli nawet badana osoba nie wie, że ma bliźniaka, zdaje sobie sprawę, że została adoptowana. Mimo to powinnam się była domyślić, iż w pana sytuacji będzie inaczej.

- Nie mogę uwierzyć, że mama i tato ukrywali przede mną fakt adopcji - stwierdził z bólem Steve. - To zupełnie nie w ich stylu.

- Proszę opowiedzieć mi coś o swoich rodzicach.

Wiedział, że Jeannie wyciąga go na zwierzenia, by szybciej doszedł do siebie, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Zebrał powoli myśli.

- Mama jest kimś wyjątkowym. Na pewno pani o niej słyszała, nazywa się Lorraine Logan.

- Autorka rubryki dla samotnych serc?

- Zgadza się. Jej teksty ukazują się w czterystu gazetach, napisała sześć książek o kobiecym zdrowiu. Jest bogata i sławna i zasłużyła sobie na to.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Naprawdę obchodzą ją ludzie, którzy do niej piszą. Odpowiada na tysiące listów. Wie pani, jej respondenci chcą, żeby dokonała cudu: zlikwidowała niechciane ciąży, zniechęciła ich dzieci do narkotyków, zmieniła damskich bokserów w miłych i pomocnych mężów. Mama zawsze daje im wszystkie potrzebne informacje i powtarza, że to do nich należy decyzja o tym, co mają robić, i że powinni zaufać swoim uczuciom i nie ulegać naciskowi innych. To dobra filozofia.

- A ojciec?

- Tato sprawia wrażenie całkiem zwyczajnego faceta. Jest pułkownikiem i pracuje w Pentagonie. Zajmuje się kontaktami z prasą, pisze przemówienia dla generałów, tego rodzaju rzeczy.

- Lubi dyscyplinę?

Steve uśmiechnął się.

- Ma silnie rozwinięte poczucie obowiązku. Ale nie jest gwałtownym człowiekiem. Widział różne rzeczy w Azji, zanim się urodziłem, ale nigdy o nich nie opowiadał.

- Czy trzeba było pana trzymać krótko?

Steve roześmiał się.

- Przez całą szkołę byłem najbardziej niesfornym uczniem. Wiecznie wpadałem w kłopoty.

- Z jakiego powodu?

- Nie przestrzegałem regulaminu. Biegałem po korytarzu. Nosilem czerwone skarpetki. Żułem gumę w klasie. Kiedy miałem trzynaście lat, całowałem Wendy Prasker za regałem szkolnej biblioteki.

- Dlaczego?

- Bo była taka ładna.

Jeannie ponownie się roześmiała.

- Pytałam, dlaczego nie przestrzegał pan regulaminu?

- Nie potrafiłem po prostu być posłuszny - odparł, potrząsając głową. - Przepisy wydawały mi się głupie, nudziły mnie. Chcieli wywalić mnie ze szkoły, ale zawsze miałem dobre stopnie i byłem kapitanem jakiejś drużyny: futbolu, koszykówki, baseballu, lekkiej atletyki. Nie bardzo rozumiem sam siebie. Czy jestem szurnięty?

- Każdy jest na swój sposób szurnięty.

- Chyba tak. Dlaczego nosi pani kolczyk w nosie?

Podniosła ciemne brwi, jakby chciała powiedzieć: "To ja zadaję tutaj pytania", lecz nie uchyliła się od odpowiedzi.

- W wieku czternastu lat zostałam punkową: zielone włosy, podarte pończochy i tak dalej. Przekłuty nos stanowił część tego wszystkiego.

- Ale gdyby pani nie wkładała potem kolczyka, otwór dawno by zarósł.

- Wiem. Zachowałam go, ponieważ uważam, że życie bez odrobiny szaleństwa jest śmiertelnie nudne.

Steve uśmiechnął się. Mój Boże, podoba mi się ta kobieta, pomyślał, jeśli nawet jest dla mnie za stara. A potem przypomniał sobie, czego się od niej przed chwilą dowiedział.

- Skąd pani jest taka pewna, że mam brata bliźniaka?

- Opracowałam program komputerowy, który wertuje archiwa medyczne i inne bazy danych w poszukiwaniu par. Jednojąkowe bliźnięta mają takie same fale mózgowo, takie same elektrokardiogramy, takie same linie papilarne i zęby. Przeczesalam dane firmy ubezpieczeniowej, zawierające zdjęcia zębów i znalazłam mężczyznę, którego wymiary uzębienia są dokładnie takie same jak pańskie.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco.

- Może i nie, chociaż nawet plomby ma w tych samych miejscach co pan.

- Co to za facet?

- Nazywa się Dennis Pinker.

- Gdzie teraz przebywa?

- W Richmond w stanie Wirginia.

- Widziała się z nim pani?

- Jutro jadę do Richmond, żeby się z nim spotkać. Poddam go tym samym badaniom i pobiorę próbkę krwi, żebyśmy mogli porównać jego DNA z pańskim. Wtedy będziemy wiedzieli na pewno.

Steve zmarszczył brwi.

- Czy w ramach genetyki jest jakaś dziedzina, którą się pani szczególnie interesuje?

Tak. Specjalizuję się w problemach przestępczości. Interesuje mnie, czy jest dziedziczna. Steve pokiwał głową.

- Rozumiem. Co on takiego przeskrobał?

- Słucham?

- Co takiego zrobił Dennis Pinker?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Jedzie pani do niego zamiast poprosić go tutaj, więc domyślam się, że nie przebywa na wolności.

Jeannie zaczerwieniła się lekko, jakby złapał ją na oszustwie. Z zarumienionymi policzkami wyglądała jeszcze seksowniej.

Tak, ma pan rację.

- Za co go wsadzili?

- Za morderstwo - odparła po krótkim wahaniu.

- Jezu! - Odwrócił od niej wzrok, próbując to jakoś przyswoić. - Nie tylko mam identycznego brata bliźniaka, ale jest w dodatku mordercą. Jezu Chryste!

- Przykro mi. Źle to rozegrałam. Jest pan pierwszą osobą z tej grupy badanych.

- Rany boskie. Przyjechałem tutaj, mając nadzieję, że lepiej się poznam, lecz dowiedziałem się chyba więcej, niż chciałem. - Jeannie nie wiedziała i nie miała prawa się dowiedzieć, że o mało nie zabił Tipa Hendricksa.

- Jest pan dla mnie bardzo ważny.

- Jak to?

- Chodzi generalnie o to, czy skłonności przestępcze są dziedziczne. Opublikowałam artykuł, w którym twierdzę, że pewien typ osobowości, na który składa się impulsywność, śmiałość, agresywność i hiperaktywność, jest co prawda dziedziczny, ale to, czy obdarzony tymi cechami człowiek zostanie, czy też nie zostanie przestępcą, zależy od tego, jak postępują z nim rodzice. Żeby udowodnić moją teorię, muszę znaleźć parę identycznych bliźniaków, z których jeden jest kryminalistą, a drugi przestrzegającym prawa obywatelem. Pan i Dennis jesteście moją pierwszą parą: on siedzi za kratkami, a pan, proszę mi wybaczyć, jest żywym wcieleniem amerykańskiego ideału. Jeśli chce pan znać prawdę, jestem tak podniecona, że ledwie mogę usiedzieć na miejscu.

Kiedy usłyszał, że jest tak podniecona, iż nie może usiedzieć na miejscu, jemu też zabiło szybciej serce. Odwrócił od niej wzrok z obawy, że zdradzi się ze swoimi uczuciami. To, co mu przekazała, było jednak boleśnie niepokojące. Miał takie samo DNA jak morderca. Kim w takim razie był?

Drzwi za Steve'em otworzyły się i Jeannie podniosła wzrok.

- Cześć, Berry - powiedziała. - Steve, chciałabym ci przedstawić profesora Berringtona Jonesa, szefa zespołu badającego bliźnięta.

Profesor był niskim, dobiegającym sześćdziesiątki mężczyzną o srebrzystych włosach. Miał na sobie elegancki drogi garnitur z szarego irlandzkiego tweedu i czerwoną muszkę w białe grochy i wyglądał, jakby właśnie wyszedł od krawca. Steve oglądał go kilka

razy w telewizji, powtarzającego, że Ameryka schodzi na psy. Jego poglądy wcale mu się nie podobały, ale ponieważ był dobrze wychowany, wstał z krzesła i podał mu rękę.

Berrington Jones zastygł w bezruchu, jakby zobaczył ducha.

- Wielki Boże! - jęknął i pobladła mu twarz.

- Berry! Co się stało? - zapytała doktor Ferrami.

- Czy zrobiłem coś złego? - zdziwił się Steve.

Profesor w ogóle się nie odzywał. Opanował się dopiero po dłuższej chwili.

- Przepraszam, to nic takiego - stwierdził, lecz wciąż sprawiał wrażenie głęboko wstrząśniętego. - Chodzi o to, że nagle coś sobie uświadomiłem... coś, o czym zapomniałem... a co może mieć fatalne następstwa. Wybaczcie państwo. - Zawrócił do drzwi, wciąż mrużąc: - Jeszcze raz przepraszam, wybaczcie.

Kiedy wyszedł, Steve spojrzął na doktor Ferrami.

Jeannie wzruszyła ramionami i rozłożyła bezradnym ruchem ręce.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, co mu się stało - powiedziała.

Berrington siedział przy swoim biurku, z trudem oddychając.

Zajmował duży narożny gabinet, ale jego wnętrze było prawdziwie spartańskie: plastikowe płytki podłogowe, białe ściany, praktyczne szafki, tanie półki na książki. Uczni nie powinni opływać w zbytki. Na ekranie jego komputera widać było obracający się powoli łańcuch DNA, skręcony w słynny kształt podwójnej spirali. Nad biurkiem wisiały fotografie przedstawiające go razem z Geraldem Riviera, Newtem Gingrichem i Rushem Limbaughem. Z okna widać było budynek sali gimnastycznej, zamknięty po wczorajszym pożarze. Na korcie po drugiej stronie alejki dwaj chłopcy grali w tenisa mimo upału.

Berrington pomasaował oczy.

- Niech to wszyscy diabli - zaklął soczyście.

To on namówił Jean Ferrami, żeby się tutaj przeniosła. Jej artykuł na temat przestępczości otwierał nowe horyzonty poznawcze, skupiając uwagę na kryminogennych komponentach charakteru. Dla Genetico była to kwestia o pierwszorzędnym znaczeniu. Berrington chciał, żeby Ferrami kontynuowała badania pod jego egidą. Przekonał władze uniwersytetu, żeby dały jej etat i załatwił w Genetico fundusze na badania.

Z jego pomocą mogła dokonać wielkich rzeczy, a to, że przyjechała z prowincjonalnej uczelni, budziło jeszcze większy podziw dla jej osiągnięć. Pierwsze cztery tygodnie pobytu doktor Ferrami na uczelni potwierdziły jego przewidywania. Zabrała się szybko do roboty i badania ruszyły pełną parą. Większość ludzi polubiła ją, chociaż potrafiła być niesympatyczna: laborantka z końskim ogonem, której wydawało się, że będzie mogła dalej zbijać bąki, już na drugi dzień została przywołana ostro do porządku.

Sam Berrington był nią kompletnie oczarowany. Jeannie fascynowała go zarówno pod względem fizycznym, jak i intelektualnym. Był rozdarty między ojcowską potrzebą otoczenia ją opieką i silnym pragnieniem nawiązania romansu.

A teraz coś takiego!

Uspokoiwszy oddech, podniósł telefon i zadzwonił do Prestona Barcka. Był jego najstarszym przyjacielem: poznali się na Massachusetts Institute of Technology w latach sześćdziesiątych, kiedy Berrington robił doktorat z psychologii, a Preston był wybitnym młodym embriologiem. Ze swymi krótko obciętymi włosami i w tweedowych garniturach obaj uważani byli w tamtej rozpasanej epoce za dziwaków. Wkrótce odkryli, że mają podobne poglądy na wiele rzeczy: nowoczesny jazz był pomyłką, marihuana pierwszym krokiem na drodze do heroiny, a Barry Goldwater jedynym uczciwym politykiem w

Ameryce. Ich przyjaźń okazała się trwalsza od małżeństw, które obaj zawarli. Berrington nie zastanawiał się już, czy lubi Prestona. Preston po prostu istniał, podobnie jak Kanada.

W tym momencie powinien być w głównej siedzibie Genetico, mieszczącej się w kompleksie niskich eleganckich budynków tuż obok pola golfowego w hrabstwie Baltimore, na północ od miasta. Sekretarka poinformowała go, że szef ma ważne spotkanie, ale Berrington kazał jej się połączyć.

- Cześć, Berry. Co się dzieje?

- Kogo masz u siebie?

- Lee Ho, głównego księgowego Landsmanna. Dopracujemy ostatnie szczegóły oświadczenia Genetico.

- Wywał go.

Głos Prestona przycichł nieco, kiedy odsunął od ust słuchawkę.

- Przepraszam cię, Lee, to zajmie małą chwilę. Dołączę do ciebie później. - Po krótkiej chwili Preston przemówił z powrotem do słuchawki. Tym razem w jego głosie słyhać było irytację. - Właśnie wyrzuciłem stąd faceta, który jest prawą ręką Michaela Madigana. Madigan jest dyrektorem generalnym Landsmanna, na wypadek gdybyś zapomniał. Jeśli tak ci strasznie zależy na tej transakcji, nie powinniśmy...

Berrington nie miał cierpliwości go słuchać.

- Jest tutaj Steven Logan - oznajmił.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Na uniwersytecie?

- Tutaj, na wydziale psychologii.

Preston momentalnie zapomniał o Lee Ho.

- Jezu Chryste, jakim cudem?

- Jest poddawany badaniom.

Głos Prestona podniósł się o oktawę.

- Jak to się mogło zdarzyć?

- Nie wiem. Wpadłem na niego pięć minut temu. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie.

- Od razu go poznałeś?

- Oczywiście, że go poznałem.

- Dlaczego poddają go badaniom?

- W ramach naszych studiów nad bliźniakami.

- Nad bliźniakami?! - wrzasnął Preston. - Nad bliźniakami? Kim jest ten drugi?

- Jeszcze nie wiem. Słuchaj, coś takiego musiało się zdarzyć wcześniej czy później.

- Ale dlaczego akurat teraz? Będziemy musieli się wycofać z pertraktacji z Landsmannem.

- Wybij to sobie z głowy! Nie pozwolę ci, by stało się to pretekstem do zerwania umowy, Preston. - Berrington zaczynał żałować, że w ogóle do niego zadzwonił. Musiał jednak podzielić się z kimś szokującą wiadomością. Poza tym Preston był dobrym strategiem. - Musimy opanować w jakiś sposób sytuację.

- Kto go ściągnął na uniwersytet?

- Doktor Ferrami.

- Ten, który napisał ten przełomowy artykuł na temat przestępczości?

- Zgadza się, tyle że to nie facet, ale kobieta. Tak się składa, że bardzo atrakcyjna...

- Nie obchodzi mnie, czy jest podobna do pieprzonej Sharon Stone...

- Domyślam, że to ona ściągnęła Stevena na wydział. Był u niej, kiedy zajrzałem do jej gabinetu. Sprawdzę to.

- To jest klucz do sprawy, Berry. - Preston powoli się uspokajał i koncentrował teraz na rozwiązaniu sprawy, a nie na samym problemie. - Dowiedz się, jak go odnalazła. Będziemy mogli wtedy ocenić, w jakim znajdujemy się niebezpieczeństwie.

- Zaraz ją do siebie wezwę.

- Zadzwon, kiedy z nią skończysz, dobrze?

- Jasne.

Berrington odłożył słuchawkę, nie wezwał jednak Jeannie natychmiast. Zamiast tego odchylił się do tyłu na krześle i próbował zebrać myśli.

Na biurku stała stara czarno-biała fotografia jego ojca we wspianym białym mundurze i czapce porucznika marynarki wojennej. Berrington miał pięć lat, kiedy Wasp poszedł na dno. Jak każdy mały chłopak w Ameryce nienawidził Japończyków i bawiąc się zabijał ich całymi dziesiątkami we własnej wyobraźni. A jego tato był niezwyciężonym bohaterem, wysokim i przystojnym, dzielnym, silnym i bitnym. Wciąż pamiętał ten niepokonany gniew, który ogarnął go na wieść o tym, że Japończycy zabili tatę. Modlił się wtedy do Boga, żeby wojna trwała dostatecznie długo i mógł dorosnąć, zaciągnąć się do marynarki i samemu zabić miliony żołdków.

Nigdy nikogo nie zabił. Ale nigdy nie zatrudnił żadnego Japończyka i nigdy nie przyjął do szkoły japońskiego studenta.

Wielu mężczyzn, postawionych przed jakimś problemem, zadaje sobie pytanie, jak postąpiłby w tej sytuacji ich ojciec. To przywilej, którego nigdy nie dostąpisz, powiedzieli

mu przyjaciele. Był zbyt młody, żeby znać swojego ojca. Nie miał pojęcia, jak postąpiłby porucznik Jones w kryzysowej sytuacji. Tak naprawdę nie miał normalnego ojca, lecz herosa.

Zapyta doktor Ferrami o metody rekrutacji. A potem zaprosi ją na kolację.

Wybrał wewnętrzny numer Jeannie. Zgłosiła się po pierwszym dzwonku.

- Jeannie? To ja, Berry - odezwał się cichym tonem, który jego była żona, Vivvie, nazywała kosmatym.

- Co się, u licha, stało? - Ferrami w charakterystyczny dla siebie sposób nie bawiła się w dyplomację.

- Czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać?

- Jasne.

- Możesz wpaść do mojego gabinetu?

- Zaraz tam będę.

Czekając na nią, zastanawiał się leniwie, z iloma kobietami przespał się w życiu. Policzenie ich wszystkich po kolei zajęłoby za dużo czasu, ale mógł podejść do problemu naukowo. Miał więcej niż jedną, z pewnością więcej niż dziesięć. Czy było ich więcej niż sto? To dawałoby dwie i pół rocznie od czasu, kiedy skończył dziewiętnaście lat; średnia była na pewno wyższa. Tysiąc? Dwadzieścia pięć rocznie, nowa kobieta co dwa tygodnie przez bite czterdzieści lat? Nie, tak dobrze mu nie szło. W ciągu dziesięciu lat małżeństwa z Vivvie Ellington pozwolił sobie najwyżej na dwadzieścia skoków w bok. Nadrobił to po rozwodzie. Wynik sytuował się zatem gdzieś między setką a tysiącem. Na razie nie miał jednak zamiaru zaciągać Jeannie do łóżka. Miał zamiar dowiedzieć się, w jaki sposób skontaktowała się ze Steve'em Loganem.

Jeannie zapukała do drzwi i weszła do środka. Białe laboratoryjne fartuch włożony miała na bluzkę i spódniczkę. Berrington lubił, kiedy młode kobiety nosiły fartuch jak sukienkę, mając pod spodem tylko bieliznę. Uważał, że to seksowne.

- Dobrze, że wpadłaś - powiedział. Podstawił jej krzesło, a potem przesunął swoje zza biurka, żeby nic ich nie dzieliło. Przede wszystkim musiał wyjaśnić jej w jakiś wiarygodny sposób swoje zachowanie w trakcie spotkania ze Stevenem Loganem. Żałował, że nie poświęcił na to chwili czasu, zamiast liczyć swoje miłosne podboje.

Usiadł i posłał jej swój najbardziej rozbajający uśmiech.

- Przepraszam cię za swoje dziwaczne zachowanie. Ściągałem po prostu pewne dane z uniwersytetu w Sydney w Australii - powiedział, pokazując stojący na biurku komputer - i w momencie, kiedy przedstawiłaś mi tego młodego człowieka, uświadomiłem sobie, że nie

wyłączyłem komputera i zapomniałem zwolnić linię. Zrobiło mi się po prostu głupio i zachowałem się jak prostak.

Wyjaśnienie nie było zbyt przekonujące, ale Jeannie przyjęła je chyba do wiadomości.

- Spadł mi kamień z serca - oznajmiła szczerze. - Myślałam, że cię w jakiś sposób uraziłam.

Jak na razie nieźle.

- Chciałem porozmawiać na temat twojej pracy - podjął gładko. - Nie ukrywam, że wspaniale wystartowałaś. Jesteś tutaj dopiero cztery tygodnie, a badania są w pełnym toku. Moje gratulacje.

Jeannie pokiwała głową.

- Zanim przeszłam tu oficjalnie na etat, prowadziłam latem długie rozmowy z Herbem i Frankiem - stwierdziła. Herb Dickson był dziekanem wydziału, a Frank Demidenko kierownikiem katedry. - Dopracowaliśmy wcześniej wszystkie szczegóły.

- Powiedz coś więcej. Czy wyłoniły się jakieś problemy? Coś, w czym mógłbym pomóc?

- Największym moim problemem jest rekrutacja - przyznała. - Ponieważ nasi badani są ochotnikami, większość z nich, podobnie jak Steve Logan, to przedstawiciele klasy średniej, którzy wierzą, że porządny obywatel ma obowiązek wspierać badania naukowe. Alfonsi i handlarze narkotyków nie podzielają raczej tego zdania.

- O czym zapominają oczywiście wspomnieć nasi liberałowie.

- Z drugiej strony, nie sposób dowiedzieć się wiele na temat agresji i przestępczości, kiedy studiuje się praworządne amerykańskie rodziny. Rozwiązanie problemu rekrutacji było więc kluczową sprawą dla moich badań.

- I rozwiązałaś go?

- Tak mi się wydaje. Uświadomiłam sobie, że informacje medyczne na temat milionów Amerykanów opierają się dzisiaj na wielkich bankach danych, gromadzonych przez firmy ubezpieczeniowe i agencje rządowe. Są tam między innymi dane, które pozwalają rozstrzygnąć, czy bliźnięta są jedno - czy dwu-jajowe: fale mózgowe, elektrokardiogramy i tak dalej. Gdybyśmy zdołali na przykład odszukać parę identycznych elektrokardiogramów, byłby to świetny sposób identyfikacji bliźniaków. A gdyby bank danych był dość duży, mogłoby się okazać, że niektóre z nich były wychowywane oddzielnie. Mało tego: niektórzy mogliby nawet nie wiedzieć, że są bliźniakami.

To genialny pomysł - stwierdził Berrington. - Prosty, ale oryginalny. - Naprawdę tak uważał. Wychowywane oddzielnie bliźnięta jednojajowe były bardzo ważne dla badań genetycznych i naukowcy chwyтали się różnych sposobów, żeby je odszukać. Do tej pory jedyną metodą była rekrutacja poprzez środki przekazu: bliźniaki czytały artykuły na temat prowadzonych badań i zgadzały się wziąć w nich udział. Uzyskany w ten sposób materiał obejmował jednak w przeważającej części, jak słusznie zauważyła Jeannie, ciesząc się poważaniem klasę średnią, co wypaczało wyniki i stanowiło zasadniczy problem w studiach nad przestępczością.

Dla niego osobiście była to jednak katastrofa. Patrząc Jeannie prosto w oczy, Berrington starał się ukryć zdenerwowanie. Sytuacja była gorsza, niż sądził. Nie dalej jak wczoraj Preston Berek powiedział: "Wszyscy wiemy, że ta firma ma pewne sekrety". Jim Proust odparł, że nikt ich nie odkryje. Nie wziął pod uwagę Jeannie Ferrami.

- Odnalezienie identycznych elementów w banku danych nie jest takie łatwe, jak się wydaje - stwierdził Berrington, czepiając się nadziei.

- To prawda. Obrazy graficzne zajmują wiele megabajtów. Przeszukanie takich danych jest z pewnością trudniejsze niż sprawdzenie Spellcheckiem pracy doktorskiej.

- Przypuszczam, że to dość poważny problem dla programisty. I co zrobiłaś?

- Napisałam swój własny program.

Berrington nie krył zdumienia.

- Własny program?

- Jasne. Zrobiłam, jak wiesz, dyplom z informatyki na Princeton. Kiedy byłam w Minnesocie, pracowałam z moją profesora nad neurosieciowym systemem rozpoznawania obrazów.

"Czy ta kobieta jest aż tak sprytna?"

- Na czym to polega?

- Używa się fuzzy logic, żeby przyspieszyć porównywanie obrazów. Pary, których szukamy, są podobne, ale nie do końca identyczne. Zdjęcia identycznych zębów, zrobione przez różnych techników przy użyciu różnej aparatury nie są zupełnie takie same. Ale ludzkie oko widzi, że są takie same. I kiedy te zdjęcia się zeskanuje, zdygitalizuje i zmagazynuje w formie elektronicznej, wyposażony w fuzzy logic komputer może rozpoznać w nich parę.

- Wyobrażam sobie, że twój komputer jest wielkości Empire State Building.

- Opracowałam metodę skrócenia procesu porównywania przez sprawdzanie wyłącznie małego fragmentu przetworzonego cyfrowo obrazu. Pomyśl tylko: żeby poznać

przyjaciela, nie potrzebujesz przyglądać się całej postaci... wystarczy ci jego twarz. Samochodowi entuzjaści potrafią zidentyfikować najbardziej znane marki na podstawie fotografii przedniej lampy. Moja siostra rozpoznaje wszystkie przeboje Madonny po wysłuchaniu dziesięciu sekund nagrania.

- Ale to stwarza możliwość błędu. Jeannie wzruszyła ramionami.

- To prawda, nie przeglądając całości obrazu, ryzykujemy pominięcie pewnych par. Z drugiej strony, cały proces udaje się jednak w radykalny sposób przyspieszyć, a margines błędu jest bardzo niewielki. To kwestia statystyki i rachunku prawdopodobieństwa.

Mógł się tego spodziewać: wszyscy psychologowie studiują statystykę.

- Ale jak ten sam software może skanować rentgeny, elektrokardiogramy i linie papilarne?

- Program rozpoznaje obraz w formie elektronicznej. Nie obchodzi go konkretny graficzny kształt.

- I wszystko to działa?

- Na to wygląda. Pozwolono mi wypróbować program na banku danych stomatologicznych, należącym do dużej firmy ubezpieczeń medycznych. Uzyskałam kilkaset par. Lecz interesują mnie oczywiście tylko bliźniaki wychowywane osobno.

- Jak ich wyłuskujesz?

- Wyeliminowałam wszystkie pary o tych samych nazwiskach i wszystkie zamężne kobiety, ponieważ większość z nich przybiera nazwisko męża. Zostały mi bliźniaki, które bez widocznego powodu noszą różne nazwiska.

Genialne, pomyślał Berrington. Nie wiedział, czy podziwiać Jeannie, czy bać się tego, co jeszcze uda jej się odkryć.

- Ile par ci zostało? - zapytał.

Trzy. Trochę mnie to rozczerowało. Spodziewałam się więcej. Jeden z bliźniaków zmienił nazwisko na arabskie, bo nawrócił się na islam. Druga para zniknęła bez śladu. Na szczęście trzecia para stanowi dokładny przykład tego, czego szukam: Steven Logan jest praworządnym obywatelem, a Dennis Pinker mordercą.

Berrington dobrze o tym wiedział. Przed kilkunastoma miesiącami Dennis Pinker wyłączył późnym wieczorem prąd w kinie w czasie seansu, a następnie korzystając z paniki dobrał się do kilku kobiet. Jedna z dziewcząt próbowała się najwyraźniej bronić i Dennis zabił ją.

A więc Jeannie odnalazła Dennisa. Chryste, ona jest naprawdę niebezpieczna. Może wszystko zniszczyć: przejęcie firmy, karierę polityczną Jima, Genetico, nawet reputację

nauką Berringtona. Strach sprawił, że ogarnął go gniew; jak to możliwe, żeby wszystko, nad czym pracował, zostało narażone na szwank przez jego własną protegowaną? Nie potrafił jednak tego w żaden sposób przewidzieć.

To, że znalazła się na Uniwersytecie Jonesa Fallsa, stanowiło zresztą szczęście w nieszczęściu: dzięki temu dowiedział się w ogóle, co im grozi. Nie miał jednak pojęcia, jak pokrzyżować jej szyki. Gdyby tylko jej archiwum mogło spłonąć w pożarze, a ona sama zginąć w wypadku. Ale to były tylko fantazje.

Może zdoła podważyć jej wiarę w skuteczność programu?

- Czy Steven Logan wie, że został adoptowany? - zapytał.

- Nie. - Na twarzy Jeannie ukazało się zakłopotanie. - Wiemy, że rodzice często ukrywają przed dziećmi fakt adopcji, ale on uważa, że jego matka powiedziałaby mu prawdę. Istnieje jednak wiele innych wytłumaczeń. Przypuśćmy, że z jakiegoś powodu nie mogli adoptować dziecka normalnymi kanałami i kupili je. Wtedy mogliby go okłamywać.

- Albo twój program nie jest taki niezawodny - mruknął Berrington. - Z faktu, że dwaj chłopcy mają identyczne zęby, nie wynika jeszcze, że są bliźniakami.

- Nie sędzę, żeby mój program miał jakieś wady - odparła z werwą Jeannie. - Niepokoi mnie jednak to, iż będę musiała mówić dziesiątkom ludzi, że być może zostali zaadoptowani. Nie jestem nawet pewna, czy mam prawo ingerować w ten sposób w ich życie. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z wagi tego problemu.

Berrington spojrział na zegarek.

- Nie mam w tej chwili czasu, ale chętnie porozmawiałbym z tobą dłużej na ten temat. Czy masz wolny wieczór?

- Dzisiaj?

- Tak.

Widział, że się waha. Jedli już raz wspólnie kolację na Międzynarodowym Kongresie Studiów nad Bliźniakami, gdzie się poznali. Po jej przyjeździe na JFU zaprosił ją raz na drinka do mieszczącego się na terenie uczelni klubu pracowników naukowych. Którejś soboty spotkali się przypadkowo podczas zakupów w Charles Village i Berrington oprowadził ją po baltimorskim muzeum sztuki. Nie była w nim zakochana, w żadnym wypadku, ale widział, że dobrze się czuje w jego towarzystwie. Poza tym był jej mentorem; niełatwo było mu odmówić.

- Jasne - odparła.

- Może pójdziemy do Hamptons, w Harbour Court Hotel? Moim zdaniem to najlepsza restauracja w mieście. - W każdym razie najmodniejsza.

- Doskonale - powiedziała wstając z krzesła.
- Podjadę po ciebie o ósmej?
- Dobrze.

Kiedy się od niego odwracała, Berrington wyobraził sobie nagle jej nagie gładkie plecy, nagi tyłek i długie aż do samej ziemi nogi. Przez chwilę zaschło mu w gardle z pożądania. A potem zamknęły się za nią drzwi.

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się lubieżnych fantazji, i zadzwonił ponownie do Prestona.

- Jest gorzej, niż myślałem - oznajmił bez zbędnych wstępów. - Napisała program komputerowy, który przeczesuje banki danych i szuka pasujących do siebie par. Przy pierwszym podejściu odnalazła Stevena i Dennisa.

- Cholera.
- Musimy powiedzieć Jimowi.
- Powinniśmy się wszyscy trzej spotkać i zastanowić, co robić dalej. Może dziś wieczorem?

- Dzisiaj zabieram Jeannie na kolację.

- Myślisz, że to rozwiąże sytuację?

- W każdym razie nie pogorszy jej.

- Wciąż boję się, że w rezultacie będziemy musieli się wycofać z transakcji z Landsmannem.

- Nie zgadzam się. Jest sprytna jak mało kto, ale jednej dziewczynie nie uda się odkryć w ciągu tygodnia całej historii - odparł Berrington, lecz potem, kiedy odłożył słuchawkę, pomyślał, że nie powinien być tego taki pewien.

8.

Słuchający wykładu studenci wiercili się w ławkach i widać było, że trudno jest im się skupić. Jeannie też czuła się podenerwowana. Powodem był pożar i gwałt. Ich przytulny akademicki świat legł w gruzach. Wszyscy wracali pamięcią do tego, co się wydarzyło.

- Zaobserwowane różnice w poziomie inteligencji istot ludzkich można wyjaśnić trzema rodzajami czynników - mówiła. - Po pierwsze odmiennymi genami. Po drugie odmiennym środowiskiem. Po trzecie błędem pomiaru. - Przerwała na chwilę. Wszyscy notowali pilnie w zeszytach.

Zauważyła już wcześniej ten mechanizm. Za każdym razem, gdy podawała jakąś informację w punktach, natychmiast ją zapisywali. Gdyby powiedziała po prostu "odmienne geny, odmienne środowisko, błąd pomiaru", większość nic by nie zanotowała. Od czasu kiedy zaobserwowała ten syndrom, starała się zawrzeć jak najwięcej treści wykładu w formie punktów.

Była dobrą nauczycielką - trochę ku własnemu zaskoczeniu. Nie uważała na ogół swoich studentów za zbyt zdolnych. Była niecierpliwa, czasami nawet opryskliwa, tak jak tego ranka z sierżant Delaware. Ale miała dar klarownego i precyzyjnego przekazywania wiedzy i uwielbiała wyjaśniać różne rzeczy. Nic nie mogło się równać z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach studenta.

- Możemy przedstawić to w formie równania... - powiedziała, po czym odwróciła się i zapisała je kredą na tablicy.

$$V_t = V_g + V_e = V_m$$

- ...gdzie V_t oznacza łączną wariancję, V_g komponent genetyczny, V_e komponent środowiskowy, a V_m błąd pomiaru. - Wszyscy zapisali równanie. - Ten sam wzór można zastosować do każdej wymiernej różnicy dzielącej istoty ludzkie, poczynając od wagi i wzrostu aż do skłonności do wiary w Boga. Czy ktoś dostrzega, na czym polega niedoskonałość tego równania? - Nikt się nie odezwał, dała więc pewną wskazówkę. - Suma może być większa od składników. Ale dlaczego?

Odpowiedział jej jeden z młodych mężczyzn. Głos zabierali na ogół mężczyźni; kobiety były irytująco nieśmiałe.

- Ponieważ geny i środowisko oddziałują na siebie wzajemnie, zwielokrotniając efekt?

- Zgadza się. Geny kierują nas ku pewnym środowiskowym doświadczeniom i odsuwają od innych. Niemowlęta o różnych temperamentach traktowane są w różny

sposób przez rodziców. Aktywne dzieci mają inne doświadczenia niż te spokojniejsze, nawet w tym samym domu. Niesforne nastolatki zażywają więcej narkotyków niż członkowie chóru chłopięcego w tym samym miasteczku. Po prawej stronie równania musimy zatem umieścić wartość C_{ge} , oznaczającą kowariancję genów i środowiska. - Zapisała to na tablicy i zerknęła na swój wojskowy szwajcarski zegarek. - Czy macie jakieś pytania?

Dla odmiany tym razem odezwała się kobieta, Donna-Marie Dickson, inteligentna, lecz nieśmiała pielęgniarka, która po trzydziestce wróciła na studia.

- A co z Osmondami? - zapytała.

Rozległy się głośnie śmiechy.

- Wyjaśnij, co masz na myśli Donna-Marie - poprosiła Jeannie. - Niektórzy ze studentów są zbyt młodzi, żeby pamiętać Osmondów.

- To był taki zespół muzyczny w latach siedemdziesiątych. Składał się z braci i sióstr. Cała rodzina była muzykalna. Ale nie mieli tych samych genów, nie byli bliźniakami. Wydaje się, że to otoczenie wpłynęło na to, że zostali muzykami. To samo mamy w przypadku Jackson Five. - Inni studenci, w większości młodszy, ponownie wybuchnęli śmiechem i Donna-Marie uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Zdradziłam chyba swój wiek - dodała.

- Pani Dickson zwróciła uwagę na bardzo ważną sprawę i dziwię się, że nikt inny o tym nie pomyślał. - W rzeczywistości Jeannie wcale to nie zdziwiło, ale chciała dodać odwagi Donnie-Marie. - Charyzmatyczni i oddani rodzice mogą spowodować, że wszystkie ich dzieci poświęcą się pewnej idei niezależnie od tego, jakie mają geny. Podobnie jak rodzice maltretujący dzieci mogą wychować całą rodzinę na schizofreników. Ale to są skrajne przypadki. Niedożywione dziecko będzie niskiego wzrostu, mimo że jego rodzice i dziadkowie byli wysocy. Przekarmione dziecko będzie tłuste, jeśli nawet miało szczupłych przodków. Tak czy owak, najnowsze badania wydają się coraz wyraźniej wskazywać, że to raczej dziedzictwo genetyczne, a nie środowisko lub styl wychowania determinuje charakter dziecka. - Przerwała na chwilę. - Jeśli nie ma więcej pytań, proszę do przyszłego poniedziałku przeczytać artykuł Boucharda i innych w "Science" z dwunastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Studenci zaczęli pakować książki. Jeannie została jeszcze kilka chwil, żeby dać szansę osobom, które były zbyt nieśmiałe, aby zadać jej pytanie podczas wykładu. Introwertycy często zostawiali wielkimi uczonymi.

Do biurka podeszła Donna-Marie. Miała okrągłą twarz i jasne kręcone włosy. Jeannie pomyślała, że musi być dobrą pielęgniarką, spokojną i skuteczną.

- Tak mi przykro z powodu biednej Lisy - powiedziała Donna-Marie. - To straszne, co się stało.

- A policja jeszcze pogorszyła sprawę - odparła Jeannie. - Gliniarz, który odwiózł ją do szpitala, był wyjątkowym idiotą, naprawdę.

- To fatalnie. Ale może złapią faceta, który to zrobił. Na całym kampusie rozdają ulotki z jego podobizną.

- Doskonale. - Podobizna, o której mówiła Donna-Marie, musiała zostać sporządzona na programie komputerowym Mish Delaware. - Kiedy od niej rano wyszłam, pracowałam nad tym portretem z policjantką.

- Jak ona się czuje?

- Jest jakby odrętwiała... lecz także trochę roztrzęsiona.

Donna-Marie pokiwała głową.

- Zgwałcone kobiety przechodzą różne fazy, widziałam to już przedtem. Pierwsza faza to zaprzeczenie. Chcą zostawić to za sobą, mówią, i żyć dalej, tak jak żyły. Ale nigdy nie okazuje się to takie łatwe.

- Może powinna z tobą porozmawiać. Świadomość tego, z czym trzeba się liczyć, chyba by jej pomogła.

- Kiedy tylko zechce - odparła Donna-Marie.

Jeannie ruszyła przez kampus w stronę Wariatkowa. Wciąż było gorąco. Uświadomiła sobie, że rozgląda się uważnie dookoła - niczym nerwowy kowboj z westernu - jakby spodziewała się, że w każdej chwili zza rogu może wyskoczyć i zaatakować ją jakiś napastnik. Uniwersytet Jonesa Fallsa stanowił do tej pory staroświecką oazę spokoju, położoną pośrodku pustyni współczesnej amerykańskiej metropolii. Ze swoimi sklepami i bankami, boiskami sportowymi i parkometrami, barami, biurami i akademikami rzeczywiście przypominał małe miasteczko. Z pięciu tysięcy uczących się i pracujących tu osób, połowa mieszkała na terenie uczelni. Ale teraz uniwersytet przestał być bezpieczny. Ten facet nie miał prawa tego zrobić, pomyślała z goryczą Jeannie; nie miał prawa spowodować, że boję się przebywać we własnym miejscu pracy. Może przestępstwo zawsze ma taki efekt: sprawia, że solidny grunt zaczyna się nagle chwiać pod nogami.

Wchodząc do swojego gabinetu zaczęła myśleć o Berringtonie Jonesie. Był atrakcyjnym mężczyzną, bardzo miłym wobec kobiet. Wspominała z przyjemnością każdą

spędzoną z nim chwilę. Miała wobec niego dług wdzięczności: to on w końcu załatwił jej tę pracę.

A jednak był trochę zbyt ugrzeczniony. Podejrzewała, że może manipulować kobietami. Zawsze nasuwał jej na myśl dowcip o mężczyźnie, który mówi do kobiety: Opowiedz mi coś o sobie. Jaka jest na przykład twoja opinia na mój temat?

Pod pewnymi względami wcale nie przypominał uczonego. Ale Jeannie zauważyła już, że ludzie sytuujący się na samym szczycie uniwersyteckiej hierarchii odbiegają znacznie od stereotypu roztargnionego profesora. Berrington wyglądał i zachowywał się jak człowiek władzy. Od kilkunastu lat nie miał już na swoim koncie dużych naukowych sukcesów, ale to było normalne; genialnych osiągnięć, takich jak na przykład odkrycie podwójnej spirali DNA, dokonywali na ogół ludzie poniżej trzydziestego piątego roku życia. Starzejąc się, naukowcy dzielili się swoim doświadczeniem i intuicją z młodszymi, świeższymi umysłami. Chociaż wykładał na trzech uczelniach i organizował dotacje z Genetico, Berrington dobrze wywiązywał się z tej roli. Nie cieszył się jednak takim szacunkiem, jakim mógłby się cieszyć, innym naukowcom nie podobało się bowiem jego zaangażowanie w politykę. Ceniąc jego dokonania naukowe, Jeannie z pewnością nie podzielała jego poglądów politycznych.

Z początku uwierzyła bezkrytycznie w historyjkę o ściąganiu danych z Australii; po namyśle jednak nie była już taka pewna. Patrząc na Stevena Logana, Berry zobaczył upiora, a nie zawyżony rachunek telefoniczny.

Wiele rodzin miało swoje sekrety. Zamężna kobieta mogła mieć kochanka i tylko ona wiedziała, kto jest prawdziwym ojcem dziecka. Młoda dziewczyna mogła urodzić dziecko, oddać je matce i przy zgodzie dochowującej sekretu rodziny udawać, że jest jego starszą siostrą. Dzieci bywały adoptowane przez sąsiadów, krewnych i przyjaciół, którzy ukrywali prawdę. Lorraine Logan nie była kobietą, która trzymałaby w tajemnicy fakt zwykłej adopcji, mogła mieć jednak dziesiątki innych powodów, żeby nie powiedzieć prawdy Stevenowi. Ale co miał z tym wspólnego Berrington? Czy był prawdziwym ojcem Stevena? Jeannie uśmiechnęła się na tę myśl. Berry był przystojny, lecz o co najmniej sześć cali niższy od Stevena. Chociaż wszystko było możliwe, takie wytłumaczenie wydawało się mało prawdopodobne.

To, że w całej sprawie tkwi jakaś zagadka, nie dawało jej spokoju. Pod każdym innym względem odnalezienie Stevena Logana stanowiło wielki sukces. Był praworządnym obywatelem, a jego bliźniak zatwardziałym przestępcą. Fakt, że go odszukała, świadczył o skuteczności programu komputerowego i potwierdzał jej teorię na temat przestępczości.

Zanim będzie można mówić o przekonujących dowodach, musiała oczywiście znaleźć setki podobnych do Steve'a i Dennisa par bliźniaków, nie mogła jednak zacząć lepiej swojego programu badań.

Jutro spotka się z Dennisem. Jeśli okaże się czarnowłosym karłem, będzie to znaczyło, że popełniła jakiś błąd. Ale jeśli się nie myli, Dennis Pinker będzie sobowtórem Stevena Logana.

Wiadomość, że Logan nie miał pojęcia, iż mógł zostać adoptowany, bardzo ją poruszyła. Wiedziała, że musi znaleźć jakiś sposób, żeby uniknąć tego rodzaju wstrząsów. W przyszłości skontaktuje się najpierw z rodzicami, sprawdzi, ile powiedzieli swoim dzieciom i dopiero wtedy zwróci się do bliźniaków. Spowolni to trochę tempo pracy, ale nie było innego wyjścia: nie mogła pełnić roli osoby, która ujawnia rodzinne sekrety.

Problem był do rozwiązania, nie mogła się jednak pozbyć niepokoju, który zbudziły w niej sceptyczne pytania Berringtona i niedowierzanie Stevena Logana. Z pewnymi obawami myślała o następnym etapie pracy. Miała zamiar użyć swojego programu do przeszukania kartoteki linii papilarnych FBI.

Było to dla niej idealne źródło. Wśród figurujących w kartotece dwudziestu dwu milionów ludzi wielu było podejrzanych o popełnienie przestępstwa albo skazanych na jakąś karę. Jeśli jej program jest rzeczywiście skuteczny, powinna uzyskać w ten sposób setki par bliźniaków, w tym również kilka takich, które wychowywano oddzielnie. Mogło to oznaczać pokaźny krok naprzód. Najpierw jednak musiała otrzymać zgodę Biura.

Jej najlepsza szkolna przyjaciółka, genialna matematyczka hinduskiego pochodzenia, Ghita Sumra, zajmowała teraz wysokie stanowisko w dziale informatycznym FBI. Pracowała w Waszyngtonie, ale mieszkała tutaj, w Baltimore. Ghita zgodziła się już poprosić swoich zwierzchników, żeby pomogli Jeannie. Obiecała, że decyzja zapadnie pod koniec tygodnia, lecz Jeannie chciała ją trochę ponaglić. Wybrała jej numer.

Ghita urodziła się w Waszyngtonie, ale w jej głosie słychać było miękkie zaokrąglone samogłoski indyjskiego subkontynentu.

- Cześć, Jeannie, jak ci się udał weekend? - zapytała.

- Fatalnie. Mojej mamie pomieszało się w końcu w głowie i musiałam ją umieścić w domu opieki.

- Przykro mi to słyszeć. Co takiego zrobiła?

- Zapomniała, że jest środek nocy i wstała z łóżka, zapomniała się ubrać i wyszła kupić karton mleka, a potem zapomniała, gdzie mieszka.

- I co się stało?

- Znalazła ją policja. Na szczęście miała w torebce mój przekaz i udało im się mnie zlokalizować.

- Jak się teraz czujesz?

To było kobiece pytanie. Mężczyźni - Jack Budgen, Berrington Jones - pytali, co ma zamiar zrobić. Kobieta pytała, jak się czuje.

- Źle - odparła. - Jeśli muszę się już teraz zająć własną matką, kto zajmie się mną? Rozumiesz?

- Co to za dom opieki?

- Tani. Tylko na taki starcza jej ubezpieczenie. Wyciągnę ją stamtąd, kiedy tylko uzbieram forszę na coś lepszego. W słuchawce zapadła cisza i Jeannie uświadomiła sobie, że Ghita obawia się prośby o pożyczkę. - Mam zamiar dawać korepetycje w weekendy - dodała szybko. - Czy rozmawiałaś już z szefem o mojej propozycji?

- Wyobraź sobie, że rozmawiałam.

Jeannie wstrzymała oddech.

- Wszyscy bardzo się tutaj zainteresowali twoim programem - stwierdziła Ghita.

To nie była ani odpowiedź twierdząca, ani odmowna.

- Nie macie własnych programów przeszukujących?

- Mamy, ale twoja maszynka jest o wiele szybsza od wszystkiego, czym dysponujemy. Mówi się o wykupieniu od ciebie licencji.

- No, no. Może nie będę jednak musiała udzielać korepetycji.

Ghita roześmiała się.

- Zanim otworzysz szampana, musimy upewnić się, czy program rzeczywiście działa.

- Jak długo to potrwa?

- Uruchomimy go w nocy, żeby nie przeszkadzać normalnym użytkownikom bazy danych. Muszę poczekać na jakąś spokojną noc. Powinniśmy to zrobić w tym albo przyszłym tygodniu.

- Nie da się szybciej?

- Tak ci się pali?

Rzeczywiście się paliło, ale Jeannie nie chciała opowiadać Ghicie o swoich obawach.

- Jestem po prostu niecierpliwa.

- Zrobię to jak najszybciej, nie martw się. Czy możesz przekazać mi program przez modem?

- Jasne. Ale czy nie sądzisz, że powinnam tam być, kiedy go uruchomisz?

- Nie, nie sądzę.

Jeannie poznała po głosie Ghity, że się uśmiecha.

- Oczywiście, na pewno znasz się na tych rzeczach lepiej ode mnie.

- Oto adres, na który możesz to wysłać. - Ghita podała jej adres poczty elektronicznej. - Rezultaty prześlę ci tą samą drogą.

- Dzięki. Słuchaj, Ghita?

- No?

- Czy będę potrzebowała doradcy podatkowego?

- Idź się powieś. - Ghita roześmiała się i odłożyła słuchawkę.

Jeannie włączyła mysz America OnLine i weszła do Internetu. Kiedy jej program wgrywał się na dysk FBI, rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Steven Logan.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem. To, czego się dziś dowiedział, wywarło na nim silne wrażenie i widać to było po jego twarzy; był jednak młody i silny, więc wstrząs nie spowodował jakiegoś większego urazu. Miał bardzo stabilną psychikę. Gdyby reprezentował typ kryminalisty - jak jego brat Dennis - z pewnością wdałby się do tej pory z kimś w bójkę.

- Co słyhać? - zapytała.

- Już po wszystkim - odparł, zamykając za sobą drzwi piętą. - Zaliczyłem wszystkie testy, poddałem się wszystkim badaniom i wypełniłem wszystkie kwestionariusze, które zdołał wymyślić rodzaj ludzki.

- W takim razie może pan wracać do domu.

- Wpadłem na pomysł, żeby zostać wieczorem w Baltimore. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy nie zjadłaby pani ze mną kolacji.

Zaskoczył ją.

- Po co? - zapytała niezbyt uprzejmie.

Trochę go to zdeprymowało.

- No... na przykład chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o pani badaniach.

- Ach tak... Niestety, jestem już dzisiaj umówiona na kolację.

Sprawiał wrażenie bardzo rozczarowanego.

- Uważa pani, że jestem za młody?

- Na co?

- Żeby wybrać się z panią na randkę.

W końcu to do niej dotarło.

- Nie wiedziałam, że zaprasza mnie pan na randkę.

- Trochę mało pani domyślna - stwierdził z zażenowaniem.

- Przepraszam. - To prawda, była mało domyślna. Podrywał ją już wcześniej na korcie tenisowym. Ale przez cały dzień myślała o nim wyłącznie jako o osobie poddawanej badaniom. Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanowiła, rzeczywiście wydał się jej za młody. Miał dwadzieścia dwa lata i dopiero studiował; ona miała siedem lat więcej.

- Ile lat ma facet, który panią zaprosił?

- Pięćdziesiąt dziewięć albo sześćdziesiąt. Coś koło tego.

- Lubi pani starych.

Jeannie zrobiło się przykro, że go rozczarowała. Coś jestem mu winna, pomyślała, po tym wszystkim, co przeze mnie przeszedł. Jej komputer wydał podobny do dzwonka dźwięk zawiadamiający, że skończył wgrywać program.

- Mam teraz chwilę czasu - powiedziała. - Może wstąpi pan ze mną na drinka do klubu pracowników naukowych?

Steven natychmiast się rozchmurzył.

- Jasne, bardzo chętnie. Czy jestem odpowiednio ubrany?

Miał na sobie spodnie khaki i błękitną płócienną koszulę.

- Lepiej niż większość przesiadujących tam profesorów - stwierdziła z uśmiechem.

Wyszła z Internetu i wyłączyła komputer.

- Dzwoniłem do mamy - oznajmił Steven. - Opowiedziałem jej o pani teorii.

- Była wściekła?

- Śmiała się. Oświadczyła, że mnie nie adoptowała i że nie miałem brata bliźniaka, którego adoptowałby ktoś inny.

- To dziwne. - Jeannie odetchnęła z ulgą słysząc, że rodzina Loganów przyjęła to tak spokojnie. Z drugiej strony, ich sceptycyzm sprawił, że zaczęła wątpić w to, czy Steven i Dennis są rzeczywiście bliźniakami.

- Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę... - zaczęła i umilkła. Usłyszał od niej tego dnia już dosyć wstrząsających rzeczy. Zdecydowała się jednak brnąć dalej. - Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie przypuszczenia, że Dennis i pan jesteście bliźniakami.

- Wiem, o czym pani myśli - odparł. - Dzieci zamienione w szpitalu.

Był bardzo bystry. Już wcześniej w ciągu dnia zauważyła, jak szybko kojarzy fakty.

- Zgadza się - powiedziała. - Matka numer jeden ma jednojajowe bliźnięta, matki numer dwa i trzy mają chłopców. Bliźniaki trafiają do matek numer dwa i trzy, a ich niemowlęta do matki numer jeden. Kiedy dzieci dorastają, matka numer jeden dochodzi do wniosku, że ma dwujajowe bliźnięta, które nie są do siebie zbyt podobne.

I jeśli matka numer dwa i matka numer trzy się nie znają, nikt nie zwróci uwagi na uderzające podobieństwo ich dzieci.

- To stary motyw eksploatowany przez autorów romansów - przyznała. - Ale nie można tego wykluczyć.

- Czy są jakieś książki na temat bliźniaków? - zapytał. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

- Mam tutaj jedną... - Jeannie spojrzała na półkę. - Nie, obawiam się, że zabrałam ją do domu.

- Gdzie pani mieszka?

- Niedaleko.

- Mogłaby pani zaprosić mnie na tego drinka do domu.

Zawahala się. To jest ten normalny bliźniak, tłumaczyła sobie, nie psychopata.

- Po dzisiejszym dniu wie pani o mnie tyle rzeczy - stwierdził. - Ja też chciałbym się o pani czegoś dowiedzieć. Zobaczyć, gdzie pani mieszka.

Jeannie wzruszyła ramionami.

- Jasne, czemu nie. Chodźmy.

Była piąta po południu i kiedy wyszli na dwór, zaczęło się w końcu trochę ochładzać. Steve gwizdnął na widok mercedesa.

- Niezły wózek!

- Mam go od ośmiu lat - stwierdziła. - Uwielbiam go.

- Mój samochód jest na parkingu. Podjadę z tyłu i błysnę światłami - powiedział i odszedł.

Jeannie wsiadła do mercedesa i włączyła silnik. Po minucie zobaczyła w tylnym lusterku zapalone światła i ruszyła z miejsca.

Wyjeżdżając z terenu uczelni spostrzegła, że za wozem Steve'a rusza policyjny samochód. Zerknęła na szybkościomierz i zwolniła do trzydziestu mil.

Wyglądało na to, że Steven Logan się w niej zadurzył. Chociaż nie odwzajemniała jego uczuć, była zadowolona. Pochlebiali jej, że zdobyła serce młodego przystojnego chłopaka.

Steve siedział jej na ogonie przez całą drogę. Zatrzymała się przed swoim domem, a on zaparkował zaraz za nią.

Podobnie jak przy wielu innych baltimorskich uliczkach, stojące szeregowo domy miały od frontu długą wspólną werandę, na której przed wprowadzeniem klimatyzacji

przesiadali, szukając ochłody, mieszkańcy. Jeannie wbiegła po schodkach na werandę, stanęła przy swoich drzwiach i wyjęła klucze.

Z samochodu policyjnego wyskoczyli nagle dwaj uzbrojeni gliniarze i zajęli pozycje strzeleckie, trzymając broń w wyciągniętych sztywno rękach i celując prosto w Jeannie i Steve'a.

Serce stanęło Jeannie w piersi.

- Co jest, kurwa... - powiedział Steve.

- Nie ruszać się! Policja! - wrzasnął jeden z mężczyzn.

Jeannie i Steve podnieśli oboje ręce w górę.

Policjantom jednak to nie wystarczyło.

- Na ziemię, skurwielu - ryknął jeden z nich. - Twarzą w dół, ręce do tyłu!

Jeannie i Steve położyli się oboje na ziemi.

Policjanci podeszli do nich ostrożnie, jakby byli zegarowymi bombami.

- Czy mogliby panowie wyjaśnić, o co chodzi? - powiedziała Jeannie.

- Pani może wstać - stwierdził jeden.

- Wielkie dzięki - odparła, podnosząc się na nogi. Serce biło jej szybko, ale wyglądało na to, że gliniarze popełnili jakiś głupi błąd. - Teraz, kiedy przestraszyliście mnie już na śmierć, może powiecie mi łaskawie, co się dzieje?

Żaden z nich nie uznał za stosowne odpowiedzieć. Wciąż trzymali na muszce Steve'a. Jeden z nich ukląkł obok niego i założył mu szybkim wprawnym ruchem kajdanki.

- Jesteś aresztowany, skurwysynu - oznajmił.

- Nie jestem małym dzieckiem, ale czy te przekleństwa są naprawdę konieczne? - zapytała Jeannie. Nikt nie zwracał na nią uwagi. - Co on takiego zrobił? - spróbowała ponownie.

Za wozem patrolowym zatrzymał się z piskiem opon jasnoniebieski dodge colt i wysiadły z niego dwie osoby. Jedną z nich była Mish Delaware z Wydziału Przestępstw Seksualnych. Miała na sobie tę samą bluzkę i spódnicę, co rano, ale teraz włożyła dodatkowo płócienny żakiet, który tylko częściowo zakrywał broń na biodrze.

- Szybko pani tu dotarła - powiedział jeden z gliniarzy.

- Byłam w sąsiedztwie - odparła Mish, spoglądając na leżącego na ziemi Steve'a. -

Podnieście go.

Posterunkowy złapał Steve'a pod łokieć i pomógł mu wstać.

- To on - stwierdziła Mish. - Facet, który zgwałcił Lisę Hoxton.

- Steven? - szepnęła z niedowierzaniem Jeannie. Jezu, a ja miałam go zaprosić do swojego mieszkania.

- Zgwałcił? - zdziwił się Steven.

- Posterunkowy zauważył, jak jego samochód wyjeżdża z terenu uczelni - wyjaśniła Mish.

Jeannie po raz pierwszy przyjrzała się uważniej samochodowi Steve'a, żółtemu, mniej więcej piętnastoletniemu datsunowi. Lisie wydawało się, że widziała gwałciciela w starym białym datsunie.

Pierwszy szok minął i próbowała zebrać myśli. Podejrzewała go policja; to jeszcze nie oznaczało, że jest winny. Jakie mieli dowody?

- Jeśli macie zamiar aresztować każdego faceta, który jeździ zardzewiałym datsunem... - zaczęła.

Mish wręczyła jej kartkę papieru. Była to ulotka ze sporządzonym przez komputer czarno-białym portretem pamięciowym mężczyzny. Jeannie przyjrzała mu się. Przypominał trochę Stevena.

- To może być on, a może nie - powiedziała.

- Co pani tu z nim robi?

- Poddawaliśmy go testom w laboratorium. Nie mogę uwierzyć, że to ten facet! - Badania wykazały, że Steven odziedziczył załóżki przestępczej osobowości... ale wykazały również, że ich w sobie nie rozwinął.

- Czy może pan powiedzieć, co robił pan wczoraj między godziną siódmą a ósmą wieczorem? - zapytała Mish.

- Byłem na Uniwersytecie Jonesa Fallsa - odparł Steve.

- Po co pan tam pojechał?

- Bez specjalnego powodu. Miałem się gdzieś wybrać z moim kuzynem Rickym, ale odwołał spotkanie. Pojechałem, żeby zobaczyć, gdzie będę musiał się zgłosić dziś rano. Nie miałem nic innego do roboty.

Nawet dla Jeannie nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Może Steve jest jednak gwałcicielem, pomyślała skonsternowana. Jeśli tak, cała jej teoria nie warta była funta kłaków.

- Co pan tam dokładnie robił?

- Przez jakiś czas oglądałem mecz tenisa. Potem poszedłem do baru w Charles Village i spędziłem tam kilka godzin. Przegapiłem wielki pożar.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Rozmawiałem przez chwilę z doktor Ferrami, chociaż wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to ona.

Mish posłała jej pytające spojrzenie. Jeannie zobaczyła w jej oczach nieprzyjazny błysk i przypomniała sobie, jak starły się rano, kiedy Mish próbowała namówić Lisę do współpracy.

To było po meczu, na kilka minut przed wybuchem pożaru - mruknęła.

- Nie może więc nam pani powiedzieć, gdzie był w czasie, kiedy dokonano gwałtu.

- Nie, ale powiem pani co innego. Przez cały dzień poddawałam tego człowieka testom i wiem, że nie ma psychologicznego profilu gwałciciela.

Na twarzy Mish odbiło się powątpiewanie.

- To jeszcze nie dowód - stwierdziła.

Jeannie wciąż trzymała w ręku portret pamięciowy.

- Podobnie jak i to - oświadczyła, zgniatając go i rzucając na ziemię.

Mish dała głową znak gliniarzom.

- Idziemy.

- Chwileczkę - odezwał się wyraźnym spokojnym głosem Steve.

Policjanci puścili go.

- Nie obchodzą mnie ci faceci, Jeannie, ale chcę ci powiedzieć, że nie zrobiłem tego i nigdy czegoś takiego bym nie zrobił.

Wierzyła mu. Zastanawiała się dlaczego. Ponieważ jego niewinność świadczyłaby o słuszności jej teorii? Nie: dysponowała wynikami testów, które wykazały czarno na białym, że Logan nie ma żadnej z cech, którymi charakteryzują się przestępcy. Było jednak coś jeszcze: jej intuicja. Czowała się przy nim bezpieczna. Nie wysyłał żadnych złych sygnałów. Słuchał, kiedy do niego mówiła, nie starał się jej do niczego zmusić, nie dotknął jej w niewłaściwy sposób, nie okazał gniewu ani wrogości. Lubił kobiety i szanował ją. Nie był gwałcicielem.

- Chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła? - zapytała. - Może do twoich rodziców?

- Nie - odparł zdecydowanym tonem, - Będą się niepotrzebnie martwili. A to wyjaśni się w ciągu paru godzin. Potem im powiem.

- Nie spodziewają się ciebie dziś wieczór w domu?

- Powiedziałem, że mogę zatrzymać się jeszcze jeden dzień u Ricky'ego.

- Na pewno nie chcesz? - zapytała z powątpiewaniem.

- Na pewno.

- Chodźmy już - rzuciła niecierpliwie Mish.

- Po co ten pośpiech? - zdziwiła się Jeannie. - Chce pani aresztować kolejne niewinne osoby? Mish spiorunowała ją wzrokiem.

- Ma pani jeszcze coś do powiedzenia?

- Co go czeka?

- Stanie w szeregu. Lisa Hoxton przyjrzy mu się i powie nam, czy to on jest sprawcą. O ile oczywiście nie ma pani nic przeciwko, doktor Ferrami - dodała kpiącym tonem Mish.

- Nie, to mi odpowiada - odparła Jeannie.

9.

Zawieźli Steve'a na komendę jasnoniebieskim dodge'em coltem. Policjantka prowadziła, a jej kolega, zwalisty wąsacz, siedział obok, ledwo mieszcząc się w ciasnym samochodzie. Nikt się nie odzywał.

Steve kipiał z wściekłości. Dlaczego tłukł się w tym niewygodnym dodge'u, skuty kajdankami, podczas gdy powinien siedzieć w mieszkaniu Jeannie Ferrami, trzymając w dłoni chłodnego drinka? Powinni to po prostu jak najszybciej wyjaśnić.

Komenda policji mieściła się w gmachu z różowego granitu w zakazanej dzielnicy Baltimore, nie opodal barów topless i klubów porno. Wjechali na rampę i zaparkowali w wewnętrznym garażu. Dookoła stało pełno policyjnych radiowozów i tanich cywilnych kompaktów w rodzaju colta.

Zawieźli Steve'a na górę windą, zaprowadzili do pozbawionego okien pokoju z pomalowanymi na żółto ścianami, zdjęli mu kajdanki i zostawili samego. Zgadywał, że zamknęli drzwi na klucz: nawet tego nie sprawdził.

W pokoju był stół i dwa twarde plastikowe krzesła. Na stole stała popielniczka, a w niej dwa niedopałki z filtrem, jeden ze śladami szminki. W drzwiach tkwiła tafla nieprzezroczystego szkła: Steve nie widział przez nią, co było na zewnątrz, ale domyślał się, że oni mogą zajrzeć do środka.

Patrząc na popielniczkę, poczuł, że ma ochotę zapalić. Mógłby przynajmniej czymś zająć ręce. Zamiast tego zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

Powtarzał sobie, że tak naprawdę nic nie może mu grozić. Zdążył zerknąć na ulotkę i choć portret pamięciowy z grubsza go przypominał, przedstawiał przecież kogoś innego. To, że był podobny do gwałciiciela, nie ulegało kwestii, ale kiedy stanie w szeregu z kilkoma innymi wysokimi blondynami, ofiara na pewno go nie wybierze. Biedaczka chyba dobrze przyjrzała się draniowi, który to zrobił: jego twarz wryła się jej w pamięć. Nie popełni błędu.

Gliniarze nie mieli prawa kazać mu tak długo czekać. W porządku, musieli wyeliminować go z kręgu podejrzanych, ale to nie powinno trwać całą noc. Był przecież porządnym obywatelem.

Spróbował spojrzeć na to z jaśniejszej strony. Miał okazję przyjrzeć się z bliska działaniu amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Będzie swoim własnym adwokatem; przynajmniej czegoś się nauczy. Broniąc w przyszłości oskarżonego o jakąś zbrodnię klienta, będzie wiedział, co przechodzi człowiek zatrzymany przez policję.

Był już raz na komendzie, ale wtedy chodziło o zupełnie coś innego. Miał tylko szesnaście lat. Pojechał na policję razem z jednym z nauczycieli. Natychmiast przyznał się do przestępstwa i opowiedział policji szczerze o wszystkim, co się wydarzyło. Widzieli jego obrażenia; nie ulegało kwestii, że bójka była zażarta z obu stron. Rodzice przyjechali i zabrali go do domu.

To był najbardziej haniebnym moment w jego życiu. Kiedy mama i tato weszli do pokoju, w którym siedział, Steve miał ochotę umrzeć. Tato sprawiał wrażenie zawstydzonego, jakby ktoś go dotkliwie upokorzył. Na twarzy mamy widniał głęboki smutek; oboje wydawali się zdezorientowani i zranieni. Steve robił wówczas wszystko, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy; i wciąż ścisnęło go w gardle, kiedy to sobie przypominał.

Tym razem było inaczej. Tym razem był niewinny.

Do środka weszła policjantka z tekturową teczką w ręku. Zdjęła żakiet, ale wciąż miała pistolet w kaburze przy pasie. Była atrakcyjną, mniej więcej czterdziestoletnią czarną kobietą, z niewielką nadwagą i miną, która świadczyła, że ona jest tu szefem.

Steve spojrzął na nią z ulgą.

- Dzięki Bogu - mruknął.

- Za co pan dziękuje?

- Że coś się dzieje. Nie chcę spędzić tutaj całej cholernej nocy.

- Czy może pan usiąść?

Steve usiadł.

- Jestem sierżant Michelle Delaware. - Policjantka wyjęła z teczki pojedynczą kartkę i położyła ją na stole. - Jak brzmi pana pełne nazwisko i adres?

Steve powiedział jej, a ona wpisała dane do formularza.

- Wiek?

- Dwadzieścia dwa lata.

- Wykształcenie?

- Mam dyplom ukończenia college'u.

Zanotowała to i podsunęła mu formularz. Na górze widniał nagłówek:

POLICJA MIEJSKA BALTIMORE, MARYLAND

INFORMACJA O PRAWACH PRZYSŁUGUJĄCYCH PODEJRZANEMU

Formularz numer 69

- Proszę przeczytać pięć zdań zawartych w formularzu, po czym wpisać swoje inicjały w rubryce na końcu każdego zdania - powiedziała Delaware i podała mu długopis.

Steve przeczytał formularz i zaczął wpisywać inicjały.

- Musi pan przeczytać to na głos - oznajmiła.

- Żeby wiedziała pani, że nie jestem analfabetą? - zapytał po krótkim namyśle.

- Nie. Żeby nie mógł pan później udawać, że jest analfabetą, i nie utrzymywał, że nie poinformowano pana o jego prawach.

Tego rodzaju rzeczy nie uczyli na wydziale prawa.

- Niniejszym informuje się - przeczytał - że po pierwsze, podejrzany ma prawo zachować absolutne milczenie. - Wpisał SL na końcu tej linijki i czytał dalej, umieszczając inicjały na końcu każdego zdania. - Po drugie, wszystko, co powie albo napisze, może zostać wykorzystane przeciwko niemu w trakcie śledztwa. Po trzecie, ma prawo rozmawiać z adwokatem w każdym momencie przed przesłuchaniem, podczas przesłuchania i po jego zakończeniu. Po czwarte, jeśli chce mieć adwokata, lecz nie stać go na jego wynajęcie, nie zostanie poddany przesłuchaniu, a sąd wyznaczy obrońcę z urzędu. Po piąte, jeśli się zgodzi na przesłuchanie, w każdym momencie może zażądać adwokata i nie będą mu zadawane dalsze pytania.

Teraz niech pan podpisze się pełnym nazwiskiem. - Delaware pokazała mu odpowiednie rubryki. - Tutaj i tutaj.

Pierwsza rubryka umieszczona była pod zdaniem:

PRZECZYTAŁEM POWYŻSZĄ INFORMACJĘ O PRZYSŁUGUJĄCYCH MI
PRAWACH I W PEŁNI JĄ ZROZUMIAŁEM

.....Podpis

Steve podpisał.

- I pod spodem - dodała.

Zgadzam się odpowiadać na pytania i zgadzam się, żeby w tym momencie w przesłuchaniu nie uczestniczył adwokat. Moja decyzja, aby odpowiadać na pytania bez obecności adwokata, jest całkowicie dobrowolna.

.....Podpis

- Jak, do diabła, zmuszacie ludzi, którzy są winni, żeby to podpisali? - zapytał, składając kolejny podpis.

Delaware nie odpowiedziała. Wpisała na formularzu swoje własne nazwisko, po czym schowała go do teczki i zmierzyła Steve'a przeciągłym spojrzeniem.

- Wpadłeś w kłopoty - oznajmiła. - Ale wyglądasz na porządnego faceta. Może powiesz mi po prostu, co się stało?

- Nie mogę - odparł. - Nie było mnie tam. Domyślam się, że jestem podobny do tego świra, który to zrobił.

Delaware odchyliła się do tyłu, założyła nogę na nogę i przyjaźnie się do niego uśmiechnęła.

- Znam mężczyzn - oświadczyła konfidencyjnym tonem. - Mają swoje potrzeby.

Gdybym nie wiedział, o co jej chodzi, pomyślał Steve, mógłbym sądzić, że się do mnie podwała.

- Powiem ci, jaka jest moja opinia - kontynuowała. - Jesteś atrakcyjnym chłopakiem i ta mała się w tobie zabujała.

- Nigdy nie spotkałem tej kobiety, pani sierżant.

Ignorując to, pochyliła się do przodu i położyła rękę na jego dłoni.

- Moim zdaniem cię sprowokowała.

Steve przyjrzał się jej ręce. Miała ładne paznokcie, zadbane, nie za długie i pociągnięte bezbarwnym lakierem. Ale dłoń była pomarszczona; Delaware musiała mieć więcej niż czterdzieści, może nawet czterdzieści pięć lat.

- Sama się o to prosiła, więc dlaczego miałbyś jej żałować. Mam rację? - zapytała konspiracyjnym szeptem, jakby chciała dać do zrozumienia, że to zostanie między nimi.

- Skąd pani to przyszło do głowy? - odparł poirytowany Steve.

- Wiem, jakie są dziewczyny. Zachęcała cię, a potem w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Ale było już za późno. Mężczyzna nie może ot, tak po prostu się zatrzymać, w każdym razie nie prawdziwy mężczyzna.

- Rozumiem, do czego pani zmierza - stwierdził. - Podejrzany się zgadza, żywiąc nadzieję, że zrobi na pani lepsze wrażenie; w istocie jednak przyznaje, że miał stosunek i wtedy połowę roboty ma pani z głowy.

Sierżant Delaware odchyliła się do tyłu ze znudzonym wyrazem twarzy i Steve domyślił się, że jego przypuszczenia były słuszne.

- Dobrze, cwaniaku, chodź ze mną - powiedziała wstając.

- Gdzie idziemy?

- Do celi.

- Chwileczkę. Kiedy będzie konfrontacja?

- Kiedy tylko skontaktujemy się z ofiarą i sprowadzimy ją tutaj.

- Nie możecie trzymać mnie w nieskończoność bez dopełnienia formalności prawnych.

- Możemy trzymać cię przez dwadzieścia cztery godziny bez żadnych formalności, więc przymknij się i chodź.

Zjechała razem z nim windą i zaprowadziła do pomalowanego na brązowy kolor pomieszczenia. Ostrzeżenie na ścianie przypominało funkcjonariuszom, żeby podczas przeszukania trzymali podejrzanych w kajdankach. Za wysokim biurkiem stał czarny, dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna.

- Cześć, Spike - pozdrowiła go sierżant Delaware. - Mam dla ciebie cwanego studenta.

Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli jest taki sprytny, jakim cudem tu trafił?

Oboje się roześmieli. Steve zakonotował sobie w pamięci, żeby w przyszłości nigdy nie zdradzać policjantom, że rozszyfrował ich grę. Taką już miał wadę; w podobny sposób zrażał do siebie nauczycieli. Nikt nie lubi mądrali.

Spike był mały i kościsty, z siwą czupryną i niewielkim wąsikiem. Wydawał się skłonny do żartów, ale miał chłodne spojrzenie.

- Chcesz wejść do środka, Mish? - zapytał, otwierając stalowe drzwi. - Skoro tak, muszę cię prosić o zdanie broni.

- Nie, na razie z nim skończyłam. Konfrontacja odbędzie się później - stwierdziła, po czym odwróciła się i odeszła.

- Tędy, chłopcze - powiedział Spike.

Steve przeszedł przez drzwi.

Ściany i podłoga aresztu pomalowane były na ten sam błotnisty kolor. Steve zgadywał, że zjechali na pierwsze piętro, ale nigdzie nie widać było okien. Miał wrażenie, że znalazł się w głębokiej podziemnej pieczarze i wydostanie się z powrotem na powierzchnię zajmie mu dużo czasu.

W małym przedsionku stało biurko i aparat fotograficzny na trójnogu. Spike wyjął z przegródki kolejny formularz. Czytając go do góry nogami, Steve rozszyfrował nagłówek:

POLICJA MIEJSKA BALTIMORE, MARYLAND

KARTA WIĘŹNIA

Formularz 92/12

Spike zdjął obsadkę z wiecznego pióra i zaczął wypełniać rubryki. Kiedy skończył, wskazał Steve'owi kąt pokoju.

- Stań tam.

Steve stanął naprzeciwko aparatu i gliniarz nacisnął migawkę. Błysnęło światło.

- Obróć się na bok.

Kolejny błysk.

Następnie Spike wyjął kwadratową kartę z nagłówkiem wpisanym różowymi literami:

FEDERALNE BIURO ŚLEDTCZE.

DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI USA

WASHINGTON, DC

Zaczął przykładać palce Steve'a do nasączonej tuszem gąbki i odciskać je kolejno w kwadracikach oznaczonych napisami I.P.KCIUK, 2.P.WSKAZUJĄCY itd. Steve zauważył, że Spike, choć niewielkiego wzrostu, ma duże dłonie z wystającymi żyłami.

- W miejskim więzieniu przy Greenmount Avenue mamy nowe Centralne Biuro Rejestracji - powiedział Spike. - Jest tam komputer, który pobiera odciski palców bez tuszu. Przypomina wielką fotokopiarkę; przyciska się po prostu ręce do szybki i gotowe. Ale tu wciąż posługujemy się starą brudną metodą.

Steve zdał sobie sprawę, że chociaż nie popełnił żadnej zbrodni, zaczyna go ogarniać wstyd. Częściowo wpływało na to przygnębiające otoczenie, ale głównie poczucie bezsilności. Od momentu gdy gliniarze wyskoczyli z samochodu przy domu Jeannie, przesuвано go z miejsca na miejsce niczym przedmiot, nie pytając w ogóle o zdanie. Bardzo szybko pozbawiało to człowieka poczucia własnej godności.

Kiedy pobieranie odcisków palców dobiegło końca, Spike pozwolił mu umyć ręce.

- A teraz pokażę panu jego apartament - oświadczył jowialnym tonem.

Poprowadził Steve'a korytarzem z celami po lewej i prawej stronie. Każda z nich była kwadratowa. Od korytarza nie dzieliła ich ściana, lecz kraty i każdy cal kwadratowy był widoczny z zewnątrz. Steve zauważył, że w każdej celi znajduje się przymocowana do ściany metalowa prycza, stalowy sedes i umywalka. Ściany i prycze pomalowane były na jasnobrązowy kolor i pokryte graffiti. Sedesy nie miały pokryw. W trzech albo czterech celach siedzieli na pryczach mężczyźni, reszta była pusta.

- Poniedziałek to spokojny dzień w naszym Holiday Inn - zażartował Spike.

Steve nie zdołałby się roześmiać, gdyby nawet od tego zależało jego życie.

Spike zatrzymał się przed pustą celą. Kiedy otwierał kluczem drzwi, Steve zerknął do środka. Nie było mowy o żadnej prywatności. Zdał sobie sprawę, że gdyby chciał skorzystać z toalety, musiałby to zrobić na oczach każdego - mężczyzny lub kobiety - kto przechodziłby akurat korytarzem. W jakiś sposób było to bardziej upokarzające od całej reszty.

Spike otworzył drzwi i dał mu znak, żeby wszedł do środka. Drzwi zatrzasnęły się i Spike zamknął je na klucz.

Steve usiadł na pryczy.

- Jezu Chryste wszechmogący, co za miejsce - jęknął.

- Jeszcze się do niego przyzwyczaisz - stwierdził wesoło Spike i odszedł.

Chwilę później wrócił, trzymając w ręku styropianową tackę.

- Została mi jedna kolacja - powiedział. - Pieczony kurczak. Chcesz?

Steve spojrział na tackę, a potem na otwarty sedes i potrząsnął głową.

- Dziękuję bardzo - odparł - ale chyba nie jestem głodny.

10.

Berrington zamówił szampana.

Po wszystkim, co spotkało ją tego dnia, Jeannie wolałaby może pięćdziesiątkę stolicznej z lodem, jednak picie wysokoprocentowego alkoholu nie było najlepszą metodą zdobycia sobie szacunku pracodawcy i postanowiła zadowolić się bąbelkami.

Szampan oznaczał romans. Kiedy spotykali się poprzednio na gruncie towarzyskim, był bardziej czarujący niż uwodzicielski. Czy miał zamiar się teraz do niej przystawiać? Poczula się nieswojo. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który przyjąłby z wdziękiem danego mu kosza. A ten mężczyzna był jej szefem.

Nie powiedziała mu również nic o Stevenie. Chciała to zrobić kilka razy podczas kolacji, ale coś ją powstrzymywało. Gdyby, wbrew jej opinii, Steve okazał się przestępcą, jej teoria stanęłaby pod dużym znakiem zapytania. Nie chciała jednak uprzedzać faktów. Zanim nie udowodni mu winy, nie będzie dmuchać na zimne. Była zresztą przekonana, że jego aresztowanie okaże się koszmarną pomyłką.

Rozmawiała przez telefon z Lisa. "Aresztowali Brada Pitta!" - powiedziała. Lisa była przerażona, że facet spędził cały dzień na wydziale i że Jeannie o mało nie zaprosiła go do swojego mieszkania. Jeannie wyjaśniła, że nie jest wcale pewna, czy to Steve dopuścił się gwałtu. Później zdała sobie sprawę, że chyba nie powinna tego mówić; ktoś mógłby to uznać za próbę wywarcia wpływu na poszkodowaną. W gruncie rzeczy nie miało to przecież większego znaczenia. Lisa przyjrzy się stojącym w szeregu mężczyznom i albo rozpozna tego, który ją zgwałcił, albo nie. W takiej sytuacji nie popełnia się błędu.

Jeannie rozmawiała również ze swoją matką. Patty była u niej w dzień ze swoimi trzema synami i mama opowiadała z ożywieniem o tym, jak chłopcy biegali po korytarzach domu opieki. Na szczęście zapomniała chyba, że przeniosła się do Bella Vista nie dalej jak wczoraj. Rozmawiała z Jeannie tak, jakby przebywała tam od kilku lat i miała pretensję, że częściej jej nie odwiedza. Po tym telefonie Jeannie przestała się tak bardzo obawiać o mamę.

- Jak ci smakował okoń? - zapytał Berrington, przerywając tok jej myśli.

- Wyborny. Bardzo delikatny.

Wyglądził brwi opuszką wskazującego palca prawej ręki i ten gest wydał jej się z jakiegoś powodu bardzo próżny.

- Teraz zadam ci pewne pytanie i musisz na nie szczerze odpowiedzieć - uśmiechnął się, żeby nie brała go zbyt poważnie.

- W porządku.

- Smakuje ci deser?

- Tak. Czy wyglądam na kobietę, która udawałaby, że coś jej smakuje, podczas gdy jest wprost przeciwnie?

Berrington potrząsnął głową.

- Przypuszczam, że mało jest spraw, w których udajesz.

- Być może za mało. Mówią, że jestem pozbawiona taktu.

- Twoja najgorsza wada?

- Na pewno wiodłoby mi się lepiej, gdybym się nad tym zastanowiła. A jaka jest twoja najgorsza wada?

To, że się zakochuję - odparł bez namysłu Berrington. To ma być wada?

- Jest wadą, jeśli zdarza się to zbyt często.

- Albo z więcej niż jedną osobą jednocześnie.

- Może powinienem napisać do Lorraine Logan i zapytać ją o radę.

Jeannie roześmiała się, ale nie chciała, żeby rozmowa zeszła na Stevena.

- Jaki jest twój ulubiony malarz? - zapytała.

- Spróbuj zgadnąć.

Berrington była hurapatriotą, więc uznała, że musi być sentymentalny.

- Norman Rockwell?

- Na pewno nie! - Wydawał się autentycznie zgorszony. - Ten wulgarny ilustrator?

Nie, gdyby stać mnie było na własną kolekcję, kupowałbym amerykańskich impresjonistów. Zimowe pejzaże Johna Henry'ego. Chciałbym mieć na własność *Biały most*. A ty?

- Teraz ty musisz zgadnąć.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Joan Miro.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że lubisz śmiało zestawienia kolorów. Pokiwała głową.

- Jesteś spostrzegawczy. Ale nie udało ci się zgadnąć. Miro jest zbyt bałaganiarski.

Wolę Mondriana.

- No tak, oczywiście. Proste linie.

- Dokładnie. Jesteś w tym dobry.

Wzruszył ramionami i uświadomiła sobie, że bawił się w podobne zgadywanki z wieloma kobietami.

Zanurzyła łyżeczkę w mangowym sorbecie. Z pewnością nie była to służbowa kolacja. Wkrótce będzie musiała podjąć decyzję, jak mają wyglądać jej stosunki z Berringtonem.

Od półtora roku nie całowała się z mężczyzną. Odkąd odszedł od niej Will Tempie, nie miała żadnych randek. Nie czekała na jego powrót: już go nie kochała. Ale była ostrożna.

Z drugiej strony czuła, że oszaleje, prowadząc życie zakonnicy. Brakowała jej kogoś owłosionego w łóżku; brakowało męskich zapachów - smaru do rowerów, przepoconych męskich szortów i whisky, ale przede wszystkim brakowało jej seksu. Kiedy radykalne feministki oznajmiały, że penis jest wrogiem kobiety, Jeannie miała ochotę odrzec: Mów za siebie, siostró.

Spojrzała na Berringtona, który delikatnie kosztował karmelizowanego jabłka. Lubiała tego faceta mimo jego wstecznych poglądów. Był bystry - jej partnerzy musieli być inteligentni - i potrafił wygrywać. Szanowała go za dorobek naukowy. Szczupły i wysportowany, był prawdopodobnie bardzo doświadczonym kochankiem i miał ładne niebieskie oczy.

Mimo to był za stary. Lubiała dojrzałych mężczyzn, ale nie aż tak dojrzałych.

Jak mogła dać mu kosza, nie narażając przy tym na szwank swojej kariery? Najlepiej było udawać, że traktuje jego zainteresowanie jako rodzaj ojcowskiej opieki. W ten sposób nie musiałaby stawiać sprawy na ostrzu noża.

Pociągnęła łyk szampana. Kelner dolewał jej stale do kieliszka i nie pamiętała dobrze, ile wypila, ale cieszyła się, że nie musi prowadzić.

Zamówili kawę. Jeannie poprosiła o podwójne espresso, żeby trochę otrzeźwieć. Kiedy Berrington zapłacił rachunek, zjechali windą na parking i wsiedli do jego srebrzystego lincolna town cara.

Berrington minął port i skręcił na Jones Falls Expressway.

- To jest miejskie więzienie - powiedział, wskazując zajmujący całą przecnicę budynek podobny do fortecy. - Trzymają tam mierzwę tej ziemi.

Być może siedzi tam w tej chwili Steve, pomyślała Jeannie.

Jak w ogóle mogła brać pod uwagę noc z Berringtonem? Nie czuła do niego najmniejszego afektu. Wstydziła się, że mogła o tym pomyśleć.

- Dziękuję ci za uroczy wieczór, Berry - odezwała się zdecydowanym tonem, kiedy zatrzymał się przed jej domem. Zastanawiała się, czy poda jej dłoń, czy spróbuje pocałować. Jeśli będzie chciał dać jej całusa, podsunie mu policzek.

Nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego.

- Mój domowy telefon jest zepsuty, a muszę jeszcze dzisiaj do kogoś zadzwonić - powiedział. - Czy mógłbym skorzystać z twojego aparatu?

Nie mogła mu przecież odrzec: Nie, zadzwoń z budki. Wyglądało na to, że będzie musiała stawić czoło upartym zalotom.

- Oczywiście - odparła, tłumiąc westchnienie. - Wejdz na górę. - Zastanawiała się, czy będzie musiała mu zaproponować kawę.

Wysiadła z samochodu i wbiegła pierwsza na werandę. W hallu było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do mieszkania na parterze, które zajmował emerytowany czarny doker, pan Oliver, drugie na pierwsze piętro, do jej apartamentu.

Jeannie stanęła jak wryta w miejscu. Jej drzwi były otwarte.

Zaczęła wchodzić po schodach. Na górze paliło się światło. To było podejrzane: wyszła, zanim zapadł zmrok.

Z klatki schodowej wchodziło się bezpośrednio do salonu. Jeannie weszła do środka i krzyknęła zaskoczona.

Obok lodówki stał z butelką wódki w ręku brudny, nie ogolony, lekko pijany mężczyzna.

- Co się stało? - odezwał się z tyłu Berrington.

- Potrzebujesz tutaj lepszych zamków, Jeannie - oświadczył intruz. - Udało mi się je sforsować w dziesięć sekund.

- Co to za facet, do diabła? - zagrział Berrington.

- Kiedy wyszedłeś z więzienia, tato? - zapytała drżącym głosem Jeannie.

Pomieszczenie, w którym miała się odbyć konfrontacja, znajdowało się na tym samym piętrze co areszt.

W przedsionku stało sześciu innych mężczyzn o podobnej do Steve'a budowie ciała i w podobnym wieku. Nie odzywali się do niego i unikali jego wzroku. Traktowali go jak przestępcę. Miał ochotę zawołać: Hej, chłopcy, jestem po waszej stronie, nikogo nie zgwałciłem, jestem niewinny.

Musieli wszyscy zdjąć zegarki i biżuterię i włożyć białe papierowe fartuchy na ubrania. Kiedy to robili, do pokoju zajrzał młody facet w garniturze.

- Który z panów jest podejrzany? - zapytał.

- Ja - odparł Steve.

- Nazywani się Lew Tanner, jestem publicznym obrońcą. Mam obowiązek dopilnować, żeby konfrontacja odbyła się we właściwy sposób. Chce pan o coś zapytać?

- Ile będę musiał czekać, żeby potem stąd wyjść?

- Zakładając, że nie zostanie pan wskazany, dwie godziny.

- Dwie godziny! - powtórzył z oburzeniem Steve. - Czy będę musiał wracać do tej pieprzonej celi?

- Obawiam się, że tak.

- Jezu Chryste.

- Poproszę, żeby załatwili formalności najszybciej, jak to możliwe - stwierdził Tanner. - Coś jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- W porządku - odparł i wyszedł.

Strażnik wprowadził siedmiu mężczyzn na scenę. Na ekranie za ich plecami widniały poziome linie określające wzrost oraz numery miejsc, od jednego do dziesięciu. W oczy świeciły im silne lampy, a scenę oddzielała od reszty pomieszczenia potężna szyba. Mężczyźni mogli jedynie słyszeć, co się za nią dzieje.

Przez chwilę dobiegały ich tylko rozlegające się co jakiś czas ciche głosy i skrzypienie butów. A potem Steve usłyszał łatwe do rozpoznania kobiece kroki. Po sekundzie odezwał się męski głos, brzmiący tak, jakby facet czytał z kartki albo powtarzał wyuczoną formułkę.

- Stoi przed panią siedmiu mężczyzn. Będą pani znani tylko z numeru. Jeśli któryś z nich dopuścił się przestępstwa wobec pani, względnie w pani obecności, proszę, aby wymieniła pani jego numer i tylko numer. Jeśli chce pani, aby któryś z nich się odezwał,

proszę podać konkretne słowa, które ma powtórzyć. Jeśli chce pani, żeby się odwrócił albo stanął bokiem, zrobią to wszyscy naraz. Czy rozpoznaje pani wśród stojących tutaj osób mężczyznę, który dopuścił się przestępstwa wobec pani, względnie w pani obecności?

Zapadła cisza. Chociaż Steve był pewien, że nie zostanie wskazany, nerwy miał napięte jak struny od gitary.

- Miał na głowie czapkę - odezwał się cichy kobiecy głos.

Po jego brzmieniu Steve domyślił się, że ofiara jest wykształcona i mniej więcej w jego wieku.

- Mam na składzie czapki - powiedział mężczyzna. - Chce pani, żeby je włożyli?

- To była czapka baseballowa.

Steve usłyszał w jej głosie napięcie i podenerwowanie, ale również determinację. Nie było tam ani cienia fałszu. Robiła na nim wrażenie kobiety, która powie prawdę nawet w stanie silnego stresu. Poczul się trochę pewniej.

- Dave, zobacz, czy mamy w szafce czapki baseballowe. Przez kilka chwil nic się nie działo. Steve zgrzytał niecierpliwie zębami.

- Jezu, nie wiedziałem, ile tu mamy skarbow - mruknął Dave. - Okulary, wąsy.

- Nie gadaj tyle - przerwał mu pierwszy mężczyzna. - To oficjalna procedura.

W końcu na scenę wszedł z boku policjant i wręczył wszystkim czapki baseballowe. Włożyli je na głowy i policjant wyszedł.

Po drugiej stronie szyby rozległ się kobiecy płacz. Męski głos powtórzył pytanie, które zadał wcześniej:

- Czy rozpoznaje pani wśród nich mężczyznę, który dopuścił się przestępstwa wobec pani, względnie w pani obecności? Jeśli tak, proszę, aby wymieniła pani jego numer i tylko numer.

- Numer cztery - stwierdziła załamującym się głosem kobieta.

Steve obejrzał się.

Na ekranie za jego plecami widniała duża czwórka.

- Nie! - zawołał. - To niemożliwe! To nie byłem ja!

- Numer cztery, czy słyszałeś? - zapytał męski głos.

- Oczywiście, że słyszałem, ale ja tego nie zrobiłem!

Inni uczestniczący w konfrontacji mężczyźni schodzili już ze sceny.

- Na litość boską! - Steve rozłożył błagalnie ręce, wpatrując się w nieprzezroczystą szybę. - Jak mogła mnie pani wskazać? Nie wiem nawet, jak pani wygląda.

- Niech pani nic nie mówi - odezwał się męski głos. - Dziękujemy bardzo za współpracę. Tędy do wyjścia, proszę.

To jakaś straszna pomyłka, nie rozumiecie tego?! - wrzasnął Steve.

Na scenie pojawił się strażnik Spike.

- Skończone, synu, możemy iść - oświadczył.

Steve zmierzył go wzrokiem. Miał ochotę wbić temu kurdupłowi zęby do gardła.

Spike zauważył to spojrzenie i stwardniał mu wzrok.

- Tylko bez numerów - oznajmił. - Nie masz stąd gdzie uciec.

Jego palce zacisnęły się pod łokciem Steve'a niczym stalowe imadło. Nie było sensu protestować.

Steve poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go z tyłu pałką. To wszystko działo się zbyt szybko. Opadły mu ramiona i czuł, jak ogarnia go bezsilna furia.

- Jak to się mogło stać? - jęknął. - Jak to się mogło stać?

- Tato? - powtórzył Berrington.

Jeannie miała ochotę odgryźć sobie język. To była najgłupsza rzecz, jaką mogła powiedzieć: "Kiedy wyszedłeś z więzienia, tato?" Nie dalej jak przed kilkoma minutami Berrington określił ludzi siedzących za kratkami jako mierzwę tej ziemi.

Była zdruzgotana. Nie dosyć, że Berrington dowiedział się, że jej ojciec jest profesjonalnym włamywaczem, to jeszcze osobiście go spotkał. Twarz taty była pokiereszowana po jakimś upadku i pokrywał ją kilkudniowy zarost. Miał brudne ubranie i śmierdział jak cap. Było jej tak wstyd, że nie miała odwagi spojrzeć Berringtonowi w oczy.

Dawniej, wiele lat temu, wcale się go nie wstydziła. Wprost przeciwnie: ojcowie koleżanek wydawali się przy nim nudni i nieciekawi. Był przystojny, uwielbiał zabawę i pojawiał się w domu w nowym garniturze, z kieszeniami pełnymi pieniędzmi. Zabierał je do kina, fundował nowe stroje i lodowe puchary, a mama kupowała sobie elegancką wieczorową suknię i rozpoczynała dietę. Jednak po pewnym czasie ojciec z powrotem zniknął i mniej więcej w wieku dziewięciu lat Jeannie dowiedziała się dlaczego. Powiedziała jej o tym Tammy Fontaine. Nigdy nie zapomniała tej rozmowy.

- Masz okropną sukienkę - stwierdziła Tammy.

- Masz okropny nos - odparła bez zastanowienia Jeannie i inne dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

- Twoja mama kupuje ci stroje, które są naprawdę paskudne.

- A twoja mama jest gruba.

- Twój tato siedzi w ciupie.

- Nie siedzi.

- Siedzi.

- Nie siedzi.

- Słyszałam, jak mój tato mówił to mojej mamie. Czytał gazetę. "Widzę, że stary Pete Ferrami trafił z powrotem za kratki", powiedział.

- Kłamczucha, kłamczucha - zawołała Jeannie, ale w głębi serca wiedziała, że Tammy mówi prawdę. To wyjaśniało wszystko: nagłe bogactwo, równie nagłe rozstania i długą nieobecność.

Jeannie nigdy już nie wdawała się w szkolne kłótnie. Każdy mógł zamknąć jej usta, napomykając o ojcu. W wieku dziewięciu lat wydawało jej się to trwałym kalectwem. Kiedy tylko komuś zginęło coś w szatni, miała wrażenie, że wszyscy patrzą się podejrzliwie w jej

stronę. Nigdy nie pozbyła się poczucia winy. Jeśli jakaś kobieta zajrzała przy niej do torebki i stwierdziła: "Do licha, wydawało mi się, że mam dziesięć dolców", Jeannie oblewała się rumieńcem. Stała się obsesyjnie uczciwa: szła z powrotem całą milę, żeby oddać tani długopis, bojąc się, że jeśli go zatrzyma, pomyśli, że jest złodziejką jak ojciec.

A teraz ten sam ojciec stał przed jej szefem, brudny, nie ogolony i prawdopodobnie bez grosza przy duszy.

To jest profesor Berrington - powiedziała. - Berry, poznaj mojego ojca, Pete'a Ferrami.

Berrington podał łaskawie rękę tacie.

- Miło pana poznać, panie Ferrami - oznajmił. - Pana córka to wyjątkowa kobieta.

- Święta prawda - odparł z uśmiechem zadowolenia tato.

- Cóż, Berry, znasz teraz rodzinną tajemnicę - stwierdziła z rezygnacją. - Tato wylądował po raz trzeci za kratkami w dniu, kiedy ukończyłam z wyróżnieniem Princeton. Spędził w więzieniu ostatnie osiem lat.

- Mogłem dostać piętnaście - wyjaśnił z dumą tato. - Mieliśmy przy sobie broń.

- Dziękuję, że o tym wspomniałeś, tato. Z pewnością wywrze to wielkie wrażenie na moim szefie.

Ojciec przybrał zboląłą, zakłopotaną minę i chociaż była wściekła, zrobiło jej się go żal. Jego słabość bolała ją tak samo jak całą rodzinę. Pete Ferrami był jedną z pomyłek natury. Fenomenalny system, który reprodukował ludzką rasę - niebywale skomplikowany mechanizm DNA, który badała - zaprogramowany był tak, by uczynić każdego osobnika trochę innym. Przypominało to fotokopiarke z wbudowaną tendencją do popełniania błędów. Czasami wyniki były wspaniałe: Einstein, Louis Armstrong, Andrew Carnegie. Czasami otrzymywało się Pete'a Ferrami.

Musiała się pozbyć szybko Berringtona.

- Jeśli chcesz zadzwonić, Berry, możesz skorzystać z aparatu w sypialni.

- To może poczekać - mruknął.

Dzięki Bogu i za to.

- Cóż, w takim razie dziękuję ci za wspaniały wieczór - powiedziała, podając mu rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Uścisnął niezgrabnie jej dłoń i wyszedł.

Jeannie odwróciła się do ojca.

- Co się stało?

- Skrócili mi wyrok za dobre zachowanie. Jestem wolny. I naturalnie pierwsze kroki po wyjściu z paki skierowałem do mojej córuchny.

- Zaraz po tym, jak wytrzeźwiałeś po trzydniowej balandze.

Bezczelność, z jaką ją okłamywał, była obraźliwa. Czują, jak wzbiera w niej stary gniew. Dlaczego nie mogła mieć ojca takiego jak inni ludzie?

- Nie bądź taka zła - powiedział.

Irytacja ustąpiła miejsca smutkowi. Nigdy nie miała prawdziwego ojca i nigdy już nie będzie go mieć.

- Daj mi tę butelkę - mruknęła. - Zrobię kawę.

Oddał jej niechętnie wódkę, którą włożyła z powrotem do zamrażarki. Nalała wody do ekspresu i włączyła go.

- Postarzałaś się - stwierdził. - Widzę, że masz siwe włosy.

- Jesteś naprawdę bardzo miły.

Wyjęła z szafki kubki, mleko i cukier.

- Twoja matka też wcześniej osiwiiała.

- Zawsze wydawało mi się, że to z twojego powodu.

- Byłem w jej mieszkaniu - odparł z lekką pretensją w głosie. - Już tam nie mieszka.

- Jest teraz w Bella Vista.

To samo powiedziała mi jej sąsiadka, pani Mendoza. Dała mi twój adres. Nie podoba mi się, że twoja matka jest w takim miejscu.

- Więc ją stamtąd zabierz! - zawołała. - Wciąż jest twoją żoną. Znajdź sobie jakąś pracę, wynajmij przyzwoite mieszkanie i zacznij się nią opiekować.

- Wiesz, że nie potrafię tego zrobić. Nigdy nie potrafiłem.

- Więc nie miej pretensji, że ja tego nie robię.

- Ja wcale nie mam do ciebie pretensji, kochanie - stwierdził niemal płaczliwie. - Powiedziałem tylko, że nie podoba mi się, iż twoja matka jest w przytułku, to wszystko.

- Mnie i Patty też się to nie podoba. Próbujemy zebrać trochę grosza, żeby ją stamtąd zabrać. - Jeannie poczuła, jak ściska ją za gardło żal, i z trudem powstrzymała łzy.

- Do diabła, tato, jest nam dość ciężko i bez twojego narzekania.

- Już dobrze, już dobrze - odparł.

Jeannie przełknęła ślinę. Nie mogę pozwolić, żeby tak mnie wyprowadzał z równowagi, pomyślała.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytała, zmieniając temat. - Masz jakieś plany?

- Chcę się trochę rozejrzeć.

Miał na myśli, że musi poszukać miejsca, które nadaje się na skok. Jeannie nie odpowiedziała. Był złodziejem i nie mogła tego zmienić.

Ojciec odchrząknął.

- Może dałabyś mi kilka dolców na dobry początek - poprosił.

To znowu ją rozwścieczyło.

Powiem ci, co mam zamiar zrobić - oznajmiła lodowatym tonem. - Pozwolę ci wziąć prysznic i ogolić się i wrzucę twoje ciuchy do pralki. Jeśli będziesz się trzymał z daleka od tej butelki, zrobię ci jajecznicę na grzance. Możesz pożyczyć ode mnie piżamę i przespać się na kanapie. Ale nie dam ci ani grosza. Staram się rozpaczliwie znaleźć jakieś pieniądze, żeby móc przenieść mamę tam, gdzie traktowaliby ją jak ludzką istotę, i nie mam ani jednego dolara na zbyciu.

- Dobrze, złotko - odparł, przybierając pozę męczennika. - Rozumiem.

Przyjrzała mu się. Teraz, kiedy opadła w niej fala wstydu, gniewu i żalu, zostało wyłącznie współczucie. Pragnęła z całego serca, żeby mógł wziąć się w garść, pomieszkać w jednym miejscu dłużej niż kilka tygodni, dostać normalną pracę, żeby mógł być kochającym, wspierającym ją, solidnym rodzicem. Chciała mieć ojca, który byłby ojcem. I wiedziała, że jej pragnienie nigdy, ale to nigdy się nie spełni. Zarezerwowane dla ojca miejsce w jej sercu na zawsze miało pozostać puste.

Zabrzęczał telefon.

- Halo? - powiedziała, podnosząc słuchawkę.

Dzwoniła Lisa, wydawała się zdenerwowana.

To był on, Jeannie - oznajmiła.

- Kto? Co?

- Ten facet, którego z tobą aresztowali. Wskazałam go podczas konfrontacji. To on mnie zgwałcił. Steven Logan.

- On jest tym gwałcicielem? Jesteś pewna?

- Nie mam żadnych wątpliwości. O Boże, kiedy zobaczyłam znowu jego twarz, to było straszne. Z początku nic nie mówiłam, bo wyglądał inaczej bez czapki. Ale potem policjant kazał włożyć wszystkim czapki baseballowe i poznałam go.

- Lisa, to nie może być on.

- Jak to?

- Wyniki badań wcale na to nie wskazują. I spędziłam z nim trochę czasu. Czuję to.

- Ale ja go rozpoznałam. - W głosie Lisy zabrzmiała irytacja.

- Jestem zdumiona. Nie potrafię tego zrozumieć.

- To psuje twoją teorię. Chciałaś, żeby jeden bliźniak był dobry, a drugi zły.

Tak. Ale jeden wyjątek nie obala całej teorii.

- Przykro mi, jeśli to stawia pod znakiem zapytania twój projekt.

To nie jest powód, dla którego twierdzę, że to nie on. - Jeannie westchnęła. - A może masz rację. Sama już nie wiem. Gdzie jesteś?

- W domu.

- Dobrze się czujesz?

Tak, teraz, kiedy zamknęli go w pudle, czuję się o wiele lepiej.

- Wydawał się taki miły.

- Tacy są najgorsi, powiedziała Mish. Ci, którzy sprawiają wrażenie zupełnie normalnych, są najsprytniejsi i najbardziej bezwzględni. Lubią zadawać cierpienie.

- Mój Boże...

- Idę do łóżka. Jestem wykończona. Chciałam ci tylko powiedzieć. Jak ci się udał wieczór?

Tak sobie. Opowiem ci jutro.

- Chcę jechać z tobą do Richmond.

Jeannie miała zamiar zabrać Lisę, żeby pomogła jej przeprowadzić wywiad z Dennisem Pinkerem.

- Czujesz się na siłach?

- Tak, naprawdę chcę prowadzić dalej normalne życie. Nie jestem chora, nie muszę się kurować.

- Dennis Pinker jest prawdopodobnie sobowtórem Steve'a Logana.

- Wiem. Jakoś to zniosę.

- Skoro jesteś taka pewna...

- Zadzwoń do ciebie rano.

- Dobrze. Dobranoc.

Jeannie usiadła ciężko na kanapie. Czy ujmująca powierzchowność Stevena była tylko maską? Jeśli to prawda, nie znam się zbyt dobrze na ludziach, pomyślała. I jestem być może marnym naukowcem. Możliwe, że wszystkie jednojajowe bliźnięta okażą się kryminalistami. Westchnęła.

Jej własny kryminalny przodek usiadł obok niej.

- Ten profesor wydawał się całkiem miły, ale jest chyba starszy ode mnie! - stwierdził. - Masz z nim romans, czy co?

Jeannie zmarszczyła nos.

- Łazienka jest tam, tato - powiedziała.

Steve wrócił do pokoju z żółtymi ścianami. W popielniczce wciąż leżały te same dwa niedopałki. Pokój się nie zmienił, ale on tak. Trzy godziny wcześniej był porządnym obywatelem, którego największą zbrodnią była jazda z szybkością sześćdziesięciu mil tam, gdzie obowiązywał limit pięćdziesięciu pięciu. Teraz był gwałcicielem, aresztowanym, rozpoznanym i oskarżonym. Znalazł się w trybach maszyny sprawiedliwości. Był przestępcą. Bez względu na to, jak często powtarzał sobie, że jest niewinny, nie mógł wyzbyć się poczucia bezwartościowości i hańby.

Wcześniej przesłuchiwała go kobieta, sierżant Delaware. Teraz pojawił się mężczyzna, również z niebieską teczką w rękę. Był tego samego wzrostu co Steve, ale znacznie szerszy w barach i cięższy, z krótko przyciętymi szpakowatymi włosami i krzaczastymi wąsami. Usiadł, wyciągnął paczkę marlboro, wyjął z niej bez słowa papierosa, zapalił go, rzucił zapalną do popielniczki i dopiero wtedy otworzył teczkę. W środku leżał kolejny formularz. Ten nosił nagłówek:

SAĐ OKRĘGOWY STANU MARYLAND

DLA.....(miasto / hrabstwo)

Górna połowa podzielona była na dwie kolumny zatytułowane: SKARŻĄCY i PODEJRZANY. Trochę niżej znajdowała się rubryka ZARZUTY. Detektyw zaczął wypełniać formularz, wciąż nic nie mówiąc. Po napisaniu kilku słów uniósł górną białą kartkę i sprawdził po kolei cztery dołączone kopie: zieloną, żółtą, różową i brązową.

Czytając do góry nogami, Steve zobaczył, że ofiara nazywa się Lisa Margaret Hoxton.

- Jak ona wygląda? - zapytał.

Detektyw podniósł wzrok.

- Stul dziób - powiedział, po czym zaciągnął się papierosem i zaczął pisać dalej.

Steve'owi zapłonęły policzki. Facet obrażał go, a on nie mógł na to nic poradzić. Było to kolejne stadium upokarzania go, wbijania do głowy, że nic nie znaczy i jest kompletnie bezbronny. Ty sukinsynu, pomyślał, chciałbym spotkać cię poza tym budynkiem, kiedy nie będziesz miał przy sobie tej cholernej spluwy.

Detektyw wypełniał część dotyczącą zarzutów. W pierwszej rubryce wpisał niedzielną datę oraz miejsce popełnienia przestępstwa: "sala gimnastyczna Uniwersytetu

Jonesa Fallsa w Baltimore, stan Maryland”. Pod spodem zanotował: “Gwałt pierwszego stopnia”. W następnej rubryce ponownie wpisał datę i miejsce oraz “Napaść z zamiarem gwałtu”.

Wyjął dodatkową kartkę i dopisał dwa dodatkowe zarzuty: Pobicie i sodomia.

- Sodomia? - zdziwił się Steve.

- Stul dziób.

Steve miał ochotę strzelić go w mordę. To jest celowe, tłumaczył sobie. Facet chce mnie sprowokować. Jeśli go uderzę, będzie miał pretekst, żeby zawołać trzech innych gliniarzy i wdeptać mnie w podłogę. Nie rób tego, opanuj się.

Skończywszy pisać, detektyw obrócił oba formularze i przesunął je przez stół do Steve’a.

- Wpadłeś po uszy w gówna, Steve. Pobiliś, zgwałciłeś i odbyłeś stosunek analny z dziewczyną.

- Nie zrobiłem tego.

- Stul dziób.

Steve przygryzł wargę i nic nie odpowiedział.

- Jesteś szmatą. Jesteś śmieciem. Przywoici ludzie nie powinni przebywać z tobą w tym samym pokoju. Pobiliś, zgwałciłeś i zrypałeś od tyłu dziewczynę. Robisz to od pewnego czasu. Jesteś chytry, planujesz wszystko z góry i do tej pory uchodziło ci na sucho. Ale tym razem cię złapaliśmy. Ofiara rozpoznała cię. Inni świadkowie widzieli cię niedaleko miejsca popełnienia przestępstwa. Za godzinę albo dwie, kiedy sierżant Delaware uzyska od dyżurnego komisarza sądowego nakaz przeszukania albo zatrzymania, zabierzemy cię do szpitala Mercy, zrobimy badanie krwi, wyczeszemy włosy łonowe i udowodnimy, że twoje DNA pasuje jak ulał do tego, które znaleźliśmy w pochwie ofiary.

- Jak długo to potrwa? Badanie DNA?

- Stul dziób. Mamy cię w garści. Wiesz, co cię czeka?

Steve milczał.

- Za gwałt pierwszego stopnia dostaje się dożywocie. Pójdiesz do paki i wiesz, co cię tam czeka? Posmakujesz na własnej skórze tego, co robiłeś innym. Taki przystojny chłoptaś jak ty? Nie ma problemu. Dadzą ci wycisk, zgwałcą, przelecą od tyłu. Dowiesz się, co czuła Lisa. Tyle że w twoim wypadku będzie to trwało przez długie lata.

Gliniarz przerwał i poczęstował go papierosem.

Zaskoczony Steve pokręcił głową.

- Tak a propos, nazywam się Brian Allaston. - Gliniarz zapalił papierosa. - Naprawdę nie wiem, dlaczego ci to mówię, ale jest pewien sposób, żebyś polepszył swoją sytuację.

Steve zastygł w bezruchu. Jakiej sztuczki spróbują teraz?

Detektyw Allaston wstał, obszedł dookoła stół i usiadł na jego skraju, opierając jedną stopę o podłogę, bardzo blisko Steve'a.

- Pozwól, że ci to wyjaśnię - oznajmił pojednawczo, pochylając się do przodu. - Gwałt to stosunek vaginalny, odbyty przy użyciu siły albo przy groźbie jej użycia, wbrew woli albo bez zgody kobiety. Żeby uznać stosunek za gwałt pierwszego stopnia, muszą zaistnieć dodatkowe okoliczności, takie jak: porwanie, obrażenia ciała lub udział więcej niż jednej osoby. Kara za gwałt drugiego stopnia jest niższa. Jeśli zdołasz mnie przekonać, że to, co zrobiłeś, to tylko gwałt drugiego stopnia, wyświadczysz sobie dużą przysługę.

Steve milczał.

- Chcesz mi powiedzieć, jak to było?

Steve w końcu przemówił.

- Stul dziób - powiedział.

Allaston zareagował bardzo szybko. Zeskoczył ze stołu, złapał go za koszulę, podniósł z krzesła i rąbnął nim o ścianę. Głowa Steve'a odbiła się z głuchym bolesnym odgłosem od betonu.

Steve stęzał cały, zaciskając dłonie w pięści. Nie rób tego, powtarzał sobie, opanuj się. Nie było to takie łatwe. Detektyw Allaston był gruby i bez kondycji i Steve wiedział, że może go znokautować w parę sekund. Ale musiał się kontrolować. Mógł liczyć wyłącznie na własną niewinność. Jeśli pobije gliniarza, będzie winien bez względu na to, jak nikczemnie został sprowokowany. Wtedy nic mu już nie pomoże. Jediną rzeczą, która podtrzymywała go w tej chwili na duchu, było słuszne oburzenie. Dlatego stał w miejscu, zaciskając zęby, podczas gdy Allaston odciągnął go od ściany i rąbnął o nią po raz drugi, trzeci i czwarty.

- Nigdy tak do mnie nie mów, śmieciu - warknął.

Steve poczuł, jak opuszcza go gniew. Allaston nie robił mu nic złego. Zdał sobie sprawę, że to teatr. Facet grał swoją rolę, w dodatku niezbyt dobrze. On był złym gliniarzem, to Mish jest dobra. Za chwilę wejdzie tutaj, zaproponuje mu kawę i odegra rolę jego przyjaciółki. W gruncie rzeczy będzie jednak miała dokładnie ten sam cel co Allaston: zmusić go, żeby przyznał się do zgwałcenia kobiety, której nie widział nigdy w życiu i która nazywała się Lisa Margaret Hoxton.

- Niech pan sobie daruje ten cyrk - powiedział. - Wiem, że jest pan pieprzonym twardzielem, któremu włosy wyrastają z nozdrzy, a pan wie, że gdybyśmy spotkali się gdzie indziej i nie miałby pan przy pasie tej spluwy, skopałbym panu dupę, więc przestańmy robić z siebie pajaców.

Allaston zrobił zdziwioną minę. Myślał pewnie, że Steve będzie zbyt przerażony, żeby się odezwać. Puścił jego koszulę i podszedł do drzwi.

- Mówili mi, że strugaszw cwaniaka - stwierdził. - Więc posłuchaj, co zrobię, żeby nauczyć cię moreosu. Wrócisz teraz na jakiś czas do aresztu, ale tym razem będziesz miał towarzystwo. Mamy na dole czterdzieści jeden cel, lecz wszystkie są z różnych powodów nieczynne, będziemy więc musieli trzymać cię razem z facetem, który nazywa się Rupert Butcher. Mówią na niego Prosiak. Uważasz się za wielkiego sukinsyna, ale on jest jeszcze większy. Przez trzy ostatnie dni szprycował się crackiem, więc trochę boli go głowa. Zeszłej nocy, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty podkładałeś ogień na uniwerku i posuwałeś swoim brudnym kutasem biedną Lisę Hoxton, Prosiak Butcher zadźgał na śmierć widłami swojego kochanka. Na pewno przypadniecie sobie do gustu. Idziemy.

Steve'a ogarnął lęk. Cała odwaga wyciekła z niego, jakby ktoś wyciągnął korek z butelki. Czuł się bezbronny i pokonany. Do tej pory Allaston upokarzał go, ale nie próbował zastraszyć. Teraz sytuacja się zmieniła. Nie wiadomo, czym mogła się zakończyć noc z psychopatą. Ten Butcher popełnił już jedno morderstwo. Jeśli umiał racjonalnie myśleć, wiedział, że niewiele straci, popełniając następne.

- Niech pan poczeka - powiedział drżącym głosem.

Allaston powoli się odwrócił.

- Tak?

- Jeśli się przyznam, dostanę własną celę?

Gliniarz odetchnął z ulgą.

- Jasne - odparł. W jego głosie zabrzmiała nagle przyjazna nuta.

Ta zmiana tonu rozwścieczyła Steve'a.

- Ale jeśli tego nie zrobię, zamorduje mnie Prosiak Butcher.

Allaston rozłożył bezradnie ręce.

Steve poczuł, jak jego strach zamienia się w nienawiść.

- W takim razie, detektywie - powiedział - pierdolę pana.

Na twarzy Allastona po raz kolejny ukazało się zaskoczenie.

- Ty sukinsynu - mruknął. - Zobaczymy, czy będziesz takim chojrakiem za parę godzin. Ruszaj.

Zaprowadził Steve'a do windy i zjechał z nim do aresztu. Na dole wciąż dyżurował Spike.

- Umieść tego drania razem z Prosiakiem - nakazał Allaston.

Spike uniósł brwi.

- Aż tak źle?

- Tak. A propos... Steve ma koszmary.

- Naprawdę?

- Gdybyś usłyszał, że krzyczy, nie przejmuj się, to tylko zły sen.

- Kapuję - odparł Spike.

Allaston zostawił ich i Spike zaprowadził Steve'a do celi.

Prosiak leżał na prycy. Nie był wyższy od Steve'a, lecz o wiele cięższy. Wyglądał jak kulturysta, którego wyciągnięto z wraku samochodu: pokrwawiony podkoszulek opinał napięte mięśnie. Leżał na plecach, z głową odwróconą do ściany i nogami zwisającymi z prycy. Kiedy Spike wpuścił Steve'a do środka, otworzył oczy.

Drzwi zatrzasnęły się i Spike przekręcił klucz w zamku.

Prosiak zmierzył wzrokiem Steve'a.

Steve odwzajemnił mu się tym samym. - Słodkich snów - powiedział Spike.

Prosiak zamknął oczy.

Steve siadł na podłodze, oparł się plecami o ścianę i wbił wzrok w swojego sublokatora.

Berrington Jones jechał powoli do domu. Czuł jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Niczym odchudzający się łakomczuch, który walcząc z pokusą podchodzi do lodziarni i widzi nagle, że jest zamknięta, wiedział, że los uchronił go przed czymś, czego w żadnym wypadku nie powinien robić.

Z drugiej strony w ogóle nie udało mu się rozwiązać problemu, który stwarzały badania Jeannie. Może zamiast zabawiać ją rozmową więcej czasu powinien poświęcić na zadanie jej kilku pytań. Zatopiony w rozmyślaniach zaparkował przed domem i wszedł do środka.

Wewnątrz panowała cisza: gosposia, Mariannę, musiała pójść do łóżka. Berrington zajrzał do gabinetu i sprawdził automatyczną sekretarkę. Nagrała się jedna wiadomość:

“Profesorze, tu sierżant Michelle Delaware z Wydziału Przestępstw Seksualnych. Dziękuję bardzo za pomoc, której nam pan dzisiaj udzielił. - Berrington wzruszył ramionami. Potwierdził tylko, że Lisa pracuje na wydziale psychologii. - Ponieważ jest pan zwierzchnikiem Lisy Hoxton - mówiła dalej policjantka - i gwałtu dokonano na uczelni, uznałam, że powinnam pana zawiadomić, iż dziś wieczorem aresztowaliśmy mężczyznę, którego podejrzewamy o popełnienie tego przestępstwa. Tak się składa, że był dzisiaj badany w pańskim laboratorium. Nazywa się Steven Logan”.

- Jezu Chryste - jęknął Berrington.

“Ofiara rozpoznała go podczas konfrontacji, sądzę więc, że badanie DNA potwierdzi jego winę. Proszę przekazać tę wiadomość wszystkim, którzy pana zdaniem powinni ją poznać. Dziękuję”.

- Nie! - krzyknął Berrington i usiadł ciężko na krześle. - Nie - powtórzył ciszej.

A potem zaczął płakać.

Po chwili, wciąż płacząc, wstał z krzesła i zamknął drzwi gabinetu, bojąc się, że wejdzie do niego gosposia. Następnie usiadł z powrotem za biurkiem, schował głowę w dłoniach i przez jakiś czas w ogóle się nie poruszał.

Kiedy się w końcu uspokoił, podniósł słuchawkę i wybrał numer: który znał na pamięć.

- Żeby tylko nie odpowiedział automat, Boże - powiedział na głos, słuchając powtarzającego się sygnału.

- Halo? - rozległ się młody męski głos.

- To ja.

- Cześć, jak się masz?

- Jestem załamany.

- Och.

W głosie młodego mężczyzny zabrzmiało poczucie winy. Jeśli Berrington miał jeszcze jakieś wątpliwości, pozbył się ich w tej chwili.

- Wiesz, w jakiej dzwonię sprawie?

- Nie mam pojęcia.

- Nie próbuj ze mną tych sztuczek. Mówię o niedzielnym wieczorze.

Młody mężczyzna westchnął.

- Tak?

- Ty cholerny głupcze. Byłeś na uniwersytecie. Zobaczyłeś ją i... - Berrington zdał sobie sprawę, że nie powinien zbyt wiele mówić przez telefon. - Znowu to zrobiłeś.

- Przepraszam...

- Przepraszasz!

- Jak się dowiedziałeś?

- Z początku wcale cię nie podejrzewałem... Myślałem, że wyjechałeś z miasta. Ale potem aresztowali kogoś, kto wygląda dokładnie jak ty.

- Rany. To znaczy, że jestem...

- Jesteś bezpieczny.

To wspaniale. Słuchaj...

- Co?

- Chyba nic nie powiesz? Policji ani nikomu.

- Nie, nie powiem nikomu - odparł z ciężkim sercem Berrington. - Możesz na mnie polegać.

WTOREK

Miasto Richmond żyło wspomnieniem dawnej świetności i Jeannie pomyślała, że rodzice Dennisa Pinkera doskonale do niego pasują. Charlotte Pinker, piegowata ruda piękność w szeleszczącej sukni z jedwabiu, miała maniery wielkiej wirgińskiej damy, chociaż mieszkała w drewnianym domku przy bocznej ulicy. Twierdziła, że ma pięćdziesiąt pięć lat, ale Jeannie oceniała ją raczej powyżej sześćdziesiątki. Jej mąż, którego tytułowała "majorem", był mniej więcej w tym samym wieku, lecz wyglądał i zachowywał się jak człowiek, który dawno temu przeszedł na emeryturę.

- Dziewczęta, macie ochotę na koktajl? - zapytał, mrugając szelmowsko okiem do Jeannie i Lisy.

Jego żona miała wyszukany południowy akcent i mówiła trochę zbyt głośno, tak jakby zwracała się do liczego audytorium.

- Na litość boską, majorze, jest dopiero dziesiąta rano!

Major wzruszył ramionami.

- Próbuję po prostu rozbawić towarzystwo.

- To nie jest potańcówka; te panie przyjechały przeprowadzić z nami wywiad. Dlatego, że nasz syn jest mordercą.

Jeannie zauważyła, że nazwała go "naszym synem"; ale to niewiele znaczyło. Mogli go zaadoptować. Postanowiła, że ich o to spyta. Gdyby przyznali, że Dennis nie jest ich naturalnym synem, rozwiązałoby to połowę łamigłówek. Ale musiała zachować ostrożność. Pytanie było delikatne. Jeśli zada je zbyt niespodziewanie, na pewno ją okłamią. Powinna poczekać na odpowiedni moment.

Nie mogła się również doczekać, żeby zobaczyć, jak wygląda Dennis. Czy był sobowtórem Stevena? Przyglądała się bacznie stojącym w salonie fotografiom w tanich ramkach. Wszystkie zrobione były przed wielu laty. Mały Dennis siedział w wózek, jechał na trójkołowym rowerku, pozował w stroju do baseballa i ścisnął dłoń Myszki Mickey w Disneylandzie. Nigdzie nie widziała zdjęć, które przedstawiałyby go jako dojrzałego młodego człowieka. Rodzice chcieli go niewątpliwie zapamiętać jako niewinnego chłopca, sprzed okresu, gdy oskarżono go o morderstwo. W rezultacie Jeannie nie zdołała się niczego dowiedzieć z fotografii. Jasnowłosej dwunastolatki mógł teraz wyglądać tak samo jak Steven Logan, ale mógł również wyrosnąć na brzydkiego, ciemnego konusa.

Charlotte i major wypełnili już wcześniej kilka kwestionariuszy i wywiad nie powinien trwać dłużej niż godzinę. Lisa zabrała majora do kuchni, a Jeannie została z Charlotte w salonie.

Miała trudności ze skupieniem się na prostych pytaniach. Myślą wracała stale do siedzącego w areszcie Stevena. Nie potrafiła uwierzyć, że dokonał gwałtu. Nie dlatego, że podważyłoby to jej teorię. Polubiła go: sprawiał wrażenie bystrego, ujmującego i miłego. Był również wrażliwy: jego zmieszanie i przygnębienie na wieść o tym, że ma brata psychopatę, sprawiły, że chciała objąć go ramieniem i pocieszyć.

Gdy zapytała Charlotte, czy inni członkowie jej rodziny mieli kiedyś kłopoty z prawem, ta zmierzyła ją władczym spojrzeniem.

- Wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie byli zawsze strasznie porywcy - oświadczyła, wciągając powietrze przez rozszerzone nozdrza. - Z domu jestem Marlowe, a to gorąca krew.

Wynikało z tego, że Dennis nie był adoptowany albo że jego adopcja jest trzymana w tajemnicy. Jeannie starała się ukryć rozczarowanie. Czy Charlotte zaprzeczy, że Dennis może być bliźniakiem?

Pytanie trzeba było zadać.

- Pani Pinker, czy jest możliwe, że Dennis mógł mieć brata bliźniaka?

- Nie.

Odpowiedź była prosta: żadnego oburzenia, żadnego zmieszania, zwykle stwierdzenie faktu.

- Jest pani pewna?

Charlotte roześmiała się.

- Moja droga, to jedna z niewielu rzeczy, co do których matka raczej nie może się mylić.

- Na pewno nie jest adoptowany?

- Nosłam tego chłopca w moim łonie, niechaj mi Bóg wybaczy.

Jeannie nie wiedziała, co o tym sądzić. Charlotte Pinker była bardziej skłonna do mijania się z prawdą niż Lorraine Logan, ale to, iż obie stanowczo zaprzeczały, że ich synowie są bliźniakami, wydawało się dziwne i niepokojące.

Kiedy wychodziły od Pinkerów, ogarnął ją pesymizm. Obawiała się, że Dennis będzie wyglądał zupełnie inaczej niż Steve.

Przed domem stał ich wynajęty ford aspire. Dzień był gorący. Jeannie ubrana była w sukienkę bez rękawów i zakiet, który włożyła, żeby dodać sobie powagi. Klimatyzator w

fordzie zakwękał i zaczął pompować do środka letnie powietrze. Jeannie zdjęła rajstopy i powiesiła żakiet na tylnym wieszaku.

- Naprawdę wkurza mnie to, że twoim zdaniem wskazałam niewłaściwego faceta - oświadczyła Lisa, kiedy wyjechały na autostradę, kierując się w stronę więzienia.

- Mnie też nie daje to spokoju - odparła Jeannie. - Wiem, że nie zrobiłabyś tego, gdybyś nie miała pewności.

- Jak możesz być tak przeświadczona o tym, że nie mam racji?

- Nie jestem o niczym przeświadczona. Mam po prostu głębokie przekonanie, że to nie mógł być Steve Logan.

- Wydaje mi się, że mając do wyboru głębokie przekonanie i zeznanie naocznego świadka, powinnaś wybrać świadka.

- Wiem. Ale czy widziałas kiedyś ten program Alfreda Hitchcocka? Ten czarno-biały, powtarzają go czasami na kablówce.

Tak, widziałam. To ten program, gdzie cztery osoby oglądają na własne oczy ten sam wypadek drogowy i każda z nich dostrzega co innego.

- Jesteś obrażona?

Lisa westchnęła.

- Chyba powinnam, ale za bardzo cię lubię, żeby się wściekać.

Jeannie wyciągnęła rękę i uścisnęła jej dłoń.

- Dzięki.

Zapadło długie milczenie.

- Denerwuje mnie, kiedy ludzie myślą, że jestem słaba - odezwała się w końcu Lisa.

Jeannie zmarszczyła brwi.

- Ja wcale tak nie myślę.

- Ale większość ludzi tak właśnie uważa. Dlatego, że jestem nieduża, mam mały zadarty nos i piegi.

- To prawda, że nie wyglądasz na ostrą babkę.

- A jednak nią jestem. Mieszkam sama, potrafię o siebie zadbać, mam niezłą robotę i nikt nie może mi podskoczyć. Tak przynajmniej mi się zdawało do tej niedzieli. Teraz myślę, że ludzie mają jednak rację: jestem słaba. W ogóle nie potrafię się obronić! Każdy psychopata chodzący po ulicy może mnie złapać, przystawić nóż do twarzy, zrobić co chce z moim ciałem i zostawić we mnie swoją spermę.

Jeannie zerknęła na pobladłą z emocji Lisę. Miała nadzieję, że wyrzucenie z siebie tego wszystkiego dobrze jej zrobi.

- Nie jesteś słaba - powiedziała.

- Ty jesteś mocna - stwierdziła Lisa.

- Ja mam odwrotny problem: ludzie myślą, że jestem niewrażliwa. Ponieważ mam sześć stóp wzrostu, kolczyk w nosie i złe maniery, uważają, że nie sposób mnie zranić.

- Nie masz wcale złych manier.

- Chyba żartujesz.

- Kto uważa, że jesteś niewrażliwa? Ja nie.

- Kobieta, która prowadzi Bella Vista, dom opieki, w którym jest moja mama. "Pani matka nie dożyje sześćdziesiątego piątego roku życia", oznajmiła mi prosto z mostu. To, że mam kolczyk w nosie, chciałam jej powiedzieć, nie oznacza jeszcze, że jestem pozbawiona ludzkich uczuć.

- Mish Delaware mówi, że tak naprawdę gwałciciela wcale nie interesuje seks. Najbardziej lubi mieć władzę nad kobietą, dominować, budzić w niej strach i zadawać cierpienie. Wybiera osobę, którą jego zdaniem można łatwo nastraszyć.

- Kto nie byłby przestraszony na twoim miejscu?

- Ale ciebie nie wybrał. Ty byś mu pewnie przywaliła.

- Bardzo bym chciała.

- Tak czy owak, bronilibyś się bardziej zdecydowanie ode mnie. Nie byłabyś taka bezradna i przerażona. Dlatego cię nie wybrał.

Jeannie domyśliła się, do czego to wszystko zmierza.

- Może to i prawda, Liso, ale to wcale nie znaczy, że jest w tym choć trochę twojej winy. Nie możesz mieć do siebie pretensji. Znalazłaś się po prostu w rozbitym pociągu; to mogło się przytrafić każdemu.

- Masz rację - przyznała Lisa.

Dziesięć mil za miastem zjechały z autostrady przy znaku prowadzącym do zakładu karnego Greenwood. Więzienie było tradycyjne: kompleks szarych budynków i wysokie mury zwieńczone drutem kolczastym. Zaparkowały samochód w cieniu drzewa. Jeannie włożyła z powrotem żakiet, ale rajstopy zostawiła w fordzie.

- Jesteś gotowa? - zapytała. - Dennis będzie wyglądał dokładnie jak facet, który cię zgwałcił, chyba że moja metodologia jest zupełnie do dupy.

Lisa pokiwała ponuro głową.

- Jestem gotowa.

Główna brama otworzyła się, żeby wpuścić dostawczą ciężarówkę, i przez nikogo nie niepokozone weszły do środka. Mimo drutu kolczastego, pomyślała Jeannie, nie

przestrzegano tutaj zbyt rygorystycznie zasad bezpieczeństwa. Były oczekiwane. Strażnik sprawdził ich tożsamość i poprowadził przez spalony przez słońce dziedziniec, na którym kilku czarnych młodzieńców w więziennych drelichach rzuciło piłkę do kosza.

W budynku administracji działała klimatyzacja. Jeannie i Lisa weszły do gabinetu dyrektora, Johna Temoigne'a. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i krawat, w popielniczce tkwiły niedopałki cygar.

- Jestem doktor Jean Ferrami z Uniwersytetu Jonesa Fallsa - przedstawiła się Jeannie, podając mu rękę.

- Cześć, Jean.

Temoigne należał najwyraźniej do mężczyzn, którzy nie potrafili odezwać się do kobiety po nazwisku.

- A to moja asystentka, pani Hoxton - dodała Jeannie, celowo nie wymieniając imienia Lisy.

- Cześć, złotko.

- Napisałam panu, na czym polega nasza praca, ale jeśli ma pan jakieś pytania, z przyjemnością na nie odpowiem. - Musiała zamienić z nim kilka słów, mimo że nie mogła się wprost doczekać, żeby rzucić okiem na Dennisa Pinkera.

Musi pani pamiętać, że Pinker jest agresywnym i niebezpiecznym osobnikiem - oświadczył Temoigne. - Zna pani szczegóły jego zbrodni?

- Próbował podobno zgwałcić kobietę w kinie i zabił ją, kiedy mu się opierała.

- Jest pani blisko. Było to w starym kinie Eldorado w Greensburgu. Puszczał jakiś horror. Pinker zszedł do piwnicy i wyłączył dopływ prądu. A potem, kiedy zapadła ciemność i wszyscy wpadli w panikę, zaczął obmacywać dziewczyny.

Jeannie i Lisa spojrzały na siebie zaskoczone. To, o czym opowiadał Temoigne, przypominało do złudzenia wypadki, które zaszły w niedzielę na Uniwersytecie Jonesa Fallsa. Umyślny sabotaż spowodował zamieszanie i panikę i dostarczył okazji sprawcy. Oba scenariusze łączył również element młodzieńczych fantazji: obmacywanie dziewcząt w ciemnym kinie i oglądanie biegających po szatni nagich kobiet. Jeśli Steve Logan był jednojajowym bliźniakiem Dennisa, wyglądało na to, że popełnili bardzo podobne zbrodnie.

- Jedna z kobiet próbowała całkiem nierozsądnie stawiać opór i zadusił ją - stwierdził Temoigne.

- Gdyby Pinker obmacywał pana - zachnęła się Jeannie - czy nie próbowałby pan nierozsądnie stawiać oporu?

- Nie jestem kobietą - odparł Temoigne z uśmiechem człowieka, który wie, że trzyma w ręku atutową kartę.

- Powinnyśmy już zacząć, doktor Ferrami - wtrąciła się taktownie Lisa. - Mamy mnóstwo roboty.

- Masz rację.

- Normalnie powinna pani rozmawiać z więźniem przez kratę - oznajmił Temoigne.

- Zależało jednak pani specjalnie, żeby przebywać z nim w jednym pomieszczeniu, i otrzymałem polecenie, aby to pani umożliwić. Mimo to chcę, żeby się pani jeszcze zastanowiła. To niebezpieczny i agresywny przestępca.

Jeannie poczuła, jak przechodzi ją dreszcz, ale nie dała po sobie nic poznać.

- Przez cały czas będzie nam towarzyszył uzbrojony strażnik.

- Zgadza się. Ale byłbym spokojniejszy, gdyby od więźnia oddzielała panią stalowa siatka. - Temoigne uśmiechnął się lubieżnie. - Mężczyzna nie musi być psychopata, żeby nachodziły go zdrożne myśli w obecności dwóch takich atrakcyjnych dziewcząt.

Jeannie wstała z krzesła.

- Doceniam pańską troskę, dyrektorze, naprawdę. Musimy jednak wykonać pewne określone czynności, takie jak pobranie krwi, sfotografowanie badanego i tak dalej i nie można tego zrobić przez kraty. Co więcej, część naszych pytań ma intymny charakter i uważam, że wszelkie dzielące nas sztuczne bariery mogłyby mieć niekorzystny wpływ na wyniki badań.

Temoigne wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nic się paniom nie stanie. Odprowadzę panie na miejsce.

Wyszli z budynku administracyjnego i stąpając po spieczonej ziemi, ruszyli w stronę dwupiętrowego betonowego bloku. Strażnik otworzył stalowe drzwi i wpuścił je do środka. Było tam tak samo gorąco jak na zewnątrz.

- Od tej chwili będzie się wami opiekował tu obecny pan Robinson - oznajmił Temoigne. - Gdybyście czegoś potrzebowały, dziewczęta, po prostu krzyczcie.

- Dziękuję, dyrektorze - odparła Jeannie. - Bardzo nam pan pomógł.

Robinson był budzącym zaufanie wysokim czarnym mężczyzną koło trzydziestki. U pasa miał pistolet w zapinanej kaburze i potężną pałkę. Zaprowadził je do pozbawionej okien sali widzeń ze stołem i sześcioma stojącymi przy ścianie krzesłami. Na stole stała popielniczka, w kącie źródło z wodą i na tym kończyło się całe wyposażenie. Podłoga wyłożona była szarym plastikiem, ściany pomalowane na ten sam kolor.

- Pinker zaraz tu przyjdzie - powiedział Robinson. Pomógł Jeannie i Lisie przysunąć krzesła do stołu, a potem wszyscy usiedli.

Chwilę później otworzyły się drzwi.

Berrington Jones umówił się z Jimem Proustem i Prestonem Barckiem w Monocle, restauracji położonej tuż obok biur Senatu w Waszyngtonie. Był to lokal, gdzie podczas lunchu zapadały decyzje o kluczowym znaczeniu i gdzie spotykali się ich znajomi: kongresmani, polityczni konsultanci, doradcy i dziennikarze. Berrington zdecydował, że nie ma sensu kryć się po kątach. Byli zbyt dobrze znani, zwłaszcza senator Proust zwracający uwagę swoją łysą czaszką i wielkim nosem. Gdyby wybrali mało znany lokal, jakiś reporter mógł ich zobaczyć i napisać, że spotykają się potajemnie. Lepiej było pójść tam, gdzie rozpozna ich trzydzieści osób i wszyscy uznają, że spotkali się, aby porozmawiać na temat prowadzonych wspólnie legalnych interesów.

Berrington zdecydowany był nie dopuścić do zerwania kontraktu z Landsmannem. Zgoda, transakcja była od samego początku ryzykowna, a Jeannie Ferrami mogła jej poważnie zagrozić. Ale poddając się teraz, zaprzepaściliby wszystkie swoje marzenia. Istniała tylko jedna szansa, aby uratować Amerykę i przywrócić jej rasową integralność. Nie było na to za późno, jeszcze nie. Wizja praworządnej, bogobojnej, ceniącej wartości rodzinne Ameryki mogła zostać urzeczywistniona. Wszyscy trzej mieli już jednak prawie sześćdziesiątkę; następna taka okazja mogła im się już po prostu nie trafić.

Jim Proust zawsze robił wokół siebie dużo szumu, i chociaż często irytował Berringtona, można go było łatwo przekabacić. Kulturalny Preston, o wiele bardziej sympatyczny, był również znacznie bardziej uparty.

Berrington miał dla nich złe wieści i przedstawił je na samym wstępie.

- Jeannie Ferrami pojechała dzisiaj do Richmond zobaczyć się z Dennisem Pinkerem.

Jim skrzywił się.

- Dlaczego jej, do diabła, nie powstrzymałeś? - Głos miał głęboki i zachrypnięty od wydawania rozkazów przez wiele lat.

Jego arogancki ton jak zwykle wyprowadził z równowagi Berringtona.

- A co miałem zrobić, związać ją?

- Jesteś chyba jej szefem?

- To jest uniwersytet, a nie pierdolona armia, Jim.

- Nie wydzierajcie się tak głośno - zwrócił im uwagę podenerwowany Preston. Na nosie miał wąskie okulary w czarnych oprawkach; nosił takie same od roku 1959 i Berrington zauważył, że ostatnio znowu wracają do mody. - Wiedzieliśmy, że to może się

kiedyś wydarzyć. Moim zdaniem powinniśmy przejąć inicjatywę i do wszystkiego się przyznać.

- Przyznać się? - powtórzył z niedowierzaniem Jim. - Uważasz, że zrobiliśmy coś złego?

- Niektórzy ludzie mogą to tak widzieć.

- Może już zapomniałeś, że po przedstawieniu przez CIA raportu, od którego wszystko się zaczęło, "Nowe osiągnięcia sowieckiej nauki", sam prezydent Nixon stwierdził, że to najbardziej niepokojące wieści z Moskwy, odkąd Sowietom udało się rozbić atom.

- Ten raport nie musiał być wcale prawdziwy - mruknął Preston.

- Ale myśleliśmy, że jest. Co więcej, uwierzył w to nasz prezydent. Nie pamiętasz, jak cholernie groźnie to wtedy wyglądało?

Berrington dobrze wszystko pamiętał. Sowietci mają program hodowli ludzi, twierdziła CIA. Mają zamiar stworzyć genialnych naukowców, genialnych szachistów, niepokonanych sportowców i niepokonanych żołnierzy. Nixon zlecił Wojskowej Służbie Badań Medycznych opracowanie podobnego programu i przedstawienie metody stworzenia idealnych amerykańskich żołnierzy. Jim Proust miał czuwać nad jego realizacją. Natychmiast zwrócił się o pomoc do Berringtona. Kilka lat wcześniej Berrington zaszokował wszystkich, zwłaszcza swoją żonę Vivvie, wstępując do wojska w momencie, gdy wśród jego rówieśników sięgnęły szczytu antywojenne nastroje. Zaczął pracować w Fort Detrick w Frederick, w stanie Maryland, gdzie badał odporność żołnierzy na zmęczenie. Na początku lat siedemdziesiątych stał się czołowym światowym ekspertem, jeśli chodzi o dziedziczenie takich typowo żołnierskich cech osobowych, jak wytrwałość i agresja. W tym czasie Preston, który pozostał na Harvardzie, dokonał kilku przełomowych odkryć, pozwalających lepiej poznać proces ludzkiego zapłodnienia. Berrington namówił go, aby opuścił uniwersytet i razem z nim i Proustem wziął udział w wielkim eksperymencie.

To była jedna z najpiękniejszych chwil w jego życiu.

- Pamiętam również, jakie to było ekscytujące - stwierdził. - Otwieraliśmy nowe horyzonty nauki, ratowaliśmy Amerykę przed kryzysem i sam prezydent prosił nas, byśmy wykonali dla niego to zadanie.

Preston dziobnął smętnie swoją sałatkę.

- Czasy się zmieniły. Dzisiaj nie wystarczy już tłumaczyć, że zrobiło się coś, bo prosił o to osobiście prezydent Stanów Zjednoczonych. Ludzie trafiają do więzienia za to, że zrobili coś, o co prosił ich prezydent.

- Co było w tym złego? - zapytał gniewnie Jim. - Robiliśmy to w tajemnicy, zgoda. Ale do czego mamy się, na litość boską, przyznawać?

- Zeszliśmy do podziemia - powiedział Preston.

Jim zaczerwienił się pod swoją opalenizną.

- Kontynuowaliśmy nasze badania w sektorze prywatnym - stwierdził z naciskiem.

Ładny eufemizm, pomyślał Berrington, nie powiedział jednak tego na głos, żeby nie denerwować Jima. Ci klauni z komitetu na rzecz reelekcji Nixona włamali się do hotelu Watergate i wszyscy w Waszyngtonie zaczęli srać ze strachu. Preston założył Genetico jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, a Jim podrzucił jej dość intratnych wojskowych kontraktów, żeby stanęła na nogi. Po pewnym czasie ośrodki sztucznego zapłodnienia stały się tak dochodowe, że mogli finansować dalsze badania bez pomocy wojska. Berrington wrócił na uniwersytet, a Jim przeszedł z armii do CIA, a potem do Senatu.

- Nie mówię, że nie mieliśmy racji - powiedział Preston - ale pewne rzeczy, które robiliśmy na początku, były niezgodne z prawem.

Berrington nie chciał, żeby doszło między nimi do sporu.

- Ironia losu polega na tym - stwierdził spokojnie - że wyhodowanie idealnych Amerykanów okazało się niemożliwe. Cały projekt szedł w złym kierunku. Naturalna hodowla nie pozwalała na dokładność. Ale my byliśmy dość sprytni, żeby dostrzec możliwości, jakie daje inżynieria genetyczna.

- Wówczas nikt jeszcze nie łączył tych dwu cholernych słów - mruknął Proust, krojąc swój stek.

- Jim ma rację - przyznał, kiwając głową Berrington. - Powinniśmy być dumni, a nie wstydzić się tego, co zrobiliśmy. Kiedy się nad tym zastanowić, dokonaliśmy cudu. Postawiliśmy sobie jasne zadanie: ustalić, czy pewne cechy, takie jak inteligencja i agresywność, są dziedziczne; zidentyfikować odpowiedzialne za to geny; na koniec zaś umieścić je w hodowanych w próbówce embrionach... i otarliśmy się niemal o sukces!

Preston wzruszył ramionami.

- Zajmują się tym biolodzy na całym świecie...

- Niezupełnie. My byliśmy bardziej ukierunkowani i lepiej się zabezpieczyliśmy.

To prawda.

Obaj przyjaciele Berringtona udobruchali się, każdy na swój sposób. Ich reakcje tak łatwo było przewidzieć, pomyślał pogodnie; może tacy są właśnie wszyscy starzy przyjaciele. Jim sypał zawsze pogroźkami, a Preston szukał dziury w całym. Może teraz, kiedy się uspokoił, zdołają ocenić na trzeźwo sytuację.

- W ten sposób wracamy do Jeannie Ferrami - oznajmił. - Za rok albo dwa doktor Ferrami może nam powiedzieć, jak wzbudzić w ludziach agresję, nie zmieniając ich w kryminalistów. Na swoje miejsce trafią ostatnie fragmenty łamigłówki. Dzięki ofercie Landsmanna przyspieszymy tempo badań, a Jim może znaleźć się w Białym Domu. Nie pora teraz się wycofywać.

- Wszystko to bardzo pięknie - stwierdził Preston - ale co mamy konkretnie robić? Landsmann jest cholernie czuły na punkcie etyki.

Berrington przełknął kawałek steku.

- Przede wszystkim musimy sobie uświadomić, że nie mamy do czynienia z kryzysem, lecz z problemem - oświadczył. I że tym problemem nie jest Landsmann. Ich księgowi nie odkryją prawdy, gdyby nawet sto lat wertowali nasze księgi. Naszym problemem jest Jeannie Ferrami. Nie możemy dopuścić, żeby dowiedziała się czegoś więcej, przynajmniej przed poniedziałkiem, kiedy podpiszemy umowę.

- Nie możesz jej przecież niczego zabronić, bo to jest uniwersytet, a nie pierdolona armia - stwierdził z przekąsem Jim.

Berrington pokiwał głową. Teraz obaj główkowali dokładnie tak, jak chciał.

- To prawda - odparł spokojnie. - Nie mogę jej wydawać rozkazów. Ale istnieją bardziej subtelne metody manipulowania ludźmi aniżeli te, którymi posługują się wojskowi. Jeśli zostawicie to mnie, na pewno to załatwię.

Preston nie wydawał się usatysfakcjonowany.

- W jaki sposób? - zapytał.

Berrington od dłuższego czasu zadawał sobie w myśli to pytanie. Nie miał na razie planu, ale chodził mu po głowie pewien pomysł.

- Wydaje mi się, że mogą wyłonić się pewne problemy w związku z wykorzystywaniem przez nią danych medycznych. To budzi wątpliwości natury etycznej. Sądzę, że uda mi się zmusić ją do zaniechania dalszych badań.

- Musiała się jakoś zabezpieczyć.

- Nie potrzebuję ważnego powodu, lecz pretekstu.

- Jak - ona wygląda? - zapytał Jim.

- Ma koło trzydziestki. Wysoka, bardzo wysportowana. Ciemne włosy, kolczyk w nosie, jeździ starym czerwonym mercedesem. Przez dłuższy czas miałem o niej bardzo dobre zdanie, ale wczoraj wieczorem odkryłem, że jest dziedzicznie obciążona. Ma ojca kryminalistę. Lecz jest również sprytna, zadziorna i uparta.

- Mężatka, rozwiedziona?

- Samotna, nikogo nie ma.

- Brzydka?

- Nie, jest bardzo atrakcyjna. Chociaż trudna we współżyciu.

Jim pokiwał w zamyśleniu głową.

Wciąż mamy wielu przyjaciół wśród ludzi z wywiadu. Wyeliminowanie takiej dziewczyny nie powinno sprawić zbyt wiele kłopotu.

Preston zrobił przestraszoną minę.

- Żadnej przemocy, Jim, na litość boską.

Do stolika zbliżył się kelner, żeby sprzątnąć talerze, i na chwilę umilkli czekając, aż odejdzie. Berrington wiedział, że musi powtórzyć im to, czego dowiedział się wieczorem od sierżant Delaware.

- Jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć - oświadczył z ciężkim sercem. - W niedzielę po południu w szatni sali gimnastycznej zgwałcono dziewczynę. Policja aresztowała Stevena Logana. Ofiara rozpoznała go podczas konfrontacji.

- Czy to on jest sprawcą? - zapytał Jim.

- Nie.

- Wiesz, kto to zrobił?

Berrington spojrzał mu prosto w oczy.

- Tak, Jim, wiem.

- O kurwa - zaklął Preston.

- Może powinniśmy raczej wyeliminować chłopców - mruknął Jim.

Berrington poczuł, jak coś dławi go w gardle. Zdawał sobie sprawę, że się czerwieni. Pochylił się nad stołem i zbliżył palec do twarzy Jima.

- Nie waż się więcej mówić przy mnie takich rzeczy! - huknął, wymachując palcem tak blisko jego oczu, że senator, choć znacznie od niego większy, musiał się cofnąć.

- Uspokójcie się - syknął Preston. - Ludzie na was patrzą.

Berrington cofnął palec, ale nie miał zamiaru na tym zakończyć. Gdyby nie znajdowali się w publicznym miejscu, złapałby Jima za gardło. Zamiast tego chwycił go za klapy marynarki.

- Daliśmy tym chłopcom życie. Wydaliśmy ich na świat i jesteśmy za nich odpowiedzialni.

- Dobrze, już dobrze - mruknął Jim.

- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Jeśli któremuś z nich spadnie choć włos z głowy, przysięgam na Boga, że odstrzelę ci łeb, Jim.

Podszedł do nich kelner.

- Czy panowie życzą sobie jakiś deser? - zapytał.

Berrington puścił Jima, który wygładził gniewnym ruchem marynarkę.

- Przysięgam - powtórzył Berrington. - Przysięgam.

- Niech pan przyniesie rachunek - powiedział Preston do kelnera.

Steve Logan nie zmrużył oka przez całą noc.

Prosiak Butcher spał jak dziecko, co jakiś czas lekko pochrapując. Steve siedział na podłodze, nie spuszczać go z oczu, obserwując trwoźnie każdy jego ruch i rozmyślając o tym, co będzie, kiedy facet w końcu się ocknie. Czy będzie chciał z nim walczyć? Czy będzie próbował go zgwałcić albo pobić?

Miał powody do obaw. Mężczyźni zawsze biją się w więzieniu. Wielu odnosi rany, zdarzają się zabójstwa. Społeczeństwo nie bardzo się tym przejmuje, wychodząc z założenia, że jeśli więźniowie będą się tłukli między sobą, zostanie im mniej sił, żeby rabować i mordować porządnych obywateli.

Musiał zrobić wszystko, aby nie sprawiać wrażenia łatwej ofiary. Wiedział, że ludzie często niewłaściwie go oceniają. Ten błąd popełnił między innymi Tip Hendricks. Steve miał łagodny charakter. Chociaż był duży, wydawało się, że nie potrafi skrzywdzić muchy.

Nie zachowując się w sposób prowokacyjny, powinien dać do zrozumienia, że nie da sobie grać na nosie. Przede wszystkim nie może pozwolić, żeby Prosiak wziął go za grzecznego studenta. To uczyniłoby go łatwym celem docinków, żartobliwych razów, a w końcu otwartej agresji. Musiał, jeżeli to możliwe, udawać zatwardziałego przestępcę. A jeśli się nie uda, zdeprymować Prosiaka, wysyłając niejasne sygnały.

A jeśli nic z tego nie odniesie skutku?

Prosiak był wyższy i cięższy od Steve'a i sprawiał wrażenie zahartowanego w bojach bandziora. Steve był bardziej wysportowany i prawdopodobnie szybszy, ale od siedmiu lat nie uderzył nikogo w gniewie. Na otwartej przestrzeni mógł uprzedzić jego atak i uciec bez większych obrażeń. Ale tu, w celi, zapowiadało się na krwawą walkę bez względu na to, kto wygra. Jeśli wierzyć detektywowi Allastonowi, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Prosiak dowiódł, że jest urodzonym mordercą. Czy ja też mam instynkt mordercy? - pytał sam siebie Steve. Czy w ogóle jest coś takiego jak instynkt mordercy? o mało nie zabiłem Tipa Hendricksa. Czy to upodabnia mnie do Prosiaka?

Rozmyślając o tym, co oznaczało wygranie bójki z Prosiakiem, poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Wyobraził sobie leżącego na podłodze, zalanego krwią wielkiego mężczyznę, samego siebie, stojącego nad nim, tak samo jak stał nad Tipem, i głos Spike'a: "Jezu Chryste, on chyba jest martwy". Z dwojga złego wolał chyba dać się pobić.

Może powinien być pasywny. Najlepiej było chyba zwinąć się bez ruchu na podłodze i pozwolić, żeby Prosiak kopał go tak długo, aż się zmęczy. Ale nie wiedział, czy potrafi to

zrobić. Siedział więc z wyschniętym gardłem i walącym szybko sercem, przyglądając się śpiącemu psychopacie i wyobrażając sobie różne warianty bójki, którą zawsze przegrywał.

Domyślał się, że gliniarze często stosują ten numer. Polecenie Allastona wcale nie zdziwiło strażnika. Zamiast katować podejrzanych w pokoju przesłuchań, wygodniej było pozwolić, aby robili to za nich inni więźniowie. Zastanawiał się, ilu ludzi przyznało się do nie popełnionych zbrodni tylko dlatego, że nie chcieli znaleźć się w jednej celi z kimś takim jak Prosiak.

Przyrzekał sobie, że nigdy tego nie zapomni. Kiedy zostanie adwokatem i będzie bronić ludzi oskarżonych o różne przestępstwa, nigdy nie potraktuje przyznania się do winy jako ostatecznego dowodu. Wyobrażał sobie, jak przemawia do ławy przysięgłych: "Byłem raz oskarżony o czyn, którego nie popełniłem, i o mały włos nie przyznałem się do winy".

A potem zdał sobie sprawę, że jeśli zostanie skazany, wyrzucą go z uczelni i nigdy już nie będzie nikogo bronił.

Powtarzał sobie, że nie mogą go skazać. Oczyści go z winy test DNA. Koło północy zabrano go w kajdankach z celi i zawieziono do szpitala Mercy, kilka przecznic od komendy. Tam pobrano mu krew, z której mieli wyekstrahować DNA. Zapytał pielęgniarkę, jak długo to potrwa, i dowiedział się z przerażeniem, że wyniki nie będą znane przed upływem trzech dni. Wrócił do celi zupełnie załamany. Umieszczono go z powrotem z Prosiakiem, który na szczęście w dalszym ciągu spał.

Oceniał, że może nie spać przez jakieś dwadzieścia cztery godziny. Nie mogli go przetrzymywać dłużej bez nakazu sądowego. Został aresztowany mniej więcej o szóstej po południu, więc wolno im było trzymać go w celi do tej samej godziny. Wtedy albo nawet wcześniej będzie mógł się zwrócić o zwolnienie za kaucją. Będzie miał szansę na wydostanie się stąd.

Usiłował rozpaczliwie przypomnieć sobie wykład na temat kaucji. "Jedynym pytaniem, które rozważa sąd, jest to, czy oskarżony stawi się na rozprawie", tłumaczył profesor Rexam. Wtedy wydawało się to nudne jak flaki z olejem; teraz zależało od tego wszystko. Zaczął odtwarzać w pamięci szczegóły. Pod uwagę brało się dwa czynniki. Pierwszym była wysokość ewentualnego wyroku. Jeśli wysunięto poważne oskarżenie, zwolnienie za kaucją było bardziej ryzykowne; oskarżony o morderstwo łatwiej decydował się na ucieczkę niż drobny złodziejaszek. Ten sam czynnik wchodził w grę, gdy podejrzany figurował w rejestrze skazanych i groził mu wysoki wyrok jako recydywiście. Steve nie figurował w rejestrze; chociaż sądzono go za ciężkie pobicie, działało się to, nim ukończył

osiemnaście lat i wyrok uległ zatarciu. Stanie przed sądem z czystym kontem. Ciężące na nim zarzuty były jednak bardzo poważne.

Drugi czynnik to “więzi oskarżonego ze społecznością”: rodzina, dom, praca. Ktoś, kto od pięciu lat mieszkał z żoną i dziećmi pod tym samym adresem i pracował w firmie za rogiem, miał większe szansę od kogoś, kto nie miał w mieście rodziny, wprowadził się do obecnego mieszkania przed sześcioma tygodniami i w rubryce “zawód” podał, że jest bezrobotnym muzykiem. Pod tym względem Steve czuł się pewniejszy. Mieszkał razem z rodzicami i studiował na drugim roku prawa; decydując się na ucieczkę, wiele by tracił.

Sąd nie powinien rozważać, czy zwolnienie oskarżonego stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, przesądzałby bowiem w ten sposób o jego winie. W praktyce jednak często się to zdarzało. Osoba zamieszana w nie zakończone jeszcze przestępcze porachunki miała mniejsze szansę od kogoś, kto dopuścił się pojedynczego przestępstwa. Gdyby Steve’a oskarżano nie o jeden, lecz o całą serię gwałtów, jego szansę na zwolnienie byłyby bliskie zeru.

Uwzględnivszy to wszystko, oceniał swoje szansę na pięćdziesiąt procent. Obserwując Prosiaka, układał w myśli coraz dłuższe mowy, które miał zamiar wygłosić w sądzie.

Zdecydowany był bronić się sam. Nie poprosił o rozmowę telefoniczną, do której miał prawo. Aż do chwili gdy będzie mógł powiedzieć, że oczyszczono go z zarzutów, starał się nie mieszać w to rodziców. Nie wyobrażał sobie, że mógłby powiedzieć im, co go spotkało: byłiby zbyt wstrząśnięci i zrozpaczeni. Podzielenie się złą wieścią przyniosłoby mu ulgę, ale za każdym razem, gdy o tym myślał, stawały mu przed oczyma ich twarze, gdy przed siedmiu laty weszli na posterunek po bójce z Tipem Hendricksem. Wiedział, że rozmowa z nimi zraniłaby go o wiele bardziej niż kiedykolwiek był go w stanie zranić Prosiak Butcher.

W ciągu nocy do aresztu trafili kolejni mężczyźni. Część była apatyczna i posłuszna, inni krzyczeli, że są niewinni, a jeden stawiał opór strażnikom i został w związku z tym profesjonalnie pobity.

Koło piątej zrobiło się cicho. O ósmej zmiennik Spike’a przyniósł w styropianowych pojemnikach śniadanie z knajpy o nazwie Mother Hubbard. Więźniowie w innych celach ożywili się na widok jedzenia i hałas obudził Prosiaka.

Steve nie ruszał się z miejsca, siedząc na podłodze i wpatrując się pozornie pustym wzrokiem w ścianę, w istocie zaś obserwując Prosiaka kątem oka. Przyjazne nastawienie mogło być wzięte za oznakę słabości. Najlepszą postawą była wroga bierność.

Prosiak siadł na pryczy, złapał się za głowę i wlepił oczy w Steve'a, na razie jednak milczał. Steve domyślał się, że facet usiłuje go rozgryźć.

- Co tutaj, kurwa, robisz? - zapytał po kilku minutach Prosiak.

Steve wykrzywił twarz w wyrazie niemego oburzenia, a potem przesunął oczyma po celi i zatrzymał je na Prosiaku. Przez kilka chwil wytrzymywał jego spojrzenie. Prosiak był przystojnym mężczyzną z mięsistą twarzą, na której malowała się agresja. Wpatrywał się przekrwionymi oczyma w swojego współlokatora. Sprawiał wrażenie zmarnowanego i przegranego, lecz mimo to niebezpiecznego. Steve odwrócił wzrok, udając znudzenie. Nie odpowiedział na pytanie. Im więcej czasu zajmie Prosiakowi rozszyfrowanie go, tym będzie bezpieczniejszy.

Kiedy strażnik wsunął śniadanie między prętami, Steve zignorował je. Prosiak podniósł tackę. Wtrąbił cały bekon, jajka i grzanekę, po czym bez żenady skorzystał głośno z toalety.

Załatwiwszy się, podciągnął spodnie, usiadł na pryczy i spojrzał na Steve'a.

- Za co tutaj trafiłeś, biały chłopcze? - zapytał.

To był moment największego zagrożenia. Prosiak starał się go wyczuć. Steve nie mógł teraz pozwolić, żeby domyślił się, kim naprawdę jest: porządnym studentem, który od wielu lat nie brał udziału w żadnej bójce.

Obrócił głowę i spojrzał na Prosiaka tak, jakby dopiero teraz go zauważył. Patrzył mu w oczy bardzo długo, zanim się odezwał.

- Zasraniec zaczął się do mnie dopierdalać, więc przypierdoliłem mu raz a dobrze - odparł, lekko się zacinając.

Prosiak nie spuszczał z niego oczu. Steve nie potrafił powiedzieć, czy facet dał się nabrać.

- Morderstwo? - zapytał po dłuższej chwili.

- Zgadza się, kurwa.

- Ja też.

Wyglądało na to, że Prosiak uwierzył mu.

- Zasraniec nie będzie się do mnie, kurwa, więcej dopierdalać - dodał po chwili buńczucznym tonem Steve.

- Jasne - zgodził się Prosiak.

Zapadło długie milczenie. Prosiak chyba się nad czymś zastanawiał.

- Dlaczego nas razem wsadzili? - zapytał w końcu.

- Nic na mnie, kurwa, nie mają - odparł Steve. - Kombinują, że jeśli cię skasuję, będą mogli mnie skazać.

Prosiak poczuł się dotknięty na honorze.

- A co, jeżeli to ja cię skasuję? - zapytał.

Steve wzruszył ramionami.

- Wtedy będą mieli coś na ciebie.

Prosiak pokiwał powoli głową.

- Cwaniaki - mruknął.

Wyglądało na to, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Po chwili z powrotem się położył.

Steve czekał. Czy niebezpieczeństwo minęło?

Po kilku minutach Prosiak zapadł chyba w sen.

Kiedy zaczął chrapać, Steve oparł się z ulgą o ścianę.

Przez kilka następnych godzin nic się nie zdarzyło.

Nikt nie przyszedł, żeby z nim porozmawiać, nikt nie powiedział mu, co się dzieje. Nie było okienka z informacją, do którego mógłby podejść. Chciał wiedzieć, kiedy będzie mógł poprosić o zwolnienie za kaucją, ale nikt go o tym nie poinformował. Próbował zagadnąć nowego strażnika, lecz facet po prostu go zignorował.

Prosiak wciąż spał, kiedy strażnik przyszedł i otworzył drzwi celi. Założył Steve'owi kajdanki i łańcuchy na nogi, a potem obudził Prosiaka i zrobił z nim to samo. Przykuto ich do innych mężczyzn i zaprowadzono do małej sali na tym samym piętrze.

Wewnątrz były dwa biurka, każde z komputerem i laserową drukarką, przed nimi rząd szarych plastikowych krzeseł. Przy pierwszym biurku siedziała elegancko ubrana czarna kobieta koło trzydziestki. Zerknęła na więźniów, mruknęła: "proszę usiąść" i zaczęła z powrotem stukać wypielęgnowanymi palcami w klawiaturę.

Szurając nogami, przedelfowali przed biurkiem i usiedli. Steve rozejrzał się dookoła. Ze swoimi stalowymi szafkami, tablicami ogłoszeń, przeciwpożarową gaśnicą i staroświeckim sejfem sala przypominała zwykły sekretariat. Po kilkunastu godzinach spędzonych w celi wydawała mu się piękna.

Prosiak zamknął oczy i chyba ponownie zasnął. Z dwu pozostałych mężczyzn, jeden wpatrywał się z niedowierzaniem w gips, w którym tkwiła jego prawa noga, drugi uśmiechał się błogo, wyraźnie nie mając pojęcia, gdzie jest, naćpany jak świnia, opóźniony w rozwoju albo jedno i drugie.

Kobieta odwróciła w końcu wzrok od ekranu.

- Proszę podać nazwisko.

- Steve Logan - odparł Steve, który siedział pierwszy w szeregu.

- Nazywam się Williams i jestem komisarzem sądowym, panie Logan.

Przypomniawszy sobie zajęcia na temat procedury sądowej. Komisarz był funkcjonariuszem sądowym, stojącym o wiele niżej od sędziego. Zajmował się nakazami aresztowania i innymi pomniejszych formalnościami. Miał również prawo zwolnić za kaucją i Steve'a podniosło to na duchu. Może jednak uda mu się stąd wydostać.

- Do moich obowiązków - oznajmiła Williams - należy poinformowanie pana, o co jest pan oskarżony, kiedy i gdzie odbędzie się proces, czy zostanie pan zwolniony za kaucją lub za poręczeniem, a jeśli tak, to pod jakimi warunkami.

Mówiła bardzo szybko, ale Steve usłyszał wzmiankę o kaucji, która potwierdziła to, co zapamiętał z zajęć. Znajdowała się przed nim osoba, którą musiał przekonać, że można mu wierzyć i że pojawi się na rozprawie.

- Zarzuca się panu gwałt pierwszego stopnia, napaść z zamiarem gwałtu, pobicie oraz sodomie. - Na jej okrągłej twarzy nie odbiły się żadne emocje, gdy wyliczała potworne zbrodnie, o które został oskarżony. Podała mu datę procesu, który miał się odbyć za trzy tygodnie, i Steve przypomniał sobie, że każdemu podejrzanemu przysługuje prawo do rozprawy w ciągu trzydziestu dni od zatrzymania.

- Za gwałt grozi panu dożywocie. Za napaść z zamiarem gwałtu od dwu do piętnastu lat. Oba czyny stanowią przestępstwa kwalifikowane.

Steve wiedział, czym jest przestępstwo kwalifikowane, wątpił jednak, czy zdawał sobie z tego sprawę Prosiak Butcher. Przypomniało mu się, że gwałcieciel podpalił również budynek sali gimnastycznej. Dlaczego nie postawiono mu tego zarzutu? Być może policja nie miała żadnego dowodu łączącego go z pożarem.

Williams zadała mu serię szybkich pytań i wpisała odpowiedzi do komputera.

- Proszę podać pełne nazwisko. Adres? Numer telefonu? Jak długo mieszka pan w tym samym miejscu? Gdzie mieszkał pan przedtem?

Informując ją, że mieszka z rodzicami, że studiuje na drugim roku prawa i nie ma kryminalnej przeszłości, czuł, jak budzi się w nim nadzieja. Zapytała, czy jest uzależniony od narkotyków lub alkoholu, a on mógł udzielić jej odpowiedzi przeczącej. Zastanawiał się, kiedy będzie miał okazję zwrócić się z prośbą o zwolnienie, ale ona trajkotała jak nakręcona, stosując się najwyraźniej do z góry ustalonej procedury.

- Co się tyczy sodomii, nie znajduję wystarczających dowodów - stwierdziła. Oderwała wzrok od ekranu i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie oznacza to, że nie mógł pan

popęłnić tego wykroczenia, lecz tylko to, że w policyjnym raporcie nie znajduję dosyć informacji, by taki zarzut potwierdzić.

Steve zastanawiał się, dlaczego policja oskarżyła go o sodomie. Może mieli nadzieję, że zaprzeczy z oburzeniem i zdradzi się mówiąc: To obrzydliwe, przeleciałem ją, ale nie waliłem od tyłu, za kogo mnie macie?

- Zarzut zostanie jednak postawiony podczas rozprawy - dodała Williams.

Steve zupełnie się pogubił. Jaki był sens jej poprzedniego stwierdzenia, skoro i tak postawią mu ten zarzut podczas rozprawy? I jeśli on, student drugiego roku prawa, miał trudności z nadążaniem za tym, co mówiła, co można było powiedzieć o zwyczajnym śmiertelniku?

- Ma pan jakieś pytania? - zapytała komisarz.

Steve wziął głęboki oddech.

- Chcę prosić o zwolnienie za kaucją - zaczął. - Jestem niewinny...

- Jest pan oskarżony o przestępstwa kwalifikowane, panie Logan - przerwała mu - które podpadają pod paragraf sześćset trzydzieści osiem B postępowania sądowego. A to oznacza, że jako komisarz sądowy nie mogę udzielić panu zwolnienia za kaucją. Ta decyzja należy wyłącznie do sędziego.

To było jak policzek. Zrobiło mu się niedobrze. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- W takim razie jaki jest sens tej całej farsy? - zapytał gniewnie.

- W tym momencie nie dotyczą pana przepisy o zwolnieniu za kaucją.

- Więc po co zadawała mi pani te wszystkie pytania i obudziła we mnie nadzieję? Myślałem, że stąd się wydostanę! - oznajmił podniesionym tonem.

Wcale jej to nie poruszyło.

- Adres, który mi pan podał, i inne informacje zostaną sprawdzone przez śledczego przedprocesowego, który zda raport sędziemu - oświadczyła spokojnie. - Jutro czeka pana przesłuchanie, podczas którego sędzia podejmie decyzję w sprawie zwolnienia za kaucją.

- Trzymają mnie w celi razem z nim! - poskarżył się Steve, wskazując śpiącego Prosiaka.

- Nie odpowiadam za warunki panujące w celach.

- Ten facet jest mordercą. Nie zabił mnie dotychczas tylko dlatego, że nie może ustać na nogach. Składam pani w tej chwili, jako urzędnikowi sądowemu, formalną skargę. Jestem dręczony psychicznie i moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Kiedy cele są pełne, musi pan dzielić...

- Cele nie są pełne, co może pani stwierdzić, wystawiając głowę z tego pokoju. Większość jest pusta. Umieścili mnie razem z nim, żeby mógł mnie skatować. I jeśli to zrobi, zaskarżę panią osobiście za to, że pani do tego dopuściła.

Williams trochę zmiękła.

- Zajmę się tym. A teraz wręczę panu kilka dokumentów. - Dała mu listę zarzutów i parę innych papierów. - Proszę podpisać każdy z nich i wziąć sobie kopię.

Sfrustrowany i przygnębiony Steve wziął od niej długopis i podpisał papiery. Kiedy to robił, strażnik trącił w ramię Prosiaka i obudził go. Steve oddał dokumenty kobiecie, która włożyła je do teczki.

- Proszę podać nazwisko - zwróciła się do Prosiaka.

Steve schował twarz w dłoniach.

18.

Jeannie nie odrywała wzroku od wolno otwierających się drzwi.

Mężczyzna, który wszedł do sali widzeń, był sobowtórem Stevena Logana.

Usłyszała, jak siedząca obok Lisa bierze głęboki oddech.

Dennis Pinker był tak uderzająco podobny do Stevena, że Jeannie nigdy nie zdołałaby ich odróżnić.

Metoda okazała się skuteczna, pomyślała z triumfem. Miała na to wyraźny dowód. Chociaż rodzice stanowczo zaprzeczali, by któryś z tych dwóch mężczyzn mógł mieć brata bliźniaka, byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

Kręcone jasne włosy miał ostrzyżone w ten sam sposób, krótko, z przedziałkiem. Dennis zawiązał rękawy więziennych drelichów, tak samo jak zrobił to Steven z mankietami swojej niebieskiej płóciennej koszuli. Zamknął za sobą drzwi piętą, podobnie jak zrobił to Steven, wchodząc do jej gabinetu. Siadając, posłał jej taki sam jak Steven chłopięcy ujmujący uśmiech. Trudno było uwierzyć, że nie ma przed sobą Steve'a.

Jeannie spojrzała na Lisę, która pobladła i wpatrywała się w Dennisa szeroko otwartymi oczyma. To on - szepnęła.

Dennis zmierzył Jeannie wzrokiem.

- Oddasz mi jeszcze dzisiaj swoje majtki - mruknął.

Jeannie zmroziła chłodna pewność brzmiąca w jego głosie, ale odczuła jednocześnie intelektualną satysfakcję. Steven nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Ten sam materiał genetyczny dał w rezultacie dwóch zupełnie odmiennych osobników: i czarującego studenta, i psychopatę. Ale czy dzielące ich różnice nie były tylko złudzeniem?

- Zachowuj się grzecznie, bo będziesz miał kłopoty - powiedział spokojnym tonem strażnik Robinson.

Dennis posłał jej znowu ten chłopięcy uśmiech, ale jego słowa napawały strachem.

- Robinson nawet się nie zorientuje, kiedy to zrobisz - zwrócił się do Jeannie. - Wyjdiesz stąd, czując na tyłku chłodny powiew bryzy.

Jeannie opanowała się. To tylko ciche przechwałki. Była sprytna i silna; Dennisowi niełatwo byłoby ją zaatakować, gdyby nawet siedzieli tu zupełnie sami. Ze stojącym obok, uzbrojonym w pistolet i pałkę strażnikiem czuła się absolutnie bezpieczna.

- Dobrze się czujesz? - mruknęła do Lisy.

Lisa była blada, ale zacisnęła z determinacją usta.

- Nic mi nie jest - odparła ponuro.

Podobnie jak jego rodzice, Dennis wypełnił już wcześniej kilka kwestionariuszy. Lisa zaczęła mu teraz zadawać bardziej skomplikowane pytania, na które nie można było odpowiedzieć, wstawiając krzyżyki do odpowiednich rubryk, Jeannie przeglądała wyniki, porównując Dennisa ze Stevenem. Podobieństwa były uderzające: zbliżony profil psychologiczny, podobne zainteresowania, upodobania, hobby, sprawność fizyczna. Dennis miał nawet tak samo jak Steven zdumiewająco wysoki iloraz inteligencji.

Co za szkoda, myślała. Ten młody człowiek mógł zostać naukowcem, chirurgiem, inżynierem, programistą komputerowym. Zamiast tego gnił tutaj w więzieniu.

Zasadnicza różnica między Dennisem i Stevenem polegała na stopniu ich przystosowania. Steven był dojrzałym mężczyzną z wyższymi niż przeciętne cechami prospołecznymi - łatwo nawiązujący znajomości, akceptujący cudzy autorytet, na luzie z przyjaciółmi, szczęśliwy, gdy stanowił część zespołu. Dennis miał interpersonalne predyspozycje trzyletniego dziecka. Zabierał innym wszystko, co chciał, nie lubił się niczym dzielić, bał się obcych i jeśli nie mógł postawić na swoim, tracił panowanie nad sobą i stawał się agresywny.

Jeannie pamiętała pewne wydarzenie z wczesnego dzieciństwa. Miała wtedy trzy lata i było to jej najwcześniejsze wspomnienie. Pochylała się nad łóżeczkiem, w którym leżała jej młodsza siostrzyczka. Patty ubrana była w różowe śpioszki z wyhaftowanymi na kołnierzyku jasnoniebieskimi kwiatkami. Jeannie jeszcze dziś czuła nienawiść, która ogarnęła ją, gdy przyglądała się małej twarzyczce. Patty ukradła jej tatusia i mamę. Chciała zabić tego intruza, który odebrał miłość i troskę, poprzednio przeznaczoną wyłącznie dla niej samej. "Kochasz swoją małą siostrzyczkę?" - zapytała ciotka Rosa i Jeannie odpowiedziała: "Nienawidzę jej, chciałabym, żeby umarła". Ciotka Rosa dała jej klapsa i Jeannie poczuła się podwójnie skrzywdzona.

Jeannie dorosła podobnie jak Steven, ale Dennisowi nigdy się to nie udało. Dlaczego Steven różnił się od Dennisa? Czy zadecydowało o tym jego wychowanie? A może tylko wydawał się inny? Może jego prospołeczne cechy były jedynie maską, pod którą krył się psychopata?

Obserwując i słuchając, Jeannie zdała sobie sprawę, że jest jeszcze jedna różnica. Bała się Dennisa. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale zagrożenie emanowało z całej jego osoby. Miała poczucie, że facet może zrobić wszystko, co mu przyjdzie do głowy, bez względu na konsekwencje. Steven ani przez chwilę nie robił na niej takiego wrażenia.

Sfotografowała Dennisa, robiąc między innymi zbliżenia obojga uszu. U jednojajowych bliźniąt uszy, a zwłaszcza ich płatki, są na ogół bardzo podobne.

Następnie Lisa, która przeszła w tej dziedzinie specjalne szkolenie, pobrała krew Dennisowi. Jeannie nie mogła się doczekać, żeby porównać ich DNA. Była pewna, że Steven i Dennis mają takie same geny. To wykaże ponad wszelką wątpliwość, że są jednojajowymi bliźniętami.

Lisa wprawnie zapieczętowała i oznaczyła próbkę, a potem wyszła, żeby umieścić ją w pojemniku z lodem, którą miały w bagażniku samochodu. Jeannie została, aby zakończyć wywiad.

Zadając ostatnie pytania, żałowała, że nie może ich mieć obu przez tydzień w laboratorium. Ale to mogło się okazać niemożliwe w kontakcie z wieloma parami. Studiując przestępców, napotykała liczne trudności wynikające z tego, że siedzieli w więzieniu. Bardziej skomplikowane badania, wymagające użycia specjalistycznego sprzętu, mogły zostać przeprowadzone dopiero po wyjściu Dennisa na wolność. Musiała się z tym pogodzić. Na szczęście miała do przeanalizowania dużo innych danych.

- Dziękuję, że zgodził się pan na tę rozmowę, panie Pinker - powiedziała, wypełniwszy ostatni kwestionariusz.

- Nie dałaś mi jeszcze swoich majtek - odparł zimno.

- Słuchaj, Pinker, byłeś grzeczny przez całe popołudnie, nie psuj tego - oświadczył Robinson.

Dennis popatrzył na niego z bezbrzeżną pogardą.

- Robinson boi się szczurów, wiedziała pani o tym, pani psycholog? - zapytał, zwracając się do Jeannie.

Ogarnął ją nagły niepokój. Działo się coś, czego nie rozumiała. Zaczęła szybko zbierać swoje papiery.

Robinson zrobił zakłopotaną minę.

- Nienawidzę szczurów, to prawda, ale wcale się ich nie boję.

- Nawet takiego dużego, jak ten szary w kącie? - zapytał Dennis, wskazując ręką.

Robinson odwrócił się do tyłu. W kącie nie było szczura, kiedy jednak strażnik odwrócony był plecami, Dennis sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciasno opakowane zawiniątko. Zrobił to tak szybko, że Jeannie domyśliła się, co jest w środku o wiele za późno. Dennis rozwinął niebieską poplamioną chustkę. Schowany był w niej tłusty szary szczur z długim różowym ogonem. Jeannie zadrżała. Nie brzydziła się gryzoni, ale było coś głęboko wstrętne w widoku szczura trzymanego w tych samych dłoniach, które udusiły kobietę.

Zanim Robinson odwrócił się z powrotem, Dennis wypuścił szczura, który przebiegł przez pokój.

- Tam, Robinson, tam! - zawołał Dennis.

Strażnik obejrzał się, zobaczył szczura i pobladł.

- Cholera - mruknął, wyciągając pałkę.

Szczur biegł wzdłuż ściany, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Robinson ruszył za nim w pogoń, waląc raz po raz pałką. Zostawił kilka czarnych śladów na ścianie, ale nie udało mu się trafić.

Jeannie obserwowała Robinsona z rosnącym niepokojem. Coś było tutaj nie w porządku, coś nie miało sensu. Wyglądało to na niewinny wyglup, ale Dennis nie był przecież żartownisiem. Był zboczeńcem i mordercą. To, co robił, zupełnie do niego nie pasowało. Chyba że chodziło mu wyłącznie o odwrócenie uwagi i miał jakiś inny zamiar...

Poczuła, jak coś dotyka jej włosów. Odwróciła się i zamarło jej serce.

Dennis wstał z krzesła i był teraz tuż obok. Przy jej twarzy trzymał coś, co wyglądało na własnoręcznie zrobiony nóż; była to blaszana łyżka ze spłaszczonym i zaostrzonym końcem.

Chciała krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła. Przed kilkoma sekundami uważała, że jest zupełnie bezpieczna; teraz zagrażał jej morderca z nożem. Jak mogło się to tak szybko zdarzyć? Krew odpłynęła jej z twarzy i miała trudności z zebraniem myśli.

Dennis złapał ją lewą ręką za włosy i przysunął ostrze tak blisko oka, że nie mogła go dobrze widzieć. Pochylił się do jej ucha i poczuła zapach jego potu i ciepły oddech na policzku.

- Rób, co każę, albo wydlubię ci oczy - mruknął tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Sparaliżowało ją przerażenie.

- O Boże, nie oślepiaj mnie - jęknęła.

Usłyszała we własnym głosie zupełnie obcy poddańczy i błagalny ton i trochę to ją otrzeźwiło. Próbowała rozpaczliwie wziąć się w garść i coś wymyślić. Robinson wciąż ścigał szczura; nie miał pojęcia, co dzieje się za jego plecami. Nie była w stanie w to uwierzyć. Znajdowali się w środku stanowego więzienia, miała przy sobie uzbrojonego strażnika, a mimo to była zdana na łaskę Dennisa. Jak bardzo okazała się niemądra, wyobrażając sobie przed kilku godzinami, że nauczy go moresu, jeśli ją zaatakuje. Zaczęła trząść się ze strachu.

Dennis pociągnął ją boleśnie za włosy i poderwała się z krzesła.

- Proszę - wyszeptwała. Gardziła sobą za to, że tak się płaszczy, ale nie mogła na to nic poradzić. - Zrobię wszystko!

Przysunął wargi do jej ucha.

- Zdejmuj majtki - mruknął.

Zamarła w bezruchu. Była gotowa zrobić wszystko, nawet najbardziej się upokorzyć, byle tylko ją puścił, lecz zdjęcie bielizny mogło okazać się równie niebezpieczne jak sprzeciw. Nie wiedziała, co robić. Próbowwała zobaczyć, gdzie jest Robinson. Znajdował się poza polem jej widzenia i bała się obrócić głowę, żeby nóż nie wbił jej się w oko. Słyszała jednak, jak przeklina i wali w ścianę swoją pałką. Było oczywiste, że nie zdawał sobie sprawy, co jej grozi.

- Nie mam dużo czasu - mruknął Dennis głosem, który przypominał lodowaty wiatr.

- Jeśli nie dostanę, czego chcę, nigdy już nie zobaczysz, jak świeci słońce.

Wierzyła w to, co mówił. Przed chwilą skończyła z nim trzygodzinny wywiad i zdawała sobie sprawę, do czego jest zdolny. Nie miał sumienia; nie wiedział, czym jest poczucie winy albo skrucha. Jeśli nie zaspokoi jego życzeń, bez wahania ją oślepi.

Ale co ją czeka, gdy zdejmie majtki? Czy będzie usatysfakcjonowany i odsunie ostrze od jej twarzy? Czy wydlubie jej oko, nie zważając na to, że go posłuchała? Czy może będzie chciał czegoś więcej?

Dlaczego Robinson nie potrafi zabić tego pieprzonego szczura?

- Szybciej! - syknął Dennis.

Czy może być coś gorszego od ślepoty?

- Dobrze - jęknęła.

Niezgrabnie się pochyliła. Dennis wciąż trzymał ją za włosy, przystawiając nóż do twarzy. Podkasala drżącymi rękoma sukienkę i ściągnęła kupione w K-Mart białe bawełniane figi. Kiedy opadły jej na stopy, Dennis wydał głęboki gardłowy dźwięk. Choć rozsądek podpowiadał jej, że nie ma w tym ani trochę jej winy, czuła głęboki wstyd. Wygładziła szybko sukienkę, okrywając nagość, a potem podniosła jedną i drugą nogę i cisnęła majtki jak najdalej od siebie.

Czuła się potwornie bezbronna.

Dennis puścił ją, złapał majtki, przycisnął je do twarzy i zaczął wdychać ich zapach, przymykając oczy w ekstazie.

Jeannie nie mogła oderwać od niego wzroku.

Choć jej nie dotykał, trzęsła się z obrzydzenia.

Co zrobi teraz?

Za plecami usłyszała głośne plaśnięcie. Odwróciła się i zobaczyła, że Robinson trafił w końcu szczura. Pałka zmiażdżyła mu grzbiet i na podłodze widniała czerwona plama. Szczur nie mógł już uciekać, ale wciąż żył. Miał otwarte oczy i jego ciało unosiło się w spazmatycznym oddechu. Robinson uderzył ponownie, tym razem prosto w głowę. Szczur przestał się poruszać i z rozbitej czaszki wypłynął szary mózg.

Jeannie spojrzała z powrotem na Dennisa. Ku jej zdziwieniu siedział spokojnie przy stole, udając niewiniątko. Nóż i jej majtki zniknęły.

Czy nic jej nie groziło? Czy było już po wszystkim?

Robinson dyszał ciężko ze zmęczenia.

- Czy to nie ty puściłeś tu tego szczura, Pinker? - zapytał, spoglądając spode łba na Dennisa.

- Nie, proszę pana - odparł bez namysłu więzień.

Tak, to jego sprawka, miała ochotę krzyknąć Jeannie. Ale z jakiegoś powodu milczała.

- Bo gdybyś kiedykolwiek zrobił coś takiego, wyrwałbym ci... - Robinson zerknął kątem oka na Jeannie i doszedł do wniosku, że nie powie, co takiego wyrwałby Dennisowi.

- Wiesz chyba, że gorzko byś tego pożałował.

- Wiem, proszę pana.

Jeannie zdała sobie sprawę, że jest bezpieczna. Lecz zamiast ulgi poczuła gniew. Wpatrywała się oburzona w Dennisa. Czy miał zamiar udawać, że nic się nie stało?

- Dostaniesz wiadro z wodą i wyczyścisz podłogę - oświadczył Robinson.

- Oczywiście, proszę pana.

- To znaczy, jeśli doktor Ferrami już z tobą skończyła.

Kiedy uganiałeś się za tym szczurem, gamoni, Dennis ukradł mi majtki, chciała powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. To było takie żalosne. I wyobrażała sobie konsekwencje złożenia podobnej skargi. Będzie musiała sterczeć tu przez godzinę albo dłużej, do czasu zakończenia śledztwa. Dennis zostanie przeszukany, majtki odnalezione. Pokażą je dyrektorowi. Wyobrażała sobie, jak Temoigne bada dowód rzeczowy, macając majtki i przewracając je na drugą stronę z dziwnym wyrazem twarzy.

Nie. Nie powie niczego.

Poczuła ukłucie winy. Zawsze miała za złe kobietom, które zostały poszkodowane i nie wносиły skargi pozwalając, żeby sprawcy uszło to na sucho. Teraz robiła to samo.

Zdała sobie sprawę, że Dennis dokładnie na to liczył. Przewidział, jak będzie się czuła, i zgadł, że nie poniesie żadnych konsekwencji. Ta myśl tak ją rozwścieczyła, że przez

moment zastanawiała się, czy nie narazić się na wszystkie nieprzyjemności po to tylko, by pokrzyżować mu plany. A potem wyobraziła sobie Temoigne'a, Robinsona i wszystkich innych mężczyzn w tym więzieniu, spoglądających na nią i myślących: "Ta babka nie ma na sobie majtek" - i zrozumiała, że nie ma zamiaru zgodzić się na takie upokorzenie.

Dennis był wyjątkowo sprytny - tak samo sprytny jak mężczyzna, który podłożył ogień w szatni i zgwałcił Lisę, tak samo sprytny jak Steve...

- Jest pani trochę roztrzęsiona - powiedział Robinson. - Domyślam się, że nie znosi pani szczurów tak samo jak ja.

Wzięła się w garść. Było już po wszystkim. Uszła z życiem i nie straciła nawet wzroku. Nie stało się w końcu nic złego, przekonywała sama siebie. Mogłam zostać okaleczona lub zgwałcona. Zamiast tego straciłam tylko parę majtek. Powinam być wdzięczna losowi.

- Dziękuję, nic mi nie jest - odparła.

- W takim razie mogę panią odprowadzić do wyjścia.

Wyszli we troje z pokoju.

- Idź po szmatę, Pinker - rozkazał Robinson.

Dennis posłał Jeannie długi intymny uśmiech, tak jakby byli starymi kochankami i spędzili w łóżku całe popołudnie. A potem zniknął za rogiem korytarza. Jeannie patrzyła z olbrzymią ulgą, jak odchodzi, jednocześnie jednak płonęły jej policzki, ponieważ miał w kieszeni jej majtki. Czy będzie spał, przyciskając je do policzka, tak jak dziecko tuli do siebie pluszowego misia? Czy owinie je wokół penisa podczas masturbacji i będzie sobie wyobrażał, że ma z nią stosunek? Cokolwiek zamierzał zrobić, czuła, że będzie w tym uczestniczyć wbrew swojej woli. Naruszona została jej prywatność, jej wolność.

Robinson odprowadził ją do głównej bramy i podał na pożegnanie rękę. Jakie to szczęście, że już stąd wyjeżdżam, pomyślała, idąc przez parking do samochodu. Miała próbkę DNA Dennisa, to było najważniejsze.

Lisa siedziała za kierownicą. Klimatyzacja była włączona, żeby ochłodzić wnętrze forda. Jeannie opadła ciężko na fotel.

- Jesteś jakaś przybita - zauważyła Lisa, wyjeżdżając z parkingu.

- Zatrzymaj się przy pierwszym supermarkecie.

- Dobrze. Czego potrzebujesz?

- Mogę ci powiedzieć - odparła Jeannie - ale i tak mi nie uwierzysz.

Po lunchu Berrington zajrzał do spokojnego baru w pobliżu i zamówił martini.

Rzucona luźnym tonem przez Prousta propozycja morderstwa wstrząsnęła nim. Wiedział, że zrobił z siebie głupka, łapiąc Jima za kłapy i drąc się na całe gardło, ale wcale tego nie żałował. Dał mu przynajmniej jasno do zrozumienia, co czuje.

Nie starli się po raz pierwszy. Pamiętał wielki kryzys w ich znajomości na początku lat siedemdziesiątych, kiedy wybuchł skandal Watergate. To były straszne czasy: konserwatyzm został zdyskredytowany, strzegący ładu i porządku politycy okazali się nieuczciwi i każda niejawna działalność, bez względu na to, jak szczytne przyświecały jej ideały, traktowana była nagle jako sprzeczna z konstytucją. Preston Berek był przerażony i chciał się z wszystkiego wycofać. Jim Proust wyzwał go od tchórzy, dowodził gniewnie, że nie ma żadnego zagrożenia i zaproponował, aby kontynuować działalność pod egidą CIA i wojska, zacieśniając tylko być może środki bezpieczeństwa. Nie ulegało wątpliwości, że gotów był pozbawić życia każdego wścibskiego dziennikarza, który próbowałby ujawnić ich działalność. To Berrington zasugerował wówczas założenie prywatnej firmy, aby w ten sposób zdystansowali się od rządu. Teraz ponownie miał ich wybawić z kłopotów.

W barze było ponuro i chłodno. W telewizji szedł jakiś serial, ale fonia była wyłączona. Zimny dżin uspokoił Berringtona. Stopniowo przeszła mu złość na Jima i skoncentrował się na osobie Jeannie Ferrami.

Strach skłonił go do złożenia nierozważnej obietnicy. Oświadczył Jimowi i Prestonowi, że sobie z nią poradzi. Teraz musiał dotrzymać słowa. Musiał coś zrobić, żeby Jeannie przestała się interesować Stevenem Loganem i Dennisem Pinkerem.

Było to irytująco trudne zadanie. Chociaż przyjął ją na etat i zapewnił pieniądze na badania, nie mógł tak po prostu wydawać poleceń naukowcom: zgodnie z tym, co powiedział Jimowi, uniwersytet nie był armią. Jeannie była zatrudniona przez Uniwersytet Jonesa Fallsa, a Genetico przekazało już fundusze na ten rok. W perspektywie uciszenie jej nie sprawiłoby mu oczywiście kłopotu, ale nie o to w tej chwili chodziło. Trzeba było ją powstrzymać jutro lub pojutrze, zanim dowie się dosyć, żeby doprowadzić ich do zguby.

Uspokój się, powtarzał sobie, uspokój się.

Wątpliwości mógł budzić fakt, że korzystała bez zgody pacjentów z medycznych banków informacji. Z czegoś takiego gazety mogły zrobić wielki szum bez względu na to, czy rzeczywiście naruszono czyjąś prywatność. A uniwersytety bały się skandali: utrudniało to w znacznym stopniu zbieranie funduszy.

Przerwanie tak obiecującego programu badań było prawdziwą tragedią. Sprzeciwiało się wszystkiemu, w co wierzył. Zachęcał i popierał Jeannie, a teraz musiał z nią walczyć. Potraktuje to jako cios poniżej pasa i będzie miała rację. Powtarzał sobie, że Jeannie jest dziedzicznie obciążona i prędzej czy później musiała wpaść w kłopoty, lecz mimo to żałował, że to on ma przyczynić się do jej klęski.

Starał się nie myśleć o jej ciele. Zawsze miał słabość do kobiet. To był jego jedyny nałóg: umiarkowanie pił, nigdy nie uprawiał hazardu i nie rozumiał, dlaczego ludzie biorą narkotyki. Kochał swoją żonę, ale nawet podczas trwania małżeństwa nie potrafił oprzeć się pokusie i Vivvie odeszła w końcu, nie mogąc znieść jego niewierności. Wyobraził sobie, jak Jeannie gładzi go po włosach i mówi: Byłeś dla mnie taki dobry, tyle dla mnie zrobiłeś, nie wiem, jak zdołam ci się odwdziżyć.

Takie myśli zawsze go zawstydzaly. Miał być jej opiekunem i mentorem, a nie uwodzicielem.

Poczuł, jak razem z pożądaniem ogarnia go oburzenie. Przecież to zwykła dziewczyna! Jak mogła im do tego stopnia zagrozić? Jak to możliwe, że gówniara z kolczykiem w nosie narażała na szwank całe przedsięwzięcie w chwili, gdy miały się spełnić ich życiowe ambicje? Nic nie mogło pokrzyżować im planów; od samej takiej myśli zrobiło mu się słabo. Kiedy nie fantazjował, że kocha się z Jeannie, wyobrażał sobie, że ją dusi.

Mimo to wahał się, czy napuścić na nią dziennikarzy. Niełatwo jest kontrolować środki przekazu. Istniała zawsze możliwość, że zaczną atakować Jeannie, a skończą na nim. To była niebezpieczna gra. Ale nie przychodziło mu do głowy nic innego, jeśli wykluczyć szalone rojenia Jima.

Wypił do dna martini. Barman zaproponował mu kolejnego drinka, ale Berrington odmówił. Rozglądając się dookoła, dostrzegł automat telefoniczny przy męskiej toalecie. Wsunął swoją kartę American Express w czytnik i wystukał numer Jima.

- Tu biuro senatora Prousta - odezwał się jeden z bezczelnych młodych asystentów Jima.

- Mówi Berrington Jones...

- Niestety pan senator ma teraz spotkanie.

Naprawdę powinien nauczyć swoich akolitów, żeby byli trochę uprzejmiejsi, pomyślał Berrington.

- W takim razie chyba nie będziemy mu przerywać - powiedział. - Czy ma dzisiaj jakieś spotkanie z prasą?

- Nie wiem. Czy mogę zapytać, dlaczego to pana interesuje?

- Nie, młody człowieku, nie może pan zapytać - odparł poirytowany Berrington. Przemądrzali asystenci byli przekleństwem Kapitelu. - Może pan odpowiedzieć na moje pytanie, połączyć mnie z Jimem Prostem albo stracić pracę. Co pan wybiera?

- Proszę zaczekać.

Przerwa trwała bardzo długo. Ktoś, kto spodziewał się, iż Jim nauczy swoich asystentów taktu, mógł równie dobrze liczyć, że szympanśca nauczy swoje małe zachowania przy stole. Styl szefa przechodzi na personel: cham ma zawsze aroganckich podwładnych.

- Za piętnaście minut senator ma uczestniczyć w promocji książki pod tytułem Nowa nadzieja dla Ameryki kongresmana Dinkeya, profesorze Jones - odezwał się nowy głos w słuchawce.

To było dokładnie to, czego potrzebował.

- Gdzie?

- W hotelu Watergate.

- Niech pan powie Jimowi, że tam będę, i zadba o to, by moje nazwisko znalazło się na liście zaproszonych - powiedział i odwiesił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Wyszedł z baru i pojechał taksówką do hotelu. Tę sprawę trzeba było przeprowadzić bardzo delikatnie. Manipulowanie mediami było ryzykowne: dobry reporter mógł zlekceważyć podrzucony temat i zacząć zastanawiać się, dlaczego komuś zależy na jego nagłośnieniu. Ale uświadamiając sobie ryzyko, Berrington nie zapominał ani na chwilę o czekającej ich nagrodzie, i to pomagało mu opanować nerwy.

Odnalazł salę, w której miała się odbyć konferencja prasowa. Jego nazwiska nie było na liście - przemądrzali asystenci nigdy nie potrafili niczego porządnie załatwić - lecz organizatorka rozpoznała jego twarz i z radością przywitała wiedząc, że będzie stanowił dodatkową atrakcję dla kamerzystów. Cieszył się, że ma na sobie koszulę w paski, która tak dobrze wyglądała na fotografiach.

Wziął do ręki szklankę perriera i rozejrzał się po sali. Przed wielkim na całą ścianę powiększeniem okładki stała nieduża mównica, na bocznym stoliku leżał plik informacji dla prasy. Ekipy telewizyjne ustawiały światła. Widział kilku reporterów, których znał, ale żadnego, któremu naprawdę by ufał.

Wciąż jednak przybywali nowi. Berrington przechadzał się po sali, wymieniając luźne uwagi i zerkając co jakiś czas na drzwi. Większość dziennikarzy znała go; był jedną z pomniejszych znakomitości. Nie czytał Nowej nadziei, ale Dinkey znany był ze swoich

prawicowych przekonań, które stanowiły nieco złagodzoną wersję jego własnych poglądów, mógł więc informować reporterów, że popiera z całego serca przesłanie książki.

Kilka minut po trzeciej przybył Jim z Dinkeyem. Tuż za nimi dryfował Hank Stone, jeden z ważniejszych redaktorów "New York Timesa". Łysiejący, z czerwonym nochem, wystającym brzuchem, rozpiętym guzikiem od koszuli i rozluźnionym krawatem, był chyba najgorzej ubranym facetem z całego korpusu prasowego Białego Domu.

Berrington zastanawiał się, czy Hank jest odpowiednim człowiekiem.

Nikt nie wiedział, czy ma jakiegokolwiek polityczne przekonania. Z Berringtonem spotkał się przed piętnastoma laty, pisząc artykuł o Genetico. Odkąd przeniósł się do Waszyngtonu, napisał raz czy dwa o Berringtonie i kilkakrotnie na temat Jima Prousta. Traktował ich poglądy, co w gazecie jest nieuniknione, bardziej jako sensację niż jako wyzwanie intelektualne, nigdy jednak nie starał się moralizować na modłę liberalnych dziennikarzy.

Hank oceni temat na podstawie jego wartości: jeśli uzna, że jest ciekawy, napisze. Ale czy nie zacznie kopać głębiej? Berrington nie był w stanie tego przewidzieć.

Powitał Jima, uścisnął dłoń Dinkeyowi i przez kilka minut rozmawiał z nimi, wypatrując jednocześnie z nadzieją odpowiedniejszego kandydata. Nikt jednak się nie pojawił i w końcu zaczęła się konferencja.

Berrington wysłuchał, powstrzymując niecierpliwość, wszystkich przemówień. Brakowało mu po prostu czasu. Gdyby dano mu kilka dni, na pewno znalazłby kogoś lepszego od Hanka Stone'a, ale nie miał kilku dni, miał kilka godzin. A pozornie przypadkowe spotkanie było o wiele mniej podejrzane niż zaproszenie dziennikarza na lunch.

Mowy skończyły się, ale na sali wciąż nie widział stosowniejszej osoby. Kiedy dziennikarze zaczęli się rozchodzić, podszedł do Stone'a.

- Cieszę się, że cię spotkałem, Hank! Może będę miał dla ciebie temat.

- To świetnie.

- Sprawa dotyczy nadużyć przy korzystaniu z medycznych banków danych.

Hank skrzywił się.

- To naprawdę nie moja działka, Berry, ale mów dalej.

Berrington jęknął w duchu: Hank nie wydawał się zbyt chętny. Lecz brnął dalej, angażując w to cały swój urok.

- To chyba jednak coś dla ciebie, Hank. Zobaczysz w tym temacie możliwości, których mógłby nie spostrzec zwyczajny reporter.

- Dobra, sprawdź mnie.

- Po pierwsze, ta rozmowa w ogóle się nie odbyła.

- To brzmi już ciekawiej.

- Po drugie, może cię dziwić, dlaczego w ogóle daję ci ten cynk, ale nigdy o to nie zapytasz.

- Coraz lepiej - stwierdził Hank, najwyraźniej jednak nie zamierzał mu niczego obiecywać.

Berrington zdecydował, że nie będzie go cisnął.

- Na wydziale psychologii Uniwersytetu Jonesa Fallsa pracuje młoda doktor. Nazywa się Jean Ferrami. Szukając odpowiednich osób do swoich badań, korzysta z wielkich medycznych baz danych bez zgody ludzi, których dotyczą te informacje.

Hank pociągnął się za swój czerwony nos.

- Czy to jest historia o komputerach czy o etyce naukowca?

- Nie wiem. To ty jesteś dziennikarzem.

Na twarzy Hanka nie widać było entuzjazmu.

- To niezbyt wiele.

Nie próbuj grać ze mną w ciuciubabkę, ty sukinsynu. Berrington wziął Hanka przyjaznym gestem pod ramię.

- Zrób mi tę grzeczność i trochę się popytaj - powiedział. - Zadzwoń do rektora, nazywa się Maurice Obeli. Zadzwoń do doktor Ferrami. Powiedz im, że to będzie ważny artykuł, i sprawdź ich reakcję. Jestem przekonany, że cię zainteresuje.

- Sam nie wiem.

- Zaręczam ci, Hank, że to nie będzie stracony czas.

Powiedz "tak", ty skurwysynu, powiedz "tak"!

- Dobrze, nadam temu bieg - odparł po krótkim wahaniu Hank.

Berrington próbował ukryć satysfakcję pod maską powagi, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu triumfu.

Hank spostrzegł go i popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie próbujesz mnie przypadkiem wykorzystać, Berry? Na przykład, żeby kogoś postraszyć?

Berrington uśmiechnął się i objął ramieniem dziennikarza.

- Zaufaj mi, Hank - powiedział.

Jeannie kupiła paczkę z trzema parami majtek w sklepie Walgreena w centrum handlowym zaraz za Richmond. Włożyła jedne z nich w damskiej toalecie w pobliskim Burger Kingu i od razu poczuła się lepiej.

Dziwne, jak bardzo była bezbronna bez bielizny. Nie potrafiła prawie myśleć o niczym innym. A przecież dawniej, gdy była zakochana w Willu Temple'u, lubiła chodzić bez majtek. Czuła się wtedy taka seksowna. Siedząc w bibliotece, pracując w laboratorium lub spacerując po prostu po ulicy, wyobrażała sobie, że pojawi się nagle roznamiętniony Will. "Nie mamy wiele czasu, ale muszę się z tobą pokochać natychmiast, w tym miejscu", powie, a ona będzie gotowa na jego przyjęcie. Teraz jednak, kiedy w jej życiu zabrakło mężczyzny, potrzebowała bielizny, tak jak potrzebuje się butów.

Ubrana z powrotem, jak trzeba, wróciła do samochodu. Pojechały na lotnisko Richmond-Williamsburg, oddały wynajęty samochód i odleciały z powrotem do Baltimore.

Siedząc w samolocie, Jeannie uprzytomniła sobie, że klucz do rozwiązania zagadki musi znajdować się w szpitalu, gdzie urodzili się Dennis i Steven. Jednojąjowe bliźnięta oddano różnym matkom. Scenariusz wydawał się rodem z bajki, ale nie można było tego inaczej wytłumaczyć.

Przejrzała papiery i porównała daty urodzenia obu badanych. Steven urodził się dwudziestego piątego sierpnia. Z przerażeniem odkryła, że Dennis urodził się siódmego września: prawie dwa tygodnie później.

To jakiś błąd. Nie wiem, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej - mruknęła, pokazując Lisie sprzeczne dokumenty.

- Możemy to jeszcze raz sprawdzić - stwierdziła Lisa.

- Czy w naszych kwestionariuszach pytałyśmy o to, w którym szpitalu urodził się badany?

Lisa roześmiała się.

- To chyba jedyna rzecz, o którą zapomnieliśmy zapytać.

- W tym wypadku w grę wchodzi chyba szpital wojskowy. Pułkownik Logan jest zawodowym wojskowym, a "major" pewnie też służył w wojsku, kiedy urodził się Dennis.

- Dowiemy się.

Lisa nie bardzo rozumiała, po co ten pośpiech. Dla niej był to tylko kolejny projekt badawczy. Dla Jeannie sprawa życia i śmierci.

- Chciałabym to od razu sprawdzić - powiedziała. - Czy na pokładzie samolotu jest telefon?

Lisa zmarszczyła brwi.

- Masz zamiar zadzwonić do matki Stevena?

Jeannie usłyszała w jej głosie dezaprobatę.

- Tak. Uważasz, że nie powinnam?

- Czy ona wie, że Steven jest w więzieniu?

- Racja. Nie mam pojęcia. Cholera. Nie chciałabym być zwiastunem złych wieści.

- Możliwe, że zadzwonił już do domu.

- Może odwiedzę go w areszcie. To nie jest zabronione, prawda?

- Chyba nie. Ale mogą mieć godziny odwiedzin jak w szpitalu.

- Pojadę tam i może mnie wpuszczą. Tak czy owak, mogę teraz zadzwonić do Pinkerów. - Jeannie dała znak przechodzącej stewardesie. - Czy na pokładzie jest telefon?

- Nie, przykro mi.

- Wielka szkoda.

Stewardesa uśmiechnęła się.

- Nie poznajesz mnie, Jeannie?

Jeannie spojrzała na nią po raz pierwszy i natychmiast rozpoznała.

- Penny Watermeadow! - zawołała. Penny studiowała anglistykę i doktoryzowała się podobnie jak ona na Uniwersytecie Minnesota. - Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Przeniosłam się na Uniwersytet Jonesa Fallsa. Prowadzę badania, z którymi mam ostatnio trochę kłopotów. Myślałam, że masz zamiar zostać na uczelni.

- Chciałam, ale nie dostałam etatu.

Fakt, że ona odniosła sukces, a koleżance się nie udało, wprowadził Jeannie w zakłopotanie.

- To fatalnie.

- Jestem zadowolona. Podoba mi się ta praca i płacą tu lepiej niż w większości szkół wyższych.

Jeannie nie uwierzyła jej. Wstrząsnęło ją, że kobieta z doktoratem pracuje jako stewardesa.

- Zawsze myślałam, że będzie z ciebie dobra nauczycielka.

- Uczyłam przez jakiś czas w liceum. Dźgnął mnie nożem uczeń, który nie zgadzał się ze mną w ocenie postaci Makbeta. Zapytałam siebie, po co to robię. Po co ryzykuję

życie, ucząc Szekspira szczeniaków, którzy nie mogą się doczekać, żeby wrócić na ulicę i kupić sobie kokainę.

Jeannie przypomniała sobie imię jej męża.

- Co porabia Danny?

- Świetnie sobie radzi, jest teraz kierownikiem działu sprzedaży. Musi dużo podróżować, ale przynajmniej dobrze zarabia.

- Cóż, miło cię było znowu widzieć. Mieszkasz w Baltimore?

- Nie, w Waszyngtonie.

- Daj mi swój numer telefonu. Przedzwonię do ciebie. Jeannie podała Penny długopis i ta zapisała swój telefon na jednej z tekturowych teczek z kwestionariuszami.

- Wybierzemy się razem na lunch - powiedziała. - Będzie fajnie.

- Na pewno.

Penny ruszyła do przodu.

- Sprawia wrażenie bystrej - zauważyła Lisa.

- To bardzo inteligentna dziewczyna. Jestem przerażona. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest stewardesą, ale w ten sposób na marne idzie dwadzieścia pięć lat nauki.

- Zadzwoń do niej?

- W żadnym wypadku. Jest w fazie zaprzeczenia. Przypomniałam jej to wszystko, o czym marzyła. To byłaby udręka.

- Chyba tak. Trochę mi jej żal.

- Mnie też.

Zaraz po wylądowaniu Jeannie znalazła automat i zatelefonowała do Pinkerów w Richmond, ale linia była zajęta.

- Cholera - zakłęła pod nosem. Po pięciu minutach spróbowała ponownie, lecz w słuchawce brzmiał ten sam irytujący sygnał. - Charlotte obdzwania pewnie całą swoją porywcą rodzinę, żeby opowiedzieć im o naszej wizycie - mruknęła. - Zadzwoń później.

Lisa odwiozła ją do domu swoim samochodem.

- Czy mogę cię prosić o pewną przysługę? - zapytała Jeannie, zanim wysiadła.

- Jasne. Ale to jeszcze nie znaczy, że się zgodzę - odparła z uśmiechem Lisa.

- Zaczniemy ekstrakcję DNA dziś wieczorem.

Lisa skrzywiła się.

- Och, Jeannie, nie było nas przez cały dzień. Muszę zrobić zakupy na kolację...

- Wiem. A ja muszę jechać do aresztu. Spotkajmy się w laboratorium później.

Powiedzmy o dziewiątej?

- Dobrze. - Lisa uśmiechnęła się. - Sama jestem ciekawa, jaki będzie wynik testu.

- Jeśli zaczniemy dzisiaj, wyniki możemy mieć już pojutrze.

Lisa nie była tego taka pewna.

- Jeśli zrobimy to po łebkach - stwierdziła.

- Maruda! - mruknęła Jeannie, wysiadając z samochodu.

Najchętniej przesiadłaby się od razu do mercedesa i pojechała na komendę, ale po namyśle uznała, że powinna zobaczyć się najpierw z ojcem.

Oglądał Koło fortuny.

- Cześć, Jeannie. Późno wróciłaś - oznajmił.

- Przez cały dzień pracowałam i jeszcze nie skończyłam - odparła. - Jak minął ci dzień?

- Trochę się nudziłem, siedząc tu sam jak palec.

Zrobiła jej się go żal. Najwyraźniej nie miał żadnych przyjaciół. Wyglądał jednak o wiele lepiej niż wczoraj: czysty, ogolony i wypoczęty. Na obiad odgrzał sobie pizzę, którą zostawiła w zamrażalniku; brudne naczynia leżały na kuchennym blacie. Chciała go zapytać, kto ma je, do jasnej cholery, włożyć do zmywarki, ale ugryzła się w język.

Postawiła teczkę na podłodze i zaczęła sprzątać. Ojciec nie wyłączył telewizora.

- Byłam w Richmond, w Wirginii - powiedziała.

- To fajnie, złotko. Co jest na kolację?

Nie, pomyślała, nie mogę na to pozwolić. Nie będzie traktował mnie tak, jak traktował mamę.

- Dlaczego sam czegoś sobie nie zrobisz? - zapytała.

To zwróciło w końcu jego uwagę. Przyciszył telewizor i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Nie potrafię gotować!

- Ja też nie, tato.

Zasepił się, a potem nagle uśmiechnął.

- W takim razie pójdziemy coś zjeść na mieście.

Wyraz jego twarzy był boleśnie znajomy. Jeannie cofnęła się dwadzieścia lat w przeszłość. Ona i Patty nosiły rozkloszowane dżinsy z denimu. Przypomniała sobie tatę z ciemnymi włosami i bokobrodami i usłyszała jego głos: "Jedziemy do wesołego miasteczka! Chcecie watę na patyku? Wskakujcie do samochodu!" Był najwspanialszym mężczyzną pod słońcem. A potem przebiegła pamięcią dziesięć lat do przodu. Miała na sobie czarne dżinsy i martensy, a włosy taty były krótsze i przetykane nitkami siwizny. "Zorganizuję jakąś furgonetkę i podwiozę cię z wszystkimi klarnetami do Bostonu. Będziemy mieli okazję

trochę ze sobą побыć. Zjemy coś w barze przy autostradzie, będzie fajnie! Przygotuj się na dziesiątą!” Czekala wtedy cały dzień, ale on się nie zjawił i nazajutrz pojechała greyhoundem.

Teraz, widząc ten sam wesoły błysk w oku ojca, żalowała, że nie ma dziewięciu lat i nie wierzy w każde jego słowo. Ale była już dorosła i nie dała się nabrać.

- Ile masz pieniędzy? - zapytała.

- Mówiłem ci już, nie mam ani grosza - odparł markotnie.

- Ja też. W takim razie nie możemy zjeść na mieście.

Otworzyła lodówkę. Miała sałatę, świeży kaczan kukurydzy, cytrynę, paczkę baranich kotletów, jeden pomidor i do połowy puste pudełko ryżu Uncle Ben. Wyjęła to wszystko i postawiła na blacie.

- Powiem ci, co zrobimy - oznajmiła. - Zjemy świeżą kukurydzą z masłem na przystawkę, kotlety baranie z sałatką i ryżem na drugie danie i lody na deser.

- Wspaniale!

- Przygotujesz to, kiedy mnie nie będzie.

Ojciec wstał z fotela i przyjrzał się leżącemu na blacie jedzeniu.

Jeannie wzięła do ręki teczkę.

- Wrócę po dziesiątej.

- Nie wiem, co z tym zrobić! - zawołał, dotykając kaczana kukurydzy.

Jeannie zdjęła z półki nad lodówką Książkę kucharską na cały rok, wydaną przez Reader's Digest.

- Poczytaj sobie - powiedziała, po czym pocałowała go w policzek i wyszła.

Wsiadając do samochodu miała nadzieję, że nie potraktowała go zbyt okrutnie. Należał do starszego pokolenia, za jego czasów wyglądało to inaczej. Nie mogła jednak zostać jego gosposią, gdyby nawet chciała: musiała pracować. Pozwalając mu u siebie mieszkać i tak zrobiła już dla niego więcej, niż on zrobił dla niej przez całe życie. Mimo to żalowała, że nie rozstali się w bardziej sympatyczny sposób. Nie był może najlepszy, ale to jedyny ojciec, jakiego miała.

Zostawiła samochód w piętrowym garażu i ruszyła przez dzielnicę czerwonych świateł w stronę budynku komendy. W reprezentacyjnym hallu wejściowym stały marmurowe ławy; malowidła na ścianach przedstawiały sceny z historii Baltimore. Powiedziała recepcjonistce, że przyszła odwiedzić Stevena Logana, który przebywa w areszcie. Obawiała się, że nie wpuszczą jej tak łatwo, po kilku minutach pojawiła się jednak młoda kobieta w mundurze i poszła z nią do windy.

Zaprowadzono ją do pokoju wielkości garderoby. W jednej ze ścian znajdowało się małe okienko, pod nim panel dźwiękowy. Po drugiej stronie zobaczyła taką samą klitkę. Nie sposób było przekazać żadnego przedmiotu z jednego do drugiego pomieszczenia, nie wybijając przy tym dziury w ścianie.

Jeannie wlepiała wzrok w szybę. Po kolejnych paru minutach wprowadzono Stevena. Kiedy wchodził, zobaczyła, że założyli mu kajdanki i łańcuchy na nogi niczym groźnemu przestępcy. Podszedł do okienka i zmrużył oczy. Kiedy ją rozpoznał, twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

- Co za przyjemna niespodzianka! - stwierdził. - Prawdę mówiąc, to jedyna miła rzecz, która mi się dzisiaj przydarzyła.

Mimo wesołego tonu wyglądał okropnie: był napięty i zmęczony.

- Jak się czujesz?

- Nie najlepiej. Wsadzili mnie do jednej celi z mordercą, który ma kaca po cracku. Boję się zasnąć.

Zrobiło jej się go strasznie żal. Powtarzała sobie, że ten chłopak zgwałcił podobno Lisę. Ale nie mogła w to uwierzyć.

- Jak długo możesz tu zostać?

- Jutro mam przesłuchanie w sprawie kaucji. Jeśli sędzia jej nie wyznaczy, mogę tu siedzieć aż do czasu, kiedy przyjdą wyniki badań DNA. Trwa to podobno trzy dni.

Wzmianka o DNA przypomniła jej o powodzie wizyty.

- Widziałam dzisiaj twojego brata.

- I co?

- Nie ma wątpliwości. Jest twoim sobowtórem.

- Może to on zgwałcił Lisę Hoxton.

Jeannie potrząsnęła głową.

- Mógłby to zrobić, gdyby uciekł w niedzielę z więzienia. Ale on wciąż siedzi za kratkami.

- Nie sądzisz, że mógł ją zgwałcić i wrócić? Żeby mieć żelazne alibi?

- Mało prawdopodobne. Gdyby Dennis wy dostał się z więzienia, nic nie zmusiłoby go do powrotu.

- Chyba masz rację - stwierdził ponuro Steve.

- Chciałam ci zadać kilka pytań.

- Strzelaj.

- Muszę jeszcze raz zapytać o twoją datę urodzenia.

- Dwudziesty piąty sierpnia.

Zgadzało się to z tym, co miała w dokumentach. Może zapisała błędnie datę urodzenia Dennisa.

- Wiesz, gdzie się urodziłeś?

Tak. Tato stacjonował wtedy w Fort Lee, w Wirginii, i urodziłem się w tamtejszym szpitalu wojskowym.

- Jesteś tego pewien?

- Najzupełniej. Mama opisała to w swojej książce Mam dziecko.

Steven zmrużył oczy w sposób, który już kilkakrotnie u niego zaobserwowała. Domyśliła się, że stara się odgadnąć jej myśli.

- Gdzie urodził się Dennis? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem.

- Ale mamy tę samą datę urodzenia?

- Niestety, Dennis podaje, że urodził się siódmego września. To może być błąd. Zamierzam to jeszcze raz sprawdzić. Zadzwońię do jego matki, kiedy tylko wrócę do laboratorium. Rozmawiałeś już ze swoimi rodzicami?

- Nie.

- Chcesz, żebym do nich zadzwoniła?

- Nie! Proszę, nie rób tego. Nie chcę, żeby o czymkolwiek wiedzieli, dopóki nie oczyszczą mnie z zarzutów.

Jeannie zmarszczyła brwi.

- Z tego, co opowiadałeś, wynika, że mógłbyś na nich liczyć.

- Na pewno. Nie chcę jednak ich narażać na to wszystko.

- Nie wątpię, że to byłoby dla nich bolesne. Ale może woleliby o tym wiedzieć. Mogliby ci pomóc.

- Nie, proszę, nie dzwoń do nich.

Jeannie wzruszyła ramionami. Czowała, że jest coś, o czym nie chce jej powiedzieć. Lecz to była jego decyzja.

- Jak on wygląda?

- Dennis? Zewnętrznie do złudzenia cię przypomina.

- Czy ma długie włosy, wąsy, brud za paznokciami, krosty na twarzy?

- Włosy ma obcięte krótko, dokładnie tak jak ty, nie ma zarostu i brudu za paznokciami, jest czysty. Można by go wziąć za ciebie.

- Jezu. - Na Stevenie wywarło to duże wrażenie.

- Różnica leży w jego zachowaniu. Nie bardzo wie, jak odnosić się do reszty ludzkiej rasy.

- To bardzo dziwne.

- Nie sądzę. W gruncie rzeczy potwierdza to moją teorię. Byliście obaj, jak ja to nazywam, dzikimi dziećmi. Zaczerpnęłam to określenie z pewnego francuskiego filmu. Określam nim dzieci, które są bardzo aktywne i odważne i nie dają się kontrolować. Takie dzieci bardzo trudno przyswajają sobie reguły społecznej gry. Charlotte Pinker i jej mężowi nie udało się to z Dennisem. Twoi rodzice odnieśli sukces.

Stevena zbytnio to nie pocieszyło.

- Mimo to pod spodem ja i Dennis jesteśmy tacy sami - stwierdził.

- Obaj urodziliście się dzicy.

- Ale mnie się udało trochę ucywilizować.

Widziała, że jest głęboko zaniepokojony.

- Dlaczego tak to cię dręczy?

- Wolę uważać się za istotę ludzką, a nie oswojonego goryla.

Nie zważając na jego poważną minę, wybuchnęła śmiechem.

- Goryle też muszą się przystosować społecznie. Podobnie jak wszystkie zwierzęta, które żyją w grupie. Stąd właśnie wywodzą się zachowania przestępcze.

Steven najwyraźniej się zainteresował.

- Z życia w grupie?

- Oczywiście. Zbrodnia jest złamaniem ważnej społecznej reguły. Samotne zwierzęta nie mają żadnych reguł. Niedźwiedź niszczy jamę innego niedźwiedzia, kradnie jego jedzenie i zabija młode. Wilki tego nie robią; gdyby tak się zachowywały, nie mogłyby żyć w stadzie. Są monogamiczne, troszczą się o cudze potomstwo i szanują osobistą przestrzeń innych. Jeśli któryś z nich łamie zasady, spotyka go kara; jeśli robi to dalej, zabijają go albo wyrzucają ze stada.

- A jak ma się do tego łamanie mniej ważnych społecznych reguł?

- Na przykład puszczenie bąków w windzie? Nazywamy to złymi manierami. Jedyną karę stanowi dezaprobata innych. Zdumiewające, jak bardzo jest skuteczna.

- Dlaczego tak cię interesują ludzie, którzy łamią reguły?

Jeannie pomyślała o swoim ojcu. Nie wiedziała, czy ma kryminalne geny, czy ich nie ma. Stevena mogła podnieść na duchu wiadomość, że ona także ma kłopoty ze swoim genetycznym dziedzictwem. Lecz kłamała na temat taty tak długo, że niełatwo jej było teraz mówić prawdę.

- To ważne zagadnienie - odparła wymijająco. - Wszyscy interesują się przestępczością.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i do środka zajrzała kobieta w mundurze.

- Pani czas się skończył, doktor Ferrami.

- W porządku - odparła przez ramię. - Czy wiedziałeś, Steve, że Lisa Hoxton jest moją najlepszą przyjaciółką w Baltimore?

- Nie, nie wiedziałem tego.

- Pracuje na moim wydziale jako laborantka.

- Jaka jest?

- Nie należy do osób, które bezpodstawnie by kogoś oskarżały.

Steve pokiwał głową.

- Mimo to chcę, żebyś wiedział, że nie wierzę w twoją winę.

Przez moment myślała, że Steve wybuchnie płaczem.

- Dziękuję - odezwał się w końcu grubym głosem. - Nie potrafię powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

- Zadzwoń do mnie, kiedy stąd wyjdiesz. - Podała mu swój numer. - Potrafisz zapamiętać?

- Żaden problem.

Jeannie nie miała ochoty wyjść. Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu w jakiś sposób otuchy.

- Życzę powodzenia.

- Dziękuję. Będzie mi tu potrzebne.

Odwróciła się i szybko wyszła.

Policjantka odprowadziła ją do hallu. Kiedy wracała na parking, było już ciemno. Po wjeździe na Jones Falls Expressway, włączyła długie światła i nacisnęła gaz do dechy, chcąc jak najszybciej dotrzeć na uniwersytet. Wiedziała, że jest dobrym, lecz trochę brawurowym kierowcą. Nie miała jednak cierpliwości wlec się pięćdziesiąt pięć mil na godzinę.

Biała honda accord Lisy stała już na parkingu przed Wariatkowem. Jeannie zaparkowała obok niej i weszła do budynku. Lisa zapalała właśnie światła w laboratorium. Pojemnik z pobraną od Dennisa Pinkera krwią stał na stole.

Gabinet Jeannie mieścił się po drugiej stronie korytarza. Jeannie otworzyła drzwi, wsuwając w otwór swoją plastikową kartę, po czym weszła do środka i wystukała numer domu Pinkerów w Richmond.

- Nareszcie! - szepnęła, kiedy w słuchawce odezwał się długi sygnał.

Telefon odebrała Charlotte.

- Jak cię czuje mój syn? - zapytała.

- Cieszy się dobrym zdrowiem - poinformowała ją Jeannie. Nie wyglądał na psychopatę, pomyślała, póki nie przystawił mi noża do oka i nie kazał zdjąć majtek. Zastanawiała się, co może o nim dobrego powiedzieć. - Bardzo miło się z nim współpracowało - dodała.

- Zawsze odznaczał się wykwintnymi manierami - wycodziła Charlotte z południowym akcentem, zarezerwowanym dla najbardziej wyszukanych zniewag.

- Chciałabym upewnić się co do jego daty urodzenia, pani Pinker.

- Urodził się siódmego września - odparła, tak jakby ten dzień powinien stać się narodowym świętem.

Nie była to odpowiedź, której spodziewała się Jeannie.

- W jakim to było szpitalu?

- Mieszkaliśmy wtedy w Fort Bragg w Karolinie Północnej.

Jeannie stłumiła cisnące się na usta przekleństwo.

- Major trenował poborowych przed ich wyjazdem do Wietnamu - oświadczyła z dumą Charlotte. - Wojskowa służba medyczna miała duży szpital w Bragg. Tam właśnie urodził się Dennis.

Jeannie nie przychodziło do głowy żadne inne pytanie. Wszystko to stawało się coraz bardziej tajemnicze.

- Dziękuję pani bardzo za pomoc, pani Pinker - powiedziała.

- Drobiazg.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do laboratorium, w którym krzątała się już Lisa.

- Wygląda na to, że Steven i Dennis urodzili się w odstępnie trzynastu dni w dwóch różnych stanach - poinformowała ją.

Lisa otworzyła nowe pudełko laboratoryjnych probówek.

- Można to sprawdzić ponad wszelką wątpliwość - odparła. - Jeśli mają takie samo DNA, są jednojajowymi bliźniętami bez względu na to, co ktokolwiek mówi na temat ich urodzenia.

Wyjęła dwie małe dwucalowe probówki. Każda miała korek na górze i stożkowate dno. Otworzyła opakowanie z nalepkami, napisała na jednej "Dennis Pinker", na drugiej "Steven Logan", przykleiła je do probówek, które postawiła na stojaku.

Następnie odkorkowała probówkę z krwią Dennisa, wpuściła kroplę do jednej ze świeżych probówek i zrobiła to samo z krwią Stevena, którą wyjęła z lodówki.

Używając wykalibrowanej pipety dodała do każdej z probówek dokładnie odmierzoną ilość chloroformu, a potem wzięła drugą pipetę i dodała tak samo ściśle odmierzoną ilość fenolu.

Na koniec zakorkowała obie probówki i umieściła je na kilka sekund w wirówce. Chloroform rozpuszczał tłuszcze, a fenol rozkładał proteiny, lecz długie spiralne cząsteczki kwasu dezoksyrybonukleinowego pozostawały nietknięte.

- To wszystko, co możemy dzisiaj zrobić - stwierdziła, stawiając z powrotem probówki w stojaku.

Rozpuszczalny w wodzie fenol oddzielał się powoli od chloroformu, a DNA pozostawało w roztworze, z którego można je było pobrać pipetą do następnego etapu badań. Ale z tym trzeba było poczekać do rana.

Gdzieś w budynku zadzwonił telefon. Jeannie nadstawiła ucha; dzwonek dochodził chyba z jej gabinetu. Wróciła do siebie i podniosła słuchawkę.

- Halo?

@- Czy mówię z doktor Ferrami?

Nienawidziła ludzi, którzy pytali o nazwisko osoby, do której się dodzwonili, sami się przy tym nie przedstawiając. To tak, jakby ktoś zapukał do czyichś drzwi i kazał gospodarzowi mówić, jak się nazywa.

Tak, to ja - odparła, choć na końcu języka miała sarkastyczną odpowiedź. - Mogę wiedzieć, z kim mówię?

- Naomi Frelander. Jestem z "New York Timesa". - Facetka miała głos pięćdziesięcioletniej nałogowej palaczki. - Chciałabym pani zadać kilka pytań.

- O tej porze?

- Pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pani raczej też.

- Dlaczego pani do mnie telefonuje?

- Zbieram materiały do artykułu na temat etyki badań naukowych.

- O! - Jeannie natychmiast pomyślała o Stevenie, który nie wiedział, że został adoptowany. To był rzeczywiście problem etyczny, choć nie taki, którego nie można by rozwiązać... ale w "Timesie" nie mogli przecież o niczym wiedzieć. - Co panią interesuje?

- Wertuje pani podobno medyczne bazy danych, szukając odpowiednich osób do swoich badań.

- O to pani chodzi... - Jeannie odetchnęła z ulgą. Pod tym względem nie miała się czego obawiać. - Zgadza się, napisałam program komputerowy, który przeszukuje bazy

danych i odnajduje pasujące do siebie pary. Moim celem jest odnalezienie identycznych bliźniaków. Program można zastosować do każdej bazy danych.

- Żeby go jednak zastosować, uzyskała pani dostęp do danych medycznych.

- To zależy, co pani rozumie przez dostęp. Bardzo uważałam, aby nie naruszyć niczyjej prywatności. Nigdy nie oglądałam wyników badań konkretnych osób. Program ich nie drukuje.

- A co drukuje?

- Nazwiska dwóch osób, ich adresy i numery telefonów.

- Ale podaje je parami.

- Oczywiście, taki jest przecież cel.

- Zatem jeśli program porównał na przykład elektro-encefalogramy, dowiedziała się pani, że ktoś ma takie same fale mózgowie jak ktoś inny.

- Takie same albo podobne. Ale nie dowiem się niczego na temat stanu zdrowia tych dwóch osób.

- Niemniej, jeżeli wiedziała pani wcześniej, że jedna z nich cierpi na paranoidalną schizofrenię, nietrudno będzie zgadnąć, że druga choruje na to samo.

- Nigdy nie wiemy takich rzeczy.

- Może pani znać którąś z osób stanowiących parę.

- Jakim cudem?

- Może być pani dozorcą, kimkolwiek.

- Niech pani nie żartuje.

- To jest możliwe.

- I o tym ma być ten artykuł?

- Niewykluczone.

- W porządku, rzecz jest teoretycznie możliwa, ale prawdopodobieństwo wydaje się tak nikłe, że żaden rozsądnie myślący człowiek nie weźmie go pod uwagę.

- Można się o to spierać.

Dziennikarka zdecydowana była szukać dziury w całym bez względu na fakty i Jeannie zaczęła się martwić. Miała dość problemów bez ściągania sobie na głowę prasy.

- Ma pani jakieś konkrety? - zapytała. - Znalazła pani kogoś, kto uważa, że naruszone zostały jego dobra osobiste?

- Interesuje mnie potencjalne niebezpieczeństwo.

Jeannie uderzyła nagle myśl.

- A swoją drogą, kto powiedział pani, żeby się do mnie zwrócić?

- Dlaczego pani pyta?

- Z takiego samego powodu, z jakiego pani pyta mnie. Chcę znać prawdę.

- Nie mogę pani powiedzieć.

- To ciekawe - stwierdziła Jeannie. - Opowiedziałam pani dość obszernie o swoich badaniach i metodach. Nie mam nic do ukrycia. O pani jednak nie można powiedzieć tego samego. Mam wrażenie, że pani się czegoś wstydzi. Może tego, w jaki sposób dowiedziała się o moim projekcie?

- Niczego się nie wstydzę - odparła ostro dziennikarka.

Jeannie czuła, jak ogarnia ją złość. Za kogo się uważa ta baba?

- Ktoś się w każdym razie wstydzi. Jeśli to nieprawda, dlaczego nie chce mi pani podać jego nazwiska?

- Muszę chronić swoich informatorów.

- Przed czym? - Jeannie wiedziała, że nie powinna zaognić sytuacji. Niczego nie wygra, nastawiając prasę wrogo do siebie. Nie mogła jednak ścierpieć arogancji tej jędzy. - Jak już powiedziałam, moim metodom nie można nic zarzucić. Nie naruszają niczyjej prywatności. Dlaczego więc pani informator ma podlegać ochronie?

- Ludzie mają swoje powody...

- Nie sądzi pani, że ta osoba zrobiła to z nieczystych pobudek? - zapytała. Dlaczego ktoś chciałby mi zaszkodzić, zastanawiała się.

- Nie będę tego komentować.

- Bez komentarza, tak? - odparła z przekąsem. - Gdzieś już to słyszałam.

- Dziękuję za pomoc, doktor Ferrami.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała. Odłożyła słuchawkę, a potem przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon. - Co tu jest, do cholery, grane? - mruknęła.

ŚRODA

Berrington Jones źle spał.

Noc spędził z Pippą Harpenden. Pippa pracowała jako sekretarka na wydziale fizyki i próbowało ją poderwać wielu profesorów, w tym również kilku żonatych, ale Berrington był jedynym, z którym się umawiała. Elegancko się ubrał, zabrał ją do kameralnej restauracji i zamówił wykwintne wina. Siedząc przy stoliku, delektował się spojrzeniami swoich rówieśników, którzy jedli kolację z brzydkimi starymi żonami. A potem przyprowadził Pippę do domu, zapalił świece, włożył jedwabną piżamę i kochał się z nią powoli, aż łapała kurczowo oddech z rozkoszy.

O czwartej rano zbudził się jednak i zaczął myśleć o wszystkim, co mogło pokrzyżować mu szyki. Hank Stone sęczył podczas konferencji prasowej zafundowane przez wydawcę tanie wino; niewykluczone, że rozmowa z Berringtonem wyleciała mu po prostu z głowy. A jeśli nawet ją zapamiętał, redaktorzy "New York Timesa" mogli uznać, że sprawa nie kwalifikuje się do druku. Mogli zasięgnąć języka i zorientować się, że Jeannie nie robi nic zdroźnego. Albo po prostu odłożyć wszystko do przyszłego tygodnia, kiedy będzie już za późno.

- Dobrze się czujesz, Berry? - zapytała Pippa, kiedy po raz kolejny przewrócił się z boku na bok.

Pogładził ją po długich blond włosach i Pippa wydała z siebie senne zachęcające odgłosy. Miłość z piękną kobietą stanowiła normalnie pociechę na wszelkie smutki, ale czuł, że tym razem nic mu nie pomoże. Za dużo miał na głowie kłopotów. Kusilo go, żeby porozmawiać o nich z Pippą - była inteligentna i na pewno by go zrozumiała i pocieszyła - ale nie mógł nikomu wyjawiać tego rodzaju sekretów.

Po jakimś czasie wstał i wyszedł pobiegać. Kiedy wrócił, Pippy już nie było. Zostawiła mu owinięty w czarną nylonową pończochę liścik z podziękowaniem.

Kilka minut po ósmej przyszła gosposia i zrobiła mu omlet. Mariannę była chudą, nerwową dziewczyną z francuskiej Martyniki. Mówiła słabo po angielsku i bała się, że odeślą ją z powrotem do domu, co czyniło ją bardzo uległą. Była ładna i Berrington domyślał się, że gdyby kazał jej ukłęknać i obciągnąć sobie członek, uznałaby, że wchodzi to w zakres jej obowiązków. Nigdy tego oczywiście nie zrobił: sypianie ze służbą nie było w jego stylu.

Wziął prysznic, ogolił się i chcąc wzbudzić większy respekt, ubrał się w popielaty garnitur w prążki, białą koszulę i czarny krawat w małe czerwone kropki. Wpiął złote

spinki z monogramem, wsunął białą lnianą chusteczkę do kieszonki na piersi i przetrął do połysku czarne półbuty.

A potem pojechał na uczelnię, zaszył się w swoim gabinecie i włączył komputer. Podobnie jak większość akademickich sław, nie zajmował się prawie działalnością dydaktyczną. Tu, na JFU, miał jeden wykład rocznie. Jego rolą było nadzorowanie badań młodszych kolegów i podnoszenie ich prestiżu przez dodawanie swego nazwiska do ich prac. Tego ranka nie był jednak w stanie na niczym się skoncentrować. Czekając na telefon, wyglądał przez okno i obserwował czwórkę młodych ludzi grających ostro w debła na korcie.

Nie musiał długo czekać.

O wpół do dziesiątej zadzwonił do niego rektor uniwersytetu.

- Mamy pewien problem - oznajmił.

Berrington zmarszczył brwi.

- Co się stało, Maurice?

- Właśnie zadzwoniła do mnie jakaś dziwka z "New York Timesa". Twierdzi, że ktoś na twoim wydziale narusza prywatność badanych. Jakaś doktor Ferrami.

Dzięki Bogu, pomyślał z triumfem Berrington. Hank Stone nie skrewił!

- Obawiałem się czegoś takiego - powiedział starając się, żeby jego głos zabrzmiał odpowiednio poważnie. - Zaraz u ciebie będę. - Odłożył słuchawkę i przez chwilę się zastanawiał. Było zbyt wcześnie, żeby świętować zwycięstwo. Zaczynał dopiero snuć całą intrygę. Musiał teraz spowodować, żeby Maurice i Jeannie zachowywali się dokładnie po jego myśli.

Maurice sprawiał wrażenie zmartwionego. To dobrze. Berrington nie mógł dopuścić, żeby przestał się martwić. Maurice powinien dojść do wniosku, że jeśli Jeannie nie przestanie natychmiast korzystać ze swego programu komputerowego, czeka ich prawdziwa katastrofa. A kiedy postanowi już, że trzeba podjąć zdecydowane działania, Berrington musiał dopilnować, żeby nie zmienił czasami zdania.

Przede wszystkim nie mógł dopuścić do żadnego kompromisu. Wiedział, że Jeannie z natury nie jest zbyt skłonna do ustępstw, jeśli jednak od tego zacznie zależeć cała jej przyszłość, z pewnością spróbuje wszystkiego. Będzie musiał dolewać oliwy do ognia i zagrzewać ją do boju. I robiąc to, przez cały czas udawać, że majak najlepsze intencje. Jeśli wyda się, że próbuje skompromitować Jeannie, Maurice może się zorientować, że coś jest nie tak. Berrington będzie musiał sprawiać wrażenie osoby broniącej Jeannie.

Wyszedł z Wariatkowa i minąwszy Barrymore Theatre i wydział sztuk pięknych, dotarł do Hillside Hall, niegdyś wiejskiego dworku założyciela uczelni, obecnie jej budynku administracyjnego. Gabinet rektora mieścił się we wspaniałej bawialni starego domu. Przechodząc przez sekretariat, Berrington skinął łaskawie głową sekretarce doktora Obella.

- Szef czeka na mnie.

Maurice siedział przy wielkim oknie, z którego rozciągał się widok na błonia. Był niskim, barczystym mężczyzną, który wrócił z Wietnamu na wózku inwalidzkim, sparaliżowany od pasa w dół. Berrington miał z nim łatwy kontakt może dlatego, że obaj służyli jakiś czas w wojsku. Obaj lubili także muzykę Mahlera.

Rektor często miał zatroskaną minę. Żeby uniwersytet mógł normalnie funkcjonować, musiał zebrać dziesięć milionów od korporacji i prywatnych sponsorów i jak ognia bał się złej prasy.

Odwrócił fotel i podjechał do biurka.

- Powiedziała, że przygotowują duży materiał na temat etyki naukowej. Nie mogę pozwolić, żeby przytoczyli JFU jako przykład uczelni, w której dochodzi do wypadków jej pogwałcenia. Połowa naszych sponsorów weźmie nogi za pas. Musimy z tym coś zrobić.

- Co to za facetka?

Maurice zajrzał do notesu.

- Naomi Freeland. Szefowa działu etyki. Wiedziałaś, że w gazetach mają teraz dział etyki? Ja nie.

- Nie dziwi mnie, że mają go w "New York Timesie".

- Co nie przeszkadza, że zachowują się jak gestapowcy. Powiedziała, że artykuł miał się ukazać już wcześniej, ale wczoraj dostali cynk na temat tej twojej Ferrami.

- Zastanawiam się, kto doniósł - powiedział Berrington.

- Zawsze znajdzie się jakaś świnią.

- Chyba masz rację. Maurice westchnął.

- Powiedz, że to nieprawda, Berry. Powiedz, że ona nie narusza dóbr osobistych swoich badanych.

Berrington założył nogę na nogę, udając że jest na luzie, podczas gdy w rzeczywistości był napięty jak struna.

- Nie sądzę, żeby robiła coś złego - odparł. - Przeszukuje bazy danych i odnajduje ludzi, którzy nie wiedzą, że są bliźniakami. W gruncie rzeczy to bardzo sprytne...

- Przegląda dane medyczne ludzi bez ich zgody? Berrington udawał, że odpowiedź nie przychodzi mu łatwo.

- Można tak powiedzieć...
- W takim razie musi przestać to robić.
- Problem polega na tym, że ona naprawdę potrzebuje tych danych.
- Może zaproponujemy jej jakąś rekompensatę?

Berringtonowi nie przyszło do głowy, żeby ją przekupić.

Wątpił, żeby to się udało, ale nie zaszkodziło spróbować.

- Czy ma stały etat?

- Przyjeliśmy ją w tym semestrze, na razie na stanowisko asystenta. Umowę na stały etat podpisze najwcześniej za sześć lat. Ale możemy dać jej podwyżkę. Wiem, że potrzebuje pieniędzy, powiedziała mi.

- Ile teraz zarabia?

- Trzydzieści tysięcy rocznie.

- Ile twoim zdaniem możemy jej zaoferować?

- To musi być poważna suma. Osiem, może dziesięć tysięcy.

- Czy mamy na to fundusze?

Berrington uśmiechnął się.

- Sądzę, że uda mi się przekonać Genetico.

- W takim razie tak właśnie postąpimy. Zadzwoń do niej, Berry. Jeśli jest u siebie, każ jej natychmiast przyjść. Załatwimy to, zanim ponownie zgłosi się do nas policja etyczna.

Berrington wystukał numer gabinetu Jeannie. Poniosła słuchawkę prawie natychmiast.

- Jeannie Ferrami.

- Tu Berrington.

- Dzień dobry - odparła ostrożnie. Czyżby wyczuła, że chciał się z nią przespać w poniedziałek wieczorem? Może zastanawiała się, czy nie chce spróbować ponownie. A może wiedziała już o problemach z "New York Timesem".

- Czy możemy się zaraz zobaczyć?

- W twoim gabinecie?

- Jestem u doktora Obella w Hillside Hall.

Usłyszał w słuchawce głośne westchnienie.

- Chodzi o tę facetkę, Naomi Freeland?

- Tak.

- Sam wiesz, że to kompletna bzdura.

- Wiem, ale musimy jakoś zareagować.

- Już idę.

Berrington odłożył słuchawkę.

- Zaraz tu będzie - poinformował Maurice'a. - "New York Times" chyba się z nią kontaktował.

Następne kilka minut było najważniejsze. Jeśli Jeannie będzie się umiejętnie bronić, Maurice może zmienić swoją strategię. Berrington musiał wspierać go w jego decyzji, nie okazując zarazem wrogości Jeannie. Była impulsywną, pewną siebie dziewczyną, nie szukającą ugody, zwłaszcza gdy uważała, że ma rację. Najprawdopodobniej nastawi do siebie wrogo Maurice'a bez żadnej pomocy ze strony Berringtona. Na wypadek jednak, gdyby okazała się wyjątkowo słodka i przekonująca, potrzebny był plan awaryjny. Zaświtała mu nagle pewna myśl.

- Czekaając na nią, moglibyśmy sporządzić szkic oświadczenia dla prasy - powiedział.

- Świetny pomysł.

Berrington wyciągnął blok i zaczął pisać. To musiało być coś, na co Jeannie w żadnym wypadku się nie zgodzi, coś, co zrani ją do żywego i doprowadzi do pasji. Napisał, że Uniwersytet Jonesa Fallsa przyznaje się do popełnienia błędu. Uczelnia przeprasza wszystkich, których prywatność została naruszona, i oświadcza, że program komputerowy, o którym mowa, został od dzisiaj wycofany z użytku.

Oddał szkic sekretarce Maurice'a i poprosił, żeby go zaraz wydrukowała.

Jeannie pojawiła się, kipiąc z gniewu. Ubrana była w obszerny szmaragdowozielony podkoszulek, obcisłe czarne dżinsy i buty, które zanim ogłoszono ostatnim krzykiem mody, określało się mianem roboczego obuwia. W nosie miała srebrny kolczyk, gęste ciemne włosy związała na karku. Berringtonowi podobał się nawet ten styl, nie sądził jednak, by wywarła dobre wrażenie na rektorze uniwersytetu. Z pewnością widział w niej nieodpowiedzialną młodą asystentkę, która może narazić na kłopoty całą uczelnię.

Obell poprosił ją, żeby usiadła i poinformował o telefonie z gazety. Zachowywał się sztywno. Ten człowiek czuje się dobrze w towarzystwie dojrzałych mężczyzn, pomyślał Berrington; młoda kobieta w obcisłych dżinsach jest dla niego kimś obcym.

- Ta sama facetka zatelefonowała wczoraj do mnie - oznajmiła poirytowanym tonem Jeannie. - To śmieszne.

- Ale ma pani dostęp do danych medycznych - stwierdził Maurice.

- Ja nie przeglądam danych, robi to komputer. Żaden człowiek nie widzi żadnych informacji medycznych. Mój program podaje listę nazwisk i adresów, zgrupowanych w pary.

- Mimo to...

- Nie robimy potem nic, nie zapytawszy wpierw potencjalnego badanego o zgodę. Dopóki nie zgodzą się poddać u nas badaniom, nie mówimy im nawet o tym, że są bliźniakami. Czyją prywatność się tutaj narusza?

- Mówiłem ci, Maurice - wtrącił Berrington udając, że ją popiera. - W "Timesie" źle to zrozumieli.

- Oni patrzą na to z innej strony. A ja muszę myśleć o reputacji uniwersytetu.

- Niech pan mi wierzy, moje badania z pewnością ją podniosą - powiedziała Jeannie. Pochyliła się do przodu i Berrington usłyszał w jej głosie pasję, która ożywiała wszystkich prawdziwych uczonych. - To projekt o kluczowym znaczeniu. Jestem jedyną osobą, która wpadła na pomysł, jak badać genetyczne aspekty przestępczości. Kiedy opublikujemy wyniki, to będzie sensacja.

- Ma rację - wtrącił Berrington. Mówił prawdę. Jej badania były fascynujące. Bolało go serce na myśl, że trzeba je przerwać. Ale nie miał innego wyboru.

Maurice potrząsnął głową.

- Moim zadaniem jest chronić uniwersytet przed skandalem.

- Pańskim zadaniem jest również bronić wolności akademickiej - stwierdziła nieostroźnie Jeannie.

Nie obrała zbyt mądrej taktyki. Kiedyś, w odległej przeszłości, rektorzy wyższych uczelni niewątpliwie walczyli o prawo prowadzenia niezależnych badań naukowych, te czasy jednak dawno minęły. Teraz zajmowali się przede wszystkim zbieraniem funduszy. Wspominając o wolności akademickiej, po prostu obrażała rektora.

Maurice zjeżył się.

- Nie muszę wysłuchiwać od pani wykładu na temat moich obowiązków, młoda damo - oświadczył sztywno.

Ku zadowoleniu Berringtona, Jeannie nie zamierzała rezygnować.

- Czyżby? - zapytała, wyraźnie się rozgrzewając. - Mamy tu do czynienia z bezpośrednim konfliktem. Z jednej strony jest gazeta w oczywisty sposób fałszująca całą sprawę, z drugiej naukowiec, który chce poznać prawdę. Jeśli rektor uniwersytetu ugina się pod tego rodzaju presją, jaka nam jeszcze została nadzieja?

Berrington podziwiał ją. Wyglądała wspaniale z zaczerwienionymi policzkami i roziskrzonymi oczyma, ale kopała swój własny grób. Z każdym słowem coraz bardziej zrażała do siebie Maurice'a.

Jeannie zdała sobie widocznie sprawę, co robi, ponieważ nagle zmieniła taktykę.

- Z drugiej strony nikt z nas nie chce, aby uniwersytet znalazł się pod prężeniem opinii publicznej - oznajmiła nieco łagodniejszym tonem. - Całkowicie rozumiem pańską troskę, doktorze Obell.

Maurice natychmiast zmiękł, co Berrington przyjął z pewnym smutkiem.

- Rozumiem, że to stawia panią w trudnej sytuacji - stwierdził. - Uniwersytet jest gotów zaproponować pani rekompensatę w formie podwyżki w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Na twarzy Jeannie odmalowało się zaskoczenie.

- To pozwoli ci zabrać matkę z tego domu opieki, który tak ci się nie podobał - powiedział Berrington.

Jeannie wahała się tylko przez chwilę.

- Jestem głęboko wdzięczna - odparła - ale to nie rozwiązuje problemu. W dalszym ciągu muszę mieć moich bliźniaków. W przeciwnym razie nie będę miała czego badać.

Berrington i tak nie sądził, że Jeannie da się przekupić.

- Musi być chyba jakiś inny sposób znalezienia osób, które mogłaby pani badać - mruknął Maurice.

- O to chodzi, że nie. Potrzebuję oddzielnie wychowywanych jednojajowych bliźniąt, z których przynajmniej jedno jest kryminalistą. Nie jest łatwo ich znaleźć. Mój program lokalizuje ludzi, którzy czasem nie wiedzą nawet, że są bliźniakami. Nie ma innej metody, żeby to zrobić.

- Nie wiedziałem o tym - stwierdził Maurice.

Jego ton stawał się niebezpiecznie przyjazny. W tej samej chwili do gabinetu weszła sekretarka i wręczyła mu kartkę. Było to oświadczenie dla prasy, które naszkicował Berrington.

- Jeśli chcemy ukreślić sprawie łeb, będziemy musieli przekazać im dzisiaj coś takiego - powiedział Maurice, podając jej kartkę.

Jeannie szybko ją przeczytała i oczy ponownie pociemniały jej z gniewu.

- Ależ to jest kompletna bzdura! - wybuchła. - Nie popełniono żadnego błędu! Nie naruszono niczyjej prywatności. Nikt nie złożył nawet skargi!

Berrington z trudem krył zadowolenie. Paradoxem było, że ktoś tak impulsywny i zapalczywy, prowadził zarazem tak żmudne i wymagające cierpliwości badania. Widział, jak Jeannie traktuje swoich podopiecznych: żaden nie wyprowadził jej nigdy z równowagi, jeśli nawet w ogóle nie radził sobie z testami. Ich złe zachowanie było dla niej tak samo interesujące jak dobre. Notowała po prostu wszystko, co mówili, i dziękowała im pod koniec za owocną współpracę. Lecz za drzwiami laboratorium wybuchała niczym raca przy najmniejszej prowokacji.

- Doktor Obell uważa, że powinniśmy złożyć zdecydowane oświadczenie - stwierdził, grając rolę zatroskanego mediatora.

- Nie możecie napisać, że mój program komputerowy został wycofany! - odparła. - To jest równoznaczne z zastopowaniem całego projektu!

Twarz Maurice'a stwardniała.

- Nie mogę pozwolić, żeby "New York Times" opublikował artykuł, w którym jest mowa o tym, że nasi naukowcy naruszają czyjąś prywatność - oświadczył. - To kosztowałyby nas miliony wycofanych dotacji.

- Niech pan znajdzie jakieś inne wyjście - poprosiła Jeannie. - Napisze, że badacie sprawę. Że powołaliście specjalny komitet. Możemy, jeśli to konieczne, wprowadzić dodatkowe zabezpieczenia.

O nie, pomyślał Berrington. To brzmiało niepokojąco rozsądnie.

- Mamy oczywiście komisję do spraw etycznych - powiedział, pragnąc zyskać na czasie. - To jedna z podkomisji senatu. - Senat, w którego skład wchodziłi wszyscy zatrudnieni na stałe profesorowie, stanowił najwyższą władzę uczelni, ale większość pracy odbywała się w komisjach. - Możesz poinformować, że przekazałaś im sprawę do rozpatrzenia.

- To na nic - stwierdził nagle Maurice. - Wszyscy domyśla się, że gramy na zwłokę.

- Nie widzi pan, że nalegając na natychmiastowe załatwienie tej sprawy, wyklucza pan wszelką rozsądną dyskusję? - zaprotestowała Jeannie.

Berrington doszedł do wniosku, że to dobry moment na zamknięcie spotkania. Oboje okopali się na swoich pozycjach. Powinien przerwać spór, zanim ponownie pomyślą o kompromisie.

- Masz rację, Jeannie - stwierdził. - ~ Chciałbym coś zaproponować... oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko, Maurice.

- Proszę cię bardzo.

- Mamy tutaj do czynienia z dwoma różnymi problemami. Pierwszy polega na tym, jak zapewnić kontynuację badań Jeannie, nie wywołując jednocześnie skandalu, który mógłby zagrozić całej uczelni. To musimy rozstrzygnąć ja i Jeannie i porozmawiamy o tym później. Drugi problem wiąże się ze sposobem, w jaki wydział i uniwersytet przedstawią sprawę na zewnątrz. Tę kwestię powinniśmy przedyskutować ty i ja, Maurice.

Obellowi najwyraźniej kamień spadł z serca.

- Bardzo rozsądna propozycja - stwierdził.

- Dziękuję, że tak szybko się zjawiłaś, Jeannie - powiedział Berrington.

Zorientowała się, że została odprawiona. Na jej twarzy odbiła się konsternacja. Wiedziała, że ją wymanewrowali, ale nie mogła się zorientować jak bardzo.

- Zadzwoń do mnie? - zapytała Berringtona.

- Oczywiście.

- Dobrze.

Przez chwilę się wahała, a potem wyszła. Trudna kobieta - oznajmił Maurice. Berrington pochylił się do przodu, złożył razem ręce i spuścił pokornie oczy.

- Jest w tym trochę mojej winy, Maurice. - Rektor potrząsnął głową, ale Berrington ciągnął dalej. - To ja zatrudniłem Jeannie Ferrami. Nie miałem pojęcia, że obierze taką metodologię, ale ponoszę oczywiście za to odpowiedzialność i muszę pomóc ci z tego wybrnąć.

- Co proponujesz?

- Nie mogę cię prosić, żebyś wycofał to oświadczenie. Nie mam prawa. Zdaję sobie sprawę, że nie wolno ci poświęcać dobrego imienia uniwersytetu dla dobra jednego programu badawczego.

Maurice wahał się. Berrington obawiał się przez chwilę, że się domyśli, iż padł ofiarą manipulacji. Jeśli nawet zaświtała mu taka myśl, szybko ją odrzucił.

- Doceniam to, Berry. Ale co zrobisz z Jeannie? - zapytał.

Berrington odetchnął z ulgą. Chyba mu się udało.

- Zostaw to mnie - odparł.

Steve zasnął w środę nad ranem.

W więzieniu panował spokój, Prosiak pochrapywał cicho, a on nie spał już od czterdziestu dwóch godzin. Starał się czuwać, powtarzając w myśli mowę, którą miał zamiar wygłosić w trakcie rozprawy wstępnej, co chwila jednak zapadał w sen na jawie, w którym słyszał głos sędziego: "Wyznaczam kaucję, ten człowiek jest wolny" i wychodził z sądu na zalaną słońcem ulicę. Siedząc na podłodze z plecami opartymi o ścianę, kilka razy budził się z drzemki, w końcu jednak natura wzięła górę nad siłą woli.

Z głębokiego snu obudziło go bolesne kopnięcie w zębra. Jęknął i otworzył oczy. Kopnął go Prosiak, który pochylał się nad nim z oczyma rozszerzonymi szaleństwem.

- Ukradłeś moją działkę, skurwysynu! Gdzieś ją schował, gadaj? Oddawaj, bo zrobię z ciebie miazgę!

Steve zareagował, w ogóle nie myśląc. Skoczył niczym sprężyna z podłogi, wyprostował sztywno rękę i wbił dwa palce w oczy Prosiaka. Napastnik wrzasnął z bólu i cofnął się. Steve szedł za nim, chcąc przeszyć palcami jego mózg aż do końca czaszki. Gdzieś daleko słyszał bluzgający przekleństwami głos, który przypominał do złudzenia jego własny.

Prosiak dał jeszcze jeden krok do tyłu i usiadł na sedesie, zakrywając twarz rękoma.

Steve złapał go oburącz za kark, pociągnął do przodu i kopnął kolanem w twarz. Z ust Prosiaka trysnęła krew. Steve chwycił go za koszulę i ściągnął z sedesu na podłogę. Miał zamiar go skopać, kiedy zaczęła mu wracać jasność umysłu. Patrząc na krwawiącego, leżącego na podłodze mężczyznę, zawahał się i czerwona mgiełka furii zaczęła się przerzedzać.

- Och, nie - jęknął. - Co ja zrobiłem?

Drzwi celi otworzyły się i do środka wpadli z podniesionymi pałkami dwaj gliniarze. Steve podniósł w górę ręce.

- Uspokój się! - wrzasnął jeden z nich.

- Jestem już spokojny - odparł.

Gliniarze zakuli go w kajdanki i wyprowadzili z celi. Jeden z nich uderzył go mocno w żołądek. Steve zgiął się wpół, łapiąc kurczowo oddech.

- To na wypadek, gdybyś chciał jeszcze rozrabiać - oświadczył gliniarz.

Steve usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi.

- Potrzebujesz pomocy medycznej, Prosiak? Bo znam jednego konowała przy East Baltimore Street - zapytał jak zwykle rozbawiony strażnik Spike, rechocząc z własnego dowcipu.

Steve wyprostował się, dochodząc do siebie po uderzeniu. Wciąż go bolało, ale mógł już normalnie oddychać. Spojrzał przez kraty na Prosiaka, który siedział na prycy, masując oczy.

- Pierdoleć cię, zasrańcu - mruknął przez krwawiące wargi do Spike'a.

Steve odetchnął z ulgą: jego przeciwnik nie odniósł żadnych poważnych obrażeń.

- I tak mieliśmy cię już stąd zabrać, panie student - oświadczył Spike. - Ci dżentelmeni przyszli zaprowadzić cię do sądu. - Zerknął na trzymaną w ręku kartkę. - Zobaczmy, kto ma jeszcze stanąć przed Sądem Okręgu Północnego? Pan Robert Sandilands, znany jako Niuch...

Wyprowadził trzech innych mężczyzn z cel i skuł ich razem ze Steve'em. Gliniarze zabrali ich do garażu i wsadzili do autobusu.

Steve miał nadzieję, że nigdy tu nie wróci.

Na dworze było wciąż ciemno. Domyśla! się, że musi być koło szóstej. Sądy nie rozpoczynały pracy przed dziewiątą rano, powinni się zatem przygotować na długie czekanie. Przez piętnaście albo dwadzieścia minut jechali przez miasto, a potem skręcili do garażu mieszczącego się w budynku sądu. Wyszli z autobusu i zeszli do piwnicy.

Wolną przestrzeń w środku otaczało osiem ogrodzonych boksów. Wyposażenie każdego składało się z ławki i toalety, były jednak większe od cel na komendzie i wszyscy czterej więźniowie zamknięci zostali w boksie, w którym siedziało już sześciu mężczyzn. Strażnicy, którymi dowodziła ubrana w mundur sierżanta wysoka czarna kobieta o wrednym wyrazie twarzy, rozkuli ich i rzucili łańcuchy i kajdanki na stojący pośrodku stół.

W ciągu następnej godziny przybyło ponad trzydziestu nowych więźniów. Umieszczano ich po dwunastu w jednym boksie. Kiedy wprowadzono niewielką grupę kobiet, rozległy się krzyki i gwizdy. Ulokowano je w boksie po przeciwnej stronie.

Przez kilka następnych godzin nic się nie działo. Przyniesiono śniadanie, ale Steve po raz kolejny zrezygnował z posiłku: nie potrafił przyzwycząić się do jedzenia w toalecie. Niektórzy więźniowie głośno rozmawiali, inni milczeli, siedząc z ponurymi minami. Wielu było na kacu. Wymiana zdań między więźniami i strażnikami nie była tak wulgarna jak na komendzie i Steve zastanawiał się, czy to z powodu obecności kobiety.

Więzienia w ogóle nie przypominały tego, co pokazywali w telewizji. Na filmach i w programach telewizyjnych wyglądały jak podrzędne hotele: nigdy nie pokazywano

pozbawionych desek klozetów, lania, które spuszczano niesfornym, i psychicznego pastwienia się nad więźniami.

Ten dzień mógł być jego ostatnim dniem w więzieniu. Gdyby wierzył w Boga, modliłby się o to z całego serca.

Dopiero koło południa zaczęli zabierać pierwszych więźniów z boksów.

Steve znalazł się w drugiej grupie. Ponownie założono im kajdanki i skuto razem dziesięciu mężczyzn.

Sala rozpraw przypominała kaplicę metodystów. Do czarnej linii na wysokości pasa ściany pomalowane były na zielono, wyżej na kremowo. Na wysłanej zielonym dywanem podłodze stało niczym w kościele dziewięć ławek z jasnego drewna.

W tylnym rzędzie Steve zobaczył swoich rodziców.

Otworzył usta ze zdumienia.

Tato ubrany był w mundur pułkownika; czapkę trzymał pod pachą. Siedział sztywno wyprostowany, jakby stał na baczność. Miał bladą cerę, niebieskie oczy, ciemne włosy i cień zarostu na wygolonych policzkach. Zacisnął usta i wpatrywał się sztywno w jeden punkt, starając się stłumić emocje. Mama siedziała obok niego, mała i pulchna, ze spuchniętą od płaczu okrągłą ładną twarzą.

Steve miał ochotę zapaść się pod ziemię. Wróciłby chętnie do celi Prosiaka, żeby uciec przed tą chwilą. Stanął w miejscu, wstrzymując całą grupę więźniów, i wpatrywał się w niemej udręce w rodziców. W końcu pchnięty do przodu przez jednego ze strażników zatoczył się i usiadł na pierwszej ławce.

Przed sędziowskim stołem siedziała odwrócona twarzą do więźniów niewysoka urzędniczka. Przy drzwiach stał strażnik. Oprócz nich jedynym obecnym na sali przedstawicielem władzy był mniej więcej czterdziestoletni czarny mężczyzna w okularach, ubrany w marynarkę, krawat i niebieskie dżinsy. Zapytał o nazwiska więźniów i sprawdził je na swojej liście.

Steve obejrzał się przez ramię. Na ławkach dla publiczności nie było nikogo prócz jego rodziców. Dziękował losowi, że w przeciwieństwie do innych ma kogoś, kto się o niego troszczy.

Jego ojciec wstał i ruszył do przodu.

- Słucham pana? - zagadnął go facet w niebieskich dżinsach.

- Jestem ojcem Stevena Logana, chciałbym z nim porozmawiać - odparł władcym tonem ojciec. - Czy mogę wiedzieć, kim pan jest?

- Nazywam się David Purdy, jestem śledczym przedprocesowym. To ja dzwoniłem do pana dziś rano.

A więc w ten sposób się dowiedzieli. Powinien się był tego domyślić. Komisarz Williams uprzedziła go, że śledczy sprawdzi podane przez niego informacje. Najprostszym sposobem był telefon do rodziców. Steve skrzywił się, wyobrażając sobie ich rozmowę. Co powiedział śledczy? Chciałbym sprawdzić adres Stevena Logana, który przebywa w areszcie w Baltimore, oskarżony o gwałt. Czy pani jest jego matką?

Tato podał rękę facetowi.

- Miło mi pana poznać, panie Purdy - powiedział, ale Steve widział, że chętnie utopiłby go w łyżce wody.

- Proszę bardzo, może pan porozmawiać ze swoim synem.

Tato uklonił się sztywno, po czym siadł w drugim rzędzie tuż za nim. Położył dłoń na jego ramieniu i lekko je uściśnął. Steve'owi stanęły w oczach łzy.

- Ja tego nie zrobiłem, tato - powiedział.

- Wiem, Steve - odparł ojciec.

Jego prosta wiara coś w nim odblokowała i zaczął płakać. A kiedy już zaczął, nie potrafił skończyć. Głód i brak snu odebrały mu siły. Dały o sobie znać napięcie i męka ostatnich dwóch dni i łzy leciały mu z oczu ciurkiem, a on przełykał tylko ślinę i wycierał twarz skutymi rękoma.

- Chcieliśmy wynająć ci adwokata - powiedział tato - ale nie mieliśmy czasu. Ledwie udało nam się tu zdążyć.

Steve pokiwał głową. Będzie swoim własnym adwokatem, jeśli tylko zdoła się opanować.

Strażniczka wprowadziła na salę dwie dziewczyny. Nie miały na rękach kajdanek. Usiadły na ławce i zaczęły chichotać. Nie mogły mieć więcej niż osiemnaście lat.

- Jak to się w ogóle, do diabła, stało? - zapytał ojciec.

Starając się odpowiedzieć na pytanie, Steve powoli przestał płakać.

- Wyglądam chyba jak facet, który to zrobił - wyjąkał, a potem jeszcze raz pociągnął nosem i przełknął ślinę. - Ofiara wybrała mnie podczas konfrontacji. Byłem w tym czasie niedaleko miejsca zdarzenia. Powiedziałem o tym policji. Oczyści mnie badanie DNA, ale to trwa trzy dni. Mam nadzieję, że zwolnią mnie dzisiaj za kaucją.

- Powiedz sędziemu, że tu jesteśmy - doradził tato. - To powinno pomóc.

Steve czuł się jak pocieszane przez ojca małe dziecko. Obudziło się w nim słodkogorzkie wspomnienie dnia, gdy dostał w prezencie swój pierwszy rower. To musiały

być jego piąte urodziny. Rowerek miał parę dodatkowych kół przy tylnej osi, aby zabezpieczać go przed upadkiem. Za ich domem był duży ogród, dwa schodki prowadziły z niego na leżące niżej patio. "Jedź po trawniku i trzymaj się z daleka od schodów", powiedział tato, ale oczywiście pierwszą rzeczą, której spróbował Steve, był zjazd po schodach. Rozbił rower i siebie i oczekiwał, że ojciec będzie na niego wściekły za to, że nie usłuchał prostego polecenia. Ale on podniósł go, obmył delikatnie skaleczenia, naprawił rower i chociaż Steve przez cały czas spodziewał się awantury, ta nigdy nie nastąpiła. Tato nigdy nie powiedział: A nie mówiłem! Bez względu na to, co się działo, rodzice Steve'a zawsze byli po jego stronie.

Na salę weszła sędzina.

Była atrakcyjną mniej więcej pięćdziesięcioletnią białą kobietą, bardzo drobną i elegancką. Miała na sobie czarną togę i niosła w rękę puszkę Diet Coke, którą postawiła na stole.

Steve próbował wyczytać coś z jej twarzy. Czy była okrutna, czy łagodna? W dobrym czy złym humorze? Czy była życzliwą, tolerancyjną kobietą o dobrym sercu, czy też obsesyjną pedantką, pragnącą skrycie wysłać ich wszystkich na krzesło elektryczne? Obserwował jej niebieskie oczy, ostry nos, przetykane nitkami siwizny włosy. Czy ma męża z wielkim brzuchem, dorosłego syna, o którego się martwi, i ukochanego wnuczka, z którym bawi się razem na dywanie? Czy też mieszka sama w drogim mieszkaniu, wypełnionym nowoczesnymi meblami o ostrych kantach? Pamiętał z wykładów, jakie względy bierze się teoretycznie pod uwagę przy wyznaczeniu bądź też odmowie wyznaczenia kaucji, teraz jednak wydawało się to zupełnie bez znaczenia. Wszystko zależało od charakteru tej kobiety.

- Dzień dobry - powiedziała, przyglądając się więźniom. - W trakcie tego posiedzenia podejmę decyzję o wyznaczeniu kaucji. - Miała niski czysty głos i wyraźną dykcję. Wszystko wydawało się w niej dokładne i uporządkowane - wszystko z wyjątkiem tej puszkę coli, jedynej rzeczy, która dawała Steve'owi nadzieję.

- Czy wszyscy otrzymali listę zarzutów? - Uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, sędzina przeczytała z kartki prawa, jakie im przysługują, i co muszą zrobić, aby przydzielono im adwokata. - Kiedy wymienię nazwisko, proszę podnieść prawą rękę - nakazała. - Ian Thompson.

Jeden z więźniów podniósł rękę. Sędzina odczytała ciężące na nim zarzuty i poinformowała o wymiarze kary grożącej za to, o co się go obwinia, Ian Thompson, jak się okazało, włamał się do trzech domów w zamożnej dzielnicy Roland Park. Młody Latynos z

ręką na temblaku nie wydawał się zbyt zainteresowany swoim losem i wyraźnie nudziła go cała procedura.

Sędzina zaczęła mu tłumaczyć, że ma prawo do rozprawy wstępnej i procesu przed ławą przysięgłych. Steve słuchał niecierpliwie, czekając, czy facet zostanie zwolniony za kaucją.

Po chwili zabrał głos śledczy przedprocesowy. Mówiąc bardzo szybko, oznajmił, że podejrzany od roku mieszka pod tym samym adresem, ma żonę i dzieci, ale nigdzie nie pracuje. Jest także uzależniony od heroiny i ma kryminalną przeszłość. Steve nie wypuściłby takiego człowieka na ulicę.

Sędzina zwolniła go jednak, wyznaczając kaucję w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Steve poczuł, jak w serce wstępuje mu otucha. Wiedział, że podejrzany musi normalnie wyłożyć tylko dziesięć procent kaucji, Thompson powinien więc wyjść na wolność, jeśli uda mu się zebrać dwa i pół tysiąca dolarów. Nie było to zbyt dużo.

Następna była jedna z dziewcząt. Wdała się w bójkę z inną kobietą i oskarżono ją o napaść. Śledczy poinformował sędzinę, że podsądna mieszka z rodzicami i pracuje w kasie pobliskiego supermarketu. Było jasne, że nie stanowi dużego zagrożenia i sędzina zwolniła ją za osobistym poręczeniem, co oznaczało, że dziewczyna nie musiała wpłacać żadnych pieniędzy.

To była kolejna łagodna decyzja i nadzieje Steve'a wzrosły jeszcze bardziej.

Podsądnej zakazano zbliżać się do miejsca zamieszkania kobiety, z którą się biła. Ta decyzja przypomniała Steve'owi, że sąd może wyznaczyć kaucję pod pewnymi warunkami. Zastanawiał się, czy nie powinien z własnej inicjatywy obiecać, że nie będzie zbliżał się do Lisy Hoxton. Nie miał pojęcia, jak wygląda i gdzie mieszka, ale był gotów przyrzec wszystko, byle tylko wyrwać się z aresztu.

Następnym podsądnym był biały mężczyzna w średnim wieku, który obnażył się, pokazując kobietom genitalia, w dziale higieny osobistej drugstore'u Rite-Aid. W przeszłości popełnił szereg podobnych wykroczeń. Mieszkał samotnie, ale od pięciu lat nie zmieniał adresu. Ku zaskoczeniu i przerażeniu Steve'a nie został zwolniony za kaucją. Facet był chudy i mały: sprawiał wrażenie nieszkodliwego szajbusa. Ale może sędzina, jako kobieta, była szczególnie uczulona na przestępstwa seksualne.

- Steven Charles Logan - przeczytała z kartki jego nazwisko.

Steve podniósł rękę. Błagam, niech mnie pani stąd wypuści.

- Jest pan oskarżony o gwałt pierwszego stopnia, za co grozi panu wyrok dożywotniego więzienia.

Steve usłyszał za plecami głośne westchnienie matki.

Sędzina odczytała inne zarzuty, zapoznając jednocześnie z rodzajem kary za poszczególne czyny, a potem zaś zabrał głos śledczy. Podał wiek, adres i zajęcie Steve'a i poinformował, że nie był karany oraz nie jest uzależniony od narkotyków. W porównaniu z innymi sprawiał wrażenie wzorowego obywatela. Sędzina musiała chyba wziąć to pod uwagę.

- Czy mogę coś powiedzieć, Wysoki Sądzie? - zapytał Steve, kiedy Purdy skończył mówić.

- Tak, ale proszę pamiętać, że wszystko, co powie pan na temat tego przestępstwa, może zostać użyte przeciwko panu.

Steve wstał z ławki.

- Jestem niewinny, ale przypominam zdaje się z wyglądu gwałciciela, zatem gdybym został zwolniony za kaucją, obiecuję, że nie będę zbliżać się do ofiary, jeśli Wysoki Sąd uzna to za konieczny warunek zwolnienia.

- Z całą pewnością uznam to za konieczny warunek.

Chciał błagać ją o wolność, ale wszystkie mowy, które układał w celi, wyleciały mu z głowy i kompletnie nie wiedział, co powiedzieć.

Jego ojciec podniósł się z ławki.

- Wysoki Sądzie, jestem ojcem Steve'a. Pułkownik Charles Logan. Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania Wysokiego Sądu.

Sędzina zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- To nie będzie konieczne.

Steve zastanawiał się, dlaczego potraktowała ojca tak ostro. Może chciała, żeby zrozumiał, że nie robi na niej wrażenia jego wojskowy stopień. W moim sądzie, dawała do zrozumienia, wszyscy są równi, bez względu na to, jak godni szacunku mogliby się wydawać.

Tato usiadł z powrotem w ławce.

Sędzina spojrzała na Steve'a.

- Czy znał pan tę kobietę, zanim doszło do popełnienia zarzucanego panu czynu, panie Logan?

- Nigdy się nie spotkaliśmy - odparł Steve.

- Czy przedtem ją pan widział?

Domyślił się, że sędzina chce wiedzieć, czy przed zaatakowaniem Lisy Hoxton przez jakiś czas ją śledził.

- Nie mogę powiedzieć - odparł. - Nie wiem, jak wygląda.

Sędzina najwyraźniej analizowała jego odpowiedź. Steve miał wrażenie, że wisi na barierce, trzymając się jej ostatkiem sił. Uratować go mogło jej jedno słowo. Odmawiając mu, ta kobieta straci go w przepaść.

- Wyznaczam kaucję w wysokości dwustu tysięcy dolarów - oświadczyła w końcu.

Steve poczuł, jak zalewa go olbrzymia fala wdzięczności i ulgi.

- Dzięki ci Boże - szepnął.

- Nie będzie pan się zbliżał do Lisy Hoxton ani do domu numer tysiąc trzysta dwadzieścia jeden przy Vine Avenue.

Tato ponownie ucisnął jego ramię. Steve podniósł skute kajdankami ręce i dotknął jego kościstych palców.

Wiedział, że minie jeszcze godzina albo dwie, zanim go uwolnią; ale teraz, kiedy zagwarantowano mu wolność, niewiele się tym przejmował. Zje sześć Big Maców i prześpi cały dzień. Chciał wziąć ciepłą kąpiel, ubrać się w czyste ciuchy i założyć z powrotem swój zegarek. Chciał znaleźć się w towarzystwie ludzi, którzy nie powtarzają w każdym zdaniu "kurwa".

A najbardziej ze wszystkiego, z czego zdał sobie sprawę z pewnym zdziwieniem, chciał zadzwonić do Jeannie Ferrami.

Wracając do swego gabinetu Jeannie przygryzała wargę z wściekłości. Maurice Obeli był tchórzem. Agresywna dziennikarka wysunęła kilka gołosłownych oskarżeń, to wszystko, i facet natychmiast się ugiął. A Berrington okazał się zbyt słaby, by jej skutecznie bronić.

Komputerowy program wertujący dane był jej największym sukcesem. Zaczęła nad nim pracować, kiedy zdała sobie sprawę, że studia nad przestępczością nie posuną się daleko bez nowego narzędzia odnajdującego osoby, które mogła poddać badaniom. Nie licząc tenisowych mistrzostw, było to jej jedyne naprawdę wielkie osiągnięcie. Jeśli obdarzona była w ogóle jakimś intelektualnym talentem, to właśnie do rozwiązywania tego rodzaju logicznych łamigłówek. Chociaż studiowała psychologię irracjonalnych i nieprzewidywalnych istot ludzkich, robiła to manipulując danymi setek i tysięcy osobników: praca miała charakter statystyczny i matematyczny. Czowała, że jeśli jej program komputerowy okaże się do niczego, ona sama też nie jest chyba nic warta. Może się poddać i zostać stewardesą, jak Penny Watermeadow.

Z zaskoczeniem zobaczyła czekającą przed drzwiami Annette Bigelow. Annette była słuchaczką studium podyplomowego, a Jeannie opiekowała się nią w ramach swoich obowiązków dydaktycznych. Teraz przypomniła sobie, że w zeszłym tygodniu Annette przedstawiła konspekt swojej pracy rocznej i umówiły się na dzisiaj rano, żeby o nim podyskutować. W pierwszej chwili chciała odwołać spotkanie: miała na głowie ważniejsze sprawy. Ale potem ujrzała zapał na twarzy dziewczyny i przypomniła sobie, jak ważne były dla niej takie konsultacje, kiedy była studentką.

- Przepraszam, że kazałam ci czekać - powiedziała, uśmiechając się z przymusem. - Przejdźmy od razu do rzeczy.

Na szczęście przeczytała uważnie jej propozycję i zrobiła notatki. Annette chciała przejrzeć zgromadzone już dane bliźniaków i poszukać w nich korelacji w dziedzinie opinii politycznych i postaw moralnych. Pomysł wydawał się interesujący, a cały konspekt był pod względem naukowym bez zarzutu. Jeannie zaproponowała kilka małych poprawek i zaaprobowała jej projekt.

Kiedy Annette wychodziła, do gabinetu wsadził głowę Ted Ransome.

- Wyglądasz, jakbyś miała zamiar uciąć komuś jaja - stwierdził.

- Ale nie tobie - uśmiechnęła się. - Wejdz, zrobię ci kawy.

Jeannie lubiła go najbardziej ze wszystkich kolegów z wydziału. Zajmował się psychologią percepcji, szczęśliwie się ożenił i miał dwójkę dzieci. Wiedziała, że mu się podoba, ale nie będzie próbował jej podrywać. Istniejące między nimi przyjemne seksualne napięcie nigdy nie miało się przerodzić w coś poważniejszego.

Włączyła stojący na biurku ekspres do kawy i opowiedziała mu o “New York Timesie” i reakcji rektora.

- Interesuje mnie tylko jedno - stwierdziła na koniec. - Kto dał cynk do “Timesa”?

- Chyba Sophie - odparł Ted.

Sophie Chappie była jedyną oprócz Jeannie kobietą wśród pracowników naukowych wydziału. Chociaż zbliżała się do pięćdziesiątki i miała tytuł profesora, traktowała Jeannie jak swego rodzaju rywalkę i zachowywała się zazdrośnie od początku semestru; sarkala na wszystko, poczynając od jej minispódniczek, aż po sposób, w jaki parkowała samochód.

- Zrobiłaby coś takiego? - zapytała Jeannie.

- Z przyjemnością.

- Chyba masz rację. - Nigdy nie przestała jej zdumiewać małoduszność wybitnych naukowców. Widziała kiedyś otoczonego szacunkiem matematyka, który spoliczkował jednego z najbardziej genialnych amerykańskich fizyków, bo ten wepchnął się przed nim do kolejki w kafeterii. - Może powinnam ją zapytać?

Ted uniósł brwi.

- Wszystkiemu zaprzeczy.

- Poznam to po jej spojrzeniu.

- Wybuchnie afera.

- Już wybuchła.

Zadzwoił telefon. Jeannie podniosła słuchawkę, wskazując dłonią Tedowi, żeby nalał sobie kawy.

- Słucham.

- Mówi Naomi Freeland.

Jeannie zawahała się.

- Nie jestem pewna, czy powinnam z panią rozmawiać.

- Podobno przestała już pani korzystać z archiwów medycznych w swoich badaniach.

- Nie.

- Co to znaczy “nie”?

- Znaczy, że nie przestałam. Pani telefon wywołał pewną dyskusję, ale nie podjęto żadnych decyzji.

- Mam przed sobą faks z rektoratu. Uniwersytet przeprasza w nim wszystkich, których prywatność została naruszona, i zapewnia, że program został wycofany.

Jeannie zatkało ze zdumienia.

- Wysłali pani taką informację?

- Nie wiedziała pani o tym?

- Widziałam brudnopis, ale nie zgodziłam się z jego treścią.

- Wygląda na to, że zrobili to, nic pani nie mówiąc.

- Nie mogą.

- Jak to?

- Mam kontrakt, który określa wyraźnie moje prawa i obowiązki. Nie mogą robić, co im się żywnie podoba.

- Chce pani powiedzieć, że będzie pani nadal korzystała ze swojego programu, sprzeciwiając się decyzji zwierzchników?

- To nie ma nic wspólnego ze sprzeciwem. Nie mają po prostu prawa mi rozkazywać. - Jeannie spostrzegła, że Ted daje jej rozpaczliwe znaki ręką. Miał rację: w ten sposób nie rozmawia się z prasą. - Niech pani posłucha - powiedziała, zmieniając taktykę. - Sama pani stwierdziła, że w tym przypadku można mówić wyłącznie o potencjalnym naruszeniu dóbr osobistych.

- Tak...

- I nie udało się pani znaleźć nikogo, kto chciałby złożyć skargę w związku z moim programem badań. Mimo to bez żadnych skrupułów chce pani spowodować ich przerwanie.

- Ja nie osądzam, ja informuję.

- Wie pani przynajmniej, nad czym pracuję? Staram się odkryć, co sprawia, że ludzie stają się kryminalistami. Jestem pierwszą osobą, która opracowała naprawę obiecującą metodę zbadania tego problemu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, moje odkrycia sprawią, że Ameryka stanie się miejscem, w którym lepiej się będzie żyło pani wnukom.

- Ja nie mam wnuków.

- To ma być odpowiedź?

- Nie muszę się przed panią tłumaczyć...

- Może i nie, ale czy nie powinna pani raczej poszukać przypadku naruszenia czyjejś prywatności, przypadku, który naprawdę kogoś obchodzi? Czy nie wyszłoby to także na dobre pani artykułowi?

- Pozwoli pani, że ja to ocenię.

Jeannie westchnęła. Zrobiła, co mogła. Zgrzytając zębami, starała się zakończyć rozmowę przyjaznym akcentem.

- Cóż, w takim razie życzę powodzenia.

- Dziękuję za współpracę, doktor Ferrami.

- Do widzenia - pożegnała ją chłodno Jeannie. - Ty dziwko - dodała, odkładając słuchawkę.

Ted podał jej kubek kawy.

- Rozumiem, że ogłosili wycofanie z użytku twojego programu.

- Nie mogę tego pojąć. Berrington powiedział, że porozmawiamy jeszcze na ten temat.

- Nie znasz Berry'ego tak dobrze jak ja. - Ted ściszył głos. - Możesz mi wierzyć, to waż. Nie ufałbym mu nawet przez chwilę.

- Może to jakieś nieporozumienie - czepiała się nadziei Jeannie. - Może sekretarka doktora Obella wysiała faks przez pomyłkę.

- Może - mruknął Ted. - Ale ja stawiałbym na teorię węża.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić do "Timesa" i powiedzieć, że telefon odebrał ktoś inny?

Ted roześmiał się.

- Myślę, że powinnaś pójść do Berry'ego i zapytać, czy miał zamiar wysłać oświadczenie przed rozmową z tobą.

- Dobry pomysł. - Jeannie dopiła kawę i wstała.

Ted podszedł do drzwi.

- Powodzenia. Trzymam za ciebie kciuki.

- Dziękuję. - Zastanawiała się, czy nie pocałować go w policzek, ale potem się rozmyśliła.

Drzwi do gabinetu Berringtona piętro wyżej były zamknięte. Jeannie zajrzała do sekretariatu.

- Cześć, Julie, wiesz może, gdzie jest Berry?

- Wyszedł już do domu, ale prosił mnie, żebym umówiła cię z nim na jutro.

Niech to diabli. Sukinsyn unikał jej. Teoria Teda była słuszna.

- O której?
- Wpół do dziesiątej?
- W porządku.

Zeszła z powrotem na swoje piętro i zajrzała do laboratorium. Lisa stała przy stole, sprawdzając stężenie DNA Stevena i Dennisa. Zmieszała dwa mikrolitry z każdej próbki z dwoma mililitrami fluorescencyjnego barwnika. W zetknięciu z DNA barwnik świecił i można było określić ilość kwasu dezoksyrybonukleinowego na podstawie stopnia jasności, mierzonego przez specjalny fluorymetr DNA w nanogramach DNA na mikrolitr próbki.

- Jak się czujesz? - zapytała Jeannie.
- Dobrze.

Jeannie uważnie jej się przyjrzała. Lisa była wciąż w fazie zaprzeczenia, to nie ulegało wątpliwości. Pochylona nad probówkami, sprawiała wrażenie spokojnej, ale wewnątrz wyczuwało się napięcie.

- Rozmawiałaś już ze swoją mamą? - Rodzice Lisy mieszkali w Nowym Jorku.
- Nie chcę jej martwić.
- Po to właśnie jest matka. Zadzwoń do niej.
- Może dziś w nocy.

Jeannie opowiedziała jej o dziennikarce z "New York Timesa". Lisa zmieszała tymczasem próbki DNA z enzymem zwanym endonukleazą restrykcji. Endonukleaza niszczyła obce DNA, które dostało się do wnętrza organizmu, tnąc długą cząsteczkę kwasu na tysiące krótszych fragmentów. O przydatności endonukleazy w inżynierii genetycznej decydowało to, że przecinała DNA zawsze w tym samym punkcie. Dzięki temu można było porównać fragmenty dwóch próbek krwi. Jeśli do siebie pasowały, krew pochodziła od tego samego osobnika albo od dwu jednojajowych bliźniąt. Jeśli były różne, musiały pochodzić od dwu innych osób.

Przypominało to wycinanie mierzącego cal kawałka taśmy z nagrania opery. W obu przypadkach sprawdzamy fragment wycięty pięć minut od startu: jeśli za każdym razem słyszymy duet, który śpiewa *Se a caso Madama*, oznacza to, że oba pochodzą z *Wesela Figara*. Aby zabezpieczyć się przed możliwością, że dwie zupełnie różne opery mają tę samą sekwencję nut dokładnie w tym samym momencie, konieczne było porównanie nie jednego, lecz paru fragmentów.

Proces fragmentacji trwał kilka godzin i nie można go było przyspieszyć; jeśli DNA nie zostało do końca pocięte, wyniki nadawały się do kosza.

Opowieść o "Timesie" wstrząsnęła Lisa, ale nie współczuła jej tak bardzo, jak tego oczekiwała Jeannie. Przed trzema dniami sama doznała silnego urazu i w porównaniu z nim problem Jeannie nie wydawał się może aż tak tragiczny.

- Co zamierzasz badać, jeśli będziesz musiała przerwać ten program? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - odparła Jeannie. - Nie wyobrażam sobie przerwania tych badań.

Zdała sobie sprawę, że Lisa nie rozumie po prostu pasji poznawczej, która ożywia naukowca. Dla niej jako laborantki jeden program był tak samo dobry jak inny.

Wróciła do swojego gabinetu i zadzwoniła do domu opieki Bella Vista. Własne problemy sprawiły, że zapomniała porozmawiać z matką.

- Czy mogę mówić z panią Ferrami? - zapytała.

- Jedzą teraz lunch - padła natychmiastowa odpowiedź.

Jeannie zawahała się.

- Czy mogłaby pani przekazać, że dzwoniła jej córka Jeannie i że zadzwonię później?

- Dobrze.

Jeannie miała wrażenie, że kobieta wcale tego nie zapisała.

- Imię pisze się J-E-A-N-N-I-E. Jestem jej córką - dodała.

- Tak, dobrze.

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co.

Jeannie odłożyła słuchawkę. Musiała wydostać mamę z tego miejsca. W dalszym ciągu nie poczyniła jednak żadnych kroków, by zacząć dawać korepetycje.

Zerknęła na zegarek; minęło dopiero południe. Wzięła do ręki mysz i spojrzała na ekran komputera, ale teraz, kiedy w każdej chwili mogli przerwać jej badania, dalsza praca wydawała się bezsensowna. Wściekła i bezradna postanowiła wrócić do domu.

Wyłączyła komputer, zamknęła gabinet i wyszła z budynku. Wciąż miała jeszcze swój samochód. Wsiadła do mercedesa i z zadowoleniem pogładziła wyslizganą od dotyku dłoni kierownicę.

Próbowała dodać sobie jakoś otuchy. W domu czekał na nią ojciec, to było coś nowego. Powinna spędzić z nim trochę czasu, nacieszyć się rzadkim przywilejem. Mogli pojechać do portu i pospacerować razem wzdłuż nabrzeży. Mogła fundnąć mu nową kurtkę Brook Brothers. Nie miała pieniędzy, ale kupiła na kredyt. Do diabła, życie jest krótkie.

Parkując przed domem, poczuła się trochę lepiej.

Wróciłam, tato! - zawołała, wbiegając po schodach.

Stając na progu salonu wyczuła, że coś jest nie w porządku. Po chwili spostrzegła, że zniknął telewizor. Może tato zabrał go do drugiego pokoju, żeby pooglądać program w łóżku. Zajrzała do sypialni: nie było go tam.

- Och nie - jęknęła, wracając do salonu. Nie było również jej magnetowidu. - Tato, nie mogłeś tego zrobić! - Z półki zniknęła wieża stereo, z biurka komputer. - Nie. Nie mogę w to uwierzyć! - Pobiegła z powrotem do sypialni i otworzyła szkatułkę z biżuterią. Nie było w niej kolczyka z jednokaratowym brylantem, który dał jej w prezencie Will Tempie.

Zadzwonił telefon i Jeannie odebrała go zupełnie machinalnie.

Tu Steve Logan - odezwał się głos w słuchawce. - Co słychać?

- To najgorszy dzień w moim życiu - odparła i zaczęła płakać.

Steve Logan odłożył słuchawkę.

Wcześniej wziął prysznic, ogolił się, włożył czyste ubranie i zjadł kopiasty talerz przyrządzonej przez matkę lazanii. Opowiedział rodzicom o wszystkim, co przeszedł, chwila po chwili. Był przekonany, że oskarżenie zostanie wycofane zaraz po otrzymaniu wyników DNA, oni jednak nalegali, aby zapewnił sobie pomoc prawną, i nazajutrz z samego rana miał zobaczyć się z adwokatem. Całą drogę z Baltimore do Waszyngtonu przedzemał na tylnym siedzeniu należącego do ojca lincolna i chociaż trudno było uznać, że odespał w ten sposób półtorej bezsennej nocy, czuł się doskonale.

I chciał się zobaczyć z Jeannie.

Miał ochotę na spotkanie, zanim do niej zadzwonił. Teraz, kiedy dowiedział się, w jakich znalazła się tarapatach, pragnął tego jeszcze bardziej. Chciał wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Czuł również, że musi być jakiś związek między jej i jego problemami. Wszystko zaczęło się psuć od chwili, gdy przedstawiła go swojemu szefowi i Berrington zrobił wielkie oczy.

Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tajemnicy swojego pochodzenia. Na razie nie mówił nic rodzicom. To było zbyt dziwaczne i niepokojące. Ale musiał porozmawiać o tym z Jeannie.

Podniósł słuchawkę, żeby znowu do niej zadzwonić, ale potem zmienił zdanie. Jeannie odpowie pewnie, że nie chce się z nim spotkać. Ludzie w depresji reagują na ogół w ten sposób, jeśli nawet potrzebne jest im czyjeś ramię, na którym mogliby się wyplakać. Może powinien zapukać po prostu do jej drzwi i powiedzieć: Cześć, spróbujmy sobie jakoś wzajemnie pomóc.

Zajrzał do kuchni. Mama szorowała drucianą szczotką półmisek po lazanii. Tato wyskoczył na godzinę do biura. Steve zaczął wkładać naczynia do zmywarki.

- Może ci się to wydać trochę dziwne, ale... - zaczął.

- ...ale jedziesz zobaczyć się z dziewczyną.

- Skąd wiesz? - zapytał z uśmiechem.

- Jestem twoją matką, a to znaczy, że mam szósty zmysł. Jak się nazywa?

- Jeannie Ferrami. Doktor Ferrami.

- Przedstawiasz mi ją, jakbym była żydowską matką. Ma mi imponować to, że jest lekarką?

- Jest naukowcem, nie lekarką.

- Jak wygląda?

- Bardzo atrakcyjna: wysoka, wysportowana... niesamowicie dobrze gra w tenisa... ma długie ciemne włosy, ciemne oczy i delikatne srebrne kółko w nosie. Jest przebojowa: mówi, co chce, nie owija niczego w bawełnę, ale często się również śmieje. Kilka razy ją rozśmieszyłem, ale chodzi głównie o to... - szukał właściwego słowa - że czuje się jej obecność. Kiedy jest przy tobie, nie możesz po prostu odwrócić od niej wzroku.

Matka przez chwilę bacznie mu się przyglądała.

- Rany boskie... naprawdę się zadurzyłeś.

- No, niekoniecznie... Chociaż właściwie masz rację. Szaleję za nią.

- Czy ona czuje to samo?

- Jeszcze nie.

Matka czule się do niego uśmiechnęła.

- Jedź, zobacz się z nią. Mam nadzieję, że na ciebie zasługuje.

Pocałował ją.

- Jak to się stało, że jesteś taka dobra? - zapytał.

- Praktyka - odparła.

Samochód Steve'a stał zaparkowany przed domem; matka zabrała go z kampusu Jonesa Fallsa i przyprowadziła do Waszyngtonu. Teraz wyjechał nim na drogę międzystanową 95 i ruszył z powrotem do Baltimore.

Jeannie potrzebowała czyjejś troskliwej opieki. Opowiedziała mu przez telefon, jak wystawił ją do wiatru rektor uniwersytetu i obrabował własny ojciec. Ktoś musiał podnieść ją na duchu, a to było coś, do czego świetnie się nadawał.

Jadąc wyobrażał sobie Jeannie. Siedziała przy nim na kanapie, śmiała się i mówiła: "Cieszę się, że przyjechałeś, przy tobie czuję się o niebo lepiej... A może się po prostu rozbierzemy i wskoczmy do łóżka?"

Zatrzymał się na parkingu w pobliżu Mount Washington i kupił pizzę z owocami morza, butelkę chardonnay za dziesięć dolarów, czekoladowo-orzechowe lody Ben & Jerry i dziesięć złotych goździków. Na pierwszej stronie "Wall Street Journal" zobaczył duży artykuł dotyczący Genetico i uprzytomnił sobie, że ta właśnie firma finansuje badania Jeannie. Wyglądało na to, że mają zamiar przejąć duży niemiecki konglomerat, Landsmann. Nie zastanawiając się długo, kupił gazetę.

Jego przyjemne fantazje psuła obawa, że Jeannie mogła gdzieś wyjść. Mogła też siedzieć w domu i nie chcieć otworzyć drzwi. Albo mieć gości.

Z zadowoleniem zobaczył stojącego przed domem czerwonego mercedesa 280C. A potem uświadomił sobie, że mogła wyjść gdzieś pieszo, zamówić taksówkę lub pojechać ze znajomymi.

Przy domofonie nie miała kamery. Steve nacisnął guzik i wlepił wzrok w głośnik czekając, aż się odezwie. Nic takiego się nie stało. Nacisnął ponownie. Coś zatrzeszczało w głośniku. Zabiło mu szybciej serce.

- Kto tam? - odezwał się poirytowany głos.

- To ja, Steve Logan. Przyjechałem cię pocieszyć.

- Nie mam dzisiaj ochoty przyjmować gości, Steve - odparła po kilku chwilach.

- Pozwól mi przynajmniej dać ci te kwiaty.

Jeannie nie odpowiadała. Boi się, pomyślał, i ogarnęło go gorzkie rozczarowanie. Powiedziała, że wierzy w jego niewinność, ale zrobiła to, kiedy siedział za kratkami. Teraz, gdy stał na jej progu i była sama, nie była już taka pewna.

- Nie zmieniłaś chyba zdania na mój temat? - zapytał. - Wciąż wierzysz, że jestem niewinny? Jeśli nie, po prostu sobie pójdę.

Zadzwieczał brzęczyk i drzwi się otworzyły.

Ta kobieta nie potrafi cofnąć się przed wyzwaniem, pomyślał.

Wszedł do małego hallu, w którym znajdowało się dwoje drzwi. Jedne z nich były otwarte i prowadziły na górę. U szczytu schodów stała Jeannie ubrana w jasnozielony podkoszulek.

- Chyba powinnam cię wpuścić - powiedziała.

Nie było to najcieplejsze powitanie, ale Steve uśmiechnął się i wszedł po schodach, niosąc w papierowej torbie swoje prezenty. Zaprosiła go do małego salonu z wnęką kuchenną. Zauważył, że lubi czerń i biel urozmaicone plamami jaskrawych kolorów. Miała obitą czarnym materiałem kanapę z pomarańczowymi poduszkami, niebieski zegar na pomalowanej na biało ścianie, żółte klosze, biały blat kuchenny i czerwone kubki.

- Posłuchaj - oznajmił, kładąc torbę na blacie. - Musisz coś zjeść, żeby się lepiej poczuć. - Wyjął pizzę. - I napić się wina, żeby się odprężyć. Potem, jeśli będziesz miała ochotę na coś specjalnego, możesz zjeść te lody, prosto z kartonu, nie wykładaj ich nawet na talerzyk. A kiedy już wszystko zjesz i wypijesz, nadal będziesz miała te kwiaty. Rozumiesz?

Spojrzała na niego, jakby był z Marsa.

- A swoją drogą - dodał - pomyślałem sobie, że potrzebujesz kogoś, kto przyjedzie tutaj i powie ci, że jesteś naprawdę wyjątkową, wspaniałą osobą.

W oczach stanęły jej łzy.

- Chrzań się! - mruknęła. - Ja nigdy nie płacę.

Położył ręce na ramionach Jeannie. Po raz pierwszy jej dotykał. Nieśmiało przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się. Nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, objął ją. Była prawie tak samo wysoka jak on. Oparła głowę na jego ramieniu i jej ciałem wstrząsnął szloch. Pogładził ją po włosach. Były miękkie i ciężkie. Męskość stwardniała mu niczym wąż strażacki i trochę się od niej odsunął, mając nadzieję, że tego nie zauważy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Poradzisz sobie.

Tuliła się do niego przez długą cudowną chwilę. Czuł ciepło jej ciała i wdychał jej zapach. Miał wielką ochotę ją pocałować, ale bał się, że jeśli będzie się zbyt spieszył, Jeannie odrzuci jego zaloty. A potem chwila minęła i Jeannie odsunęła się.

Wytarła nos o skraj podkoszulka i przez chwilę mignął mu przed oczyma jej płaski opalony brzuch.

- Dziękuję - powiedziała. - Potrzebowałam ramienia, na którym mogłabym się wypłakać.

Trochę zraził go jej rzeczowy ton. Dla niego była to ważna uczuciowo chwila; dla niej okazja, żeby wyładować emocje.

- Oferuję pełny zakres usług - oświadczył kpiącym tonem, ale zaraz potem pożałował, że się w ogóle odezwał.

Jeannie otworzyła szafkę i wyjęła talerzyki.

- Czuję się o wiele lepiej - stwierdziła. - Zabierajmy się do jedzenia.

Steve przycupnął na stołku przy blacie, a ona pokroiła pizzę i odkorkowała wino. Obserwował z przyjemnością, jak porusza się po kuchni, zamykając biodrem szufladę, zerkając na kieliszek, żeby sprawdzić, czy jest czysty, wyjmując długimi wprawnymi palcami korkociąg. Przypomniawszy sobie pierwszą dziewczynę, w której się zakochał. Nazywała się Bonnie i miała siedem lat, tyle samo co on. Wpatrując się w jej truskawkowe włosy i zielone oczy, nie mógł uwierzyć, że stał się cud i ktoś tak doskonały pojawił się na boisku szkoły podstawowej Spillar Road. Przez jakiś czas podejrzewał nawet, że jest autentycznym aniołem.

Nie uważał Jeannie za anioła, ale był w niej jakiś fizyczny urok, który odurzał go tak samo jak wówczas.

- Jesteś zdrowy jak byk - stwierdziła. - Kiedy cię ostatnim razem widziałam, wyglądałeś okropnie. Minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, a ty jesteś w zupełnie dobrej formie.

- Wyszedłem z tego bez większych obrażeń. Boli mnie głowa w miejscu, w którym detektyw Allaston rąbnął nią o ścianę, i mam wielki siniak na żebrach, tam, gdzie kopnął mnie o piątą rano Prosiak Butcher, ale szybko wrócę do zdrowia, jeśli nie zamkną mnie z powrotem.

Pozbył się szybko tej myśli. Już tam nie wróci; wyniki testu DNA wyeliminują go z grona podejrzanych.

Spojrzał na jej książki. Na półce stało dużo literatury faktu, biografie Darwina, Einsteina i Francisa Bacona, kilka powieści kobiecych autorek, których nie czytał, Eriki Jong i Joyce Carol Oates; pięć albo sześć książek Edith Wharton; trochę współczesnej klasyki.

- Masz moją ulubioną powieść! - zawołał.

- Daj mi zgadnąć: *Zabić drozda* Lee Harpera.

Steve był zdumiony.

- Skąd wiedziałaś?

- Daj spokój. Bohater jest adwokatem, który pokonuje społeczne przesady, broniąc niewinnego człowieka. Czy nie o tym właśnie marzysz? Nie wybrałbyś chyba Miejsca dla kobiet.

Steve potrząsnął z rezygnacją głową.

Tak dużo o mnie wiesz. To denerwujące.

- A jaka jest twoim zdaniem moja ulubiona książka?

- To ma być test?

- Żebyś wiedział.

- No... może *Middlemarch* George Eliot.

- Dlaczego?

- Bohaterką jest silna, niezależna kobieta.

- Ale niczego w życiu nie robi! Zresztą książka, o której myślę, nie jest powieścią.

Zgaduj jeszcze raz.

- Nie jest powieścią... - powtórzył kręcąc głową. A potem nagle doznał olśnienia - Wiem. Historia genialnego, eleganckiego pod względem naukowym odkrycia, które miało zasadnicze znaczenie dla ludzkości. To musi być *Podwójna spirala*.

- Znakomicie!

Zaczęli jeść. Pizza była wciąż ciepła. Jeannie przez kilka minut pograżyła się w zadumie.

- Naprawdę dałam dzisiaj plamę - stwierdziła w końcu. - Teraz to widzę. Powinnam potraktować spokojnie cały kryzys. Powinnam powtarzać: Oczywiście, jak najbardziej, możemy o tym podyskutować, nie podejmujemy pochopnych decyzji. Zamiast tego nie zastosowałam się do decyzji uczelni, a potem pogorszyłam dodatkowo sytuację, mówiąc o tym prasie.

- Zrobiłaś na mnie wrażenie bezkompromisowej.

- Jest pewna różnica między bezkompromisowością i głupotą - odparła, kiwając głową.

Pokazał jej artykuł w "Wall Street Journal".

- To może tłumaczyć, dlaczego na twoim wydziale tak boją się złej prasy. Waszych sponsorów ma przejąć wielka korporacja.

Jeannie spojrzała na pierwszy akapit.

- Sto osiemdziesiąt milionów dolarów, no, no. - Przez jakiś czas czytała, jedząc pizzę. Skończywszy artykuł, potrząsnęła głową. - Twoja teoria jest interesująca, ale nie sądzę, żebyś miał rację.

- Dlaczego?

- Przeciwno mnie występuje Maurice Obeli, nie Berrington. Chociaż mówią, że Berrington jest chytry jak wąż. Nie jestem zresztą aż tak ważna. Pieniądze na mój projekt stanowią mały fragment funduszy, które Genetico przeznacza rokrocznie na badania. Nawet gdybym naprawdę naruszała cudzą prywatność, nie miałoby to wpływu na wielomilionowy kontrakt.

Steve wytarł palce w papierową serwetkę i wziął do ręki oprawioną w ramki fotografię kobiety z dzieckiem. Kobieta miała proste ciemne włosy i przypominała trochę z wyglądu Jeannie.

- To twoja siostra? - domyślił się.

- Tak, Patty. Ma teraz trójkę dzieci: same chłopaki.

- Ja nie mam żadnego rodzeństwa - powiedział, a potem przypomniał sobie, czego się od niej dowiedział. - Jeśli nie liczyć Dennisa Pinkera - dodał. Jeannie zmieniła się na twarzy. - Patrzysz na mnie jak na eksponat - mruknął.

- Przepraszam. Masz ochotę na lody?

- Jasne.

Postawiła pojemnik na stole i wyjęła dwie łyżeczki. To mu się spodobało. Jedzenie z tego samego naczynia było pierwszym krokiem do pocałunku. Jadła ze smakiem. Zastanawiał się, czy z takim samym entuzjazmem uprawia miłość.

- Tak się cieszę, że we mnie wierzysz. Na pewno nie można tego powiedzieć o gliniarzach - oznajmił, połykając lody.

- Jeśli okażesz się gwałcicielem, cała moja teoria niewarta jest funta kłaków.

- Mimo to niewiele kobiet wpuściłoby mnie dzisiaj do mieszkania. Zwłaszcza gdyby wiedziały, że mam takie same geny jak Dennis Pinker.

- Wahałam się - odparła. - Ale ty udowodniłeś, że podjęłam właściwą decyzję.

- W jaki sposób?

Pokazała ręką resztki kolacji.

- Jeśli Dennisowi Pinkerowi podoba się jakaś kobieta, wyciąga nóż i każe jej ściągnąć majtki. Ty przynosisz pizzę.

Steve roześmiał się.

- Brzmi to może śmiesznie - powiedziała - ale to zasadnicza różnica.

- Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć - stwierdził. - Pewien sekret.

Jeannie odłożyła łyżeczkę.

- Co takiego?

- O mało kiedyś kogoś nie zabiłem.

- Jak to?

Opowiedział jej o bójce z Tipem Hendricksem.

- Dlatego tak się przejmuję tymi komplikacjami z moim pochodzeniem. Nie masz pojęcia, jak mnie to poruszyło, kiedy dowiedziałem się, że mama i tato mogą nie być moimi rodzicami. Co zrobię, jeśli mój prawdziwy ojciec okaże się zabójcą?

Jeannie potrząsnęła głową.

- Uczestniczyłeś w szkolnej bójce, która wymknęła się spod kontroli. To jeszcze nie czyni z ciebie psychopaty. Co się stało z tym drugim chłopakiem? Z Tipem?

- Kilka lat później zabił go ktoś inny. Handlował już wtedy narkotykami. Wdał się w kłótnię ze swoim dostawcą i facet strzelił mu w głowę.

- W takim razie to on był psychopatą - stwierdziła. - Często kończą w ten sposób. Nie potrafią ustrzec się kłopotów. Duży silny dzieciak taki jak ty może czasem wejść w konflikt z prawem. Ale jakoś się pozbierałeś i prowadzisz dalej normalne życie. Podczas gdy Dennis będzie wychodził i wracał za kratki, aż ktoś go w końcu zabije.

- Ile masz lat, Jeannie?

- Nie podoba ci się, że nazwałam cię dużym silnym dzieciakiem?

- Mam dwadzieścia dwa lata.

- Ja mam dwadzieścia dziewięć. To duża różnica.

- Czy robię na tobie wrażenie dzieciaka?

- Nie wiem. Trzydziestoletni facet nie przyjechałby tu prawdopodobnie z Waszyngtonu, żeby przywieźć mi pizzę. Działasz pod wpływem impulsu.

- Żałujesz, że to zrobiłem?

- Nie. - Dotknęła jego ręki. - Naprawdę się cieszę.

Ciągle nie wiedział, w jakim z nią stoi miejscu. Przypomniał sobie, jak płakała na jego ramieniu. Dzieciak nie bardzo się do tego nadaje.

- Kiedy dowiesz się czegoś więcej o moich genach? - zapytał.

Jeannie spojrzała na zegarek.

- Elektroforeza już się chyba skończyła. Jutro rano Lisa naświetli film.

- Chcesz powiedzieć, że wyniki są gotowe?

- Chyba tak.

- Czy nie moglibyśmy ich obejrzeć? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, czy mam takie samo DNA jak Dennis Pinker.

- Czemu nie - odparła. - Ja też jestem dosyć ciekawa.

- W takim razie na co jeszcze czekamy?

Berrington Jones miał plastikową kartę, która otwierała wszystkie drzwi w Wariatkowie.

Nikt o tym nie miał pojęcia. Nawet inni profesorowie sądzili naiwnie, że ich gabinety należą tylko do nich. Wiedzieli oczywiście, że specjalne klucze mają ekipy porządkowe i ochrona, nie przyszło im jednak do głowy, że nietrudno jest zdobyć klucz, który dostaje każda sprzątaczką.

Mimo to Berrington nigdy jeszcze nie użył swojej karty. Grzebanie w cudzych rzeczach było poniżej jego godności - nie w jego stylu. Pete Watlingson trzymał prawdopodobnie w szufladzie fotografie nagich chłopców, Ted Ransome na pewno schował gdzieś trochę marihuany, a Sophie Chappie wibrator na długie, samotne popołudnia, ale Berrington nie chciał o tym nic wiedzieć. Uniwersalny klucz zachował na czarną godzinę.

To była właśnie czarna godzina.

Uczelnia zabroniła Jeannie używać jej programu komputerowego wertującego dane i ogłosiła wszem wobec, że badania przerwano, ale skąd miał wiedzieć, że tak jest rzeczywiście? Nie mógł zobaczyć informacji, które płynęły po łączach między terminalami. Przez cały dzień nie dawała mu spokoju myśl, że Jeannie zabrała się za kolejną bazę danych. I nie potrafił przewidzieć, co mogła tam znaleźć.

Wrócił więc do swojego gabinetu i siedział przy biurku, obserwując cienie kładące się na wzniesionych z czerwonej cegły uniwersyteckich budynkach, stukając plastikową kartą w komputerową mysz i szykując się do zrobienia czegoś, przed czym ostrzegał go cały jego zdrowy rozsądek.

Szacunek, którym się cieszył, miał nieocenioną wartość. Wcześniej go zdobył. Będąc najmniejszym chłopcem w klasie, bez ojca, który mógłby go nauczyć, jak bronić się przed łobuzami, z matką, która za bardzo się martwiła, jak związać koniec z końcem, żeby troszczyć się o jego szczęście, powoli wytworzył wokół siebie aurę powściągliwej wyższości, która go chroniła. Na Harvardzie obserwował ukradkiem kolegę pochodzącego ze starej bogatej rodziny - studiował detale jego skórzanych pasków i Imany chusteczek, tweedowych garniturów i kaszmirowych szali; notował w pamięci, jak rozkłada serwetkę i odsuwa krzesła paniom; podziwiał mieszaninę luzu i respektu, z jaką traktował profesorów, a także powierzchowny wdzięk i wewnętrzny chłód w stosunkach z plebejuszami. W czasie kiedy zaczynał pisać swoją pracę magisterską, Berrington uchodził powszechnie za wysoko urodzonego.

Niełatwo było zejść z wysokiego piedestału. Inni profesorowie zrzucali marynarki, wbiegali na boisko i grali w futbol razem z grupą młodzieży - Berrington tego nie potrafił. Studenci nigdy nie opowiadali mu dowcipów ani nie zapraszali na swoje przyjęcia - ale nigdy też nie pozwalali sobie na żadną poufalość, nie rozmawiali na jego wykładach ani nie kwestionowali jego ocen.

W pewnym sensie całe jego życie od chwili założenia Genetico było maskowaniem się, ale czynił to z hartem ducha i w eleganckim stylu. Nie sposób było jednak wkraść się w elegancki styl do czyjegoś pokoju i myszkować w jego rzeczach.

Zerknął na zegarek. Laboratorium powinno być już zamknięte. Większość jego kolegów pojechała do swoich podmiejskich domów albo poszła do baru. Ten moment był tak samo dobry jak każdy inny. Praktycznie nigdy nie można było mieć pewności, że budynek jest pusty: naukowcy pracowali, kiedy chcieli. Jeśli ktoś go zobaczy, będzie robić dobrą minę do złej gry.

Wyszedł ze swojego gabinetu, zszedł po schodach i ruszył do drzwi Jeannie. Na korytarzu nie było nikogo. Wsunął swoją kartę w otwór i drzwi się otworzyły.

Gabinet Jeannie był najmniejszy w całym budynku. Poprzednio służył jako magazyn, ale Sophie Chappie uparła się, żeby przekazać go Jeannie pod pozorem, że większe pomieszczenie potrzebne jest do składowania paczek z kwestionariuszami.

Jeannie ożywiła wąską klitkę dwoma pomalowanymi na czerwony kolor drewnianymi krzesłami, palmą w doniczce i utrzymaną w jaskrawożółtych i pomarańczowych barwach reprodukcją walki byków Picassa.

Berrington wziął do ręki stojącą na biurku czarno-białą fotografię w ramkach. Widać było na niej młodą kobietę o zdecydowanym wyrazie twarzy i przystojnego mężczyznę z bokobrodami i w szerokim krawacie. Domyślił się, że to rodzice Jeannie w latach siedemdziesiątych. Oprócz tego na biurku nie było niczego. Porządna dziewczyna.

Usiadł, włączył komputer i czekając, aż się załaduje, sprawdził szuflady. W najwyższej były długopisy i papier do pisania. W kolejnej znalazł paczkę tamponów i parę rajstop w nienaruszonym opakowaniu. Nienawidził rajstop. Zachował młodzieńcze wspomnienia kobiecych pasów i pończoch ze szwami. Rajstopy były niezdrowe podobnie jak nylonowe męskie szorty. Kiedy prezydent Proust mianuje go naczelnym lekarzem kraju, każe umieścić ostrzeżenia na wszystkich opakowaniach rajstop. W następnej szufladzie znalazł lusterko i szczotkę z tkwiącymi w niej kilkoma długimi ciemnymi włosami; w ostatniej kieszonkowy słownik i książkę zatytułowaną Tysiąc akrów. Jak na razie żadnych sekretów.

Na ekranie pojawiło się jej menu. Podjechał w górę myszą i wybrał kalendarz. Jej terminarz był łatwy do przewidzenia: wykłady i zajęcia ze studentami, praca w laboratorium, tenis, spotkania ze znajomymi, kino. W sobotę wybierała się do Oriole Park w Camden Yards, żeby obejrzeć mecz baseballu; w niedzielę rano zaprosili ją na drugie śniadanie Ransome'owie; w poniedziałek miała oddać do warsztatu samochód. Nie było wpisu, który mówiłby na przykład: Sprawdzić kartotekę medyczną w Acme Insurances. Tak samo banalna był jej lista spraw do załatwienia: kupić witaminy, zadzwonić do Ghity, prezent urodzinowy dla Lisy, sprawdzić modem.

Opuścił kalendarz i zaczął przeglądać jej pliki. Miała mnóstwo statystyki na arkuszach kalkulacyjnych. Mniej było dokumentów w edytorze tekstów: trochę korespondencji, wzory kwestionariuszy, szkic artykułu. Używając opcji Search przeczesał cały jej Word Perfect, szukając słów "baza danych". Pojawiły się kilka razy w artykule, a także w trzech listach, z żadnej wzmianki nie wywnioskował jednak, że Jeannie zamierza ponownie użyć swojego programu komputerowego.

- No dalej - mruknął pod nosem - przecież coś musi tu być, na litość boską.

Jeannie miała szafkę na akta, ale niewiele w niej przechowywała: urzędowała tu dopiero od paru tygodni. Po kilku latach będą w niej leżeć sterty wypełnionych kwestionariuszy - podstawa badań psychologicznych. Teraz w jednym segregatorze miała kilka zaadresowanych do niej listów, w drugim komunikaty wydziałowe, w trzecim fotokopie artykułów.

W szafce znalazł jedynie oprawioną w ramki, odwróconą do góry nogami fotografię Jeannie i wysokiego brodacza na rowerach przy brzegu jeziora. Niechcący trafił na ślad romansu, który już się zakończył.

Coraz bardziej go to niepokoiło. To był pokój zorganizowanej osoby, która planuje wszystko z wyprzedzeniem. Jeannie przechowywała przychodzące do niej listy i kopie wszystkiego, co wysyłała. Gdzieś tutaj powinien być dowód na to, co zamierza robić dalej. Nie miała powodu trzymać tego w tajemnicy: aż do dzisiaj nic nie wskazywało na to, że ma się czego wstydzić. Musiała planować przeszukanie kolejnej bazy danych. Brak jakichkolwiek śladów mógł oznaczać, że załatwiła wszystko osobiście lub przez telefon, być może z kimś, z kim się blisko przyjaźniła. Jeśli tak właśnie było, nie uda mu się tutaj niczego znaleźć.

Usłyszał kroki na korytarzu i znieruchomiał. Rozległ się odgłos wsuwanej w czytnik karty. Berrington popatrzył bezradnie na drzwi. Nie mógł nic zrobić; przyłapano go na

gorącym uczynku, gdy siedział przy jej biurku, z włączonym komputerem. Nie mógł udawać, że trafił tutaj przez przypadek.

Drzwi się otworzyły. Spodziewał się Jeannie, zamiast niej ujrzał natomiast pracownika ochrony.

Mężczyzna znalazł go.

- Dobry wieczór, panie profesorze - powiedział. - Zobaczyłem światło i przyszedłem sprawdzić. Doktor Ferrami zostawia na ogół drzwi otwarte, kiedy tu pracuje.

Berrington starał się nie zaczerwienić.

- W porządku - odparł. Nigdy nie przeprasza, nigdy niczego nie wyjaśnia. - Na pewno zamknę drzwi, kiedy skończę.

To świetnie - odparł strażnik, ale nie odchodził, najwyraźniej czekając na wyjaśnienie.

Berrington zacisnął usta.

- Cóż, dobranoc, profesorze - mruknął wreszcie mężczyzna.

- Dobranoc.

Strażnik odszedł.

Berrington odetchnął z ulgą. Kłopot został zażegnany.

Sprawdził, czy ma włączony modem, uruchomił America OnLine i wszedł do jej skrzynki pocztowej. Terminal zaprogramowano na automatyczne podanie hasła. W skrzynce były trzy wiadomości. Pierwsza dotyczyła podwyżki cen za używanie Internetu. Druga, nadana z Uniwersytetu Minnesota, brzmiała:

Będę w Baltimore w piątek i chciałbym umówić się z tobą na drinka i pogadać o starych czasach. Całuję, Will.

Berrington zastanawiał się, czy to Will jest tym brodaczem na rowerze. Skasował wiadomość i zabrał się za trzeci list. Czytając go poczuł, jak szybciej bije mu serce.

Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że dziś w nocy przelecę twoim programem naszą kartotekę odcisków palców. Zadzwoń, Ghita.

Wiadomość wysłano z FBI.

- Kurwa mać - szepnął Berrington. - To nas wykończy.

Berrington bał się mówić przez telefon o Jeannie i kartotece FBI. Różne agencje wywiadu monitorowały teraz tak wiele rozmów. W dzisiejszych czasach inwigilację prowadziły komputery zaprogramowane na brzmienie konkretnych słów i wyrażeń. Jeśli ktoś powiedział "pluton", "heroina" lub "zabić prezydenta", komputer nagrywał rozmowę i zawiadamiał kogoś z obsługi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Berrington, był jakiś agent, zastanawiający się, dlaczego senatora Prousta tak bardzo interesuje kartoteka odcisków palców FBI.

Dlatego wsiadł do swojego srebrzystego lincolna town cara i pojechał do Waszyngtonu, wielokrotnie łamiąc po drodze limit prędkości. W gruncie rzeczy nie lubił żadnych zakazów. Zdawał sobie sprawę, że jest niekonsekwentny. Nienawidził pacyfistów, narkomanów, homoseksualistów, feministek, muzyków rockowych i wszelkiej maści nonkonformistów, którzy podważali amerykańskie tradycje. Jednocześnie jednak oburzał się na każdego, kto mówił mu, gdzie powinien zaparkować samochód, ile ma płacić swoim pracownikom i gdzie umieścić gaśnice w laboratorium.

Jadąc zastanawiał się, ile są warte kontakty Jima Prousta w świecie wywiadu. Czy jego kumple byli po prostu starymi weteranami, wspominającymi przy piwie, jak szantażowali antywojennych działaczy i przygotowywali zamachy na południowoamerykańskich prezydentów? Czy też mieli jeszcze coś do powiedzenia? Czy pomagali sobie wzajemnie, podobnie jak członkowie mafii, a dług wdzięczności był dla nich niemal religijnym zobowiązaniem? Od odejścia Jima Prousta z CIA minęło dużo czasu: on sam nie mógł tego dobrze wiedzieć.

Było późno, ale Jim czekał na niego w swoim gabinecie na Kapitolu.

- Co takiego się, do diabła, stało, że nie mogłeś mi o tym powiedzieć przez telefon? - zapytał.

- Ferrami ma zamiar sprawdzić swoim programem kartotekę odcisków palców FBI.

Jim zbladł.

- Uda jej się?

- Jeśli udało się z danymi stomatologicznymi, dlaczego miałyby się nie udać z odciskami palców?

- Chryste Panie - jęknął Jim.

- Ile mają tam zarejestrowanych odcisków?

- Z tego co pamiętam, więcej niż dwadzieścia milionów. Wszyscy nie mogą być chyba kryminalistami. Czy mamy aż tylu kryminalistów w Ameryce?

- Nie wiem, może mają tam również odciski nieboszczyków. Skup się, Jim, na litość boską. Czy możesz temu zapobiec?

- Z kim kontaktowała się w Biurze?

Berrington wręczył mu wydruk elektronicznej poczty Jeannie i rozejrzał się dookoła. Ściany swojego gabinetu Jim obwiesił fotografiami przedstawiającymi go w towarzystwie wszystkich amerykańskich prezydentów po Kennedym. Był tam umundurowany kapitan Proust, salutujący Lyndonowi Johnsonowi; major Proust, wciąż z bujną blond czupryną, podający rękę Dickowi Nixonowi; pułkownik Proust, łypiący groźnie okiem na Jimmy'ego Cartera; generał Proust, śmiejący się do rozpuku z jakiegoś dowcipu wraz z Ronaldem Reaganem; Proust w garniturze, teraz jako zastępca dyrektora CIA, zatopiony w rozmowie z nachmurzonym George'em Bushem; i senator Proust, łysy i w okularach, grożący palcem Billowi Clintonowi. Na zdjęciach widać było również, jak tańczy z Margaret Thatcher, gra w golfa z Bobem Dole'em i jedzie konno z Rossem Perotem. Berrington miał kilka podobnych zdjęć, ale Jim zebrał ich całą galerię. Komu starał się zaimponować? Przyglądając się sobie w towarzystwie możnych tego świata, upewniał się chyba, że sam też coś znaczy.

- Nigdy nie słyszałem o kimś, kto nazywa się Ghita Sumra - mruknął Jim. - Nie może zajmować wysokiego stanowiska.

- Kogo znasz w FBI? - zapytał niecierpliwie Berrington.

- Spotkałeś kiedyś Creanesów, Davida i Hilary?

Berrington potrząsnął głową.

- On jest asystentem dyrektora, ona była alkoholiczką. Oboje mają koło pięćdziesiątki. Dziesięć lat temu, kiedy kierowałem CIA, David pracował dla mnie w dziale dyplomatycznym. Miał na oku zagraniczne ambasady i ich rezydentury. Lubilem go. Któregoś popołudnia Hilary popiła ostro, wyjechała na miasto swoją hondą civic i zabiła sześćioletnią czarną dziewczynkę na Beulah Road w Springfield. Uciekła z miejsca wypadku, zatrzymała się w centrum handlowym i zadzwoniła do Dave'a w Langley. Przyjechał tam swoim thunderbirdem, zabrał ją do domu, a potem zgłosił, że honda została skradziona.

- Ale coś poszło nie tak.

- Świadek wypadku był pewien, że samochód prowadziła biała kobieta w średnim wieku, a uparty gliniarz wiedział, że niewiele kobiet w średnim wieku kradnie samochody. Świadek rozpoznał Hilary, a ona załamała się i przyznała do winy.

- I co się stało?

- Poszedłem do prokuratora okręgowego. Chciał ich wsadzić oboje za kratki. Powiedziałem mu, że to sprawa o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa kraju, i przekonałem, żeby wycofał oskarżenie. Hilary zapisała się do Anonimowych Alkoholików i od tego czasu nie wzięła do ust kropli wódki.

- A Dave przeszedł do Biura i dobrze tam się urządził.

- I jest mi winien uprzejmość.

- Czy uda mu się powstrzymać tę Ghite?

- Jest jednym z dziewięciu asystentów zastępcy dyrektora. Nie ma pod sobą sekcji odcisków palców, ale dużo od niego zależy.

- Czy może to zrobić?

- Nie wiem! Zapytam. Jeśli to w ogóle możliwe, zrobi to dla mnie.

- Dobrze, Jim - mruknął Berrington. - Weź do ręki ten cholerny telefon i zapytaj go.

27.

Jeannie zapaliła światło w laboratorium i Steve wszedł za nią do środka.

- Język genetyki ma cztery litery - powiedziała. - A, C, G i T.

- Dlaczego akurat te cztery?

- Adenina, cytozyna, guanina i tymina. To cztery związki chemiczne, które łączą się z długim centralnym łańcuchem cząsteczki DNA. Tworzą słowa i zdania, na przykład: "umieść pięć palców na końcu każdej stopy".

- Ale przecież wszystkie ludzkie DNA muszą zawierać polecenie: "umieść pięć palców na końcu każdej stopy".

- Racja. Twoje DNA jest bardzo podobne do mojego i wszystkich innych ludzi na świecie. Mamy wiele wspólnego ze zwierzętami, ponieważ składają się z takich samych protein jak my.

- Więc jak odróżnić moje DNA od DNA Dennisa?

- Między słowami są fragmenty, które nic nie znaczą, stanowią po prostu bełkot. To coś w rodzaju przerw między wyrazami. Noszą nazwę oligonukleotydów, ale wszyscy nazywają je oligami. W przerwie między wyrazami "pięć" i "palców" może znajdować się oligo, które składa się z powtórzonej wiele razy sekwencji TATAGAGACCC.

- Każdy ma TATAGAGACCC?

- Tak, ale różnimy się liczbą powtórzeń. Między wyrazami "pięć" i "palców" ty możesz mieć trzydzieści jeden TATAGAGACCC, a ja na przykład dwieście osiemdziesiąt siedem. To, ile ich masz, jest nieistotne, ponieważ oligo nic nie znaczy.

- Jak porównujecie moje oligo z oligami Dennisa?

Pokazała mu prostokątną płytkę wielkości książki.

- Pokrywamy tę płytkę żelom, robimy w nim rowki i wpuszczamy do nich pobrane od ciebie i Dennisa próbki DNA. Następnie wkładamy płytkę tutaj. - Na stole stał mały szklany zbiornik. - Przez kilka godzin puszczaemy przez nią prąd elektryczny. To powoduje, że fragmenty DNA przesuują się w żelu. Ale małe fragmenty poruszają się szybciej niż duże. Dlatego twój fragment, który ma trzydzieści jeden sekwencji, znajdzie się na górze prędzej niż mój, który ma dwieście osiemdziesiąt siedem.

- Skąd wiecie, jak szybko się poruszają?

- Używamy odczynników nazywanych sondami, które łączą się z konkretnymi oligami. Przypuśćmy, że mamy sondę, która łączy się z TATAGAGACCC. - Pokazała mu materiał podobny do ściereczki. - Bierzymy nylonową tkaninę, nasączoną roztworem

sondy i kładziemy ją na żelu, tak żeby pokryła fragmenty DNA. Sonda jest fluoryzująca i zostawia ślad na błonie fotograficznej. - Spojrzała do drugiego zbiornika. - Widzę, że Lisa umieściła już nylon na błonie. - Przyjrzała mu się uważnie. - Rysunek chyba się utworzył. Musimy tylko utrwalić film.

Steve usiłował dojrzeć widniejący na filmie obraz. Jeannie zanurzyła go w naczyniu z jakimś odczynnikiem, a potem zmyła pod kranem. Na tym negatywie zapisana była jego historia, widział jednak tylko podobny do drabiny wzór. Na koniec Jeannie osuszyła film i umieściła na podświetlonej szybie.

Steve bacznie mu się przyjrzał. Przez cały negatyw biegły podobne do szarych kolein grube na ćwierć cala proste linie, ponumerowane od jednego do osiemnastu. Na liniach widać było wyraźne czarne kreseczki.

- Czarne kreski pokazują, jak daleko zawędrowały twoje fragmenty - powiedziała Jeannie.

- Ale na każdej linii są dwie kreseczki.

- To dlatego, że masz dwa łańcuchy DNA, jeden po twoim ojcu, drugi po matce.

- Oczywiście. Podwójna spirala.

- Zgadza się. A twoi rodzice mają odmienne oliga. Jeannie zajrzała do swoich notatek i podniosła po chwili wzrok. - Czy jesteś na to gotów: niezależnie od wyniku?

- Jasne.

- W porządku. - Ponownie sprawdziła coś w notatkach. - Twoja krew jest na trzeciej linii.

W połowie błony znajdowały się oddalone od siebie mniej więcej o cal dwie kreseczki.

- Linia czwarta jest kontrolna. To prawdopodobnie krew moja albo Lisy. Kreseczki powinny znajdować się zupełnie gdzie indziej.

- Zgadza się.

Dwie kreseczki leżały bardzo blisko siebie na samym dole, tuż przy numeracji.

- Na linii piątej mamy Dennisa Pinkera. Czy kreseczki są w tym samym miejscu co u ciebie?

- W tym samym - odpowiedział Steve. - Idealnie pasują.

Jeannie spojrzała mu prosto w oczy.

- Jesteście bliźniakami, Steve - stwierdziła.

Nie chciał w to uwierzyć.

- Czy jest jakaś możliwość błędu?

- Jasne - odparła. - Szansa na to, że dwaj nie spokrewnieni osobnicy mają taki sam fragment matczynego i ojcowskiego DNA, jest jak jeden do stu. Sprawdzamy normalnie cztery fragmenty, używając różnych oligów i różnych sond. To ogranicza prawdopodobieństwo błędu do jednej stumilionowej. Lisa przeprowadzi trzy dodatkowe badania: każde zajmie mniej więcej pół dnia. Ale ja wiem już, jaki będzie ich wynik. Ty też, prawda?

- Chyba tak. - Steve westchnął. - Chyba powinienem w to uwierzyć. Skąd się, u diabła, wziąłem?

Jeannie najwyraźniej się nad czymś zastanawiała.

- Coś, co powiedziałaś, zwróciło moją uwagę. "Nie mam żadnego rodzeństwa". Z tego, co mówiłeś o swoich rodzicach, sądzę, że są ludźmi, którzy chętnie widzieliby w domu trójkę albo czwórkę dzieci.

- Masz rację - odparł Steve. - Lecz mama miała kłopoty z zajściem w ciążę. Kiedy mnie poczęli, miała trzydzieści trzy lata i od dziesięciu lat była z tatą. Napisała o tym książkę: Co robić, kiedy nie możesz zajść w ciążę? To był jej pierwszy bestseller. Za zarobione pieniądze kupiła letni domek w Wirginii.

- Charlotte Pinker miała trzydzieści dziewięć lat, kiedy urodził się Pinker. Założę się, że ona też miała kłopoty z zajściem w ciążę. Ciekawe, czy to może mieć jakieś znaczenie.

- Jakim cudem?

- Nie wiem. Czy twoja matka była jakoś specjalnie leczona?

- Nigdy nie czytałem tej książki. Czy mam do niej zadzwonić?

- A mógłbyś?

- Czas już chyba zdradzić im ten sekret.

- Skorzystaj z telefonu Lisy.

Steve wystukał numer swojego domu. Odebrała mama.

- Cześć, mammo.

- Czy cieszyła się, że przyjechałeś?

- Z początku nie. Ale jestem z nią.

- Więc chyba cię nie nienawidzi.

Steve spojrzał na Jeannie.

- Nie nienawidzi mnie, ale uważa, że jestem za młody.

- Czy słucha tego?

- Tak i wprawilem ją chyba w zakłopotanie, co nie jest takie złe. Jesteśmy w laboratorium, mam, i mamy tu pewną zagadkę. Moje DNA jest chyba takie samo jak DNA innego badanego, któremu pobrała krew, faceta o nazwisku Dennis Pinker.

- Nie może być takie samo... musielibyście być jednojajowymi bliźniętami.

- A to byłoby możliwe tylko, gdybym został adoptowany.

- Nie zostałeś adoptowany, Steve, jeśli o to chcesz zapytać. I nie jesteś jednym z bliźniaków. Bóg wie, czy dałabym sobie radę z jeszcze jednym takim jak ty gagatkiem.

- Czy przed moim urodzeniem leczyłaś się na bezpłodność?

- Owszem, leczyłam się. Doktor polecił mi pewną klinikę w Filadelfii, w której leczyło się poprzednio kilka żon oficerów. Nazywała się Aventine. Poddano mnie tam kuracji hormonalnej.

Steve powtórzył nazwę kliniki Jeannie, która zapisała ją na kartce.

- Kuracja odniosła skutek - kontynuowała mama i dzięki temu ty, owoc tych wszystkich starań, sterczysz teraz w Baltimore i zwracasz głowę starszej od siebie o sześć lat pięknej kobiecie, zamiast siedzieć w Waszyngtonie i opiekować się siwowłosą matką.

Steve roześmiał się.

- Dziękuję, mam.

- Steve?

- Tak?

- Nie wracaj zbyt późno. Jutro rano musisz się spotkać z adwokatem. Postaraj się wyjaśnić to nieporozumienie, zanim zaczniesz się martwić o swoje DNA.

- Niedługo wrócę. Cześć. - Steve odłożył słuchawkę.

- Teraz zadzwonię do Charlotte Pinker - oznajmiła Jeannie. - Mam nadzieję, że jeszcze nie śpi. - Przerzuciła kilka kartek rolodexu Lisy, po czym podniosła słuchawkę i wystukała numer. - Dobry wieczór pani - odezwała się po chwili - tu doktor Ferrami z Uniwersytetu Jonesa Fallsa. U mnie wszystko w porządku, a u pani? Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani, jeśli zadam jeszcze jedno pytanie. Naprawdę to bardzo miło z pani strony. Tak... Czy przed zajściem w ciążę z Dennisem, leczyła się pani na bezpłodność? - Jeannie przez dłuższą chwilę milczała, a potem jej twarz rozjaśniło podniecenie. - W Filadelfii? Tak, słyszałam. Kuracja hormonalna? To bardzo interesujące, bardzo mi pani pomogła. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia. - Odłożyła słuchawkę. - Bingo - stwierdziła. - Charlotte leczyła się w tej samej klinice.

- To fantastyczne - ucieszył się Steve. - Ale co to może znaczyć?

- Nie mam pojęcia - odparła, po czym podniosła ponownie słuchawkę i wystukała czterysta jedenaście. - Jaki jest numer informacji telefonicznej Filadelfii? Dziękuję. - Wystukała kolejny numer. - Klinika Aventine - powiedziała i spojrzała na Steve'a. - Mogli ją zamknąć przed wielu laty.

Obserwował ją kompletnie zahipnotyzowany. Z twarzą, na której płonął entuzjazm, wyglądała porywająco. Żałował, że nie może jej bardziej pomóc.

Nagle złapała ołówek i zapisała numer.

- Dziękuję - powiedziała i odłożyła słuchawkę. - Wciąż istnieje! - poinformowała go.

Steve poczuł, że szybciej bije mu serce. Być może uda się rozwiązać zagadkę jego genów.

- Archiwa - olśniło go. W klinice muszą mieć archiwum. Tam możemy się dowiedzieć prawdy.

- Muszę tam pojechać - stwierdziła Jeannie. Przez chwilę intensywnie się zastanawiała. - Mam upoważnienie podpisane przez Charlotte Pinker... prosimy o nie każdego, kto udziela nam wywiadu. To daje mi prawo wglądu do wszystkich jej danych medycznych. Czy mógłbyś poprosić swoją matkę, żeby napisała takie samo upoważnienie i przesłała mi faksem na uniwersytet?

- Jasne.

Jeannie wystukała pośpiesznie kolejny numer.

- Dobry wieczór, czy to klinika Aventine? Czy mogę mówić z kierownikiem nocnego dyżuru? Dziękuję.

Czekając, stuknęła niecierpliwie ołówkiem w blat biurka. Steve nie mógł od niej oderwać oczu. Jeśli o niego chodziło, mogło to trwać całą noc.

- Dobry wieczór, panie Ringwood, mówi doktor Ferrami z wydziału psychologii Uniwersytetu Jonesa Fallsa. Dwie badane przeze mnie osoby były leczone w pańskiej klinice przed dwudziestu trzema laty i bardzo by mi pomogło, gdybym mogła przejrzeć ich dokumentację. Mam ich pisemne upoważnienia i mogę je panu przefaksować... To bardzo miło z pana strony... Czy jutro nie będzie zbyt wcześnie? Powiedzmy o drugiej. Będę panu bardzo zobowiązana. Oczywiście. Dziękuję. Do widzenia.

- Klinika ginekologiczna... - odezwał się Steve. - Czy w tym artykule w "Wall Street Journal" nie pisali przypadkiem, że Genetico ma kilka klinik zajmujących się leczeniem bezpłodności?

Jeannie wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- O mój Boże - szepnęła. - Oczywiście, że je mają.

- Ciekawe, czy istnieje tutaj jakiś związek?

- Mogę się o to założyć.

- A jeśli istnieje...

- Jeśli istnieje, Berrington Jones może wiedzieć o tobie i Dennisie o wiele więcej, niż po sobie pokazuje.

To był cholerny dzień, ale skończył się całkiem nieźle, pomyślał Berrington, wychodząc spod prysznic.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Jak na pięćdziesiąt dziewięć lat był we wspaniałej formie: szczupły, wyprostowany, lekko opalony, z prawie płaskim brzuchem i ciemnymi włosami łonowymi, które farbował, żeby nie wstydzić się irytującej siwizny. Było dla niego bardzo ważne, by móc się rozebrać w obecności kobiety, nie gasząc przy tym światła.

Rano łudził się, że Jeannie Ferrami nie sprawi już im kłopotu, ale ona okazała się twardsza, niż się spodziewał. W przyszłości już jej nie zlekceważy.

W drodze powrotnej z Waszyngtonu wstąpił do Prestona Barcka, żeby podzielić się z nim najnowszymi wiadomościami. Preston był jak zwykle nastawiony bardziej pesymistycznie, niż wynikało to z sytuacji. Pod wpływem jego narzekań Berrington wracał do siebie w paskudnym nastroju. Ale kiedy wchodził do domu, zadzwonił telefon i Jim poinformował go zaimprovizowanym szyfrem, że David Creane spowoduje zerwanie współpracy Jeannie z FBI. Obiecał, że jeszcze tego wieczoru zatelefonuje gdzie trzeba.

Berrington wytarł się ręcznikiem i włożył niebieską bawełnianą piżamę i szlafrok w białoniebieskie pasy. Gospoia Mariannę miała wolny wieczór, ale w lodówce zostawiła mu potrawkę: zgodnie z tym, co napisała swoim dziecinnym starannym charakterem pisma, kurczaka po prowansalsku. Włożył go do piekarnika i nalał sobie szklaneczkę whisky Springbank. Kiedy umoczył w niej wargi, zadzwonił telefon.

To była jego eks-żona, Vivvie.

- W "Wall Street Journal" piszą, że będziesz bogaty - powiedziała.

Wyobraził ją sobie: szczupłą sześćdziesięcioletnią blondynkę, siedzącą na tarasie swego kalifornijskiego domu i patrzącą, jak słońce zachodzi nad Pacyfikiem.

- Rozumiem, że chcesz teraz do mnie wrócić.

- Myślałam o tym, Berry. Zastanawiałam się nad tym bardzo poważnie przez co najmniej dziesięć sekund. A potem zdałam sobie sprawę, że nie warto tego robić nawet za sto osiemdziesiąt milionów.

To go rozbawiło.

- Poważnie, Berry, bardzo się cieszę.

Wiedział, że jest szczerą. Miała mnóstwo własnych pieniędzy. Po rozwodzie założyła biuro nieruchomości w Santa Barbara i dobrze jej się wiodło.

- Dziękuję.

- Co zrobisz z pieniędzmi? Zostawisz je naszemu dziecku?

Ich syn studiował ekonomię.

- Nie będzie ich potrzebował, zrobi fortunę jako dyplomowany księgowy. Może dam trochę pieniędzy Jimowi Proustowi. Ma zamiar wystartować w wyborach prezydenckich.

- Co dostaniesz w zamian? Chcesz zostać ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Paryżu?

- Nie. Wystarczy mi funkcja naczelnego lekarza kraju.,

- Do diabła, Berry, widzę, że nie żartujesz. Nie powinieneś chyba mówić o tym przez telefon.

- To prawda.

- Muszę już kończyć, dzwoni właśnie do drzwi mój przyjaciel. Do widzenia, świat się zmienia. - Była to ich stara rodzinna rymowanka.

- W okamgnieniu, po zmartwieniu - odparł i odłożył słuchawkę.

Trochę przygnębiło go, że Vivvie wybiera się na randkę z przyjacielem - nie miał pojęcia, kto mógł nim być - podczas gdy jego czeka samotny wieczór ze szklaneczką whisky. Jeśli nie liczyć śmierci ojca, odejście Vivvie było najsmutniejszym wydarzeniem w jego życiu. Wcale jej o to nie winił: bez przerwy ją zdradzał. Ale w swoim czasie ją kochał i wciąż za nią tęsknił, trzynaście lat po rozwodzie. Fakt, że to była jego wina, jeszcze bardziej go zasmucał. Żarciki, jakie wymienili przez telefon, przypomniały mu, jak mile spędzali ze sobą czas, kiedyś dawno temu.

Włączył telewizor i czekając, aż zagrzeje się potrawka, zaczął oglądać *Prime Time Live*. Kuchnię wypełnił zapach ziół używanych przez Mariannę. Była wspaniałą kucharką. Może dlatego, że Martynika była kiedyś francuską kolonią.

Kiedy wyjmował potrawkę z piekarnika, ponownie zabrzączał telefon. Tym razem dzwonił Preston Berek. Był wstrząśnięty.

- Telefonował do mnie przed chwilą Dick Minsky z Filadelfii - oznajmił. - Jeannie Ferrami umówiła się jutro na spotkanie w klinice Aventine.

Berrington usiadł ciężko na krześle.

- Chryste Panie - jęknął. - Jak, do diabła, tam trafiła?

- Nie wiem. Dicka nie było, telefon odebrał kierownik nocnego dyżuru. Powiedziała podobno, że kilka badanych przez nią osób leczyło się przed wielu laty w klinice i chce sprawdzić ich dokumentację. Prześle faksem upoważnienia i będzie tam o drugiej po południu. Na szczęście Dick zadzwonił w jakiejś innej sprawie i kierownik napomknął o jej telefonie.

Dick Minsky był jednym z pierwszych ludzi, których zatrudniła Genetico jeszcze w latach siedemdziesiątych. Pracował wtedy jako goniec; teraz pełnił funkcję dyrektora generalnego wszystkich klinik. Nigdy nie należał do wewnętrznego kręgu - jego członkami mogli być tylko Jim, Preston i Berrington - ale wiedział, że w przeszłości firmy kryją się sekrety. Był wzorem dyskrecji.

- Co kazałeś zrobić Dickowi?

- Oczywiście odwołać spotkanie. A jeśli mimo to się pojawi, wyrzucić ją na zbity pysk. Powiedzieć, że nie może obejrzeć dokumentacji.

Berrington potrząsnął głową.

- To może nie wystarczyć.

- Dlaczego?

- Jeszcze bardziej ją to zaintryguje. Spróbuje dobrać się do danych w jakiś inny sposób.

- W jaki?

Berrington westchnął. Prestonowi czasami kompletnie brakowało wyobraźni.

- Na jej miejscu zadzwoniłbym do Landsmanna, poprosiłbym do telefonu asystenta Michaela Madigana i powiedział mu, żeby przed sfinalizowaniem transakcji obejrzał dokumentację kliniki Aventine sprzed dwudziestu trzech lat. Facet zacząłby wtedy zadawać pytania, nieprawdaż?

- No dobrze, więc co proponujesz? - zapytał z irytacją Preston.

- Moim zdaniem powinniśmy zniszczyć wszystkie karty chorobowe z lat siedemdziesiątych.

W słuchawce zapadła cisza.

- Ależ, Berry, ta dokumentacja jest unikatowa. Pod względem naukowym po prostu bezcenna...

- Myślisz, że o tym nie wiem? - warknął Berrington.

- Musi być jakiś inny sposób.

Berrington westchnął. Bolał nad tym tak samo jak Preston. Marzył o dniu, kiedy ktoś napisze o ich pionierskich eksperymentach i świat dowie się o ich odwadze i naukowym geniuszu. Robiło mu się słabo na myśl o tym, że zniszczą tę historyczną dokumentację w tak wstydlivy i niegodny sposób. Ale nie sposób było tego uniknąć.

- Istnienie tych danych stanowi dla nas zagrożenie. Trzeba je zlikwidować. I lepiej to zrobić od razu.

- Co powiemy personelowi?

- Nie wiem, do diabła. Wymyśl coś, na litość boską. Nowa strategia przechowywania dokumentów. Nie dbam o to, co im powiesz, jeśli tylko zaczną je ciąć z samego rana.

- Chyba masz rację. W porządku, zaraz przedzwonię do Dicka. Zatelefonujesz do Jima i powiesz mu, co się zdarzyło?

- Jasne.

- Cześć.

Berrington wystukał domowy numer Jima Prousta. Telefon odebrała jego żona, złośliwa jędza o niemiłym głosie.

- Leżę już w łóżku, Berry, co się znowu, do cholery, dzieje? - zapytał Jim, kiedy przekazała mu słuchawkę.

Wszyscy trzej tracili już do siebie cierpliwość.

Berrington opowiedział mu, czego dowiedział się od Prestona i jakie podjęli w tej sprawie kroki.

- Dobre posunięcie - stwierdził Jim. - Ale to nie wystarczy. Ta Ferrami może nas zażyć z innej niańki.

Berrington poczuł, jak ogarnia go irytacja. Jima nie sposób było zadowolić. Bez względu na to, co się proponowało, zawsze opowiadał się za bardziej zdecydowaną akcją, surowszymi środkami. Po chwili jednak powściągnął gniew. Uświadomił sobie, że tym razem Jim ma rację. Jeannie okazała się prawdziwym gończym psem, uparcie idącym za tropem. Jedno niepowodzenie z pewnością jej nie powstrzyma.

- Zgadzam się - powiedział. - Słyszałem poza tym, że wypuścili z więzienia Steve'a Logana. Jeannie nie jest więc zupełnie sama. Musimy z nią coś zrobić.

- Trzeba ją postraszyć.

- Jim, na litość boską...

- Wiem, że się przed tym wzdragasz, Berry, ale trzeba to zrobić.

- Nawet się nie waż.

- Słuchaj...

- Mam lepszy pomysł, Jim, jeśli chcesz mnie wysłuchać.

- Dobrze, słucham.

- Mam zamiar ją wywalić.

Jim przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- No nie wiem. Myślisz, że to załatwi sprawę?

- Jasne. Posłuchaj: ona wyobraża sobie, że trafiła na biologiczną anomalie. To rzecz, na której młody naukowiec może zrobić karierę. Nie ma pojęcia, co się za tym wszystkim

kryje: uważa, że uniwersytet boi się po prostu złej prasy. Jeśli straci etat, nie będzie miała środków, a także motywacji, żeby dalej prowadzić poszukiwania. Za dużo czasu zajmie jej poza tym znalezienie nowej pracy. Przypadkowo wiem, że potrzebuje pieniędzy.

- Może masz rację.

Szybka zgoda Jima wzbudziła podejrzenie Berringtona.

- Nie zamierzasz chyba robić niczego na własną rękę? - powiedział.

- Na pewno uda ci się ją wywalić? - zapytał Jim, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Jasne.

- W poniedziałek mówiłeś, że to uniwersytet, a nie pierdolona armia.

- To prawda, nie możesz tutaj wrzeszczyć na ludzi i oczekiwać, że zrobią, co im każesz. Ale żyję w świecie akademickim przez ostatnie czterdzieści lat i wiem, jak działa ta maszyna. Kiedy to naprawdę konieczne, uwolnienie się od asystentki jest dla mnie dziecinnie łatwe.

- W porządku.

Berrington nie pozbył się do końca swoich podejrzeń.

- Na pewno się ze mną zgadzasz, Jim?

- Oczywiście.

- Cieszę się. Śpij dobrze. Dobranoc.

Berrington odłożył słuchawkę. Jego potrawka była zimna. Wyrzucił ją do śmieci i położył się do łóżka.

Przez dłuższy czas nie mógł zasnąć. Rozmyślał o Jeannie Ferrami. O drugiej w nocy wstał, zażył dalmane i dopiero wtedy zapadł w sen.

Noc w Filadelfii była gorąca. W czynszowej kamienicy pootwierano wszystkie drzwi i okna: żadne z mieszkań nie miało klimatyzacji. Do apartamentu 5A na najwyższym piętrze docierały odgłosy ulicy: klaksony, śmiech, strzępy muzyki. Na tanim sosnowym biurku, podrapanym i poznaczonym starymi śladami po papierosach, zadzwonił telefon.

Mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Tu Jim - odezwał się głos, krótki jak szczeknięcie.

- Cześć, wujku Jimie, co słychać?

- Martwię się o ciebie.

- A to dlaczego?

- Wiem, co wydarzyło się w niedzielę wieczór.

Mężczyzna zawahał się nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Kogoś za to aresztowali - stwierdził w końcu.

- Ale jego dziewczyna wierzy, że jest niewinny.

- Tak?

- Ona przyjeżdża jutro do Filadelfii.

- Po co?

- Nie jestem pewien. Ale myślę, że jest niebezpieczna.

- Cholera.

- Może będziesz chciał coś z nią zrobić?

- Na przykład co?

- Zostawiam to tobie.

- Jak ją znajdę?

- Wiesz, gdzie jest klinika Aventine? To niedaleko ciebie.

- Jasne, na Chestnut, codziennie ją mijam.

- Będzie tam o drugiej po południu.

- Jak ją poznam?

- Wysoka, ciemne włosy, kolczyk w nosie, koło trzydziestki.

- Tak może wyglądać dużo kobiet.

- Przyjedzie tam prawdopodobnie starym czerwonym mercedesem.

- To trochę zawęża krąg.

- A teraz uważaj: ten drugi facet wyszedł za kaucją.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- I co z tego?
- Więc jeśli spotka ją wypadek po tym, jak widziano ją z tobą...
- Kapuję. Będą myśleli, że to on.
- Nigdy nie trzeba było ci dwa razy powtarzać, drogi chłopcze.
Mężczyzna roześmiał się.
- A tobie zawsze chodziły po głowie brzydkie myśli, wujku.
- Jeszcze jedno.
- Słucham.
- Ona jest piękna. Więc baw się dobrze.
- Do widzenia, wujku Jimie. I dziękuję.

CZWARTEK

Jeannie znowu przyśniła się jazda thunderbirdem.

Sen zaczynał się od czegoś, co wydarzyło się naprawdę, gdy miała dziewięć lat, jej siostra sześć, a ojciec przez krótki okres mieszkał razem z nimi. Miał wtedy mnóstwo pieniędzy (dopiero po kilku latach Jeannie uświadomiła sobie, że musiały pochodzić z udanego włamania). Przyjechał do domu nowym fordem thunderbirdem z turkusową karoserią i pasującą do niej turkusową tapicerką, najpiękniejszym samochodem, jaki mogła sobie wyobrazić dziewięcioletnia dziewczynka. Wybrali się wszyscy na przejażdżkę: Jeannie i Patty usiadły na przednim siedzeniu między mamą i tatą. Kiedy jechali Washington Memoriał Parkway, tato wziął Jeannie na kolana i pozwolił jej trzymać kierownicę.

Jeannie zjechała wtedy na najszybsze pasmo i najadła się strachu, bo z tyłu zatrąbił próbujący ich wyprzedzić samochód. Tato odebrał jej kierownicę i wrócił na środkowe pasmo. We śnie jednak tato nagle zniknął i Jeannie prowadziła dalej bez niczyjej pomocy, a mama i Patty siedziały obok niej, w ogóle się nie przejmując, chociaż zdawały sobie sprawę, że jest za mała, żeby zobaczyć coś przez przednią szybę. Jeannie zaciskała coraz mocniej i mocniej palce na kierownicy, czekając na katastrofę, a inne samochody nie przestawały trąbić i ich klaksony brzmiały zupełnie jak dzwonek do drzwi.

Obudziła się z paznokciami wbitymi w dłonie i uporczywym brzęczeniem w uszach. Była szósta rano. Przez chwilę leżała nieruchomo ciesząc się, że to był tylko sen. A potem wyskoczyła z łóżka i podeszła do domofonu.

- Kto tam?

To ja, Ghita, obudź się i wpuść mnie do środka.

Ghita mieszkała w Baltimore i pracowała w głównej siedzibie FBI w Waszyngtonie. Musiała tu zajechać w drodze do biura, pomyślała Jeannie. Nacisnęła przycisk, otworzyła drzwi i włożyła obszerny T-shirt, który sięgał jej prawie do kolan: wystarczająco przyzwoity strój dla przyjaciółki. Ghita weszła po schodach: uosobienie młodej, robiącej karierę kobiety w granatowej lnianej garsonce, z ostrzyżonymi na pazia czarnymi włosami, małymi kolczykami w uszach, dużych lekkich okularach i "New York Timesem" pod pachą.

- Co to za afera? - zapytała bez zbędnych wstępów.

- Nie wiem, dopiero się obudziłam - odparła Jeannie. Domyśliła się, że stało się coś złego.

- Mój szef zadzwonił do mnie do domu w środku nocy i zabronił mi z tobą współpracować.

- Nie! - Jeannie potrzebowała danych z FBI, żeby udowodnić, że jej system działa mimo znaków zapytania, jakie pojawiły się w związku ze Stevenem i Dennisem. - Niech to szlag. Powiedział chociaż dlaczego?

- Twierdzi, że twoja metoda narusza prywatność badanych.

- Dziwne, że FBI martwi się o takie drobiazgi.

- Wygląda na to, że "New York Times" jest tego samego zdania.

Ghita pokazała Jeannie gazetę. Zamieszczony na pierwszej, stronie artykuł nosił tytuł:

ETYKA BADAŃ GENETYCZNYCH

WĄTPLIWOŚCI, OBAWY I SŁOWNE UTARCZKI

Jeannie obawiała się, że wymienione w tytule "utarczki" odnoszą się do niej i miała rację.

Jean Fenami jest pełną determinacji młodą kobietą - zaczynał się artykuł. - Wbrew woli swoich kolegów z wydziału i rektora Uniwersytetu Jonesa Fallsa w Baltimore, Maryland, zamierza w dalszym ciągu przeglądać dane medyczne, poszukując bliźniaków.

„Mam kontrakt - twierdzi. - Nie mają prawa mi rozkazywać”. Żadne wątpliwości etyczne nie są w stanie zachwiać jej uporem.

Jeannie poczuła, jak robi jej się niedobrze.

- Mój Boże, to jest okropne - szepnęła.

Artykuł poruszał następnie inną kwestię, dotyczącą badań nad ludzkimi embrionami i Jeannie musiała zajrzeć na stronę dziesiątą, aby znaleźć kolejną wzmiankę na swój temat.

Nowych kłopotów przysporzyła władzom swojej uczelni doktor Jean Fenami z wydziału psychologii Uniwersytetu Jonesa Fallsa. Chociaż rektor uczelni, doktor Maurice Obeli, oraz znany psycholog, profesor Berrington Jones, twierdzą zgodnie, że jej

badania są nieetyczne, doktor Fenami nie ma zamiaru ich przerwać - a oni nie są w stanie temu przeciwdziałać.

Jeannie doczytała do końca, w całym artykule nie znalazła jednak ani słowa o tym, że jej zdaniem badania nie naruszają żadnych norm etycznych. Autorka zajmowała się wyłącznie jej buntowniczą postawą.

Tego rodzaju atak był bolesny i szokujący. Czuła się jednocześnie zraniona i oburzona, podobnie jak przed wielu laty, gdy w supermarkecie w Minneapolis jakiś złodziej przewrócił ją na ziemię i wyrwał z ręki portfel. Wiedziała, że dziennikarka potraktowała ją złośliwie i bez skrępow, lecz mimo to dręczył ją wstyd, jakby rzeczywiście zrobiła coś złego. Miała poczucie, że ją obnażono, wystawiono na wzgardę całego kraju.

- Nie wiem, czy ktoś pozwoli mi teraz skorzystać ze swojej bazy danych - stwierdziła przygnębiona. - Chcesz się napić kawy? Potrzebuję kogoś, kto by mnie pocieszył. Niewiele dni zaczyna się tak fatalnie.

- Przykro mi, Jeannie, ale ja też mam kłopoty przez to, że wplątałam w to Biuro.

Jeannie włączyła ekspres i nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Ten artykuł jest niesprawiedliwy, ale jeśli twój szef rozmawiał z tobą w środku nocy, nie mógł go jeszcze czytać.

- Może wiedział, że ma się ukazać.

- Zastanawiam się, kto dał mu cynk.

- Nie powiedział tego wyraźnie, ale wspomniał, że telefonowano do niego z Kapitelu.

Jeannie zmarszczyła brwi.

- Wygląda mi to na sprawę polityczną. Dlaczego, u diabła, jakiś senator albo kongresman tak bardzo przejmują się tym, co robię, że dzwoni do Biura, żeby przestało ze mną współpracować?

- Może to było po prostu życzliwe ostrzeżenie od kogoś, kto wiedział o artykule.

Jeannie potrząsnęła głową.

- Nie ma tam ani słowa o FBI. Nikt nie wiedział, że mam zamiar przejrzeć kartotekę Biura. Nie powiedziałam o tym nawet Berringtonowi.

- Spróbuję się dowiedzieć, kto dzwonił.

Jeannie zajrzała do zamrażalnika.

- Jadłaś już śniadanie? Mam bułki cynamonowe.

- Nie, dziękuję.

- Ja też chyba nie jestem głodna. - Jeannie zamknęła drzwi lodówki. Czowała, że ogarniają rozpacz. Czy naprawdę nie można było nic zrobić? - Podejrzewam, że nie będziesz mogła przejrzeć kartoteki bez wiedzy swoich zwierzchników... - powiedziała.

Nie robiła sobie zbyt dużych nadziei, ale odpowiedź Ghity kompletnie ją zaskoczyła.

- Nie dostałaś wczoraj mojej wiadomości?

- Wysłałam wcześniej z pracy. Co w niej było?

- Że zrobię to tej nocy.

- I zrobiłaś?

- Tak. Dlatego właśnie do ciebie przyjechałam. Zrobiłam to wczoraj wieczorem, zanim jeszcze do mnie zadzwonili.

Jeannie odzyskała nagle całą nadzieję.

- To wspaniale! Rzuciłaś okiem na wyniki? Dużo było bliźniaków?

- Całkiem dużo, dwadzieścia albo trzydzieści par.

- To niesamowite! To znaczy, że program jest skuteczny!

- Powiedziałam jednak szefowi, że tego nie zrobiłam. Wystraszyłam się i skłamałam.

Jeannie spoważniała.

- To niedobrze. Co będzie, jeśli odkryje, że nie powiedziałaś mu prawdy?

O to właśnie chodzi. Musisz zniszczyć tę listę, Jeannie.

- Co?

- Jeśli ktoś kiedyś to odkryje, jestem skończona.

- Ale ja nie mogę jej zniszczyć! Ta lista jest dowodem, że mam rację!

- Musisz to zrobić - odparła z zaciętą miną Ghita.

- To okropne - jęknęła Jeannie. - Jak mogę zniszczyć coś, co może mnie uratować?

- Wplątałam się w to, wyświadczać ci przysługę - stwierdziła Ghita, celując w nią palcem. - Teraz musisz mnie z tego wyciągnąć!

Jeannie nie uważała, żeby to była wyłącznie jej wina.

- To nie ja kazałam ci okłamywać szefa - mruknęła z przekąsem.

To zdenerwowało Ghitę.

- Bałam się! - zawołała.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Jeannie. - Załatwmy to spokojnie. - Nalała kawę i podała Ghicie kubek. - Przypuśćmy, że przyjdiesz dziś do biura i powiesz szefowi, że zaszło nieporozumienie. Dałaś polecenie, żeby nie przeszukiwać kartoteki, ale później odkryłaś, że już to zrobiono i rezultaty przesłano pocztą elektroniczną.

Ghita wzięła kubek, ale nie wypila ani łyka. Wydawała się bliska łez.

- Wyobrażasz sobie, jak wygląda praca w FBI? Mam przeciwko sobie bandę największych macho w całej Ameryce. Szukają tylko pretekstu, by powiedzieć, że kobiety nie dają sobie rady.

- Ale przecież cię nie wyrzuca.

- Mam nóż na gardle i to ty go trzymasz.

To była prawda. Ghita nie mogła jej teraz do niczego zmusić.

- Nie stawiaj tego w ten sposób - poprosiła Jeannie.

Ghita jednak nie dała się ułagodzić.

- Tak właśnie to stawiam. Proszę, żebyś zniszczyła tę listę.

- Nie mogę.

- W takim razie nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Ghita ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj - zawołała za nią Jeannie. - Tak długo się przyjaźniłyśmy.

Ghita wyszła.

- Niech to szlag - zaklęła Jeannie. - Niech to szlag.

Trzasnęły zamykane drzwi od ulicy.

Czy straciła właśnie jedną z najlepszych przyjaciółek?

Ghita zawiodła ją. Jeannie rozumiała powody: młoda, robiąca karierę kobieta znajdowała się pod dużą presją. A przecież to na Jeannie, a nie na niej, skoncentrował się atak. Przyjaźń Ghity nie przetrwała trudnej próby.

Zastanawiała się, czy w podobny sposób odsuną się od niej inni.

Przygnębiona wzięła szybki prysznic i włożyła czarne dżinsy i czerwony T-shirt. A potem nagle zmieniła zdanie. Miała stoczyć bitwę: powinna się do niej odpowiednio przygotować. Zdjęła dżinsy i T-shirt i zaczęła od nowa. Umyła i wysuszyła włosy. Starannie się umalowała: podkład, puder, maskara i szminka. Włożyła popielatą bluzkę, przezroczyste pończochy, czarną garsonkę i skórzane buty na wysokim obcasie, a potem zmieniła kolczyk w nosie na prosty sztyfcik.

Przejrzała się w wysokim lustrze. Wyglądała wspaniale i czuła, że niełatwo będzie ją pokonać.

- Zabij ich, Jeannie, zabij - mruknęła i wyszła z mieszkania.

Jadąc na uniwersytet, Jeannie rozmyślała o Stevenie Loganie. Nazwała go dużym silnym dzieciakiem, w rzeczywistości jednak był dojrzalszy od niejednego starszego mężczyzny. Wyplakała się na jego ramieniu, musiała mu zatem podświadomie głęboko ufać. Podobał jej się jego zapach, podobny do tytoniu, nim się go zapali. Choć przygnębiona, nie mogła nie wyczuć jego erekcji i tego, że starał się ją przed nią ukryć. Pochlebiało jej, że tak na niego działa, i uśmiechnęła się, wspominając tę scenę. Jaka szkoda, że nie był dziesięć albo piętnaście lat starszy.

Steve przypominał jej pierwszą miłość, Bobby'ego Springfielda. Miała wtedy trzynaście lat, on miał piętnaście. Nie wiedziała prawie nic o seksie, on był w tej dziedzinie niemal takim samym ignorantem i wspólnie wyruszyli w podróż w nieznaną. Czerwieniła się na myśl o rzeczach, które robili w tylnym rzędzie kina w sobotnie noce. W Bobbym, podobnie jak w Stevenie, pociągał ją sposób, w jaki tłumił płonące w nim pożądanie. Bobby strasznie jej pragnął i tak bardzo napalał się, gładząc jej piersi i dotykając majteczek, że czuła się obdarzona niezwykłą mocą. Przez jakiś czas nadużywała jej i podniecała go tylko po to, żeby udowodnić, że wciąż potrafi to zrobić. Wkrótce zdała sobie sprawę, że to głupia gra, nie pozbyła się jednak tego dreszczyku emocji, poczucia, że igra z zakutym w łańcuchy olbrzymem. To wrażenie wróciło przy Stevenie.

Okazał się jedynym dobrym znakiem, jaki dostrzegła na horyzoncie. Wpadła w prawdziwe tarapaty. Nie mogła teraz złożyć dymisji. Po tym, jak "New York Times" napisał, że sprzeciwia się swoim szefom, niełatwo będzie jej znaleźć inny akademicki etat. Na miejscu dziekana nie zatrudniałabym kogoś, kto przysparza tego rodzaju kłopotów, pomyślała.

Było jednak za późno, by przyjmować kunktatorską postawę. Musiała obstawać przy swoim i korzystając z danych FBI dokonać tak ważnych odkryć, że ludzie przyjrzą się ponownie jej metodologii i rozważą, czy rzeczywiście jest naganna etycznie.

Była dziewiąta rano, kiedy wjeżdżała na parking przy Wariatkowie. Zamykając samochód i wchodząc do budynku, czuła w ustach kwaśny smak: za dużo emocji i żadnego posiłku.

Zaraz po wejściu do swojego gabinetu zorientowała się, że ktoś w nim myszkował.

To nie były sprzątaczkę. Przyzwyczyła się do zmian będących ich dziełem: przesuniętych o kilka cali krzeseł, startych śladów po filizance, kosza na śmieci stojącego po drugiej stronie biurka. To było coś innego. Ktoś siedział przy jej komputerze.

Klawiatura była przesunięta: intruz ustawił ją nieświadomie w swojej ulubionej pozycji. Mysz leżała pośrodku podkładki, podczas gdy Jeannie zawsze kładła ją przy skraju klawiatury. Rozglądając się dookoła, zauważyła uchylone lekko drzwi szafki i wystający z niej papier.

Gabinet został przeszukany.

Pocieszające było to, że zrobił to amator. Nie musiała się raczej obawiać, że śledzi ją CIA. Mimo to zrobiło jej się bardzo nieprzyjemnie i włączając komputer poczuła skurcz w żołądku. Kto to mógł być? Pracownik naukowy? Student? Przekupiony ochroniarz? Ktoś z zewnątrz? I czego tu szukał?

Przy drzwiach leżała koperta. W środku było upoważnienie, podpisane przez Lorraine Logan i przesłane faksem przez Steve'a. Jeannie wyjęła z segregatora upoważnienie Charlotte Pinker i włożyła oba dokumenty do teczki. Będą jej potrzebne w klinice Aventine.

Usiadła przy biurku i przejrzała elektroniczną pocztę. Była tylko jedna wiadomość: wyniki przesłane z FBI.

- Alleluja - szepnęła.

Czując olbrzymią ulgę, otworzyła listę nazwisk i adresów. Dowiodła swego: jej program rzeczywiście wyszukał pary bliźniaków. Nie mogła się doczekać, żeby je sprawdzić i zobaczyć, czy trafi na podobne anomalie jak w wypadku Steve'a i Dennisa.

Przypomniała sobie, że Ghita przesłała jej wcześniej wiadomość, uprzedzając, że ma zamiar uruchomić program. Co się z nią stało? Ciekawe, czy zapoznał się z nią nieproszony gość? To wyjaśniałoby nocny telefon do szefa Ghity.

Miała zamiar przyjrzeć się bliżej nazwiskom z listy, kiedy zabrzączał telefon. Dzwonił rektor.

- Mówi Maurice Obeli. Nie sądzi pani, że powinniśmy porozmawiać na temat artykułu w "New York Timesie"?

Jeannie poczuła, jak zaciska się jej żołądek. Zaczyna się, pomyślała.

- Oczywiście - odparła. - O której chciałby się pan ze mną zobaczyć?

- Miałem nadzieję, że wstąpi pani do mnie od razu.

- Będę za pięć minut.

Skopiowała listę na dyskietkę i wyszła z Internetu, a potem wyjęła dyskietkę z komputera i po krótkim namyśle napisała na nalepce ZAKUPY.LST. Tego rodzaju zabezpieczenie było z pewnością niepotrzebne, ale poprawiło jej samopoczucie.

Schowała dyskietkę do pudełka z zapasowymi plikami i wyszła z gabinetu.

Robiło się coraz cieplej. Idąc przez kampus, zastanawiała się, czego może się spodziewać po spotkaniu z Obellem. Jej jedynym celem była zgoda na kontynuację badań. Musiała być twarda i dać do zrozumienia, że nie pozwoli się zastraszyć: jednocześnie jednak powinna ułagodzić władze uczelni i nie dopuścić do eskalacji konfliktu.

Choć lał się z niej pot, cieszyła się, że włożyła czarną garsonkę: wydawała się w niej starsza i poważniejsza. Zbliżając się do Hillside Hall, stuknęła obcasami po bruku. Wprowadzono ją od razu do eleganckiego gabinetu rektora.

Siedział tam już Berrington Jones, trzymając w ręku egzemplarz "New York Timesa". Uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że ma sojusznika, ale on skinął jej raczej chłodno głową.

- Dzień dobry, Jeannie - powiedział.

Maurice Obeli siedział w fotelu na kółkach za swoim wielkim biurkiem.

- Uniwersytet nie może tego po prostu tolerować, doktor Ferrami - oznajmił we właściwy sobie oschły sposób.

Nie zaproponował jej, żeby usiadła, ale Jeannie nie miała zamiaru pozwolić, żeby traktował ją jak niegrzeczną uczennicę. Przysunęła sobie krzesło, usiadła i założyła nogę na nogę.

- Wielka szkoda, że poinformował pan prasę o przerwaniu moich badań, nie sprawdzając przedtem, czy ma pan w ogóle prawo to robić - oświadczyła najspokojniej, jak mogła. - Zgadzam się z panem w pełni, że postawiło to uniwersytet w niekorzystnym świetle.

Obell najeżył się.

- To nie ja stawiam uniwersytet w niekorzystnym świetle.

Jeannie uznała, że okazała dosyć stanowczości; nadeszła pora, żeby powiedzieć mu, że stoją po tej samej stronie barykady. Usiadła skromniej i pochyliła się do przodu.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Prawda jest taka, że oboje trochę się pospieszyliśmy i wykorzystaliśmy to prasa.

- Co się stało, to się nie odstanie - wtrącił Berrington. - Nie ma teraz sensu przeproszać.

- Wcale nie przepraszam - warknęła, po czym odwróciła się z uśmiechem do Obella.

- Uważam tylko, że powinniśmy przestać robić sobie wymówki.

Po raz kolejny odpowiedział jej Berrington.

- Jest już na to za późno - stwierdził.

- Moim zdaniem wcale nie - odparła. Zastanawiała się, dlaczego to mówi. Powinien raczej szukać pojednania; dolewanie oliwy do ognia nie leżało w jego interesie. - Jesteśmy rozsądnymi ludźmi - podjęła, wciąż uśmiechając się do rektora. - Musimy znaleźć jakiś kompromis, który pozwoli mi kontynuować pracę i jednocześnie zachować dobre imię uczelni.

Obellowi chyba spodobał się ten pomysł, ale zmarszczył czoło.

- Nie bardzo widzę, jak... - zaczął.

- Tracimy tylko niepotrzebnie czas - przerwał mu niecierpliwie Berrington.

Po raz trzeci napastliwie się wtrącał. Jeannie powstrzymała się od kolejnej złośliwej riposty. Dlaczego tak się zachowywał? Czy to on chciał, żeby przerwała badania, naraziła się władzom uniwersytetu i została zdyskredytowana? Zaczynało na to wyglądać. Czy to on zakradł się do jej gabinetu, przeczytał pocztę i ostrzegł FBI? Może to właśnie on zawiadomił na samym początku "New York Timesa" i wywołał całą awanturę? Perwersyjna logika tego spostrzeżenia tak ją poraziła, że przez chwilę nie odzywała się ani słowem.

- Uzgodniliśmy już, jakie kroki poczyni uniwersytet - oznajmił Berrington.

Zdała sobie sprawę, że błędnie oceniła hierarchię władzy w gabinecie rektora. To Berrington był tutaj szefem, nie Obell. Dzięki Berringtonowi i Genetico do uczelni płynęły miliony, których potrzebował Obell. Berrington nie musiał się niczego obawiać ze strony Obella; było raczej odwrotnie. Widziała przed sobą małpkę na łańcuchu, a nie kataryniarza.

Berrington przestał nawet udawać, że rektor ma tutaj coś do powiedzenia.

- Nie wezwaliśmy cię tu po to, żeby wysłuchiwać twoich opinii - dodał.

- W takim razie po co?

- Żeby cię zwolnić - odparł.

Zatkało ją. Spodziewała się groźby dymisji, ale nie tego, że ją rzeczywiście wywalą. Nie potrafiła tego zrozumieć.

- Co to znaczy? - zapytała głupio.

- To znaczy, że już tu nie pracujesz - wyjaśnił Berrington, gładząc brew palcem wskazującym prawej ręki; znak, że był zadowolony z siebie.

Jeannie czuła się, jakby ktoś ją uderzył. Nie mogą mnie wyrzucić, pomyślała. Pracuję tutaj dopiero kilka tygodni. Tak dobrze mi szło, tak bardzo się starałam. Z wyjątkiem Sophie Chappie wszyscy mnie polubili. Jak to mogło się tak szybko zdarzyć?

- Nie możecie mnie zwolnić - powiedziała, próbując zebrać myśli.

- Właśnie to zrobiliśmy.

- Nie. - Dochodząc do siebie po pierwszym szoku, poczuła, jak ogarniają gniew. - Nie jesteście wodzami plemienia. Obowiązuje was określona procedura.

Władzom uczelni nie wolno było zwalniać pracowników naukowych bez przeprowadzenia pewnego rodzaju dochodzenia. Wspominano o tym w jej kontrakcie, ale nigdy nie miała czasu sprawdzić szczegółów. Nagle stało się to dla niej bardzo ważne.

- Odbędzie się oczywiście w tej sprawie posiedzenie komisji dyscyplinarnej senatu - poinformował ją skwapliwie Maurice Obell. - Normalnie wymagany jest czterotygodniowy okres wyprzedzenia, ale ze względu na skandal, jaki wywołała ta sprawa, wprowadzam jako rektor uniwersytetu procedurę nadzwyczajną i wyznaczam przesłuchanie na jutro rano.

Jeannie zdumiała szybkość, z jaką działali. Komisja dyscyplinarna? Nadzwyczajna procedura? Jutro rano? To nie była dyskusja. Przypominało to raczej przesłuchanie. Oczekiwała niemal, że Obell przeczyta przysługujące jej prawa.

Zrobił coś podobnego, przesuając w jej stronę tekturową teczkę.

- Znajdzie pani tutaj regulamin komisji dyscyplinarnej. Jeśli powiadomi pani wcześniej przewodniczącego, może panią reprezentować prawnik lub inny obrońca.

Jeannie przyszło nareszcie do głowy jakieś sensowne pytanie.

- Kto jest przewodniczącym?

- Jack Budgen - odparł Obell.

Berrington podniósł gwałtownie wzrok.

- To już ustalone?

- Przewodniczący jest wyznaczany na cały rok - poinformował go Obell. - Jack objął tę funkcję na początku semestru.

- Nic o tym nie wiedziałem. - Berrington wydawał się podenerwowany i Jeannie wiedziała dlaczego. Jack Budgen był jej tenisowym partnerem. To dodało jej otuchy: powinien ją sprawiedliwie potraktować. Będzie mogła bronić siebie i swoich badań przed grupą akademików. Nie skończy się na gazetowych sloganach "New York Timesa", lecz dojdzie do poważnej dyskusji.

Miała poza tym wyniki z FBI. Wiedziała już, jaką przyjmie taktykę. Przedstawi komisji dane z FBI. Jeśli będzie miała szczęście, na liście znajdą się jedna albo dwie pary osób, które nie wiedzą, że są bliźniakami. To zrobi na nich wrażenie. Wtedy wyjaśni, jakie podjęła przeciwdziałania, żeby chronić prywatność badanych.

- To chyba wszystko - oznajmił Maurice Obell.

Odprawiano ją.

- Wielka szkoda, że do tego doszło - powiedziała, wstając z krzesła.

- Sama do tego doprowadziłaś - odparł szybko Berrington.

Przypominał klótlive dziecko. Nie miała czasu na bezproduktywne spory. Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i wyszła.

Wracając na wydział uświadomiła sobie ze smutkiem, że nie udało jej się osiągnąć żadnego z postawionych celów. Chciała prowadzić negocjacje, zamiast tego jednak wzięła udział w walce gladiatorów. Berrington i Obell podjęli decyzję, zanim weszła do gabinetu. Spotkanie okazało się czystą formalnością.

Idąc korytarzem, zauważyła z irytacją, że sprzątaczkę zostawiły tuż przy drzwiach jej gabinetu czarną plastikową torbę ze śmieciami. Zaraz do nich zadzwoni. Chciała otworzyć drzwi, ale chyba zaciął się zamek. Bezskutecznie wsuwała kilka razy swoją kartę w otwór czytnika. Miała już zamiar zejść do recepcji i wezwać obsługę, kiedy przyszła jej do głowy straszna myśl.

Zajrzała do czarnej torby. Nie było w niej starych papierów i filiżanek ze styropianu. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była jej płócienna teczka. Było tam również pudełko kleenexów z biurka, Tysiąc akrów Jane Smiley, dwie fotografie w ramach i szczotka do włosów.

Opróżnili jej biurko i zamknęli przed nią jej pokój.

Była zdruzgotana. Zabolalo ją to bardziej od tego, co wydarzyło się w gabinecie Maurice'a Obella. Tamto to tylko słowa. Teraz poczuła, że pozbawili ją czegoś, co stanowiło fragment jej własnego życia. To jest mój pokój, pomyślała; jak mogli go przede mną zamknąć?

- Cholerne skurwysyny - mruknęła pod nosem.

Musieli to zrobić ochroniarze, kiedy siedziała w gabinecie Obella. Oczywiście bez żadnego ostrzeżenia: miałyby wtedy okazję zabrać wszystko, czego naprawdę potrzebowała. Po raz któryś z rzędu zaskoczyła ją ich bezwzględność.

To była prawdziwa amputacja. Zabrali jej osiągnięcia naukowe, jej całą pracę. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, dokąd pójść. Przez jedenaście lat pracowała naukowo: jako studentka, doktorantka, doktor, asystentka. Teraz nagle stała się nikim.

Czując, jak ogarnia ją czarna rozpacz, przypomniała sobie o liście z FBI i zaczęła grzebać w czarnej torbie, nie było tam jednak żadnych dyskiepek. Wszystkie wyniki, koronny argument jej obrony, były zamknięte na klucz w pokoju.

Walnęła bezsilnie pięścią w drzwi. Idący korytarzem student, który uczęszczał na jej zajęcia ze statystyki, spojrział na nią zdziwiony.

- Czy mogę pani w czymś pomóc, pani profesor?

Przypomniała sobie jego imię.

- Cześć, Ben. Owszem. Możesz kopnąć w te cholerne drzwi.

Ben przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

- Nie mówiłam serio - mruknęła. - Nic mi nie jest, dziękuję.

Ben wzruszył ramionami i ruszył dalej.

Nie było sensu stać tutaj i gapić się jak sroka w gnat w zamknięte drzwi. Wzięła plastikową torbę i weszła do laboratorium. Lisa siedziała przy biurku, wprowadzając dane do komputera.

- Wylali mnie - powiedziała Jeannie.

Lisa posłała jej zdumione spojrzenie.

- Co takiego?

- Zamknęli przede mną mój gabinet i wrzucili moje rzeczy do tej pierdolonej torby.

- Nie wierzę!

Jeannie wyciągnęła swoją teczkę z torby i wyjęła z niej egzemplarz "New York Timesa".

- To przez ten artykuł - powiedziała.

Lisa przeczytała dwa pierwsze akapity.

- Ależ to bzdura.

Jeannie usiadła na krześle.

- Wiem. Więc dlaczego Berrington udaje, że bierze to serio?

- Myślisz, że udaje?

- Jestem tego pewna. Jest zbyt sprytny, żeby naprawdę wywarły na nim wrażenie takie brednie. Na pewno chodzi o coś innego. - Jeannie zabębniła piętami o podłogę. - Jest gotów na wszystko, naprawdę nie cofnie się przed niczym... to musi być dla niego rzeczywiście bardzo ważne.

Być może znajdzie odpowiedź w klinice Aventine w Filadelfii. Zerknęła na zegarek. Umówiła się na drugą: musiała wkrótce wyjść.

Lisa nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała.

- Nie mogą cię tak po prostu wyrzucić - stwierdziła z oburzeniem.

- Jutro odbędzie się przesłuchanie przez komisją dyscyplinarną.

- Mój Boże, oni nie żartują.

- Na pewno nie.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Było coś takiego, ale Jeannie bała się o to prosić. Przyjrzała się bacznie przyjaciółce. Mimo upału Lisa miała na sobie zapiętą na ostatni guzik bluzkę i luźny sweter: okrywała całe ciało, niewątpliwie reagując w ten sposób na niedawny gwałt. Wciąż była przygaszona, jakby straciła kogoś bliskiego.

Czy jej przyjaźń okaże się równie nietrwała jak Ghity? Jeannie bała się odpowiedzi na to pytanie. Jeśli zawiedzie się na Lisie, kto jeszcze jej pozostanie? Ale musiała poddać ją próbie, mimo że trudno było wyobrazić sobie gorszy moment.

- Mogłabyś spróbować dostać się do mojego gabinetu powiedziała z wahaniem. - Jest tam lista z FBI.

Lisa nie odpowiedziała od razu.

- Wymienili ci zamek czy co?

- To o wiele łatwiejsze. Zmieniają elektronicznie kod i twoja karta jest już do wyrzucenia. Na pewno nie będę również mogła dostać się po godzinach do budynku.

- To wszystko dzieje się tak szybko, że po prostu nie nadążam.

Jeannie nie chciała narażać Lisy na niepotrzebne ryzyko. Szukała gorączkowo w myśli jakiegoś innego rozwiązania.

- Może uda mi się wejść tam samej. Może wpuści mnie sprzątaczką, chociaż mam przecucie, że ich karty również nie otworzą zamka. Poza tym skoro nie korzystam już z gabinetu, nie trzeba go sprzątać. Lecz mogą tam wejść ludzie z ochrony.

- Nie pomogą ci. Wiedzą, że zmieniono kod.

- To prawda - zgodziła się Jeannie. - Ale ciebie mogą wpuścić. Możesz powiedzieć, że potrzebujesz czegoś z mojego pokoju.

Lisa najwyraźniej się zastanawiała.

- Wolałabym cię o to nie prosić - mruknęła Jeannie.

Wyraz twarzy Lisy nagle się zmienił.

- Do diabła, co mi zależy - stwierdziła. - Dobrze, spróbuję.

Jeannie poczuła, jak coś dławi ją w gardle.

- Dziękuję - powiedziała, przygryzając wargę. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką. - Pochyliła się nad biurkiem i uścisnęła jej dłoń.

Ta emocjonalna reakcja wprawiła Lisę w zakłopotanie.

- Gdzie dokładnie jest ta lista? - zapytała praktycznie.

- Dane są na dyskietce oznaczonej ZAKUPY.LST w pudełku na dyskietki w szufladzie biurka.

- Okay. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się na ciebie uwzięli - dodała Lisa, marszcząc czoło.

- Wszystko zaczęło się od Steve'a Logana. Odkąd zobaczył go Berrington, stałe dzieje się coś złego. Ale mam wrażenie, że niedługo się dowiem, co jest grane - oznajmiła Jeannie, wstając z krzesła.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Jadę do Filadelfii.

Berrington wyglądał przez okno swojego gabinetu. Tego ranka na korcie nie było nikogo. Wyobraził sobie grającą tam Jeannie. Zobaczył ją drugiego albo trzeciego dnia semestru, biegającą po korcie w krótkiej spódniczce, wyciągającą muskularne brązowe nogi, migającą białymi butami. Wtedy właśnie się w niej zadurzył. Zastanawiał się, dlaczego tak urzekła go jej sportowa sylwetka. Widok uprawiających sport kobiet nigdy go specjalnie nie podniecał. Nigdy nie oglądał Amerykańskich gladiatorów w przeciwieństwie do profesora Gormleya z egiptologii, który miał wszystkie programy na kasetach wideo i puszczał je podobno późnym wieczorem, w swoim domowym gabinecie. Grającą w tenisa Jeannie cechowała jakaś szczególna gracia. Miał wrażenie, że ogląda startującą do biegu lwicę. Jej mięśnie prężyły się pod skórą, włosy fruwały na wietrze, a ciało poruszało się, zastygało, obracało i ponownie poruszało z zadziwiającą, nadprzyrodzoną raptownością. Teraz zagrażała wszystkiemu, co osiągnął w życiu, a mimo to żałował, że nie obejrzy już ani razu, jak gra w tenisa.

Irytujące było, że chociaż praktycznie biorąc to on płacił jej pensję, nie mógł jej tak po prostu zwolnić. Była zatrudniona na etacie uniwersyteckim, a Genetico przekazało już pieniądze. Uczelnia nie mogła wyrzucić pracownika naukowego w taki sposób, w jaki restaurator wyrzuca niekompetentnego kelnera. Dlatego musiał bawić się w te idiotyzmy.

- Niech ją diabli - mruknął pod nosem i siadł z powrotem za biurkiem.

Poranna rozmowa przebiegała gładko aż do momentu, kiedy dowiedział się o Jacku Budgenie. Już wcześniej napuścił na nią Maurice'a i zręcznie zapobiegł próbie zbliżenia stanowisk. Fatalne było jednak to, że komisji dyscyplinarnej przewodniczyć miał facet, który grał z Jeannie w tenisa. Berrington nie sprawdził tego: zakładał, że będzie miał jakiś wpływ na wyznaczenie przewodniczącego, i z zaskoczeniem dowiedział się, że wybór został już dokonany.

Istniało poważne niebezpieczeństwo, że Jack spojrzy na całą sprawę oczyma Jeannie.

Berrington podrapał się w głowę. Nigdy nie przyjaźnił się ze swoimi akademickimi kolegami - wolał obracać się w barwniejszym towarzystwie polityków i dziennikarzy. Ale wiedział coś niecoś o Budgenie. Jack zakończył w wieku trzydziestu lat karierę profesjonalnego tenisisty i wrócił na uczelnię, żeby zrobić doktorat z chemii. Zbyt stary, by osiągnąć coś na polu nauki, został administratorem. Prowadzenie kilku uniwersyteckich

bibliotek i godzenie sprzecznych postulatów różnych wydziałów wymagało kogoś taktownego i układnego i Jack radził sobie całkiem nieźle.

Jak można go było skaptować? Nie był zbyt przebiegły: cechującej go niefrasobliwości towarzyszyła pewna naiwność. Na pewno obrazi się, kiedy Berrington będzie starał się go przeciągnąć na swoją stronę albo otwarcie zaproponuje jakąś łapówkę. Być może jednak uda się wpłynąć na niego w pośredni sposób.

Sam Berrington dał się kiedyś raz przekupić. Do tej pory oblewał go rumieniec wstydu, gdy o tym pomyślał. Zdarzyło się to na samym początku jego kariery, zanim jeszcze został profesorem. Pewną studentkę złapano na oszustwie: zapłaciła swojej koleżance, żeby ta napisała za nią pracę semestralną. Nazywała się Judy Gillmore i była ładna jak lalka. Powinna zostać wydalona z uczelni, ale dziekan wydziału mógł złagodzić jej karę. Judy przyszła do gabinetu Berringtona "żeby przedyskutować problem". Zakładała nogę na nogę, patrzyła mu żałośnie w oczy i pochylała się do przodu, żeby mógł zobaczyć jej koronkowy biustonosz. Berrington współczuł jej i obiecał, że się za nią wstawi. Judy popłakała się i zaczęła mu dziękować, a potem wzięła go za rękę, pocałowała w usta i w końcu rozpięła rozporek.

Nie proponowała żadnego układu. Pokochała się z nim dopiero, gdy zgodził się jej pomóc, a potem, po stosunku, który odbyli na podłodze, spokojnie się ubrała, uczesała, pocałowała go i wyszła. Nazajutrz Berrington przekonał dziekana, żeby udzielił jej tylko nagany.

Dał się przekupić, ponieważ przekonał sam siebie, że to wcale nie była łapówka. Judy poprosiła go o pomoc, on zgodził się, ona nie mogła się oprzeć jego urokowi i pokochali się. Z biegiem czasu dostrzegł w tym rozumowaniu czystą hipokryzję. Seksualna oferta zawarta była w całym jej zachowaniu, a kiedy obiecał jej to, o co prosiła, Judy przypieczętowała sprytnie umowę. Chociaż lubił uważać się za osobę kierującą się w życiu zasadami, zrobił coś absolutnie haniebnego.

Korumpowanie było prawie tak samo złe jak przyjęcie łapówki. Mimo to Berrington wiedział, że jeśli tylko zdoła, przekupi Jacka Budgena. Myśląc o tym, krzywił się z niesmakiem, ale trzeba to było zrobić. Był zdesperowany.

Zrobi to w ten sam sposób jak Judy: pozwalając Jackowi wmówić sobie, że to nie jest łapówka.

Zastanawiał się jeszcze kilka minut, a potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do Jacka.

- Dziękuję, że przysłałeś mi swoją propozycję rozbudowy biblioteki wydziału biofizyki - zaczął.

Budgen przez chwilę milczał zaskoczony.

- Ach tak - wyjąkał w końcu. - Minęło już trochę czasu... ale cieszę się, że znalazłeś chwilę, żeby ją przeczytać.

Berrington rzucił na nią zaledwie okiem.

- Uważam, że jest bardzo sensowna. Zadzwoiłem, żeby powiedzieć, że poprę cię, kiedy sprawa stanie na komisji.

- Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Właściwie mógłbym przekonać Genetico, żeby pokryło część kosztów.

Jack z entuzjazmem podchwycił jego pomysł.

- Moglibyśmy nadać jej nazwę Biblioteka Biofizyczna Genetico.

- Świetny pomysł. Porozmawiam z nimi. - Berrington chciał, żeby Jack sam poruszył temat Jeannie. Może uda się go naprowadzić przez tenis. - Jak ci się udały wakacje? - zapytał. - Byłeś w Wimbledonie?

- W tym roku nie. Za dużo roboty.

- To niedobrze. - Berrington udał z drzeniem serca, że ma zamiar zakończyć rozmowę. - Pogadamy później.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Jack uprzedził go.

- Aha, Berry. Co sądzisz o tych bredniach, które napisali dzisiaj w "Timesie"? O Jeannie?

Berrington odetchnął z ulgą.

- O tym? Burza w szklance wody - mruknął lekceważącym tonem.

- Próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie ma jej w gabinecie.

- Możesz się nie martwić o Genetico - powiedział Berrington, chociaż Jack nie wymienił wcale nazwy firmy. - Nie wzięli sobie tego do serca. Na szczęście Maurice Obeli zareagował w sposób szybki i zdecydowany.

- Masz na myśli komisję dyscyplinarną?

- Uważam, że to będzie formalność. Jeannie naraziła na szwank dobre imię uczelni, nie chciała przerwać badań i poszła z tym do prasy. Wątpię, czy w ogóle będzie chciała się bronić. Powiedziałem ludziom z Genetico, że kontrolujemy sytuację. W tej chwili nic nie zagraża ich dobrym stosunkom z uczelnią.

- To świetnie.

- Oczywiście, jeśli komisja z jakiegoś powodu ujmie się za Jeannie i wystąpi przeciwko Maurice'owi, znajdziemy się w opałach. Ale to chyba mało prawdopodobne, nie sądzisz? - Berrington wstrzymał oddech.

- Wiesz, że jestem przewodniczącym?

Jack nie odpowiedział na jego pytanie. Niech go diabli.

- Tak, i bardzo się cieszę, że zebrania nie będzie prowadził jakiś zapaleniec. Gdyby przewodniczącym był Malcolm Barnet, Bóg jeden wie, co mogłoby się zdarzyć. - Barnet był ogolonym na pałę profesorem filozofii.

Jack roześmiał się.

- Senat nie jest taki głupi. Nie postawiliby Malcolma nawet na czele komisji parkingowej: potraktowałby ją jako instrument społecznej zmiany.

- Ale z tobą jako przewodniczącym komisja z pewnością poprze rektora.

Odpowiedź Jacka była po raz kolejny prowokacyjnie ambiwalentna.

- Nie sposób przewidzieć reakcji wszystkich członków.

Ty draniu, czy robisz to, żeby mnie dręczyć?

- No, od przewodniczącego coś przecież zależy.

Berrington starł z czoła kropelkę potu. W słuchawce zapadła cisza.

- Nie powinienem z góry przesądzać o wyniku posiedzenia, Berry...

Idź do diabła!

- ...ale mogę chyba powiedzieć, że Genetico nie powinno się niczego obawiać.

Nareszcie!

- Dziękuję, Jack. Doceniam to.

- Mówię ci to oczywiście w zaufaniu.

- Naturalnie.

- W takim razie do zobaczenia jutro.

- Do widzenia.

Berrington odłożył słuchawkę. To była prawdziwa męka. Czy Jack nie zdawał sobie sprawy, że został przekupiony? Czy oszukiwał sam siebie? Czy też świetnie rozumiał i tylko udawał naiwnego?

Nie miało to większego znaczenia, jeśli we właściwy sposób pokieruje komisją.

Nie oznaczało to oczywiście końca sprawy. Decyzję komisji musiał ratyfikować senat. W którymś momencie Jeannie może wynająć jakiegoś ostrego adwokata i zaskarżyć uczelnię o odszkodowanie. Sprawa będzie ciągnąć się latami. Ale jej badania zostaną przerwane i to tylko się liczyło.

Decyzja komisji nie była jednak stuprocentowo pewna. Jeśli rano coś pójdzie nie tak, Jeannie może wrócić jutro w południe do swojego gabinetu i ruszyć dalej gorącym tropem tajemnic Genetico. Berrington zadrżał: niech Bóg broni. Przysunął do siebie blok i zapisał nazwiska członków komisji.

Jack Budgen - biblioteka

Tenniel Biddenham - historia sztuki

Milton Powers - matematyka

Mark Trader - antropologia

Jane Edelsborough - fizyka

Biddenham, Powers i Trader byli ludźmi odpowiedzialnymi, profesorami, których kariery związane były na trwałe z Uniwersytetem Jonesa Fallsa oraz prestiżem i spokojnym rozwojem uczelni. Berrington nie miał wątpliwości, że poprą rektora. Czarnym koniem była kobieta, Jane Edelsborough.

Nią musiał się zająć w następnej kolejności.

Jadąc drogą międzystanową numer 95 do Filadelfii, Jeannie ponownie rozmyślała o Stevenie Loganie.

Wczoraj w nocy pocałowała go na dobranoc na uniwersyteckim parkingu dla gości. Żałowała teraz, że pocałunek był taki krótki. Steve miał wydatne suche usta i ciepłą skórę. Miała ochotę zrobić to powtórnie.

Dlaczego przeszkadzał jej jego młody wiek? Cóż było takiego pociągającego w starszych mężczyznach? Trzydziestodziewięcioletni Will Tempie rzucił ją dla pustogłowej panienki. Tyle, jeśli chodzi o dojrzałość.

Nacisnęła przycisk SEEK w radiu, żeby znaleźć jakąś dobrą stację, i złapała Nirvane grającą Come as You Are. Za każdym razem, gdy myślała o romansie z mężczyzną w jej wieku albo młodszym, oblatywał ją strach, podobny do tego dreszczyku grozy, który towarzyszył nagraniu Nirvany. Starsi mężczyźni dawali jej poczucie bezpieczeństwa, wiedzieli, jak postępować.

Czy to do mnie podobne, zdziwiła się. Jeannie Ferrami, która robi, co chce, i gwizdże na cały świat, potrzebuje poczucia bezpieczeństwa? Daj sobie siana, dziewczyno!

Coś w tym jednak było. Może miał na to wpływ jej ojciec. Nigdy już nie chciała kolejnego nieodpowiedzialnego mężczyzny w swoim życiu. Z drugiej strony ojciec był żywym dowodem, że starsi mogą być tak samo nieodpowiedzialni jak młodzi.

Podejrzewała, że ojciec zaszył się w którymś z tanich hotelików w Baltimore. Kiedy już przepije i przepuści w karty pieniądze, które dostał za jej komputer i telewizor - co z pewnością nie zajmie mu dużo czasu - spróbuje ukraść coś nowego albo weźmie na litość drugą córkę, Patty. Jeannie nienawidziła go za to, że ją okradł, ale cały incydent pozwolił jej zobaczyć w nowym świetle Steve'a Logana. Okazał się prawdziwym księciem z bajki. Kiedy ponownie się z nim spotkam, pomyślała, pocałuję go i tym razem zrobię to jak należy.

Przeciskając się przez zatłoczone śródmieście Filadelfii, nie mogła opanować zdenerwowania. To mógł być wielki przełom. Liczyła, że znajdzie rozwiązanie zagadki Steve'a i Dennisa.

Klinika Aventine leżała w miasteczku uniwersyteckim, na zachód od Schuylkill River, w sąsiedztwie budynków uczelni i akademików. Przyjemny niski budynek z lat pięćdziesiątych otaczały ze wszystkich stron drzewa. Jeannie zatrzymała się na ulicy przy parkometrze i weszła do środka.

W poczekalni siedziały na niskich kanapach, przeglądając czasopisma, cztery osoby: spięta dziewczyna, towarzyszący jej podenerwowany chłopak oraz dwie kobiety mniej więcej w jej wieku. Uśmiechnięta recepcjonistka poprosiła ją, żeby usiadła. Jeannie wzięła do ręki kolorową broszurę o Genetico i położyła ją na kolanach, w ogóle nie czytając. Zamiast tego oglądała zawieszane na ścianach kojąco bezsensowne abstrakcyjne obrazy i bębniła niecierpliwie stopami w podłogę.

Nienawidziła szpitali. Tylko raz w życiu była pacjentką. W wieku dwudziestu trzech lat przerwała ciążę. Ojcem był pewien dobrze się zapowiadający reżyser filmowy. Przestała brać tabletki, ponieważ ze sobą zerwali, ale on po kilku dniach wrócił, doszło do czulego pojednania, nie zabezpieczyli się i Jeannie zaszła w ciążę. Zabieg odbył się bez żadnych komplikacji, ale Jeannie przez kilka dni płakała i straciła kompletnie serce do reżysera, mimo że cały czas jej pomagał.

Zrealizował wówczas swój pierwszy hollywoodzki film akcji. Jeannie poszła sama do kina Charles w Baltimore, żeby go obejrzeć. Jedyнным ludzkim akcentem w tej bezdusznej opowieści o strzelających do siebie bez przerwy mężczyznach okazała się scena, w której dziewczyna bohatera poddawała się aborcji i zrywała z nim. Bohater, policyjny detektyw, był załamany i oburzony. Jeannie siedziała w kinie, łykając łzy.

Wspomnienie wciąż sprawiało jej ból. Wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po poczekalni. Minutę później w hallu pojawił się mniej więcej pięćdziesięcioletni podekscytowany mężczyzna.

- Doktor Ferrami! - zawołał głośno. Na czubku głowy miał okoloną rudawymi włoskami łysinkę. - Dzień dobry, dzień dobry, miło panią poznać - oznajmił z nieuzasadnionym entuzjazmem, kiedy podała mu rękę.

- Rozmawiałam wczoraj z panem Ringwoodem - powiedziała.

- Tak, tak! Jestem jego kolegą, nazywam się Dick Minsky.

Nerwowy tik sprawiał, że co parę sekund mrugał gwałtownie okiem: Jeannie zrobiło się go żal.

- Czy mogę zapytać, co panią do nas sprowadza? - zapytał, wchodząc wraz z nią po schodach.

- Medyczna zagadka - wyjaśniła. - Dwie kobiety mają synów, którzy są jednojajowymi bliźniętami, lecz wydają się absolutnie niespokrewnieni. Jedyнным łączącym ich faktem, jaki udało mi się ustalić, jest to, że obie matki przechodziły tutaj kurację przed zajściem w ciążę.

- Naprawdę? - rzucił, jakby w rzeczywistości wcale jej nie słuchał. Trochę ją to zdziwiło; myślała, że go to zaintryguje.

Weszli do narożnego gabinetu.

- Całe archiwum znajduje się w komputerze. Można do niego wejść, jeśli zna się właściwe hasło - oświadczył siadając przed monitorem. - Które pacjentki interesują panią?

- Charlotte Pinker i Lorraine Logan.

- To nie zajmie nam dużo czasu - stwierdził, wpisując nazwiska.

Jeannie starała się opanować niecierpliwość. Dane mogły przecież niczego nie wyjaśnić. Rozejrzała się po gabinecie. Był zbyt wystawny jak na zwykłego archiwistę. Dick musiał być kimś więcej niż tylko "kolegą" pana Ringwooda.

- Jakie stanowisko zajmuje pan w tej klinice? - zapytała.

- Jestem dyrektorem generalnym.

Uniosła brew, ale on nie odrywał wzroku od komputera. Dlaczego tak prostą sprawę załatwiał ktoś tak wysoko postawiony? Poczula, jak budzi się w niej niepokój.

Dick zmarszczył czoło.

- To dziwne. Komputer twierdzi, że nie mamy danych na temat żadnej z tych pań - oświadczył.

Jej obawy potwierdziły się. Facet kłamał. Perspektywa rozwiązania zagadki ponownie oddalała się w nieokreśloną przyszłość. Poczula, jak ogarnia ją zawód, a wraz z nim przygnębienie.

Dick obrócił monitor, żeby mogła spojrzeć na ekran.

- Czy prawidłowo zapisałem nazwiska?

- Tak.

- Kiedy pani zdaniem pacjentki przyjęto do kliniki?

- Przed dwudziestu trzema laty.

Dick spojrział na nią.

- Naprawdę? - powiedział, mrugając oczyma. - W takim razie obawiam się, że niepotrzebnie się pani fatygowała.

- Dlaczego?

- Nie przechowujemy kart chorobowych z tak odległego okresu. Takie obowiązują przepisy w tej firmie.

Jeannie spojrzała na niego z ukosa.

- Wyrzucacie stare karty chorobowe?

- Owszem, po dwudziestu latach niszcymy karty, chyba że pacjentka została ponownie przyjęta. W takim przypadku jej dane wpisywane są do komputera.

Zawód był tym boleśniesz, że straciła kilka cennych godzin, które potrzebowała na przygotowanie się do jutrzejszego przesłuchania.

- Dziwne, że pan Ringwood nie poinformował mnie o tym, kiedy z nim wczoraj rozmawiałam - stwierdziła z goryczą.

- Naprawdę powinien to zrobić. Może nie wymieniła pani dat?

- Powiedziałam mu, że kobiety były tutaj leczone przed dwudziestoma trzema laty, jestem tego pewna.

Pamiętała, że dodała rok do wieku Steve'a, żeby podać mu właściwy okres.

- W takim razie trudno to zrozumieć.

W gruncie rzeczy nie była zaskoczona, że sprawy wzięły taki obrót. Dick Minsky ze swoją przesadną uprzejmością i nerwowym tikiem stanowił karykaturę człowieka z nieczystym sumieniem.

- Obawiam się, że nie mogę pani w niczym więcej pomóc - powiedział, ustawiając monitor w normalnej pozycji.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać z panem Ringwoodem i zapytać go, dlaczego nie zawiadomił mnie, że karty zostały zniszczone?

- Niestety Peter wziął dzisiaj zwolnienie.

- Cóż za zastanawiający zbieg okoliczności.

Dick próbował udawać obrażonego, ale rezultat był żalony.

- Chyba nie uważa pani, że staram się coś przed nią ukryć?

- Dlaczego miałabym tak uważać?

- Nie mam pojęcia. - Dick Minsky wstał z krzesła. - Obawiam się, że nie mogę pani dalej służyć swoim czasem.

Jeannie ruszyła pierwsza do drzwi. Dick odprowadził ją do poczekalni.

- Żegnam panią - oświadczył sztywno.

- Do widzenia - odparła.

Na ulicy zawahała się. Ogarnął ją bojowy nastrój. Miała ochotę ich sprowokować, pokazać, że nie da się zbyć byle czym. Postanowiła rozejrzeć się po okolicy.

Na parkingu stało pełno należących do lekarzy najnowszych modeli cadillaków i BMW. Jeannie ruszyła szybkim krokiem wzdłuż bocznej ściany kliniki. Czarny mężczyzna z białą brodą odkurzał chodnik hałaśliwą dmuchawą. Nigdzie nie było niczego godnego uwagi. Trafiała na ślepa ścianę i zawróciła.

Przez oszklone drzwi zobaczyła Dicka Minsky'ego, który stał w hallu i rozmawiał z uśmiechniętą recepcjonistką. Kiedy minęła wejście do kliniki, powiódł za nią niespokojnym wzrokiem.

Okrażając budynek z drugiej strony, zobaczyła pojemniki ze śmieciami. Trzej mężczyźni w ciężkich rękawicach ładowali worki na ciężarówkę. Uświadomiła sobie, że to co robi, jest niepoważne. Zachowywała się jak detektyw w trzeciorzędym kryminale. Miała już zamiar się odwrócić, kiedy coś ją uderzyło. Śmieciarze podnosili ciężkie plastikowe worki bez żadnego wysiłku, jakby prawie nic nie ważyły. Jakie śmieci mogły być lekkie, lecz zajmować dużo miejsca?

Pocięty papier?

Usłyszała za sobą przestraszony głos Dicka Minsky'ego.

- Proszę stąd odejść, doktor Ferrami.

Obejrzała się. Wyłonił się zza rogu budynku w towarzystwie mężczyzny, ubranego w mundur podobny do policyjnego, używany przez ochroniarzy.

Podeszła szybko do worków.

- Hej! - zawołał Dick Minsky.

Śmieciarze gapili się na nią, ale wcale się tym nie przejmowała. Przedarła z boku worek i wyciągnęła pełną garść śmieci.

Trzymała w ręku cienkie paski brązowego papieru. Przyjrząwszy im się bliżej, dostrzegła, że są zapisane, częściowo długopisem, częściowo na maszynie. To były pocięte karty chorobowe.

Istniał tylko jeden powód, dla którego wywożono dzisiaj tyle worków.

Zniszczyli archiwum z samego rana - kilka godzin po jej telefonie.

Rzuciła paski na ziemię i odeszła. Jeden ze śmieciarzy wrzasnął coś za nią, ale zignorowała go.

Teraz nie miała żadnych wątpliwości.

Stała przed Dickiem Minskyem, opierając ręce na biodrach. Okłamywał ją i dlatego był taki roztrzęsiony.

- Macie nieczyste sumienie, prawda? - zawołała. - Co chcecie ukryć, niszcząc to archiwum?

Był kompletnie przerażony.

- Nic nie chcemy ukryć - wyjąkał. - Pani sugestia jest obraźliwa.

- Oczywiście, że chcecie coś ukryć - odparła. Ogarnęła ją ślepa furia. - Ale te badania są dla mnie bardzo ważne - dodała, grożąc mu zwiniętą broszurą Genetico, którą wciąż

trzymała w rękę - i niech pan pamięta, że każdy, kto mnie okłamuje, dostanie jeszcze porządnie w dupę.

- Proszę stąd odejść - powiedział Dick Minsky.

Ochroniarz złapał ją pod lewy łokieć.

- Już idę - syknęła. - Niech pan mnie nie dotyka.

Facet nie puścił jej.

- Tędy, proszę - oznajmił.

Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat, siwe włosy i wydatny brzuch. Jeannie była zbyt rozwścieczona, żeby pozwolić mu się szarpać. Prawą dłonią złapała za rękę, którą ją trzymał. Nie miał prawie mięśni.

- Proszę mnie puścić - syknęła, zaciskając palce na jego ramieniu. Miała silne dłonie i uścisk mocniejszy niż większość mężczyzn. Strażnik usiłował się opierać, ale nie mógł znieść bólu i w końcu ją puścił. - Dziękuję bardzo - powiedziała i pomaszerowała w stronę ulicy.

Poczuła się wyraźnie lepiej. Nie myliła się sądząc, że klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w klinice. Wysiłki, jakie podejmowali, żeby niczego się nie dowiedziała, stanowiły najlepsze potwierdzenie ich nieczystego sumienia.

Podeszła do swojego samochodu, lecz nie wsiadła do środka. Było wpół do trzeciej, a ona nie miała jeszcze prawie nic w ustach. Była zbyt podekscytowana, żeby coś zjeść, ale musiała napić się kawy. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła kafeterię. Wydawała się tania i czysta. Przeszła przez jezdnię i wstąpiła do środka.

Jej groźby pod adresem Dicka Minsky'ego były czystą fanfaronadą: nie potrafiła mu w żaden sposób zaszkodzić. Wściekając się na niego, niczego nie osiągnęła. Wprost przeciwnie: pozbyła się karty atutowej, dając im do zrozumienia, że wie, iż ją okłamano. Teraz będą się lepiej pilnowali.

W kafeterii było prawie pusto; kilku studentów kończyło lunch. Jeannie zamówiła kawę i sałatkę. Czekaając otworzyła broszurę, którą zabrała z poczekalni kliniki.

Klinika Aventine - przeczytała - założona została w roku 1972 przez firmę Genetico jako pionierski ośrodek badań nad inseminacją in vitro - metodą, dzięki której kobiety mogą rodzić potomstwo nazywane w gazetach „dziećmi z probówki”.

I nagle wszystko stało się jasne.

Jane Edelsborough była pięćdziesięciokilkuletnią wdową. Posągowa, lecz niezbyt schludna, chodziła na ogół w luźnych ludowych strojach i sandałach. Miała wybitny umysł, nikt jednak nie domyśliłby się tego po jej wyglądzie. Berrington nie rozumiał takich ludzi. Jeśli ktoś jest naprawdę inteligentny, dlaczego udaje idiotę, fatalnie się ubierając? Mimo to na uniwersytetach roilo się od niechlujów - w gruncie rzeczy to on odbiegał od normy, dbając o swój ubiór.

Tego dnia wyglądał wyjątkowo szykownie w granatowej marynarce, dobranej do niej kamizelce i lekkich spodniach w kratę. Zanim wyszedł ze swojego gabinetu na spotkanie z Jane, przejrzał się w lustrze.

Po kilku minutach wkroczył do siedziby Związku Studentów. Pracownicy naukowci rzadko się tam stołowali - on sam nigdy dotąd nie przestąpił progu tego budynku - ale z tego, co usłyszał od sekretarki z wydziału fizyki, Jane chodziła tam na późny lunch.

W hallu pełno było młodych ludzi w szortach, stojących w kolejkach do bankomatów. Berrington skręcił w prawo i rozejrzał się dookoła. Jane siedziała daleko w kącie, czytając jakieś czasopismo i jedząc frytki palcami.

Mieścił się tu prawdziwy kombinat gastronomiczny, podobny do tych, które widywał na lotniskach i w centrach handlowych, z Pizzą Hut, lodziarnią, Burger Kingiem i właściwą kafeterią. Berrington wziął tackę i ruszył w stronę kafeterii. W oszklonej gablocie leżało kilka nieświeżych kanapek i zeschniętych ciastek. Przeszedł go dreszcz; w normalnych okolicznościach wolałby raczej pojechać do sąsiedniego stanu, niż skosztować coś takiego.

Wiedział, że czeka go trudne zadanie. Jane nie była w jego typie. To jeszcze bardziej skłaniało go do podejrzenia, że opowie się za Jeannie podczas posiedzenia komisji dyscyplinarnej. Powinien się z nią bardzo szybko zaprzyjaźnić. Musiał zaangażować w tym celu cały swój wrodzony wdzięk.

Kupił kawałek sernika i kawę i ruszył z tacką do stolika Jane. Był cały spięty, ale starał się sprawiać wrażenie rozluźnionego.

- Cześć, Jane - powiedział. - Co za przyjemna niespodzianka. Mogę się do ciebie przysiąść?

- Jasne - odparła z uśmiechem, odkładając swoje czasopismo. Zdjęła okulary, odsłaniając duże piwne oczy i biegnące od ich kącików kurze łapki, w gruncie rzeczy jednak nie wyglądała zbyt zachęcająco: długie szare włosy związała jakąś nieokreślonego koloru

szmatą i miała na sobie workowatą szarozieloną bluzkę z plamami potu pod pachami. - Chyba nigdy cię tu nie widziałam - stwierdziła.

- Nigdy tu nie byłem. Ale w naszym wieku nie można chodzić stale utartymi ścieżkami. Chyba się ze mną zgodzisz?

- Jestem od ciebie młodsza - oznajmiła. - Chociaż nikt by tego nie powiedział.

- Nie masz racji - zaprotestował i ugryzł kawałek sernika. Biskopt na dole był twardy jak tektura, a masa serowa przypominała cytrynowy krem do golenia. Przełknął z trudem kęs. - Co sądzisz o bibliotece biofizyki, proponowanej przez Jacka Budgena? - zapytał.

- Dlatego przyszedłeś się tu ze mną zobaczyć?

- Nie przyszedłem się tu z tobą zobaczyć, przyszedłem spróbować tutejszego jedzenia i teraz tego żałuję. Jest okropne. Jak możesz tu w ogóle jadać?

Jane wbiła łyżkę w swój deser.

- Nie zwracam uwagi na to, co jem, Berry, myślę o moim akceleratorze cząsteczek. Opowiedz mi o nowej bibliotece.

Kiedyś, dawno temu, był podobny do niej, myślał tylko o swojej pracy. Nigdy nie ubierał się w związku z tym jak abnegat, w młodości marzył jednak o wielkich odkryciach. Potem jego życie potoczyło się inaczej. W swoich książkach popularyzował cudze osiągnięcia; od piętnastu, może od dwudziestu lat nie napisał ani jednej oryginalnej pracy. Przez chwilę zastanawiał się, czy byłby szczęśliwszy, gdyby dokonał innego wyboru. Niechlujna Jane, stołująca się w taniej kafeterii i zaprzątnięta problemami fizyki nuklearnej, miała w sobie spokój i zadowolenie, których on nie zaznał nigdy w życiu.

Jak na razie nie bardzo udawało mu się ją oczarować. Była zbyt sprytna. Może powinien polechtać jej intelektualną dumę.

- Uważam po prostu, że powinnaś się w to bardziej zaangażować - stwierdził. - Jesteś naszą czołową fizyczką, jedną z najwybitniejszych postaci na tym uniwersytecie... musisz mieć więcej do powiedzenia w tej sprawie.

- Czy ta biblioteka kiedykolwiek powstanie?

- Moim zdaniem Genetico pokryje dużą część kosztów.

- To dobra wiadomość. Ale dlaczego tak się tym interesujesz?

- Trzydzieści lat temu zyskałem rozgłos, kiedy zacząłem zastanawiać się, jakie ludzkie cechy są dziedziczne, a jakie wyuczone. Dzięki moim badaniom i badaniom innym wiemy teraz, że dziedzictwo genetyczne w większym stopniu aniżeli wychowanie i środowisko określa cały szereg właściwości psychicznych.

- Natura, nie środowisko.

- Właśnie. Udowodniłem, że człowiek jest taki, jakie jest jego DNA. Młodsze pokolenie interesuje się przebiegiem tego procesu. Jaki mechanizm sprawia, że dzięki pewnej kombinacji związków chemicznych mam niebieskie oczy, a dzięki innej kombinacji ty masz oczy, które są głębokie, ciemnobrązowe, przypominające niemal kolorem czekoladę.

- Berry! - przerwała mu, uśmiechając się przekornie. - Gdybym była trzydziestoletnią sekretarką z prężnym biustem, pomyślałabym, że ze mną flirtujesz.

Tak już lepiej, pomyślał. W końcu trochę zmiękła.

- Z prężnym biustem? - powtórzył z uśmiechem. Z premedytacją przyjrzał się jej piersiom, a potem podniósł wzrok. - Twój też robi wrażenie całkiem prężnego.

Roześmiała się, ale widział, że jest zadowolona. Nareszcie posunął się z nią do przodu.

- Muszę już iść - oznajmiła niespodziewanie.

Niech to szlag. Zupełnie nie panował nad sytuacją. Musiał zaabsorbować czymś szybko jej uwagę. Wstał razem z Jane od stolika.

- Propozycję stworzenia nowej biblioteki rozpatrzy prawdopodobnie specjalna komisja - powiedział, kiedy wychodzili z kafeterii. - Chciałbym wiedzieć, kto według ciebie powinien się w niej znaleźć.

- Jezu, muszę się nad tym spokojnie zastanowić. Za chwilę mam wykład na temat antimaterii.

Do diabła, wymyka mi się z rąk, pomyślał.

- Może spotkamy się później? - zapytała nagle.

Berrington uchwycił się tego jak ostatniej deski ratunku.

- Co powiesz na wspólną kolację?

Jane zrobiła zdziwioną minę.

- Dobrze - odparła po chwili.

- Dzisiaj wieczorem.

Na jej twarzy ukazało się rozbawienie.

- Czemu nie?

- Podjadę po ciebie o ósmej - zaproponował z ulgą. Będzie miał jeszcze jedną szansę.

- W porządku. - Dała mu swój adres, który zanotował w kieszonkowym notesie.

- Jakie lubisz jedzenie? - zapytał. - Zresztą nie musisz odpowiadać, pamiętam, ty myślisz o swoim akceleratorze cząsteczek. - Wyszli na gorące słońce. Berrington uściskał lekko jej ramię. - Do zobaczenia wieczorem.

- Chyba nie chcesz ode mnie czegoś konkretnego, Berry?

- A co masz do zaoferowania? - odparł, mrugając do niej okiem.

Jane roześmiała się głośno i odeszła.

Dzieci z probówki. Zapłodnienie *in vitro*. To było brakujące ogniwo. Jeannie wszystko nagle zrozumiała.

Zarówno Charlotte Pinker, jak i Lorraine Logan leczone były na bezpłodność w Aventine. Klinika prowadziła pionierskie badania w dziedzinie zapłodnienia *in vitro*: procesu, podczas którego spermę od ojca i jajo od matki łączy się w laboratorium, a powstały embryon umieszcza w macicy kobiety.

Jednojąkowe bliźnięta powstają, kiedy embryon dzieli się na pół w macicy i rodzi się dwoje dzieci. To samo mogło się wydarzyć w probówce. Wtedy bliźniaki z probówki można umieścić w macicach dwóch różnych kobiet. W ten sposób Jednojąkowe bliźnięta mogły zostać urodzone przez dwie niespokrewnione ze sobą matki. Bingo.

Kelnerka przyniosła sałatkę, ale Jeannie była zbyt podekscytowana, żeby jeść.

Na początku lat siedemdziesiątych zapłodnienie *in vitro* było na etapie teorii, ale Genetico najwyraźniej wyprzedziło o kilka lat inne ośrodki.

Lorraine i Charlotte powiedziano, że przechodzą terapię hormonalną. Wyglądało na to, że zostały oszukane przez klinikę.

Już to samo było naganne, ale rozważając dalsze implikacje, Jeannie zdała sobie sprawę z czegoś gorszego. Bliźniaki, które powstały z podziału, mogły być dziećmi Lorraine i Charlesa lub Charlotte i majora - ale nie obu par. Któreś z małżeństw otrzymało dziecko drugiej pary.

A potem uświadomiła sobie z przerażeniem i grozą, że oba małżeństwa mogły otrzymać dzieci zupełnie obcych ludzi.

Zastanawiała się, dlaczego Genetico oszukało w tak podły sposób swoje pacjentki. Zabieg nie był wcześniej wykonywany: może potrzebowali ludzkich królików doświadczalnych. Może poprosili o zgodę i jej nie uzyskali. A może mieli jakiś inny powód, żeby zachować to w tajemnicy.

Jakiegokolwiek były ich motywy, Jeannie zrozumiała teraz, dlaczego Genetico tak bardzo wystraszyło się jej poszukiwań. Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej nieetycznego od wszczepienia kobiecie bez jej zgody obcego embryonu. Gdyby Lorraine Logan kiedykolwiek się o tym dowiedziała, musieliby jej zapłacić bająnskie sumy.

Wypiła łyk kawy. Podróż do Filadelfii nie poszła jednak na marne. Nie znalazła odpowiedzi na wszystkie pytania, ale rozwiązała główną zagadkę. Sprawilo jej to głęboką satysfakcję.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła wchodzącego do kawiarni Steve'a.

Zamrugła zaskoczona oczyma i wlepiała w niego wzrok. Miał na sobie spodnie khaki i niebieską koszulę i znalazłszy się w środku, zamknął za sobą drzwi piętą.

Jeannie uśmiechnęła się szeroko i wstała, żeby go przywitać.

- Steve! - zawołała z radością. Pamiętając o swoim postanowieniu, zarzuciła mu rękę na ramiona i pocałowała w usta. Pachniał dzisiaj inaczej, mniej tytoniem, bardziej przyprawami. Przycisnął ją do siebie i odwzajemnił pocałunek.

- Mój Boże, kiedy ja się ostatnio tak całowałam - odezwała się jakaś starsza kobieta i kilka osób roześmiało się.

- Siadaj - powiedziała Jeannie. - Chcesz coś zjeść? Spróbuj trochę mojej sałatki. Co tutaj robisz? Trudno mi w to uwierzyć. Musiałeś mnie chyba śledzić. Nie, nie, znasz przecież nazwę kliniki i postanowiłeś się tu ze mną spotkać.

- Miałem po prostu ochotę z tobą pogadać.

Steve pogładził brwi opuszką wskazującego palca. Coś w tym geście ją zaniepokoiło - u kogo widziałam coś takiego? - ale szybko przestała o tym myśleć.

- Uwielbiasz niespodzianki - stwierdziła.

- Tak sądzisz? - odparł zaczepnie.

- Lubisz pojawiać się bez uprzedzenia, prawda?

- Tak jakby.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś dzisiaj trochę dziwny. Co cię trapi?

- Słuchaj, spocilem się tu z tobą. Może wyjdziemy?

- Jasne. - Jeannie położyła na stoliku pięciodolarowy banknot i wstała z krzesła. - Gdzie jest twój samochód? - zapytała, kiedy wyszli na ulicę.

- Pojedźmy twoim.

Wsiedli do czerwonego mercedesa. Jeannie zapięła pasy, ale on tego nie zrobił. Kiedy tylko ruszyła, przysunął się do niej na siedzeniu, odgarnął jej włosy i zaczął całować w szyję. Było jej przyjemnie, ale trochę ją to krępowało.

- Jesteśmy chyba za starzy, żeby robić to w samochodzie - oznajmiła.

- W porządku - zgodził się. Przestał ją całować, ale nie zabrał ręki z ramienia. Jeannie jechała na wschód. - Wjedź na autostradę. Chcę ci coś pokazać - powiedział, kiedy zbliżyła się do mostu. Zgodnie ze znakami skręciła w prawo w Schuylkill Avenue i zatrzymała się na czerwonych światłach.

Ręka Steve'a zjechała z jej ramienia i zaczęła pieścić pierś. W reakcji na jego dotyk stwardniała jej brodawka, lecz nie było jej wcale przyjemnie. Czowała się tak, jakby obmacywał ją w metrze.

- Lubię cię, Steve, ale chyba za szybko się do mnie dobierasz - stwierdziła.

Zamiast odpowiedzieć złapał ją palcami za brodawkę i mocno uszczypnął.

- Au! To boli! Na litość boską, co w ciebie wstąpiło? - powiedziała, odsuwając jego dłoń prawą ręką. Światła zmieniły się na zielone i wjechała na estakadę prowadzącą do Schuylkill Expressway.

- Nie wiem, czego się z tobą trzymać - poskarżył się. - Najpierw całujesz mnie jak nimfomanka, a potem jesteś zimna jak lód.

A ja uważałam tego chłopaka za dojrzałego, pomyślała, wjeżdżając na południową nitkę autostrady.

- Słuchaj, dziewczyna całuje cię, bo chce cię pocałować. To wcale nie daje ci prawa robić z nią, co ci się żywnie podoba. I nie powinieneś nigdy zadawać bólu.

- Niektóre dziewczyny lubią, żeby bolało - stwierdził, kładąc rękę na jej kolanie.

Jeannie zsunęła ją.

- Co chciałeś mi pokazać? - zapytała, próbując odwrócić jego uwagę.

- To - odparł, biorąc jej prawą dłoń. Chwilę później poczuła pod palcami jego nagiego penisa, sztywnego i gorącego.

- Jezu Chryste! - jęknęła, wrywając dłoń. Rany boskie, kompletnie się co do niego pomyliła! - Zapnij rozporek, Steve, i przestań się zachowywać jak jakiś cholerny nastolatek!

Zanim się zorientowała, coś rąbnęło ją z całej siły w policzek.

Krzyknęła z bólu i skręciła w bok. Tuż obok zaryczał klakson potężnej ciężarówki, której zajeżdżała drogę. Bolały ją kości twarzy i czuła krew w ustach. Ignorując ból, starała się odzyskać panowanie nad samochodem.

Uświadomiła sobie z osłupieniem, że ją uderzył.

Nikt tego nigdy nie zrobił.

- Ty skurwysynu! - wrzasnęła.

- Teraz mnie pobranzluj - powiedział - bo inaczej zrobię z ciebie mokrą plamę.

- Pierdol się - warknęła.

Kątem oka zobaczyła, że cofa pięść, żeby zadać kolejne uderzenie.

Nie zastanawiając się wiele, wcisnęła hamulec.

Steve rąbnął głową w przednią szybę i jego cios nie doszedł celu. Z tyłu zapiszczały opony białej limuzyny, która skręciła na inne pasmo, żeby nie uderzyć w bagażnik mercedesa.

Kiedy odzyskał równowagę, puściła hamulec i samochód skoczył do przodu. Jeśli zatrzymam się na najszybszym paśmie autostrady, pomyślała, Steve wystraszy się i będzie błagał, żebym ruszyła. Nacisnęła ponownie hamulec i Steve'a rzuciło na szybę.

Tym razem szybciej odzyskał równowagę. Mercedes zatrzymał się w miejscu. Samochody osobowe i ciężarówki mijaly go, trąbiąc jak opętane. Jeannie była przerażona: w każdej chwili mógł w nich rąbnąć jakiś pojazd. Jej plan się nie powiódł: Steve wcale nie robił wrażenia przestraszonego. Wsadził jej rękę pod spódnicę, pociągnął rajstopy za gumkę i rozdarł je.

Usiłowała go odsunąć, ale on pchał się na nią całym ciałem. Chyba nie chce jej zgwałcić pośrodku autostrady? Zrozpaczona otworzyła drzwi, nie mogła jednak wysiąść, bo trzymały ją pasy. Próbowwała je odpiąć, ale Steve nie pozwalał jej sięgnąć do zamka.

Z lewej strony z autostradą łączyła się kolejna estakada i samochody wpadały od razu na najszybsze pasmo, pędząc sześćdziesiąt mil na godzinę i błyskając światłami. Czy żaden z kierowców nie zatrzyma się, żeby pomóc napastowanej kobiecie?

Kiedy próbowała go odepchnąć, noga zsunęła się jej z hamulca i samochód ruszył do przodu. Może na zmianę hamując i dodając gazu, jakoś sobie z nim poradzi? Prowadziła samochód, to dawało jej jedyną przewagę. Zdesperowana wcisnęła gaz do dechy.

Mercedes dał susa do przodu. Zapiszczały hamulce, kiedy autobus Greyhounda o mało nie zahaczył o zderzak jej samochodu. Steve'a wcisnęło w fotel i przez kilka sekund miała spokój, ale potem znowu zaczął się do niej dobierać, wyjmując piersi z biustonosza i wciskając palce między nogi. Jeannie wpadła w panikę. Najwyraźniej nie obchodziło go to, że oboje mogą zginąć. Co mogła zrobić, żeby go powstrzymać?

Skręciła gwałtownie w lewo, rzucając go na drzwi i przy okazji o mało nie wpadła na samochód do wywozu śmieci. Przez ułamek sekundy spoglądała prosto w przerażoną twarz kierowcy, starszego mężczyzny z siwymi wąsami, a potem szarpnęła kierownicę w drugą stronę, uciekając przed niebezpieczeństwem.

Steve chwycił ją za udo. Jeannie wcisnęła na zmianę pedały hamulca i gazu, lecz on śmiał się tylko głośno, jakby jechał diabelską kolejką, i zaraz potem złapał ją ponownie.

Walnęła go prawym łokciem i pięścią, ale trzymając kierownicę, nie mogła włożyć w uderzenie więcej siły i zdołała go powstrzymać tylko na parę sekund.

Jak długo to będzie trwało? Czy w tym mieście nie było żadnego gliniarza?

Zobaczyła przez ramię, że mija zjazd z autostrady. Na prawo od niej, kilka jardów z tyłu, jechał stary niebieski cadillac. Jeannie w ostatniej chwili szarpnęła kierownicę. Zapisały opony, mercedes przechylił się i zaczął jechać na dwóch lewych kołach, a Steve runął na nią całym ciałem. Niebieski cadillac skręcił, żeby w nich nie wjechać, rozległa się fanfara oburzonych klaksonów, a zaraz potem łoskot karoserii i przypominający ksylofon brzęk pękających szyb. Prawe koła uderzyły z ogłuszającym hukiem o asfalt. Mercedes wpadł w poślizg i o mało nie uderzył o betonową barierę zjazdu, ale Jeannie zdołała jakoś odzyskać nad nim panowanie.

Dodała gazu. Kiedy tylko samochód zaczął jechać prosto, Steve wcisnął jej rękę między nogi i próbował wetknąć palce pod majtki. Jeannie wyla się w fotelu, usiłując go powstrzymać. Zerknęła na jego twarz. Spocony i uśmiechnięty, dyszał szybko z podniecenia. Świetnie się bawił. To było czyste szaleństwo.

Przed nią i za nią nie było żadnych samochodów. Przy końcu zjazdu paliły się zielone światła. Droga w lewo prowadziła na cmentarz. Na drogowskazie w prawo widniał napis: CIVIC CENTER BOULEVARD i skręciła w tę stronę, mając nadzieję, że zobaczy zatłoczone centrum handlowe i tłum ludzi na chodnikach. Z przerażeniem stwierdziła, że ulica jest kompletnie pusta; wszędzie dokoła widziała porzucone budynki i betonowe placyki. Kilkadziesiąt jardów przed nią światła zmieniły się na czerwone. Jeśli teraz stanie, przepadła z kretesem.

Steve wsunął jej palce głęboko pod majtki.

- Zatrzymaj samochód! - rozkazał. Podobnie jak ona zorientował się, że jeśli zgwałci ją w tym miejscu, nikt nie powinien mu przeszkodzić.

Zadawał jej teraz ból, szczypiąc i wciskając głęboko palce, ale gorszy od bólu był strach przed tym, co ją czeka. Nie przejmując się czerwonym światłem dodała gazu.

Z lewej strony nadjechał ambulans i skręcił tuż przed mercedesem w tę samą ulicę. Jeannie wcisnęła mocno hamulec i uciekła na prawo. Jeśli się rozbije, udzielą mi przynajmniej pomocy, przemknęło jej przez myśl.

Steve wysunął z niej nagle palce i przez moment odczuła wielką ulgę. A potem złapał dźwignię automatycznej skrzyni biegów i przesunął ją na pozycję neutralną. Samochód stracił gwałtownie moc. Jeannie wrzuciła dźwignię z powrotem, wcisnęła pedał i wyprzedziła ambulans.

Czy to się nigdy nie skończy? Musiała dotrzeć do jakiejś zamieszkałej dzielnicy. Ale ulice Filadelfii zmieniły się nagle w księżycowy krajobraz.

Steve złapał za kierownicę i próbował skręcić na chodnik. Jeannie szarpnęła ją w drugą stronę. Tylne koła wpadły w poślizg i kierowca jadącego za nimi ambulansu zatrąbił z oburzeniem.

Steve spróbował ponownie. Tym razem był sprytniejszy. Lewą ręką przesunął dźwignię, a prawą chwycił za kierownicę. Samochód zwolnił i wjechał na krawężnik.

Jeannie puściła kierownicę i pchnęła go obu rękoma w pierś. Jej siła zaskoczyła go i poleciał do tyłu. Wrzuciła z powrotem bieg i mercedes przyspieszył, ale wiedziała, że nie zdoła z nim długo walczyć. W każdej chwili mógł znowu zatrzymać samochód i wtedy znajdzie się w pułapce.

Steve odzyskał równowagę i złapał oburącz za kierownicę. To już koniec, dłużej nie dam rady, pomyślała, skręcając w lewo i w tej samej chwili krajobraz miasta raptownie się zmienił.

Zobaczyła zatłoczoną ulicę, szpital, przed którym stała grupa ludzi, postój taksówek i uliczny kiosk z chińskimi potrawami.

- Mam cię! - krzyknęła z triumfem, wciskając hamulec. Steve złapał za kierownicę, ona szarpnęła ją w swoją stronę i mercedes zatrzymał się w końcu z piskiem opon na środku ulicy. Kilkunastu stojących przy kiosku taksówkarzy odwróciło się w ich stronę.

Steve otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i zniknął w tłumie.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęła.

Przez chwilę łapała kurczowo oddech. Steve uciekł. Koszmar się skończył.

Jeden z kierowców podszedł do mercedesa i wsadził głowę przez szybę. Jeannie poprawiała na sobie w pośpiechu ubranie.

- Nic pani nie jest? - zapytał.

- Chyba nie - odparła zdyszana.

- Co się tu, do diabła, działo?

Jeannie potrząsnęła głową.

- Sama chciałabym to wiedzieć - odparła.

Steve czekał na Jeannie, siedząc na niskim murku przed jej domem. Było gorąco, ale on schował się w cieniu dużego wiązu. Jeannie mieszkała w starej robotniczej dzielnicy zabudowanej tradycyjnymi szeregowymi domami. Z pobliskiej szkoły wracały do domu dzieci, śmiejąc się, kłócąc i żując cukierki. Jeszcze niedawno, osiem, dziewięć lat temu, niczym się od nich nie różnił.

Teraz jednak był zgnębiony i zrozpaczony. Jego adwokat rozmawiał po południu z sierżant Michelle Delaware z Wydziału Przestępstw Seksualnych baltimorskiej policji. Poinformowała go, że zna już wyniki testu. DNA ze spermy pobranej z pochwy Lisy Hoxton było dokładnie takie samo jak DNA z krwi Stevena.

Zupełnie go to załamało. Był przekonany, że wyniki testu zakończą tę udrękę.

Czuł, że adwokat nie wierzy już w jego niewinność. Mama i tato wciąż wierzyli, ale byli w rozterce; oboje wiedzieli dosyć, żeby zdawać sobie sprawę, że test DNA jest wysoce wiarygodny.

Chwilami zastanawiał się, czy nie ma czasami rozdwojenia jaźni. Może był jakiś inny Steven, który wcielał się w niego, gwałcił kobiety, a potem znikał. W takim przypadku nie zdawałby sobie po prostu sprawy, co robi. Przypomniało mu się, że nigdy nie potrafił odtworzyć w pamięci kilkunastu sekund bójki z Tipem Hendricksem. I chciał wbić palce w mózg Prosiaka Butchera. Czy te wszystkie rzeczy robiło jego *alter ego*!

Nie potrafił w to uwierzyć. Musiało istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

Jedynym promykiem nadziei było tajemnicze pokrewieństwo z Dennisem Pinkerem. Pinker miał takie samo DNA jak Steve. Coś się za tym kryło. A jedyną osobą, która mogła wyjaśnić tę zagadkę, była Jeannie Ferrami.

Dzieci zniknęły w swoich domach, a słońce schowało się za budynkami po drugiej stronie ulicy. Tuż przed szóstą na parking pięćdziesiąt jardów dalej zajechał czerwony mercedes i wysiadła z niego Jeannie. W pierwszej chwili nie zauważyła Steve'a. Otworzyła bagażnik, wyjęła z niego wielką czarną torbę na śmieci, po czym zamknęła samochód i ruszyła chodnikiem w jego stronę. Miała na sobie elegancką czarną garsonkę, ale wydawała się jakaś znużona i stawiała z trudem kroki. Steve'owi zrobiło się jej żal. Zastanawiał się, co ją tak zgnębiło. Była jednak piękna jak marzenie i obserwując ją poczuł, jak szybciej bije mu serce.

Kiedy podeszła bliżej, wstał, uśmiechnął się i zrobił krok w jej stronę.

Spojrzała na niego i na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

Otworzyła usta i głośno krzyknęła.

Steve stanął jak wryty w miejscu.

- Co się stało, Jeannie? - zapytał skonsternowany.

- Odejdź ode mnie! - wrzasnęła. - Nie dotykaj mnie! Zaraz dzwonię po policję!

Steve podniósł w górę ręce.

- Oczywiście, co tylko sobie życzysz. Nie mam zamiaru cię dotykać, okay? Co w ciebie wstąpiło?

Przez frontowe drzwi domu Jeannie wyszedł jej sąsiad, starszy czarny mężczyzna w koszuli w kratę i krawacie. Steve domyślił się, że zajmuje mieszkanie na parterze.

- Wszystko w porządku, Jeannie? - zapytał. - Wydawało mi się, że słyszałem jakieś krzyki.

To ja, panie Oliver - odparła drżącym głosem. - Ten drań zaatakował mnie dziś po południu w moim samochodzie.

- Zaatakował cię? - zdziwił się Steve. - Nigdy bym tego nie zrobił!

Ty sukinsynu, zrobiłeś to dwie godziny temu.

Steve poczuł, że traci cierpliwość. Miał już dosyć tych bezsensownych oskarżeń.

- Co ty chrzaniasz, nie byłem w Filadelfii od paru lat!

- Ten młody dżentelmen siedział na murku przed domem od jakichś dwóch godzin, Jeannie - wtrącił pan Oliver. - Nie mógł być w Filadelfii dzisiaj po południu.

Jeannie posłała sąsiadowi oburzone spojrzenie, jakby posądzała go o kłamstwo.

Steve zauważył, że nie ma rajstop; jej gołe nogi nie pasowały do eleganckiej garsonki. Miała poza tym lekko spuchnięty i zaczerwieniony policzek. Przeszła mu złość. Ktoś ją zaatakował. Chciał ją objąć i pocieszyć. To, że się go bała, jeszcze bardziej zasmuciło Steve'a.

- Uderzył cię! - powiedział. - Sukinsyn.

Wyraz twarzy Jeannie zmienił się. Zniknęło z niej przerażenie.

- Siedzi tutaj od dwóch godzin? - zapytała sąsiada.

Pan Oliver wzruszył ramionami.

- Od godziny i czterdziestu, może pięćdziesięciu minut.

- Jest pan pewien?

- Jeśli dwie godziny temu był w Filadelfii, musiałby tu wrócić concordem.

Jeannie przyjrzała się uważnie Steve'owi.

- To musiał być Dennis - mruknęła.

Podszedł do niej bliżej. Nie cofnęła się. Podniósł rękę i dotknął palcami jej spuchniętego policzka.

- Biedactwo - szepnął.

- Myślałam, że to ty - odparła i lzy napłynęły jej do oczu.

Wziął ją w ramiona. Jej ciało powoli się odprężyło i w końcu ufnie się o niego oparła. Pogładził ją po głowie, wsunął palce między ciemne fale włosów i zamknął oczy, rozmyślając o tym, jaka jest silna i smukła. Założę się, że Dennis też nieźle oberwał, pomyślał. Mam taką nadzieję.

Pan Oliver dyskretnie zakaszłał.

- Macie może ochotę na filiżankę kawy?

Jeannie odsunęła się od Steve'a.

- Nie, dziękuję - odparła. - Przede wszystkim chcę zdjąć z siebie to ubranie.

Na jej twarzy wciąż malowało się napięcie, ale wyglądała przez to jeszcze bardziej czarująco. Zaczynam kochać tę kobietę, pomyślał Steve. Nie chodzi tylko o to, że pragnę się z nią przespać, chociaż o to również. Chcę, żeby była moim przyjacielem. Chcę z nią oglądać telewizję, chodzić do supermarketu i dawać syrop na łyżce, kiedy jest przeziębiona. Chcę oglądać, jak myje zęby, zakłada dżinsy i smaruje masłem grzanekę. Chcę, żeby pytała mnie, czy pasuje jej pomarańczowa szminka, czy powinna kupić maszynkę do golenia i o której godzinie wrócę do domu.

Zastanawiał się, czy będzie miał odwagę, żeby jej o tym powiedzieć.

Jeannie weszła po schodkach na werandę i dotknęła ręką klamki. Steve zawahał się. Chciał za nią iść, ale czekał, aż go zaprosi.

Obejrzała się na progu.

- No chodź - poprosiła.

Wspiął się za nią po schodach i wszedł do salonu. Jeannie położyła czarną plastikową torbę na dywaniku, ściągnęła z nóg półbuty i ku jego zdziwieniu wyrzuciła je do kuchennego kosza na śmieci.

- Nigdy już nie włożę tego zafajdanego ubrania - stwierdziła z gniewem. Zdjęła żakiet, wyrzuciła go, a potem na oczach spoglądającego z niedowierzaniem Steve'a rozpięła bluzkę i ją również cisnęła do kosza.

Miała na sobie prosty czarny stanik. Z pewnością nie zdejmie stanika w mojej obecności, pomyślał. Ale ona sięgnęła do tyłu, rozpięła go i wyrzuciła do śmieci. Miała jędrne niewielkie piersi z wyraźnymi brązowymi brodawkami. Na ramieniu, w miejscu,

gdzie wcisnęło się jej w skórę zbyt mocne ramiączko, widniało niewielkie zaczerwienienie. Steve'owi zaschło w gardle.

Jeannie rozpięła zamek błyskawiczny spódnicy i pozwoliła jej opaść na podłogę. Steve gapił się na nią z otwartymi ustami. Miała silne ramiona, śliczne piersi, płaski brzuch i długie kształtne nogi. Zdjęła czarne majteczki, zwinęła je w kłębek razem ze spódnicą i wcisnęła do śmieci. Między jej nogami zobaczył wijące się gęsto włosy łonowe.

Przez chwilę spoglądała na niego nieobecny wzrokiem, tak jakby nie bardzo wiedziała, co tutaj robi.

- Muszę wziąć prysznic - oznajmiła wreszcie, po czym przedfilowała nago tuż obok niego. Steve wbił wzrok w jej plecy, sycąc zmysły szczegółami łopatek, wąskiej talii, zaokrąglonych bioder i mięśni nóg. Była piękna aż do bólu.

Weszła do łazienki. Chwilę później usłyszał szum płynącej wody.

- Jezu - szepnął, siadając na czarnej kanapie. Co to miało znaczyć? Czy to był jakiś sprawdzian? Co chciała mu dać do zrozumienia?

Uśmiechnął się. Miała cudowne ciało: silne, smukłe i proporcjonalnie zbudowane. Bez względu na to, co się wydarzy, nigdy nie zapomni tego, jak wyglądała.

Myślał bardzo długo. Zdał sobie sprawę, że w całym zamieszaniu nie powtórzył jej najnowszych wiadomości. W końcu woda przestała płynąć. Minutę później Jeannie wróciła do pokoju w dużym różowym szlafroku kąpielowym, z przylepionymi do głowy mokrymi włosami.

- Czy mi się śniło, czy rzeczywiście się przed tobą rozebrałam? - zapytała, siadając obok niego na kanapie.

- To nie był sen - odparł. - Wyrzuciłaś swoje ubranie do śmieci.

- Mój Boże, nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Nie masz za co przepraszać. Cieszę się, że mi ufasz. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

- Musiałeś pomyśleć, że zwariowałam.

- Wcale nie. Przypuszczam, że wciąż jesteś w szoku po tym, co zdarzyło się w Filadelfii.

- Może masz rację. Pamiętam tylko, że chciałam się jak najprędzej pozbyć rzeczy, które miałam na sobie, kiedy to się stało.

- To może być odpowiednia pora, żeby otworzyć tę butelkę wódki, którą trzymasz w zamrażalniku.

Jeannie potrząsnęła głową.

Tak naprawdę mam ochotę na herbatę jaśminową.

- Pozwól, że ci zrobię. - Steve wstał i podszedł do blatu w kuchni. - Dlaczego nosisz ze sobą torbę na śmieci?

- Wywalili mnie dzisiaj z pracy. Wsadzili wszystkie moje rzeczy do tej torby i zamknęli przede mną mój pokój.

- Jak to? - Nie potrafił w to uwierzyć.

- W "New York Timesie" ukazał się artykuł, w którym piszą, że sposób, w jaki korzystam z baz danych, narusza cudzą prywatność. Ale myślę, że Berrington Jones użył tego tylko jako pretekstu, żeby się mnie pozbyć.

Steve zapłonął świętym oburzeniem. Chciał protestować, rzucić się jej na pomoc, ratować przed prześladowcami.

- Nie mogą cię chyba tak po prostu wyrzucić?

- Nie. Jutro zwołują w tej sprawie specjalne posiedzenie komisji dyscyplinarnej senatu.

- Oboje mamy niewiarygodnie zły tydzień - zaczął Steve. Chciał powiedzieć jej o wynikach testu DNA, ale Jeannie podniosła słuchawkę telefonu.

- Potrzebny mi jest numer zakładu karnego Greenwood, to niedaleko Richmond w Wirginii - powiedziała, dodzwoniwszy się do informacji. Steve nalał wody do czajnika, a ona zapisała numer i zatelefonowała do więzienia. - Czy mogę mówić z dyrektorem Temoigne? Mówi doktor Ferrami. Tak, poczekam. Dziękuję... Dobry wieczór, dyrektorze, jak się pan miewa? U mnie wszystko w porządku. To pytanie może się panu wydać trochę niepoważne, ale czy Dennis Pinker w dalszym ciągu siedzi w więzieniu? Jest pan pewien? Widział go pan na własne oczy? Dziękuję. Pan też niech na siebie uważa. Do widzenia. - Jeannie odwróciła się do Steve'a. - Dennis jest wciąż za kratkami. Dyrektor widział go godzinę temu.

Steve wsypał łyżeczkę jaśminowej herbaty do dzbanka i wyjął z szafki dwie filiżanki.

- Gliniarze mają już wyniki testu DNA - powiedział. Jeannie zastygła w bezruchu.

- No i...?

- DNA spermy pobranej z pochwy Lisy jest takie samo jak DNA mojej krwi.

- Czy myślisz to samo co ja? - zapytała niepewnym głosem.

- Ktoś, kto wygląda dokładnie jak ja i ma takie samo DNA zgwałcił w niedzielę Lisę. Ten sam facet zaatakował cię dzisiaj w Filadelfii. I to nie był Dennis Pinker.

Popatrzyli sobie prosto w oczy.

- Jest was trzech - powiedziała Jeannie.

- Jezu Chryste. - Czuł, że ogarnia go rozpacz. - Ale to jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Gliniarze nigdy w to nie uwierzą. Jak w ogóle mogło się zdarzyć coś takiego?

- Poczekaj - przerwała mu podniecona. - Nie wiesz, co odkryłam dziś po południu, zanim trafiłam na twojego sobowtóra. Znalazłam rozwiązanie.

- Daj Boże, żeby to była prawda.

Na jej twarzy odbiła się troska.

- To może być dla ciebie szok.

- Nie dbam o to, chcę po prostu wiedzieć.

Jeannie sięgnęła do plastikowej torby na śmieci i wyciągnęła z niej swoją płócienną teczkę.

- Spójrz na to - powiedziała, wyjmując z niej kolorową broszurę i wręczając ją Steve'owi.

Klinika Aventine - przeczytał pierwszy akapit - założona została w roku 1972 przez firmę Genetico jako pionierski ośrodek badań nad inseminacją in vitro - metodą, dzięki której kobiety mogą rodzić potomstwo, nazywane w gazetach „dziećmi z próbówki”.

- Myślisz, że ja i Dennis jesteśmy dziećmi z próbówki? - zapytał.

- Tak.

Poczuł w żołądku dziwną słabość.

- To niesamowite. Lecz co z tego wynika?

- Jednojąjowe bliźnięta mogły zostać zapłodnione w laboratorium, a potem umieszczone w macicach różnych kobiet.

Robiło mu się coraz bardziej niedobrze.

- A sperma i jajo mogło pochodzić od mamy i taty czy od Pinkerów?

- Nie wiem.

- Więc Pinkerowie mogą być moimi prawdziwymi rodzicami. Boże.

- Istnieje jeszcze inna możliwość.

Widział po jej zatroskanym wyrazie twarzy, że boi się sprawić mu kolejną przykrość. Domyślił się, co chciała powiedzieć.

- Możliwe, że sperma i jajo nie pochodzą ani od moich rodziców, ani od Pinkerów. Mogę być dzieckiem zupełnie obcych ludzi.

Jeannie milczała, ale jej wzrok wskazywał, że się nie myli.

Był kompletnie zdezorientowany. Przypominało to sen, w którym uprzytamniał sobie nagle, że spada w bezdenną przepaść.

- Ciężko się z tym pogodzić - szepnął. Czajnik sam się wyłączył. Żeby zająć czymś ręce, wlał wrzącą wodę do dzbanka. - Nigdy nie byłem zbyt podobny do mamy ani taty. Czy jestem podobny do Pinkerów?

- Nie.

- W takim razie jestem najprawdopodobniej dzieckiem obcych ludzi.

To w żadnym wypadku nie zmienia faktu, że mama i tato kochają cię, wychowali cię i oddaliby za ciebie życie.

Drżącą ręką nalał herbatę do dwóch filiżanek. Podał jedną z nich Jeannie i usiadł obok niej na kanapie.

- Ale jak wytłumaczyć istnienie trzeciego bliźniaka?

- Trzeciego trojaczka. Jeśli w probówce mogły powstać bliźniaki, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby powstały trojaczki. Proces jest podobny: jeden z embrionów ponownie się dzieli. To zdarza się w naturze, więc może się zdarzyć również w laboratorium.

Steve wciąż miał wrażenie, że wiruje w powietrzu, ale teraz doznał niewielkiej ulgi. Jeannie opowiadała przedziwne rzeczy, lecz to co mówiła, wyjaśniało przynajmniej, dlaczego oskarżono go o dwie brutalne zbrodnie.

- Czy mama i tato cokolwiek o tym wiedzą?

- Nie sądzę. Twoja matka i Charlotte Pinker powiedziały mi, że w klinice poddano je kuracji hormonalnej. W tamtych czasach nie dokonywano zabiegów sztucznego zapłodnienia. Genetico musiało wyprzedzić o całe lata inne ośrodki badawcze. I sądzę, że eksperymentowali, nie mówiąc w ogóle swoim pacjentkom, co robią.

- Nic dziwnego, że teraz się boją - stwierdził. - Nareszcie rozumiem, dlaczego Berrington stara się tak desperacko cię zdyskredytować.

- Zgadza się. To, czego się dopuścili, jest naprawdę nieetyczne. Naruszenie prywatności to przy tym drobiazg.

- Nie chodzi tylko o etykę. Sprawa może ich zrujnować finansowo.

Jeannie podniosła z zainteresowaniem wzrok.

- To by dużo wyjaśniało. Ale w jaki sposób może ich to zrujnować?

- Wyrządzili krzywdę niemajątkową. Uczyliśmy się tego w zeszłym roku. - Dlaczego mówię o krzywdzie niemajątkowej, przemknęła mu myśl, zamiast powiedzieć, jak bardzo ją kocham. - Jeśli Genetico zaoferowało kobiecie kurację hormonalną, a potem świadomie, w

ogóle jej o tym nie informując, umieściło w jej macicy cudzy płód, oznacza to, że od początku nie mieli zamiaru dotrzymać warunków umowy.

- Przecież to zdarzyło się tak dawno temu. Czy tego rodzaju przestępstwa nie są objęte jakimś przedawnieniem?

- Owszem, ale jego okres rozpoczyna się od momentu ujawnienia oszustwa.

- Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób może to ich doprowadzić do bankructwa.

- To idealna sprawa do wystąpienia o odszkodowanie. Jego wysokość ma nie tylko zrekompensować poszkodowanym koszty, które ponieśli na przykład na wychowanie dziecka, ale również ukarać sprawców tak, żeby oni sami oraz inni bali się ponownie popełnić to przestępstwo.

- O jakiej mówimy sumie?

- Genetico świadomie wykorzystało ciało kobiety do swoich własnych celów... jestem pewien, że każdy szanujący się adwokat zażąda stu milionów dolarów.

- Według tego artykułu w "Wall Street Journal", cała firma jest warta tylko sto osiemdziesiąt milionów.

- Więc pójdą z torbami.

- Mogą minąć lata, zanim dojdzie do procesu.

- Naprawdę tego nie rozumiesz? Sama groźba może storpedować transakcję z Landsmannem.

- W jaki sposób?

- Niebezpieczeństwo milionowych odszkodowań, które będzie musiało zapłacić Genetico, obniża wartość akcji. Przejęcie firmy zostanie z całą pewnością opóźnione, żeby specjaliści Landsmanna mogli oszacować ewentualne straty.

- Stawką nie jest więc wyłącznie reputacja. Mogą również stracić całą tę sumę.

- Właśnie. - Steve przypomniał sobie o własnych problemach. - Ale to w niczym nie polepsza mojej sytuacji - powiedział, wpadając z powrotem w przygnębienie. - Musiałbym udowodnić, że twoja teoria trzeciego bliźniaka jest prawdziwa. A żeby to zrobić, trzeba go odnaleźć. - Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. - Czy nie można by użyć w tym celu twojego programu komputerowego? Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Jasne.

- Jeśli za pierwszym razem odnalazłaś mnie i Dennisa - stwierdził podniecony - następnym razem możesz znaleźć mnie i trzeciego, Dennisa i trzeciego albo całą naszą trójkę.

- Zgadza się.

Jeannie nie była tym tak zachwycona, jak powinna.

- Możesz to zrobić? - zapytał.

- Po tym artykule nie wiem, czy ktoś w ogóle udostępni mi swoje bazy danych.

- Do diabła!

- Jest jednak pewna szansa. Mój program przeszukał już kartotekę odcisków palców FBI.

Steve ponownie odzyskał nadzieję.

- Dennis na pewno tam jest. Jeśli od trzeciego pobrano kiedykolwiek odciski palców, program musiał go wyłapać! To wspaniale!

- Wyniki są jednak na dyskietce w moim gabinecie.

- Och, nie! A ty nie możesz się tam dostać!

- Nie mogę.

- Wyłamię drzwi. Jedźmy tam, na co jeszcze czekamy?

- Mogą cię z powrotem wsadzić. Znajdźmy jakiś łatwiejszy sposób.

Steve uspokoił się, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Masz rację. Musi być jakiś inny sposób odzyskania tej dyskietki.

Jeannie podniosła słuchawkę.

- Poprosiłam Lisę Hoxton, żeby spróbowała się dostać do mojego gabinetu. Zobaczymy, czyjej się udało. - Wystukała numer. - Cześć, Liso, jak się masz? Ja? Niezbyt dobrze. Słuchaj, trudno ci będzie w to uwierzyć. - Opowiedziała jej w skrócie o swoim odkryciu. - Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale potrafiłabym to udowodnić, gdybym miała w rękę tę dyskietkę. Nie udało ci się dostać do gabinetu. Cholera. - Jeannie zmieniła się na twarzy. - Cóż, dzięki i za to. Wiem, że ryzykowałaś. Naprawdę to doceniam. Tak. Cześć. - Odłożyła słuchawkę. - Lisa próbowała przekonać strażnika, żeby ją wpuścił. Prawie jej się udało, ale facet zapytał w ostatniej chwili swojego zwierzchnika i o mało nie wyleciał z roboty.

- Co teraz zrobimy?

- Jeśli przyjmą mnie jutro z powrotem do pracy, będę mogła tam po prostu wejść.

- Kto jest twoim adwokatem?

- Nie mam żadnego adwokata. Nigdy go nie potrzebowałam.

- Możesz być pewna, że uniwersytet wynajmie najdroższego prawnika w całym mieście.

- Kurczę. Nie stać mnie na adwokata.

Steve bał się powiedzieć na głos to, co chodziło mu po głowie.

- Znam się coś niecoś na prawie.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

- Skończyłem dopiero dwa semestry, ale na zajęciach z adwokatury miałem najlepsze oceny z całego roku. - Podniecała go myśl, że jako jej obrońca mógłby wystąpić przeciwko potężnemu Uniwersytetowi Jonesa Fallsa. Lecz może Jeannie uzna, że jest zbyt młody i niedoświadczony? Próbował wyczytać coś z jej twarzy. Wciąż bacznie mu się przyglądała. Nie spuścił wzroku i spojrzał w jej ciemne oczy. Mógłbym w nie patrzeć przez całą wieczność, pomyślał.

A potem Jeannie pochyliła się i pocałowała go lekko w usta.

- Do diabła, Steve, jesteś niesamowity - westchnęła. Pocałunek był bardzo krótki, ale Steve miał wrażenie, że przeszedł go prąd. Poczł się o wiele lepiej. Nie bardzo wiedział, co rozumiała przez "niesamowity", było to jednak naprawdę coś dobrego.

Nie mógł jej teraz zawieść. Zaczł się martwić o to, czy sprostaa zadaniu.

- Wiesz moae, jaki jest regulamin komisji i porządek posiedzenia?

Jeannie sięgnęła do płóciennej teczki i wręczyła mu tekturową kopertę. Przejrzał szybko zawartość. Regulamin stanowił połączenie uniwersyteckiej tradycji i współczesnego żargonu prawniczego. Wśród wykroczeń, za które można było zwolnić pracownika naukowego, znajdowały się sodomia i bluźnierstwo; ale to, które wydawało się odnosić do Jeannie, brzmiało dość tradycyjnie: narażenie na szwank dobrego imienia uczelni.

Komisja dyscyplinarna nie miała w rzeczywistości ostatniego słowa: przedstawiała wyłącznie swoją opinię senatowi, naczelnej władzy uczelni. Warto było to wiedzieć; gdyby Jeannie przegrała jutro, senat mógł posłużyć jako sąd apelacyjny.

- Czy masz kopię swojej umowy o pracę? - zapytał.

- Jasne. - Jeannie podeszła do stojącego w rogu małego biurka i otworzyła szufladę.

- Proszę.

Steve szybko ją przeczytał. W paragrafie dwunastym Jeannie zgadzała się podporządkować decyzjom senatu. To utrudniało ewentualne podważenie ostatecznego werdyktu. Zajrzał z powrotem do regulaminu.

- Piszą tu, że musisz zawiadomić wcześniej przewodniczącego komisji, jeśli chcesz, żeby reprezentował cię prawnik albo jakaś inna osoba.

- Zaraz zadzwonię do Jacka Budgena - powiedziała Jeannie, podnosząc słuchawkę. - Jest ósma... powinien być już w domu.

- Poczekaj. Zastanówmy się najpierw, co mu powiesz.

- Masz rację. W przeciwieństwie do mnie myślisz strategicznie.

Steve pokraśniał z zadowolenia. Pierwsza rada, jakiej udzielił jej jako adwokat, była dobra.

- Twój los zależy teraz od tego człowieka. Co możesz o nim powiedzieć?

- Jest dyrektorem biblioteki i moim tenisowym partnerem.

- To ten facet, z którym grałaś w niedzielę?

- Tak. Bardziej administrator niż naukowiec. Gra taktycznie, ale brakuje mu chyba trochę instynktu zabójcy. Dlatego nigdy nie zdobył wielkich laurów w tenisie.

To znaczy, że wasze stosunki mają w sobie coś ze współzawodnictwa.

- Chyba tak.

- Dobrze. Jakie chcemy na nim sprawić wrażenie? Po pierwsze, jesteś przekonana, że sprawa zakończy się po twojej myśli. Z niecierpliwością czekasz na posiedzenie. Jesteś niewinna i cieszysz się, że będziesz miała możliwość to udowodnić. Wierzysz także, że komisja pod światłym przewodnictwem Budgena dostrzeże, jakie jest prawdziwe podłoże tej sprawy.

- Okay.

- Po drugie, padłaś ofiarą prześladowań: jesteś słabą bezbronną dziewczyną...

- Chyba żartujesz?

- Dobra, skreślamy to - powiedział z uśmiechem. - Jesteś młodym naukowcem i masz przeciwko sobie Berringtona i Obella, dwóch bezwzględnych kacyków, którzy przywykli zawsze stawiać na swoim. Czy Budgen jest Żydem?

- Nie wiem. Całkiem możliwe.

- Mam nadzieję, że jest. Mniejszości zawsze prędzej obracają się przeciwko władzy. Po trzecie, na jaw wyjdzie prawdziwy powód, dla którego Berrington tak się na ciebie uwziął. Prawda jest szokująca, ale trzeba ją ujawnić.

- Co nam to daje?

- Sugerujemy w ten sposób, że Berrington chce coś ukryć.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Nie sędzę.

Jeannie wystukała numer i podała mu słuchawkę.

Steve wziął ją z drżeniem do ręki. To była pierwsza rozmowa telefoniczna, którą miał przeprowadzić jako czyjś adwokat. Modlił się, żeby nie skrewić.

Słuchając sygnału, próbował przypomnieć sobie Jacka Budgena. Podczas meczu wpatrywał się oczywiście głównie w Jeannie, ale zapamiętał łysego wysportowanego

mężczyznę koło pięćdziesiątki, posyłającego chytre, dobrze wymierzone piłki. Budgen pokonał Jeannie, choć była młodsza i silniejsza. Nie powinienem go lekceważyć, pomyślał.

W słuchawce rozległ się kulturalny cichy głos.

- Słucham?

- Dobry wieczór, profesorze Budgen, nazywam się Steven Logan.

- Czy ja pana znam, panie Logan? - zapytał Budgen po krótkiej pauzie.

- Nie, profesorze. Dzwonię do pana jako przewodniczącego komisji dyscyplinarnej Uniwersytetu Jonesa Fallsa, aby zawiadomić, że będę towarzyszył doktor Ferrami podczas jutrzejszego posiedzenia. Doktor Ferrami oczekuje, że będzie mogła oczyścić się z ciężących na niej zarzutów.

- Czy jest pan adwokatem?

Ton Budgena był chłodny. Steve zorientował się, że szybciej oddycha, tak jakby odbył przed chwilą dłuższy bieg. Starał się zachować spokój.

- Jestem studentem prawa. Doktor Ferrami nie stać na adwokata. Niemniej zrobię, co mogę, aby jej pomóc, i jeśli mi się nie powiedzie, będę musiał zdać się na pańską łaskę. - Przerwał na chwilę, spodziewając się, że Budgen wygłosi jakąś sympatyczną uwagę albo przynajmniej przyjaźnie odchrząknie, ale odpowiedzią było lodowate milczenie. - Czy mogę wiedzieć, kto reprezentuje uczelnię? - brnął dalej.

- Z tego co wiem, wynajęli Henry'ego Quinna z firmy Harvey Horrocks Quinn.

Steve struchlał. Była to jedna z najstarszych kancelarii w Waszyngtonie.

- Renomowana biała anglosaska firma - stwierdził z nerwowym chichotem.

- Naprawdę?

Jego urok po prostu nie działał na tego faceta. Postanowił spróbować twardszego tonu.

- Jest pewna sprawa, o której powinienem wspomnieć. W zaistniałej sytuacji zmuszeni jesteśmy wyjawić prawdziwe powody, dla których profesor Berrington wystąpił przeciwko doktor Ferrami. Nie godzimy się pod żadnym pozorem na odwołanie jutrzejszego posiedzenia. To pozostawiłoby plamę na jej dobrym imieniu. Prawda musi wyjść na jaw.

- Nie jest mi znana żadna propozycja w sprawie odwołania posiedzenia.

Oczywiście, że nie. Nie było żadnej takiej propozycji.

- Gdyby jednak ktoś ją zgłosił - kontynuował odważnie Steve - oświadczam niniejszym, że takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia dla doktor Ferrami. - Uznał, że lepiej

zakończyć tę kwestię, nim zabrniesz zbyt daleko. - Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać, i żegnam do jutra.

- Do widzenia.

Steve odłożył słuchawkę.

- Rany, istna góra lodowa.

Jeannie trochę to zdziwiło.

- Normalnie nie zachowuje się w ten sposób. Może chciał być po prostu oficjalny.

Steve był przekonany, że Budgen zdecydował się już, po której stronie, ale wolał jej tego nie mówić.

- Tak czy inaczej, wyłożyłem mu nasze trzy punkty. I dowiedziałem się, że uniwersytet wynajął Henry'ego Quinna.

- To ktoś dobry?

Quinn był żywą legendą. Steve'owi robiło się zimno na myśl, że ma wystąpić przeciw komuś takiemu. Nie chciał jednak zniechęcać Jeannie.

- Kiedyś był bardzo dobry, ale jego najlepsze lata chyba już minęły - oznajmił.

Jeannie przyjęła to do wiadomości.

- Co teraz zrobimy?

Steve spojrzął na nią. Poły różowego szlafroka rozchyliły się i widział pierś wtuloną w fałdy materiału.

- Powinniśmy przeciwstawić odpowiedzi na pytania, które mogą ci jutro zadać - powiedział z żalem. - Mamy dzisiaj dużo do roboty.

Jane Edelsborough wyglądała o wiele lepiej nago niż w ubraniu.

Leżała w świetle pachnących świec na jasnoróżowym prześcieradle. Jej jasne, miękkie ciało było ładniejsze niż utrzymane w błotnistych burych kolorach luźne ubrania, w których zawsze chodziła. Z szerokimi biodrami i dużym biustem miała w sobie coś z amazonki. Była ciężka, ale pasowało to do jej urody.

Leżąc na łóżku uśmiechnęła się leniwie do Berringtona, który wciągał niebieskie szorty.

- Było lepiej, niż się spodziewałam.

Berrington czuł to samo, ale nie był taki głupi, żeby się do tego przyznać. Jane знаła rzeczy, których normalnie musiał uczyć młode kobiety. Zastanawiał się, kto ją tak wyedukował. Była kiedyś żonata; mąż, nałogowy palacz, zmarł na raka płuc przed dziesięciu laty. Musieli mieć wspaniałe życie seksualne.

Doznał tyle przyjemności, że nie potrzebował snuć swoich normalnych fantazji, w których kochał się z jakąś słynną pięknoscią, Cindy Crawford, Bridget Fondą albo księżniczką Dianą, a ona leżała potem obok na łóżku, mrużąc mu do ucha: "Dziękuję, Berry, nigdy jeszcze nie było mi tak dobrze, jesteś wspaniały, dziękuję".

- Mam wyrzuty sumienia - stwierdziła Jane. - Dawno już nie zrobiłam czegoś tak podłego.

- Podłego? - zdziwił się, zawiązując sznurowadła. - Nie bardzo rozumiem. Jesteś, jak to mówią, wolna, biała i pełnoletnia. - Zauważył, że się skrzywiła. Zwrot "wolna, biała i pełnoletnia" naruszał reguły politycznej poprawności.

- Podłe było nie to, że się ze sobą przespaliśmy - powiedziała ospale - ale to, że wiem, iż zrobiłeś to tylko z powodu jutrzejszego posiedzenia.

Berrington, który zawiązywał właśnie krawat, zastygł w bezruchu.

- Czy mam uwierzyć, że zobaczyłeś mnie po prostu w studenckiej kafeterii i nie mogłeś się oprzeć mojemu seksualnemu magnetyzmowi? - Posłała mu smutny uśmiech. - Nie jestem obdarzona seksualnym magnetyzmem, Berry, w każdym razie nie dla kogoś tak płytkiego jak ty. Musiałeś kierować się jakimś niskim motywem i odkrycie, o co może ci chodzić, zajęło mi mniej więcej pięć sekund.

Berrington poczuł się jak głupek. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Tobie natomiast, Berry, wcale nie brakuje seksualnego magnetyzmu. Masz ładny tyłek i miłe ciało, elegancko się ubierasz i przyjemnie pachniesz. A przede wszystkim każdy

widzi, że naprawdę lubisz kobiety. Możesz nimi manipulować, wykorzystywać je i eksploatować, ale poza tym je kochasz. Jesteś idealnym partnerem na jedną noc i bardzo ci dziękuję.

Powiedziawszy to, naciągnęła prześcieradło na nagie ciało, obróciła się na bok i zamknęła oczy.

Berrington ubrał się tak szybko, jak mógł.

Przed wyjściem usiadł na skraju łóżka. Jane otworzyła oczy.

- Czy mnie jutro poprzysz? - zapytał.

Usiadła na łóżku i czule go pocałowała.

- Przed podjęciem decyzji będę musiała wysłuchać obu stron - stwierdziła.

Berrington zacisnął zęby.

- Ta sprawa jest dla mnie wyjątkowo ważna. Bardziej niż ci się wydaje.

Jane pokiwała ze współczuciem głową, ale nie chciała mu udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

- Przypuszczam, że jest tak samo ważna dla Jeannie Ferrami.

Ścisnął jej miękką ciężką pierś.

- A kto jest dla ciebie ważniejszy: ja czy Jeannie?

- Wiem, jaki jest los młodej asystentki w uczelni zdominowanej przez mężczyzn.

- Cholera - zaklął, cofając rękę.

- Mógłbyś zostać na noc. Zrobilibyśmy to znowu rano.

Berrington wstał.

- Za dużo mam na głowie.

Jane zamknęła oczy.

- Wielka szkoda.

Berrington wyszedł.

Samochód zaparkował na podjeździe podmiejskiego domu Jane, tuż obok jej jaguara. Ten jaguar powinien dać mu do myślenia: był znakiem, że Jane Edelsborough nie jest taka nieskomplikowana, jak na to wygląda. Został wykorzystany, ale było mu miło. Zastanawiał się, czy kobiety mają czasami to samo uczucie, kiedy się z nimi prześpi.

Wracając do domu, martwił się o jutrzejsze posiedzenie. Czterech mężczyzn - członków komisji - było po jego stronie, nie udało mu się jednak uzyskać obietnicy poparcia od Jane. Czy mógł zrobić coś jeszcze? W tym momencie wydawało się to niemożliwe.

W domu nagrał mu się na automatyczną sekretarkę Jim Proust. Berrington miał nadzieję, że nie usłyszy od niego kolejnej złej wiadomości. Siadł przy biurku w gabinecie i zadzwonił do Jima do domu.

- Tu Berry.

- FBI spieprzyło sprawę - oznajmił Jim bez zbędnych wstępów.

Berrington kompletnie upadł na duchu.

- Opowiadaj.

- Mieli nie dopuścić do uruchomienia tego programu, ale polecenie nie dotarło na czas.

- Niech to szlag.

- Rezultaty wysłali do niej pocztą elektroniczną.

Ogarnął go lęk.

- Kto był na liście?

- Nie wiemy. Biuro nie zachowało kopii.

To było karygodne.

- Musimy to wiedzieć!

- Może ty się czegoś dowiesz. Lista może być w jej gabinecie.

- Ferrami nie ma do niego wstępu. - Berrington odzyskał nadzieję. - Mogła nie odebrać poczty.

- Jesteś w stanie to zrobić?

- Jasne. - Berrington spojrzał na swojego złotego rolexa. - Zaraz jadę na wydział.

- Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz coś wiedział.

- Dobrze.

Berrington wsiadł do samochodu i pojechał na uniwersytet. Kampus był ciemny i pusty. Zaparkował przy wydziale psychologii i wbiegł do środka. Wchodząc do pokoju Jeannie, nie odczuwał już takiego zakłopotania jak za pierwszym razem. Stawka była zbyt wysoka, żeby przejmował się koniecznością zachowania twarzy.

Włączył komputer i otworzył pocztę. Była tam tylko jedna wiadomość. Proszę Cię, Boże, niech to będzie lista z FBI. Wczytał ją. Ku jego rozczarowaniu miał przed oczyma kolejny list od jej przyjaciela z Uniwersytetu Minnesota.

Czy dostałaś ode mnie wiadomość? Będę jutro w Baltimore i naprawdę chciałbym się z tobą spotkać, chociaż na parę minut. Proszę, zadzwoń. Kocham cię, Will.

Nie dostała wczorajszej wiadomości, ponieważ Berrington skasował ją zaraz po przeczytaniu. Ten list również do niej nie dotrze. Ale gdzie była lista z FBI? Musiała ją odebrać wczoraj rano, zanim ochrona zamknęła przed nią gabinet.

Gdzie ją skopiowała? Berrington poszukał na jej twardym dysku słów Federalne Biuro Śledcze, FBI i F.B.I, z kropkami. Nie znalazł niczego. Przejrzał dyskietki w pudełku, lecz były tam wyłącznie kopie zbiorów z komputera.

- Ta kobieta przechowuje nawet kopię listy zakupów - mruknął.

Skorzystał z telefonu Jeannie, żeby zadzwonić ponownie do Jima.

- Nic - oznajmił zwięźle.

- Musimy wiedzieć, kto jest na tej liście - warknął Jim.

- Co mam zrobić: porwać ją i torturować?

- Musi ją mieć, tak?

- Nie ma jej w elektronicznej poczcie, więc musiała ją skopiować.

- Skoro nie znalazłeś jej w gabinecie, zabrała ją do domu.

- Logiczne. - Berrington domyślił się, do czego zmierza Jim Proust. - Czy możesz załatwić... - Nie chciał w rozmowie telefonicznej użyć słów: "żeby FBI przeszukało jej mieszkanie". - Czy możesz załatwić, żeby to sprawdzili?

- Chyba tak. David Creane nie wywiązał się z obietnicy, więc jest mi winien grzeczność.

- Najlepiej będzie zrobić to jutro rano. Posiedzenie zaczyna się o dziesiątej i potrwa kilka godzin.

- Rozumiem. Załatwię to. A jeśli trzyma ją w pieprzonej torebce, to co zrobimy?

- Nie wiem. Dobranoc, Jim.

- Dobranoc.

Berrington odłożył słuchawkę i siedział przez kilka chwil nieruchomo, przyglądając się ścianom wąskiej klitki, którą Jeannie ożywiła jaskrawymi kolorami. Jeśli sprawy potoczą się źle, Jeannie zasiądzie jutro z powrotem przy tym biurku i rozpocznie śledztwo, które mogło zniszczyć trzech porządnych ludzi.

To się nie może zdarzyć, pomyślał z rozpaczą, to się nie może zdarzyć.

PLATEK

Jeannie obudziła się w swoim pomalowanym na biało saloniku, leżąc w objęciach Steve'a na czarnej kanapie, ubrana tylko w różowy szlafrok.

Skąd się tu wzięła?

Spędzili razem noc, przygotowując się do posiedzenia komisji. Serce zamarło jej w piersi: dzisiaj miał się rozstrzygnąć jej los.

Jak to się stało, że leżała w jego objęciach?

Koło trzeciej ziewnęła i zamknęła na chwilę oczy.

A potem...?

Musiała zasnąć.

I Steve przeszedł do sypialni, wziął z łóżka kołdrę w niebieskie i czerwone pasy i przyniósł ją tutaj, ponieważ była nią okryta.

Nie był jednak odpowiedzialny za pozę, w jakiej leżała, opierając głowę o jego udo i obejmując go ręką w pasie. Musiała ułożyć się w ten sposób sama, we śnie. Było to trochę krępujące: jej twarz znajdowała się kilka cali od jego krocza. Zastanawiała się, co o niej myśli. Zachowywała się jak wariatka. Najpierw rozebrała się na jego oczach, potem zasnęła na nim; traktowała go tak, jakby był jej starym kochankiem.

Cóż, miała powód, żeby się po wariacku zachowywać: to był wariacki tydzień.

W ciągu zaledwie kilku dni wdała się w pyskówkę z posterunkowym McHentym, obrabował ją ojciec, zaatakował "New York Times", postraszył nożem Dennis Pinker, wyrzucił z pracy rektor i o mało nie została zgwałcona w swoim samochodzie. Czowała się zdruzgotana.

Bolała ją twarz po wczorajszym uderzeniu, lecz odniosła nie tylko zewnętrzne obrażenia. Atak pozostawił ślady w jej psychice. Przypominając sobie walkę w samochodzie, czuła, jak ogarnia ją z powrotem gniew. Miała ochotę złapać napastnika za gardło. Czowała się nieszczęśliwa, tak jakby z powodu tego, co się stało, jej życie straciło nagle na wartości.

Dziwne, że mogła w ogóle zaufać jakiemuś mężczyźnie; że mogła zasnąć na kanapie z kimś, kto wyglądał dokładnie tak samo jak jej napastnik. Ale teraz może być jeszcze bardziej pewna Steve'a. Żaden z pozostałych nie spędziłby takiej nocy, sam na sam z dziewczyną, nie próbując jej wziąć siłą.

Zmarszczyła czoło. Miała wrażenie, że Steve robił jej coś w nocy, coś miłego. Tak, pamiętała przez sen jego duże dłonie, gładzące ją po włosach, bardzo długo, podczas gdy ona drzemała niczym głaskana po sierści kotka.

Uśmiechnęła się i zmieniła lekko pozycję.

- Nie śpisz już? - zapytał natychmiast.

Ziewnęła i przeciągnęła się.

- Przepraszam, że na tobie spałam. Dobrze się czujesz?

- Mniej więcej o piątej krew przestała mi dopływać do lewej nogi, ale jakoś się do tego przyzwyczaiłem.

Usiadła na kanapie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Miał pogniecione ubranie, potargane włosy i lekki zarost na twarzy, ale mimo to wyglądał tak apetycznie, że miała ochotę go schrupać.

- Spałeś?

Steve potrząsnął głową.

- Zbyt wielką przyjemność sprawiało mi patrzeć na ciebie.

- Nie powiesz chyba, że chrapię?

- Nie chrapiesz. Trochę się tylko ślinisz - powiedział, wskazując mokrą plamkę na swoich spodniach.

- Och, przepraszam. - Jeannie wstała i zerknęła kątem oka na wiszący na ścianie zegar: było wpół do dziewiątej. - Nie mamy dużo czasu - stwierdziła zaniepokojona. - Posiedzenie zaczyna się o dziesiątej.

- Weź prysznic, a ja zrobię kawę - oznajmił wielkodusznie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przysłał cię święty Mikołaj?

Steve roześmiał się.

- Według twojej teorii pochodzę z próbówki - stwierdził, a potem spoważniał. - Kto to zresztą może wiedzieć.

Jej także przeszła ochota do żartów. Rozebrała się w sypialni i weszła pod prysznic. Myjąc się rozmyślała, jak ciężko harowała przez ostatnie dziesięć lat: ubieganie się o stypendium, intensywne treningi i nauka po nocach, wysłuchiwanie zrzędlivych uwag promotora swojej pracy doktorskiej. Tyrwała jak wół, żeby osiągnąć to, co osiągnęła, dlatego że pragnęła być uczoną i pomóc ludzkiej rasie zrozumieć samą siebie. A teraz Berrington Jones chciał jej to wszystko odebrać.

Prysznic poprawił jej samopoczucie. Kiedy wycierała włosy, zadzwonił telefon. Odebrała z aparatu w sypialni.

- Jeannie, tu Patty.
- Cześć, siostrzyczko, co słychać?
- Wrócił ojciec.

Jeannie usiadła na łóżku.

- Co u niego?
- Goły, ale wesoły.

- Najpierw przyszedł do mnie - poinformowała siostrę. - Pojawił się w poniedziałek. We wtorek trochę się na mnie boczył, bo nie ugotowałam mu obiadu. W środę wyprowadził się, zabierając mój komputer, mój telewizor i wieżę stereo. Musiał już wydać albo przegrać w karty to, co za nie dostał.

Petty westchnęła głośno.

- Och, Jeannie, to okropne!
- Dobrze to ujęłaś. Więc schowaj lepiej kosztowności.
- Żeby okradać własną rodzinę! O Boże, jeśli Zip się dowie, wywali go na ulicę.
- Mam jeszcze gorsze problemy, Patty. Mogą mnie dziś wyrzucić z pracy.
- Dlaczego?
- Nie mam czasu, żeby ci teraz wyjaśniać. Zadzwonię później.

- Okay.

- Rozmawiałaś z mamą?

- Codziennie.

- To dobrze. Spadł mi kamień z serca. Rozmawiałam z nią raz, a kiedy ponownie zadzwoniłam, jadła lunch.

- Ludzie, którzy odbierają tam telefon, są tacy opryskliwi. Musimy jak najszybciej ją stamtąd zabrać.

Zostanie niestety trochę dłużej, jeśli wywalą mnie dziś z roboty.

- Porozmawiam z tobą później.

- Powodzenia.

Jeannie odłożyła słuchawkę. Na nocnej szafce stał kubek z parującą kawą. Potrząsnęła ze zdziwieniem głową. To była tylko kawa, ale zdumiało ją, jak dobrze Steve wiedział, czego potrzebowała. Miał wrodzoną potrzebę przychodzenia z pomocą. I nie chciał niczego w zamian. Doświadczenie nauczyło ją, że w tych rzadkich okolicznościach,

kiedy mężczyzna przedkłada życzenia kobiety nad swoje własne, przez miesiąc oczekuje potem, że będzie się zachowywała jak gejsza.

Steve był inny. Gdybym wiedziała, że produkują mężczyzn w tej wersji, już dawno zamówiłabym sobie jednego.

W całym dorosłym życiu wszystko robiła sama. Ojciec nigdy nie służył jej pomocą. Mama zawsze była silna, ale jej siła przysparzała w końcu tyle samo kłopotów co słabość ojca. Miała co do córki pewne plany i nie myślała z nich zrezygnować. Chciała, żeby Jeannie została fryzjerką. Na dwa tygodnie przed szesnastą rocznicą urodzin załatwiła jej nawet pracę: mycie włosów i zmiatanie podłogi w salonie Alexis w Adams-Morgan. Pragnienie Jeannie, żeby poświęcić się nauce, było dla niej kompletnie niezrozumiałe. "Możesz zostać wykwalifikowaną stylistką, zanim jeszcze inne dziewczęta skończą studia!" powtarzała. Nie pojmowała, dlaczego Jeannie wściekła się i nie chciała nawet zajrzeć do salonu.

Dzisiaj nie była sama. Miała ze sobą Steve'a. To, że nie skończył jeszcze prawa, nie miało większego znaczenia - wzięty waszyngtoński adwokat mógł nie wywrzeć najlepszego wrażenia na pięciorgu profesorach. Najważniejsze, że tam z nią będzie.

- Chcesz wziąć prysznic? - zawołała, wkładając szlafrok.

- Jasne - odparł, wchodząc do sypialni. - Szkoda, że nie zabrałem czystej koszuli.

- Nie mam męskiej koszuli... chociaż poczekaj, chyba mam. - Przypomniała sobie białą koszulę, którą Lisa pożyczyła po pożarze. Należała do kogoś z wydziału matematyki. Jeannie oddała ją do prania i koszula wisiała teraz w szafie, opakowana w folię. Dała ją Steve'owi.

- Mój rozmiar, siedemnaście na trzydzieści sześć - stwierdził. - Idealna.

- Nie pytaj, skąd się u mnie wzięła, to długa historia - powiedziała. - Mam też chyba gdzieś krawat. - Otworzyła szufladę i wyjęła jedwabny krawat w niebieskie grochy, który nosiła do białej bluzki, kiedy miała ochotę na męski styl. - Proszę.

- Dziękuję - odparł i wszedł do jej małej łazienki.

Trochę ją to rozczarowało. Miała nadzieję, że zdejmie przy niej starą koszulę. Ach, ci mężczyźni, pomyślała, dranie rozbierają się nieproszeni, a ci, na których nam zależy, są nieśmiali jak zakonnice.

- Czy mogę pożyczyć twoją golarkę? - zawołał.

- Jasne, nie krępuj się.

Zapamiętaj, żeby pokochać się z facetem, zanim zacznie cię traktować jak starszy brat.

Rozglądając się za swoją najlepszą czarną garsonką, przypomniała sobie, że wyrzuciła ją wczoraj do śmieci.

- Cholerna idiotka - mruknęła pod nosem. Mogła ją wyjąć, ale będzie na pewno poplamiona i pognieciona. W szafie miała długi niebieski zakiet; może włożyć biały T-shirt i czarne spodnie. Całość mogła wydawać się zbyt jaskrawa, ale innego stroju nie miała.

Usiadła przed lustrem i zaczęła się malować. Steve wyszedł po jakimś czasie z łazienki, zabójczo przystojny w pożyczonej koszuli i krawacie.

- W zamrażalniku jest trochę bułek z cynamonem - powiedziała. - Możesz je rozmrozić w mikrofalówce, jeśli jesteś głodny.

- Świetnie - ucieszył się. - Ty coś zjesz?

- Jestem zbyt spięta, żeby coś przełknąć. Ale mogę wypić jeszcze jedną kawę.

Przyniósł jej filiżankę, kiedy kończyła makijaż. Wypiła ją szybko i ubrała się. Gdy wróciła do salonu, siedział przy kuchennym blacie.

- Znalazłeś bułki?

- Tak.

- Co się z nimi stało?

- Powiedziałas, że nie jesteś głodna, więc zjadłem je.

- Wszystkie cztery?

- W zamrażalniku były dwie paczki...

- Zjadłeś osiem bułek z cynamonem?

Zrobił zawstydzoną minę.

- Zgłodniałem.

Jeannie roześmiała się.

- Chodźmy.

Kiedy odwracała się do wyjścia, złapał ją za ramię.

- Zaczekaj chwilę - powiedział.

- Co takiego?

- Przyjaźń to fajna rzecz, Jeannie, i naprawdę lubię z tobą po prostu przebywać, ale musisz zrozumieć, że to nie jest wszystko, czego chcę.

- Wiem o tym.

- Coraz bardziej się w tobie zakochuję.

Spojrzała mu prosto w oczy. Były bardzo szczerze.

- Ja też się do ciebie trochę przywiązałam - rzuciła lekkim tonem.

- Chcę się z tobą kochać i chcę tego aż do bólu.

Mogłabym tego słuchać przez cały dzień, pomyślała.

- Słuchaj - oznajmiła - jeśli kochasz się tak jak ja, jestem cała twoja.

Zrzedła mu mina i zorientowała się, że powiedziała nie to, co trzeba.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam robić z tego żartów.

Steve wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nic się nie stało.

- Najpierw uratujemy mnie - stwierdziła, biorąc go za rękę. - Potem uratujemy ciebie. A potem się zabawimy.

- W porządku - odparł i uścisnął jej dłoń.

Wyszli na ulicę.

- Pojedźmy razem - powiedziała. - Potem odwiozę cię do twojego samochodu.

Wsiedli oboje do jej mercedesa. Radio włączyło się samo, kiedy zapaliła silnik. Skręcając w 41st Street usłyszeli, jak spiker wymienia nazwę Genetico i Jeannie przekreśliła głośniejszą gałkę.

“Oczekuje się, że senator Jim Proust, były dyrektor CIA, potwierdzi dziś swój zamiar ubiegania się o nominację republikanów w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. W swojej kampanii obiecuje dziesięcioprocentowy podatek dochodowy dla wszystkich i zniesienie pomocy społecznej. Komentatorzy zwracają uwagę, że finansowanie kampanii nie będzie stanowić problemu, ponieważ senator ma zarobić sześćdziesiąt milionów na uzgodnionej już sprzedaży należącej do niego firmy medycznej, Genetico. Przechodzimy do wiadomości sportowych...”

Jeannie wyłączyła radio.

- Co o tym myślisz?

Steve pokręcił z przejęciem głową.

- Stawka się podnosi - zauważył. - Jeśli ujawnimy prawdę o Genetico i sprzedaż zostanie odwołana, Jim Proust nie będzie miał forsy na kampanię prezydencką. A to rzeczywiście kawał sukinsyna: tajny agent, były szef CIA, zwolennik zniesienia kontroli broni, co tylko chcesz. Zawadzasz kilku niebezpiecznym ludziom.

Jeannie zacisnęła zęby.

- Tym bardziej warto z nimi powalczyć. Zdobyłam wykształcenie dzięki pomocy społecznej. Jeśli Proust zostanie prezydentem, dziewczęta takie jak ja zawsze będą fryzjerkami.

Przed Hillside Hall, w którym mieścił się rektorat, zebrała się niewielka demonstracja. Na schodach stał wianuszek trzydziestu albo czterdziestu osób, w większości studentek. Protest odbywał się w spokojny zdyscyplinowany sposób. Podchodząc bliżej, Steve przeczytał transparent:

ŻĄDAMY PRZYWRÓCENIA DO PRACY
JEAN FERRAMI!

Uznał to za dobry omen.

- Popierają cię - powiedział.

Jeannie przyjrzała się uważniej manifestującym i uśmiechnęła z zadowoleniem.

- Przyszli tutaj. Mój Boże, więc ktoś jeszcze mnie kocha.

Na innym transparencie widniał napis:

NIE MOŻECIE
TEGO ZROBIĆ
JF

Kiedy zobaczyli Jeannie, w tłumie rozległy się oklaski. Podeszła do nich, a w ślad za nią dumny jak paw Steve. Nie każdy profesor mógł liczyć na tak spontaniczne poparcie ze strony studentów. Jeannie uściśnęła rękę mężczyznom i pocałowała się z kobietami. Steve zauważył wlepiającą w niego wzrok ładną blondynkę.

Jeannie objęła biorącą udział w demonstracji starszą kobietę.

- Sophie! - zawołała. - Naprawdę brak mi słów!

- Życzę ci powodzenia - odparła kobieta.

Jeannie odłączyła się od tłumy i ruszyła rozpromieniona w stronę budynku.

- Uważają, że powinnaś tu dalej pracować - stwierdził Steve.

- Nie potrafię ci wytłumaczyć, ile to dla mnie znaczy - powiedziała. - Ta starsza kobieta to Sophie Chappie, profesor na wydziale psychologii. Myślałam, że mnie nienawidzi. Nie mogę uwierzyć, że przyszła mnie poprzeć.

- Kim była ta ładna dziewczyna z przodu?

Jeannie rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Nie poznałeś jej?

- Jestem pewien, że nigdy jej nie spotkałem, ale mimo to nie odrywała ode mnie wzroku. - Nagle się domyślił. - O Boże, to musi być ta dziewczyna, którą zgwałcił.

- Lisa Hoxton.

- Nic dziwnego, że tak się we mnie wpatrywała.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie obejrzeć się przez ramię. Była ładną, pełną życia dziewczyną, niedużą i raczej pulchną. Jego sobowtór zaatakował ją, cisnął na ziemię i zmusił do odbycia stosunku. Steve czuł, jak odbiera mu oddech z oburzenia. Tej zwyczajnej młodej kobiecie do końca życia miały towarzyszyć koszmarne wspomnienia.

Rektorat mieścił się w starym pałacu. Jeannie poprowadziła go przez marmurową sień i otworzyła drzwi opatrzone tabliczką Stara Jadalnia. Znaleźli się w mrocznej neogotyckiej komnacie z wysokim sufitem, wąskimi oknami i ciężkimi dębowymi meblami. Przed rzeźbionym w kamieniu kominkiem stał długi stół.

Zwróceniu twarzami do nich siedzieli przy nim czterej mężczyźni i kobieta w średnim wieku. W łysym facecie pośrodku Steve rozpoznał Jacka Budgena, tenisowego przeciwnika Jeannie. Domyślił się, że ma przed sobą komisję dyscyplinarną: ludzi, którzy dzierżyli w rękach los Jeannie.

- Dzień dobry, doktorze Budgen - powiedział, pochylając się nad stołem i podając mu rękę. - Jestem Steve Logan. Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon.

Jakiś instynkt sprawił, że wydawał się zupełnie rozluźniony, co stało w jaskrawym przeciwieństwie do tego, jak się naprawdę czuł. Podał po kolei rękę wszystkim członkom komitetu, którzy przedstawili mu się z nazwiska.

Bardziej z boku, po drugiej stronie stołu siedzieli dwaj mężczyźni. W niskim facecie w granatowym trzyczęściowym garniturze Steve rozpoznał Berringtona Jonesa, którego spotkał w poniedziałek. Obok siedział chudy blondyn w popielatej dwurzędowej marynarce - Henry Quinn. Steve uścisnął ręce obydwu.

- Jakie są twoje prawne kwalifikacje, młody człowieku? - zapytał Quinn, spoglądając na niego z wyższością.

Steve uśmiechnął się przyjaźnie.

- Odpierdol się, Henry - szepnął tak cicho, że nikt inny tego nie usłyszał.

Quinn zamrugał oczyma, jakby ktoś go spoliczkował. To oduczy go traktować mnie z góry, pomyślał Steve. Podsunął krzesło Jeannie i oboje usiedli.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli - odezwał się Jack Budgen. - To zebranie ma nieformalny charakter. Wszyscy otrzymali porządek dnia, wiemy więc, o co chodzi.

Oskarżenie wniósł profesor Berrington Jones, który proponuje udzielić doktor Ferrami dymisji, ponieważ naraziła na szwank dobre imię Uniwersytetu Jonesa Fallsa.

Steve obserwował bacznie członków komisji, szukając najmniejszych oznak sympatii. Niestety żadnych nie znalazł. Na Jeannie patrzyła tylko kobieta, Jane Edelsborough; inni unikali z nią kontaktu wzrokowego. Na wstępie mamy czterech przeciwników, jedną za, pomyślał. To niedobrze.

- Profesora Berringtona reprezentuje mecenas Quinn - oznajmił Jack.

Quinn wstał z krzesła i otworzył teczkę. Steve zauważył, że ma palce poplamione nikotyną. Adwokat wyjął plik powiększonych kopii artykułu zamieszczonego w "New York Timesie" i wręczył je wszystkim obecnym. W rezultacie cały stół pokryły kserokopie z wielkim tytułem: ETYKA BADAŃ GENETYCZNYCH: WĄTPLIWOŚCI, OBAWY I SŁOWNNE UTARCZKI - sugestywne wizualne przypomnienie kłopotów, jakich przysporzyła im Jeannie. Steve żałował, że nie ma jakichś własnych papierów, które przykryłyby te rozdane przez Quinna.

Ten prosty i efektywny gambit trochę go onieśmielił. Jak mógł współzawodniczyć z facetem z ponad trzydziestoletnią praktyką sądową? Nie uda mi się z nim wygrać, pomyślał z przerażeniem.

Quinn zaczął mówić. Miał oschły precyzyjny głos, bez śladu jakiegokolwiek lokalnego akcentu. Przemawiał powoli i pedantycznie. Steve żywił nadzieję, że może się to okazać błędem w stosunku do ludzi nauki, którym nie trzeba sylabizować każdego słowa. Quinn zaprezentował dzieje komisji dyscyplinarnej i wyjaśnił, jaką pozycję zajmuje ona we władzach uczelni. Zdefiniował pojęcie "zniesławienia" i przedstawił kopię zawartej przez Jeannie umowy o pracę. Słuchając jego drętwej mowy, Steve odzyskiwał powoli nadzieję.

Quinn skończył po jakimś czasie swój przydługi wstęp i zaczął zadawać pytania Berringtonowi.

- Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o napisanym przez doktor Ferrami programie komputerowym?

- W ostatni poniedziałek po południu - odparł Berrington, po czym zrelacjonował rozmowę, którą odbył z Jeannie. Jego wersja zgadzała się z grubsza z tym, co usłyszał od niej Steve. - Kiedy tylko zrozumiałem dobrze, na czym polega jej metoda - oznajmił następnie - powiedziałem, że to, co robi, jest moim zdaniem nielegalne.

- Co takiego? - wybuchła Jeannie.

- Jaka była jej reakcja? - pytał dalej Quinn, zupełnie ją ignorując.

- Bardzo się zdenerwowała.

Ty cholerny kłamco! - przerwała mu Jeannie.

Berrington zaczerwienił się.

- Proszę nie przeszkadzać - odezwał się Jack Budgen.

Steve obserwował uważnie członków komisji: wszyscy spojrzeli na Jeannie: nie mogli się powstrzymać. Położył rękę na jej ramieniu, jakby chciał ją uspokoić.

- On łże w żywe oczy! - zaprotestowała.

- A czego się spodziewałaś? - zapytał cicho. - Facet idzie na całość.

- Przepraszam - odparła.

- Wcale nie musisz - szepnął jej do ucha. - Rób tak dalej. Widzieli, że twój gniew jest autentyczny.

- Zachowywała się wyzywająco, dokładnie tak jak teraz. Powiedziała, że może robić, co jej się podoba, i ma to zapisane w umowie.

Jeden z członków komisji, Tenniel Biddenham, nachmurzył się. Nie mieściło mu się najwyraźniej w głowie, żeby młodszy pracownik naukowy wymachiwał profesorowi przed nosem swoim kontraktem. Berrington nie był taki głupi. Wiedział, jak przyjąć uderzenie i obrócić je na swoją korzyść.

- Co pan zrobił? - zapytał Quinn.

- Cóż, uświadomiłem sobie, że mogę się mylić. Nie jestem adwokatem. Postanowiłem zasięgnąć porady prawnej. Gdyby moje obawy się potwierdziły, zaprezentowałbym jej niezależną opinię. Gdyby jednak okazało się, że to, co robi, nikomu nie szkodzi, mógłbym nie poruszać dalej tego tematu.

- Czy zasięgnął pan tej porady?

- Wypadki potoczyły się zbyt szybko. Zanim udało mi się spotkać z adwokatem, sprawą zajął się "New York Times".

- Bzdura - szepnęła Jeannie.

- Jesteś pewna? - zapytał Steve.

- Absolutnie.

Steve zanotował to.

- Proszę nam opowiedzieć, co zdarzyło się w środę - powiedział Quinn, zwracając się do Berringtona.

- Spełniły się moje najgorsze obawy. Rektor uniwersytetu, Maurice Obeli, wezwał mnie do siebie i zapytał, dlaczego otrzymuje napastliwe telefony od dziennikarzy w sprawie badań prowadzonych na moim wydziale. Przygotowaliśmy wstępny szkic oświadczenia dla prasy i wezwaliśmy doktor Ferrami, żeby je z nią przedyskutować.

- Jezu Chryste - mruknęła Jeannie.

- Nie chciała w ogóle z nami o tym mówić. Po raz kolejny zaperzyła się, stwierdziła, że może robić, co się jej podoba, po czym wzburzona wyszła.

Steve posłał pytające spojrzenie Jeannie.

- Sprytne kłamstwo - powiedziała półgłosem. - Zaprezentowali mi to oświadczenie jako *fait accompli*.

Steve pokiwał głową, ale postanowił nie poruszać tej sprawy podczas przesłuchania. Komisja uzna prawdopodobnie, że Jeannie nie powinna w żadnym wypadku wychodzić w ten sposób z gabinetu rektora.

- Dziennikarka powiedziała nam, że dano jej czas do południa - kontynuował gładko Berrington. - Doktor Obell uważał, że uniwersytet powinien zająć jakieś zdecydowane stanowisko, i muszę przyznać, że całkowicie się z nim zgadzałem.

- Czy przygotowane przez was oświadczenie dało spodziewany efekt?

- Nie. Okazało się kompletną katastrofą, ponieważ doktor Ferrami całkowicie je zlekceważyła. Powiedziała dziennikarce, że nie ma zamiaru zastosować się do naszych zaleceń i że nie jesteśmy w stanie jej w tym przeszkodzić.

- Czy ktoś spoza uniwersytetu zainteresował się tą sprawą?

- Oczywiście, że tak.

Sposób, w jaki Berrington odpowiedział na to pytanie, zwrócił uwagę Steve'a. Zanotował sobie, żeby do tego wrócić.

- Otrzymałem telefon od Prestona Barcka, prezesa Genetico, firmy, która w znacznym stopniu finansuje nasze badania, w tym także projekt dotyczący bliźniaków - kontynuował Berrington. - Niepokoił się, czyjego pieniądze wydatkowane są we właściwy sposób. Czytając artykuł, można było odnieść wrażenie, że władze uniwersytetu nie mają nic do gadania. Kto, do diabła, rządzi w tej waszej szkole, zapytał mnie Preston. To była bardzo krępująca rozmowa.

- Czy to pana najbardziej niepokoiło? Fakt, że nie chciała się panu podporządkować młoda podwładna?

- Oczywiście, że nie. Głównym problemem były szkody, jakie może przynieść uniwersytetowi działalność doktor Ferrami.

Sprytne posunięcie, pomyślał Steve. Wszystkich członków komisji przejmowała zgrozą myśl, że mógłby się im sprzeciwić jakiś asystent i Berrington od razu zyskał ich sympatię. Ale Quinn postawił szybko całą sprawę na szerszej płaszczyźnie, tak by mogli uznać, że zwalniając Jeannie, chronią uniwersytet, a nie tylko karzą krnąbrną podwładną.

- Uniwersytet powinien zwracać baczną uwagę na kwestie etyczne. Sponsorzy dają nam pieniądze, a studenci chcą u nas studiować, ponieważ nasza uczelnia należy do cieszących się największym szacunkiem w tym kraju. Sugestia, że lekceważymy prawa jednostki, mogłaby się okazać dla nas katastrofalna.

Berrington wyraził to bardzo trafnie i nikt z obecnych nie zamierzał się z nim spierać. Steve pokiwał głową, żeby pokazać, że on także się zgadza. Miał nadzieję, iż inni zauważą to i dojdą do wniosku, że w ogóle nie o to tutaj chodzi.

- Jakie posunięcia rozpatrywaliście w tym momencie? - zapytał Quinn.

- Tylko jedno. Musieliśmy dać do zrozumienia, że nie aprobujemy naruszenia cudzej prywatności przez naszych naukowców. Chcieliśmy także pokazać, że jesteśmy w stanie egzekwować nasze polecenia. Żeby to zrobić, musieliśmy zdymisjonować doktor Ferrami. Nie było innego wyboru.

- Dziękuję, profesorze - powiedział Quinn, siadając na krześle.

Steve poczuł, jak ogarnia go pesymizm. Quinn w pełni zasługiwał na krążącą o nim opinię. Relacja Berringtona wydawała się całkiem wiarygodna. Sprawiał wrażenie rozsądnego, łagodnego zwierzchnika, starającego się dojść do porozumienia z porywczą, niesubordynowaną podwładną. Było to tym bardziej prawdopodobne, że Jeannie rzeczywiście była porywczą.

Prawda wyglądała jednak zupełnie inaczej. I to właśnie zamierzał zarzucić Berringtonowi Steve. Racja była po stronie Jeannie. Musiał to tylko udowodnić.

- Czy ma pan jakieś pytania, panie Logan? - zapytał Jack Budgen.

- Oczywiście - odparł Steve. Przez chwilę milczał, zbierając myśli.

O tym właśnie zawsze marzył. Nie znajdował się na sali sądowej i nie był nawet prawdziwym adwokatem, ale reprezentował osobę prześladowaną przez potężną instytucję. Nie miał zbyt wielkich szans, lecz bronił słusznej sprawy.

Wstał i zmierzył surowym wzrokiem Berringtona. Jeśli teoria Jeannie była słuszna, facet musiał czuć się trochę dziwnie w tej sytuacji - niczym baron Frankenstein przesłuchiwany przez stworzonego przez siebie potwora. Przed przejściem do meritum chciał to wykorzystać, żeby wyprowadzić go trochę z równowagi.

- Zna mnie pan, prawda, profesorze? - zapytał.

Berrington trochę się speszył.

- Tak... spotkaliśmy się chyba w poniedziałek, prawda?

- I wie pan o mnie wszystko.

- Nie bardzo rozumiem...

- Badano mnie przez cały dzień w pańskim laboratorium, ma pan więc na mój temat mnóstwo informacji.

- Rozumiem, o co panu chodzi. Owszem.

Berrington wydawał się kompletnie zbity z tropu.

Steve stanął za krzesłem Jeannie, żeby wszyscy musieli na nią spojrzeć. O wiele trudniej jest potępić kogoś, kto patrzy ci śmiało i szczerze w oczy.

- Zaczniemy od pierwszego pańskiego stwierdzenia. Po poniedziałkowej rozmowie z doktor Ferrami miał pan zamiar zasięgnąć porady prawnej?

- Tak.

- Nie spotkał się pan jednak z adwokatem?

- Nie. Wypadki potoczyły się zbyt szybko.

- Nie umówił się pan na spotkanie?

- Nie było czasu.

- W ciągu dwóch dni, które upłynęły między pańską rozmową z doktor Ferrami i pańską rozmową z doktorem Obellem, nie poprosił pan nawet swojej sekretarki, żeby umówiła pana z adwokatem.

- Nie.

- Nie rozmawiał pan też z żadnym ze swoich kolegów, żeby dowiedzieć się, czy znają kogoś odpowiedniego.

- Nie.

- W gruncie rzeczy nie ma pan żadnych dowodów na poparcie tego stwierdzenia.

Berrington uśmiechnął się z wyższością.

- Cieszę się jednak opinią człowieka uczciwego.

- Doktor Ferrami dokładnie przypomina sobie tę rozmowę.

- To dobrze.

- Twierdzi, że nie wypowiadał się pan w ogóle na temat problemów prawnych ani etycznych. Interesowało pana jedynie to, czy program jest skuteczny.

- Może zapomniała.

- A może pan to źle zapamiętał. - Steve doszedł do wniosku, że wygrał to starcie, i zmienił nagle taktykę. - Czy dziennikarka "New York Timesa", pani Freelander, mówiła, w jaki sposób dowiedziała się o badaniach doktor Ferrami?

- Jeśli nawet to zrobiła, doktor Obell nic mi o tym nie wspomniał.

- To znaczy, że sam pan go o to nie zapytał?

- Nie.

- Zastanawiał się pan, skąd może o tym wiedzieć?

- Dziennikarze mają swoje sposoby.

- Ponieważ doktor Ferrami nie opublikowała dotychczas żadnych prac, informacja musiała pochodzić od konkretnej osoby.

Berrington zawahał się i poszukał wzrokiem pomocy u Quinna, który poderwał się z krzesła.

- To są czyste spekulacje, panie przewodniczący - powiedział, zwracając się do Jacka Budgena.

Budgen kiwnął głową.

- Ale to posiedzenie jest nieformalne - zaprotestował Steve. - Nie obowiązuje nas ścisła sądowa procedura.

- Kwestia wydaje mi się interesująca - odezwała się po raz pierwszy Jane Edelsborough - i ma według mnie związek ze sprawą.

Berrington posłał jej chmurne spojrzenie, a ona uniosła ramiona w geście skruchy. Steve zaczął się zastanawiać, co łączy tych dwoje.

Budgen czekał, mając zapewne nadzieję, że któryś z pozostałych członków komisji zaprezentuje inny punkt widzenia i on, jako przewodniczący, będzie mógł rozsądzić kwestię, ale nikt się nie odezwał.

- W porządku - stwierdził po chwili. - Niech pan kontynuuje, panie Logan.

Steve nie mógł uwierzyć, że wygrał w pierwszym proceduralnym sporze. Profesorom najwyraźniej nie podobał się wymuskany adwokat, mówiący, jakie pytania wolno, a jakich nie wolno zadawać. Z przejścia zupełnie zaschło mu w gardle i nalał sobie drżącą ręką wody z karafki.

Wypił łyk i zwrócił się ponownie do Berringtona.

- Pani Freelander orientowała się całkiem dobrze, jakiego rodzaju badania prowadzi doktor Ferrami, nieprawdaż?

- Tak.

- Wiedziała dokładnie, w jaki sposób doktor Ferrami szuka bliźniaków, wertując bazy danych. Jest to nowa technika, opracowana samodzielnie przez doktor Ferrami, znana wyłącznie panu i kilku innym kolegom z wydziału.

- Można tak powiedzieć.

- Wygląda na to, że informację przekazał do prasy ktoś z wydziału psychologii, nieprawdaż?

- Możliwe.

- Jaki motyw mógłby mieć któryś z pana kolegów, aby przedstawić w niekorzystnym świetle doktor Ferrami i jej badania?

- Naprawdę nie mogę powiedzieć.

- Ale wygląda to na robotę jakiegoś złośliwego, być może zazdrosnego rywala... chyba pan się ze mną zgodzi?

- Niewykluczone.

Steve pokiwał z satysfakcją głową. Czuł, że zaczyna się rozgrzewać, że wpada w rytm. Zbudziła się w nim nadzieja.

Nie popadaj zbyt szybko w samozadowolenie, uspokajał się. Zaliczenie jednego punktu to nie to samo, co wygranie całej sprawy.

- Pozwoli pan, że przejdę do innej pańskiej wypowiedzi. Kiedy pan Quinn zapytał, czy jakieś osoby spoza uniwersytetu zainteresowały się tym artykułem, odpowiedział pan: "Oczywiście, że tak". Podtrzymuje pan to stwierdzenie?

- Tak.

- Ile dokładnie otrzymał pan telefonów od sponsorów, nie licząc tego od Prestona Barcka?

- Rozmawiałem z Herbem Abrahamsem...

Steve widział, że Berrington nie mówi całej prawdy.

- Pozwoli pan, że mu przerwę, panie profesorze. - Berrington zrobił zdziwioną minę, ale umilkł. - Czy to pan Abrahams zadzwonił do pana, czy też było odwrotnie?

- Chyba ja zadzwoniłem do Herba.

- Zaraz do tego wrócimy. Najpierw proszę powiedzieć nam, ilu ważnych sponsorów zadzwoniło do pana, aby wyrazić swoją troskę z powodu artykułu w "New York Timesie"?

Berrington zaczynał się łamać.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś zadzwonił do mnie specjalnie w tej sprawie.

- Ile telefonów otrzymał pan od potencjalnych studentów?

- Ani jednego.

- Czy ktoś w ogóle zadzwonił do pana w związku z tym artykułem?

- Chyba nie.

- Czy otrzymał pan w tej sprawie jakieś listy?

- Jeszcze nie.

- Nie wydaje się więc, żeby artykuł spowodował jakiś większy odzew?

- Wyciąga pan chyba zbyt pochopne wnioski.

Odpowiedź była żalosna i Steve pozwolił, żeby zapadła w pamięć obecnym. Berrington wydawał się coraz bardziej skrepowany. Członkowie komisji śledzili pilnie wymianę zdań. Steve spojrzał na Jeannie. Na jej twarzy pojawiła się nadzieja.

- Porozmawiajmy zatem o tym jednym telefonie, który pan otrzymał, od Prestona Barcka, prezesa Genetico. Z pana wypowiedzi można było wnosić, że jest on po prostu jednym ze sponsorów, zatroskanym o to, jak wydaje się jego pieniądze. Ale Berek jest dla pana oczywiście kimś więcej, prawda? Kiedy pan go po raz pierwszy spotkał?

- Kiedy studiowałem na Harvardzie, czterdzieści lat temu.

- Musi być jednym z pańskich najstarszych przyjaciół.

- Tak.

- W późniejszych latach założyliście zdaje się wspólnie Genetico.

- Tak.

- Jest więc także pańskim wspólnikiem w interesach.

- Tak.

- Firmę przejmuje obecnie niemiecki koncern farmaceutyczny, Landsmann.

- Tak.

- Pan Berek zarobi niewątpliwie dużo pieniędzy na tej transakcji.

- Niewątpliwie.

- Ile?

- To chyba poufna wiadomość.

Steve uznał, że nie ma sensu cisnąć go o dokładną sumę. Dostatecznie kompromitujące było to, że nie chciał jej zdradzić.

- Wielkie plany ma kolejny z pańskich przyjaciół: senator Proust. Według najnowszych wiadomości, dochód pochodzący ze sprzedaży ma zamiar przeznaczyć na sfinansowanie swojej kampanii prezydenckiej.

- Nie oglądałem dzisiaj wiadomości.

- Ale Jim Proust jest pańskim przyjacielem, nieprawdaż? Musiał pan wiedzieć, że myśli o ubieganiu się o prezydenturę.

- Wszyscy chyba o tym wiedzą.

- Czy pan sam zarobi jakieś pieniądze w wyniku tej transakcji?

- Owszem.

Steve podszedł do Berringtona, tak żeby oczy wszystkich utkwione były w profesorze.

- Jest pan więc nie tylko konsultantem, ale wspólnikiem.

- To zdarza się dosyć często.
- Ile zarobi pan na sprzedaży Genetico?
- To chyba moja sprawa.

Tym razem Steve nie zamierzał dać mu się tak łatwo wywinąć.

- Według "Wall Street Journal" cena, którą zapłaci Landsmann za waszą firmę, wynosi sto osiemdziesiąt milionów dolarów.

- Tak.

- Sto osiemdziesiąt milionów dolarów - powtórzył Steve i przez chwilę milczał pozwalając, żeby ta suma zapadła w pamięć obecnym. Profesorowie uniwersytetu nie oglądają na ogół tego rodzaju pieniędzy i chciał, żeby członkowie komisji uświadomili sobie, że Berrington nie jest jednym z nich, ale istotą z zupełnie innej planety. - Jest pan jednym z trzech współwłaścicieli, którzy otrzymają łącznie sto osiemdziesiąt milionów dolarów.

Berrington pokiwał głową.

- Miał pan więc powody do zdenerwowania, kiedy dowiedział się pan o artykule w "New York Timesie". Pański przyjaciel Preston sprzedaje firmę, pański przyjaciel Jim ubiega się o prezydenturę, a pan ma zarobić fortunę. Czy jest pan pewien, że wyrzucając z pracy doktor Ferrami, miał pan na względzie przede wszystkim reputację uniwersytetu? Czy też kierowały panem zupełnie inne troski? Bądźmy szczerzy, profesorze: wpadł pan w panikę.

- Z całą pewnością nie...

- Przeczytał pan napastliwy artykuł w gazecie, przeląkł się pan, że transakcja nie dojdzie do skutku i podjął pochopną decyzję. Dał się pan nastraszyć "New York Timesowi".

- Nie jestem kimś, kogo mógłby nastraszyć "New York Times", młody człowieku. Postąpiłem szybko i zdecydowanie, ale nie pochopnie.

- Nie próbował pan odkryć źródła przecieku?

- Nie.

- Ile dni badał pan, czy zarzuty wysuwane w gazecie odpowiadają prawdzie?

- To nie trwało długo...

- Raczej kilka godzin niż kilka dni?

- Tak...

- A właściwie mniej niż godzinę? Tyle zajęło panu przygotowanie oświadczenia dla prasy, komunikującego, że badania doktor Ferrami zostają przerwane.

- Jestem pewien, że trwało to dłużej niż godzinę.

Steve wzruszył ramionami.

- Nie bądźmy drobiazgowi i zgódźmy się, że trwało to dwie godziny. Czy to dość długo? - Odwrócił się i wskazał Jeannie, żeby mogli się jej dobrze przyjrzeć. - Po dwóch godzinach postanowił pan spisać na straty cały program badawczy młodej asystentki. - Na twarzy Jeannie widać było ból. Steve szczerze jej współczuł, ale dla jej własnego dobra musiał grać na emocjach. Przekreślił nóż w ranie. - Po dwóch godzinach wiedział pan dosyć, aby podjąć decyzję, która niweczyła długie lata pracy? Dosyć, żeby złamać obiecującą karierę? Dosyć, żeby zrujnować życie kobiety?

- Chciałem, żeby powiedziała coś na swoją obronę - stwierdził z oburzeniem Berrington. - Ale ona straciła nad sobą panowanie i wyszła z gabinetu!

Steve zawahał się, a potem uznał, że może użyć teatralnego chwytu.

- Wyszła z gabinetu! - powtórzył z udawanym zdumieniem. - Wyszła z gabinetu! Pokazał jej pan oświadczenie, w którym była mowa o przerwaniu jej badań. Bez próby odkrycia źródła przecieku, bez oceny słuszności zarzutów, bez żadnej dyskusji i jakiegokolwiek postępowania wyjaśniającego oznajmił pan po prostu tej młodej osobie, żeby spisała na straty kilka lat życia, a ona w odpowiedzi wyszła z gabinetu! - Berrington otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Steve nie dopuścił go do głosu. - Kiedy myślę o niesprawiedliwości, o bezprawiu, o prostej głupocie, której dopuścił się pan w tę środę, dziwię się, że doktor Ferrami znalazła w sobie dość samodyscypliny i powściągliwości, żeby ograniczyć się do tak skromnego, aczkolwiek wymownego protestu. - Wrócił w milczeniu na swoje miejsce, po czym odwrócił się do komisji. - Nie mam więcej pytań - stwierdził.

Jeannie miała spuszczonego wzrok, ale ścisnęła go za rękę.

- Jak się czujesz? - zapytał, pochylając się ku niej.

- Dobrze.

Poklepał ją po dłoni. Miał ochotę powiedzieć jej, że już wygrali, ale nie chciał kusić losu.

Ze swego miejsca podniósł się Henry Quinn. Choć Steve zmasakrował jego klienta, najwyraźniej nie wytrąciło go to z równowagi. Zachowanie dobrej miny bez względu na to, w jak trudnej znajdował się sytuacji, stanowiło bez wątpienia jeden z jego atutów.

- Czy gdyby uniwersytet nie przerwał programu badawczego doktor Ferrami i nie wyrzucił jej z pracy, miałyby to jakiś wpływ na przejęcie Genetico przez Landsmanna? - zapytał, zwracając się do Berringtona.

- Absolutnie żadnego.

- Dziękuję bardzo. Nie mam więcej pytań.

To było skuteczne, pomyślał z goryczą Steve. Przekłuło niczym balon całą jego argumentację. Odwrócił się do okna, żeby Jeannie nie zobaczyła rozczarowania na jego twarzy.

Przyszła teraz kolej na nią i Steve wstał, żeby pomóc jej złożyć zeznania. Jeannie opisała w spokojny i klarowny sposób swoje badania i wyjaśniła, jak ważne jest dla niej odszukanie bliźniąt, które miały kryminalną przeszłość. Przedstawiła także szczegółowo zabezpieczenia, które wprowadziła, aby nie dopuścić do ujawnienia jakichkolwiek danych medycznych przed otrzymaniem zgody od badanego.

Oczekiwał, iż Quinn będzie chciał zadać jej parę pytań i wykazać, że istnieje choćby najmniejsza możliwość przypadkowego przecieku poufnej informacji. Przeciwczyli to oboje zeszłej nocy: Jeannie broniła się, a Steve grał rolę dociekliwego prokuratora. Ku jego zaskoczeniu, Quinn nie miał żadnych pytań. Czy bał się, że Jeannie będzie się zbyt umiejętnie broniła? Czy też był po prostu pewien wygranej?

Quinn pierwszy wygłosił swoją mowę. Powtórzył większą część zeznań Berringtona, po raz kolejny nudząc słuchaczy bardziej niż to, zdaniem Steve'a, było konieczne. Podsumowanie okazało się jednak dość krótkie.

- Do tego konfliktu w ogóle nie powinno dojść - stwierdził adwokat. - Władze uniwersytetu przez cały czas postępowały zgodnie z prawem. Cały dramat spowodowany został przez nieprzejednaną postawę i zapalczywość doktor Ferrami. Podpisała oczywiście kontrakt, który regulował jej stosunki z pracodawcą. Ale starsi pracownicy naukowcy powinni mieć prawo nadzorować młodszych; a młodszy, jeśli mają choć trochę zdrowego rozsądku, powinni słuchać rad tych, którzy są bardziej od nich doświadczeni. Upór doktor Ferrami przeobraził problem w kryzys i jedynym jego rozwiązaniem wydaje się opuszczenie przez nią uniwersytetu.

Nadeszła pora na przemówienie Steve'a. Ćwiczył je przez całą noc.

- W jakim celu powołano Uniwersytet Jonesa Fallsa? - zapytał i zawiesił głos, żeby spotęgować dramatyczny efekt.

- Odpowiedź można zawrzeć w dwóch słowach: powołano go, aby służył wiedzy. Gdybyśmy mieli zdefiniować rolę, jaką odgrywa uniwersytet w amerykańskim społeczeństwie, powiedzielibyśmy, że jego funkcją jest pogłębianie i szerzenie wiedzy.

Przyjrzał się po kolei członkom komisji, oczekując, że to zaaprobują. Jedynie Jane Edelsborough pokiwała głową; reszta pozostała bierna.

- Co jakiś czas ta funkcja staje się przedmiotem ataku. Zawsze zdarzają się ludzie, którzy chcą ukryć prawdę z powodów politycznych, religijnych względnie... - tu spojrział na

Berringtona - dla korzyści materialnych. Myślę, że wszyscy tu obecni zgodzą się ze mną, gdy powiem, że reputacja szkoły zależy w kapitalnym stopniu od jej intelektualnej niezależności. Ta niezależność powinna naturalnie uwzględniać inne zobowiązania, takie choćby jak konieczność respektowania praw jednostki. Niemniej energiczna obrona prawa uniwersytetu do pogłębiania wiedzy powinna przysporzyć mu chwały wśród wszystkich myślących ludzi.

Zatoczył ręką krąg, wskazując kampus.

- Uniwersytet Jonesa Fallsa jest ważny dla wszystkich tu obecnych. Reputacja uczonego może rosnać lub spadać wraz z reputacją uczelni, w której pracuje. Proszę, żebyście zastanowili się, jaki będzie wpływ waszego werdyktu na reputację uczelni jako wolnej niezależnej szkoły. Czy uniwersytet cofnie się przed intelektualnie płytkim atakiem codziennej gazety? Czy program badań zostanie przerwany po to tylko, aby nie zaszkodzić sfinalizowaniu pewnej transakcji? Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że członkowie komisji podtrzymają reputację uczelni pokazując, że liczy się tutaj jedna prosta wartość: prawda.

Spojrzał na nich, chcąc, żeby jego słowa zapadły im w pamięć. Nie potrafił powiedzieć, czy jego mowa poruszyła ich, czy wprost przeciwnie. Po chwili usiadł.

- Dziękuję - powiedział Jack Budgen. - Na czas obrad proszę o opuszczenie sali wszystkich poza członkami komisji.

Steve otworzył drzwi przed Jeannie i wyszedł za nią na korytarz. Udali się na dwór i stanęli w cieniu drzewa. Jeannie była blada z napięcia.

- Jak myślisz? - zapytała.

- Musimy wygrać - odparł. - Mamy rację.

- Co mam zrobić, jeśli przegram? Przeprowadzić się do Nebraski? Poszukać pracy w szkole? Zostać stewardesą jak Penny Watermeadow?

- Kim jest Penny Watermeadow?

Jeannie otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale potem zobaczyła kogoś za jego plecami i zawahała się. Steve odwrócił się i ujrzał podchodzącego do nich z papierosem w ręku Henry'ego Quinna.

- Był pan bardzo ostry - pochwalił go Quinn. - Mam nadzieję, że nie uzna pan, iż traktuję go protekcyjnie, gdy powiem, że dysputa z panem była prawdziwą przyjemnością.

Jeannie prychnęła głośno i odwróciła się bokiem do prawnika.

Steve zachował się w bardziej opanowany sposób. Tacy właśnie są adwokaci: poza salą sądową starają się traktować przyjaźnie przeciwnika. Może się zdarzyć, że pewnego dnia poprosi Quinna o pracę.

- Dziękuję - odparł grzecznie.

- Pana argumenty były bardzo mocne - kontynuował Quinn, zaskakując Steve'a swoją szczerością. - Z drugiej strony w sprawach tego rodzaju ludzie kierują się na ogół własnym interesem, a wszyscy członkowie komisji są starymi profesorami. Bez względu na wagę argumentów, ciężko im będzie popierać kogoś młodego przeciwko komuś, kto należy do ich własnej grupy.

- Są intelektualistami - stwierdził Steve. - Powinny do nich trafiać racjonalne argumenty.

Quinn pokiwał głową.

- Może ma pan rację. - Przyglądał się przez chwilę bacznie Steve'owi. - Orientuje się pan, o co tu naprawdę chodzi?

- Co pan ma na myśli? - zapytał ostrożnie Steve.

- Berrington najwyraźniej czegoś się boi i na pewno nie jest to zła prasa. Myślałem, że pan i doktor Ferrami coś na ten temat wiecie.

- Chyba wiemy - odparł Steve. - Ale nie możemy tego jeszcze udowodnić.

- Nie poddawajcie się - powiedział Quinn, po czym rzucił na ziemię niedopałek i przydeptał go obcasem. - Niech Bóg broni, żeby ktoś taki jak Jim Proust został prezydentem - mruknął i odszedł.

Kto by się spodziewał: zakamuflowany liberał, pomyślał Steve.

W drzwiach pojawił się Jack Budgen i zaprosił ich gestem do środka. Steve wziął Jeannie pod ramię i wrócili razem na salę.

Studiował uważnie twarze komisji. Jack Budgen spojrzał mu prosto w oczy. Jane Edelborough lekko się uśmiechnęła.

To był dobry znak. Wstąpiła w niego nadzieja.

Wszyscy usiedli.

Jack Budgen przesuwając przez chwilę niepotrzebnie z miejsca na miejsce swoje papiery.

- Dziękujemy obu stronom za to, że posiedzenie przebiegło w pełnej powagi atmosferze. Nasza decyzja podjęta została jednomyślnie. Komisja zwróci się do senatu, aby udzielił dymisji doktor Ferrami. Dziękuję.

Jeannie schowała twarz w dłoniach.

Kiedy została w końcu sama, Jeannie rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać.

Płakała bardzo długo. Waliła pięściami w poduszki i obrzucała wyzwiskami ściany, powtarzając najgorsze wyrazy, jakie знаła; a potem wtuliła twarz w kołdrę i znowu płakała. Zmoczyła całą poszwę łzami i pomazała ją na czarno maskarą.

Po jakimś czasie wstała, umyła twarz i zrobiła sobie kawy.

- Nie dostałaś przecież raka - powiedziała sobie. - Weź się w garść, dziewczyno.

Nie było to jednak takie łatwe. Jeszcze nie umierała, zgoda, ale straciła wszystko, co stanowiło sens jej życia. Pomyślała o sobie samej w wieku dwudziestu jeden lat. Ukończyła wtedy z wyróżnieniem college i w tym samym roku wygrała turniej Mayfair Lites. Przypomniła sobie, jak stała na korcie, trzymając w triumfalnym geście podniesiony wysoko puchar. Świat leżał u jej stóp. Teraz miała wrażenie, że ten puchar trzymał ktoś zupełnie inny.

Siadła na kanapie i zaczęła popijać małymi łyżkami kawę. Jej ojciec, ten stary lajdak, ukradł jej telewizor i nie mogła obejrzeć nawet durnego serialu, żeby zapomnieć o tym, co się stało. Zjadłaby tabliczkę czekolady, gdyby jakąś miała. Zastanawiała się, czy nie napić się wódki, ale to jeszcze bardziej by ją przygnębiło. Zakupy? Zalałaby się pewnie łzami w przymierzalni, a poza tym była teraz bardziej splukana niż kiedykolwiek.

Koło drugiej zadzwonił telefon.

Jeannie nie miała ochoty go odbierać.

Ten, kto telefonował, był jednak wyjątkowo uparty, i zmęczona brzęczeniem dzwonnka podniosła w końcu słuchawkę.

To był Steve. Po posiedzeniu wrócił do Waszyngtonu na spotkanie ze swoim adwokatem.

- Jestem teraz w jego kancelarii - powiedział. - Chcemy, żebyś wystąpiła na drogę prawną przeciwko uniwersytetowi, żądając oddania tej listy z FBI. Moja rodzina pokryje wszystkie koszty. Uważają, że jeśli uda się odkryć trzeciego bliźniaka, gra jest warta świeczki.

- Mam w dupie trzeciego bliźniaka - poinformowała go Jeannie.

W słuchawce zapadła cisza.

- To dla mnie ważne - stwierdził po chwili cicho Steve.

Jeannie westchnęła. Miała tyle własnych kłopotów, a on chciał, żeby się o niego troszczyła. A potem zrobiło jej się wstyd. Steve troszczył się o nią.

- Wybacz, Steve - powiedziała. - Za bardzo się nad sobą użalam. Oczywiście, że ci pomogę. Co mam zrobić?

- Nic. Adwokat pójdzie do sądu, jeśli dasz mu upoważnienie.

Zaczęła się zastanawiać.

- Czy to nie jest trochę niebezpieczne? Chodzi o to, że uniwersytet zostanie prawdopodobnie powiadomiony o naszych żądaniach. Berrington będzie wtedy wiedział, gdzie na pewno znajduje się lista. I odzyska ją przed nami.

- Do diabła, masz rację. Muszę mu to powiedzieć.

Chwilę później w słuchawce odezwał się inny głos.

- Dzień dobry, doktor Ferrami, mówi Russell Brewer, jesteśmy teraz na linii konferencyjnej razem ze Stevenem. Gdzie dokładnie znajdują się te dane?

- W szufladzie biurka, na dyskietce oznaczonej ZAKUPY.LST.

- Możemy zażądać dostępu do gabinetu, nie wyszczególniając, czego konkretnie szukamy.

- Obawiam się, że skasują wówczas zawartość całego mojego dysku i dyskietek.

- Nie mam lepszego pomysłu.

- Potrzebujemy po prostu włamywacza - powiedział Steve.

- O mój Boże - szepnęła Jeannie.

- Co takiego?

Tato.

- Co się stało, doktor Ferrami? - zapytał adwokat.

- Czy może pan wstrzymać się na razie z wystąpieniem na drogę prawną?

- Oczywiście. Nie udałoby się nam zresztą nadać sprawie biegu przed poniedziałkiem. Dlaczego?

- Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Zobaczymy, czy wypali. Jeśli nie, załatwimy to na drodze prawnej. Steve?

- Jestem.

- Zadzwoń do mnie później.

- Oczywiście.

Jeannie odłożyła słuchawkę.

Tato mógł wejść do jej gabinetu.

Mieszkał teraz u Patty. Był bez grosza przy duszy, więc na pewno nigdzie nie poszedł. I miał wobec niej dług. Nie byle jaki dług.

Jeśli uda jej się odnaleźć trzeciego bliźniaka, Steve zostanie oczyszczony z zarzutów. A jeśli ujawni przy okazji, jakich nadużyć dokonali Berrington i jego przyjaciele w latach siedemdziesiątych, być może odzyska swoje stanowisko.

Czy mogła prosić ojca o coś takiego? To było niezgodne z prawem. Jeśli im się nie uda, mógł wylądować w więzieniu. Oczywiście stale podejmował podobne ryzyko, ale tym razem trafiłby za kratki z jej winy. Próbowwała przekonać samą siebie, że ich nie złapią.

Zadzwoił domofon.

- Słucham? - zapytała, podnosząc słuchawkę.

- Jeannie?

Głos wydawał się znajomy.

Tak - odparła. - Kto mówi?

- Will Tempie.

- Will?

- Wysłałem ci dwa listy pocztą elektroniczną. Nie dostałaś ich?

Co, u diabła, robił tutaj Will Tempie?

- Wejdz - powiedziała, naciskając guzik.

Wszedł na górę. Ubrany był w brązowe spodnie i granatową koszulkę polo. Miał krótsze włosy i chociaż wciąż nosił jasną brodę, którą tak kochała, przystrzygł ją teraz schludnie w szpic. Jej następczyni wzięła go w karby.

Jeannie nie mogła się zmusić, żeby pocałować go w policzek: zbyt boleśnie ją skrzywdził.

To dla mnie niespodzianka - powiedziała, podając mu rękę. - Od kilku dni nie jestem w stanie odbierać swojej poczty.

- Biorę udział w konferencji w Waszyngtonie - oznajmił. - Wynająłem samochód i przyjechałem do ciebie.

- Chcesz kawy?

- Chętnie.

- Siadaj - poprosiła, włączając ekspres.

Will rozejrzał się dookoła.

- Miłe mieszkanko.

- Dziękuję.

- Inne.

- Masz na myśli, że różni się od tego, w którym kiedyś mieszkaliśmy. - Salon w ich mieszkaniu w Minneapolis był jedną wielką graciarnią z leżącymi na podłodze gitarami,

rakietami tenisowymi i kołami rowerowymi. Ten pokój wydawał się w porównaniu z nim spartański. - Miałam już chyba dosyć bałaganu.

- Kiedyś go lubiałaś.

- Owszem. Ale teraz jest inaczej.

Will pokiwał głową i zmienił temat.

- Czytałem o tobie w "New York Timesie". Ten artykuł to jakieś brednie.

- Okazał się jednak skuteczny. Wyrzucili mnie dzisiaj z roboty.

- Nie!

Nalala kawy, usiadła naprzeciwko Willa i opowiedziała mu o porannym przesłuchaniu.

- Ten facet, Steve... myślisz o nim poważnie? - zapytał, kiedy umilkła.

- Nie wiem. Niewykluczone.

- Nie chodzisz z nim?

- Nie, ale on tego chce i naprawdę go lubię. A co u ciebie? Ciągłe jesteś z Georginą Tinkerton Ross?

- Nie. - Will potrząsnął ze smutkiem głową. - Tak naprawdę przyjechałem, żeby ci powiedzieć, iż zerwanie z tobą było największą pomyłką w moim życiu.

Jeannie poruszyło to, jak żałośnie wyglądał. Gdzieś w głębi duszy cieszyła się, że zdał sobie sprawę ze swojego błędu, nie chciała jednak, żeby był nieszczęśliwy.

- Nasza miłość była najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przydarzyła - powiedział. - Jesteś silna, ale dobra. I masz głowę na karku: potrzebuję kogoś mądrego. Pasowaliśmy do siebie. Kochaliśmy się.

- Bardzo mnie wtedy zraniłeś - odparła. - Lecz doszłam już do siebie.

- Ja chyba nie.

Zmierzyła go wzrokiem. Był dużym mężczyzną, nie tak przystojnym jak Steve, ale na swój szorstki sposób całkiem atrakcyjnym. Opukała swoje libido niczym lekarz obmacujący ranę, nie odkryła jednak żadnego śladu potężnego fizycznego pożądania, które budziło w niej kiedyś silne ciało Willa.

Przyjechał prosić, żeby do niego wróciła, to było teraz jasne. A ona wiedziała, jakiej udzieli mu odpowiedzi. Już go nie chciała. Spóźnił się mniej więcej o tydzień. Nie chciała go upokarzać, otwarcie odrzucając jego propozycję.

- Słuchaj, Will - powiedziała wstając - mam teraz coś ważnego do załatwienia i muszę lecieć. Żałuję, że nie dostałam twoich listów. Moglibyśmy wtedy spędzić ze sobą więcej czasu.

Will zrozumiał podtekst i posmutniał.

- Szkoda - szepnął i również wstał z krzesła.

Podala mu rękę.

- Dzięki, że wpadłeś.

Przyciągnął ją bliżej, żeby pocałować w usta. Jeannie nadstawiła policzek. Pocałował ją delikatnie i odsunął się.

- Żałuję, że nie mogę na nowo napisać naszego scenariusza - stwierdził. - Mógłbym mu dać szczęśliwsze zakończenie.

- Do widzenia, Will.

- Do widzenia, Jeannie.

Obserwowała, jak schodzi po schodach i znika za drzwiami.

Zadzwonił telefon.

- Słucham? - powiedziała do słuchawki.

- Wyrzucenie z roboty nie jest najgorszą rzeczą, jaka może ci się przytrafić.

Dzwonił mężczyzna; jego głos był lekko stłumiony, tak jakby mówił przez jakąś szmatę, która miała utrudnić jego rozpoznanie.

- Kto mówi? - zapytała.

- Przestań wtykać nos w nie swoje sprawy.

Kto to, u diabła, mógł być?

- Jakie sprawy?

Chłopak, którego spotkałaś w Filadelfii, miał cię zabić.

Jeannie przestała oddychać. Ogarnął ją nagły lęk.

- Poniosło go i schrzanił robotę. Ale może cię znowu odwiedzić.

- O Boże - szepnęła.

- Uważaj.

Rozległ się lekki trzask, a potem sygnał centrali.

Jeannie odłożyła słuchawkę i wlepiła wzrok w telefon.

Jeszcze nikt nie groził jej śmiercią. Paraliżowała ją świadomość, że ktoś dybie na jej życie. Co ma teraz robić?

Usiadła na kanapie, starając się odzyskać zimną krew. Miała ochotę się poddać. Była zbyt obolała i poobijana, aby walczyć dalej z potężnymi, kryjącymi się w cieniu przeciwnikami. Okazali się zbyt silni. Mogli pozbawić ją etatu i nasłać na nią zbrodnie, mogli przeszukać jej gabinet i czytać jej korespondencję; wydawało się, że są zdolni do wszystkiego. Może naprawdę gotowi byli ją zabić.

Tak nie wolno postępować. Jakie mieli prawo? Była dobrym psychologiem, a oni wyrzucili ją z uczelni. Chcieli wsadzić do więzienia Steve'a pod pretekstem gwałtu na Lisie. Grozili jej śmiercią. Poczwała, jak ogarnia ją gniew. Za kogo się w końcu uważali? Nie pozwoli, żeby jej życie zniszczyli dranie przekonani, że mogą manipulować ludźmi dla własnych korzyści i gwizdać na całą resztę. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej ją to wkurzało. Nie dam im wygrać, pomyślała. Mam w ręku coś, co może ich zranić - muszę to mieć, w przeciwnym razie nie ostrzegaliby mnie i nie grozili śmiercią. Zamierzam to wykorzystać. Nie dbam o to, co się ze mną stanie, jeśli tylko zdołam pokrzyżować im szyki. Jestem sprytna i zdeterminowana, więc uważajcie, sukinsyny, bo wam jeszcze dokopię.

Ojciec Jeannie siedział na kanapie w zaśmieconym salonie Patty, trzymając na kolanach filiżankę kawy. Oglądał *Szpital Dobrej Nadziei* zajadając ciasto marchewkowe.

Kiedy Jeannie weszła tam i go zobaczyła, straciła nad sobą panowanie.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - zawołała. - Jak mogłaś obrabować własną córkę?

Tato zerwał się na nogi, rozlewając kawę i upuszczając ciasto.

Patty weszła w ślad za Jeannie do salonu.

- Proszę cię, nie rób scen - powiedziała. - Niedługo wróci do domu Zip.

- Przepraszam cię, Jeannie - wymamrotał ojciec. - Tak mi wstyd.

Patty uklękła na podłodze i zaczęła wycierać plamy kawy papierowymi serwetkami. Na ekranie telewizora przystojny chirurg w fartuchu całował ładną kobietę.

- Wiesz, że jestem biedna jak mysz! - krzyknęła Jeannie. - Wiesz, że próbuję zebrać pieniądze, żeby przenieść do porządnego domu opieki moją matkę i twoją żonę! A mimo to kradniesz mi pierdolony telewizor...

- Nie powinnaś przeklinać...

- Jezu, trzymajcie mnie!

- Przepraszam.

- Nie rozumiem tego. Po prostu tego nie rozumiem.

- Daj mu spokój, Jeannie - wtrąciła Patty.

- Ale ja muszę wiedzieć. Jak mogłeś mi to zrobić?

- Dobrze, powiem ci - oświadczył nagle tato z determinacją, która ją zaskoczyła. - Powiem ci, dlaczego to zrobiłem. Straciłem po prostu zimną krew. - Łzy napłynęły mu do oczu. - Obrabowałem własną córkę, bo jestem zbyt stary i zbyt tchórzliwy, żeby okraść kogoś innego. Teraz znasz całą prawdę.

Był tak żaloszny, że gniew Jeannie wyparował w ciągu jednej chwili.

- Och, tato, tak mi przykro - powiedziała. - Siadaj, przyniosę odkurzacz.

Podniosła z podłogi filiżankę, odniosła ją do kuchni i po chwili wróciła z miniodkurzaczem i zebrała nim okruchy ciasta. Patty skończyła wycierać kawę.

- Zasłużyłyście na kogoś lepszego, dziewczęta, wiem o tym - stwierdził tato, siadając z powrotem na kanapie.

- Zrobię ci jeszcze jedną filiżankę kawy - zaproponowała Patty.

“Pojedźmy gdzieś razem, tylko ty i ja, w jakieś cudowne miejsce”, szeptał telewizyjny chirurg, a kobieta odparła: “Ale co powie na to twoja żona?” i doktor posmutniał. Jeannie wyłączyła telewizor i usiadła obok ojca.

- Co to znaczy, że straciłeś zimną krew? - zapytała zaciękawiona. - Co się stało?

Ojciec westchnął.

- Po wyjściu z pudła namierzyłem jeden budynek w Georgetown. To była mała firma, agencja projektowa, która wyposażyła właśnie cały personel w nowy sprzęt: kilkanaście komputerów, drukarki i faksy. Facet, który im to dostarczył, dał mi cynk; chciał kupić ode mnie komputery i odsprzedać firmie z powrotem, kiedy dostaną odszkodowanie. Zarobiłbym na tym dziesięć patoli.

- Nie chcę, żeby chłopcy tego słuchali - powiedziała Patty. Sprawdziła, czy nie ma ich w przedpokoju, i zamknęła drzwi.

- I co się stało? - zapytała Jeannie.

- Zaparkowałem furgonetkę tyłem do budynku, rozbroiłem alarm i otworzyłem drzwi przy rampie. A potem zacząłem myśleć o tym, co się stanie, jeśli będą tamtędy przejeżdżać gliny. W dawnych czasach nigdy się tym nie przejmowałem, ale minęło chyba dziesięć lat, kiedy robiłem to po raz ostatni. Dostałem takiego cykora, że zacząłem się trząść. Wszedłem do środka, odłączyłem jeden komputer, wyniosłem go, załadowałem do furgonetki i odjechałem. Następnego dnia przyszedłem do ciebie.

- I obrabowałeś mnie.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru, złotko. Myślałem, że pomożesz mi stanąć na nogi i znaleźć jakąś uczciwą robotę. Ale potem, kiedy wyszłaś, zaczęły mi przychodzić do głowy stare myśli. Siedziałem tam, gapiłem się na wieżę stereo i nagle zdałem sobie sprawę, że mógłbym dostać za nią kilkaset dolców. I może jeszcze z setką za telewizor. I po prostu to zrobiłem. Kiedy sprzedałem ten sprzęt, chciałem się zabić, przysięgam.

- Lecz się nie zabiłeś.

- Jeannie! - wtrąciła surowym tonem Patty.

- Wypiłem parę głębszych, zacząłem grać w pokera i nad ranem byłem znowu spłukany do czysta.

- Dlatego przyszedłeś do Patty.

- Nie zrobię ci tego, Patty. Nie zrobię już tego nikomu. Zaczynam uczciwe życie.

- Dobrze ci radzę! - oświadczyła Patty.

- Muszę. Nie mam innego wyboru.

- Jeszcze nie teraz - powiedziała Jeannie.

Oboje spojrzeli na nią.

- O czym ty mówisz, Jeannie? - zapytała nerwowo Patty.

- Musisz zrobić dla mnie jeden skok - oznajmiła Jeannie. - Włamanie. Dziś w nocy.

Kiedy wjechali na teren uczelni, zapadał zmierzch.

- Szkoda, że nie mamy mniej rzucającego się w oczy samochodu - stwierdził ojciec, gdy Jeannie zostawiła mercedesa na parkingu dla studentów. - Najlepszy jest ford taurus albo buick regal. Dziennie widzi się z pięćdziesiąt wozów tej marki. Nikt ich nie zapamięta.

Wysiadł z samochodu, trzymając w ręku zniszczoną skórzaną teczkę. Potargany, w koszuli w kratę, pogniecionych spodniach i znoszonym obuwiu wyglądał jak jeden z profesorów.

Jeannie czuła się trochę dziwnie. Wiedziała od dawna, że tato jest złodziejem, sama jednak nie złamała nigdy prawa; najgorszym popełnionym przez nią wykroczeniem była jazda powyżej siedemdziesiątki. Teraz miała zamiar dokonać włamania. Miała wrażenie, że przekracza jakąś ważną granicę. Nie sądziła, że robi coś złego, zachwiało to jednak poważnie jej autowizerunkiem. Zawsze uważała się za wzorową obywatelkę. Przestępcy, łącznie z jej ojcem, należeli do innego gatunku. Teraz do nich dołączała.

Większość studentów i pracowników naukowych poszła do domu, ale między budynkami kręciło się jeszcze trochę osób: profesorowie, którzy zasiedzieli się w swoich pracowniach, studenci wybierający się na imprezy, ochroniarze patrolujący teren i dozorczy. Jeannie miała nadzieję, że nie spotka nikogo znajomego.

Była napięta niczym struna gitary, gotowa w każdej chwili pęknąć. Bardziej niż o siebie bała się o ojca. Gdyby ich złapali, przeżyłaby wyłącznie głębokie upokorzenie: żaden sąd nie wsadziłby jej do więzienia za włamanie się do własnego gabinetu i kradzież dyskietki. Tatę, jako recydywistę, zamknęliby na wiele lat. Wyszedłby na wolność jako starzec.

Powoli zapalały się latarnie i światła na zewnątrz budynków. Jeannie i ojciec minęli kort tenisowy, gdzie dwie kobiety grały w świetle reflektorów. Jeannie przypomniała sobie Steve'a i to, jak starał się ją poderwać po niedzielnym meczu. Wydawał się taki zarozumiały i zadowolony z siebie, że odprawiła go prawie bez wahania. Dziwne, jak bardzo się co do niego myliła.

- To tutaj - oznajmiła, wskazując na gmach wydziału psychologii. - Wszyscy nazywają ten budynek Wariatkowem.

- Nie zwalniam kroku - odparł. - Jak otwierają się frontowe drzwi?

- Za pomocą plastikowej karty, takiej samej jak do mojego gabinetu. Ale moja karta do niczego się nie nadaje. Może pożyczymy od kogoś?

- Nie trzeba. Nienawidzę współników. Jak dostać się na tyły budynku?

- Pokażę ci.

Przez trawnik po prawej stronie biegła wąska alejka prowadząca w stronę parkingu dla gości. Jeannie przeszła nią kilkadziesiąt kroków, a potem skręciła na wyasfaltowane podwórko. Ojciec przyjrzał się okiem znawcy tylnej ścianie gmachu.

- Co to za wyjście? - zapytał, wskazując ręką.

- Chyba drzwi przeciwpożarowe.

Tato pokiwał głową.

- Na wysokości mojego pasa mają długą poprzeczną listwę, która otwiera drzwi, jeśli ktoś ją popchnie.

- Chyba masz rację. Po co je tak skonstruowali?

- Podczas pożaru ludzie wpadają w panikę. Kaszlą, płaczą i nic nie widzą przez kłęby dymu. Mogliby sobie nie poradzić z normalną klamką. A tutaj drzwi otwierają się same, kiedy tylko na nie wpadną.

- Wejdziemy przez nie do środka?

- Tak.

Jeannie przypomniała sobie umieszczoną wewnątrz tabliczkę z napisem: UWAGA! ALARM PRZECIWWŁAMANIOWY.

- Włączysz alarm - przestrzegła.

- Nie bój się - odparł. - Czy przechodzi tędy dużo ludzi? - zapytał, rozglądając się dookoła.

- Nie. W nocy prawie nikt.

- To dobrze. Zabierajmy się do dzieła.

Postawił na ziemi swoją teczkę i wyjął z niej małe czarne pudełko z tarczą. Przyciskając guzik i obserwując tarczę, przesunął je wzdłuż obrysu drzwi. Wskazówka wychyliła się, kiedy pudełko znalazło się w prawym górnym rogu. Ojciec zamruczał z zadowolenia.

Włożył pudełko z powrotem do teczki i wyjął z niej kolejny podobny instrument. Przykleił go w górnym prawym rogu drzwi i włączył. Rozległo się niskie brzęczenie.

- To powinno oszukać alarm - stwierdził.

Następnie wyjął długi kawałek drutu, który był kiedyś wieszakiem do ubrań, zgiął go starannie w pożądaną kształt i wsunął końcówkę w szparę między skrzydłami drzwi. Kręcił drutem przez kilka sekund, a potem pociągnął.

Drzwi się otworzyły.

Alarm milczał.

Ojciec wziął do ręki teczkę i wszedł do środka.

- Zaczekaj - powstrzymała go nagle Jeannie. - To nie jest w porządku. Zamknijmy te drzwi i wracajmy do domu.

- Daj spokój, nie bój się.

- Nie mogę cię na to narażać. Jeśli nas złapią, nie wyjdiesz z więzienia przed siedemdziesiątką.

- Jeannie, ja chcę to zrobić. Przez tyle lat byłem dla ciebie złym ojcem. Teraz dla odmiany mam okazję ci pomóc. To dla mnie ważne. Chodź, proszę cię.

Jeannie weszła do środka.

Ojciec zamknął za nimi drzwi.

- Prowadź - polecił.

Wbiegła po schodach przeciwpożarowych na pierwsze piętro i wskazała mu drzwi swojego gabinetu. Ojciec wyjął z teczki kolejny elektroniczny instrument, połączony dwoma drucikami z metalową płytką wielkości karty kredytowej, i wsunął płytkę w otwór czytnika.

- Sprawdzimy wszystkie możliwe kombinacje - oznajmił.

Zdumiewało ją, jak łatwo dostał się do budynku wyposażonego we wszelkie nowoczesne zabezpieczenia.

- Wiesz co? - powiedział. - Wcale się nie boję.

- A ja tak - odparła.

- Nie, poważnie, odzyskałem zimną krew. Może dlatego, że ze mną jesteś. Moglibyśmy razem pracować - dodał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Jeannie potrząsnęła głową.

- Zapomnij o tym. Nie mogłabym znieść napięcia.

Przyszło jej do głowy, że Berrington mógł już przeszukać pomieszczenie i zabrał jej komputer i wszystkie dyskietki. Byłoby straszne, gdyby okazało się, że ryzykowała na próżno.

- Jak długo to potrwa? - zapytała niecierpliwie.

- Już tylko kilka sekund.

Chwilę później drzwi się uchyliły.

- Pani pozwoli - oznajmił z dumą, zapraszając ją gestem do środka.

Jeannie weszła do gabinetu i zapaliła światło. Jej komputer wciąż stał na biurku. Otworzyła szufladę i przerzuciła drżącą ręką dyskietki. ZAKUPY.LST były na swoim miejscu.

- Chwała Bogu - szepnęła.

Teraz, kiedy miała dyskietkę w ręku, nie mogła się doczekać, żeby odczytać zawartą na niej informację. Chciała jak najszybciej stąd wyjść, równocześnie jednak kusilo ją, żeby zerknąć na listę. Nie miała w domu komputera: tato wyniósł go i sprzedał. Żeby zapoznać się z danymi, musiała pożyczyć cudzy: to wymagało czasu i tłumaczeń.

Postanowiła zaryzykować.

Włączyła komputer i czekała, aż się załaduje.

- Co ty robisz? - zapytał tato.

- Chcę przeczytać, co jest na dyskietce.

- Nie możesz zrobić tego w domu?

- Nie mam w domu komputera, tato. Został skradziony.

Do ojca nie dotarła zawarta w jej słowach ironia.

- Więc się pośpiesz - powiedział, po czym podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Na ekranie ukazało się menu; Jeannie załadowała Word Perfect, wsunęła dyskietkę do stacji i włączyła drukarkę.

Nagle rozległ się alarm.

Jeannie miała wrażenie, że serce zamarło jej w piersi. Hałas był ogłuszający.

- Co się stało? - zawołała.

Ojciec pobladł ze strachu.

- Musiał się zepsuć ten cholerny emiter. A może ktoś go zdjął z drzwi! - krzyknął. -

Wpadliśmy, Jeannie, uciekajmy!

Miała ochotę wyjąć dyskietkę ze stacji i wiać, gdzie pieprz rośnie, zamiast tego jednak przeanalizowała na chłodno sytuację. Jeśli ją teraz złapią i zabiorą dyskietkę, wszystko będzie stracone. Musiała przeczytać listę, póki jeszcze mogła. Złapała ojca za ramię.

- Jeszcze tylko parę sekund!

- Do diabła, chyba biegnie tutaj strażnik - zawołał, wyglądając przez okno.

- Muszę tylko to wydrukować! Zaczekaj na mnie!

Ojciec trząsł się ze strachu.

- Nie mogę, Jeannie! Nie mogę! Przepraszam!

Złapał swoją teczkę i wybiegł na korytarz. Jeannie było go żal, ale nie mogła teraz przestać. Przeszła na katalog stacji dysków, podświetliła zbiór ZAKUPY.LST i nacisnęła PRINT.

Nic się nie działo. Drukarka wciąż się rozgrzewała. Jeannie zakłęła pod nosem.

Podeszła do okna. Do budynku wchodziło dwóch strażników. Zamknęła drzwi gabinetu i spojrzała na swoją atramentową drukarkę.

- No szybciej, ruszaj.

Drukarka cyknęła w końcu, zaszumiała i połknęła kartkę papieru.

Jeannie wyjęła dyskietkę ze stacji i schowała ją do kieszeni swojej niebieskiej kurtki.

Drukarka wypluła cztery kartki i stanęła.

Czując, jak serce tłucze jej się w piersi, Jeannie złapała wydruki i przebiegła po nich wzrokiem. Lista zawierała trzydzieści, może czterdzieści par nazwisk, w większości mężczyzn, ale to jej nie zdziwiło: prawie wszystkie zbrodnie popełniają mężczyźni. Miejscem pobytu niektórych były więzienia. Lista odpowiadała dokładnie jej oczekiwaniom. Teraz jednak chciała czegoś więcej. Poszukała wzrokiem nazwisk "Steven Logan" i "Dennis Pinker".

Znalazła obydwa.

W tej samej linii widniało trzecie: "Wayne Stattner".

- Mam cię! - syknęła z triumfem.

Niżej znajdował się nowojorski adres i numer telefonu z kierunkowym 212.

Wpatrywała się w to nazwisko. Wayne Stattner. Tak nazywał się facet, który zaatakował ją w Filadelfii i zgwałcił Lisę.

- Ty sukinsynu - szepnęła mściwie. - Teraz nam nie uciekniesz.

Musiała stąd wiać. Wetknęła papiery do kieszeni, zgasła światło i otworzyła drzwi. Na korytarzu słychać było podniesione - z powodu wciąż wyjącego alarmu - męskie głosy. Spóźniła się. Ostrożnie zamknęła drzwi z powrotem. Czując, jak uginają się pod nią nogi, oparła się o drzwi i nasłuchiwała.

- Jestem pewien, że gdzieś tutaj paliło się światło - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Sprawdźmy lepiej wszystkie - odparł drugi.

Jeannie rozejrzała się po swojej klitce oświetlonej skąpym światłem z zewnątrz. Nie było gdzie się schować.

Uchyliła lekko drzwi. Nic nie widziała ani nie słyszała. Wystawiła głowę na zewnątrz. Z otwartych drzwi na drugim końcu korytarza padała smuga światła. Po dłuższej chwili strażnicy wyszli przez nie na korytarz, zgasili światło i zajrzeli do kolejnego

pomieszczenia, w którym znajdowało się laboratorium. Przeszukanie go powinno zająć im minutę albo dwie. Czy uda jej się minąć niepostrzeżenie drzwi i dotrzeć do klatki schodowej?

Wyszła na zewnątrz, zamknęła za sobą drżącą ręką drzwi i ruszyła korytarzem, powstrzymując się całą siłą woli, żeby nie biec.

Mijając drzwi laboratorium zerknęła do środka. Obaj mężczyźni odwróceny byli do niej plecami: jeden zaglądał do szafki, drugi gapił się na zawieszony na podświetlonej szybie zdjęcie DNA. Nie zobaczyli jej.

Jeszcze tylko kilka jardów.

Doszła do końca korytarza i pchnęła wahadłowe drzwi.

- Hej! Ty! Stój! - usłyszała za sobą.

Każda cząstka jej ciała rwała się do ucieczki, ale opanowała się. Puściła drzwi, obróciła się i uśmiechnęła.

Dwaj strażnicy biegli ku niej korytarzem. Obaj mieli grubo po pięćdziesiątce; byli prawdopodobnie emerytowanymi policjantami.

Ścisnęła ją w gardle tak mocno, że miała trudności z oddychaniem.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Czym mogę panom służyć?

Alarm sprawił, że nie słychać było drżenia w jej głosie.

- W budynku włączył się alarm - oświadczył jeden z nich.

Nie było to najmądrzejsze stwierdzenie, ale oszczędziła sobie komentarza.

- Myślicie, że do środka dostał się jakiś intruz?

- Całkiem możliwe. Czy widziała pani albo słyszała coś podejrzanego, pani profesor? Strażnicy doszli do wniosku, że jest pracownikiem naukowym: to dobrze.

- Rzeczywiście słyszałam chyba brzęk tłuczonego szkła. Dochodził z góry, ale nie jestem do końca pewna.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

- Sprawdzimy to - oznajmił jeden z nich.

Drugi okazał się mniej łatwowierny.

- Czy mogę zapytać, co pani ma w kieszeni?

- Papiery.

- Oczywiście. Czy mogę je zobaczyć?

Jeannie nie miała zamiaru ich nikomu oddawać: były zbyt drogie. Improvizując, udała, że się zgadza, a potem zmienia zdanie.

- Jasne - odparła, wyjmując kartki z kieszeni, po czym złożyła je i schowała z powrotem. - Nie, właściwie nie może pan. To rzeczy osobiste.

- Obawiam się, że to konieczne. Na szkoleniu powiedziano nam, że w takim miejscu zwykle papiery mogą mieć poważną wartość.

- Nie zamierzam dawać panu do czytania mojej prywatnej korespondencji tylko dlatego, że w budynku włączył się alarm.

- W takim razie muszę prosić, by udała się pani do naszego biura i porozmawiała z komendantem.

- W porządku. Spotkamy się na zewnątrz - powiedziała, po czym pchnęła wahadłowe drzwi i zbiegła szybko po schodach. Strażnicy ruszyli za nią.

- Niech pani poczeka!

Pozwoliła im się dogonić w hallu wejściowym. Jeden wziął ją pod łokieć, drugi otworzył drzwi.

- Nie musi pan mnie trzymać - zaprotestowała.

Tak będzie lepiej - odparł strażnik, sapiąc po biegu.

Już to przerabiała. Złapała go za nadgarstek i mocno ścisnęła.

- Au! - jęknął strażnik i puścił ją.

Jeannie rzuciła się do ucieczki.

- Hej! Stój, ty cholerna dziwko!

Puścili się za nią w pogoń, ale nie mieli szans. Była od nich dwadzieścia pięć lat młodsza i szybka jak koń wyścigowy. Oddalając się czuła, jak opuszcza ją strach. Pędziła jak wiatr, śmiejąc się. Ścigali ją przez kilkadziesiąt jardów, a potem dali za wygraną. Oglądając się zobaczyła, że obaj stoją zgięci w pół i ciężko dyszą.

Pokonała biegiem cały dystans do parkingu.

Ojciec czekał na nią przy samochodzie. Wsiadli do środka i wyjechała z parkingu ze zgaszonymi światłami.

- Przepraszam, Jeannie - powiedział po chwili tato. - Myślałem, że jeśli nawet nie potrafię kraść dla samego siebie, zdołam to zrobić dla ciebie. Ale to na nic. Straciłem zimną krew. Nigdy już nikogo nie okradnę.

To dobra wiadomość! - stwierdziła. - A ja zdobyłam to, na czym mi zależało!

- Chciałbym być dla ciebie lepszym ojcem, ale chyba jest już na to za późno.

Wyjechali z kampusu na ulicę i Jeannie zapaliła światła.

- Na to nigdy nie jest za późno, tato. Naprawdę.

- Może masz rację. W końcu próbowałem ci pomóc, prawda?

- Próbowałeś i udało ci się! Otworzyłeś drzwi! Bez ciebie nie dałabym rady.

- Tak, to prawda.

Jechała szybko do domu. Nie mogła się doczekać, żeby sprawdzić telefon z wydruku. Jeśli okaże się nieaktualny, będzie miała problem. Musiała usłyszeć głos Wayne'a Stattnera.

Zaraz po wejściu do mieszkania podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Halo? - odezwał się męski głos.

Nie mogła go rozpoznać po usłyszeniu jednego słowa.

- Czy mogę mówić z panem Wayne'em Stattnerem?

- Przy telefonie. Z kim mówię?

Głos brzmiał dokładnie jak głos Steve'a. Ty sukinsynu, dlaczego podarłeś mi rajstopy?

- Reprezentuję firmę prowadzącą badania rynku - powiedziała, starając się stłumić gniew - która chce przedstawić panu wyjątkową ofertę...

- Pocałujcie się w dupę - oznajmił Wayne i odłożył słuchawkę.

- To on - stwierdziła Jeannie, zwracając się do ojca. - Ma głos zupełnie taki jak Steve, tyle że Steve jest grzeczniejszy.

Już wcześniej przedstawiła mu swój plan. Zrozumiał go w ogólnych zarysach, chociaż pewne rzeczy nie mieściły mu się w głowie.

- Co masz teraz zamiar zrobić? - zapytał.

- Zadzwoń na policję. - Wystukała numer Wydziału Przystępstw Seksualnych i zapytała, czy może mówić z sierżant Delaware.

Tato potrząsnął ze zdumieniem głową.

- To coś, do czego trudno mi się przyzwyczaić: pomysł współpracy z policją. Mam nadzieję, że ten sierżant różni się od tych, których do tej pory spotkałem.

- Ta sierżant chyba się różni.

Właściwie nie spodziewała się zastać Mish w pracy: minęła dziewiąta wieczór. Miała zamiar poprosić, żeby przekazali jej pilną wiadomość. Na szczęście jednak Mish wciąż była na komendzie.

- Nadrabiam zaległości w papierkowej robocie - wyjaśniła. - Co się stało?

- Steve Logan i Dennis Pinker nie są bliźniakami.

- Wydawało mi się...

- Są trojaczkami.

W słuchawce zapadła cisza.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała w końcu ostrożnym tonem Mish.

- Pamiętasz, jak odnalazłam Steve'a i Dennisa, wertując archiwum stomatologiczne w poszukiwaniu identycznych par uzębienia?

- Tak.

- W tym tygodniu przewertowałam kartotekę odcisków palców FBI. Program zaliczył do tej samej grupy Steve'a, Dennisa i jeszcze jednego mężczyznę.

- Mają takie same linie papilarne?

- Niedokładnie takie same. Podobne. Ale przed chwilą zadzwoniłam do tego trzeciego. Ma identyczny głos jak Steve. Dam głowę, że są do siebie podobni jak dwie krople wody. Musisz mi uwierzyć, Mish.

- Masz adres?

- Tak. Facet mieszka w Nowym Jorku.

- Gdzie dokładnie?

- Powiem ci pod pewnym warunkiem.

- Rozmawiasz z policją, Jeannie. Tu nie stawia się żadnych warunków, tylko odpowiada na pytania. Daj mi ten pieprzony adres.

- Muszę mieć tę satysfakcję. Chcę go zobaczyć.

- Zastanów się lepiej, czy chcesz, żebym cię zamknęła, bo jeśli mi zaraz nie powiesz, na pewno to zrobię.

- Chcę, żebyśmy go obie odwiedziły. Jutro.

- Powinnam cię wsadzić do aresztu za ukrywanie przestępcy - stwierdziła po krótkiej pauzie Mish.

- Możemy polecieć pierwszym porannym samolotem do Nowego Jorku.

- Okay.

SOBOTA

Poleciały do Nowego Jorku samolotem USAir o szóstej czterdzieści.

Jeannie była dobrej myśli. To mogło się okazać końcem koszmaru dla Steve'a. Wieczorem opowiedziała mu o swoim odkryciu przez telefon i był zachwycony. Chciał lecieć z nimi do Nowego Jorku, ale Jeannie wiedziała, że Mish się na to nie zgodzi. Obiecała, że zadzwoni, kiedy tylko się dowie czegoś więcej.

Mish zachowywała postawę życzliwego sceptycyzmu. Trudno jej było uwierzyć w rewelacje Jeannie, ale musiała je sprawdzić.

Dane Jeannie nie zawierały informacji, dlaczego odciski palców Wayne'a znalazły się w kartotece FBI, ale Mish zajrzała do archiwum i opowiedziała Jeannie całą historię, kiedy wystartowały z lotniska Baltimore-Washington. Przed czterema laty zaniepokojeni rodzice pewnej czternastoletniej dziewczyny odnaleźli ją w nowojorskim mieszkaniu Stattnera i oskarżyli go o porwanie. Stattner zaprzeczył wszystkiemu twierdząc, że dziewczyna odwiedziła go z własnej woli. Ona sama oświadczyła, że go kocha. Wayne miał wtedy dopiero dziewiętnaście lat i sprawa nie znalazła swego epilogu w sądzie.

Wynikało z tego, że Stattner lubi dominować nad kobietami, lecz według Jeannie jego zachowanie nie pasowało do psychologicznego profilu gwałciciela. Mish upierała się, że nie ma tutaj ścisłych reguł.

Jeannie nie powiedziała jej nic o mężczyźnie, który zaatakował ją w Filadelfii. Wiedziała, iż Mish nie uwierzy, że to nie był Steve. Będzie go chciała osobiście przesłuchać, a Jeannie wolała mu tego oszczędzić. W konsekwencji nie wspomniała również o mężczyźnie, który dzwonił do niej wczoraj, grożąc śmiercią. Nie powiedziała o tym nikomu, nawet Stevenowi: i bez tego miał dosyć kłopotów.

Szczerze chciała polubić Mish, ale przez cały czas wyczuwała między nimi napięcie. Mish jako policjantka oczekiwała, że ludzie będą robić to, co im każe, a Jeannie nie znosiła takiej postawy. Żeby się jakoś do niej zbliżyć, zapytała Mish, jak została policjantką.

- Byłam kiedyś sekretarką i zatrudnili mnie w FBI - odparła. - Trwało to jakieś dziesięć lat. W końcu doszłam do wniosku, że radzę sobie lepiej niż agent, dla którego pracowałam. Złożyłam podanie, poszłam do akademii i jakiś czas jeździłam w patrolu. Potem zgłosiłam się do pracy w Wydziale Narkotyków. To było niebezpieczne, ale udowodniłam, że jestem twarda.

Jeannie skrzywiła się. Sama paliła od czasu do czasu trawkę i nie lubiła ludzi, którzy chcieli za to wsadzać do więzienia.

- Po jakimś czasie przeniosłam się do wydziału zajmującego się molestowaniem dzieci - kontynuowała Mish. - Nie zagrałam tam miejsca. Nikomu się to nie udaje. To ważna praca, ale nie można tam zbyt długo wytrzymać. Dostaje się świra. W końcu trafiłam do Wydziału Przepływów Seksualnych.

- Nie wygląda mi to na coś lepszego.

- Ofiary są przynajmniej dorosłe. Po kilku latach awansowali mnie na sierżanta i postawili na czele wydziału.

- Moim zdaniem gwałtami powinny się zajmować wyłącznie policjantki - stwierdziła Jeannie.

- Nie jestem pewna, czy się z tobą zgadzam.

Jeannie zdziwiła się.

- Nie sądzisz, że ofiarom łatwiej jest rozmawiać z policjantką?

- Być może starszym ofiarom. Kobietom po siedemdziesiątce.

Jeannie przeszedł dreszcz na myśl, że kobiety w tym wieku mogą padać ofiarą gwałtu.

- Szczerze mówiąc - podjęła Mish - większości ofiar jest dokładnie obojętne, komu opowiadają swoją historię.

- Mężczyźni zawsze uważają, że kobiety same się o to prosiły.

- Ale doniesienie o gwałcie trzeba w jakimś momencie zweryfikować, w przeciwnym razie nie może być mowy o uczciwym procesie. A w trakcie takiego przesłuchania kobiety potrafią być bardziej brutalne od mężczyzn.

Jeannie trudno było w to uwierzyć. Zastanawiała się, czy Mish nie broni po prostu swoich kolegów przed osobą z zewnątrz.

Kiedy zabrakło im tematów do rozmowy, Jeannie popadła w zadumę. Zastanawiała się, co przyniesie jej przyszłość. Nie potrafiła się pogodzić z myślą, że przestanie pracować na uczelni. Zawsze wyobrażała sobie, że za kilkadziesiąt lat będzie słynną uczoną, siwowłosą, gderliwą i cenioną na całym świecie za swoje osiągnięcia. "Nie rozumieliśmy źródła zachowań przestępczych - będą się dowiadywać na wykładach studenci - aż do roku 2000, kiedy opublikowana została rewolucyjna książka Jean Ferrami". Teraz wszystko to wydawało się mało realne. Potrzebowała innego marzenia.

Kilka minut po ósmej wylądowały na lotnisku La Guardia i wsiadły do poobijanej żółtej nowojorskiej taksówki. Samochód miał zużyte resory i trząśł niemiłosiernie, kiedy mijali Queens i Midtown Tunnel w drodze na Manhattan. Jeannie byłoby niewygodnie

nawet w cadillacu: za chwilę miała zobaczyć mężczyznę, który zaatakował ją w jej samochodzie, i wydawało jej się, że w żołądku ma kocioł wypełniony stężonym kwasem.

Wayne Stattner mieszkał w budynku przerobionym z dawnej fabryki, na południe od Houston Street. Był słoneczny sobotni ranek i na ulicach widać było już młodych ludzi. Kupowali bajgle na śniadanie, popijali capuccino w kafejkach i przyglądali się wystawom galerii sztuki.

Przed domem czekał na nich w brązowym fordzie escorcie, z rozbitymi tylnymi drzwiami, detektyw z pierwszego komisariatu. Uścisnął im ręce i przedstawił się z chmurną miną jako Herb Reitz. Jeannie domyśliła się, że opieka nad detektywami spoza miasta stanowi przykry obowiązek.

- Dziękujemy, że pofatygował się pan tu w sobotę, żeby nam pomóc - oznajmiła Mish, posyłając mu ciepły kokieteryjny uśmiech.

Facet trochę zmiękł.

- Nie ma sprawy - odparł.

- Gdyby potrzebował pan kiedyś pomocy w Filadelfii, proszę się ze mną osobiście skontaktować.

- Nie omieszka.

Chodźcie już, na litość boską, miała ochotę powiedzieć Jeannie.

Weszli do budynku i wjechali wolną windą na najwyższe piętro.

- Po jednym mieszkaniu na każdym piętrze - stwierdził Herb. - To musi być jakiś dziany facet. O co jest podejrzany?

- O gwałt - odparła Mish.

Winda zatrzymała się. Zaraz za drzwiami windy znajdowały się kolejne drzwi i nie mogli z niej wyjść, dopóki nie otworzył im właściciel mieszkania. Mish nacisnęła dzwonek. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Herb przytrzymał drzwi windy. Jeannie modliła się, żeby Wayne nie wyjechał na weekend - nie zniosłaby rozczarowania. Mish nacisnęła ponownie dzwonek i tym razem nie zdjęła z niego palca.

W końcu za drzwiami odezwał się głos.

- Kto tam, do kurwy nędzy?

To był on. Jeannie przeszedł lodowaty dreszcz.

- Policja, do kurwy nędzy - odpowiedział Herb. - Otwieraj drzwi.

Ton głosu zmienił się.

- Proszę przysunąć legitymację do szybki w drzwiach.

Herb przytknął swoją odznakę do szyby.

- W porządku, zaraz otwieram.

Teraz go zobaczę, pomyślała Jeannie.

Drzwi otworzył im potargany bosy mężczyzna w spłowiałym czarnym płaszczu kąpielowym.

Jeannie wlepiała w niego zdezorientowany wzrok.

Stał przed nią sobowtór Steve'a... ale miał czarne włosy.

- Wayne Stattner? - zapytał Herb.

- Tak.

Musiał je ufarbować, pomyślała. Musiał je ufarbować wczoraj albo w czwartek wieczorem.

- Detektyw Herb Reitz z pierwszego komisariatu.

- Zawsze chętnie współpracuję z policją - oświadczył Wayne, zerkając na Mish i Jeannie. Po jego twarzy nie sposób było poznać, czy rozpoznał Jeannie. - Proszę, wejdźcie do środka.

W pozbawionym okien, pomalowanym na czarno hallu znajdowało się troje czerwonych drzwi. W kącie stał ludzki szkielet podobny do tych, jakich używa się w szkołach medycznych, tyle że ten zakneblowany był czerwoną szarfą i miał na kościanych nadgarstkach policyjne kajdanki.

Wayne wprowadził ich przez jedno z czerwonych drzwi do dużego wysokiego pomieszczenia. Okna zasłonięte były tu czarnymi aksamitnymi kotarami, a całe wnętrze oświetlone niskimi lampami. Na jednej ze ścian wisiała wielka nazistowska flaga. W stojaku na parasole stała oświetlona reflektorkiem kolekcja bieży. Na malarskiej sztaludze spoczywał duży olejny obraz przedstawiający ukrzyżowanie; przyglądając mu się bliżej, Jeannie zobaczyła, że na krzyżu nie wisi Chrystus, lecz naga zmysłowa kobieta z długimi blond włosami. Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia.

Znajdowali się w domu sadysty: było to tak oczywiste, jakby zawiesił na drzwiach stosowną tabliczkę.

Herb rozglądał się zdumiony dookoła.

- Z czego pan się utrzymuje, panie Stattner?

- Jestem właścicielem dwóch nocnych klubów w Nowym Jorku. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie chcę dobrze żyć z policją. Ze względu na swoje interesy muszę być czysty jak łąza.

Herb strzelił palcami.

- Oczywiście, Wayne Stattner. Czytałem o panu w magazynie "New York". *Młodzi milionerzy z Manhattanu*. Powiniennem rozpoznać nazwisko.

- Może usiądziecie?

Jeannie ruszyła w stronę wysokiego fotela, po chwili zorientowała się jednak, że to krzesło elektryczne, jakiego używa się podczas egzekucji.

- To sierżant Michelle Delaware z policji Baltimore - przedstawił swoją koleżankę Herb.

- Z Baltimore? - powtórzył ze zdziwieniem Wayne. Jeannie szukała na jego twarzy oznak strachu, ale wydawał się dobrym aktorem. - Popelniają tam jakieś zbrodnie? - zapytał z przekąsem.

- Ufarbował pan włosy, prawda? - zapytała.

Mish posłała jej zniecierpliwione spojrzenie: Jeannie miała obserwować, a nie przesłuchiwać podejrzanego.

Pytanie jednak wcale nie wytrąciło go z równowagi.

- Bardzo pani spostrzegawcza.

Miałam rację, pomyślała z triumfem Jeannie. To on. Spojrzała na jego ręce i przypomniała sobie, jak darł na niej ubranie. Doigrałeś się, ty sukinsynu.

- Kiedy pan je ufarbował? - zapytała.

- Kiedy miałem piętnaście lat.

Kłamca.

- Czarny kolor był modny, odkąd pamiętam.

Miałeś jasne włosy we czwartek, kiedy wpychałeś te swoje wielkie łapska pod moją spódnice, i przedtem, w niedzielę, kiedy zgwałciłeś moją przyjaciółkę Lisę w kotłowni pod salą gimnastyczną.

Ale dlaczego kłamał? Czy wiedział, że mają podejrzanego blondyna?

- O co tutaj chodzi? - zapytał. - Czy kolor moich włosów jest kluczem do rozwiązania zagadki? Uwielbiam tajemnicze historie.

- Nie zajmujemy panu dużo czasu - oznajmiła Mish. - Chcemy wiedzieć, gdzie pan był w ostatnią niedzielę o ósmej wieczór.

Jeannie zastanawiała się, czy Wayne ma jakieś alibi. Zawsze mógł powiedzieć, że grał w karty z jakimiś typkami z półświatka, a potem zapłacić im, żeby to potwierdzili, bądź też oświadczyć, że był w łóżku z prostytutką, która złoży fałszywe zeznanie za działkę cracka.

Wayne zaskoczył ją.

- Proszę bardzo - odparł. - Byłem w Kalifornii.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

Wayne roześmiał się.

- Jakies sto milionów ludzi.

Jeannie ogarnęły złe przeczucia. Facet nie mógł mieć autentycznego alibi. To on był gwałcicielem.

- Co to znaczy? - zapytała Mish.

- Byłem na bankiecie z okazji wręczenia nagród Emmy.

Jeannie przypomniała sobie, że odwiedzając Lisę w szpitalu, widziała w telewizji migawki z bankietu. Jak Wayne zdołał wziąć udział w ceremonii? W ciągu kilkunastu minut, które zajęła jej jazda do szpitala, mógł co najwyżej dojechać na lotnisko.

- Nie dostałem oczywiście żadnej nagrody - wyjaśnił. - Nie pracuję w tej branży. Uhonorowano Saline Jones, moją starą przyjaciółkę.

Mówiąc to, zerknął na obraz i Jeannie uświadomiła sobie, że namalowana na nim kobieta przypomina aktorkę, która grała Babę, córkę gderliwego Bryana, w rozgrywającym się w restauracji komediowym serialu Gdzie kucharek sześć. Musiała pozować malarzowi.

- Dostała nagrodę dla najlepszej aktorki komediowej i ucałowałem ją w oba policzki, kiedy schodziła ze sceny, trzymając w ręku statuetkę. To był cudowny moment i natychmiast uwieczniły go i posłały w świat kamery telewizyjne. Mam to na wideo. Zdjęcie opublikował także w tym tygodniu magazyn "People" - dodał Wayne, pokazując leżące na dywanie czasopismo.

Jeannie wzięła je do ręki czując, jak zamiera jej serce. Na fotografii widać było ubranego w smoking, niewiarygodnie przystojnego Wayne'a, całującego Saline Jones, która trzymała w ręku statuetkę Emmy.

Miał czarne włosy.

"Właściciel nowojorskich nocnych klubów, Wayne Stattner, gratuluje w sobotni wieczór swojej starej przyjaciółce, Salinie Jones, nagrody za rolę w serialu Gdzie kucharek sześć" brzmiał podpis.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej żelazne alibi.

Jak to możliwe?

- Nie będziemy panu zabierać więcej czasu, panie Stattner - powiedziała Mish.

- O co byłem podejrzany?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie gwałtu, którego dokonano w niedzielę wieczór w Baltimore.

- To nie ja.

Mish zerknęła na ukrzyżowanie i Wayne pobiegł za jej wzrokiem.

- Wszystkie moje ofiary oddają mi się z własnej woli - oznajmił, rzucając jej długie sugestywne spojrzenie.

Mish zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

Jeannie była załamana. Wszystkie jej nadzieje legły w gruzach, ale umysł wciąż szukał gorączkowo jakiegoś rozwiązania.

- Czy mogę pana o coś spytać? - zwróciła się do Wayne'a, kiedy wstały.

- Jasne - odparł uprzejmym tonem.

- Czy ma pan jakieś rodzeństwo?

- Jestem jedynakiem.

- W czasie gdy się pan urodził, pański ojciec służył w wojsku, prawda?

- Tak, był instruktorem pilotażu w Fort Bragg. Skąd pani o tym wie?

- Czy pańska matka miała może problemy z zajściem w ciążę?

- Dziwne pytanie jak na policjantkę.

- Doktor Ferrami pracuje na Uniwersytecie Jonesa Fallsa - wyjaśniła Mish. - Jej badania wiążą się ściśle ze sprawą, którą prowadzę.

- Czy pańska matka wspominała kiedyś o tym, że przeszła kurację hormonalną? - zapytała Jeannie.

- Nie, nigdy o tym nie słyszałem.

- Czy mogę ją o to zapytać?

- Matka nie żyje.

- Bardzo mi przykro. A pański ojciec?

Wayne wzruszył ramionami.

- Może pani do niego zadzwonić.

- Bardzo bym chciała.

- Mieszka w Miami. Dam pani numer.

Jeannie wręczyła mu długopis. Wayne nagryzmolił numer na okładce czasopisma i oddał róg.

Mish i Jeannie podeszły do drzwi.

- Dziękujemy panu za współpracę, panie Stattner - powiedziała Mish.

- Zawsze do usług.

- Wierzysz w jego alibi? - zapytała ponuro Jeannie, kiedy zjeżdżały windą.

- Sprawdzę je - odparła Mish - ale wydaje się solidne.

Jeannie potrząsnęła głową.

- Nie wierzę, że jest niewinny.

- Jest winny jak wszyscy diabli, kochanie, ale nie tego gwałtu.

Steve siedział w wielkiej kuchni w domu swoich rodziców w Georgetown obserwując, jak matka robi mielone kotlety, i czekając na telefon od Jeannie. Zastanawiał się, czy Wayne Stattner okaże się jego sobowtórem. Zastanawiał się, czy Jeannie i sierżant Delaware odnajdą go pod jego nowojorskim adresem. Zastanawiał się, czy Wayne przyzna się do zgwałcenia Lisy Hoxton.

Mama kroїła cebulę. Była zdumiona i oszołomiona, gdy po raz pierwszy powiedział, co zrobiono jej w klinice Aventine w grudniu 1972 roku. Nie uwierzyła mu wtedy do końca, lecz dla dobra sprawy nie podważała całej historii, kiedy rozmawiali z adwokatem. W piątek wieczorem Steve siadł razem z rodzicami i opowiedział im ich dziwną historię. Mama zdenerwowała się wtedy; myślała, że lekarze eksperymentowali z pacjentkami bez ich zgody, doprowadziła ją do białej gorączki. W swoich felietonach stale pisała o prawie kobiet do decydowania o tym, co dzieje się z ich ciałami.

Co dziwne, tato przyjął to spokojnie. Steve spodziewał się, że jako mężczyzna zareaguje mocniej na zawarty w całej historii motyw podrzutka. Ale tato był aż do bólu racjonalny. Prześledził tok myślenia Jeannie, wykluczył wszystkie inne próby wyjaśnienia sprawy i w końcu przyznał jej rację. Chłodna reakcja była jednak zgodna z kodeksem taty. Nie oznaczała wcale, że jest spokojny w środku. W tej chwili podlewał z pogodną miną kwiaty w ogródku, ale być może wszystko w nim się gotowało.

Mama zaczęła smażyć cebulę i Steve poczuł, jak płynie mu ślinka.

- Kotlety mielone z tłuczonymi ziemniakami i keczupem - powiedział. - Najwspanialsze danie na ziemi.

- Kiedy miałaś pięć lat, chciałaś, żebym robiła je codziennie - stwierdziła z uśmiechem.

- W tej małej kuchence w Hoover Tower?

- Pamiętasz to?

- Mgliście. Pamiętam przeprowadzkę i to, jak dziwnie mieszkało się w domu zamiast w mieszkaniu.

- Wtedy mniej więcej zaczęły napływać pieniądze z mojej pierwszej książki Co robić, kiedy nie możesz zajść w ciążę? - Mama westchnęła. - Jeśli wyjdzie na jaw, jak naprawdę zasłałam w ciążę, ta książka okaże się stekiem bzdur.

- Mam nadzieję, że ludzie, którzy ją kupili, nie zażądata zwrotu pieniędzy.

Mama położyła kotlety i cebulę na patelni i wytarła ręce.

- Myślałam o tym przez całą noc i wiesz co? Cieszę się, że mi to zrobili.

- Dlaczego? Wczoraj byłaś wściekła.

- I jestem wściekła, bo posłużyli się mną jak doświadczalnym królikiem. Ale zdałam sobie sprawę z jednej prostej rzeczy: gdyby nie przeprowadzili na mnie tego eksperymentu, nie miałabym ciebie. I to jedno tylko się liczy.

- Nie przejmujesz się tym, że nie jestem naprawdę twoim dzieckiem?

Objęła go ramieniem.

- Jesteś mój, Steve. Nic nie jest w stanie tego zmienić.

Zadzwonił telefon i Steve podniósł natychmiast słuchawkę.

- Halo?

- Tu Jeannie.

- Jak wam poszło? Czy go odnaleźliście?

- Tak i jest twoim sobowtórem, tyle że ufarbował włosy na czarno.

- Mój Boże... więc jest nas trzech.

- Tak. Matka Wayne'a nie żyje, ale rozmawiałam przed chwilą z jego ojcem, na Florydzie. Potwierdził, że jego żona przechodziła kurację w klinice Aventine.

Wiadomości były dobre, ale w głosie Jeannie słyhać było rozczarowanie.

- Nie cieszysz się tak, jak powinnaś.

- Wayne ma alibi na niedzielę.

- Cholera. - Ponownie upadł na duchu. - Jak to możliwe? Co to za alibi?

- Żelazne. Był na rozdaniu nagród Emmy w Los Angeles. Zrobili mu zdjęcia.

- Pracuje w branży filmowej?

- Jest właścicielem nocnych klubów. Dostyc znanym. Steve zrozumiał, dlaczego wydawała się taka przybita. Odnalezienie Wayne'a to majstersztyk, ale nie posunęło ich ani o cal do przodu. Był w równym stopniu przygnębiony jak zaintrygowany.

- W takim razie kto zgwałcił Lisę?

- Pamiętasz, co powiedział Sherlock Holmes? Jeśli wyeliminujesz to, co niemożliwe, prawdą musi być to, co pozostało, bez względu na to, jak bardzo wydaje się niemożliwe. A może to był Hercule Poirot?

Serce zamarło mu w piersi. Jeannie nie doszła chyba do wniosku, że to on zgwałcił Lisę.

- Więc jaka jest prawda?

- Jest was czterech.

- Czworaczki? Jeannie, przecież to czyste wariactwo.

- Nie czworaczki. Nie wierzę, żeby embrion podzielił się przypadkowo. To musiało być świadome działanie, część eksperymentu.

- Czy to możliwe?

- Dzisiaj tak. Słyszałeś o klonowaniu. W latach siedemdziesiątych to była tylko teoria. Ale Genetico wyprzedziło najwyraźniej innych i na tym polu: być może dlatego, że pracowali w tajemnicy i mogli eksperymentować na ludziach.

- Dajesz mi do zrozumienia, że jestem klonem.

- Musisz być. Przykro mi, Steve. Wciąż jestem dla ciebie zwiastunem złych wieści. To dobrze, że masz takich rodziców, jakich masz.

- Jaki on jest, Wayne?

- Okropny. Ma obraz, na którym Salina Jones wisi naga na krzyżu. Nie mogłam się doczekać, żeby stamtąd wyjść.

Steve milczał. Jeden z moich klonów jest mordercą, drugi sadystą, hipotetyczny trzeci gwałcicielem. Kim jestem w takim razie ja sam?

- Hipoteza, że jesteście klonami, wyjaśnia również wasze odmienne daty urodzenia - dodała Jeannie. - Embriony były trzymane w laboratorium i w różnych momentach umieszczane w macicach kobiet.

Dlaczego to musiało się przytrafić właśnie mnie? Dlaczego nie mogę być taki jak inni?

- Mój samolot zaraz startuje, muszę kończyć.

- Chcę się z tobą zobaczyć. Przyjadę do Baltimore.

- Dobrze. Cześć. Steve odłożył słuchawkę.

- Zrozumiałas wszystko - powiedział do matki.

- Owszem. Jest podobny do ciebie, ale ma alibi, w związku z czym ona myśli, że musi was być czterech i jesteście klonami.

- Skoro jesteście klonami, muszę być taki sam jak oni.

- Nie. Jesteś inny, ponieważ jesteś mój.

- Ale ja nie jestem twój. - Zobaczył na jej twarzy skurcz bólu, on sam również cierpiał. - Jestem dzieckiem dwojga zupełnie obcych ludzi wybranych przez naukowców zatrudnionych w Genetico. To są moi przodkowie.

- Musisz być inny, bo inaczej się zachowujesz.

- Lecz o czym to świadczy? O tym, że mam inną naturę? Czy może raczej o tym, że nauczyłem się ją skrywać niczym udomowione zwierzę. Czy to ty uczyniłaś mnie tym, kim jestem? Czy może raczej Genetico?

- Nie wiem, synu - odparła mama. - Po prostu nie wiem.

Jeannie wzięła prysznic i umyła włosy, a potem umalowała starannie oczy. Postanowiła, że nie będzie używać szminki ani różu. Włożyła purpurowy sweter z dekoltem i szare obcisłe legginsy na gołe ciało. W przekłuty nos wsadziła swój ulubiony kolczyk: mały szafir osadzony w srebrze. W lustrze wyglądała jak symbol seksu.

- Wybierasz się do kościoła, panienko? - zapytała, puszczając oko do swojego odbicia.

Ojciec znowu ją opuścił. Wolał mieszkać u Pattty, gdzie dotrzymywało mu towarzystwa trzech wnuków. Patty zabrała go do siebie, kiedy Jeannie była w Nowym Jorku.

Czekając na Steve'a, nie miała nic do roboty. Starła się nie myśleć o dzisiejszym rozczarowaniu: nie było sensu się dalej zadreć. Ścisnęło ją w żołądku: przez cały dzień piła tylko kawę. Zastanawiała się, czy zjeść coś teraz, czy może poczekać na niego. Przypomniała sobie, jak zjadł na śniadanie osiem bułek z cynamonem, i nie mogła powstrzymać uśmiechu. To było zaledwie wczoraj, ale zdawało jej się, że minął cały tydzień.

Nagle uprzytomniła sobie, że ma pustą lodówkę. Co będzie, jeśli Steve przyjedzie głodny, a ona nie będzie miała go czym nakarmić? Włożyła szybko na gołe nogi martensy, wybiegła na dwór, podjechała do 7-Eleven na rogu Falls Road i 36th Street i kupiła jajka, kanadyjski bekon, mleko, bochenek siedmioziarnistego chleba, sałatę, piwo Dos Equis, czekoladowo-orzechowe lody Ben & Jerry i cztery opakowania bułek z cynamonem.

Stojąc przy kasie, zdała sobie sprawę, że mógł przyjechać, kiedy jej nie było. Mógł nawet wrócić do Waszyngtonu! Wybiegła ze sklepu z pełnymi siatkami i popędziła jak szalona z powrotem, wyobrażając sobie, że Steve czeka niecierpliwie na progu.

Przed domem nie było nikogo i nigdzie nie zobaczyła jego starego datsuna. Weszła na górę i schowała jedzenie do lodówki. Wyjęła jajka z kartonu, rozpakowała piwo, napełniła ekspres i znowu nie miała nic do roboty.

Uświadomiła sobie, że zachowuje się zupełnie nietypowo. Nigdy nie troszczyła się o to, że mężczyzna może być głodny. Normalnie, nawet z Willem Templem, było dla niej oczywiste, że jeśli zgłodniał, przygotowuje sobie coś do jedzenia, jeśli lodówka jest pusta, pójdzie do sklepu, a jeśli sklep jest zamknięty, pojedzie na stację benzynową. Teraz zmieniała się w kapłankę domowego ogniska. Chociaż znała Steve'a dopiero od paru dni, wywarł na nią większy wpływ niż inni mężczyźni...

Odgłos dzwonka zabrzmiał niczym eksplozja.

Jeannie zerwała się z kanapy z bijącym mocno sercem.

- Tak? - powiedziała do domofonu.

- Jeannie? To ja, Steve.

Nacisnęła guzik otwierający drzwi i przez kilka chwil stała bez ruchu, czując się bardzo głupio. Zachowywała się jak nastolatka. Patrzyła, jak Steve wchodzi po schodach, ubrany w szary podkoszulek i luźne niebieskie dżinsy. Na jego twarzy widać było ból i rozczarowanie ostatnich dwudziestu czterech godzin. Objęła go ramionami i przytuliła do siebie. Jego silne ciało wydawało się spięte i znużone.

Weszli razem do salonu. Steve usiadł na sofie, a ona włączyła ekspres. Czowała się z nim bardzo blisko związana. Nie robili zwyczajnych rzeczy: nie chodzili do restauracji albo do kina, tak jak działo się to w przypadku wcześniejszych znajomości Jeannie. Zamiast tego wspierali się w walce, rozwiązywali razem zagadki i cierpieli prześladowania ze strony działających z ukrycia wrogów. To szybko scementowało ich przyjaźń.

- Chcesz kawy?

Potrząsnął głową.

- Wolałbym potrzymać się za rękę.

Usiadła obok niego na kanapie i wzięła go za rękę. Pochylił się ku niej, a ona pocałowała go w usta. Był to ich pierwszy prawdziwy pocałunek. Jeannie ścisnęła mocno jego dłoń i rozchyliła wargi. Smak jego ust przypominał drzewny dym. Przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, czy na pewno myła zęby, i jej pasja osłabła; a potem przypomniała sobie, że owszem, myła, i ponownie oddała mu się bez żadnych zastrzeżeń. Steve dotykał jej piersi przez miękką wełnę swetra; miał zaskakująco delikatne ręce. Jeannie robiła to samo, masując jego pierś otwartymi dłońmi.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Steve odsunął się i popatrzył na nią, jakby chciał, żeby jej rysy na zawsze wryły mu się w pamięć. Opuszkami palców dotykał delikatnie jej brwi, jej kości policzkowych, nosa i warg, kręcąc przy tym lekko głową, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co widzi.

W jego spojrzeniu ujrzała głębokie pragnienie. Ten mężczyzna pożądał jej z całego serca. To ją podnieciło. Namiętność porwała ją niczym nagły wiatr z południa, gorący i burzowy. Między nogami czuła miękkość, której nie zaznała od półtora roku. Chciała wszystkiego od razu: jego ciała na swoim ciele, jego języka w swoich ustach, jego rąk dotykających ją wszędzie.

Przyciągnęła go do siebie i ponownie pocałowała, tym razem otwierając szeroko usta. Odchyliła się do tyłu i przez dłuższą chwilę Steve leżał na niej miażdżąc jej piersi swoim ciężarem. W końcu odsunęła go zdyszana.

- Chodźmy do sypialni - szepnęła.

Wyślizgnęła się spod niego i ruszyła przodem, ściągając sweter i rzucając go na podłogę. Steve wszedł za nią do sypialni i zamknął drzwi piętą. Widząc, że Jeannie się rozbiera, ściągnął z siebie jednym szybkim ruchem podkoszulek.

Wszyscy to robią, pomyślała; wszyscy zamykają drzwi piętą.

Steve zdjął buty, rozpiął pasek i ściągnął dżinsy. Miał piękne ciało: szerokie ramiona, muskularną klatkę piersiową i wąskie biodra w białych szortach.

Ale którym z nich był?

Kiedy do niej podszedł, dała dwa kroki do tyłu.

“Może cię znowu odwiedzić”, powiedział facet, który do niej dzwonił.

Steve zmarszczył brwi.

- Co się stało?

Poczuła nagle, że się boi.

- Nie możemy tego zrobić - szepnęła.

Steve wziął głęboki oddech i wypuścił z płuc powietrze.

- Nie mów - mruknął, odwracając wzrok. - Nie mów.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie wiem, kim jesteś.

Nagle zrozumiał.

- O mój Boże. - Usiadł tyłem do niej na łóżku i opuścił ramiona. Lecz jego przygnębienie mogło być udawane. - Myślisz, że jestem tym facetem, którego spotkałaś w Filadelfii.

- Myślałam, że to Steve.

- Ale dlaczego miałby się pode mnie podszywać?

- To nieważne.

- Nie robiłby tego w nadziei, że mu się uda cię przelecieć. Mój sobowtór ma szczególne podejście do kobiet. Gdyby chciał się z tobą przespać, przytknąłby ci nóż do twarzy, podarł pończochy albo podpalił dom.

- Miałam telefon - powiedziała drżącym głosem Jeannie. - Anonimowy. “Chłopak, którego spotkałaś w Filadelfii, miał cię zabić - informował facet. - Poniosło go i schrzanił robotę. Ale może cię znowu odwiedzić”. Dlatego musisz teraz wyjść. ,

Podniosła z podłogi sweter i szybko go włożyła, ale nie poczuła się przez to ani trochę bardziej bezpieczna.

W jego spojrzeniu widać było współczucie.

- Biedactwo - powiedział. - Nieźle cię nastraszyli. Przykro mi.

Wstał i zaczął wciągać dzinsy.

Nagle poczuła, że na pewno się myli. Klon z Filadelfii, gwałcieciel, nigdy nie zacząłby się ubierać w takiej sytuacji. Rzuciłby ją na łóżko, zdarł ubranie i próbował wziąć siłą. Ten chłopak był inny. To był Steve. Poczuła prawie nieodparte pragnienie, żeby rzucić mu się w ramiona i pokochać.

- Steve...

- To ja - odparł z uśmiechem.

A może dlatego właśnie udawał? Może w momencie kiedy zyska jej zaufanie i znajdą się oboje nadzy w łóżku, zmieni się i okaże swoją prawdziwą naturę, naturę człowieka, który lubi oglądać kobietę zastraszoną i cierpiącą? Zadrżała z lęku.

To nie miało sensu.

- Lepiej, żebyś poszedł - szepnęła, unikając jego oczu.

- Możesz mnie przepyttać - oznajmił.

- Dobrze. Kiedy po raz pierwszy spotkałam Steve'a?

- Na korcie tenisowym.

Odpowiedź była prawidłowa.

- Ale tego dnia na uniwersytecie był zarówno Steve, jak i gwałcieciel.

- Zapytaj o coś innego.

- Ile bułek z cynamonem zjadł Steve w piątek rano?

Uśmiechnął się.

- Przyznaję ze wstydem, że osiem.

Jeannie potrząsnęła z rozpaczą głową.

- To mieszkanie może być na podsłuchu. Przeszukali mój gabinet i przeczytali moją elektroniczną pocztę, więc równie dobrze mogą nas teraz podsłuchiwać. To nic nie da. Nie znam tak dobrze Stevena Logana, a to, co o nim wiem, inni też mogą wiedzieć.

- Chyba masz rację - odparł.

Włożył z powrotem podkoszulek, a potem usiadł na łóżku i wsunął buty. Jeannie przeszła do salonu, nie chcąc stać w sypialni i patrzeć, jak się ubiera. Czy popełniała straszliwy błąd? Czy też było to najmądrzejsze posunięcie, jakie zrobiła w swoim życiu? Czowała dotkliwy ból między nogami: tak bardzo chciała się z nim kochać. A jednak myśl, że

mogłaby się znaleźć w łóżku z kimś pokroju Wayne'a Stattnera, przyprawiała ją o dreszcz zgrozy.

Steve wszedł ubrany do salonu. Spojrzała mu w oczy, szukając czegoś, co rozwiałoby jej wątpliwości, ale nie znalazła niczego. Nie wiem, kim jesteś, po prostu nie wiem!

Czytał w jej myślach.

- To nie ma sensu - stwierdził. - Trzeba mieć do siebie zaufanie. Jeśli go zabraknie, to klops. Co za niefart - mruknął, dając wyraz gnębiącemu go rozżaleniu. - Co za cholerny niefart!

Ten wybuch gniewu przestraszył ją. Była silna, ale on był od niej silniejszy. Chciała, żeby jak najszybciej wyszedł z mieszkania.

Steve wyczuł jej strach.

- Dobrze, już mnie nie ma - powiedział, ruszając do drzwi. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że on by nie wyszedł?

Kiwnęła głową.

- Lecz dopóki naprawdę nie wyjdę, nie możesz być pewna - dodał, śledząc tok jej myśli. - I nic nie pomoże, jeśli wyjdę i zaraz wrócę. Żebyś upewniła się, że to ja, muszę naprawdę odejść.

- Tak.

Była teraz całkowicie przekonana, że to Steve, ale wiedziała również, że jej wątpliwości wrócą, jeśli naprawdę stąd nie wyjdzie.

- Potrzebny jest nam jakiś tajny szyfr, żebyś wiedziała, że to ja.

- Dobrze.

- Wymyślę coś.

- Dobrze.

- Do widzenia. Nie będę próbował cię pocałować. - Zszedł po schodach. - Zadzwoń do mnie! - zawołał.

Stała jak wryta w miejscu aż do momentu, kiedy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

Przygryzła wargę. Chciało jej się płakać. Podeszła do kuchennego blatu i naląła sobie kawy. Podniosła kubek do ust, ale nagle wyslizgnął jej się z palców i rozbił się na kawałki na podłodze.

- Kurwa mać - mruknęła.

Ugięły się pod nią nogi i usiadła ciężko na kanapie. Jeszcze przed chwilą miała poczucie straszliwego zagrożenia. Teraz wiedziała, że było wymaginowane, lecz mimo to

cieszyła się, że minęło. Ciało nabrzmiało jej od nie spełnionej żądy. Dotknęła się w kroczu: jej legginsy były wilgotne.

- Już niedługo - szepnęła. - Już niedługo. - Pomyślała, jak będzie wyglądało ich następne spotkanie, jak obejmie go, pocałuje i przeprosi, i jak czule on jej przebaczy. I wyobrażając sobie to wszystko, dotknęła się palcami i po kilku chwilach przeszedł ją dreszcz rozkoszy.

A potem trochę się zdrzemnęła.

Najbardziej bolało Berringtona upokorzenie.

Wciąż był górą w pojedynku z Jeannie Ferrami, ale nie dawało mu to żadnej satysfakcji. Przez nią zachowywał się jak drobny złodziejaszek. Najpierw doniósł na nią do prasy, potem zakradł się do jej gabinetu i przeszukiwał szuflady, teraz obserwował z ukrycia jej dom. Wszystko to robił ze strachu. Cały jego świat wydawał się walić w gruzy. Był w rozpacz.

Nigdy nie spodziewał się, że na kilka tygodni przed swoimi sześćdziesiątymi urodzinami będzie siedział w zaparkowanym przy chodniku samochodzie i gapił się w czyjeś drzwi niczym jakiś parszywy prywatny detektyw. Co pomyślałaby jego matka, osiemdziesięcioletnia elegancka staruszka, która żyła w małym miasteczku w Maine, pisała dowcipne listy do miejscowej gazety i trzymała się kurczowo funkcji głównej aranżerki kwiatów w kościele episkopalnym. Zadrżałaby ze wstydu, gdyby ktoś powiedział jej, jak nisko upadł jej syn.

Niech Bóg broni, żeby zobaczył go tu ktoś znajomy. Starał się nie przyglądać przechodniom. Jego samochód rzucał się niestety w oczy. Zawsze wyobrażał sobie, że jest dyskretnie elegancki, ale przy tej ulicy stało niewiele srebrzystych lincolnów town carów; lokalnymi faworytami były stare japońskie sedany i pieczołowicie konserwowane pontiaki firebirdy. Sam Berrington ze swoją siwą grzywą również nie był osobą, która zlewałaby się z otoczeniem. Przez jakiś czas trzymał dla kamuflażu na kierownicy otwarty plan miasta, ale ludzie byli tu nastawieni życzliwie i musiał go odłożyć, kiedy dwie osoby zapukały w szybę, oferując pomoc. Pocieszał się myślą, że w okolicy, gdzie płaci się tak niskie czynsze, nie może mieszkać nikt ważny.

Nie miał pojęcia, co zamierza zrobić Jeannie. Funkcjonariuszom FBI nie udało się odnaleźć listy w jej mieszkaniu. Berrington bał się, że zdołała dotrzeć do kolejnego klona. Jeśli tak, katastrofa wisiała w powietrzu. Berringtona, Jima i Prestona czekała publiczna kompromitacja i bankructwo.

To Jim zaproponował, żeby Berrington obserwował Jeannie.

“Musimy wiedzieć, co ona szykuje; kto do niej przychodzi i kto wychodzi” - powiedział i Berrington przyznał mu niechętnie rację. Pojawił się na jej ulicy dość wcześnie i nic się nie działo aż do południa, kiedy odwiozła ją do domu czarna kobieta, w której rozpoznał policjantkę prowadzącą śledztwo w sprawie gwałtu. Rozmawiał z nią krótko w

poniedziałek i uznał, że jest atrakcyjna. Zapamiętał, że ma stopień sierżanta i nazywa się Delaware.

Zadzwoił do Prousta z automatu w McDonalddie na rogu i ten obiecał, że poprosi swego przyjaciela, aby dowiedział się, komu złożyły wizytę. “Sierżant Delaware skontaktowała się dzisiaj z podejrzanym, którego inwigilujemy - oznajmił prawdopodobnie ich człowiek w FBI - i chociaż ze względów bezpieczeństwa nie mogę zdradzić nic więcej, chcielibyśmy wiedzieć, co dokładnie robiła dziś rano i jaką sprawę prowadzi”.

Godzinę później Jeannie wybiegła w pośpiechu, aż do bólu seksowna w purpurowym swetrze i obcisłych legginsach. Berrington nie ruszył za jej samochodem; nie potrafił się po prostu zmusić do czegoś tak niskiego. Jeannie wróciła po kilku minutach, dźwigając kilka papierowych toreb ze sklepu. Następnie przyjechał do niej jeden z klonów, najprawdopodobniej Steve Logan.

Nie zabawił długo. Na jego miejscu, pomyślał Berrington, zostałbym tutaj przez całą noc i większą część niedzieli.

Po raz setny z rzędu zerknął na zegar w samochodzie i zdecydował, że zadzwoni znowu do Jima. Mógł już się czegoś dowiedzieć w FBI.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę skrzyżowania. Zapach frytek pobudził jego apetyt, ale nie lubił jeść hamburgerów ze styropianowego pudełka. Zamówił filiżankę czarnej kawy i podszedł do automatu.

- Pojechały do Nowego Jorku - poinformował go Jim.

Berrington właśnie tego się obawiał.

- Do Wayne'a Stattnera? - zapytał.

- Zgadza się.

- Niech to szlag. Czego chciały?

- Pytały, co robił w ostatnią niedzielę i tak dalej. Był na rozdaniu nagród Emmy. Zamieścili jego zdjęcie w “People”. Koniec sprawy.

- Czy wiadomo, jaki może być następny ruch Jeannie?

- Nie. A co u ciebie?

- Nic specjalnego. Widzę stąd jej drzwi. Zrobiła zakupy, odwiedził ją Steve Logan, nic poza tym. Może skończyły im się pomysły

- A może nie. Wiadomo tylko, że twój pomysł z wywaleniem jej z roboty spalił na panewce.

- W porządku, Jim, nie zaczynaj znowu. Poczekaj... właśnie wychodzi.

Jeannie przebrała się: miała teraz na sobie białe dżinsy i niebieską bluzkę bez rękawów, w której widać było jej silne ramiona.

- Idź za nią - powiedział Jim.

- Niech to diabli. Wsiada do samochodu.

- Musimy wiedzieć, dokąd ona jedzie, Berry.

- Nie jestem gliniarzem, do jasnej cholery!

Mała dziewczynka szła ze swoją matką do damskiej toalety.

- Ten pan krzyczy, mamusiu - powiedziała.

- Cicho, kochanie - odparła matka.

- Odjeżdża - stwierdził Berrington, ścisząc głos.

- Biegnij do samochodu!

- Pierdolę to, Jim!

- Jedź za nią! - wrzasnął Jim i odłożył słuchawkę.

Czerwony mercedes Jeannie przejechał obok i skręcił w Falls Road.

Berrington pobiegł do swojego samochodu.

Jeannie przyglądała się ojcu Steve'a. Charles Logan miał ciemne włosy, cień zarostu na twarzy, powściągliwy styl bycia i nieskazitelne maniery. Chociaż była sobota i pracował przed chwilą w ogrodzie, ubrany był w elegancko uprasowane ciemne spodnie i koszulę z krótkim rękawem. W ogóle nie przypominał swojego syna. Jedyną cechą, którą mógł od niego przejąć Steve, było upodobanie do tradycyjnych strojów. Studenci Jeannie paradowali na ogół w podartych dżinsach i czarnej skórce, ale Steve wolał khaki i koszule z przypinanym kołnierzykiem.

Nie wrócił jeszcze do domu i Charles domyślał się, że odwiedził po drodze bibliotekę, żeby przeczytać coś na temat procesów o gwałt. Matka Steve'a na chwilę się położyła. Charles zrobił świeżą lemoniadę i wyszedł razem z Jeannie na patio ich domu w Georgetown.

Jeannie obudziła się z drzemki ze wspaniałym pomysłem. Wiedziała, jak znaleźć czwartego klona. Żeby to zrobić, potrzebowała pomocy Charlesa, nie była jednak pewna, czy zgodzi się wykonać to, o co miała zamiar go prosić.

Charles podał jej wysoką chłodną szklankę, a potem wziął sobie taką samą i usiadł w ogrodowym fotelu.

- Czy mogę zwracać się do pani po imieniu? - zapytał.

- Bardzo proszę.

- Mam nadzieję, że odwzajemnisz mi się tym samym.

- Oczywiście.

Przez chwilę popijali w milczeniu lemoniadę.

- O co w tym wszystkim chodzi, Jeannie? - zapytał w końcu.

- Myślę, że to był eksperyment - odparła, odstawiając szklankę. - Przed założeniem Genetico Berrington i Proust służyli obaj w wojsku. Podejrzewam, że firma była pierwotnie przykrywką dla ściśle wojskowych badań.

- Byłem żołnierzem przez całe swoje dorosłe życie i jestem gotów uwierzyć we wszystkie niesamowite rzeczy, które opowiadają o armii. Ale dlaczego zainteresowały ich problemy kobiecej płodności?

- Zastanów się. Steve i jego sobowtóry to wysocy, silni i przystojni mężczyźni. Są również bardzo bystrzy, chociaż skłonność do gwałtownych zachowań przeszkadza im w osiągnięciu życiowych sukcesów. Zarówno Steve, jak i Dennis mają bardzo wysoki iloraz inteligencji i podejrzewam, że to samo można powiedzieć o dwóch pozostałych. Wayne

został milionerem w wieku dwudziestu dwóch lat, a czwarty klon jest wystarczająco sprytny, żeby nie dać się złapać.

- Jaki z tego wyciągasz wniosek?

- Nie wiem. Zastanawiam się, czy w armii nie chcieli czasami wyhodować idealnego żołnierza.

Było to tylko luźne przypuszczenie i rzuciła je lekkim tonem, ale Charles przyjął je bardzo poważnie.

- O mój Boże - szepnął z przejętą miną. - Wydaje mi się, że coś o tym słyszałem.

- To znaczy o czym?

- W latach siedemdziesiątych w siłach zbrojnych krążyły plotki, że Rosjanie mają jakiś niezwykle program. Produkują idealnych żołnierzy, mówiono, idealnych sportowców, idealnych szachistów. Niektórzy uważali, że powinniśmy pójść w ich ślady. Inni twierdzili, że już to robimy.

- Więc to prawda! - Jeannie zaczynała w końcu rozumieć. - Wybrali zdrowych, agresywnych, inteligentnych, jasnowłosych rodziców, skłonili ich do oddania jaja i spermy, i połączyli je, tworząc embrion. Najbardziej jednak interesowała ich możliwość powielania idealnych żołnierzy. Najważniejsza część eksperymentu polegała zatem na podzieleniu embrionu i umieszczeniu wielu embrionów w macicach wielu matek. I to im się udało. - Jeannie zmarszczyła czoło. - Zastanawiam się, co stało się potem.

- Mogę ci powiedzieć - stwierdził Charles. - Watergate. Zrezygnowano wtedy z tych wszystkich zwariowanych pomysłów.

- Ale Genetico zalegalizowało swoją działalność podobnie jak mafia. A ponieważ naprawdę odkryli, jak produkować dzieci z probówki, firma była dochodowa. To pozwalało im finansować badania w dziedzinie inżynierii genetycznej. Przypuszczam, że mój własny projekt stanowi fragment ich wielkiego planu.

- Jakiego planu?

- Wyhodowania idealnych Amerykanów: inteligentnych, agresywnych i jasnowłosych. - Jeannie wzruszyła ramionami. - To stara idea, ale teraz, w dobie rozwiniętej genetyki, można ją urzeczywistnić.

- Więc dlaczego sprzedają firmę? To nie ma sensu.

- Wprost przeciwnie. Kiedy złożono im ofertę kupna, zobaczyli w tym możliwość rozwinięcia skrzydeł. Pieniądze pozwolą sfinansować kampanię prezydencką Prousta. Po opanowaniu Białego Domu mogą prowadzić wszelkie badania... i zrealizować swoje marzenia.

Charles pokiwał głową.

- W dzisiejszym "Washington Post" jest artykuł na temat poglądów Prousta. Nie sądzę, żebym chciał żyć w rządzonej przez niego świecie. Jeśli będziemy wszyscy posłusznymi agresywnymi żołnierzami, kto będzie pisał wiersze, grał bluesa i brał udział w antywojennych protestach?

Jeannie uniosła brwi. Nie spodziewała się takich myśli u zawodowego wojskowego.

- Chodzi nie tylko o to - odpowiedziała. - Ludzkie zróżnicowanie ma swój sens. Jest pewien powód, dla którego różnimy się od swoich rodziców. Ewolucja jest procesem prób i błędów. Nie sposób wyeliminować jej klęsk bez wyeliminowania jej sukcesów.

Charles westchnął.

- A z tego wszystkiego wynika, że nie jestem ojcem Steve'a.

- Nie mów tak.

Otworzył portfel i wyjął z niego fotografię.

- Muszę ci coś powiedzieć, Jeannie. Nigdy nie wpadło mi do głowy, że może być klonem, ale często patrzyłem na Steve'a i zastanawiałem się, czy coś po mnie odziedziczył.

- Nie widzisz tego?

- Czego? Podobieństwa?

- Nie chodzi mi o zewnętrzne podobieństwo. Steve ma na przykład głęboko zakorzenione poczucie obowiązku. Żaden z pozostałych nie wie, co to takiego. Przejął je od ciebie!

Charles wciąż miał ponurą minę.

- Jest w nim coś złego, wiem o tym.

Dotknęła jego ramienia.

- Posłuchaj mnie. Steve był tym, co nazywam dzikim dzieckiem: nieposłusznym, impulsywnym, odważnym, kipiącym energią. Mam rację?

Charles uśmiechnął się ze smutkiem.

- To prawda.

- Tacy sami byli: Dennis Pinker i Wayne Stattner. Bardzo trudno jest wychować takie dzieci. Dlatego właśnie Dennis jest mordercą, a Wayne sadystą. Ale Steve różni się od nich. Różni się między innymi dzięki tobie. Tylko obdarzeni największą cierpliwością i oddaniem rodzice potrafią wychować takich osobników na normalnych ludzi. A Steve jest normalny.

- Modłę się, żebyś miała rację.

Charles otworzył portfel, chcąc włożyć z powrotem zdjęcie, ale Jeannie powstrzymała go.

- Czy mogę rzucić okiem?

- Naturalnie.

Przyjrzała się fotografii. Zrobiono ją całkiem niedawno. Steve ubrany był w niebieską koszulę w kratę i miał trochę za długie włosy. Uśmiechał się nieśmiało do obiektywu.

- Nie mam jego żadnego zdjęcia - poskarżyła się, oddając odbitkę.

- Zachowaj je.

- Nie mogę. Trzymasz je przy sercu.

- Mam miliony zdjęć Steve'a. Włożę do portfela inne.

- Dziękuję. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna.

- Wygląda na to, że bardzo go lubisz.

- Ja go kocham, Charles.

- Naprawdę?

Jeannie pokiwała głową.

- Kiedy myślę, że mógłby trafić do więzienia za gwałt, mam ochotę pójść tam zamiast niego.

Charles posłał jej smutny uśmiech.

- Ja też.

- To chyba miłość?

- Na pewno.

Jeannie poczuła się skrępowana. Nie miała wcale zamiaru mu tego mówić. Właściwie wcale tego nie wiedziała; samo wymknęło jej się z ust i nagle zdała sobie sprawę, że to prawda.

- Co czuje do ciebie Steve? - zapytał Charles.

- Powinnam może ująć to skromniej, ale...

- Nie próbuj.

- Szaleje za mną.

- To mnie wcale nie dziwi. Nie tylko dlatego, że jesteś piękna. Jesteś także silna: to oczywiste. On potrzebuje kogoś silnego; zwłaszcza teraz, kiedy wisi nad nim to oskarżenie.

Jeannie zmierzyła Charlesa uważnym wzrokiem. Nadeszła pora, żeby go poprosić.

- Jest pewna rzecz, którą mógłbyś zrobić...

- Powiedz, o co chodzi.

Jeannie ćwiczyła to, co chciała powiedzieć, przez całą drogę do Waszyngtonu.

- Gdybym mogła przeszukać kolejną bazę danych, być może udałoby mi się znaleźć prawdziwego gwałciciela. Ale po artykule w "New York Timesie" żadna agencja rządowa ani firma ubezpieczeniowa nie zaryzykuje ze mną współpracy. Chyba że...

- Co?

Jeannie pochyliła się do przodu w ogrodowym fotelu.

- W Genetico eksperymentowali na żonach żołnierzy, bo mieli do nich dostęp w wojskowych szpitalach. Dlatego urodziła się tam większość klonów, a może wszystkie.

Charles pokiwał powoli głową.

- Dane medyczne dzieci musiały zostać złożone w wojskowych archiwach - kontynuowała. - Być może wciąż się tam znajdują.

- Jestem tego pewien. Armia nigdy niczego nie wyrzuca.

Nadzieje Jeannie lekko wzrosły. Był jednak jeszcze jeden problem.

- To było dwadzieścia dwa lata temu, mogli zapisać to na papierze. Czy przenieśli potem dane do komputera?

- Na pewno. To jedyny sposób archiwizowania informacji.

- W takim razie to możliwe - oznajmiła, starając się ukryć podniecenie.

Charles najwyraźniej się wahał.

Rzuciła mu twarde spojrzenie.

- Możesz załatwić mi dostęp?

- Co dokładnie chcesz zrobić?

- Muszę załadować mój program do komputera i kazać mu przeszukać wszystkie dane.

- Jak długo to potrwa?

- Nie sposób powiedzieć. To zależy od wielkości bazy danych i mocy komputera.

- Czy utrudni to normalny dostęp do danych?

- Może go zwolnić.

Charles zmarszczył brwi.

- Zrobisz to? - zapytała niecierpliwie.

- Jeśli nas złapią, będzie to oznaczać koniec mojej kariery.

- Jaka jest twoja odpowiedź?

- Niech mnie diabli, zrobię to.

48.

Steve rozpromienił się, widząc Jeannie, która siedziała na patio, popijała lemoniadę i rozmawiała z jego ojcem, jakby byli starymi znajomymi. Tego właśnie chce, pomyślał. Chce, żeby Jeannie stała się częścią mojego życia. Wtedy dam sobie radę ze wszystkim.

Przeszedł uśmiechając się przez trawnik i pocałował ją lekko w usta.

- Wyglądacie jak dwoje spiskowców - powiedział.

Jeannie wyjaśniła mu, co mają zamiar zrobić, i ponownie wstąpiła w niego nadzieją.

- Nie znam się zbyt dobrze na komputerach - przyznał tato, zwracając się do Jeannie. - Będę potrzebował twojej pomocy.

- Pojadę z tobą.

- Założę się, że nie masz przy sobie paszportu.

- Nie mam.

- Nie mogę wprowadzić cię do centrum informatycznego bez dowodu tożsamości.

- Mogę pojechać po paszport do domu.

- Ja z tobą pojadę - powiedział Steve do ojca. - Mam paszport na górze. Na pewno potrafię załadować program.

Tato posłał pytające spojrzenie Jeannie.

- Procedura jest prosta - odparła, kiwając głową. - Gdybyście mieli jakieś trudności, zadzwońcie do mnie z centrum informatycznego. Powiem wam, co robić, przez telefon.

- W porządku.

Tato przyniósł z kuchni telefon i wystukał numer.

- Don, tu Charlie. Kto wygrał w golfa? Wiedziałem, że sobie poradzisz. Ale w przysłym tygodniu nie dam ci najmniejszej szansy, zobaczysz. Słuchaj, chciałem cię prosić o trochę nietypową przysługę. Chcę sprawdzić dane medyczne mojego syna z okresu, kiedy... Tak, podejrzewają, że ma pewne rzadkie schorzenie, nie zagrażające życiu, ale poważne. Pierwsze symptomy mogły się pojawić już we wczesnym dzieciństwie. Czy mógłbyś załatwić mi przepustkę do centrum informatycznego?

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Steve nie potrafił nic poznać po twarzy ojca.

- Dziękuję, Don - powiedział w końcu Charles. - Jestem ci bardzo zobowiązany.

- Udało się! - zawołał Steve, podnosząc z triumfem rękę.

Tato przystawił palec do ust.

- Zabieram ze sobą Steve'a - oznajmił do telefonu. - Jeśli to możliwe, będziemy tam za piętnaście, dwadzieścia minut... Jeszcze raz dziękuję - dodał i odłożył słuchawkę.

Steve pobiegł do swojego pokoju i po chwili wrócił z paszportem.

Jeannie miała dyskietki w małym plastikowym pudełku.

- Włóż tę oznaczoną numerem pierwszym do stacji dysków - wyjaśniła, wręczając je Steve'owi - Instrukcje same pojawią się na ekranie.

Steve spojrział na ojca.

- Gotów?

- Możemy iść.

- Powodzenia - powiedziała Jeannie.

Steve i ojciec pojechali do Pentagonu, zostawili samochód na największym parkingu świata - na Środkowym Zachodzie są miasteczka mniejsze od parkingu przy Pentagonie - i wspięli się po schodach do wejścia usytuowanego na pierwszym piętrze.

W wieku trzynastu lat Steve zwiedzał Pentagon w towarzystwie wysokiego młodego mężczyzny z włosami przystrzyżonymi na zapałkę. Gmach składał się z pięciu koncentrycznych kręgów połączonych niczym szprychy korytarzami. Miał cztery piętra i ani jednej windy. Steve stracił orientację już po kilku sekundach. Pamiętał tylko, że pośrodku centralnego dziedzińca stała budka o nazwie Ground Zero, w której sprzedawano hot dogi.

Teraz szedł za ojcem, mijając zamknięty zakład fryzjerski i restaurację. W punkcie kontrolnym pokazał paszport, wpisał się jako gość i dostał kartę identyfikacyjną, którą musiał przypiąć do koszuli.

W sobotni wieczór było tu stosunkowo mało ludzi: na korytarzu minęło ich tylko kilkanaście osób, w większości w mundurach, i kilka golfowych wózków, wiozących dygnitarzy i duże nieporęczne przedmioty. Kiedy Steve był tu poprzednio, monolityczna forma budynku dodawała mu otuchy. Teraz miał zupełnie inne wrażenie. Gdzieś w tym labiryncie korytarzy uknuto spisek, w wyniku którego pojawił się on i jego sobowtóry. Ten biurokratyczny moloch istniał po to, aby ukryć prawdę, którą on chciał odkryć. Ludzie w wyprasowanych wojskowych mundurach byli teraz jego wrogami.

Przeszli kilkadziesiąt kroków korytarzem, wspięli się po schodach na drugie piętro i za kolejnym zakretem trafili na następny posterunek. Tym razem kontrola trwała dłużej. Steve musiał podać pełne nazwisko i adres i czekał minutę lub dwie, aż sprawdził go komputer. Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że kontrola wymierzona jest przeciwko niemu, że to jego właśnie szukają. Czuł się winien, mimo że nie zrobił nic złego. Było to dziwne uczucie. Przestępcy muszą doznawać go przez cały czas, pomyślał. Podobnie jak szpiegdy, przemytnicy i niewierni mężowie.

Ruszyli dalej i po pokonaniu paru kolejnych zakrętów stanęli przed oszklonymi drzwiami. W środku siedziało przy komputerach kilkunastu młodych żołnierzy, wprowadzając dane i odczytując dokumenty za pomocą skanerów. Strażnik przy drzwiach skontrolował po raz kolejny paszport Steve'a i wpuścił ich do środka.

W pozbawionej okien, skąpanej w miękkim świetle sali panowała cisza i unosił się charakterystyczny zapach przefiltrowanego powietrza. Pracą kierował pułkownik, siwy mężczyzna z wąskim niczym ołówek wąsikiem. Nie znał ojca Steve'a, ale oczekiwał go. Prowadząc ich do terminalu, z którego mieli skorzystać, mało się odzywał; być może uważał ich za natrętów.

- Musimy sprawdzić dane medyczne dzieci urodzonych mniej więcej dwadzieścia dwa lata temu w wojskowych szpitalach - wyjaśnił ojciec.

- Nie mamy tutaj tych danych.

Steve poczuł, jak zamiera mu serce. Czy dadzą się tak łatwo odprawić?

- Gdzie są przechowywane?

- W St. Louis.

- Czy nie możemy sprawdzić ich z tego miejsca?

- Powinien pan mieć upoważnienie do korzystania z łączy.

- Nie przewidziałem tego problemu, pułkowniku - stwierdził oschłym tonem tato. -

Czy chce pan, żebym ponownie zadzwonił do generała Krohnera? Nie będzie chyba zadowolony z tego, że zawracamy mu niepotrzebnie głowę w sobotni wieczór, ale zrobię to, jeśli pan się upiera.

Pułkownik rozważał przez chwilę, czy lepiej naruszyć regulamin, czy narazić się na irytację generała.

- Wydaje mi się, że możemy to zrobić. Łącza nie są aktualnie zajęte, a powinniśmy je i tak sprawdzić w ten weekend.

- Dziękuję.

Pułkownik wezwał do siebie mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietę w mundurze porucznika i przedstawił ją jako Caroline Gambol. Tęga i ściśnięta gorsetem, wyglądała jak kierowniczka szkoły. Tato powtórzył jej to, co powiedział pułkownikowi.

- Czy wie pan, że te dane są strzeżone przez ustawę o ochronie dóbr osobistych? - zapytała.

- Tak. Mamy odpowiednie zezwolenie.

Porucznik Gambol siadła przy terminalu.

- Jakiego rodzaju przeszukanie chce pan przeprowadzić? - zapytała po chwili.

- Mamy nasz własny program.

- Z przyjemnością go panu załaduję.

Tato spojrzał na Steve'a, który wzruszył ramionami i wręczył kobiecie dyskietki.

Ładując program, posłała mu zaintrygowane spojrzenie.

- Kto to napisał? - zapytała.

- Profesor z Uniwersytetu Jonesa Fallsa.

- Bardzo sprytny program - stwierdziła. - Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. -

Spojrzała na pułkownika, który zaglądał jej przez ramię. - A pan?

Pułkownik potrząsnął głową.

- Program jest załadowany. Czy mam go uruchomić?

- Proszę bardzo.

Porucznik Gambol wcisnęła klawisz ENTER.

Jakiś impuls kazał Berringtonowi śledzić czarnego lincolna marka, kiedy ten ruszył spod domu w Georgetown. Nie miał pojęcia, czy Jeannie jest w samochodzie; widział tylko siedzących z przodu pułkownika i Steve'a, ale to był model coupe i mogła schować się z tyłu.

Cieszył się, że może się wreszcie czymś zająć. Połączenie bezruchu i rosnącej irytacji było zabójcze. Bolały go plecy i zeszywniały mu nogi. Miał ochotę dać sobie spokój i odjechać. Mógł siedzieć teraz w restauracji przy butelce dobrego wina bądź też odpoczywać w domu, słuchając dziewiątej symfonii Mahlera albo rozbierając Vivvie Harpenden. Ale potem pomyślał o korzyściach, które mogła przynieść transakcja. Po pierwsze pieniądze; jego udział wynosił sześćdziesiąt milionów dolarów. Po drugie władza polityczna, wynikająca z obecności Jima Prousta w Białym Domu i funkcji lekarza naczelnego kraju, którą wówczas on sam obejmie. Po trzecie, szansa stworzenia nowej innej Ameryki w dwudziestym pierwszym wieku, Ameryki takiej, jaką kiedyś była: silnej, odważnej i czystej. Dlatego zacisnął zęby i w dalszym ciągu udawał prywatnego detektywa.

Jazda za Loganem spokojnymi waszyngtońskimi ulicami nie sprawiała mu przez jakiś czas trudności. Trzymał się dwa samochody z tyłu, jak na policyjnym filmie. Samochód Lincoln Mark VIII prezentował się całkiem elegancko. Być może powinien zamienić na niego swego town cara. Sedan wyglądał nieźle, ale wydawał się trochę zbyt stateczny; coupe było bardziej ekstrawaganckie. Zastanawiał się, ile może dostać za town cara. A potem przypomniał sobie, że w poniedziałek będzie bogaty. Jeśli chce sprawić sobie ekstrawagancki wóz, może kupić ferrari.

Nagle lincoln skręcił za rogiem, światła zmieniły się na czerwone, toyota jadąca przed Berringtonem zatrzymała się i stracił z oczu samochód Logana. Zaklął pod nosem i potrząsnął głową. Zaczynał śnić na jawie. Monotonia tego, co robił, osłabiała jego koncentrację. Kiedy światła zmieniły się z powrotem na zielone, skręcił z piskiem opon i dodał gazu.

Chwilę później zobaczył stojące przed kolejnymi światłami czarne coupe i odetchnął z ulgą.

Okrążyli Lincoln Memoriał i przejechali na drugą stronę Potomacu mostem Arlington. Czy kierowali się na lotnisko National? Logan skręcił w Washington Boulevard i Berrington zorientował się, że ich celem musi być Pentagon.

Zjechał w ślad za nimi estakadą na olbrzymi parking, znalazł wolne miejsce w sąsiednim rzędzie, zgasił silnik i obserwował. Steve i jego ojciec wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę budynku.

Berrington sprawdził lincolna. W środku nie było nikogo. Jeannie musiała zostać w ich domu w Georgetown. Co takiego knuli Steve i jego ojciec? I co robiła teraz Jeannie?

Ruszył za nimi, trzymając się dwadzieścia, trzydzieści jardów z tyłu. Był wściekły, że musi ich śledzić. Bał się, że go zauważą. Co wtedy powie? Nie wiedział, czy zdoła znieść takie upokorzenie.

Na szczęście żaden z nich się nie obejrzał. Wspięli się po schodach i weszli do budynku. Śledził ich aż do pierwszego punktu kontrolnego, gdzie musiał zawrócić.

Znalazł automat telefoniczny i zadzwonił do Jima Prousta.

- Jestem w Pentagonie. Śledziłem Jeannie do domu Loganów, a potem przyjechałem tutaj za Steve'em Loganem i jego ojcem. Martwię się, Jim.

- Pułkownik pracuje przecież w Pentagonie?

- Tak.

- To może być coś zupełnie niewinnego.

- Po co miałby jechać do biura w sobotę wieczór?

- Na partyjkę pokera w gabinecie generała, jeśli dobrze pamiętam swoją służbę w wojsku.

- Nie zabiera się syna na partyjkę pokera, bez względu na to, w jakim jest wieku.

- Czy w Pentagonie jest coś, co może nam zaszkodzić?

- Archiwa.

- Nie masz racji - odparł Jim. - W wojsku nie ma informacji o tym, co zrobiliśmy. Jestem tego pewien.

- Musimy wiedzieć, co tam robią. Czy nie możesz się tego jakoś dowiedzieć?

- Chyba mogę. Jeśli nie mam przyjaciół w Pentagonie, nie mam ich nigdzie.

Przedzwonię tu i tam. Bądź w kontakcie.

Berrington odłożył słuchawkę i przez chwilę wpatrywał się w telefon. Frustracja doprowadzała go do szału. Zagrożone było wszystko, nad czym pracował przez całe życie, a czym on się zajmował? Śledzeniem ludzi niczym jakiś parszywy łaps. Nie mógł jednak zrobić nic więcej. Zgrzytając zębami z niecierpliwości, obrócił się na pięcie i wrócił do samochodu, żeby w nim czekać.

Steve wpatrywał się z napięciem w ekran komputera. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za chwilę dowie się, kto zgwałcił Lisę Hoxton. Będzie miał szansę udowodnienia swojej niewinności. Ale co będzie, jeśli coś nawali? Mógł nie zadziałać program, mogło się też okazać, że informacje medyczne zostały usunięte z bazy danych. Komputery zawsze podają człowiekowi głupie komunikaty: *Not found*, *Out of memory* albo *Error protection failure*.

Terminal wydał z siebie podobny do dzwonka odgłos. Przeszukanie dobiegło końca. Na ekranie ukazała się lista zgrupowanych parami nazwisk i adresów. Program Jeannie zadziałał. Ale czy na liście znalazły się dzieci zrodzone w efekcie klonowania?

Starał się opanować niecierpliwość. Przede wszystkim musieli zrobić kopię listy.

Znalazł pudełko z nowymi dyskietkami w szufladzie, wsunął jedną z nich do stacji dysków, skopiował plik, schował dyskietkę do tylnej kieszeni dżinsów i dopiero wtedy zaczął studiować listę nazwisk.

Żadnego z nich nie rozpoznawał. Zjechał kursorem w dół; lista miała najwyraźniej kilka stron. Łatwiej będzie przejrzeć ją na papierze.

- Czy mogę zrobić wydruk? - zapytał, zwracając się do porucznik Gambol.

- Oczywiście. Może pan użyć tej laserowej drukarki - odparła i pokazała mu, jak ją uruchomić.

Steve stanął nad drukarką i wpatrywał się chciwie w wychodzące z niej kartki. Miał nadzieję, że zobaczy swoje nazwisko w towarzystwie Dennisa Pinkera, Wayne'a Stattnera oraz mężczyzny, który zgwałcił Lisę Hoxton. Ojciec zaglądał mu przez - Tamie.

Na pierwszej stronie były tylko pary, żadnych grup po trzy albo cztery nazwiska.

Nazwisko Steve Logan pojawiło się w połowie drugiej strony. Tato zobaczył je równocześnie z nim.

- Tu jesteś - powiedział, starając się opanować podniecenie.

Ale coś było nie w porządku. W grupie znajdowało się zbyt wiele nazwisk. Oprócz Stevena Logana, Dennisa Pinkera i Wayne'a Stattnera byli tam Henry King, Per Ericson, Murray Claud, Harvey Jones i George Dassault. Radość Steve'a zmieniła się w konsternację.

Tato zmarszczył czoło.

- Kim są ci wszyscy mężczyźni?

Steve policzył nazwiska.

- Jest ich ośmiu.

- Ośmiu? - powtórzył tato. - Ośmiu?

Steve nagle zrozumiał.

- Tyle właśnie wyprodukowało Genetico - powiedział. - Jest nas ośmiu.

- Osiem klonów - stwierdził ze zdumieniem tato. - Co oni sobie, u licha, wyobrażali?

- Ciekawe, jak zostali odnalezieni rzucił Steve, spoglądając na ostatnią kartkę, którą wypluła drukarka. Na samym dole widniała nota: WSPÓLNA CECHA - ELEKTROKARDIOGRAM.

- Zgadza się, pamiętam - mruknął tato. - Kiedy miałeś tydzień, zrobili ci elektrokardiogram. Nigdy nie miałem pojęcia dlaczego.

- Wszystkim nam zrobiono. A identyczne bliźniaki mają takie same serca.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Na świecie jest siedmiu chłopców dokładnie takich jak ty.

- Spójrz na adresy - wskazał rubrykę Steve. - Same bazy wojskowe.

Większość tych ludzi mieszka teraz gdzie indziej. Czy ten program nie może podać nam więcej informacji?

- Nie. Dzięki temu nie narusza się prywatności badanych.

- Więc jak ona ich odnajduje?

- Pytałem ją o to. Na uniwersytecie mają na CD-romie wszystkie książki telefoniczne. Jeśli ich tam nie umieszczono, korzystają z kartoteki wydziałów komunikacji, agencji sprawdzających kredytobiorców i innych podobnych źródeł.

- Do diabła z prywatnością - stwierdził tato. - Mam zamiar wyciągnąć stąd ich pełne dane medyczne. Zobaczę, czy coś nam to powie.

- Napiłbym się kawy - powiedział Steve. - Nie ma tu jakiegoś ekspresu?

- W centrum informatycznym nie wolno pić żadnych napojów. Rozlana kawa może być zabójcza dla komputera. Za rogiem jest mała poczekalnia z automatem do coca-coli i kawy.

- Zaraz wracam.

Wychodząc z centrum informatycznego, skinął głową strażnikowi. W poczekalni były dwa stoły, kilka krzeseł i maszyny z napojami i batonami. Steve zjadł dwa snickersy, wypił kawę i ruszył z powrotem.

Przy oszklonych drzwiach na chwilę się zatrzymał. W środku było kilka nowych osób, a wśród nich generał i dwóch uzbrojonych żandarmów. Tato kłócił się o coś z generałem, któremu asystował pułkownik z cienkim wąsikiem. Ich gesty zaniepokoiły go. Działo się coś złego. Stał w drzwiach, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

- Mam rozkaz pana aresztować, pułkownika Logan - oznajmił generał.

Steve poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz.

Jak to się stało? Nie mogło im chodzić o to, że tato przeglądał dane medyczne innych osób. Było to poważne wykroczenie, ale nie mogło stanowić powodu do aresztowania. W sprawę musiało wmieszać się Genetico.

- Nie ma pan prawa tego robić - odparł z gniewem ojciec.

- Nie będzie mnie pan pouczać, jakie przysługują mi prawa - warknął generał.

Steve uznał, że nie ma powodu, by włączać się do ich kłótni. W kieszeni miał dyskietkę z nazwiskami. Tato był w tarapatkach, ale potrafił się z nich jakoś wykaraskać. Steve powinien wydostać się stąd z informacją.

Odwrócił się, wyszedł na korytarz i ruszył szybkim krokiem przed siebie, starając się sprawiać wrażenie osoby zorientowanej, pewnie się poruszającej. Czuł się jak uciekinier. Usiłował przypomnieć sobie drogę przez labirynt korytarzy. Po kilku zakrętach minął punkt kontrolny.

- Chwileczkę, proszę pana! - zawołał strażnik.

Steve zatrzymał się i odwrócił. Serce biło mu jak oszalałe.

- Tak? - zapytał niecierpliwie, jakby był bardzo zajęty i spieszył się do swoich zajęć.

- Muszę odnotować pańskie wyjście. Czy mogę zobaczyć pański dowód tożsamości?

- Oczywiście.

Steve podał mu paszport. Strażnik sprawdził jego fotografię i wpisał nazwisko do komputera.

- Dziękuję - powiedział, oddając paszport.

Steve ruszył dalej korytarzem. Jeszcze jeden punkt kontrolny i znajdzie się na zewnątrz.

- Panie Logan! - usłyszał za sobą nagle głos Caroline Gambol. - Proszę chwilę zaczekać!

Obejrzał się przez ramię. Biegła za nim korytarzem, czerwona na twarzy i zdyszana.

- Niech to diabli - mruknął. Skręcił w boczny korytarz, znalazł klatkę schodową i zbiegł piętro niżej. Miał przy sobie nazwiska, które oczyszczą go z zarzutu gwałtu: nikt, nawet porucznik amerykańskiej armii, nie mógł go powstrzymać przed wydostaniem się stąd z tą informacją.

Żeby wyjść z budynku, musiał dotrzeć do zewnętrznego sektora E. Idąc szybko poprzecznym korytarzem, minął sektor C. Z naprzeciwka jechał wózek golfowy z

przyborami do sprzątan. W połowie drogi do kręgu D ponownie usłyszał porucznik Gambol. Wciąż za nim biegła.

- Panie Logan! Chce z panem rozmawiać generał! - krzyknęła. Jej głos niósł się szerokim długim korytarzem. Facet w mundurze sił powietrznych zerknął ciekawie przez oszklone drzwi. Na szczęście w sobotni wieczór w budynku znajdowało się stosunkowo niewielu ludzi. Steve znalazł kolejną klatkę schodową i wbiegł na górę. To powinno ostudzić zapał tęgiej pani porucznik.

Wszedł do sektora D, minął dwa poprzeczne korytarze i zbiegł z powrotem na dół. Nigdzie nie było śladu porucznik Gambol. Pozbyłem się jej, pomyślał z ulgą.

Następny poprzeczny korytarz wyglądał znajomo: tędy szli do centrum informatycznego. Steve ruszył w stronę posterunku przy wejściu. Za chwilę znajdzie się na zewnątrz.

I wtedy zobaczył porucznik Gambol.

Stała obok strażnika, zdyszana i zaczerwieniona.

Steve zaklął pod nosem. W ogóle się jej nie pozbył. Dotarła po prostu pierwsza do wejścia.

Postanowił, że ją zlekceważy.

Podszedł do strażnika i podał mu swoją kartę identyfikacyjną.

- Proszę nie oddawać karty - zwróciła się do niego porucznik Gambol. - Chciał z panem rozmawiać generał.

Steve położył kartę na biurku.

- Niestety nie mam czasu - stwierdził, ukrywając strach pod maską pewności siebie.

- Dziękuję pani za pomoc i żegnam.

- Nalegam, żeby poszedł pan ze mną.

Steve udał, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Nie ma pani prawa nalegać - odparł. - Jestem cywilem, nie może pani mi rozkazywać. Nie zrobiłem nic złego; nie może mnie pani aresztować. Jak pani widzi, nie wynoszę stąd żadnego wojskowego sprzętu. - Miał nadzieję, że nie widać dyskietki tkwiącej w tylnej kieszeni jego spodni. - Nie wolno pani mnie zatrzymywać.

- Nie pozwólcie mu wyjść - powiedziała do strażnika, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny o cztery cale niższego od Steve'a.

Steve uśmiechnął się do niego.

- Jeśli mnie dotkniecie, żołnierzu, to będzie napaść. Będę miał prawo się bronić i wierzcie mi, że to zrobię.

Porucznik Gambol rozejrzała się za posiłkami, ale w pobliżu widać było tylko dwie sprzątaczkę i elektryka naprawiającego oświetlenie.

Steve ruszył w stronę drzwi.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął za nim strażnik.

Steve odwrócił się. Żołnierz wyciągnął pistolet i celował w niego.

Sprzątaczkę i elektryk obserwowali w bezruchu całą scenę.

Pistolet drżał lekko w rękach strażnika.

Wpatrując się w lufę, Steve poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Wysiłkiem woli przewyciężył paraliż. Strażnik w Pentagonie nie będzie strzelał do nie uzbrojonego cywila, był o tym przekonany.

- Nie strzelisz do mnie. To byłoby morderstwo - powiedział, po czym odwrócił się i zaczął iść do wyjścia.

Był to najdłuższy spacer w jego życiu. Odległość wynosiła tylko trzy albo cztery jardy, ale miał wrażenie, że pokonuje ją przez całą wieczność. Czuł, jak płonie mu skóra na plecach.

Kiedy dotknął ręką klamki, rozległ się strzał...

Ktoś krzyknął.

Sukinsyn strzelił w powietrze, pomyślał Steve, ale się nie obejrzał. Zamiast tego pchnął drzwi i wybiegł na dwór. Zapadł już zmierzch i na parkingu paliły się latarnie. Usłyszał za sobą krzyki, a potem kolejny strzał. Zbiegł długimi schodami na dół i skręcił w krzaki.

Po jakimś czasie wybiegł na jezdnię i zobaczył przed sobą przystanki autobusowe. Na jeden z nich podjechał właśnie autobus. Wysiadło z niego dwóch żołnierzy i weszła kobieta w cywilu. Steve wskoczył tuż za nią.

Autobus odjechał z przystanku, skręcił na autostradę i zaczął oddalać się od Pentagonu.

W ciągu kilku godzin Jeannie zdążyła ogromnie polubić Lorraine Logan.

Matka Steve'a była o wiele bardziej korpulentna niż na fotografii, którą zamieszczano nad jej kącikiem samotnych serc w gazetach. Dużo się uśmiechała i jej pulchna twarz pokrywała się wtedy siecią zmarszczek. Żeby zapomnieć na chwilę o trapiących je zmartwieniach, opowiedziała Jeannie, o czym piszą do niej ludzie: o apodyktycznych teściach, brutalnych mężach, narzeczonych-impotentach, córkach zażywających narkotyki, szefach, którzy nie potrafią trzymać rąk przy sobie. Na każdy temat miała do powiedzenia coś nowego. Dlaczego nigdy nie spojrzałam na to w ten sposób, zastanawiała się co chwila Jeannie.

Siedziały na patio, czekając niecierpliwie na powrót Steve'a i jego ojca. Jeannie opowiedziała Lorraine o zgwałceniu Lisy.

- Będzie starała się jak najdłużej udawać, że to się w ogóle nie wydarzyło - stwierdziła Lorraine.

- Tak to właśnie teraz wygląda.

- Ta faza może trwać nawet do sześciu miesięcy. Ale wcześniej czy później Lisa uświadomi sobie, że musi przestać udawać, iż nic się nie stało. Zda sobie sprawę, że musi stawić temu czoło. Ten etap zaczyna się, gdy kobieta próbuje rozpocząć na nowo normalne życie seksualne i odkrywa, że nie czuje tego, co przedtem. Wtedy właśnie do mnie piszą.

- I co im radzisz?

- Żeby zwróciły się do specjalisty. Nie ma tutaj łatwego rozwiązania. Gwałt rani duszę kobiety i trzeba ją uleczyć.

- To samo mówi sierżant Delaware.

Lorraine uniosła brwi.

- To musi być niegłupi policjant.

- Policjantka - poprawiła ją z uśmiechem Jeannie.

Lorraine roześmiała się.

- Strofujemy mężczyzn za to, że popełniają tego rodzaju pomyłki. Błagam cię, nie mów nikomu, jaką dałam plamę.

- Obiecuję - odparła Jeannie.

Przez dłuższą chwilę obie milczały.

- Steve cię kocha - powiedziała w końcu Lorraine.

Jeannie pokiwała głową.

- Tak, chyba rzeczywiście się we mnie zadurzył.
- Matka potrafi to poznać.
- Więc był już przedtem zakochany?
- Czytasz między wierszami. - Lorraine uśmiechnęła się. - Tak, był. Ale tylko raz.
- Możesz mi o niej opowiedzieć? Steve chyba się nie pogniewa.
- Nie sądzę. Nazywała się Fanny Gallaher. Miała zielone oczy i rude kręcone włosy.

Niczym się nie przejmowała i była jedyną dziewczyną w szkole średniej, która nie interesowała się Steve'em. Smalił do niej cholewki, a ona opierała się przez kilka miesięcy. Lecz w końcu dopiął swego i chodzili ze sobą mniej więcej przez rok.

- Myślisz, że ze sobą spali?

- Wiem o tym. Fanny nocowała u nas. Nie lubię zmuszać dzieciaków, żeby robiły to na parkingach.

- Co na to jej rodzice?

- Rozmawiałam z matką Fanny. Zgodziła się ze mną.

- Ja straciłam cnotę w alejce obok klubu rockowego w wieku czternastu lat. Było to tak przykre, że następnym razem kochałam się dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat. Żałuję, że moja matka nie była do ciebie bardziej podobna.

- To, czy rodzice są surowi, czy tolerancyjni, nie ma, moim zdaniem, większego znaczenia. Najważniejsze jest, żeby byli konsekwentni. Dzieci potrafią przystosować się do reguł postępowania, dopóki są one jasno określone. Najbardziej szkodzi im arbitralna tyrania.

- Dlaczego ze sobą zerwali?

- Steve miał pewien problem... ale powinien ci chyba o tym sam powiedzieć.

- Myślisz o bójce z Tipem Hendricksem?

Lorraine uniosła brew.

- Powiedział ci! Mój Boże, on ci naprawdę ufa.

Usłyszeli warkot samochodu. Lorraine wstała i wyjrzała za róg domu.

- Steve wrócił do domu taksówką - stwierdziła ze zdumieniem.

Jeannie wstała z fotela.

- Jaką ma minę?

Zanim Lorraine zdążyła odpowiedzieć, Steve pojawił się na patio.

- Gdzie ojciec? - zapytała.

- Aresztowali go.

- O mój Boże! Dlaczego?

- Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że faceci z Genetico odkryli albo domyślili się, co robimy, i uruchomili swoje znajomości. Wysłali dwóch żandarmów, żeby go aresztować. Ale ja uciekłem.

- Jest coś, czego mi nie mówisz, Steve - stwierdziła podejrzliwie Lorraine.

- Strażnik strzelił dwa razy.

Lorraine krzyknęła cicho.

- Celował chyba nad moją głową. Tak czy owak jestem zdrow i cały.

Jeannie zaschło w ustach. Myśl o strzałach oddanych w stronę Steve'a przeraziła ją. Mógł zginąć!

- Najważniejsze, że program zadziałał - oznajmił Steve, wyjmując z kieszeni dyskietkę. - Oto lista. Zdziwisz się, kiedy ci powiem, co na niej jest.

Jeannie przełknęła z trudem ślinę.

- Tak?

- Nie ma czterech klonów.

- Jak to?

- Jest ich osiem.

Jeannie opadła szczęką.

- Jest was ośmiu?

- Znalezliśmy osiem identycznych elektrokardiogramów.

Genetico podzieliło embrion siedem razy i podrzuciło ośmiu nie mającym o tym pojęcia kobietom cudze dzieci. Arogancja tych ludzi nie mieściła się po prostu w głowie.

Podejrzenia Jeannie okazały się słuszne. To właśnie tak rozpaczliwie chciał ukryć - Berrington. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, Genetico będzie skompromitowane, a ona udowodni, że miała rację.

Steve zostanie oczyszczony z zarzutów.

- Udało ci się! - uściskała go. A potem uświadomiła sobie, że to jeszcze nie wszystko.
- Lecz który z tych ośmiu popełnił gwałt?

- Musimy to odkryć - stwierdził Steve. - I to nie będzie łatwe. Na liście mamy adresy rodziców z czasów, kiedy ich dzieci się urodziły. To oznacza, że w większości są nieaktualne.

- Możemy ich odnaleźć. To specjalność Lisy. - Jeannie wstała z fotela. - Powinam wracać do Baltimore. To zajmie mi pewnie całą noc.

- Pojadę z tobą.

- A co z twoim ojcem? Musicie wydostać go z rąk żandarmerii.

- Jesteś tu potrzebny, Steve - wtrąciła Lorraine. - Zadzwoń zaraz do naszego adwokata... mam jego domowy numer. Musisz mu opowiedzieć, co się stało.

- Dobrze - zgodził się niechętnie.

- Powinnam zadzwonić do Lisy, żeby była gotowa - stwierdziła Jeannie. Słuchawka leżała na stole. - Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Oczywiście.

Wystukała numer Lisy. Telefon zadzwonił cztery razy, a potem rozległ się charakterystyczny odgłos włączającej się automatycznej sekretarki.

- Do diabła - zakląła Jeannie, słuchając nagranej wiadomości. - Liso, zadzwoń do mnie - powiedziała po usłyszeniu sygnału. - Wyjeżdżam w tej chwili z Waszyngtonu. Będę w domu koło dziesiątej. Zdarzyło się coś naprawdę ważnego.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponował Steve.

Jeannie pożegnała się z Lorraine, która serdecznie ją uściskała.

Przed domem Steve wręczył jej dyskietkę.

- Pilnuj jej jak oka w głowie - przypomniał. - Nie mamy kopii, a druga taka okazja na pewno się nie nadarzy.

- Nie martw się. Zależy od niej także moja przyszłość.

Schowała dyskietkę do torebki i mocno go pocałowała.

- O rany - szepnął po chwili. - Czy niedługo będziemy mogli robić to trochę częściej?

- Żebyś wiedział. Ale tymczasem staraj się za bardzo nie narażać. Nie chcę cię stracić. Uważaj na siebie.

Steve uśmiechnął się.

- To cudowne, że tak się o mnie troszczysz. Prawie warto było nadstawiać karku.

Pocałowała go ponownie, tym razem łagodniej.

- Zadzwoń do ciebie.

Jechała szybko i wróciła do domu w niespełna godzinę.

Z rozczarowaniem stwierdziła, że na jej automatycznej sekretarce nie ma wiadomości od Lisy. Może spała albo oglądała telewizję i nie odbierała telefonów. Nie wpadaj w panikę, skup się, pomyślała. Wybiegła z powrotem z domu i pojechała do Lisy do Charles Village. Wcisnęła guzik domofonu na ulicy, ale nie było odpowiedzi. Gdzie ona się, do diabła, podziewała? Nie miała chłopca, który zaprosiłby ją na randkę w sobotnią noc. Żeby tylko nie wybrała się do swojej matki w Pittsburghu.

Lisa mieszkała w apartamencie 12B. Jeannie zadzwoniła pod 12A. Ponownie żadnej odpowiedzi. Może zepsuł się cały cholerny domofon. Sfrustrowana nacisnęła 12C.

- Co jest? - odezwał się niesympatyczny męski głos.

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale jestem przyjaciółką pańskiej sąsiadki, Lisy Hoxton, i muszę się pilnie z nią skontaktować. Nie wie pan może, gdzie poszła?

- Skąd się pani urwała? Z Hicksville na Środkowym Zachodzie? Nie wiem nawet, jak ona wygląda.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

- A ty skąd się urwałeś, zasrańcu, z Nowego Jorku? - powiedziała gniewnie do obojętnego głośnia.

Pędząc jak szalona, wróciła do domu i jeszcze raz nagrała się na automatyczną sekretarkę Lisy.

- Proszę, zadzwoń do mnie natychmiast, jak wrócisz, niezależnie, która będzie godzina. Czekam przy telefonie.

Teraz mogła tylko czekać. Bez Lisy nie była nawet w stanie wejść do Wariatkowa.

Wzięła prysznic i owinęła się różowym szlafrokiem. Czując, że ssie ją w żołądku, odgrzała sobie w mikrofalówce bułkę z cynamonem, ale po kilku kęsach zrobiło jej się niedobrze, w związku z czym wyrzuciła ją i napiła się kawy z mlekiem. Żałowała, że nie ma telewizora, żeby się czymś zająć.

Wyjęła fotografię Steve'a, którą dał jej Charles. Będzie musiała kupić do niej ramkę. Na razie przyczepiła ją magnesem do lodówki.

Zaczęła oglądać stare albumy. Uśmiechnęła się na widok ojca, który stał przy turkusowym thunderbirdzie w rozkloszowanych spodniach w prążki i brązowej marynarce z szerokimi klapami. Na kilku dalszych stronach była ona sama w tenisowej bieli, z trzymanymi triumfalnie srebrnymi pucharami. Jeszcze wcześniej była mama popychająca staroświecki wózek z Patty, a także Will Tempie w kowbojskim kapeluszu, wygłupiający się i próbujący ją rozśmieszyć.

Nagle zadzwonił telefon.

Upuściła album na podłogę i złapała słuchawkę.

- Lisa?

- Cześć, Jeannie, o co ten hałas?

Jeannie osunęła się na kanapę słaba ze szczęścia.

- Dzięki Bogu! Dzwoniłam do ciebie strasznie dawno, gdzieś się podziewała?

- Poszłam do kina z Billem i Catherine. Czy to zbrodnia?

- Przepraszam, nie mam prawa cię wypytywać...

- Nie ma sprawy. Jesteś moją przyjaciółką i możesz się na mnie wściekać. Któregoś dnia to sobie odbiję.

Jeannie roześmiała się.

- Dziękuję. Słuchaj, mam listę pięciu mężczyzn, którzy mogą być sobowótami Steve'a. - Specjalnie pomniejszyła ich liczbę: prawda była zbyt szokująca, żeby móc ją przyswoić za jednym zamachem. - Muszę ich dzisiaj zlokalizować. Pomożesz mi?

W słuchawce zapadła cisza.

- Jeannie, już i tak miałam poważne kłopoty, kiedy próbowałam dostać się do twojego gabinetu. Mogłam wylecieć z roboty razem z tym strażnikiem. Chciałabym ci pomóc, ale nie chcę stracić pracy.

Jeannie poczuła, jak ogarnia ją lęk. Nie możesz mnie teraz zawieść, nie teraz, kiedy jestem tak blisko.

- Proszę cię.

- Boję się.

Lęk ustąpił miejsca chłodnej determinacji. Do diabła, nie dam ci się tak łatwo wykręcić.

- Jest już prawie niedziela, Liso. - Nie chciała tego mówić, ale nie miała innego wyjścia. - Tydzień temu weszłam do płonącego budynku, żeby cię ratować.

- Wiem, wiem.

- Ja też się wtedy bałam.

Tym razem milczenie było jeszcze dłuższe.

- Masz rację - stwierdziła w końcu Lisa. - Dobrze, zrobię to.

Jeannie zdusiła okrzyk triumfu.

- Jak prędko tam będziesz?

- Za piętnaście minut.

- Spotkamy się przed budynkiem.

Jeannie odłożyła słuchawkę. Pobiegła do sypialni i rzuciła na podłogę szlafrok. Włożyła czarne dżinsy, turkusowy podkoszulek i czarną kurtkę Levi i zbiegła na dół.

Wyszła z domu o północy.

NIEDZIELA

Przyjechała na uniwersytet przed Lisa. Zaparkowała na parkingu dla gości, nie chcąc, żeby zauważono jej samochód przed Wariatkowem, po czym przeszła szybkim krokiem przez ciemny, opustoszały kampus. Czekaając przed budynkiem żałowała, że nie zatrzymała się po drodze, by kupić coś do jedzenia. Nic dziś nie jadła. Marzyła o cheesburgerze z frytkami, o pizzy peperoni, o cieście jabłkowym z lodami waniliowymi albo nawet o dużej sałatce cesarskiej z czosnkiem. W końcu pojawiła się Lisa w swojej białej zgrabnej hondzie.

Wysiadła z samochodu i wzięła Jeannie za rękę.

- Tak mi wstyd - powiedziała. - Nie musiałaś mi przypominać, że jestem twoją przyjaciółką.

- Rozumiem, dlaczego się boisz - odparła Jeannie.

- Przepraszam.

Jeannie przytuliła ją do siebie.

Weszły do środka i zapaliły światło w laboratorium. Jeannie nastawiła kawę, a Lisa włączyła komputer. Dziwnie się czuły tutaj w środku nocy. Aseptyczne białe ściany, jaskrawe światła i uśpione maszyny nasuwały Jeannie na myśl kostnicę.

Przypuszczała, że prędzej czy później odwiedzi je ochrona. Po jej niedawnym włamaniu mają na pewno na oku wydział psychologii i zauważą światła. Ale pracownicy naukowcy przesiadywali często nocami na wydziale i nie powinny mieć żadnych kłopotów pod warunkiem, że strażnik nie rozpozna Jeannie.

- Jeśli przyjdzie do nas ochroniarz, schowam się w tym składziku - powiedziała. - Na wypadek gdyby to był jeden z tych, którzy wiedzą, że nie powinnam tu przebywać.

- Mam nadzieję, że wcześniej go usłyszymy - stwierdziła nerwowo Lisa.

- Musimy się jakoś zabezpieczyć. - Jeannie chciała jak najszybciej zabrać się do dzieła, ale opanowała zniecierpliwienie. Rozejrzała się po laboratorium i jej wzrok padł na stojący na biurku Lisy szklany wazon z kwiatami. - Bardzo lubisz ten wazon? - zapytała.

Lisa wzruszyła ramionami.

- Kupiłam go w K-Mart. Mogę sobie sprawić drugi.

Jeannie wyrzuciła kwiaty i wylała wodę do zlewu, po czym wzięła z półki egzemplarz Wychowywanych oddzielnie identycznych bliźniaków Susan L. Farber i podeszła korytarzem do wahadłowych drzwi na klatkę schodową. Podciągnęła trochę oba skrzydła drzwi do środka, podparła je książką, a potem położyła między nimi na górze wazon. Nikt

nie mógł teraz wejść na korytarz, nie strącając wazonu na podłogę i nie rozbijając go na kawałki.

- Co mam powiedzieć, jeśli zapytają mnie, dlaczego to zrobiłam? - roztropnie zauważyła Lisa.

- Że nie chciałaś, by ktoś się do ciebie zakradł.

Lisa pokiwała usatysfakcjonowana głową.

- Bóg wie, że mam powód zachowywać się jak paranoiczka.

- Zabierajmy się do pracy - powiedziała Jeannie.

Wróciły do laboratorium, zostawiając otwarte drzwi, żeby usłyszeć brzęk tłuczonego szkła. Jeannie wsunęła swoją drogocenną dyskietkę do komputera Lisy i wydrukowała listę z Pentagonu. Znajdowały się tam nazwiska ośmiorga dzieci, których elektrokardiogramy były tak podobne, jakby pochodziły od jednej i tej samej osoby. Ośmioro dzieci, których serca były dokładnie tak samo. Berrington zdołał jakoś załatwić w wojskowych szpitalach, żeby poddano niemowlęta temu badaniu. Kopie wysłano niewątpliwie do kliniki Aventine i leżały tam aż do piątku, kiedy zostały pocięte. Berrington zapomniał jednak albo nigdy nie wiedział, że w wojskowym archiwum zachowały się oryginały.

- Zacznijmy od Henry'ego Kinga - zaproponowała. - Pełne nazwisko Henry Irwin King.

Lisa wyjęła dwa kompaktki z szuflady i wsunęła je do stojących na biurku dwu stacji CD-romów.

- Na tych dwu dyskach mamy wszystkie domowe telefony w Stanach Zjednoczonych - oznajmiła. - Mamy także program, który umożliwi ich jednoczesne przeszukiwanie. - Na monitorze pojawiły się ikony Windows. - Niestety ludzie nie zawsze umieszczają w książce telefonicznej swoje pełne nazwisko. Zobaczmy, ilu mamy H. Kingów w całych Stanach.

Napisała "H* King" i wcisnęła POLICZ. Po chwili w okienku POLICZ pojawiła się liczba 1129.

Jeannie ogarnęło zniechęcenie.

- Sprawdzenie takiej liczby zajmie nam całą noc!

- Poczekaj, może spróbujemy inaczej - powiedziała Lisa. Napisała "Henry I. King LUB Henry Irwin King" i wcisnęła ikonę APORTUJ, oznaczoną wizerunkiem psa. Po chwili na ekranie pojawiła się lista. - Mamy trzech Henrych Irwinów Kingów i siedemnastu Henrych I. Kingów. Jaki jest jego ostatni znany adres?

Jeannie zerknęła na swój wydruk.

- Fort Devens w Massachusetts.

- Mamy jednego Henry'ego Irwina Kinga w Amherst i czterech Henrych I. Kingów w Bostonie.

- Zadzwońmy do nich.

- Zdajesz sobie sprawę, że jest pierwsza w nocy?

- Nie mogę czekać do jutra.

- O tej porze ludzie nie zechcą z tobą rozmawiać.

- Na pewno zechcą - odparła Jeannie. Nadrabiała miną. Wiedziała, że może mieć kłopoty. Nie była po prostu w stanie czekać do rana. To zbyt ważne.

- Powiem, że jestem z policji i ścigam przestępcę.

- To jest niezgodne z prawem.

- Daj mi ten numer w Amherst.

Lisa podświetliła pozycję na liście i wcisnęła F2. Podłączony do komputera modem wybrał automatycznie numer. Jeannie podniosła słuchawkę.

- Słucham? - odezwał się po siedmiu sygnałach zaspany głos.

- Mówi detektyw Susan Farber z policji w Amherst - oświadczyła. Bala się, że usłyszy w odpowiedzi "Co to za kawały?", ale facet milczał. - Przepraszam, że dzwonię do pana w środku nocy - podjęła szybko - ale to pilna sprawa. Czy mówię z panem Henrym Irwinem Kingiem?

- Tak... co się stało?

Sądząc po głosie, jej rozmówca był w średnim wieku, ale Jeannie kontynuowała, żeby mieć absolutną pewność.

- Prowadzimy rutynową kontrolę.

To był błąd.

- Rutynową? - powtórzył poirytowany facet. - O tej porze?

- Prowadzimy śledztwo w ważnej sprawie i chcemy wyeliminować pana z kręgu podejrzanych - powiedziała, pospiesznie improwizując. - Czy może mi pan podać swoją datę i miejsce urodzenia?

- Urodziłem się w Greenfield, Massachusetts, czwartego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. W porządku?

- Nie ma pan przypadkiem syna o tym samym nazwisku?

- Nie, mam trzy córki. Mogę już wracać do łóżka?

- Nie będę pana dłużej niepokoić. Dziękuję za pomoc i życzę dobrej nocy. - Jeannie odłożyła słuchawkę i posłała triumfalne spojrzenie Lisie. - Widzisz? Rozmawiał ze mną. Niezbyt chętnie, ale rozmawiał.

Lisa roześmiała się.

- Potrafi pani oszukiwać jak mało kto, doktor Ferrami.

Jeannie uśmiechnęła się.

- Trzeba do tego tylko nieco tupetu. Sprawdźmy teraz Henrych I. Kingów. Ja zadzwonię do pierwszych dwóch, ty do pozostałych.

Tylko jedna z nich mogła posługiwać się podłączonym do komputera urządzeniem do automatycznego wybierania numeru. Jeannie znalazła kartkę papieru i długopis, nagryzmoła na niej dwa numery i wystukała pierwszy z nich. Telefon odebrał mężczyzna.

- Mówi detektyw Susan Farber z bostońskiej policji - zaczęła swoją gadkę.

- Co pani sobie, kurwa, wyobrażasz, dzwoniąc do mnie o tej porze?! - ryknął facet. -

Wie pani, kim jestem?

- Wydaje mi się, że nazywa się pan Henry King...

- A mnie się wydaje, że stracisz pracę, głupia cipo! - wrzasnął. - Susan... jak powiedziałaś?

- Chciałam tylko sprawdzić pańską datę urodzenia, panie King.

- Połącz mnie natychmiast ze swoim komendantem.

- Panie King...

- Rób, co mówię!

- Chrzań się, ty małpo - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Facet wyprowadził ją trochę z równowagi. - Mam nadzieję, że nie wszystkie rozmowy będą wyglądały w ten sposób. Lisa skończyła wcześniej.

- Mój był Jamajczykiem i udowodnił to swoim akcentem - oznajmiła. - Domyślam się, że twój był niesympatyczny.

- Bardzo.

- Możemy sobie darować i zacząć od samego rana.

Jeannie nie zamierzała dać się zniechęcić jednemu chamowi.

- Nie, do diabła - stwierdziła. - Potrafię znieść trochę wyzwisk.

- Jak sobie życzysz.

- Facet wydawał się raczej stary, więc możemy o nim zapomnieć. Sprawdźmy kolejnych dwóch.

Mobilizując siły, wybrała następny numer.

Jej trzeci Henry King nie poszedł jeszcze spać; w tle słyhać było dźwięki muzyki i głosy obecnych w pokoju innych osób.

- Tak, kto mówi? - zapytał.

Wydawał się całkiem młody i w Jeannie zbudziła się nadzieja. Udała znowu policjantkę, ale jej rozmówca był nieufny.

- Skąd mam wiedzieć, że rzeczywiście dzwoni pani z policji?

Miał głos podobny do Steve'a i Jeannie zabiło żywiej serce. To mógł być jeden z klonów. Lecz jak przewyciężyć jego nieufność?

- Może w takim razie zadzwoni pan do mnie na komendę? - zaryzykowała.

W słuchawce zapadła cisza.

- Nie, wierzę pani - odparł w końcu. Jeannie odetchnęła z ulgą. - Tak, jestem Henry King. Mówią na mnie Hank. Czego pani chce?

- Czy mogłabym zapytać najpierw o pańską datę i miejsce urodzenia?

- Urodziłem się w Fort Devens dokładnie dwadzieścia dwa lata temu. Dzisiaj są moje urodziny, to znaczy, dokładniej rzecz biorąc, były wczoraj, w sobotę.

To był on! Odnalazła pierwszego klona. Teraz musiała sprawdzić, czy przebywał w Baltimore w zeszłą niedzielę.

- Czy przekraczał pan ostatnio granicę stanu? - zapytała starając się, żeby nie poznał po jej głosie, jak bardzo jest podekscytowana.

- Niech pomyślę. W sierpniu byłem w Nowym Jorku.

Intuicja podpowiadała Jeannie, że facet mówi prawdę, ale pytała dalej.

- Co robił pan w zeszłą niedzielę?

- Pracowałem.

- Co konkretnie pan robił?

- Jestem studentem Massachusetts Institute of Technology, ale w niedzielę dorabiam jako barman w Blue Note Cafe w Cambridge.

Jeannie zanotowała nazwę baru.

- I tam właśnie był pan w zeszłą niedzielę?

- Zgadza się. Obsłużyłem co najmniej setkę gości.

- Dziękuję, panie King. - Jeśli to była prawda, Henry King nie zgwałcił Lisy. - Czy może pan mi dać numer tego baru, żebyśmy mogła sprawdzić pańskie alibi?

- Nie pamiętam ich numeru, ale jest w książce telefonicznej. O co mnie pani podejrzewała?

- O podpalenie.

- Cieszę się, że mam alibi.

Dziwnie było słyszeć głos Steve'a i wiedzieć zarazem, że rozmawia się z nieznajomym. Żałowała, że nie może zobaczyć Henry'ego Kinga i sprawdzić, czy jest do niego podobny.

- Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc - powiedziała, kończąc niechętnie rozmowę. Odłożyła słuchawkę i wypuściła z płuc powietrze, wyczerpana udawaniem. - Kurczę blade!

Lisa przysłuchiwała się końcówce rozmowy.

- Znalazłaś go?

- Tak. Urodził się w Fort Devens i ma dwadzieścia dwa lata. To nasz Henry King, jestem tego pewna.

- Dobra robota!

- Ale wygląda na to, że ma alibi. Twierdzi, że pracował w barze w Cambridge. - Spojrzała na kartkę. - Blue Note Cafe.

- Sprawdzimy to? - zapytała Lisa. Najwyraźniej obudził się w niej instynkt myśliwego.

Jeannie pokiwała głową.

- Jest późno, lecz bar powinien być chyba jeszcze otwarty, zwłaszcza w sobotnią noc. Możesz znaleźć numer na twoich CD-romach?

- Mamy tylko numery domowe. Telefony firm są na innym komplecie dysków.

Jeannie zadzwoniła do informacji, dostała numer i wystukała go. W barze odebrano telefon już po pierwszym dzwonku.

Tu detektyw Susan Farber z bostońskiej policji. Chciałabym mówić z kierownikiem.

- Jestem kierownikiem, o co chodzi? - Facet miał latynoski akcent i wydawał się zaniepokojony.

- Czy ma pan pracownika o nazwisku Henry King?

- Zgadza się. Co znowu nabroił?

Wyglądało na to, że Henry King miał już kłopoty z policją.

- Może nic takiego. Kiedy pan go ostatnio widział?

- Dzisiaj, to znaczy w sobotę. Pracował na dziennej zmianie.

- A przedtem?

- Chwileczkę, niech pomyślę. W zeszłą niedzielę. Pracował od czwartej do północy.

- Czy może pan potwierdzić to przed sądem, gdyby okazało się to konieczne?

- Jasne, dlaczego nie? Cokolwiek się stało, Hank nie zrobił tego.

- Dziękuję za informację.

- Nie ma sprawy. Zawsze do usług.

Kierownika najwyraźniej ucieszyło, że to wszystko, czego od niego chciała. Gdybym była prawdziwą policjantką, tłumaczyła sobie, domyśliłabym się, że ma nieczyste sumienie.

- Potwierdził jego alibi - powiedziała.

- Nie upadaj na duchu - pocieszyła ją Lisa. - Spisałyśmy się na medal, tak szybko go eliminując... zwłaszcza że to takie pospolite nazwisko. Spróbujmy teraz z Perem Ericsonem. Nie powinno ich być tak wielu.

Według informacji z Pentagonu Per Ericson urodził się w Fort Rucker, ale po dwudziestu dwóch latach w Alabamie nie było ani jednego Pera Ericsona.

Lisa napisała "P* Ericson" na wypadek, gdyby nazwisko pisało się przez dwa "s", potem spróbowała "P* Ericson", żeby uwzględnić pisownię "Ericson" i "Ericson", ale komputer niczego nie znalazł.

- Sprawdź Filadelfię - zaproponowała Jeannie. - Tam mnie zaatakował.

W Filadelfii było trzech Ericsonów. Pierwszy miał na imię Peder, drugi odezwał się drżącym starym głosem z automatycznej sekretarki, trzeci okazał się kobietą, Petrą. Jeannie i Lisa zaczęły sprawdzać wszystkich trzydziestu trzech P. Ericsonów, mieszkających w Stanach Zjednoczonych.

Drugi P. Ericson Lisy okazał się złośliwym chamem i odkładając słuchawkę była blada jak ściana, ale po filiżance kawy zabrała się z powrotem do roboty.

Każdy telefon był małym dramatem. Jeannie musiała zebrać całą odwagę, żeby udawać policjantkę. Za każdym razem bała się, że usłyszy w słuchawce głos człowieka, który powiedział: "Teraz mnie pobranzłuj, bo inaczej zrobię z ciebie mokrą plamę". Potem czekała ją męka podszywania się pod policjantkę i przewycięzania nieufności i chamstwa ludzi, którzy odebrali telefon. I większość rozmów kończyła się rozczarowaniem.

- Strasznie panią przepraszam - usłyszała nagle głos Lisy, kiedy kończyła swoją szóstą bezproduktywną rozmowę. - Nasze informacje muszą być nieaktualne. Proszę wybaczyć, że panią niepokoiłam, pani Ericson. - Lisa odłożyła słuchawkę zupełnie zdruzgotana. - To był on - stwierdziła. - Ale zginął w zimie tego roku. Rozmawiałam z jego matką. Wybuchnęła płaczem, kiedy o niego pytałam.

Ciekawe, kim był, pomyślała Jeannie. Psychopatą jak Dennis, czy normalnym człowiekiem jak Steve?

- Jak zginął? - zapytała.

- Był chyba narciarzem i złamał sobie kark, próbując jakiegoś niebezpiecznego zjazdu.

Zawadiaka nie znający lęku.

- To na pewno nasz człowiek.

Jeannie nie przyszło dotychczas do głowy, że któryś z ośmiu klonów może już nie żyć. Teraz zdała sobie sprawę, że mogło być ich więcej niż ośmiu. Nawet obecnie, kiedy dość dobrze opanowano technikę zabiegu, niektóre embriony po prostu się "nie przyjmowały". Nie można było także wykluczyć, że kilka matek poroniło. Genetico mogło eksperymentować na piętnastu, dwudziestu albo nawet większej liczbie kobiet.

- Ciężko jest rozmawiać z tymi ludźmi - stwierdziła Lisa.

- Chcesz, żebyśmy zrobiły przerwę?

- Nie. - Lisa potrząsnęła głową. - Dobrze nam idzie. Wyeliminowałyśmy dwóch z pięciu, a nie ma jeszcze trzeciej. Kto następny?

- George Dassault.

Jeannie zaczęła wierzyć, że uda im się znaleźć gwałciiciela, przy następnym nazwisku nie miały jednak tyle szczęścia. W całych Stanach było tylko siedmiu George'ów Dassaultów, lecz trzech nie odbierało telefonu. Żaden nie miał nic wspólnego z Baltimore ani Filadelfią - jeden mieszkał w Buffalo, jeden w Sacramento, jeden w Houston - to jeszcze jednak o niczym nie świadczyło. Nie było innego wyjścia: musiały sprawdzać następnych. Lisa wydrukowała numery telefonów, żeby wrócić do nich później.

Pojawił się kolejny problem, z którego nie zdawały sobie wcześniej sprawy.

- Nie ma chyba gwarancji, że facet, którego szukamy, jest na CD-romie - stwierdziła Jeannie.

To prawda. Może nie mieć telefonu. Albo mieć zastrzeżony numer.

- Zamiast imienia mógł podać przydomek. Spike Dassault albo Flip Jones.

Lisa zachichotała.

- Mógł zostać raperem i zmienić nazwisko na Icey Creamo Creamy.

- Lub zapaśnikiem i nazywa się Iron Billy.

- Może pisać powieści z Dzikiego Zachodu pod nazwiskiem Buck Remington.

- Albo pornografię jako Heidi Whiplash.

- Dick Swiftly.

- Henrietta Pussy.

Ich żarty przerwał nagle brzęk tłuczonego szkła. Jeannie zeskoczyła ze stołka i pobiegnęła do składzika. Zamknęła za sobą drzwi i nasłuchiwała, stojąc w ciemności.

- Kto tam? - zapytała nerwowo Lisa.

- Ochrona - usłyszała głos mężczyzny. - To pani postawiła ten wazon?

- Tak.

- Mogę zapytać dlaczego?
- Żeby nikt nie mógł się do mnie zakraść. Denerwuję się, pracując tutaj w nocy.
- Ja nie będę tego sprzątał. To nie należy do moich obowiązków.
- Dobrze, niech pan to zostawi.
- Jest pani tu sama?
- Tak.
- Trochę się rozejrzę.
- Proszę bardzo.

Jeannie złapała oburącz klamkę. Jeśli będzie próbował ją przekreślić, nie pozwoli mu na to. Usłyszała, jak ochroniarz chodzi po laboratorium.

- Swoją drogą, co pani tutaj robi? - zapytał. Jego głos zabrzmiał bardzo blisko.

- Chętnie bym z panem porozmawiała, ale jestem naprawdę zajęta - odparła Lisa. Stała gdzieś dalej.

Gdyby nie była zajęta, ciółku, nie siedziałyby tutaj w środku nocy, więc może się od niej odwalisz?

- W porządku, nie ma sprawy. - Strażnik stał tuż przy drzwiach do składzika. - Co tam jest?

Jeannie zacisnęła mocniej palce na klamce i szarpnęła ją w górę, gotowa stawić opór.

- Trzymamy tam radioaktywne chromosomy wirusowe - oświadczyła Lisa. - Ale chyba nic panu nie grozi, może pan tam wejść, jeśli jest otwarte.

Jeannie zdusiła w gardle histeryczny śmiech. Nie było czegoś takiego jak radioaktywne chromosomy wirusowe.

- Chyba sobie daruję - stwierdził strażnik. Jeannie miała zamiar puścić klamkę, kiedy poczuła nagły nacisk. Pociągnęła ją z całej siły w górę. - Zresztą i tak jest zamknięte - usłyszała.

Przez chwilę nic się nie działo. Kiedy ochroniarz odezwał się ponownie, jego głos dochodził z daleka i Jeannie odetchnęła z ulgą.

- Jeśli poczuje się pani samotna, proszę wpaść do nas. Zrobię pani filiżankę kawy.

- Dziękuję - odpowiedziała Lisa.

Jeannie nie ruszała się z miejsca, czekając na odwołanie alarmu. Po kilku minutach Lisa otworzyła drzwi.

- Wyszedł z budynku - oznajmiła.

Usiadły z powrotem przy telefonach.

Murray Claud był kolejnym facetem z rzadkim nazwiskiem i szybko go wytropiły. Udało się to Jeannie. Murray Claud senior poinformował ją z goryczą i oburzeniem, że jego syn został aresztowany przed trzema laty w Atenach, po bójce na noże w tawernie i wyjdzie na wolność najwcześniej w styczniu.

- Ten chłopak miał przed sobą wielką przyszłość - stwierdził. - Mógł zostać astronautą. Laureatem Nagrody Nobla. Gwiazdorem filmowym. Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Miał łeb na karku, wdzięk i prezencję. I wszystko zmarnował. Wszystko zmarnował.

Rozumiała ojcowski ból. Jej rozmówca czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Korciło ją, żeby powiedzieć mu prawdę, ale nie była do tego przygotowana, a poza tym nie miała czasu. Obiecała sobie, że któregoś dnia zadzwoni do niego ponownie i wszystko wytłumaczy.

Harveya Jonesa zostawiły na koniec, bo wiedziały, że będzie go najtrudniej znaleźć.

Ku zdumieniu Jeannie okazało się, że w Ameryce jest prawie milion Jonesów, a H. należy do najczęstszych inicjałów towarzyszących temu nazwisku. Ich Jones na drugie imię miał John. Urodził się w Walter Reed Hospital w Waszyngtonie, w związku z czym obdzwoniły na początek wszystkich Harveyow Jonesów, H. J. Jonesów i H. Jonesów z waszyngtońskiej książki telefonicznej. Nie znalazły nikogo, kto urodziłby się przed dwudziestu dwu laty w Walter Reed Hospital; co gorsza, zgromadziły długą listę ludzi, którzy nie odebrali telefonu.

Jeannie po raz kolejny zaczęła wątpić, czy im się uda. Mieli trzech nie sprawdzonych George'ów Dassaultów, a teraz dwudziestu kilku H. Jonesów. Jej podejście było teoretycznie słuszne, nie mogła jednak sprawdzić kogoś, kto nie odbierał telefonu. Kleiły jej się oczy i odczuwała dokuczliwe napięcie od nadmiaru kawy i braku snu.

O czwartej zaczęły wydzwaniać do Jonesów w Filadelfii.

O wpół do piątej Jeannie znalazła go.

Myślała, że to będzie kolejny znak zapytania. Telefon zadzwonił cztery razy, a potem rozległ się charakterystyczny dźwięk włączającej się automatycznej sekretarki. Nagrany na taśmie głos był dziwnie znajomy. "Tu mieszkanie Harveya Jonesa" odezwał się i Jeannie zjeżyły się włosy na karku. Miała wrażenie, że słyszy Steve'a: ta sama barwa głosu, ta sama intonacja, ten sarny akcent. "Nie mogę teraz podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu długiego sygnału".

Odłożyła słuchawkę i sprawdziła adres. Mieszkanie mieściło się przy Spruce Street w miasteczku uniwersyteckim, niedaleko kliniki Aventine. Zorientowała się, że drżą jej ręce. Tak bardzo chciała złapać go za gardło.

- Znalazłam go - powiedziała.

- O mój Boże.

- Poznałam jego głos na automatycznej sekretarce. Mieszka w Filadelfii, niedaleko miejsca, gdzie zostałam zaatakowana.

- Daj mi posłuchać. - Lisa wystukała numer. Kiedy słuchała nagranej wiadomości, jej różowe policzki nagle pobrały. - To on - stwierdziła, odkładając słuchawkę. - Pamiętam jego głos. "Zdejmij te urocze majteczki", powiedział. O Boże.

Jeannie podniosła słuchawkę i zadzwoniła na policję.

Berrington Jones nie spał przez całą sobotnią noc.

Aż do północy czekał na parkingu przy Pentagonie, nie spuszczać z oka czarnego lincolna pułkownika Logana. Potem zatelefonował do Prousta i dowiedział się, że pułkownik został aresztowany, lecz Steve uciekł, najprawdopodobniej autobusem lub metrem, ponieważ nie odjechał samochodem ojca.

- Co robili w Pentagonie? - zapytał Jima.

- Byli w centrum informatycznym. Staramy się właśnie odkryć, czego dokładnie szukali. Postaraj się zlokalizować chłopaka albo tę Ferrami.

Berrington nie protestował już, że zaprzęga się go do policyjnej roboty. Sytuacja była tragiczna. Nie martwił się o swoją reputację; zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uda mu się ich powstrzymać, może o niej zapomnieć.

Kiedy zajechał z powrotem pod dom Logana, samochodu Jeannie nie było na podjeździe. Czekał tam mniej więcej godzinę, ale nikt się nie pojawił. Doszedł do wniosku, że pojechała do domu i wrócił do Baltimore. Przejechał całą jej ulicę, lecz tam także nie było jej mercedesa.

Robiło się jasno, kiedy zaparkował przed swoim domem w Roland Park. Zaraz po wejściu zadzwonił do Jima, nikt jednak nie odpowiadał ani w jego biurze, ani w domu. Położył się w ubraniu do łóżka i zamknął oczy. Chociaż był wykończony, nie zdołał zasnąć.

O siódmej wstał i próbował znowu dodzwonić się do Jima, ale znowu nie mógł go nigdzie zastać. Wziął prysznic, ogolił się i włożył czarne spodnie i koszulkę polo, a potem wycisnął sobie dużą szklankę soku pomarańczowego. Pijąc w kuchni, zerknął na pierwszą stronę niedzielного wydania "Sun". Tytuły nic mu nie mówiły; równie dobrze mogły być napisane po fińsku.

Proust zadzwonił o ósmej.

Spędził pół nocy w Pentagonie ze znajomym generałem, przesłuchując personel centrum informatycznego pod pretekstem, że naruszone zostały przepisy bezpieczeństwa. Generał, kumpel Jima z czasów, gdy pracował w CIA, wiedział tylko, że Logan miał zamiar ujawnić tajną operację z lat siedemdziesiątych, a Jim chciał temu zapobiec.

Pułkownik Logan, który przebywał w areszcie, powtarzał tylko, że chce się widzieć ze swoim adwokatem. Wyniki przeszukania zachowały się jednak w pamięci komputera i Jim zdołał ustalić, co odkryli.

- Kazalesz chyba zrobić elektrokardiogramy wszystkim niemowlętom - powiedział.

Berringtonowi wyleciało to z głowy, ale teraz sobie przypomniał.

- Tak, kazałem.

- Logan odnalazł je.

- Wszystkie?

- Tak. Osiem.

Była to najgorsza możliwa wiadomość. Elektrokardiogramy klonów, tak jak elektrokardiogramy jednojajowych bliźniąt, były do siebie tak podobne, jakby zrobiono je tej samej osobie w odstępie paru dni. Loganowie i Jeannie musieli teraz wiedzieć, że Steve jest jednym z ośmiu klonów.

- Niech to szlag! - zaklął Berrington. - Trzymaliśmy to w tajemnicy przez dwadzieścia dwa lata, a teraz ta cholerna dziwka wszystko odkryła.

- A nie mówiłem, że powinniśmy ją sprzątnąć?

W kryzysowych sytuacjach Jim zawsze wpadał w bojowy nastrój. Po nie przespanej nocy Berrington nie miał cierpliwości go słuchać.

- Jeśli jeszcze raz powtórzysz "A nie mówiłem", rozwalę ci ten cholerny łeb, jak Boga kocham.

- Dobrze, już dobrze.

- Czy Preston wie?

- Tak. Mówi, że już po nas, ale on zawsze to powtarza.

- Tym razem może mieć rację.

Głos Jima przybrał ton defiladowy.

- Ty może już daleś za wygraną, lecz ja nie - zagrzmiał. - Nie możemy dopuścić do ujawnienia sprawy przed jutrzejszą konferencją prasową. Jeśli nam się to uda, transakcja dojdzie do skutku.

- A co się stanie potem?

- Potem będziemy mieli sto osiemdziesiąt milionów dolarów, a za takie pieniądze można kupić milczenie.

Berrington chciał mu wierzyć.

- Skoro jesteś taki mądry, co twoim zdaniem mamy teraz robić?

- Musimy odkryć, co dokładnie wiedzą. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy Steven miał w kieszeni listę nazwisk i adresów, kiedy dał nogę z Pentagonu. Facetka z centrum informatycznego przysięga, że nie, ale ja jej nie wierzę. Adresy na liście są sprzed dwudziestu dwu lat. Zastanawiam się, czy Jeannie Ferrami potrafi ich wytropić, mając tylko nazwiska.

- Odpowiedź brzmi tak - odparł Berrington. - Na wydziale psychologii jesteśmy w tej dziedzinie ekspertami. Robimy to przez cały czas, tropiąc jednojajowe bliźnięta. Jeśli dostała tę listę wczoraj wieczorem, mogła już kilku odnaleźć.

- Tego się właśnie obawiam. Czy możemy się jakoś o tym przekonać?

- Mogę do nich zadzwonić i zapytać, czy się z nimi kontaktowała.

- Musisz być dyskretny.

- Nie doceniasz mnie, Jim. Czasami zachowujesz się, jakbyś był jedynym facetem w Ameryce, który ma trochę oleju w głowie. Oczywiście, że będę dyskretny. Dam ci znać.

Berrington odłożył z trzaskiem słuchawkę. Nazwiska klonów i ich zapisane prostym szyfrem numery telefonów miał w elektronicznym notesie. Wyjął go z szuflady i włączył.

Przez wszystkie te lata interesował się ich losami. Żył w obcowaniu z nimi bardziej ojcowskie uczucia niż Preston i Jim. Z początku pisał co jakiś czas do ich rodziców z kliniki Aventine, prosząc o informacje pod pretekstem kompletowania danych na temat kuracji hormonalnej. Później, gdy stało się to mało prawdopodobne, używał innych wybiegów, udając na przykład agenta nieruchomości. Telefonował, żeby zapytać, czy nie mają zamiaru sprzedać domu albo czy nie są zainteresowani kupnem informatora zawierającego listę stypendiów dostępnych dla dzieci byłych wojskowych. Ze wzrastającym rozczarowaniem obserwował, jak z bystrych, lecz krnąbrnych dzieci wyrosli na nieulekłych, mających kłopoty z prawem nastolatków, a potem na genialnych, niestabilnych psychicznie dorosłych. Byli nieudanymi produktami ubocznymi historycznego eksperymentu. Nigdy nie żałował, że zdecydował się na coś takiego, ale czuł się winien wobec chłopców. Płakał, kiedy Per Ericson zabił się, wykonując salto na stoku zjazdowym w Vail.

Wodząc oczyma po liście zastanawiał się, jaki zastosować tym razem wybieg. W końcu podniósł słuchawkę i wystukał numer ojca Murraya Clauda. Telefon dzwonił przez dłuższą chwilę, ale nikt go nie odbierał. Berrington domyślił się, że ojciec pojechał odwiedzić syna w więzieniu.

Następnie przedzwonił do George'a Dassaulta. Tym razem miał więcej szczęścia. W słuchawce zabrzmiał znajomy młody głos.

- Tak, kto mówi?

Reprezentuję firmę Bell Telephone, proszę pana - powiedział Berrington. - Sprawdzamy, czy linii telefonicznych nie używa się w nieuczciwych zamiarach. Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin otrzymał pan jakiś dziwny albo niezwykły telefon?

- Nie, nie przypominam sobie. Ale od piątku nie było mnie w mieście, więc i tak nie mógłbym go odebrać.

- Dziękuję panu bardzo. Do widzenia.

Jeannie mogła mieć nazwisko George'a, ale nie udało jej się z nim skontaktować. Sprawa była nie rozstrzygnięta.

Berrington zadzwonił do Hanka Kinga w Bostonie.

- Tak, kto mówi?

Wprost zdumiewało to, że wszyscy odpowiadali na telefon w ten sam opryskliwy sposób. Nie istniał przecież gen odpowiedzialny za telefoniczny savoir-vivre. Ale w studiach nad bliźniakami dużo było takich fenomenów.

- Dzwonię w imieniu A.T. & T. - oświadczył Berrington. - Sprawdzamy, czy linii telefonicznych nie używa się w niewłaściwych celach. Chcielibyśmy wiedzieć, czy nie otrzymał pan jakichś dziwnych albo podejrzanych telefonów w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Jezu, balowałem wczoraj tak ostro, że nic nie pamiętam - odparł bełkotliwym głosem Hank. Berrington pokiwał głową. W sobotę były jego urodziny. Musiał być pijany lub naćpany, albo jedno i drugie. - Chociaż nie, niech pan poczeka. Był jakiś telefon. Pamiętam. W środku pierdolonej nocy. Facetka powiedziała, że jest z bostońskiej policji.

- Facetka?

To mogła być Jeannie, pomyślał Berrington. Ogarnęły go złe przecucia.

- Tak, to była kobieta.

- Czy się przedstawiła? To pomogłoby nam ustalić, czy działała w dobrej wierze.

- Jasne, że się przedstawiła, ale zapomniałem jej nazwiska. Sarah, Carol, Margaret... Susan... tak, Susan, detektyw Susan Farber.

To rozstrzygało sprawę. Susan Farber była autorką Wychowywanych oddzielnie identycznych bliźniaków, jedynej pozycji poświęconej temu tematowi. Jeannie przedstawiła się pierwszym nazwiskiem, jakie przyszło jej do głowy. To oznaczało, że ma listę. Berrington zbladł z przerażenia.

- Dlaczego do pana telefonowała? - pytał ponuro dalej.

- Chciała wiedzieć, gdzie i kiedy się urodziłem.

Dzięki temu mogła ustalić, że rozmawia z prawdziwym Henrym Kingiem.

- Trochę mnie to zdziwiło - przyznał Hank. - Czy był w tym jakiś szwindel?

Berrington wymyślił coś na poczekaniu.

- Pani Farber zbierała dane dla towarzystwa ubezpieczeniowego. To niedozwolone, ale często mamy z tym do czynienia. Przepraszamy, że pana niepokojono, panie King, i w imieniu A.T. & T. dziękujemy za pomoc.

- Nie ma za co.

Berrington odłożył słuchawkę kompletnie zdruzgotany. Jeannie miała nazwiska. To tylko kwestia czasu, kiedy wytropi ich wszystkich.

Jeszcze nigdy w życiu nie znajdował się w takich tarapatach.

Mish Delaware stanowczo nie chciała jechać do Filadelfii i przesłuchiwać Harveya Jonesa.

- Zrobiliśmy to wczoraj, złotko - oznajmiła, kiedy Jeannie udało się z nią w końcu skontaktować o wpół do ósmej rano. - Dzisiaj są pierwsze urodziny mojej wnuczki. Mam prawo do życia prywatnego.

- Wiesz przecież, że się nie mylę! - protestowała Jeannie. - Nie myliłam się co do Wayne'a Stattnera: był sobowtórem Steve'a.

- Ale miał czarne włosy. I alibi.

- Co zamierzasz w takim razie zrobić?

- Zamierzam zadzwonić do Filadelfii, porozmawiać z kimś z Wydziału Przepływów Seksualnych i poprosić go, żeby się tam przejechał. Prześlę im faksem portret pamięciowy. Sprawdzą, czy Harvey Jones jest do niego podobny, i zapytają, czy ma alibi na niedzielny wieczór. Jeśli odpowiedzi będą brzmiały odpowiednio "tak" i "nie", mamy podejrzanego.

Jeannie rzuciła ze złością słuchawkę. Po tym wszystkim, przez co przeszła, po spędzeniu całej nocy w laboratorium, takiej doczekała się odpowiedzi!

Nie zamierzała siedzieć i czekać, aż policja zdecyduje się łaskawie coś zrobić. Postanowiła, że pojedzie sama do Filadelfii. Nie będzie mówić z Harveym, nawet się do niego nie zbliży. Zaparkuje po prostu przed jego domem i poczeka, aż facet wyjdzie na ulicę. A jeśli go nie będzie, porozmawia z sąsiadami i pokaże im zdjęcie Steve'a, które dostała od Charlesa. W ten czy inny sposób ustali, czy Wayne jest jego sobowtórem.

O wpół do jedenastej była w Filadelfii. W miasteczku uniwersyteckim wystrojone czarne rodziny gromadziły się przed kaplicami, a znudzone nastolatki paliły skręty na stopniach starych domów, ale studenci wciąż wylegiwali się w łóżkach; świadczyły o tym stojące na ulicy przerdzewiałe toyoty i wysłużone chevrolety z nalepkami uniwersyteckich drużyn sportowych i lokalnych stacji radiowych.

Harvey Jones mieszkał w wielkim zniszczonym wiktoriańskim domu podzielonym na mieszkania. Jeannie znalazła wolne miejsce po drugiej stronie ulicy i przez jakiś czas obserwowała frontowe drzwi.

O jedenastej weszła do środka.

Dom trzymał się kurczowo resztek dawnej świetności. Schody wyłożone były wytartym chodnikiem, na parapetach stały tanie doniczki z zakurzonymi sztucznymi kwiatami. Wykaligrafowane starannym pochyłym pismem starszej pani komunikaty

przypominały lokatorom, żeby zamykali cicho drzwi, umieszczali śmieci w szczelnie zapakowanych plastikowych workach i nie pozwalali dzieciom bawić się na korytarzu.

On tutaj mieszka, pomyślała Jeannie i ciarki przeszły jej po grzbiecie. Ciekawe, czy jest teraz w domu.

Mieszkanie Harveya miało numer 5B i mieściło się na najwyższym piętrze. Jeannie zapukała do pierwszych drzwi na parterze. Otworzył jej bosy mężczyzna z długimi włosami, splątaną brodą i zaropiałymi oczyma. Pokazała mu fotografię. Facet potrząsnął głową i zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Przypomniała sobie lokatora mieszkającego obok Lisy. Skąd się pani urwała? Z Hicksville, na Środkowym Zachodzie?

Zacisnęła zęby i wdrapała się na samą górę. Na drzwiach mieszkania 5B tkwiła w małej metalowej ramce karta z prostym napisem Jones.

Jeannie stała przez chwilę, natężając słuch, ale słyszała tylko bicie własnego serca. Z wewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Chyba go tam nie było.

Zapukała do mieszkania 5A. Po chwili drzwi otworzyły się i na korytarz wyszedł starszy biały mężczyzna. Ubrany był w biały garnitur w prążki, niegdyś szalenie modny, i miał włosy tak intensywnie rude, że musiał je chyba farbować. Wydawał się przyjaźnie nastawiony.

- Cześć - powiedział.

- Cześć. Czy pański sąsiad jest w domu?

- Nie.

Jeannie doznała jednocześnie ulgi i rozczarowania. Wyjęła fotografię Steve'a, którą dał jej Charles.

- Czy to on?

Sąsiad wziął od niej zdjęcie i przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

- Zgadza się.

Miałam rację! Oto kolejny dowód! Mój program komputerowy jest niezawodny.

- Prawdziwy przystojniak, nie?

Jeannie domyśliła się, że sąsiad jest gejem. Eleganckim starszym gejem. Uśmiechnęła się.

- Ja też tak uważam. Wie pan, gdzie może teraz być?

- Niedziele spędza na ogół poza domem. Wychodzi koło dziesiątej, wraca po kolacji.

- Czy wychodził gdzieś w zeszłą niedzielę?

- Wychodził.

To on, to musi być on.

- Wie pan może, dokąd jeździ?

- Nie.

Ja wiem. Jeździ do Baltimore.

- Nie jest zbyt rozmowny - kontynuował mężczyzna. - W gruncie rzeczy prawie wcale się nie odzywa. Jest pani policjantką?

- Nie, ale czuję się, jakbym była.

- Co takiego zrobił?

Jeannie zawahała się. Dlaczego nie powiedzieć mu prawdy?

- Zgwałcił dziewczynę - rzuciła.

Mężczyzna nie wydawał się specjalnie zdziwiony.

- Nietrudno w to uwierzyć. To dziwny facet. Widziałem dziewczyny, które wychodziły stąd z płaczem. Zdarzyło się to dwa razy.

- Żałuję, że nie mogę zajrzeć do środka - mruknęła. Może udałoby jej się odkryć jakiś dowód wiążący go z gwałtem.

Facet rzucił jej chytre spojrzenie.

- Mam klucz - oznajmił.

- Naprawdę?

- Dał mi go poprzedni lokator. Przyjaźniliśmy się. Jakoś go nie oddałem, kiedy się stąd wyniósł. A ten facet nie zmienił zamków. Myśli pewnie, że jest taki duży i silny, że nikt go nie obrabuje.

- Wpuści mnie pan do środka?

Mężczyzna zawahał się.

- Mnie też ciekawi, co tam jest. Ale co będzie, jeśli facet wróci i zastanie nas w swoim mieszkaniu? To wielki chłop... nie chciałbym, żeby się na mnie wściekł.

Jeannie także miała pewne obawy, lecz ciekawość była silniejsza.

- Jeśli pan chce, wezmę winę na siebie - powiedziała.

- Niech pani zaczeka. Zaraz wracam.

Ciekawe, co znajdzie w środku? Świątynię sadyzmu, jak w mieszkaniu Wayne'a Stattnera? Niechlujną norę pełną nie dojezonych szybkich dań i brudnych ciuchów? Schludne aż do bólu wnętrze świadczące o obsesyjnej osobowości?

Sąsiad pojawił się z powrotem.

- A propos, jestem Maldwyn.

- Jeannie.

- Naprawdę nazywam się Bert, ale to takie banalne imię, prawda? Zawsze wolałem, żeby mówiono mi Maldwyn.

Sąsiad obrócił klucz w zamku i wślizgnął się do środka.

Weszła w ślad za nim.

Apartament Harveya był typową studencką kawalerką z aneksem kuchennym i małą łazienką. Umeblowanie składało się z nie pasujących do siebie starych gratów: sosnowej półki, pomalowanego na biało stołu, zapadającej się sofy i wielkiego starego telewizora. Pokój był od dawna nie sprzątny, łóżko nie posłane. Nie rzucało się tu w oczy nic niezwykłego.

Jeannie zamknęła za sobą drzwi.

- Niech pani niczego nie dotyka - powiedział Maldwyn. - Nie chcę, żeby domyślił się, że tu wchodziłem.

Zastanawiała się, czego właściwie szuka. Planu budynku z zaznaczoną kotłownią i napisem: "Zgwałć ją tutaj"? Nie zabrał Lisie bielizny, żeby mieć po niej groteskową pamiątkę. Być może przez kilka tygodni przed napaścią śledził ją i robił zdjęcia. Może miał małą kolekcję należących do niej przedmiotów: szminkę, rachunek z restauracji, opakowanie po batonie, reklamowe przesyłki z jej nazwiskiem.

Rozglądając się po pokoju, mogła poznać trochę dokładniej osobowość gospodarza. Na jednej ze ścian wisiała wydarta z erotycznego czasopisma rozkładówka przedstawiająca nagą kobietę z wygolonymi włosami łonowymi i kolczykiem w wargach sromowych. Patrząc na nią, poczuła, jak przechodzi ją dreszcz.

Przejrzała zawartość półki. Było tam tanie wydanie Stu dwudziestu dni Sodomy markiza de Sade, cała seria pornograficznych kaset wideo z tytułami w rodzaju Ból i Extreme, a także kilka podręczników ekonomii i biznesu. Harvey studiował najwyraźniej zarządzanie.

- Czy mogę obejrzeć jego ubrania? - zapytała Maldwyna. Nie chciała, żeby się obraził.

- Jasne, dlaczego nie?

Otworzyła szafę. Ubrania Harveya, podobnie jak Steve'a, utrzymane były w nieco konserwatywnym jak na jego wiek stylu: nosił sztruksowe spodnie i koszulki polo, tweedowe marynarki, koszule z przypinanym kołnierzykiem, skórzane półbuty i mokasyny. W lodówce znalazła dwa kartony piwa po sześć butelek każdy i butelkę mleka: Harvey jadał poza domem. Pod łóżkiem leżała sportowa torba z rakieta do squasha i brudnym ręcznikiem.

Była rozczarowana. W tym pokoju mieszkał potwór, lecz zamiast pałacu perwersji odkryła niechlujną garsonierę ozdobioną wulgarną pornografią.

- Skończyłam - powiedziała do Maldwyna. - Sama nie wiem, czego szukałam, ale nie udało mi się tego znaleźć.

W tej samej chwili jej wzrok padł na wiszącą na haku za drzwiami czerwoną baseballową czapkę.

Zabiło jej szybciej serce. Nie myliłam się, odnalazłam drania, to niezbity dowód! Podeszła bliżej. Z przodu czapka miała wypisany białymi literami napis SECURITY. Jeannie odtańczyła triumfalny taniec dookoła pokoju Harveya Jonesa.

- Znalazła pani?

- Łajdak miał tę czapkę, kiedy zgwałcił moją przyjaciółkę. Wyośmy się stąd.

Wyszli z mieszkania i zamknęli drzwi. Jeannie uścisnęła rękę Maldwynowi.

- Nie wiem, jak panu dziękować. To było dla mnie bardzo ważne.

- Co pani teraz zrobi? - zapytał.

- Wrócę do Baltimore i zawiadomię policję.

Jadąc do domu drogą numer 95, rozmyślała o Harveyu Jonesie. Po co jeździł w niedzielę do Baltimore? Zobaczyć się z dziewczyną? Odwiedzić rodziców? To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne. Wielu studentów zawoziło w weekend do domu pranie. Zajadał teraz pewnie pieczeń, którą zrobiła matka, albo oglądał w telewizji mecz ze swoim ojcem. Czy przed powrotem do Filadelfii napadnie znowu jakąś dziewczynę?

Ilu Jonesów mogło mieszkać w Baltimore: tysiąc? Znała oczywiście jednego z nich: swojego byłego szefa, profesora Berringtona Jonesa...

O mój Boże... Jones.

Była tak zszokowana, że musiała zjechać na pobocze.

Harvey Jones mógł być synem Berringtona.

Przypomniała sobie nagle drobny gest, który podpatrzyła w kawiarni w Filadelfii, kiedy wzięła go za Steve'a. Harvey pogładził się po brwiach czubkiem wskazującego palca. Zwróciło to jej uwagę, bo uświadomiła sobie, że gdzieś to już wcześniej widziała. Nie mogła sobie przypomnieć u kogo, i doszła wtedy do wniosku, że to musiał być Steve albo Dennis, ponieważ klony zachowują się w podobny sposób. Ale teraz przypomniała sobie. To Berrington. Berrington gładził się po brwiach czubkiem wskazującego palca. Było w tym coś, co irytowało Jeannie, jakiś przejaw kołtuństwa, a może próżności. W przeciwieństwie do zamykania drzwi piętą, nie zauważyła tego gestu u żadnego z innych klonów. Harvey przejął go od ojca i wyrażał w ten sposób zadowolenie z siebie.

W tej chwili był prawdopodobnie w domu Berringtona.

Preston Berek i Jim Proust przyjechali do domu Berringtona koło południa i zasiedli przy piwie w gabinecie. Żaden z nich nie spał długo tej nocy i wyglądali, a także czuli się fatalnie. Gospoia Mariannę przygotowywała niedzielny lunch i w domu unosiły się smakowite zapachy, lecz nic nie było w stanie podnieść na duchu trzech współników.

- Jeannie rozmawiała już z Hankiem Kingiem i matką Pera Ericsona - poinformował ich zgnębionym tonem Berrington. - Nie udało mi się dodzwonić do innych, ale jestem pewien, że wkrótce ich zlokalizuje.

- Bądźmy realistami - powiedział Jim. - Co konkretnie może nam zrobić do jutra rana?

Preston Berek był w samobójczym nastroju.

- Powiem wam, co zrobiłbym na jej miejscu - oznajmił. - Staralbym się nadać jak największy rozgłos swojemu odkryciu. Ściągnąłbym dwóch albo trzech chłopaków do Nowego Jorku i pokazał ich w Good Morning America. W telewizji kochają bliźniaki.

- Niech Bóg broni - mruknął Berrington.

Przed domem zatrzymał się samochód.

- Zardzewiały stary datsun - powiedział Jim, wyglądając przez okno.

- Zaczyna mi się podobać pierwotny pomysł Jima - stwierdził Preston. - Najlepiej byłoby sprawić, żeby wszyscy zniknęli.

- Nie życzę sobie żadnych zabójstw! - zawołał Berrington.

- Nie krzycz, Berry - odezwał się zaskakująco łagodnym tonem Jim. - Szczerze mówiąc, przechwalałem się trochę wspominając o wyeliminowywaniu ludzi. Być może kiedyś mogłem wydawać rozkazy, żeby kogoś zabić, lecz ten czas dawno już minął. W ciągu kilku ostatnich dni poprosiłem o wyświadczenie przysługi kilku starych przyjaciół; i chociaż mi nie odmówili, zdaję sobie sprawę, że są pewne granice.

I dzięki Bogu, pomyślał Berrington.

- Ale mam inny pomysł - dodał Jim.

Preston i Berrington wlepili w niego wzrok.

- Skontaktujemy się dyskretnie z każdą z ośmiu rodzin. Przyznamy, że w początkowej fazie działania kliniki popełnione zostały błędy. Nikt nie ucierpiał, ale chcemy uniknąć niepotrzebnej sensacji. Każdej z rodzin proponujemy odszkodowanie w wysokości miliona dolarów, wypłacane w ciągu dziesięciu lat, pod warunkiem że w tym okresie nie będą się kontaktować ani z prasą, ani z Jeannie Ferrami i innymi naukowcami.

Berrington pokiwał powoli głową.

To może się udać. Kto nie przyjmie miliona dolarów?

- Lorraine Logan - odparł Preston. - Zależy jej na uniewinnieniu syna.

- Masz rację. Nie zrobi tego nawet za dziesięć milionów.

- Każdy ma swoją cenę - stwierdził Jim, odzyskując rezon. - Tak czy owak, Ferrami nie zdziała wiele bez pomocy jednego albo dwóch pozostałych.

Preston pokiwał głową. Berrington także czuł, że wstępuje w niego nadzieja. Być może uda się zamknąć usta Loganom. Groziło im jednak coś o wiele gorszego.

- A co się stanie, jeśli Jeannie ujawni wszystko w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin? - zapytał. - Landsmann odroczy prawdopodobnie transakcję i będą się starali sprawdzić jej zarzuty. A wtedy nie będziemy mieli ani jednego miliona do rozdania.

- Musimy wiedzieć, jakie ma plany. Co udało jej się odkryć do tej pory i co ma w związku z tym zamiar zrobić - stwierdził Jim.

- Nie bardzo widzę, jak możemy tego dokonać - mruknął Berrington.

- A ja widzę - oświadczył Jim. - Znam osobę, która może łatwo wkraść się w jej zaufanie i odkryć, co planuje.

Berrington poczuł, jak ogarnia go gniew.

- Wiem, o czym myślisz...

- Właśnie do nas idzie - kontynuował Jim.

Z korytarza dobiegły ich kroki i po chwili do gabinetu wszedł syn Berringtona.

- Czołem, tato - przywitał się. - Cześć, wujku Jimie i wujku Prestonie. Co słyhać?

Berrington spojrział na niego z mieszaniną dumy i żalu. Chłopak wyglądał wspaniale w granatowych sztruksowych spodniach i niebieskim bawełnianym swetrze. Odziedziczył po mnie w każdym razie dobry gust, pomyślał.

- Musimy porozmawiać, Harvey - powiedział.

- Chcesz piwa, mały? - zapytał Jim, wstając z miejsca.

- Jasne - odparł Harvey.

Jim w denerwujący sposób umacniał w Harveyu złe nawyki.

- Zapomnij o piwie - warknął Berrington. - Jim, idź z Prestonem do bawialni i pozwól nam porozmawiać w cztery oczy. - Bawialnia była niezbyt sympatycznym pomieszczeniem, do którego mało kto zaglądał.

Preston i Jim wyszli.

- Kocham cię, synu - zaczął Berrington. - Kocham cię, chociaż masz wredny charakter.

- Ja mam wredny charakter?

To, co zrobiłeś tej dziewczynie w podziemiach sali gimnastycznej, było jedną z najwstrętniejszych rzeczy, jakie może zrobić człowiek.

Harvey wzruszył ramionami.

Mój Boże, nie udało mi się zaszczepić w nim żadnego poczucia dobra i zła, pomyślał Berrington. Ale było za późno, żeby robić sobie wyrzuty.

- Usiądź i posłuchaj mnie przez chwilę - powiedział.

Harvey usiadł.

- Twoja matka i ja próbowaliśmy przez wiele lat mieć dziecko, lecz bez rezultatu - oznajmił Berrington. - W tym czasie Preston pracował nad zapłodnieniem *in vitro*, które polega na połączeniu spermy i jaja w laboratorium i późniejszym wprowadzeniu embriona do macicy kobiety.

- Chcesz powiedzieć, że jestem dzieckiem z próbówki?

- To tajemnica. Nie możesz tego nigdy nikomu zdradzić. Nawet swojej matce.

- Ona nie wie? - zdziwił się Harvey.

- To jeszcze nie wszystko. Preston wziął jeden żywy embrion i podzielił go, tworząc bliźniaki.

- Drugim bliźniakiem jest facet, którego aresztowano za gwałt.

- Podzielił embrion kilka razy.

Harvey pokiwał głową. Podobnie jak pozostali, był bardzo bystry.

- Ilu ich jest?

- Ośmiu.

- Nieźle. I domyślam się, że sperma nie pochodziła od ciebie.

- Nie.

- A od kogo?

- Od porucznika z Fort Bragg: wysokiego, silnego, inteligentnego, agresywnego i przystojnego.

- A matka?

- Sekretarka z West Point, obdarzona podobnymi cechami. Na przystojnej twarzy Harveya pojawił się grymas rozgoryczenia.

- Moi prawdziwi rodzice.

Berrington skrzywił się.

- Nie możesz tak mówić - zaprotestował. - Dojrzywałeś w brzuchu swojej matki. Ona wydała cię na świat i wierz mi, że to bolało. Patrzyliśmy, jak stawiasz pierwsze niepewne

kroki, jak usiłujesz wsadzić do ust łyżkę ziemniaczanej papki, jak wymawiasz pierwsze słowa.

Obserwując twarz syna, Berrington nie potrafił powiedzieć, czy Harvey wierzy mu, czy nie.

- Do diabła, kochaliśmy cię coraz mocniej, chociaż coraz mniej na to zasługiwałeś. Co rok te same uwagi ze szkoły: syn jest bardzo agresywny, nie potrafi współpracować z innymi, ma trudności w grach zespołowych, rozprasza klasę, musi nauczyć się szanować płęć odmienną. Za każdym razem, kiedy wyrzucali cię ze szkoły, chodziliśmy i błagaliśmy, żeby przyjęto cię do następnej. Próbowaliśmy ci schlebiać, próbowaliśmy kar fizycznych, pozbawialiśmy przywilejów. Odwiedziliśmy z tobą trzech dziecięcych psychologów. Zamieniłeś nasze życie w mękę.

- Chcesz powiedzieć, że zniszczyłem wasze małżeństwo?

- Nie, synu, to zrobiłem ja sam. Chcę powiedzieć, że kocham cię bez względu na to, kim jesteś. Jak każdy rodzic.

Harvey był wciąż zasepiony.

- Dlaczego mi to teraz mówisz?

- Jednego z twoich sobowtórów, Steve'a Logana, poddano badaniom na moim wydziale. Widząc go, doznałem prawdziwego szoku, jak łatwo możesz sobie wyobrazić. Potem policja aresztowała go za zgwałcenie Lisy Hoxton. Ale jedna z moich podwładnych, Jeannie Ferrami, nabrała podejrzeń. Wytropiła cię i chce udowodnić, że Steve Logan jest niewinny. Poza tym ma chyba zamiar ujawnić całą historię z klonami i zrujnować mnie.

- To ta kobieta, którą spotkałem w Filadelfii.

Berrington posłał mu zdziwione spojrzenie.

- Wujek Jim zadzwonił do mnie i powiedział, żebym ją postraszył.

- Rozwałę łeb skurwysynowi! - ryknął Berrington.

- Uspokój się, tato, nic złego się nie stało. Wybrałem się z nią na przejażdżkę samochodem. Na swój sposób jest całkiem miła.

Berrington z wysiłkiem się opanował.

- Wujek Jim zawsze traktował cię zupełnie nieodpowiedzialnie. Lubi cię za to, że jesteś taki nieokiełznany. Bez wątpienia dlatego, że sam jest nadętym dupkiem.

- Ja też go lubię.

- Porozmawiajmy o tym, co powinniśmy zrobić. Ja muszę wiedzieć, jakie ma zamiary, zwłaszcza w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Ty musisz wiedzieć,

czy dysponuje jakimiś obciążającymi cię dowodami. Jest tylko jeden sposób, żeby wkraść się w jej zaufanie.

Harvey pokiwał z uśmiechem głową.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiał, udając Steve'a Logana.

- Tak.

- To może być zabawne.

Berrington jęknął głośno.

- Tylko nie rób nic głupiego, proszę. Po prostu z nią porozmawiaj.

- Chcesz, żebym tam zaraz pojechał?

- Tak. Żałuję, że muszę cię o to prosić, ale to leży zarówno w twoim, jak i w naszym interesie.

- Uspokój się, tato. Co złego może się wydarzyć?

- Możliwe, że za bardzo się martwię. W mieszkaniu kobiety nie może ci się chyba stać nic złego.

- Co mam zrobić, jeśli będzie tam prawdziwy Steve?

- Sprawdź samochody na ulicy. Podobnie jak ty, ma datsuna. To jedna z przyczyn, dla których policja była taka pewna, że jest sprawcą.

- Nie żartuj!

- Jesteście niczym jednojajowe bliźnięta, dokonujecie tych samych wyborów. Jeśli samochód stoi przed domem, nie wchodź do środka. Zadzwoń i postaramy się wymyślić jakiś sposób, żeby go stamtąd wyciągnąć.

- A jeśli przyszedł tam na piechotę?

- Mieszka w Waszyngtonie.

- W porządku. - Harvey wstał z fotela. - Jaki jest jej adres?

- Mieszka w Hampden. - Berrington zapisał ulicę i numer domu na kartce i podał ją Harveyowi. - Bądź ostrożny.

- Jasne. Do widzenia, świat się zmienia.

Berrington uśmiechnął się z wysiłkiem.

- W okamgnieniu, po zmartwieniu - odparł.

Harvey przejechał powoli ulicę Jeannie, szukając samochodu, który wyglądałby tak samo jak jego własny. Przy krawężniku stało dużo starych pojazdów, nie zobaczył jednak ani jednego zardzewiałego jasnego datsuna. Steve'a nie było w pobliżu.

Zaparkował niedaleko jej domu, wyłączył silnik i przez chwilę zbierał myśli. Wiedział, że potrzebny mu będzie cały jego spryt. Cieszył się, że nie wypił tego piwa, które oferował mu wujek Jim.

Był pewien, że Jeannie weźmie go za Steve'a, ponieważ zrobiła to już raz w Filadelfii. Obaj byli zupełnie identyczni z wyglądu. Rozmowa mogła okazać się jeszcze trudniejsza. Jeannie będzie napomykać o najróżniejszych rzeczach, o których powinien wiedzieć. Będzie musiał prowadzić rozmowę tak, aby nie zdradzić się ze swoją ignorancją i jednocześnie odkryć, jakie ma przeciwko niemu dowody i jak zamierza je wykorzystać. Bardzo łatwo było o wpadkę.

A jednak gdy zastanawiał się trzeźwo nad tym, jak udawać Steve'a, nie potrafił opanować podniecenia na myśl o ponownym spotkaniu z Jeannie. To, co wyprawiał w jej mercedesie, było najbardziej ekscytującym seksualnym doznaniem, jakie pamiętał. Przyjemniejszym nawet od wizyty w damskiej szatni, gdzie wszystkie dziewczuchy wpadły w panikę. Krew uderzała mu do głowy za każdym razem, kiedy przypominał sobie, jak darł na niej ubranie, podczas gdy samochód tańczył po autostradzie.

Wiedział, że powinien się skoncentrować na czekającym go zadaniu. Musiał zapomnieć o jej wykrzywionej strachem twarzy i zaciśniętych silnych udach. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien uzyskać od niej informację i wyjść. A przecież nigdy jeszcze nie zrobił tego, co podpowiadał mu rozsądek.

Jeannie zadzwoniła na policję zaraz po powrocie do domu. Wiedziała, że Mish nie będzie na komendzie, ale zostawiła jej wiadomość, prosząc o pilny telefon.

- Czy nie telefonowała pani już dzisiaj z prośbą o pilny kontakt? - zapytał ją oficer dyżurny.

- Tak, ale to jest kolejna sprawa, tak samo ważna.

- Postaram się przekazać wiadomość - odparł ze sceptycyzmem oficer.

Potem zatelefonowała do Steve'a, ale nie było odpowiedzi. Domyśliła się, że razem z Lorraine pojechali do adwokata, żeby postarać się uwolnić ojca, i że zadzwoni do niej, kiedy tylko będzie mógł.

Była trochę rozczarowana: chciała podzielić się z kimś dobrą wiadomością.

Radość z odnalezienia Harveya ulotniła się i wróciło przygnębienie. Zaczęła myśleć o swojej niepewnej przyszłości, o tym, że nie ma pracy i pieniędzy, i że nie może pomóc matce.

Żeby poprawić sobie humor, zrobiła drugie śniadanie. Usmażyła bekon, który kupiła wczoraj dla Steve'a, wbiła w niego trzy jajka i zjadła je z grzanką i kawą. Kiedy wkładała naczynia do zlewu, zadzwonił domofon.

- Halo? - zapytała, podnosząc słuchawkę.

- Jeannie? To ja, Steve.

- Wchodź na górę - zawołała uszczęśliwiona.

Miał na sobie sweter w kolorze swoich oczu i wyglądał tak zabójczo, że chętnie by go schrupała. Mocno przytuliła się do niego i pocałowała, a on objął ręką jej pośladki i przycisnął do siebie. Dzisiaj znowu inaczej pachniał: używał jakiegoś ziołowego płynu po goleniu. Inaczej także smakował, jakby przed chwilą pił herbatę.

Po chwili odsunęła się.

- Nie tak szybko - szepnęła. Chciała się nim dłużej nacieszyć. - Usiądź. Tyle mam ci do opowiedzenia.

Steve usiadł na kanapie, a ona podeszła do lodówki.

- Czego chcesz się napić? Wina, piwa, kawy?

- Wino brzmi zachęcająco.

- Myślisz, że będzie dobre?

Co to miało, do diabła, znaczyć? "Myślisz, że będzie dobre?"

- Nie wiem - odparł.

- Jak dawno je otworzyliśmy?

W porządku, otworzyli wino, ale nie dopili go do końca, więc zakorkowała je, wsadziła do lodówki i teraz zastanawia się, czy nie skwaśniało. Ale to ja mam podjąć decyzję.

- Zaraz, kiedy to było?

- W środę. Cztery dni temu.

Nie wiedział nawet, czy wino jest czerwone, czy białe. Niech to szlag!

- Nalej po prostu do kieliszka i zobaczymy.

- Bardzo mądry pomysł.

Naląła mu trochę i spróbował.

- Da się wypić - uznał.

Jeannie pochyliła się nad kanapą.

- Daj mi skosztować. - Pocałowała go. - Otwórz usta - powiedziała. - Chcę sprawdzić, jak smakuje wino. - Zachichotał i zrobił, co kazała. Jeannie wsunęła czubek języka między jego wargi. Mój Boże, ta kobieta to istny ogień. - Masz rację - stwierdziła. - Da się wypić. - Śmiejąc się, dołała mu więcej i napełniła swój kieliszek.

Zaczęło mu się to podobać.

- Włącz jakąś muzykę - zaproponował.

- Na czym?

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. O Chryste, wkopałem się. Rozejrzał się po pokoju; żadnego sprzętu do grania. Ty idioto.

- Tato ukradł mi wieżę, zapomniałeś? - powiedziała. - Nie mam żadnej muzyki. Chociaż poczekaj, coś się wymyśli. - Weszła do sąsiedniego pokoju, najprawdopodobniej sypialni, i wróciła z wodoszczelnym radiem, które wieszka się pod prysznicem. - To taka zabawka... dała mi ją kiedyś na gwiazdkę mama, jeszcze zanim pokręciło jej się w głowie.

Tato ukradł jej wieżę, mamie pokręciło się w głowie... prawdziwy dom wariatów.

- Dźwięk jest okropny, ale nie mam nic innego. - Jeannie włączyła radio. - Jest nastawione na dziewięćdziesiąt dwa Q.

- Dwadzieścia hitów jeden po drugim - rzucił machinalnie.

- Skąd wiesz?

O, w dupę, Steve nie zna przecież baltimorskich rozgłośni.

- Złapałem tę stację, jadąc tutaj samochodem.

- Jaki lubisz rodzaj muzyki?

- Nie mam pojęcia, co lubi Steve, ale ty chyba też, więc nie muszę nic zmyślać.

- Lubię gangsta rap. Snoop Doggy Dog, Ice Cube, tego rodzaju rzeczy.

- Kurczę, przy tobie czuję się jak staruszka.

- A ty co lubisz?

- Ramones, Sex Pistols, Damned. Kiedy byłem dzieckiem, naprawdę małym szczyłem, punk był na topie. Moja mama słuchała całej tej łatwej muzyczki z lat sześćdziesiątych, która do mnie nigdy nie docierała, a potem, gdy miałam mniej więcej jedenaście lat, zaczęło się! Talking Heads. Pamiętasz Psycho Killer?

- W życiu!

- Twoja matka miała rację, jestem dla ciebie za stara. - Jeannie usiadła na kanapie, położyła mu głowę na ramieniu, wsunęła rękę pod jego niebieski sweter i zaczęła go gładzić

po klatce piersiowej, drażniąc brodawki opuszkami palców. To było takie przyjemne. - Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała.

On też chciał się pobawić jej piersiami, ale miał na głowie inne sprawy.

- Musimy poważnie porozmawiać - oznajmił, opanowując olbrzymim wysiłkiem woli pożądanie.

- Masz rację. - Jeannie usiadła i wypła łyk wina. - Ty pierwszy. Czy twój ojciec jeszcze siedzi w areszcie?

Jezus, co mam na to odpowiedzieć?

- Nie, ty pierwsza. Mówiłaś, że tyle masz mi do powiedzenia.

- W porządku. Po pierwsze, wiem, kto zgwałcił Lisę. Facet nazywa się Harvey Jones i mieszka w Filadelfii.

Chryste Przenajświętszy! Harvey starał się nie zmieniać wyrazu twarzy.

- Czy masz jakieś dowody, że to on?

- Byłam w jego mieszkaniu. Sąsiad miał zapasowy klucz i wpuścił mnie do środka.

Ten pierdolony stary peda! Skręcę mu kark, jak tylko wrócę!

- Znalazłam czapkę baseballową, którą miał na głowie w zeszłą niedzielę. Wisiała na haku za drzwiami.

Jezu! Powinienem ją dawno wyrzucić. Ale nie przypuszczałem, że ktoś mnie wyśledzi!

- Świetnie sobie poradziłaś. - Steve powinien być zachwycony. To oczyści go z wszystkich zarzutów. - Nie wiem, jak ci dziękować.

- Coś wymyślimy - odparła z uśmiechem.

Czy zdążę wrócić do Filadelfii i pozbyć się czapki, zanim wpadnie tam policja?

- Zawiadomiłaś oczywiście o wszystkim gliniarzy?

- Nie. Zostawiłam wiadomość dla Mish, ale na razie do mnie nie zatelefonowała.

Alleluja! Mam jeszcze szansę.

- Nic się nie martw - kontynuowała Jeannie. - Facet nie ma pojęcia, że go rozszyfrowaliśmy. Ale nie słyszałeś najlepszego. Który z naszych znajomych nazywa się jeszcze Jones?

Czy mam powiedzieć "Berrington"? Czy Steve wpadłby na to?

- To dosyć pospolite nazwisko...

- Oczywiście Berrington. Przypuszczam, że Harvey wychował się w domu Berringtona jako jego syn!

Powinienem być zachwycony.

- Niewiarygodne! - stwierdził.

I co mam teraz, do diabła, robić? Może tato wpadnie na jakiś pomysł. Muszę mu o tym powiedzieć. Muszę wymyślić jakiś wybieg, żeby do niego zatelefonować.

Jeannie wzięła go za rękę.

- Jezu, spójrz na swoje paznokcie!

Co znowu, do jasnej cholery?

O co ci chodzi?

- Jak szybko rosną. Kiedy wyszedłeś z aresztu, były całe poobgryzane i połamane. A teraz wyglądają wspaniale!

- Zawsze szybko wracam do normy.

Jeannie obróciła jego rękę i polizała wewnętrzną stronę dłoni.

- Jesteś dzisiaj strasznie napalona - zauważył.

- O Boże, za szybko się podniecam, prawda? - Mówili jej już to inni mężczyźni. Steve był dzisiaj od samego początku trochę powściągliwy i teraz zrozumiała dlaczego. - Wiem, o co ci chodzi. Przez cały poprzedni tydzień odpychałam cię, a teraz zachowuję się, jakbym chciała pożreć cię na kolację.

- No, coś w tym rodzaju - odparł, kiwając głową.

- Taka właśnie jestem. Kiedy już zdecyduję się na jakiegoś faceta, nie mogę się opanować. - Jeannie wstała z kanapy. W porządku, biorę na wstrzymanie. - Podeszła do kuchenki i wyjęła patelnię do omletów. Była taka ciężka, że musiała użyć obu rąk, żeby ją podnieść. - Kupiłam ci wczoraj coś do zjedzenia. Jesteś głodny? - Patelnia była zakurzona i Jeannie wytarła ją ściereczką. Domyślił się, że niezbyt często gotuje. - Masz ochotę na jajka?

- Niespecjalnie. Więc w młodości byłaś punkową?

Jeannie odłożyła patelnię.

- Przez jakiś czas. Podarte ciuchy, zielone włosy.

- Narkotyki?

- W szkole brałam amfetaminę, kiedy tylko miałam forszę.

- Jakie przekłulaś sobie części ciała?

Przypomniała sobie nagle wiszące na ścianie u Harveya Jonesa zdjęcie wygolonej kobiety z kolczykiem w wargach sromowych i przeszedł ją dreszcz.

- Tylko nos - odpowiedziała. - Rzuciłam punk dla tenisa, kiedy miałam piętnaście lat.

- Znałem dziewczynę, która nosiła kolczyk w pępku.

Jeannie poczuła ukłucie zazdrości.

- Spałeś z nią?

- Jasne.

- Łajdak.

- Myślałaś, że jestem prawiczkim?

- Nie każ mi się zachowywać racjonalnie.

Podniósł ręce w obronnym geście.

- Dobrze, nie będę.

- Nie powiedziałaś jeszcze, co stało się z twoim tatą. Wypuścili go?

- Może zatelefonuję do domu i zapytam o najnowsze wiadomości.

Gdyby wybrał siedmiocyfrowy numer, Jeannie domyśliłaby się, że to rozmowa lokalna, a ojciec wspomniał, że Steve Logan mieszka w Waszyngtonie. Dlatego po podniesieniu słuchawki wcisnął widełki, wystukał trzy przypadkowe cyfry, udając, że wybiera kod kierunkowy i dopiero potem puścił widełki i zadzwonił do ojca w Baltimore.

- Cześć, mamó - zaczął, zaciskając w dłoni słuchawkę i modląc się, żeby stary nie odparł: "To pomyłka, wykręcił pan zły numer".

Ale ojciec natychmiast zrozumiał.

- Jesteś z Jeannie? - zapytał.

Brawo, tato.

- Tak. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy tatę wypuścili z więzienia.

- Pułkownik Logan jest w dalszym ciągu aresztowany, lecz nie przebywa w więzieniu. Zatrzymano go do dyspozycji żandarmerii wojskowej.

- To fatalnie. Miałem nadzieję, że już wyszedł na wolność.

- Czy możesz mi cokolwiek powiedzieć? - odezwał się ojciec po chwili wahania.

Harvey miał ochotę zerknąć na Jeannie i sprawdzić, czy niczego nie podejrzewa. Takie spojrzeń byłyby jednak dziwne, więc gapił się dalej w ścianę.

- Jeannie odwalila kawał roboty, mamó. Odnalazła prawdziwego gwałciciela. - Starał się nadać swemu głosowi bardziej entuzjastyczne brzmienie. - Nazywa się Harvey Jones. Czekamy teraz na telefon od tej policjantki, żeby ją o tym zawiadomić.

- Jezu. To straszne.

- No właśnie, czy to nie wspaniałe? - Pozbądź się tej ironii w głosie, ty głupcze!

- Wiemy przynajmniej, jaka jest sytuacja. Czy możesz jakoś temu zapobiec?

- Chyba muszę.

- A co z Genetico? Czy Jeannie chce ujawnić to, czego się o nas dowiedziała?

- Jeszcze nie wiem.

Rozłącz się, zanim powiem coś, co mnie zdradzi.

- Postaraj się tego dowiedzieć. To także bardzo ważne.

Dobra, dobra.

- Cóż, mam nadzieję, że tato wyjdzie jeszcze dzisiaj. Zadzwoń, jeśli będziesz miała jakieś wiadomości.

- Czy to bezpieczne?

- Poproś po prostu Steve'a. - Roześmiał się, jakby udał mu się żart.

- Jeannie rozpozna mój głos. Ale mogę powiedzieć Prestonowi, żeby cię poprosił.

- Właśnie.

- Okay.

- Cześć - zakończył Harvey i odłożył słuchawkę.

- Powinnam chyba zatelefonować znowu na policję - Stwierdziła Jeannie. Może nie zdają sobie sprawy, jakie to ważne.

Harvey pomyślał o tym, że będzie musiał ją zabić.

- Najpierw mnie pocałuj - powiedział.

Opierając się o kuchenny blat, przytuliła się do niego i otworzyła usta do pocałunku. Steve pogładził ją po biodrze.

- Ładny sweter - mruknął i ścisnął jej pierś swoją wielką dłonią.

Brodawka stwardniała jej w odpowiedzi, ale z jakiegoś powodu nie było jej tak przyjemnie, jak powinno. Próbowwała się odprężyć i cieszyć chwilą, na którą tak czekała. Steve wsunął ręce pod jej sweter i wygięła się lekko, kiedy ujął w dłonie obie piersi. Jak zawsze przeżyła krótki moment niepewności bojąc się, że będzie nimi rozczarowany. Jej piersi podobały się wszystkim mężczyznom, z którymi spała, ona jednak uważała, że są za małe. Podobnie jak jego poprzednicy, Steve nie okazał niezadowolenia. Podciągnął w górę jej sweter, pochylił głowę i zaczął ssać brodawki.

Spojrzała w dół. Za pierwszym razem, kiedy zrobił jej to chłopak, uznała, że to absurd - cofnięcie się w czasy dzieciństwa. Wkrótce jednak polubiła tę pieśczoć i chętnie odwzajemniała się tym samym mężczyźnie. Niestety teraz nic nie pomagało. Jej ciało reagowało w odpowiedni sposób, ale w zakamarkach umysłu czaiła się jakaś wątpliwość i

nie mogła się skoncentrować na odczuwaniu przyjemności. Zepsułam wszystko wczoraj przez swoją paranoję i nie zamierzam zrobić tego ponownie, pomyślała.

Steve wyczuł jej niepokój.

- Tu jest niewygodnie. Chodźmy na kanapę - powiedział. Wyprostował się i nie pytając jej o zdanie, usiadł. Jeannie przycupnęła koło niego. Steve pogładził się po brwiach opuszką wskazującego palca i wyciągnął do niej rękę.

Jeannie odsunęła się nagle.

- Co jest? - zapytał. Nie!

To niemożliwe!

- Zrobiłeś to... zrobiłeś tę rzecz z brwiami.

- Jaką rzecz?

Zerwała się z kanapy.

- Ty draniu! - krzyknęła. - Jak śmiałeś?

- Co ci się, kurwa, stało? - udał zdziwienie, ale nie grał zbyt dobrze; widziała po jego twarzy, że świetnie wie, o co chodzi.

- Wynoś się z mojego mieszkania! - zawołała.

- Najpierw się do mnie dowalasz, a teraz urządzasz sceny!

- Wiem, kim jesteś, draniu! Jesteś Harvey!

- Jak się domyśliłaś? - zapytał, przestając udawać.

- Dotknąłeś brwi palcem dokładnie tak, jak to robi Berrington.

- Jakie to w końcu ma znaczenie? - powiedział, wstając z kanapy. - Skoro jesteśmy tacy podobni, możesz wyobrazić sobie, że jestem Steve'em.

- Spieprzaj stąd, ale już!

Harvey dotknął ręką spodni, pokazując, że ma erekcję.

Teraz, kiedy zaszliśmy tak daleko, nie zamierzam stąd wyjść, póki się nie odspermię.

O Jezusie, jestem w prawdziwych opałach. Ten facet to zwierzę.

- Trzymaj się ode mnie z daleka!

Uśmiechając się, dał krok w jej stronę.

- Mam zamiar zdjąć z ciebie te obcisłe dzinsy i zobaczyć, co masz pod spodem.

Przypomniała sobie Mish mówiącą, że gwałciciel rozkoszuje się strachem ofiary.

- Wcale się ciebie nie boję - rzuciła, starając się uspokoić. - Ale jeśli mnie dotkniesz, przysięgam, że cię zabiję.

Jego atak był niesamowicie szybki. W mgnieniu oka złapał ją, podniósł w górę i rzucił na podłogę.

Zadzwoił telefon.

- Na pomoc! - zawołała. - Na pomoc! Panie Oliver!

Harvey porwał ścierkę z blatu kuchni i wetknął jej w usta, boleśnie je ocierając. Jeannie zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Harvey złapał ją za nadgarstki, żeby nie mogła wyciągnąć kneblującej jej ścierki. Próbowwała wypchnąć ją językiem, ale się nie udało, okazała się zbyt duża. Czy pan Oliver usłyszał jej wołanie? Był stary i nastawiał bardzo głośno telewizor.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Harvey złapał ją za zapięcie dżinsów i w tym momencie zdołała się spod niego wysunąć, lecz on uderzył ją w twarz tak mocno, że zobaczyła wszystkie gwiazdy. Korzystając z tego, że jest ogłuszona, ściągnął z niej dżinsy i majtki.

- Patrzcie, jaka owłosiona - mruknął.

Jeannie wyrwała ścierkę z ust.

- Ratunku! Ratunku! - wrzasnęła.

Harvey zakrył jej usta swoją wielką dłonią i zwałił się na nią, przygniatając piersi. Przez kilka chwil próbowała rozpaczliwie złapać oddech. Jego kłykcie wbijały jej się w uda, kiedy majstrował ręką przy rozporku. A potem zaczął się w nią wpychać, szukając drogi do środka. Jeannie szarpała się wściekle, próbując go z siebie zrzucić, ale był za ciężki.

Telefon wciąż dzwonił. A potem zabręczał domofon.

Harvey wcale się tym nie przejmował.

Jeannie otworzyła usta i jego palce zsunęły się między jej wargi. Ugryzła go z całej siły, nie dbając o to, że może złamać sobie zęby na jego kościach. Ciepła krew trysnęła jej do ust i usłyszała, jak Harvey krzyczy z bólu, wyrывая rękę.

Domofon zadzwonił ponownie, długo i uporczywie.

Jeannie wypluła z ust krew Harveya.

- Ratunku! - krzyknęła. - Ratunku, ratunku!

Na dole rozległ się głośny łomot, a potem kilka trzasków i odgłos rozłupywanego drewna.

Harvey zerwał się na nogi, trzymając się za krwawiącą rękę.

Jeannie przeturlała się na bok, zerwała z podłogi i odskoczyła do tyłu.

Drzwi otworzyły się na oścież. Harvey obrócił się plecami do Jeannie.

Do środka wpadł Steve.

Dwaj mężczyźni zastygli na chwilę w bezruchu, wpatrując się w siebie.

Niczym się nie różnili. Co będzie, jeśli zaczną się bić? Byli dokładnie takiego samego wzrostu, tak samo silni i wysportowani. Walka mogła się nigdy nie skończyć.

Wiedziona nagłym impulsem, Jeannie złapała patelnię i wyobrażając sobie, że odbija niski cross swoim słynnym oburęcznym backhendem, przeniosła ciężar ciała na wysuniętą do przodu stopę, zwarła dłonie i trzasnęła Harveya z całej siły w tył głowy.

Rozległ się głuchy odgłos. Pod Harveyem ugięły się nogi. Zatoczył się i upadł na kolana. Jeannie podniosła wysoko patelnię i rąbnęła go w czubek głowy, tak jakby ścinała piłkę przy samej siatce.

Oczy stanęły mu w słup i runął jak długi na podłogę.

- Rany, cieszę się, że nie przywaliłaś niewłaściwemu bliźniakowi - powiedział Steve.

Jeannie zaczęła się trząść. Upuściła z ręki patelnię i usiadła na kuchennym stołku. Steve objął ją ramieniem.

- Już po wszystkim - szepnął.

- Nieprawda - odparła. - To dopiero się zaczęło.

A telefon wciąż dzwonił.

57.

- Znokautowałaś drania - stwierdził Steve. - Kto to jest?

- Nazywa się Harvey Jones - odparła Jeannie. - I jest synem Berringtona Jonesa.

- Berrington wychował jednego z nich jako własnego syna? - zdziwił się Steve. -

Nigdy bym na to nie wpadł.

Jeannie przyjrzała się leżącemu na podłodze nieprzytomnemu mężczyźnie.

I co teraz zrobimy?

- Na początek może odbierzesz telefon.

Podniosła machinalnym ruchem słuchawkę. Dzwoniła Lisa.

- O mały włos przytrafiłoby mi się to samo co tobie - poinformowała ją Jeannie bez zbędnych wstępów.

- Nie mów!

- Ten sam facet.

- Nie mogę w to uwierzyć. Mam do ciebie przyjść?

- Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Jeannie odłożyła słuchawkę. Wargi spuchły jej od knebla i była cała obolała po upadku na podłogę, Wciąż czuła w ustach smak jego krwi. Nalała sobie szklankę wody, wypłukała usta i wypluła ją do zlewu.

- Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie, Steve - powiedziała. - Ludzie, z którymi zadarliśmy, mają ustosunkowanych przyjaciół.

- Wiem.

- Mogą próbować nas zabić.

- Nie musisz mi o tym mówić - stwierdził.

Przez chwilę miała trudności z koncentracją. Nie mogąc pozwolić, żeby sparaliżował mnie strach, pomyślała.

- Sądysz, że jeśli obiecuję im, iż nie powiem nikomu, co wiem, zostawię mnie w spokoju?

- Nie, nie sądzę - odparł po krótkim namyśle Steve.

- Ja też nie. Nie mam więc wyboru. Muszę walczyć.

Usłyszeli, jak ktoś wchodzi po schodach. Po chwili do mieszkania wsadził głowę pan Oliver.

- Co się tu, u licha, dzieje? - zapytał. Spojrzał na nieprzytomnego Harveya, na Steve'a, i z powrotem na Harveya. - Niech mnie kule biją - mruknął.

Steve podał Jeannie jej czarne levisy, a ona wciągnęła je szybko, okrywając nagość. Jeśli pan Oliver coś zauważył, był za dobrze wychowany, żeby to skomentować.

- To na pewno ten facet z Filadelfii - stwierdził, wskazując Harveya. - Nic dziwnego, że wzięła go pani za swojego chłopaka. Muszą być bliźniakami!

- Powinienem go związać, nim się ocknie - powiedział Steve. - Masz jakiś sznur, Jeannie?

- Mam trochę kabla. Zaraz przyniosę moją skrzynkę z narzędziami - oznajmił pan Oliver i zszedł na dół.

Jeannie objęła czule Steve'a. Miała wrażenie, że zbudziła się ze złego snu.

- Myślałam, że to ty - wyjaśniła. - Wyglądało to dokładnie tak samo jak wczoraj, tyle że tym razem to nie była paranoja. Tym razem miałam rację.

- Powiedzieliśmy, że musimy ustalić jakieś hasło i odzew, a potem o tym zapomnieliśmy.

- Zrobmy to teraz. Podchodząc do mnie w zeszłą niedzielę na korcie, powiedziałaś: "Sam też gram trochę w tenisa".

- A ty odparłaś skromnie: "Jeśli grasz tylko trochę, nie należysz chyba do mojej ligi".

- To będzie nasze hasło i odzew.

- Załatwione.

Do mieszkania wszedł pan Oliver ze swoimi narzędziami. Przewrócił Harveya na plecy i związał mu ręce z przodu, krępując złożone ze sobą dłonie i zostawiając wolne małe palce.

- Dlaczego nie związał mu pan rąk z tyłu? - zapytał Steve.

Pan Oliver rzucił mu zakłopotane spojrzenie.

- Przepraszam, że wspominał o takich rzeczach, ale dzięki temu będzie mógł trzymać małego, kiedy zachce mu się sikać. Nauczyłem się tego w Europie podczas wojny - wyjaśnił i zaczął wiązać nogi Harveya. - Ten facet nie przysporzy wam więcej kłopotów. Co. macie zamiar zrobić z frontowymi .drzwiami?

Jeannie spojrzała na Steve'a.

- Kompletnie je rozwalilem - przyznał.

- Będę musiała wezwać stolarza - stwierdziła.

- Mam trochę desek na podwórzu - oznajmił pan Oliver. - Załatam je jakoś, żebyśmy mogli się dzisiaj zamknąć. Jutro wezwiemy kogoś, by je porządnie wyreperował.

Jeannie poczuła do niego głęboką wdzięczność.

- Dziękuję, jest pan naprawdę wspaniały.

- Nie ma sprawy. To najciekawsza rzecz, jaka przydarzyła mi się od drugiej wojny światowej.

- Pomogę panu - zaproponował Steve.

Pan Oliver potrząsnął głową.

- Wy dwoje macie do omówienia mnóstwo spraw, dobrze to widzę. Na przykład, czy wezwać gliniarzy do tego faceta, który leży na dywanie - powiedział i nie czekając na odpowiedź, zabrał swoją skrzynkę z narzędziami i zszedł na dół.

Jeannie zebrała myśli.

- Jutro Genetico zostanie sprzedane za sto osiemdziesiąt milionów dolarów i Proust wystartuje w wyborach prezydenckich. Ja tymczasem zostanę bez pracy, ze zszarganą reputacją. Lecz wiedząc to, co wiem, mogę to wszystko zmienić.

- Jak chcesz tego dokonać?

- Nie wiem... moglibyśmy przekazać prasie oświadczenie na temat eksperymentów.

- Czy nie będziesz musiała przedstawić jakichś dowodów?

- Najlepszy dowód stanowilibyście ty i Harvey. Zwłaszcza gdyby udało się was pokazać obu w telewizji.

- Tak... w Sixty Minutes albo podobnym programie. Podoba mi się to - stwierdził Steve, ale po chwili spochmurniał. - Harvey nie będzie z nami współpracować.

- Mogą go sfilmować związanego. A potem wezwiemy policję i to też mogą sfilmować.

Steve pokiwał głową.

- Kłopot z tym, że musisz to załatwić, zanim Landsmann i Genetico sfinalizują transakcję. Kiedy dostaną pieniądze, będą w stanie zatkać usta środkom przekazu. A nie sądzę, żeby udało ci się wystąpić w telewizji w ciągu kilku następnych godzin. Ich konferencja prasowa odbędzie się według "Wall Street Journal" jutro rano.

- Może powinniśmy zwołać naszą własną konferencję?

Steve strzelił palcami.

- Wiem! Wtargniemy na ich obrady.

- To jest myśl! Przedstawiciele Landsmanna nie podpiszą papierów i nie dojdzie do kupna firmy.

- Berrington nie zarobi milionów dolarów.

- A Jim Proust nie zostanie prezydentem.

- Postradaliśmy chyba zmysły - podsumował Steve. - To są najbardziej ustosunkowani ludzie w Ameryce, a my mamy zamiar pokrzyżować im szyki.

Z dołu doszedł ich stukot młotka. Pan Oliver zaczął naprawiać drzwi.

- Oni nienawidzą czarnych - powiedziała Jeannie. - Całe to gadanie o dobrych genach i wybrakowanych Amerykanach to tylko przykrywka. To są przybrani w szaty nauki biali rasiści. Chcą zrobić z pana Olivera obywatela drugiej kategorii. Do diabła, nie zamierzam stać z boku i się temu przyglądać.

- Musimy wymyślić jakiś plan - stwierdził rzeczowym tonem Steve.

- Dobrze, zaczynamy. Najpierw trzeba odkryć, gdzie ma się odbyć ta konferencja.

- Najprawdopodobniej w jakimś hotelu w Baltimore.

- Jeśli to konieczne, przedzvonimy do wszystkich.

- Powinniśmy chyba wynająć tam pokój.

- Dobry pomysł. Rano wkradnę się jakoś na salę i poinformuję o całej sprawie zgromadzonych dziennikarzy.

- Każą ci się zamknąć.

- Powinam mieć oświadczenie na piśmie, żeby im rozdać. A potem na salę wejdiesz ty z Harveyem. Bliźniaki są takie fotogeniczne. Od razu skierują się na was wszystkie kamery.

Steve zmarszczył czoło.

- Co chcesz udowodnić, pokazując razem mnie i Harveya? To, że jesteście identyczni, wywoła dramatyczny efekt i dziennikarze zaczną zadawać pytania. Nie zajmie im wiele czasu odkrycie, że macie różne matki. Podobnie jak ja, domyśla się wtedy, że coś tu nie gra. A wiesz, jak dokładnie sprawdzają kandydatów na prezydenta.

- Trzech wywarłoby jeszcze większy efekt niż dwóch zauważył Steve. - Jak myślisz, może uda nam się ściągnąć jeszcze jednego?

- Spróbujmy zaprosić wszystkich. Może zjawi się choć jeden.

Leżący na podłodze Harvey otworzył oczy i jęknął.

Jeannie prawie o nim zapomniała. Spoglądając na niego teraz, miała nadzieję, że boli go głowa. A potem zawstydziała się, że jest taka mściwa.

- Po tym, jak go walnęłam, potrzebny mu będzie chyba lekarz.

Harvey szybko oprzytomniał.

- Rozwiąż mnie, ty pierdolona dziwko - warknął.

- Możemy zapomnieć o lekarzu - stwierdziła.

- Rozwiąż mnie albo przysięgam, że potnę ci cycki żyłką, kiedy się tylko uwolnię.

Jeannie wsadziła mu do ust ścierkę.

- Stul dziób, Harvey - rzuciła.

- Próba przemycenia go związanego do hotelu może okazać się całkiem interesująca
- oświadczył Steve.

Na dole usłyszeli głos Lisy witającej się z panem Oliverem. Chwilę później weszła do środka w dżinsowej kurtce, spodniach i martensach na nogach.

- Mój Boże, to prawda - szepnęła, spoglądając na Steve'a i Harveya.

Steve wstał z fotela.

- Wskazałaś mnie podczas konfrontacji - powiedział - ale to on cię zaatakował.

- Harvey próbował zrobić mi to samo co tobie - wyjaśniła Jeannie. - Steve zjawił się w samą porę i wyłamał drzwi na dole.

Lisa podeszła do Harveya. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę z zamyślonym wyrazem twarzy, a potem cofnęła obutą w martensa stopę i kopnęła go z całej siły. Harvey jęknął i skulił się z bólu.

Kopnęła go jeszcze raz.

- Jezus, jakie to przyjemne uczucie - oznajmiła, potrząsając głową.

Jeannie zapoznała ją szybko z sytuacją.

- Kiedy spałam, wydarzyło się mnóstwo rzeczy - stwierdziła ze zdumieniem Lisa.

- Dziwne, że pracujesz od roku na uniwersytecie i nigdy nie spotkałaś syna Berringtona - zauważył Steve.

- Berrington nie koleguje się z plebsem - odparła. - Uważa się za kogoś lepszego. Nie zdziwiłabym się, gdyby nikt na JFU nie widział nigdy Harveya.

Jeannie przedstawiła jej plan wtargnięcia na konferencję.

- Mówiliśmy właśnie, że lepiej byłoby, gdybyśmy mieli na sali kilku pozostałych sobowtórów.

- Per Ericson nie żyje, a Dennis Pinker i Murray Claud odsiadują wyroki, ale mamy jeszcze Henry'ego Kinga w Bostonie, Wayne'a Stattnera w Nowym Jorku oraz George'a Dassaulta, który może mieszkać w Buffalo, Sacramento lub Houston. Nie wiemy tego, lecz nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spróbować go zlokalizować. Zachowałam wszystkie numery.

- Ja też - powiedziała Jeannie.

- Czy zdążymy ich sprowadzić? - zapytał Steve.

- Możemy sprawdzić rozkład lotów na CompuServe - zaproponowała Lisa. - Gdzie jest twój komputer, Jeannie?

- Skradziony.

- Mam w bagażniku mój powerbook. Zaraz go przyniosę.

- Będziemy musieli się poważnie zastanowić, jak skłonić tych facetów, żeby przylecieli jutro do Baltimore - powiedziała Jeannie po jej wyjściu. - I będziemy musieli fundnąć im bilety. Nie jestem pewna, czy uda mi się zapłacić za nie moją kartą.

- Mam kartę American Express. Mama dała mi ją na wypadek, gdybym znalazł się w krytycznej sytuacji. Wiem, że uzna to za krytyczną sytuację.

- Masz wspaniałą mamę - stwierdziła z zazdrością Jeannie. To prawda.

Lisa wróciła i podłączyła swój komputer do modemu Jeannie.

- Poczekaj chwilę - powstrzymała ją Jeannie. - Musimy ustalić, co kto ma robić.

Jeannie zajęła się pisaniem oświadczenia dla prasy, Lisa włączyła komputer, weszła do WorldSpan Travelshopper i sprawdzała rozkład lotów, a Steve otworzył książkę telefoniczną i zaczął dzwonić do wszystkich większych hoteli, pytając, czy nie odbywa się tam przypadkiem jutro konferencja prasowa Genetico albo Landsmanna.

Po sześciu telefonach uświadomił sobie, że konferencja prasowa nie musi się wcale odbyć w hotelu. Mogli ją zorganizować w restauracji albo w bardziej egzotycznym miejscu, na przykład na pokładzie statku; mogli nawet dysponować odpowiednio dużą salą w siedzibie Genetico, na północy miasta. A jednak za siódmym razem uczynny recepcjonista udzielił mu wyczerpującej odpowiedzi:

- Tak, konferencja odbędzie się jutro w południe w Sali Regencyjnej, proszę pana.

- Świetnie - odparł Steve. Jeannie rzuciła mu pytające spojrzenie, a on uśmiechnął się i podniósł w górę kciuk. - Czy może pan zarezerwować pokój na dzisiejszą noc?

- Połączę pana z rezerwacją, proszę chwilę poczekać.

Steve zarezerwował pokój, płacąc kartą American Express swojej matki.

- Henry King ma do wyboru trzy loty z Bostonu, wszystkie USAir - stwierdziła Lisa, kiedy odłożył słuchawkę. - O szóstej trzydzieści, o siódmej czterdzieści i o dziewiątej czterdzieści pięć. Na wszystkie są wolne miejsca.

- Zarezerwuj bilet na dziewiątą czterdzieści pięć - zdecydowała Jeannie.

Steve podał kartę kredytową Lisie, która wpisała szczegóły.

- Wciąż nie wiem, jak mam go przekonać - mruknęła Jeannie.

- Powiedziałaś, że jest studentem i pracuje w barze? - upewnił się Steve.

- Zgadza się.

- W takim razie na pewno potrzebuje pieniędzy. Spróbuję z nim pogadać. Jaki jest jego numer?

Jeannie podała mu.

- Mówią na niego Hank - dodała.

Steve wystukał numer, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Nikogo nie ma - stwierdził, potrząsając z rozczarowaniem głową.

Jeannie zmartwiła się, ale po chwili strzeliła palcami.

- Na pewno pracuje teraz w barze - przypomniała sobie i dała numer Steve'owi.

Telefon odebrał mężczyzna z latynoskim akcentem.

- Blue Note Cafe.

- Czy mogę mówić z Hankiem?

- On ma pracować, a nie gadać przez telefon - stwierdził poirytowanym tonem mężczyzna.

Steve uśmiechnął się do Jeannie. "Jest tam", szepnął bezgłośnie.

- To bardzo ważna sprawa, nie zabiorę mu dużo czasu - powiedział do telefonu.

Chwilę później usłyszał głos do złudzenia przypominający jego własny.

- Tak, kto mówi?

- Cześć, Hank, nazywam się Steve Logan i coś nas łączy.

- Chcesz mi coś sprzedać?

- Nasze matki leczyły się przed naszym urodzeniem w klinice, która nazywa się Aventine. Możesz ją o to zapytać.

- I co z tego?

- Żeby nie zabierać ci dużo czasu, chodzi o to, że wnoszę przeciwko klinice pozew o odszkodowanie w wysokości dziesięciu milionów dolarów i chcę, żebyś się do mnie przyłączył.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Nie wiem, czy mówisz serio, czy żartujesz, chłopie, ale ja nie mam forsy na jakieś procesy.

- Zapłacę wszystkie koszty. Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Więc po co dzwonicz?

- Ponieważ razem z tobą będę miał większe widoki na wygraną.

- Lepiej przedstaw mi w liście wszystkie szczegóły.

- W tym problem. Jutro w południe musisz być w Baltimore, w hotelu Stouffer.

Zwołuję konferencję prasową i chcę, żebyś się na niej pojawił.

- Komu by się chciało jeździć do Baltimore? To nie Honolulu.

Nie rób sobie żartów, dupku.

- Masz załatwioną rezerwację na samolot o dziewiątej czterdzieści pięć. Bilet jest opłacony, możesz to sprawdzić w USAir. Musisz go tylko odebrać na lotnisku.

- Chcesz podzielić się ze mną dziesięcioma milionami dolarów?

- Nie. Możesz od nich wyciągnąć swoje dziesięć baniek.

- O co dokładnie ich oskarżasz?

- O umyślne naruszenie umowy.

- Studiuję biznes. Czy w sprawach tego rodzaju nie obowiązuje przedawnienie? Coś, co zdarzyło się dwadzieścia trzy lata temu...

- Okres przedawnienia liczy się od momentu odkrycia przestępstwa. Czyli w tym przypadku od zeszłego tygodnia.

Gdzieś obok odezwał się głos z latynoskim akcentem.

- Hej, Hank, czeka na ciebie ze stu klientów!

- To, co mówisz, zaczyna być coraz bardziej przekonujące - powiedział Hank do telefonu.

- Czy to znaczy, że przyjedziesz?

- Nie. To znaczy, że pomyślę o tym, kiedy wrócę do domu z roboty. Teraz muszę podawać drinki.

- Możesz skontaktować się ze mną w hotelu - dodał Steve, ale spóźnił się; w słuchawce zabrzmiał sygnał centrali.

Jeannie i Lisa spojrzały na niego z oczekiwaniem.

- Nie wiem - stwierdził, wzruszając ramionami. - Nie mam pojęcia, czy udało mi się go przekonać.

- Musimy po prostu czekać. Może się pojawi - powiedziała Lisa.

- Z czego utrzymuje się Wayne Stattner?

- Jest właścicielem nocnych klubów. Najprawdopodobniej ma już na koncie dziesięć milionów dolarów.

- W takim razie powinniśmy wzbudzić w nim ciekawość. Masz jego numer?

- Nie.

- Jeśli taki z niego ważniak, ma pewnie zastrzeżony telefon. Może dadzą mi numer klubu. - Steve zadzwonił do informacji, podał im nazwisko, otrzymał numer, wystukał go i połączył się z automatyczną sekretarką. - Cześć, Wayne, nazywam się Steve Logan i zauważyłeś być może, że mój głos brzmi dokładnie tak samo jak twój - powiedział po usłyszeniu sygnału. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale to dlatego, że jesteśmy identyczni. Mam sześć stóp dwa cale wzrostu, ważę sto dziewięćdziesiąt funtów i wyglądam tak samo jak ty, z wyjątkiem koloru włosów. Oto kilka innych rzeczy, które nas łączą: jestem uczulony na orzechy macadama, nie mam paznokci na małych palcach u nóg, kiedy się nad czymś zastanawiam, drapię się palcami prawej ręki po zewnętrznej stronie lewej. Dowcip polega na tym, że nie jesteśmy bliźniakami. Jest nas kilku. Jeden popełnił w niedzielę przestępstwo na Uniwersytecie Jonesa Fallsa: dlatego wczoraj złożyła ci wizytę policja z Baltimore. Spotykamy się jutro w hotelu Stouffer w Baltimore. To wszystko jest bardzo dziwne, Wayne, ale przysięgam ci, że to prawda. Zadzwoń do mnie albo do doktor Ferrami

do hotelu, albo po prostu przyjeźdź. To będzie coś ciekawego. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Jeannie. - Co o tym sądzisz?

- To człowiek, którego stać na różne kaprysy - odparła, wzruszając ramionami. - Może go to zaintrygować. Jako właściciel nocnego klubu nie ma prawdopodobnie nic do roboty w poniedziałek rano. Z drugiej strony nie wydaje mi się, żebym wybrała się w podróż samolotem po otrzymaniu takiej wiadomości.

Nagle zadzwonił telefon. Steve podniósł machinalnie słuchawkę.

- Czy mogę mówić ze Steve'em? - Głos brzmiał zupełnie obco.

- Przy telefonie.

- Mówi wujek Preston. Daję ci ojca.

Steve nie miał żadnego wujka Prestona. Zaintrygowany zmarszczył czoło. Po chwili w słuchawce odezwał się kolejny głos.

- Jesteś sam? Czy ona słucha?

Steve nagle zrozumiał. Zdumienie ustąpiło miejsca szokowi. Nie miał pojęcia, co robić.

- Chwileczkę - powiedział i zakrył dłonią mikrofon. - To Berrington Jones! - poinformował Jeannie. - Wziął mnie - za Harveya. Co mam, do diabła, robić?

Jeannie rozłożyła bezradnym gestem ręce.

- Improwizuj.

- Wielkie dzięki. - Steve przystawił słuchawkę do ucha. - Steve przy telefonie - mruknął.

- Co się dzieje? Siedzisz tam już kilka godzin!

- Zgadza się.

- Dowiedziałeś się, co planuje?

- Chyba tak.

- Więc wracaj i wszystko nam opowiedz.

- Dobrze.

- Nic ci nie grozi?

- Nie.

- Domyślałem się, że ją przeleciałeś.

- Można tak powiedzieć.

- No to zapinaj spodnie i wracaj do domu! Jesteśmy w opałach.

- Dobrze.

- Kiedy odłożysz słuchawkę, wytłumacz jej, że dzwonił ktoś, kto pracuje dla adwokata twoich rodziców, i poinformował cię, że musisz zaraz wracać do Waszyngtonu. To wyjaśni twój pośpiech. W porządku?

- W porządku. Postaram się jak najszybciej wrócić.

Berrington odłożył słuchawkę i Steve zrobił to samo.

- Chyba udało mi się go nabrać - stwierdził, opuszczając z ulgą ramiona.

- Co powiedział? - zapytała Jeannie.

- Bardzo interesujące rzeczy. Wygląda na to, że przysłali tutaj Harveya, żeby dowiedzieć się, jakie masz zamiary. Martwią się, w jaki sposób wykorzystasz zebrane przez siebie informacje.

- Kto się martwi?

- Berrington i jakiś wujek Preston.

- Preston Berek, prezes Genetico. Po co dzwonił?

- Z niecierpliwości. Berrington miał dość czekania. On i jego kumple chcą się dowiedzieć, co zamierzasz, żeby móc obmyślić sposób obrony. Mam ci powiedzieć, że jadę do Waszyngtonu na spotkanie z adwokatem, i wracać jak najszybciej do niego do domu.

Na twarzy Jeannie odbił się niepokój.

- To niedobrze - stwierdziła. - Kiedy Harvey nie wróci, Berrington domyśli się, że coś jest nie w porządku. Nie sposób przewidzieć, co wtedy zrobią. Mogą zwołać konferencję w innym miejscu, zaostrzyć środki ostrożności, żebyśmy nie mogli dostać się na nią, albo nawet odwołać spotkanie z prasą i podpisać papiery w kancelarii u adwokata.

Steve zmarszczył czoło i wbił wzrok w podłogę. Miał pewien pomysł, ale bał się go przedstawić.

- W takim razie Harvey musi wrócić do domu - oświadczył w końcu.

Jeannie potrząsnęła głową.

- Leży tutaj na podłodze i słucha, co mówimy. Wszystko im powtórzy.

- Nie zrobi tego, jeśli pojawię się tam zamiast niego.

Jeannie i Lisa popatrzyły przerażone.

Steve nie miał czasu się nad tym lepiej zastanowić i teraz zaczął myśleć na głos.

- Pojadę do domu Berringtona i będę udawał Harveya. Rozproszę ich obawy.

- To jest zbyt ryzykowne, Steve. Nic o nich nie wiesz. Nie będziesz nawet wiedział, gdzie jest łazienka.

- Jeśli Harvey oszukał ciebie, mnie uda się oszukać Berringtona - odparł, chociaż w głębi duszy nie był tego taki pewien.

- Harvey nie oszukał mnie. Zdemaskowałam go.
- Przez jakiś czas cię oszukiwał.
- Krócej niż godzinę. A ty będziesz tam musiał zostać dłużej.
- Nie sądzę. Wiemy, że Harvey wraca normalnie w niedzielę do Baltimore. Przed północą będę z powrotem.
- Ale Berrington jest ojcem Harveya. To niemożliwe. Wiedział, że Jeannie ma rację.
- Masz jakiś lepszy pomysł? - zapytał.
- Nie - odparła po długim namyśle.

Steve włożył sztruksowe spodnie i jasnoniebieski sweter Harveya i pojechał jego datsunem do Roland Parku. Kiedy zatrzymał się przed domem Berringtona, było już ciemno. Zaparkował za srebrzystym lincolnem town carem i przez chwilę siedział w samochodzie, mobilizując odwagę.

Musiał to odpowiednio rozegrać. Jeśli go zdemaskują, Jeannie będzie skończona. Niestety nie miał żadnych informacji, na których mógłby się oprzeć. Musiał uważać na każde słowo, domyślać się, czego od niego chcą, nie przejmować się drobnymi potknięciami. Żałował, że nie jest aktorem.

Zastanawiał się, w jakim nastroju może być Harvey. Został w raczej obcesowy sposób wezwany przez ojca. Na pewno miał ochotę pobyt dłużej z Jeannie. Jest chyba wściekły.

Westchnął. Nie mógł zwlekać. Wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia.

Harvey miał kilka kluczy. Steve zerknął na zamek. Wydawało mu się, że widzi na nim napis Yale. Zaczął szukać odpowiedniego klucza, ale zanim go znalazł, Berrington otworzył drzwi.

- Na co tutaj czekasz? - zapytał. - Właż do środka.

Steve wszedł do przedpokoju.

- Idź do gabinetu - rzucił Berrington.

Gdzie tu jest, kurwa, gabinet? Steve starał się nie wpadać w panikę. Dom zbudowano w latach siedemdziesiątych w typowym stylu podmiejskiego rancza. Po lewej znajdował się elegancko umeblowany, pusty salon. Przed sobą miał korytarz z kilkoma drzwiami, prawdopodobnie do sypialni. Po prawej - dwoje zamkniętych drzwi. Jedne z nich prowadziły do gabinetu - ale które?

- Idź do gabinetu - powtórzył Berrington, jakby Harvey nie usłyszał go za pierwszym razem.

Steve nacisnął pierwszą klamkę.

Wybrał złe drzwi. Prowadziły do łazienki.

Berrington rzucił mu poirytowane spojrzenie.

Steve zawahał się, a potem przypomniał sobie, że ma być wściekły.

- Mogę się chyba wpiąć? - warknął i nie czekając na odpowiedź wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

To była łazienka dla gości, z klozetem i małą umywalką. Steve oparł się o umywalkę i spojrzął w lustro.

- Chyba jesteś szalony - szepnął do swego odbicia.

Spuścił wodę, umył ręce i wyszedł.

Usłyszał dobiegające z głębi domu męskie głosy. Wszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się szybko dookoła. W środku było biurko, szafka, dużo półek z książkami, telewizor i kilka foteli. Na biurku stała fotografia atrakcyjnej blondynki koło czterdziestki, trzymającej na rękach dziecko. Ubrana była w strój mniej więcej sprzed dwudziestu lat. Czy to żona Berringtona? Moja "matka"? Otworzył po kolei szuflady biurka, a potem zajrzał do szafki. W najniższej szufladzie, prawie tak jakby Berrington chciał ją ukryć, stała butelka whisky Springbank i kilka kryształowych kieliszków. Kiedy zamykał szufladę, drzwi otworzyły się. Do gabinetu wszedł Berrington i dwaj inni mężczyźni. Steve rozpoznał senatora Prousta, którego łysa głowa i wielki nos stanowiły ulubiony motyw karykaturzystów. Domyślił się, że wysoki brunet to "wujek" Preston Berek, prezes Genetico.

Przypomniał sobie, że ma być w złym humorze.

- Nie musieliście mnie tutaj tak szybko ściągać - mruknął.

- Właśnie skończyliśmy kolację - powiedział pojednawczym tonem Berrington. - Chcesz coś zjeść? Mariannę może ci przynieść.

Żołądek Steve'a był ściśnięty ze zdenerwowania, ale Harvey na pewno nie pogardziłby kolacją. Steve udał, że poprawił mu się humor.

- Jasne, chętnie coś przegryzę.

- Mariannę! - zawołał Berrington.

Po chwili w progu stanęła ładna, sprawiająca wrażenie zdenerwowanej, czarna dziewczyna.

- Przynieś Harveyowi kolację - polecił jej Berrington.

- Już przynoszę, monsieur - odparła cicho i wyszła.

Steve zauważył, że idąc do kuchni, przeszła przez salon. Gdzieś obok musiała być również jadalnia, chyba że jedli w kuchni.

- No i czego się dowiedziałeś, mój chłopcze? - zapytał Proust, pochylając się w jego stronę.

Steve ustalił już wcześniej z Jeannie, co im powie.

- Myślę, że przynajmniej na razie nie musicie się zbytnio przejmować - oznajmił. - Jeannie Ferrami zamierza pozwać Uniwersytet Jonesa Fallsa pod zarzutem bezprawnego

zwolnienia. Uważa, że będzie mogła wspomnieć o istnieniu klonów podczas procesu. Do tego czasu nie chce zwracać się z tym do prasy. Umówiła się na środę z adwokatem.

Trzej mężczyźni wyraźnie się odprężyli.

- Proces o bezprawne zwolnienie z pracy - powiedział Proust. - To potrwa co najmniej rok. Mamy mnóstwo czasu, żeby zrobić co trzeba.

Nabrałem was, starzy głupcy.

- A co ze sprawą Lisy Hoxton? - zapytał Berrington.

- Jeannie wie, kim jestem, i uważa, że to zrobiłem, ale nie ma żadnych dowodów. Najprawdopodobniej zawiadomi policję, ale będzie to wyglądać na bezpodstawne oskarżenie, wysunięte z chęci zemsty przez byłą pracownicę.

Berrington pokiwał głową.

- To dobrze, ale mimo wszystko będziesz potrzebował adwokata. Wiesz, co zrobimy? Zostaniesz tu na noc... i tak za późno już, żebyś wracał do Filadelfii.

Nie chcę spędzać tutaj nocy!

- No nie wiem...

- Rano pojedziesz ze mną na konferencję prasową, a zaraz potem odwiedzimy Henry'ego Quinna.

To zbyt ryzykowne!

Nie wpadaj w panikę, zastanów się.

Jeśli zostanę, będę przez cały czas wiedział, co szykują ci trzej dranie. Dla czegoś takiego warto zaryzykować. Kiedy będę spał, nic mi się chyba nie stanie. Mógłbym zadzwonić po kryjomu do Jeannie i powiedzieć, co się dzieje.

- W porządku - zdecydował po chwili.

- Wynika z tego, że niepotrzebnie zamartwialiśmy się na śmierć - oświadczył Proust. Berek nie pozbył się tak szybko wątpliwości.

- Nie przyszło jej do głowy, żeby przeszkodzić w sprzedaży Genetico? - zapytał z powątpiewaniem.

- Jest sprytna, ale nie zna się chyba zbyt dobrze na interesach - stwierdził Steve.

Proust mrugnął do niego okiem.

- Jaka jest w łóżku?

- Ognista - odparł Steve, szczerząc zęby, i Proust ryknął śmiechem.

Do gabinetu weszła Marianne, niosąc na tacy kilka plastrów pieczonego kurczaka, sałatkę z cebulą, chleb i butelkę budweisera. Steve uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję - powiedział. - Wygląda to wspaniale.

Marianne rzuciła mu zdumione spojrzenie i zdał sobie sprawę, że Harvey nie należy do ludzi, którzy mówią "dziękuję". Złapał spojrzenie Prestona Barcka, który uważnie mu się przyglądał. Ostrożnie, ostrożnie! Nie zepsuj tego teraz, wszystko poszło tak, jak chciałeś, musisz tylko przetrwać jakoś tę godzinę przed pójściem spać.

Zaczął jeść.

- Pamiętasz, jak zabrałem cię na lunch do hotelu Plaża w Nowym Jorku, kiedy miałaś dziesięć lat? - zapytał nagle Preston.

Steve miał już zamiar odpowiedzieć twierdząco, kiedy dostrzegł zdziwienie na twarzy Berringtona. Czy to jest test? Czy Berek nabrał podejrzeń?

- Do hotelu Plaża? - powtórzył, marszcząc czoło. Nie mógł się wykręcić, musiał odpowiedzieć tak albo nie. - Nie, za cholerę nie pamiętam.

- Może to był syn mojej siostry - wycofał się Berek.

Mało brakowało.

Berrington wstał z fotela.

- Po tym piwie leję jak koń - stwierdził i wyszedł.

- Napiłbym się szkockiej - mruknął Proust.

- Zajrzyj do najniższej szuflady. Tam ją zwykle chowa - poradził mu Steve.

Proust podszedł do szafki i otworzył szufladę.

- Brawo, chłopcze - powiedział, wyjmując butelkę i kilka kieliszków.

- Wiem o tym od dwunastego roku życia - oznajmił Steve. - Wtedy właśnie zacząłem ją podpijać.

- Proust wybuchnął śmiechem. Steve zerknął ukradkiem na Barcka. Z jego twarzy zniknęły wątpliwości i szeroko się uśmiechał.

60.

Pan Oliver wyciągnął olbrzymi pistolet, który zachował z drugiej wojny światowej.

- Zabrałem go niemieckiemu więźniowi. Kolorowym żołnierzom nie wolno było na ogół w tamtych czasach nosić broni - mówił, sadowiąc się na kanapie i biorąc na muszkę Harveya.

Lisa siedziała przy telefonie, próbując odnaleźć George'a Dassaulta.

- Pojadę teraz do hotelu zameldować się i trochę rozejrzeć - powiedziała Jeannie. Wrzuciła kilka rzeczy do walizki i wyszła.

Jadąc przez miasto, zastanawiała się, jak przemycić Harveya do pokoju, nie zwracając na siebie uwagi hotelowej ochrony.

Hotel Stouffer miał podziemny garaż; to był plus. Zostawiła tam samochód i wjechała windą do hallu wejściowego. Żeby dostać się na wyższe piętra, trzeba było skorzystać z innych wind, ale wchodziło się do nich z bocznego korytarza, niewidocznego z recepcji. Przejście z jednej do drugiej windy nie powinno zabrać więcej niż kilka sekund. Ciekawe, czy będą go musieli nieść lub wlec po podłodze, czy też okaże się bardziej uległy i pójdzie o własnych siłach? Trudno to było przewidzieć.

Zameldowała się, zostawiła walizkę w pokoju, po czym natychmiast wyszła i wróciła do domu.

- Znalazłam George'a Dassaulta - poinformowała ją podekscytowana Lisa, kiedy tylko weszła do środka.

- To wspaniale! Gdzie?

- Dodzwoniłam się do jego matki w Buffalo, a ona dała mi jego numer w Nowym Jorku. Jest aktorem i gra w bardzo awangardowym teatrze.

- Czy przyjedzie jutro?

- Tak. "Zrobię wszystko, żeby zyskać trochę rozgłosu", powiedział. Załatwiłam mu lot i obiecałam, że będę na niego czekać na lotnisku.

- To cudownie!

- Będziemy mieli trzech sobowtórów; dla telewizji to prawdziwa gratka!

- Pod warunkiem że uda nam się przemycić Harveya do hotelu. Możemy ominąć odźwiernego, wjeżdżając od razu do podziemnego garażu - zaczęła wyjaśniać Jeannie. - Winda z garażu wjeżdża tylko na parter. Żeby dostać się do pokoju, trzeba przesiąść się do innej. Ale wejście do wind jest trochę z boku.

- Tak czy inaczej, będzie musiał być cicho przez dobre pięć, a może nawet dziesięć minut, które zajmie nam przejście z samochodu do pokoju - zauważył z powątpiewaniem pan Oliver. - A co będzie, jeśli któryś z gości zobaczy, że ma związane ręce i nogi? Mogą zacząć zadawać pytania albo wezwać ochronę.

Jeannie spojrzała na Harveya, który leżał skrepowany i zakneblowany na podłodze i przysłuchiwał się rozmowie.

- Myślałam nad tym i mam chyba pewien pomysł - stwierdziła. - Czy może pan go związać tak, żeby mógł chodzić, ale niezbyt szybko?

- Jasne - odparł pan Oliver.

Gdy to robił, Jeannie poszła do sypialni i wyjęła z szafy kolorowy sarong, który kupiła kiedyś na plażę, długi szeroki szal, chustę oraz maskę Nancy Reagan, którą dostała na jakimś przyjęciu i zapomniała wyrzucić.

Pan Oliver postawił Harveya na nogi. Ten natychmiast usiłował go uderzyć obiema rękami. Jeannie zdrętwiała ze strachu, a Lisa krzyknęła głośno, ale pan Oliver tego się chyba spodziewał. Uchylił się bez trudu i wyrzucił Harveya w brzuch kolbą pistoletu. Harvey jęknął i zgiął się wpół, a pan Oliver uderzył go ponownie, tym razem w głowę. Harvey osunął się na kolana i pan Oliver musiał go ponownie stawiać na nogi. Teraz sprawiał wrażenie uległego.

- Chcę go ubrać - oznajmiła Jeannie.

- Proszę bardzo - powiedział pan Oliver. - Ja będę stał z boku i co jakiś czas mu przywalę, żeby był grzeczny.

Jeannie owinęła nerwowo sarong wokół bioder Harveya i związała go niczym spódnicę. Trzęsły jej się ręce: jego bliskość wytrącała ją z równowagi. Sarong był długi i okrywał kostki Harveya, zasłaniając elektryczny kabel, który krępował jego nogi. Jeannie udrapowała szal na jego ramionach i przypięła go agrafkami do więzów na nadgarstkach, tak że wyglądał niczym starsza dama ściskająca w dłoniach rąbki szala. Potem zrolowała chustkę, owinęła nią jego zakneblowane kuchenną ściereczką usta i zawiązała węzeł na karku. Na koniec nałożyła mu na twarz maskę Nancy Reagan, żeby zasłonić knebel.

- Był na balu kostiumowym. Przebrał się za Nancy Reagan i za dużo wypił - wyjaśniła.

- Dobra robota - stwierdził pan Oliver.

Zadzwonił telefon i Jeannie podniosła słuchawkę.

- Halo? - zapytała.

- Mówi Mish Delaware.

Jeannie zupełnie o niej zapomniała. Od chwili kiedy desperacko usiłowała się z nią skontaktować, minęło czternaście albo piętnaście godzin.

- Cześć - powiedziała.

- Miałaś rację. Zrobił to Harvey Jones.

- Skąd wiesz?

- Filadelfijska policja spisała się wyjątkowo szybko. Pojechali do jego mieszkania. Nie było go, ale sąsiad wpuścił ich do środka. Znaleźli czapkę i zdali sobie sprawę, że pasuje do opisu poszkodowanej.

- To świetnie!

- Chcę go aresztować, ale nie wiem, gdzie go znaleźć. A ty?

Jeannie spojrzała na Harveya, wyglądającego jak mierząca sześć stóp i dwa cale Nancy Reagan.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Ale mogę ci powiedzieć, gdzie będzie jutro w południe.

- Mów.

- W hotelu Stouffer, w Sali Regencyjnej, na konferencji prasowej.

- Dziękuję.

- Czy mogę cię o coś prosić?

- O co?

- Nie aresztuj go przed zakończeniem konferencji. To dla mnie naprawdę ważne, żeby się tam znalazł.

- Dobrze - odparła po krótkim wahaniu Mish.

- Dziękuję. Jestem ci bardzo zobowiązana. - Jeannie odłożyła słuchawkę. - W porządku, ładujemy go do samochodu.

- Niech pani pójdzie przodem i otworzy drzwi - powiedział pan Oliver. - Ja go sprowadzę.

- Złapała klucze i wybiegła na dwór. Zapadła już noc, ale ulica skąpana była w jasnym świetle gwiazd i ulicznych latarni. Rozejrzała się dookoła. Chodnikiem oddalała się młoda para w postrzępionych dzinsach, trzymając się za ręce. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna w słomkowym kapeluszu prowadził na smyczy żółtego labradora. Wszyscy troje mogli bez trudu zobaczyć, co się dzieje. Czy zwrócą na nich uwagę? Czy będzie ich obchodzić to, co zobaczą?

Otworzyła tylne drzwiczki mercedesa.

Z domu wyszli, stąpając bardzo blisko siebie, pan Oliver i Harvey. Pan Oliver popychał przed sobą więźnia, Harvey posuwał się do przodu małymi kroczkami. Lisa wyszła zaraz po nich i zamknęła drzwi domu.

Jeannie uświadomiła sobie nagle cały absurd tej sceny. W gardle wezbrał jej histeryczny śmiech i przytknęła dłoń do ust, żeby go stłumić.

Harvey dotarł do samochodu i pan Oliver pchnął go po raz ostatni. Harvey zwałił się na tylne siedzenie. Pan Oliver zatrzasnął drzwiczki.

Jeannie przestało być wesoło. Spojrzała ponownie na ludzi na ulicy. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu obserwował swego psa, który odlewał się na oponę subaru. Trzymający się za ręce młodzi nie obejrzel się.

Jak na razie wszystko szło dobrze.

- Siadę razem z nim z tyłu - powiedział pan Oliver.

- Dobrze.

Jeannie zajęła miejsce za kierownicą, Lisa obok niej.

W niedzielną noc w śródmieściu panował niewielki ruch. Jeannie wjechała do garażu pod hotelem i zaparkowała jak najbliżej windy, żeby skrócić dystans, jaki mieli do pokonania z Harveyem. Garaż nie był zupełnie pusty. Musieli poczekać, aż ubrana elegancko para wysiądzie z lexusa i wjedzie windą na parter. Dopiero kiedy w pobliżu nie było nikogo, wyszli z samochodu.

Jeannie wyjęła francuski klucz z bagażnika, pokazała go Harveyowi i włożyła do kieszeni džinsów. Pan Oliver miał przy pasie swój zakryty połą koszuli wojenny pistolet. Wyciągnęli Harveya z samochodu. Jeannie bała się, że w każdej chwili może zacząć się szarpać, ale on podreptał spokojnie do windy.

Czekali na nią bardzo długo.

Kiedy w końcu przyjechała, wpakowali go do środka i Jeannie nacisnęła guzik na parter.

W trakcie jazdy pan Oliver uderzył Harveya ponownie w brzuch.

Jeannie była wstrząśnięta; więzień nie dał im żadnego powodu.

Harvey jęknął i zgiął się wpół dokładnie w momencie, kiedy otworzyły się drzwi. Dwaj mężczyźni czekający na windę wlepili w niego wzrok.

- Przepraszam panów, ale ten młody dżentelmen wypił o jednego drinka za dużo - powiedział pan Oliver, wyprowadzając potykającego się Harveya z windy. Mężczyźni zeszli im szybko z drogi.

Kolejna winda już na nich czekała. Załadowali do niej Harveya i Jeannie wcisnęła przycisk ósmego piętra. Kiedy drzwi się zamknęły odetchnęła z ulgą.

Dotarli na górę bez żadnych przeszkód. Harvey dochodził do siebie po ciosie pana Olivera, ale byli już prawie u celu. Jeannie ruszyła przodem do pokoju, który wynajęła, gdy nagle ujrzała z przerażeniem, że drzwi są otwarte, a na klamce wisi kartka z napisem: SPRZĄTANIE POKOJU. Pokojówka musiała słać łóżka albo coś w tym rodzaju. Jeannie jęknęła ze zdenerwowania.

Harvey zaczął się szarpać. Wymachiwał wściekle związanymi rękoma i wydawał głośne gardłowe odgłosy. Pan Oliver próbował go uderzyć, ale on się uchylił i przebiegł kilka kroków korytarzem.

Jeannie pochyliła się i złapała za kabel, który krępował jego kostki. Harvey zachwiał się. Pociągnęła ponownie, lecz tym razem bez rezultatu. Jezu, ale on ciężki. Harvey podniósł ręce, żeby ją uderzyć. Zmobilizowała wszystkie siły i szarpnęła jeszcze raz. Harvey stracił równowagę i runął jak długi na podłogę.

- Wielkie nieba, co się tutaj, na miłość boską, dzieje? - rozległ się nagle afektowany głos za ich plecami. Pokojówka - ubrana w nieskazitelny uniform czarna kobieta koło sześćdziesiątki - wyszła z pokoju i stanęła na środku korytarza.

Pan Oliver ukląkł obok Harveya i wziął go pod ramiona.

- Ten młody człowiek za ostro balował - stwierdził. - Zarzygał całą maskę mojej limuzyny.

Rozumiem, pomyślała Jeannie, na użytek pokojówki pan Oliver jest naszym szoferem.

- Balował? - zdziwiła się pokojówka. - Bardziej wygląda mi to na bójkę.

- Czy może pani złapać go za nogi? - zapytał pan Oliver, zwracając się do Jeannie.

Jeannie zrobiła to i podnieśli wspólnie Harveya, który zaczął się znowu szarpać. Pan Oliver puścił go niby przypadkiem i podstawił kolano, tak że wpadając na nie, Harvey stracił oddech.

- Uważajcie, zrobicie mu krzywdę! - zawołała pokojówka.

- Jeszcze raz, proszę pani - powiedział pan Oliver.

Dźwignęli go, zanieśli do pokoju i rzucili na stojące bliżej łóżko.

Pokojówka weszła za nimi do środka.

- Mam nadzieję, że nie będzie tu wymiotował.

Pan Oliver uśmiechnął się do niej.

- Jak to się stało, że cię nigdy przedtem nie spotkałem? - zapytał. - Mam oko na ładne dziewczyny, ale nie przypominam sobie, żebym cię tu kiedyś widział.

- Za dużo sobie nie pozwalaj - odparła, ale uśmiechnęła się. - Nie jestem dziewczyną.

- Mam siedemdziesiąt jeden lat, ale ty nie możesz mieć więcej niż czterdzieści pięć.

- Mam pięćdziesiąt dziewięć i jestem za stara, żeby słuchać takich głupot.

Pan Oliver wziął ją delikatnie pod ramię i wyprowadził z pokoju.

- Słuchaj, zaraz będę wolny. Chcesz się przejechać moją limuzyną? - zapytał.

- Z rzygami na masce? Nie ma mowy - odparła, rechocząc głośno.

- Mógłbym je zmyć.

- W domu czeka na mnie mąż. Gdyby usłyszał, co tutaj wygadujesz, miałby pan większe kłopoty niż paw na masce, panie szofer.

- Nie to nie. - Pan Oliver uniósł ręce w przeproszającym geście. - Nie miałem na myśli nic złego. - Udając strach, wycofał się do pokoju i zamknął drzwi.

Jeannie opadła na krzesło.

- Boże wszechmogący, udało nam się - szepnęła.

61.

Zaraz po kolacji Steve wstał z fotela.

- Idę spać - oznajmił. Chciał jak najszybciej wycofać się do pokoju Harveya. Kiedy będzie sam, nikt go nie zdemaskuje.

Przyjęcie skończyło się. Proust wypił resztkę whisky i Berrington odprowadził obu gości do samochodu.

Steve zorientował się, że może zatelefonować do Jeannie i powiedzieć jej, co się dzieje. Zakradł się do telefonu i zadzwonił do informacji. Długo trwało, zanim podnieśli słuchawkę. Szybciej, szybciej! W końcu uzyskał połączenie i poprosił o numer hotelu. Za pierwszym razem pomylił się i połączył z jakąś restauracją. Drżącą ręką wystukał ponownie numer i tym razem dodzwonił się do hotelu.

- Chciałbym mówić z doktor Jean Ferrami - powiedział.

Berrington wszedł do gabinetu dokładnie w tej samej chwili, kiedy Steve usłyszał jej głos.

- Halo?

- Cześć, Linda, tu Harvey.

- To ty, Steve?

- Tak. Doszedłem do wniosku, że zostanę u taty. Za późno już, żeby wracać do domu.

- Na litość boską, Steve, wszystko u ciebie w porządku?

- Mam trochę kłopotów, ale to nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Jak minął ci dzień, kotku?

- Przemyciliśmy go do pokoju hotelowego. Nie było to łatwe, ale udało się. Lisa skontaktowała się z George'em Dassaultem. Obiecał, że przyjedzie, więc będziemy mieć co najmniej trzech.

- To dobrze. Teraz idę spać. Mam nadzieję, że się jutro zobaczymy.

- Życzę powodzenia.

- Ja tobie też. Dobranoc.

- Gorąca laska? - zapytał, mrugając okiem, Berrington.

- Ciepła.

Berrington wyjął jakieś tabletki i popił jedną z nich whisky.

- To dalmane - wyjaśnił widząc, że Steve przygląda się fiołce. - Po tym wszystkim potrzebuję po prostu czegoś, żeby zasnąć.

- Dobranoc, tato.

Berrington objął go ramieniem.

- Dobranoc, synu - powiedział. - I nie martw się, jakoś sobie poradzimy.

Naprawdę kocha tego degenerata, pomyślał Steve. Przez chwilę poczuł irracjonalne wyrzuty sumienia: oszukiwał kochającego ojca.

A potem zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest jego pokój.

Wyszedł z gabinetu i przeszedł kilka kroków korytarzem, który, jak się domyślał, prowadził do sypialni. Nie miał pojęcia, za którymi drzwiami może być pokój Harveya. Obejrzał się przez ramię i uspokoił widząc, że Berrington nie obserwuje go z gabinetu. Otworzył szybko pierwsze drzwi, starając się desperacko nie robić za wiele hałasu.

Zobaczył dużą łazienkę, z wanną i prysznicem.

Zamknął delikatnie drzwi.

Obok stała szafa z ręcznikami i pościelą.

Uchylił drzwi po drugiej stronie. Prowadziły do sypialni z dużym podwójnym łóżem i kilkoma szafami. Na kłamec wisiał opakowany w folię z pralni garnitur w prążki. Nie sądził, żeby Harvey nosił coś takiego. Miał zamiar je cicho zamknąć, kiedy usłyszał tuż za plecami głos Berringtona.

- Potrzebujesz czegoś z mojego pokoju?

Wzdrygnął się przerażony. Przez chwilę kompletnie stracił rezon. Co mam mu, do diabła, powiedzieć? A potem spłynęło na niego natchnienie.

- Nie mam w czym spać - oznajmił.

- Od kiedy to śpisz w piżamie?

Berrington mógł nabrać podejrzeń albo był po prostu zdumiony; Steve nie potrafił tego poznać po jego głosie.

- Myślałem, że masz może o kilka numerów za duży podkoszulek - odparł, brnąc dalej.

- Nic, co by pasowało na te bary - powiedział Berrington i ku jego uldze roześmiał się.

Steve wzruszył ramionami.

Trudno - stwierdził i ruszył dalej.

Na końcu korytarza drzwi były po lewej i prawej stronie: jedne prowadziły do pokoju Harveya, drugie pewnie do służbówki.

Ale które były które?

Ociągał się, mając nadzieję, że Berrington wejdzie do swojej sypialni, zanim będzie musiał dokonać wyboru.

Przy końcu korytarza obejrzał się. Berrington obserwował go.

- Dobranoc, tato - powiedział.

- Dobranoc.

Na lewo, czy na prawo? Nie sposób zgadnąć. Wybierz na chybił trafił.

Otworzył drzwi po prawej stronie.

Koszulka rugby na oparciu krzesła, płyta Snoopa Doggy Doga na łóżku, "Playboy" na biurku.

Sypialnia młodego mężczyzny. Chwała Bogu.

Wszedł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi piętą i oparł się o nie, czując jak nogi uginają się pod nim z przejęcia.

Po chwili rozebrał się i położył. Czuł się bardzo dziwnie w łóżku Harveya, w jego sypialni, w domu jego ojca. Zgasił światło i leżał jakiś czas z otwartymi oczyma, wsłuchując się w odgłosy obcego domu. Słyszał kroki, szum wody w łazience i zamykające się drzwi, a potem wszystko umilkło.

Zapadł w lekką drzemkę i nagle się obudził. Ktoś był w pokoju.

Poczuł wyraźny zapach kwiatowych perfum, zmieszanych z czosnkiem i przyprawami, a potem zobaczył wąski cień Mariannę, która mijala okno.

Zanim zdążył coś powiedzieć, wskoczyła do niego do łóżka.

- Hej - szepnęła.

- Obciągnę ci dokładnie tak, jak lubisz - mówiła cicho, ale w jej głosie brzmiał strach.

- Nie - odparł, odsuwając ją, gdy przesunęła się pod kołdrą w stronę jego krocza. Była zupełnie naga.

- Proszę, nie rób mi dzisiaj nic złego, Arvey - szepnęła miękko. Miała francuski akcent.

Steve wszystkiego się domyślił. Mariannę była imigrantką i Harvey tak ją sterroryzował, że nie tylko robiła wszystko, co - chciał, ale starała się uprzedzać jego życzenia. Jak udawało mu się tuż pod bokiem ojca katować tę biedną dziewczynę? Czy Mariannę bała się odezwać? A potem przypomniał sobie tabletkę nasenną. Berrington spał tak twardo, że krzyki dziewczyny nie były w stanie go obudzić.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, Mariannę. Uspokój się.

Zaczęła całować go po twarzy.

- Bądź dobry, proszę, zrobię wszystko, co chcesz, ale nie rób mi nic złego.

- Nie ruszaj się, Mariannę - powiedział stanowczym tonem.

Zastygła w bezruchu.

Objął ręką jej chude ramiona. Miała miękką ciepłą skórę.

- Poleż tutaj przez chwilę i uspokój się - oznajmił. - Nikt nie będzie cię już krzywdził, obiecuję.

Była cała spięta. Spodziewała się, że ją uderzy, ale po jakimś czasie odprężyła się i przysunęła bliżej.

Miał erekcję, nie mógł na to nic poradzić. Wiedział, że może się z nią pokochać. Leżąc obok niej i obejmując jej drobne drżące ciało, miał wielką ochotę to zrobić. Nikt nigdy by się nie dowiedział. Jak cudownie byłoby ją pieścić i podniecić i jak bardzo czułaby się zaskoczona i zadowolona, mogąc się kochać łagodnie i czule. Mogliby się całować i dotykać przez całą noc.

Westchnął. To byłoby nie w porządku. Mariannę nie przysła tutaj z własnej woli. Do jego łóżka nie przywiódł jej pożądanie, lecz przyczyną był strach i poczucie zagrożenia. Tak, Steve, możesz ją przelecieć - i wykorzystać w ten sposób zastraszoną imigrantkę, która sądzi, że nie ma innego wyboru. To byłaby podłość. Pogardzałbyś człowiekiem, który by to zrobił.

- Lepiej się teraz czujesz? - zapytał.

- Tak...

- Więc wracaj do siebie.

Dotknęła jego twarzy, a potem delikatnie go pocałowała. Steve trzymał wargi mocno zaciśnięte, ale pogładził ją przyjaznym gestem po włosach.

Przez chwilę przyglądała mu się w półmroku.

- Nie jesteś nim - szepnęła.

- Nie - odparł. - Nie jestem nim.

Chwilę później już jej nie było.

Wciąż miał erekcję.

Dlaczego nim nie jestem? Dlatego, że inaczej zostałem wychowany?

Nie, do diabła.

Mogłem ją przelecieć. Mogłem być Harveyem. Nie jestem nim, ponieważ tego nie chciałem. Tej decyzji nie podjęli za mnie rodzice; podjąłem ją sam. Dziękuję wam za pomoc, mamie i tacie, ale to ja, nie wy, odesłałem ją z powrotem do jej pokoju.

Nie stworzył mnie Berrington i nie stworzyliście mnie wy.

Sam się stworzyłem.

PONIEDZIAŁEK

62.

Coś wyrwało go ze snu.

Gdzie ja jestem?

Ktoś potrząsał go za ramię, jakiś facet w pizamie w paski. Uświadomił sobie, że to Berrington Jones. Przez chwilę był zupełnie zdezorientowany, a potem wszystko sobie przypomniał.

- Proszę cię, ubierz się elegancko na konferencję - mówił Berrington. - W szafie znajdziesz koszulę, którą zostawiłeś tu kilka tygodni temu. Mariannę wyprała ją. Potem przyjdź do mnie i wybierz jakiś krawat.

Po jego wyjściu Steve uświadomił sobie, że Berrington przemawia do syna jak do trudnego, nieposłusznego dziecka. Do każdego zdania dołączony był nie wypowiedziany apel: nie kłóć się, po prostu to zrób. Ale jego oschłe maniere ułatwiały rozmowę Steve'owi. Mógł odpowiadać monosylabami, nie zdradzając swojej ignorancji.

Była ósma rano. Przeszedł w samych szortach do łazienki i wziął prysznic, a potem ogolił się jednorazową golarką, którą znalazł w szafce. Nie spieszył się, opóźniając maksymalnie moment, kiedy będzie musiał narazić się na niebezpieczeństwo ponownej rozmowy z Berringtonem.

Z ręcznikiem zawiązanym wokół bioder zajrzał zgodnie z poleceniem Berringtona do jego pokoju. W środku nie było nikogo. Otworzył szafę: wiszące tam krawaty były nieciekawe: same paski, kropki i błyszczący jedwab, nic modnego. Wybrał krawat w szerokie poziome paski. Potrzebował również świeżej bielizny. Przyjrzał się szortom Berringtona. Mimo że był od niego o wiele wyższy, mieli w pasie ten sam rozmiar. Wziął z półki prostą parę niebieskich szortów. " Ubierając się, mobilizował siły do kolejnej ciężkiej próby. Za kilka godzin będzie po wszystkim. Musiał uspić podejrzenia Berringtona aż do paru minut po dwunastej, kiedy Jeannie przerwie konferencję prasową.

Wziął głęboki oddech i wyszedł na korytarz.

Zapach smażonego bekonu zaprowadził go do kuchni. Przygotowująca śniadanie Mariannę wlepiała w niego szeroko otwarte oczy. Ogarnęło go przerażenie: jeśli Berrington zobaczy jej minę, może zapytać, o co chodzi, a biedna dziewczyna była tak zastraszona, że prawdopodobnie wszystko mu powie. Ale Berrington oglądał CNN na małym telewizorze: nie należał widać do ludzi, których interesują problemy służących.

Steve usiadł przy stole. Mariannę nalala mu kawy i soku. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, mając nadzieję, że to ją uspokoi.

Berrington podniósł rękę, prosząc o ciszę - zupełnie niepotrzebnie, ponieważ Steve nie miał ochoty na pogawędkę - i lektor odczytał wiadomość na temat Genetico:

“Michael Madigan, dyrektor generalny Landsmann North America, oświadczył wczoraj wieczorem, że faza przygotowawcza została pomyślnie zakończona i umowa o zakupie firmy zostanie podpisana dzisiaj w Baltimore podczas konferencji prasowej. Akcje Landsmanna wzrosły dziś rano we Frankfurcie o pięćdziesiąt fenigów. Wyniki General Motors za ostatnie trzy kwartały...”

Rozległ się dzwonek do drzwi i Berrington przyciszył telewizor.

- Na zewnątrz stoi policja - powiedział, wyglądając przez okno.

Steve'a uderzyła nagle straszna myśl. Jeśli Jeannie skontaktowała się wczoraj z Mish Delaware i powiedziała jej, co wie o Harveyu, policja mogła wydać nakaz jego aresztowania. A jemu bardzo ciężko będzie udowodnić, że nie jest Harveyem, skoro miał na sobie jego ubranie, siedział w kuchni jego ojca i zjadał jagodzianki upieczone przez jego służącą.

Nie chciał trafić z powrotem do więzienia.

Nie to było jednak najgorsze. Jeśli go teraz aresztują, nie zdąży na konferencję prasową. A kiedy nie zjawi się żaden z klonów, Jeannie będzie miała tylko Harveya. I niczego nie uda jej się udowodnić.

Berrington wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Może przyjechali po mnie? - zapytał Steve.

Marianne wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

- Powiem, że cię tutaj nie ma - odparł Berrington i wyszedł z kuchni.

Steve nie słyszał prowadzonej na progu rozmowy. Siedział nieruchomo na krześle, nie jedząc ani nie pijąc. Marianne stała niczym posąg przy piekarniku, z kuchenną łopatką w ręku.

Berrington pojawił się w końcu z powrotem.

- Dziś w nocy obrabowano trzech naszych sąsiadów - oświadczył. - Mieliśmy chyba szczęście.

Jeannie i pan Oliver zmieniali się przez całą noc, pilnując Harveya, ale oboje niewiele wypoczęli. Spał tylko Harvey, pochrapując pod swoim kneblem.

Rano skorzystali po kolei z łazienki. Jeannie włożyła białą bluzkę i czarną spódniczkę, które przywiozła w walizce, żeby udawać kelnerkę.

Śniadanie zamówili do pokoju. Nie mogli wpuścić kelnera do środka, ponieważ zobaczyłby wtedy leżącego na łóżku związanego Harveya, w związku z czym pan Oliver podpisał rachunek na korytarzu.

- Moja żona jest nie ubrana - oznajmił. - Ja zabiorę wózek.

Dał Harveyowi napić się soku pomarańczowego, przystawiając mu do ust szklankę. Jeannie stała w tym czasie z tyłu z kluczem francuskim, gotowa walnąć go, gdyby próbował jakichś numerów.

Czekała niecierpliwie na telefon od Steve'a. Co się z nim działo? Spędził całą noc w domu Berringtona. Czy niczym się nie zdradził?

Lisa pojawiła się o dziewiątej z kopiami oświadczenia dla prasy i zaraz potem pojechała na lotnisko odebrać George'a Dassaulta i innych klonów, którzy mogli się pojawić. Żaden z całej trójki nie zadzwonił.

Steve zatelefonował o wpół do dziesiątej.

- Muszę się streszczać - oznajmił. - Berrington siedzi w łazience. Wszystko jest w porządku. Jadę razem z nim na konferencję.

Niczego nie podejrzewa?

- Nie... chociaż miałem kilka trudnych chwil. Jak tam mój .aobowtór?

- Grzeczny.

- Muszę kończyć.

- Steve?

- Mów szybko!

- Kocham cię - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Nie powinnam tego mówić: dziewczyna musi grać ostro, żeby coś zdobyć. Ale do diabła z grą.

O dziesiątej wybrała się na krótki zwiad do Sali Regencyjnej. W niewielkiej poczekalni była już kobieta z biura organizacyjnego i zawieszała na użytek kamer telewizyjnych kotarę ze znakiem firmowym Genetico.

Jeannie rozejrzała się szybko dookoła i wróciła na ósme piętro.

Lisa zadzwoniła z lotniska.

- Złe wiadomości - oznajmiła. - Lot z Nowego Jorku jest opóźniony.

- Chryste Panie - jęknęła Jeannie. - Wayne i Hank się nie pojawili?

- Nie.

- O ile opóźniony jest samolot George'a?

- Ma lądować o jedenastej trzydzieści.

- Możesz jeszcze zdążyć.

- Będę pędziła jak wiatr.

O jedenastej Berrington wyszedł z łazienki, wkładając marynarkę. Miał na sobie białą koszulę z podwójnymi mankietami i trzyczęściowy błękitny garnitur w prążki - tradycyjny, ale wywołujący odpowiednie wrażenie.

- Chodźmy - powiedział.

Steve włożył sportową marynarkę Harveya. Pasowała na niego oczywiście jak ulał i była bardzo podobna do jego własnej.

Wyszli na zewnątrz. Obaj ubrali się zbyt ciepło; na dworze żar lał się z nieba. Wsiedli do srebrzystego lincolna i Berrington włączył klimatyzację. W drodze do śródmieścia prawie nie zdejmował nogi z gazu i ku zadowoleniu Steve'a praktycznie się nie odzywał. Zaparkowali w garażu pod hotelem.

- Genetico wynajęło specjalną firmę do obsługi konferencji - oznajmił Berrington, kiedy jechali windą. - Nasz własny dział promocji nigdy nie zajmował się czymś tak dużym.

W drodze do Sali Regencyjnej przejęła ich elegancko uczesana kobieta w czarnym kostiumie.

- Jestem Caren Beamish z Total Communications. Zapraszam panów do sali dla VIP-ów - oświadczyła różnym tonem, wprowadzając ich do małego pokoju, gdzie podano zakąski i napoje.

Steve był lekko poirytowany; chętnie zapoznałby się z rozkładem sali konferencyjnej. Ale nie miało to w gruncie rzeczy większego znaczenia. Najważniejsze było, żeby aż do pojawienia się Jeannie Berrington wierzył, że on jest Harveyem.

W salce dla VIP-ów było już sześć albo siedem osób, wśród nich Proust i Berek. Proustowi towarzyszył muskularny młody mężczyzna w czarnym garniturze, wyglądający na ochroniarza. Berrington przedstawił Steve'a Michaelowi Madiganowi, dyrektorowi Landsmanna na Amerykę Północną, po czym wziął do ręki kieliszek białego wina i zaczął je nerwowo sączyć. Steve napiłby się chętnie martini - miał więcej powodów do zdenerwowania niż Berrington - ale musiał zachować jasny umysł i nie wolno mu było ani na chwilę się rozluźnić. Spojrzał na zegarek, który zabrał Harveyowi. Była za pięć dwunasta. Jeszcze tylko kilka minut. Kiedy to się skończy, będzie mógł strzelić sobie podwójne martini.

Caren Beamish klasnęła w dłonie, żeby zwrócić ich uwagę.

- Czy jesteśmy gotowi, proszę panów? - Obecni pokiwali głowami. - W takim razie proszę wszystkich, którzy nie zasiądą na podium, o zajęcie miejsc na sali.

Nareszcie. Udało się. Już po wszystkim.

- Do widzenia, świat się zmienia - powiedział Berrington, spoglądając z oczekiwaniem na Steve'a.

- Do widzenia - odparł Steve.

Berrington skrzywił się.

- Co to znaczy "do widzenia"? Dokończ to!

Steve poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Wyglądało to na jakąś rymowaną w rodzaju "dobranoc, pchły na noc", ale znaną tylko im obu. Na pewno była na to jakaś odpowiedź i na pewno nie były nią "karaluchy do poduchy". Co ma, do diabła, powiedzieć? Konferencja już się zaczynała - zabrakło mu tylko kilku sekund!

Berrington wlepił w niego wzrok i zmarszczył brwi.

Pot wystąpił Steve'owi na czoło.

- Nie mogłeś tego zapomnieć - stwierdził Berrington. W jego oczach pojawiło się podejrzenie.

- Oczywiście, że nie zapomniałem - odparł szybko Steve... zbyt szybko, ponieważ uświadomił sobie, że teraz musi podać odpowiedź.

Przysłuchiwał im się senator Proust.

- Więc dokończ to - powtórzył Berrington i Steve zobaczył, że rzuca szybkie spojrzenie ochroniarzowi Prousta, który przybrał czujną postawę.

- Kup mi wózek do jeżdżenia - rzucił zdesperowany Steve.

Przez chwilę trwała cisza.

- To ci się udało - stwierdził w końcu Berrington i wybuchnął śmiechem.

Steve odetchnął z ulgą. Na tym widocznie polegała cała zabawa; za każdym razem trzeba było wymyślać nową odpowiedź. Żeby nie pokazać, ile go to kosztowało, odwrócił się na bok.

- Zaczynamy, proszę panów - zawołała organizatorka.

- Tędy - powiedział do Steve'a senator Proust. - Nie chcesz chyba wyjść prosto na scenę, mój chłopcze.

Otworzył przed nim drzwi i Steve ruszył przodem. Znalazł się w łazience.

- Nie, to jest... - wykrztusił, odwracając się. Tuż za jego plecami stał ochroniarz Prousta. Zanim Steve zorientował się, co się dzieje, facet założył mu bolesnego półnelsona.

- Piśnij tylko, a połamię ci ręce - szepnął mu do ucha.

Berrington wkroczył do łazienki zaraz za ochroniarzem. Jim Proust również wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Ochroniarz trzymał chłopaka w silnym uścisku. Berrington kipiał z wściekłości.

- Ty śmieciu - syknął. - Którym z nich jesteś? Pewnie Stevenem Loganem.

Chłopak próbował dalej udawać.

- Co ty wyprawiasz, tato?

- Daj sobie spokój, gra jest skończona. Gdzie jest mój syn?

Chłopak nie odpowiadał.

- Co tu się, do cholery, dzieje, Berry? - zapytał Jim.

Berrington z trudem się opanował.

- To nie jest Harvey - warknął. - To któryś z pozostałych, prawdopodobnie Steve Logan. Musiał go udawać co najmniej od wczoraj wieczorem. Harveya pewnie gdzieś zamknęli.

Jim pobladł.

- To znaczy, że to, co powiedział nam o intencjach Jeannie Ferrami, było kłamstwem!

Berrington pokiwał ponuro głową.

- Ferrami chce prawdopodobnie wyciąć nam jakiś numer podczas konferencji - stwierdził.

- Kurwa, tylko nie na oczach kamer - jęknął Proust.

- To właśnie zrobiłbym na jej miejscu. Ty nie?

Proust przez chwilę się zastanawiał.

- Czy Madigan zachowa zimną krew?

Berrington potrząsnął głową.

- Nie potrafię tego przewidzieć. Wycofując się w ostatniej chwili z transakcji, wyjdzie na głupca. Z drugiej strony postąpi jeszcze głupiej, płacąc sto osiemdziesiąt milionów dolarów za firmę, która może zostać oskubana co do centa przez poszkodowanych. Nie wiadomo, co zrobi.

- Musimy odnaleźć Jeannie Ferrami, żeby ją powstrzymać!

- Mogła się zameldować w hotelu. - Berrington podniósł słuchawkę telefonu zamontowanego w łazience. - Mówi profesor Berrington Jones z konferencji Genetico w Sali Regencyjnej - powiedział swoim najbardziej autorytatywnym tonem. - Czekamy na doktor Ferrami. W którym pokoju się zameldowała?

- Przykro mi, ale nie wolno nam podawać numerów pokoi, panie profesorze. Czy chce pan, żebym pana połączyła? - dodała recepcjonistka, uprzedzając wybuch Berringtona.

- Tak, oczywiście. - Usłyszał w słuchawce sygnał. Po dłuższej chwili telefon odebrał starszy mężczyzna. - Pańskie pranie jest już gotowe, panie Blenkinsop - zaimprovizował Berrington.

- Nie oddawałem niczego do prania.

- Bardzo pana przepraszam... który zajmuje pan pokój? - Berrington wstrzymał oddech.

- Osiemset dwadzieścia jeden.

- Myślałem, że połączyłem się z osiemset dwanaście. Proszę wybaczyć.

- Nic się nie stało.

Berrington odłożył słuchawkę.

- Są w pokoju osiemset dwadzieścia jeden - oznajmił podekscytowany. - Założę się, że Harvey też tam jest.

- Zaraz ma się zacząć konferencja - przypomniał Proust.

- Nie wiem, czy nie jest już za późno. - Berrington wahał się. Nie chciał opóźnić ani o jedną sekundę podpisania umowy, ale musiał zarazem zapobiec temu, co planowała Jeannie. - Zajmij miejsce na podium razem z Madiganem i Prestonem - powiedział po chwili do Prousta - a ja zrobię co mogę, żeby odnaleźć Harvey a i powstrzymać Ferrami.

- W porządku.

Berrington spojrzał na Steve'a.

- Wolałbym zabrać ze sobą twojego ochroniarza, ale nie możemy wypuścić Logana.

- To żaden problem, proszę pana - wtrącił się facet. - Mogę go przykuć do rury.

- Bardzo dobrze. Zrób to.

Berrington i Proust wrócili do pokoju dla VIP-ów. Madigan posłał im pytające spojrzenie.

- Coś nie w porządku, panowie?

- Drobnny problem natury porządkowej, Mike - odparł Proust. - Zajmie się nim Berrington, a my w tym czasie możemy odczytać komunikat.

Madigan nie wydawał się tym usatysfakcjonowany.

- Problem natury porządkowej?

- W hotelu jest Jean Ferrami, kobieta, którą w zeszłym tygodniu wyrzuciłem z pracy - wyjaśnił Berrington. - Może nam wyciąć jakiś numer. Uprzedzę, żeby jej nie wpuszczali.

To wystarczyło Madiganowi.

- Dobrze, załatw to - powiedział.

Madigan, Berek i Proust przeszli do sali konferencyjnej, a Berrington i ochroniarz, który wyłonił się tymczasem z łazienki, ruszyli szybkim krokiem do windy. Berringtona dręczyły złe przeczucia. Nie był człowiekiem czynu - nigdy nim nie był. Batalie, do których przywykł, rozgrywały się na forum uniwersyteckich komisji. Miał nadzieję, że nie będzie musiał się bić na pięści.

Wjechali na ósme piętro i pobiegli truchtem do pokoju osiemset dwadzieścia jeden. Berrington zastukał do drzwi.

- Kto tam? - odezwał się męski głos.

- Obsługa - odparł Berrington.

- Niczego nie potrzebujemy, dziękuję.

- Przepraszam, ale musimy sprawdzić pańską łazienkę.

- Proszę przyjść później.

- Chodzi o awarię.

- Teraz jestem zajęty. Przyjdźcie za godzinę.

Berrington zmierzył wzrokiem ochroniarza.

- Dasz radę wyważyć te drzwi? - zapytał.

Facet wydawał się uszczęśliwiony, ale potem obejrzał się i zrobił niewyraźną minę. Berrington obejrzał się także i zobaczył parę starszków, którzy wyszli z windy, trzymając w rękach torby na zakupy i ruszyli powoli korytarzem w ich stronę. Razem z ochroniarzem czekali cierpliwie, aż ich miną. Para zatrzymała się przed pokojem osiemset trzydzieści. Mąż odłożył zakupy, szukał przez chwilę klucza w kieszeni, a potem nie mógł trafić nim w zamek. W końcu zniknęli w pokoju.

Ochroniarz kopnął w drzwi.

Framuga zatrzeszczała i pojawiły się na niej pęknięcia, ale drzwi nie ustąpiły. Z wewnątrz dobiegł ich odgłos szybkich kroków.

Ochroniarz kopnął ponownie i tym razem drzwi otworzyły się na oścież.

Wbiegli obaj do środka i zatrzymali się jak wryci na widok starszego czarnego faceta, który celował do nich z wielkiego zabytkowego pistoletu.

- Podnieście ręce, zamknijcie te cholerne drzwi i kładźcie się twarzą do podłogi, albo was obu zastrzelę - powiedział. - Po tym, jak się tu włamaliście, żaden sąd w Baltimore nie skaże mnie, jeśli was zabiję.

Berrington podniósł ręce do góry.

Z łóżka poderwała się nagle jakaś postać. Berrington zdążył zobaczyć, że to Harvey, ze związanymi rękoma i ustami zakneblowanymi jakąś szmatą. Mężczyzna obrócił broń w jego stronę.

- Nie! - krzyknął Berrington, przerażony, że zabije mu syna.

Mężczyzna zareagował o ułamek sekundy za późno. Związane ręce Harveya wytrąciły mu pistolet z dłoni. Ochroniarz skoczył do przodu, podniósł go z dywanu i wyprostowując się, wziął na muszkę faceta.

Berrington odetchnął z ulgą.

Mężczyzna uniósł powoli ręce do góry.

Ochroniarz chwycił słuchawkę telefonu.

- Proszę przysłać ochronę do pokoju osiemset dwadzieścia jeden - powiedział. - Jest tutaj mężczyzna z bronią.

Berrington rozejrzał się dookoła. W pokoju nie było Jeannie.

Jeannie wyszła z windy w białej bluzce i czarnej spódnicy, niosąc na tacy herbatę, którą zamówiła wcześniej do pokoju. Serce biło jej jak szalone. Idąc szybkim profesjonalnym krokiem kelnerki, wkroczyła do Sali Regencyjnej.

W małym przedpokoju siedziały przy stolikach z listami gości dwie kobiety. Obok stał, gawędząc z nimi, strażnik hotelowy. Najwyraźniej nikt nie miał tu prawa wejść bez zaproszenia, ale Jeannie była przekonana, że nie będą kontrolować kelnerki z tacą. Kierując się ku wewnętrznym drzwiom, uśmiechnęła się do strażnika.

- Hej - zawołał na nią.

Obróciła się w progu.

- Tam w środku mają mnóstwo kawy i napojów.

- To herbata jaśminowa, na specjalne zamówienie.

- Dla kogo?

Nie miała czasu, żeby się długo zastanawiać.

- Dla senatora Prousta - odparła, modląc się, żeby był w środku.

- W porządku, możesz wejść.

Uśmiechnęła się ponownie do strażnika, otworzyła drzwi i weszła do sali konferencyjnej.

Na podium siedziało za stołem trzech mężczyzn w garniturach. Przed nimi piętrzyła się sterta dokumentów. Jeden z mężczyzn wygłaszał oficjalne przemówienie. Publiczność

składała się z około czterdziestu osób, z notebookami, miniaturowymi magnetofonami i lekkimi kamerami telewizyjnymi.

Jeannie podeszła do podium. Obok stała kobieta w czarnym kostiumie i modnych okularach. Na piersi miała odznakę z napisem:

Caren Beamish
Total Communications!

Jeannie widziała ją już wcześniej, kiedy przygotowywała dekoracje. Kobieta przyjrzała jej się uważnie, ale nie próbowała zatrzymać, uznając widać, że herbatę zamówił któryś z siedzących za stołem.

Mężczyźni mieli przed sobą tabliczki z nazwiskami. Jeannie poznała siedzącego z prawej strony senatora Prousta. Z lewej prężył dumnie pierś Preston Barek. Miejsce pośrodku zajmował przemawiający właśnie Michael Madigan.

“Genetico jest nie tylko firmą, która osiągnęła wybitne sukcesy w dziedzinie biotechnologii...” - oznajmił nudnym tonem.

Jeannie uśmiechnęła się i postawiła przed nim tacę. Madigana trochę to zaskoczyło i przestał na chwilę mówić.

- Chciałabym złożyć bardzo szczególne oświadczenie - powiedziała Jeannie, odwracając się do publiczności.

Steve siedział wściekły i zrozpaczony na podłodze. Lewą rękę miał przykutą kajdankami do rury odpływowej umywalki. Berrington zdemaskował go na kilka sekund przed konferencją prasową. Teraz szukał pewnie Jeannie i mógł, jeśli ją znajdzie, zepsuć cały plan. Steve musiał się uwolnić, żeby ją ostrzec.

Na górze rura przymocowana była do otworu odpływowego. Potem wyginała się dwa razy, tworząc syfon i znikła w ścianie. Steve wykręcił całe ciało, oparł stopę o rurę, a potem z całej siły ją kopnął. Instalacja zatrzęsała się. Kopnął ponownie. W miejscu, w którym rura wchodziła w ścianę, zaczynał się kruszyć tynk. Kopnął jeszcze kilka razy. Tynk opadał, ale rura nie chciała pęknąć.

Sfrustrowany przyjrzał się połączeniu rury z otworem odpływowym. Może tu będzie łatwiej. Złapał rurę oburącz i energicznie potrząsnął. Umywalka ponownie zadygotała, lecz nic nie pękło.

Spojrzał na syfon. Tuż nad nim znajdował się karbowany pierścień. Wiedział, że hydraulicy odkręcają go, kiedy chcą oczyścić syfon, ale używają w tym celu specjalnego narzędzia. Objął lewą dłonią pierścień, ścisnął go najmocniej, jak potrafił, i próbował obrócić, ale palce ześlizgnęły mu się z metalu i otarł sobie boleśnie skórę.

Postukał w spód umywalki. Była zrobiona z jakiegoś sztucznego marmuru, na pierwszy rzut oka całkiem solidnego. Ponownie spojrzał na miejsce, w którym rura wchodziła w otwór odpływowy. Gdyby udało mu się rozwalić to połączenie, mógł zgiąć rurę i z łatwością wysunąć z niej obręcz kajdanek. Zmienił pozycję, cofnął stopę i zaczął znowu kopać w rurę.

- Dwadzieścia trzy lata temu Genetico przeprowadziło bezprawnie nieodpowiedzialne eksperymenty na ośmiu nie podejrzewających niczego Amerykankach - oznajmiła Jeannie. Brakowało jej oddechu i za wszelką cenę starała się uspokoić głos. - Wszystkie były żonami wojskowych.

Poszukała wzrokiem Steve'a, ale nie było go wśród publiczności. Miał tutaj być; stanowił naoczny dowód!

- To prywatne spotkanie - wtrąciła drżącym głosem Caren Beamish. - Proszę stąd natychmiast wyjść.

Jeannie zignorowała ją.

- Udały się do kliniki Genetico w Filadelfii, aby poddać się kuracji hormonalnej na bezpłodność, i tam bez ich zgody wszczepiono im embriony pochodzące od zupełnie obcych osób - dodała, nie kryjąc gniewu.

Zgromadzeni dziennikarze zaczęli wymieniać między sobą komentarze. Widziała, że są zainteresowani.

- Prestona Barcka, cieszącego się opinią odpowiedzialnego naukowca - kontynuowała, podnosząc głos - tak bardzo zafascynowała nowatorska idea klonowania, że podzielił embrion siedem razy, tworząc osiem identycznych kopii i wszczepił je ośmiu nieświadomym niczego kobietom.

Spostrzegła siedzącą z tyłu Mish Delaware, która obserwowała ją z lekko rozbawionym wyrazem twarzy. Ale Berringtona nie było na sali. To ją jednocześnie dziwiło i niepokoilo.

Na podium Preston Berek podniósł się z krzesła.

- Bardzo państwa za to przepraszam - oznajmił. - Uprzedzono nas, że może dojść do tego rodzaju zakłóceń.

- Przez dwadzieścia trzy lata nikt nie wiedział, co się stało - brnęła dalej Jeannie. - Trzej sprawcy: Preston Barek, senator Proust i profesor Berrington Jones gotowi byli uczynić wszystko, aby nie dopuścić do ujawnienia tajemnicy, o czym miałam okazję przekonać się boleśnie na własnej skórze.

Caren Beamish rozmawiała z kimś przez hotelowy telefon.

- Przyślijcie tutaj natychmiast kogoś z ochrony - usłyszała Jeannie.

Pod tacą miała kopie oświadczenia dla prasy, które napisała poprzedniego dnia wieczorem i które powieliła Lisa.

- Tutaj są wszystkie szczegóły - powiedziała, rozdając je siedzącym w pierwszych rzędach. - Z tych ośmiu embrionów rozwinęło się i urodziło ośmiu chłopców. Do dzisiaj żyje ich siedmiu. Łatwo ich poznać, ponieważ wszyscy są podobni do siebie jak dwie krople wody.

Po minach dziennikarzy widziała, że przykuła ich uwagę. Zerkając do tyłu, zobaczyła wykrzywioną z wściekłości twarz Prousta i Prestona Barcka, który wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć.

Mniej więcej w tej chwili pan Oliver miał wprowadzić na salę Harveya, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że wygląda tak samo jak Steve i być może jak George Dassault. Ale żadnego z nich nie było. Nie czekajcie z tym zbyt długo!

- Można by pomyśleć, że są jednojajowymi bliźniętami - kontynuowała - i rzeczywiście mają wszyscy identyczne DNA, ale urodziło je osiem zupełnie różnych matek. Prowadzę badania nad jednojajowymi bliźniętami i właśnie zagadka bliźniaków, które mają różne matki, naprowadziła mnie na trop tej haniebnej historii.

Drzwi sali otworzyły się nagle na oścież. Jeannie podniosła wzrok mając nadzieję, że zobaczy jednego z klonów. Zamiast tego do środka wpadł Berrington.

- Proszę państwa, ta pani cierpi na załamanie nerwowe i została niedawno zwolniona z pracy - oznajmił zdyszczanym głosem, jakby przed chwilą biegł. - Prowadziła badania finansowane przez Genetico i żywi teraz urazę do firmy. Ochrona hotelu aresztowała przed chwilą jej współnika. Proszę pozostać na miejscu. Kiedy ją wyprowadzą, będziemy kontynuować naszą konferencję.

Jeannie była kompletnie zaskoczona. Gdzie byli pan Oliver i Harvey? I co się działo ze Steve'em? Jej oświadczenie nie było nic warte bez dowodów. Zostało tylko parę sekund. Stało się coś bardzo złego. Berringtonowi udało się pokrzyżować jej szyki.

Na salę wbiegł umundurowany strażnik i Berrington przywołał go do siebie.

Zdesperowana Jeannie odwróciła się do Michaela Madigana. Spoglądał na nią chłodno i domyśliła się, że nie znosi ludzi, którzy zakłócają ustalony porządek rzeczy. Mimo to podjęła próbę.

- Widzę, że ma pan przed sobą kilka dokumentów, panie Madigan - powiedziała. - Nie sądzi pan, że lepiej będzie sprawdzić całą historię, zanim pan je podpisze? Przypuśćmy tylko, że mam rację; niech pan pomyśli, ile pieniędzy będzie pan musiał wypłacić tym kobietom.

- Nie mam w zwyczaju podejmować decyzji na podstawie rewelacji, których autorami są pacjenci szpitalów psychiatrycznych - odparł.

Kilku dziennikarzy wybuchnęło śmiechem i Berrington zaczął odzyskiwać pewność siebie. Do Jeannie zbliżył się strażnik.

- Miałam nadzieję - zwróciła się do publiczności - że na poparcie moich słów pokażę państwu dwóch albo trzech klonów. Niestety nie zjawili się.

Teraz roześmiało się więcej osób i Jeannie zdała sobie sprawę, że stała się przedmiotem żartów. Wszystko przepadło; tym razem przegrała.

Strażnik złapał ją pod ramię i pociągnął silnie w stronę drzwi. Mogła mu się wyrwać, ale to nie miało sensu.

Mijając Berringtona, zobaczyła, że się uśmiecha. Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je i podniosła wysoko głowę. Niech was wszystkich diabli wezmą, pomyślała; któregoś dnia przekonacie się, że miałam rację.

- Czy może pan kontynuować, panie Madigan? - usłyszała za sobą głos Caren Beamish.

Kiedy Jeannie i strażnik byli już całkiem blisko drzwi, te otworzyły się nagle i do środka weszła Lisa.

Jeannie otworzyła szeroko usta, widząc tuż za nią jednego z klonów.

To musiał być George Dassault. Przyleciał! Lecz jeden nie wystarczał - potrzebowała dwóch, żeby udowodnić, że ma rację. Gdyby tylko pojawił się Steve albo pan Oliver z Harveyem!

A potem, z porażającą radością zobaczyła drugiego klona. To musiał być Henry King. Wyrwała się strażnikowi.

- Spójrzcie! - krzyknęła. - Spójrzcie tutaj!

W tym samym momencie na salę wszedł trzeci klon. Po czarnych włosach domyśliła się, że to Wayne Stattner.

- Spójrzcie! - powtórzyła. - Przyjechali! Są identyczni!

Wszystkie kamery odwróciły się od podium i skierowały na nowo przybyłych. Błysnęły światła fleszów.

- Mówiłam wam! - zawołała z triumfem do dziennikarzy. - Zapytajcie ich o rodziców. Nie są trojaczkami. Ich matki nigdy się nie spotkały! Zapytajcie ich! No dalej, pytajcie!

Uświadomiła sobie, że poniosły ją emocje, i próbowała się uspokoić, ale nie było to łatwe - tak bardzo czuła się szczęśliwa. Kilku reporterów podbiegło do klonów, chcąc zadać im pytania. Strażnik ponownie złapał ją pod ramię, ale znajdowali się teraz w środku tłumu i nie mogła się i tak ruszyć.

Z tyłu usłyszała usiłującego przekrzyczeć tłum Berringtona.

- Szanowni państwo, proszę o uwagę! - Gniew w jego głosie prędko ustąpił miejsca rozdrażnieniu. - Chcielibyśmy kontynuować konferencję prasową.

Jego prośby nie odnosiły żadnego skutku. Reporterzy zwietrzyli prawdziwą sensację i nie interesowały ich już drętwe przemówienia.

Kątem oka Jeannie zobaczyła senatora Prousta, który wymykał się cichaczem z sali.

Młody dziennikarz podstawił jej pod nos mikrofon.

- Jak dowiedziała się pani o tych eksperymentach? - zapytał.

- Jestem doktor Jean Ferrami - odpowiedziała - i pracuję na wydziale psychologii Uniwersytetu Jonesa Fallsa. W trakcie moich badań natrafiłam na grupę ludzi, którzy wydawali się jednojajowymi bliźniętami, ale nie byli spokrewnieni. Zainteresowałam się sprawą. Berrington Jones próbował wyrzucić mnie z pracy, ponieważ nie chciał, bym odkryła prawdę. Mimo to udało mi się ustalić, że klony powstały w wyniku wojskowego eksperymentu, który przeprowadzono w Genetico.

Przerwała na chwilę i rozejrzała się po sali. Gdzie był Steve?

Steve kopnął po raz kolejny i rura oderwała się w tumanie tynku i okruchów marmuru od umywalki. Opierając się o nią nogami, wygiął ją na bok, wysunął obręcz kajdanek i uwolniony zerwał się na nogi.

Trzymając lewą rękę w kieszeni, żeby ukryć zwisające z nadgarstka kajdanki, wyjrzał z łazienki.

Pokoik dla VIP-ów był pusty.

Nie wiedząc, co zastanie na sali konferencyjnej, wyszedł na korytarz.

Obok znajdowały się drzwi oznaczone napisem Sala Regencyjna. Trochę dalej stał na korytarzu, czekając na windę, jeden z jego sobowtórów.

Kim był? Facet masował nadgarstki, jakby go bolały, i miał na obu policzkach czerwony ślad, który mógł pozostawić ciasno ściągnięty knebel. To był Harvey, który spędził całą noc związany na łóżku.

Podniósł oczy i zauważył przyglądającego mu się Steve'a.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Było to niczym spojrzenie w lustro. Steve usiłował go rozgryźć, odczytać coś z jego twarzy i zajrzeć do serca, zobaczyć bakcyła, który doprowadził Harveya do złego. Ale nie udało mu się. Widział tylko podobnego do siebie mężczyznę, który szedł tą samą drogą, a potem skręcił w inną stronę.

Oderwał oczy od Harveya i wszedł do Sali Regencyjnej.

W środku panowało straszne zamieszanie. Jeannie i Lisę otaczał tłum kamerzystów. Dostrzegł obok nich jednego, nie, dwóch, trzech klonów. Przepychając się podszedł bliżej.

- Jeannie! - zawołał.

Zmierzyła go uważnym wzrokiem.

To ja, Steve! Tuż przy niej stała Mish Delaware.

- Jeśli szuka pani Harveya - powiedział do policjantki - stoi za drzwiami i czeka na windę.

- Potrafisz odróżnić, który jest który? - zapytała Mish, zwracając się do Jeannie.

- Jasne - odparła. - Też gram trochę w tenisa - dodała, patrząc prosto w oczy Steve'a.

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli grasz tylko trochę, nie należysz chyba do mojej ligi - stwierdził.

- Dzięki Bogu! - zawołała, zarzucając mu ręce na szyję. Steve pochylił się i pocałował ją w usta.

Kamery skierowały się w ich stronę, zamigotało morze fleszy i taki właśnie obrazek ukazał się nazajutrz na pierwszych stronach wszystkich gazet.

CZERWIEC NASTĘPNEGO ROKU

Dom opieki Green Lawns przypominał elegancki staroświecki hotel. Miał ściany wyłożone kwiatowymi tapetami, gabloty z porcelanowymi bibelotami i stoły na giętkich nogach. W powietrzu unosił się zapach potpourri, nie środków dezynfekcyjnych, a personel zwracał się do matki Jeannie “pani Ferrami”, a nie “Mario” lub “moja droga”. Mama miała niewielki apartament z salonikiem, gdzie goście mogli usiąść i napić się herbaty.

- To mój mąż, mamó - powiedziała Jeannie. Steve uściskał jej dłoń i posłał swój najbardziej czarujący uśmiech.

- Jaki przystojny chłopak - stwierdziła mama. - Gdzie pracujesz, Steve?

- Studiuję prawo.

- Prawo. Po prawie możesz zrobić karierę.

Mama miała przebłyski świadomości, po których następowały długie okresy zaćmienia.

- Tato był na naszym weselu - ciągnęła Jeannie.

- Jak się miewa twój ojciec?

- Dobrze. Jest już za stary, żeby okradać ludzi, i zamiast tego ich teraz strzeże. Założył własną firmę ochroniarską. Wiedzie mu się całkiem nieźle.

- Nie widziałam go od dwudziestu lat.

- Owszem, widziałas go, mamó. Odwiedza cię, ale o tym zapominasz. - Jeannie postanowiła zmienić temat. - Dobrze wyglądasz. - Mama ubrana była w ładną bawełnianą bluzkę w kolorowe paski. Miała trwałą andulację i zrobiony manikiur. - Jak ci się tutaj podoba? Chyba bardziej niż w Bella Vista, prawda?

Na twarzy mamy ukazało się zatroskanie.

- Ale skąd weźmiemy na to pieniądze, Jeannie? Ja nie mam żadnych oszczędności.

- Mam nową pracę, mamó. Stać mnie na to.

- Co to za praca?

Jeannie wiedziała, że mama i tak nie zrozumie, ale powiedziała jej.

- Jestem dyrektorem badań genetycznych w wielkiej firmie, która nazywa się Landsmann.

Stanowisko zaoferował jej Michael Madigan, kiedy ktoś opowiedział mu o jej programie komputerowym. Wynagrodzenie było trzy razy wyższe od tego, które dostawała na uniwersytecie. Jeszcze bardziej ekscytująca była sama praca, w której dotrzymywała kroku najnowszym osiągnięciom genetyki.

- To dobrze - stwierdziła mama. - Aha, zanim zapomnę... w gazecie było twoje zdjęcie. Wycięłam je. - Sięgnęła do torebki, wyjęła stamtąd złożoną fotografię, wyprostowała ją i podała córce.

Jeannie oglądała już wcześniej to zdjęcie, ale pochyliła się z uwagą, jakby widziała je po raz pierwszy. Zrobiono je w trakcie przesłuchań przed komisją senacką. Dochodzenie dotyczyło eksperymentów prowadzonych w klinice Aventine. Komisja nie przedstawiła jeszcze swojego raportu, lecz nikt nie miał wątpliwości, jaka będzie jego treść. Transmitowane na cały kraj przesłuchanie Jima Prousta stało się publicznym upokorzeniem, jakiego chyba nigdy jeszcze nie oglądano. Proust pieklił się, krzyczał i kłamał w żywe oczy, z każdym słowem coraz bardziej się pograżając. Po zakończeniu dochodzenia złożył mandat senatora.

Berringtonowi Jonesowi nie pozwolono złożyć dymisji. Został wydalony z uniwersytetu przez komisję dyscyplinarną. Jeannie słyszała, że przeniósł się do Kalifornii i utrzymywał z niewielkiej pensji wypłacanej przez jego byłą żonę.

Preston Berek zrezygnował z funkcji prezesa Genetico, które zostało zlikwidowane, aby wypłacić uzgodnione odszkodowania matkom ośmiu klonów. Niewielką sumę pozostawiono, aby pomóc klonom uporać się z ich pogmatwaną historią.

A Harvey Jones odsiadywał pięć lat za gwałt i podpalenie.

- W gazecie pisali, że musiałaś zeznawać - odezwała się mama. - Nie miałaś chyba żadnych kłopotów?

Jeannie wymieniła uśmiech ze Steve'em.

- We wrześniu, przez jakiś tydzień, byłam w prawdziwych kłopotach, mamó. Ale wszystko się dobrze skończyło.

- To świetnie.

- Pora na nas - oznajmiła Jeannie wstając. - To nasz miodowy miesiąc. Musimy zdążyć na samolot.

- Dokąd lećcie?

- Do małego kurortu na Karaibach. Ludzie mówią, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Steve uściśnął rękę mamie, a Jeannie ucałowała ją na pożegnanie.

- Odpocznij dobrze, kochanie - powiedziała mama, kiedy wyszli. - Zasłużyłaś sobie na to.